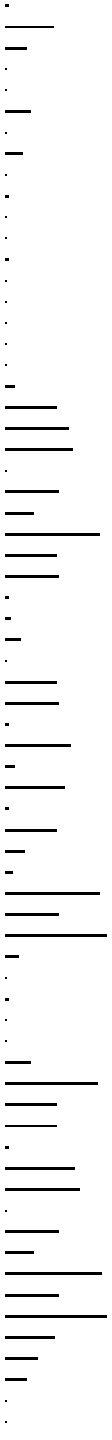




CELIA  
Brayfield  
Pearls

The classic novel of passion and betrayal













.....









.....













































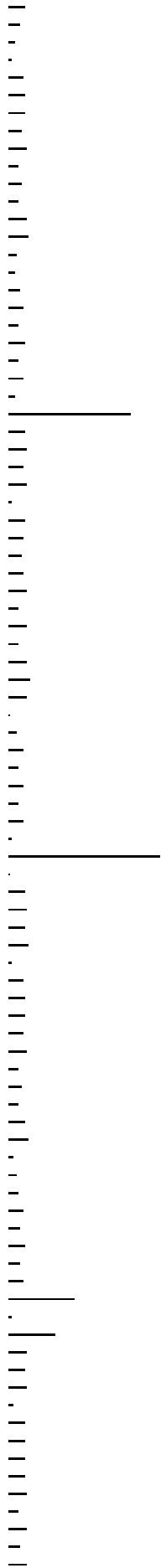


















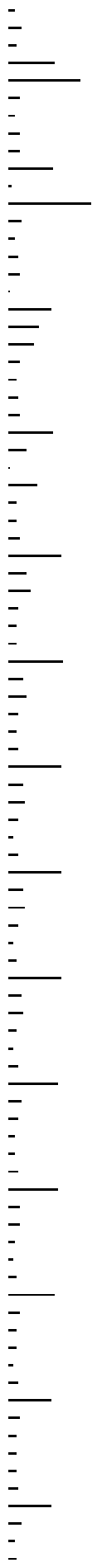








1  
2  
3  
4  
5  
6  
7  
8  
9  
10  
11  
12  
13  
14  
15  
16  
17  
18  
19  
20  
21  
22  
23  
24  
25  
26  
27  
28  
29  
30  
31  
32  
33  
34  
35  
36  
37  
38  
39  
40  
41  
42  
43  
44  
45  
46  
47  
48  
49  
50  
51  
52  
53  
54  
55  
56  
57  
58  
59  
60  
61  
62  
63  
64  
65  
66  
67  
68  
69  
70  
71  
72  
73  
74  
75  
76  
77  
78  
79  
80  
81  
82  
83  
84  
85  
86  
87  
88  
89  
90  
91  
92  
93  
94  
95  
96  
97  
98  
99  
100









































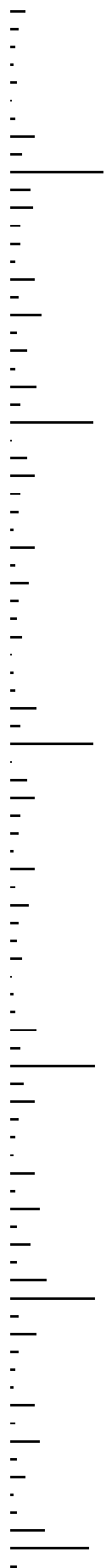














1  
2  
3  
4  
5  
6  
7  
8  
9  
10  
11  
12  
13  
14  
15  
16  
17  
18  
19  
20  
21  
22  
23  
24  
25  
26  
27  
28  
29  
30  
31  
32  
33  
34  
35  
36  
37  
38  
39  
40  
41  
42  
43  
44  
45  
46  
47  
48  
49  
50  
51  
52  
53  
54  
55  
56  
57  
58  
59  
60  
61  
62  
63  
64  
65  
66  
67  
68  
69  
70  
71  
72  
73  
74  
75  
76  
77  
78  
79  
80  
81  
82  
83  
84  
85  
86  
87  
88  
89  
90  
91  
92  
93  
94  
95  
96  
97  
98  
99  
100













11  
12  
13  
14  
15  
16  
17  
18  
19  
20  
21  
22  
23  
24  
25  
26  
27  
28  
29  
30  
31  
32  
33  
34  
35  
36  
37  
38  
39  
40  
41  
42  
43  
44  
45  
46  
47  
48  
49  
50  
51  
52  
53  
54  
55  
56  
57  
58  
59  
60  
61  
62  
63  
64  
65  
66  
67  
68  
69  
70  
71  
72  
73  
74  
75  
76  
77  
78  
79  
80  
81  
82  
83  
84  
85  
86  
87  
88  
89  
90  
91  
92  
93  
94  
95  
96  
97  
98  
99  
100  
101  
102  
103  
104  
105  
106  
107  
108  
109  
110  
111  
112  
113  
114  
115  
116  
117  
118  
119  
120  
121  
122  
123  
124  
125  
126  
127  
128  
129  
130  
131  
132  
133  
134  
135  
136  
137  
138  
139  
140  
141  
142  
143  
144  
145  
146  
147  
148  
149  
150  
151  
152  
153  
154  
155  
156  
157  
158  
159  
160  
161  
162  
163  
164  
165  
166  
167  
168  
169  
170  
171  
172  
173  
174  
175  
176  
177  
178  
179  
180  
181  
182  
183  
184  
185  
186  
187  
188  
189  
190  
191  
192  
193  
194  
195  
196  
197  
198  
199  
200  
201  
202  
203  
204  
205  
206  
207  
208  
209  
210  
211  
212  
213  
214  
215  
216  
217  
218  
219  
220  
221  
222  
223  
224  
225  
226  
227  
228  
229  
230  
231  
232  
233  
234  
235  
236  
237  
238  
239  
240  
241  
242  
243  
244  
245  
246  
247  
248  
249  
250  
251  
252  
253  
254  
255  
256  
257  
258  
259  
260  
261  
262  
263  
264  
265  
266  
267  
268  
269  
270  
271  
272  
273  
274  
275  
276  
277  
278  
279  
280  
281  
282  
283  
284  
285  
286  
287  
288  
289  
290  
291  
292  
293  
294  
295  
296  
297  
298  
299  
300  
301  
302  
303  
304  
305  
306  
307  
308  
309  
310  
311  
312  
313  
314  
315  
316  
317  
318  
319  
320  
321  
322  
323  
324  
325  
326  
327  
328  
329  
330  
331  
332  
333  
334  
335  
336  
337  
338  
339  
340  
341  
342  
343  
344  
345  
346  
347  
348  
349  
350  
351  
352  
353  
354  
355  
356  
357  
358  
359  
360  
361  
362  
363  
364  
365  
366  
367  
368  
369  
370  
371  
372  
373  
374  
375  
376  
377  
378  
379  
380  
381  
382  
383  
384  
385  
386  
387  
388  
389  
390  
391  
392  
393  
394  
395  
396  
397  
398  
399  
400  
401  
402  
403  
404  
405  
406  
407  
408  
409  
410  
411  
412  
413  
414  
415  
416  
417  
418  
419  
420  
421  
422  
423  
424  
425  
426  
427  
428  
429  
430  
431  
432  
433  
434  
435  
436  
437  
438  
439  
440  
441  
442  
443  
444  
445  
446  
447  
448  
449  
450  
451  
452  
453  
454  
455  
456  
457  
458  
459  
460  
461  
462  
463  
464  
465  
466  
467  
468  
469  
470  
471  
472  
473  
474  
475  
476  
477  
478  
479  
480  
481  
482  
483  
484  
485  
486  
487  
488  
489  
490  
491  
492  
493  
494  
495  
496  
497  
498  
499  
500  
501  
502  
503  
504  
505  
506  
507  
508  
509  
510  
511  
512  
513  
514  
515  
516  
517  
518  
519  
520  
521  
522  
523  
524  
525  
526  
527  
528  
529  
530  
531  
532  
533  
534  
535  
536  
537  
538  
539  
540  
541  
542  
543  
544  
545  
546  
547  
548  
549  
550  
551  
552  
553  
554  
555  
556  
557  
558  
559  
560  
561  
562  
563  
564  
565  
566  
567  
568  
569  
570  
571  
572  
573  
574  
575  
576  
577  
578  
579  
580  
581  
582  
583  
584  
585  
586  
587  
588  
589  
590  
591  
592  
593  
594  
595  
596  
597  
598  
599  
600  
601  
602  
603  
604  
605  
606  
607  
608  
609  
610  
611  
612  
613  
614  
615  
616  
617  
618  
619  
620  
621  
622  
623  
624  
625  
626  
627  
628  
629  
630  
631  
632  
633  
634  
635  
636  
637  
638  
639  
640  
641  
642  
643  
644  
645  
646  
647  
648  
649  
650  
651  
652  
653  
654  
655  
656  
657  
658  
659  
660  
661  
662  
663  
664  
665  
666  
667  
668  
669  
670  
671  
672  
673  
674  
675  
676  
677  
678  
679  
680  
681  
682  
683  
684  
685  
686  
687  
688  
689  
690  
691  
692  
693  
694  
695  
696  
697  
698  
699  
700  
701  
702  
703  
704  
705  
706  
707  
708  
709  
710  
711  
712  
713  
714  
715  
716  
717  
718  
719  
720  
721  
722  
723  
724  
725  
726  
727  
728  
729  
730  
731  
732  
733  
734  
735  
736  
737  
738  
739  
740  
741  
742  
743  
744  
745  
746  
747  
748  
749  
750  
751  
752  
753  
754  
755  
756  
757  
758  
759  
760  
761  
762  
763  
764  
765  
766  
767  
768  
769  
770  
771  
772  
773  
774  
775  
776  
777  
778  
779  
780  
781  
782  
783  
784  
785  
786  
787  
788  
789  
790  
791  
792  
793  
794  
795  
796  
797  
798  
799  
800  
801  
802  
803  
804  
805  
806  
807  
808  
809  
810  
811  
812  
813  
814  
815  
816  
817  
818  
819  
820  
821  
822  
823  
824  
825  
826  
827  
828  
829  
830  
831  
832  
833  
834  
835  
836  
837  
838  
839  
840  
841  
842  
843  
844  
845  
846  
847  
848  
849  
850  
851  
852  
853  
854  
855  
856  
857  
858  
859  
860  
861  
862  
863  
864  
865  
866  
867  
868  
869  
870  
871  
872  
873  
874  
875  
876  
877  
878  
879  
880  
881  
882  
883  
884  
885  
886  
887  
888  
889  
890  
891  
892  
893  
894  
895  
896  
897  
898  
899  
900  
901  
902  
903  
904  
905  
906  
907  
908  
909  
910  
911  
912  
913  
914  
915  
916  
917  
918  
919  
920  
921  
922  
923  
924  
925  
926  
927  
928  
929  
930  
931  
932  
933  
934  
935  
936  
937  
938  
939  
940  
941  
942  
943  
944  
945  
946  
947  
948  
949  
950  
951  
952  
953  
954  
955  
956  
957  
958  
959  
960  
961  
962  
963  
964  
965  
966  
967  
968  
969  
970  
971  
972  
973  
974  
975  
976  
977  
978  
979  
980  
981  
982  
983  
984  
985  
986  
987  
988  
989  
990  
991  
992  
993  
994  
995  
996  
997  
998  
999  
1000

.....



1  
2  
3  
4  
5  
6  
7  
8  
9  
10  
11  
12  
13  
14  
15  
16  
17  
18  
19  
20  
21  
22  
23  
24  
25  
26  
27  
28  
29  
30  
31  
32  
33  
34  
35  
36  
37  
38  
39  
40  
41  
42  
43  
44  
45  
46  
47  
48  
49  
50  
51  
52  
53  
54  
55  
56  
57  
58  
59  
60  
61  
62  
63  
64  
65  
66  
67  
68  
69  
70  
71  
72  
73  
74  
75  
76  
77  
78  
79  
80  
81  
82  
83  
84  
85  
86  
87  
88  
89  
90  
91  
92  
93  
94  
95  
96  
97  
98  
99  
100









































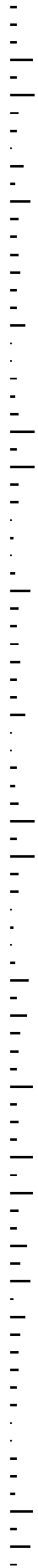






.....





.....











1  
2  
3  
4  
5  
6  
7  
8  
9  
10  
11  
12  
13  
14  
15  
16  
17  
18  
19  
20  
21  
22  
23  
24  
25  
26  
27  
28  
29  
30  
31  
32  
33  
34  
35  
36  
37  
38  
39  
40  
41  
42  
43  
44  
45  
46  
47  
48  
49  
50  
51  
52  
53  
54  
55  
56  
57  
58  
59  
60  
61  
62  
63  
64  
65  
66  
67  
68  
69  
70  
71  
72  
73  
74  
75  
76  
77  
78  
79  
80  
81  
82  
83  
84  
85  
86  
87  
88  
89  
90  
91  
92  
93  
94  
95  
96  
97  
98  
99  
100





















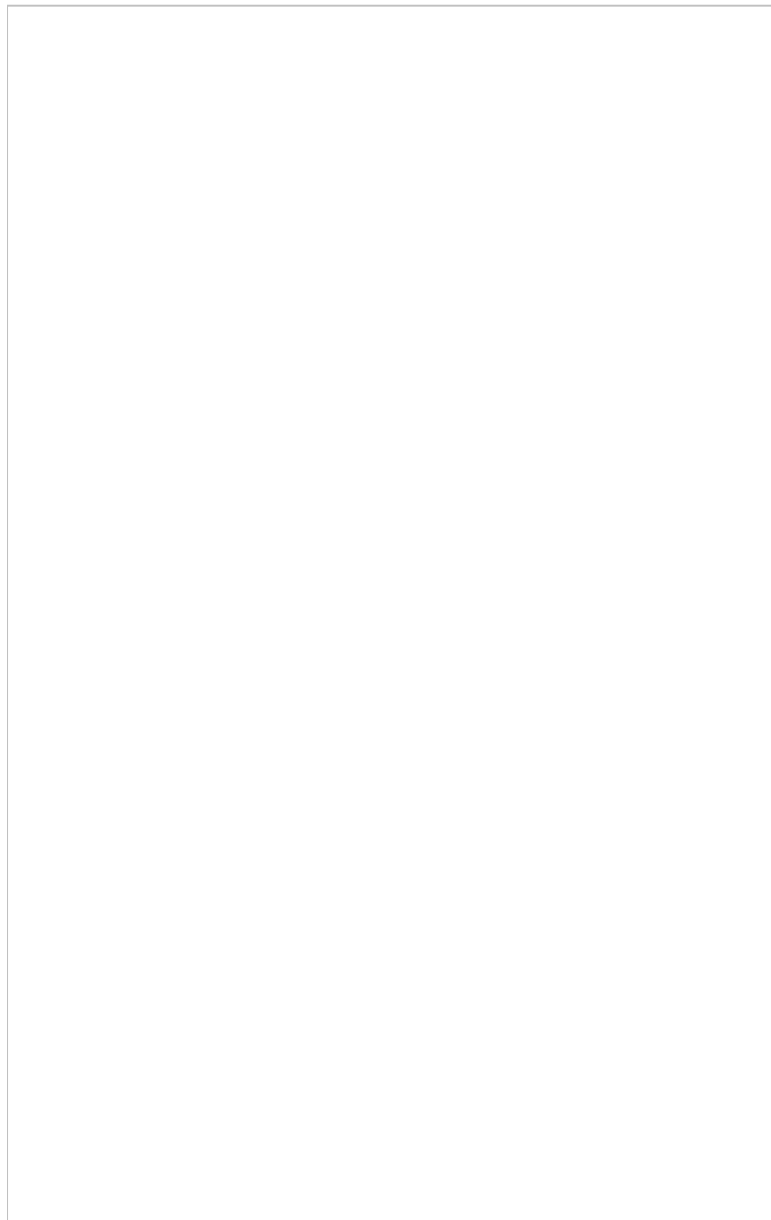












TOM II

Przełożyła Magdalena Koziej — Ostaszkiewicz

Wydawnictwo Da Capo Warszawa 1993

15

Z oddali dobiegał jakiś hałas, stłumiony, jednostajny warkot, który dudnił bezlitośnie jak ocean. Były to odgłosy londyńskiej ulicy.

Cathy otworzyła oczy. Rozróżniała plamy światła i barwy, które poraziły ją i sprawiły ból. Zamknęła natychmiast powieki. Poczowała się tak, jakby przygniatał ją jakiś ciężar, i na chwilę pogrążyła się w nicości.

Nagle z boku coś się poruszyło. Drzwi otworzyły się i zamknęły. Były gdzieś za jej stopami. Paliło ją w gardle i miała niesmak w ustach. Prawe ramię było dziwnie bezwładne, jakby zostało wykręcone w stawie. Czuła palący

ból w lewej stopie, która nie była przykryta kocami.

Ponownie otworzyła oczy i siłą woli zmusiła się, by napierającą powódź plam zamienić w obraz. Pokój, okno. Leżała na plecach, prawe ramię było podłączone do jakiejś rurki. Drzwi znowu się otworzyły i zamknęły. Cathy usłyszała szelest i ujrzała pielęgniarkę stojącą przy łóżku.

— Jak się pani czuje? — spytała, notując coś na karcie choroby.

— Dobrze. — Cathy próbowała się uśmiechnąć.

— Ma przyjść pani siostra. Myślę, że wkrótce powinna się tu zjawić.

Sposób bycia pielęgniarki nie zachęcał do rozmowy. Po chwili opuściła pokój, a Cathy starała się podnieść. Przyszło jej to z trudem, gdyż była bardzo osłabiona. Na szyi miała przyklejony duży, niewygodny opatrunek. Z determinacją pochyliła się do przodu, aż wreszcie dosięgła karty i zaczęła ją czytać. Był czwartek, przyjęto ją do szpitala we wtorek. Miała teraz normalną temperaturę, ale wczoraj była bardzo niska. Cathy czuła pustkę. Zresztą było to miłe uczucie. Nic się nie liczyło. Nikt nie był w stanie jej skrzywdzić. Nie musiała też o czymkolwiek myśleć.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i do pokoju wpadła Monty.

— Moja kochana Cathy! — Włosy Monty pachniały dymem z papierosów. Przypomniały Cathy o świetle bólu, który znajdował się za białymi ścianami. — Już wszystko dobrze, kochanie. Jestem tu. Niedługo wyzdrowiejesz.

Cathy próbowała się uśmiechnąć, ale usta odmówiły jej posłuszeństwa.

Chociaż była niezmiernie szczęśliwa, że widzi siostrę, twarz wykrzywiła jej

się w dziwnym grymasie. Gdy Monty sięgnęła po papierową chusteczkę do pudełka stojącego obok i osuszyła jej oczy, Cathy zdała sobie sprawę, że szłocha. Przytulały się do siebie przez dłuższą chwilę.

— Czy oni coś ci powiedzieli? — spytała w końcu Monty.

— Co mianowicie?

— Więc nie powiedzieli. Twój lekarz jest w porządku, ale pielęgniarki to straszne suki. Sądzę, że nie przepadają za samobójcami.

Słowo „samobójcy” wydało się Cathy dziwne.

— To ja...? — Zawiesiła niepewnie głos.

— Nie pamiętasz?

Cathy wyteęzała pamięć. Uświadomiła sobie wreszcie, że mąż od niej odszedł i chciał rozwodu. Zaczęła znowu płakać. Nic więcej nie pamiętała.

— Czy są tu jakieś poduszki? — spytała. — Chciałabym usiąść.

Monty wzięła z krzesła stertę poduszek i pomogła siostrze się podnieść, ostrożnie przesuając stopę w grubym opatrunku.

— Dlaczego tak owinęli mi stopę? Czy jest tu coś do picia? Mam straszny niesmak w ustach.

Monty nalała jej wody.

— Uszkodziłaś sobie stopę.

Cathy wolno powracała pamięć.

— Ale przecież połknęłam pigułki, musiałam stracić przytomność, jak więc mogłam uszkodzić stopę? — Uśmiechnęła się. Wszystko było takie dziwne. Roześmiała się, nie mogła się powstrzymać od śmiechu, takie to było zabawne. Po chwili jednak znowu całą twarz miała mokrą, znowu płakała.

Monty podała jej kilka chusteczek.

— Opowiem ci wszystko później, jak się trochę pozbierasz.

— Powiedz teraz.

— Nie, Cathy. Jutro.

— Nie wygłupiaj się, przecież mnie znasz, będę się tylko zamartwiać.

— Ale jesteś teraz wytrącona z równowagi.

— Wziąwszy pod uwagę, co zwykłam robić nie będąc wytrącona z równowagi, to teraz właściwie jestem przy zdrowych zmysłach.

Monty zaśmiała się, Cathy jej zawtórowała i jeszcze raz padły sobie w ramiona. Potem Cathy znowu zaczęła płakać, a Monty położyła pudełko z chusteczkami w zasięgu jej ręki.

— No dobrze, ale musisz się wziąć w garść. Od dwóch dni jesteś w szpitalu St. George.

Gdy znaleźliśmy cię w domu, leżałaś częściowo zsunięta z łóżka. To — poklepała plaster na szyi Cathy — masz dlatego, że zrobili ci tracheotomię. Przez pierwszy dzień byłaś reanimowana.

— A to? — Cathy wskazała opatrunek na stopie.

— Boli cię?

— Trochę pulsuje i rwie...

— Leżałaś w takiej pozycji, że nie było dopływu krwi do stopy. Lekarze mówią, że część komórek może być martwa, bo przez dłuższy czas były pozbawione tlenu. Obawiają się również gangreny.

— Myślałam, że zdarza się to tylko na filmach wojennych. Pamiętam scenki amputowania ludziom nóg tępym nożem.

— Nie wygłupiaj się. — Monty ścisnęła siostrę za rękę, starając się mówić pocieszającym tonem. Lekarz powiedział jej, że amputacja nogi Cathy wcale nie jest wykluczona.

— Czy ktoś wie, że tu jestem?

— Dzwoniłam do lorda Shrewtona. Zachował się wspaniale. Uzgodniliśmy, że powiadomi Charliego. Jak dojdiesz do siebie i będziesz chciała, możesz się z nim zobaczyć.

— A Jamie? Czy wszystko w porządku?

— Tak, świetnie.

— Mama?

— Tak, powiedziałam jej. Ma jakiś turniej brydżowy. Powiedziała, że przyjedzie jedynie wtedy, gdy ci się pogorszy. Didi dostała ataku furii, kazałam Caroline ją związać. — Znowu wybuchnęły śmiechem.

Nazajutrz Cathy minął stan szaleńczego uniesienia i poczuła się bez nadziejnie. Wkrótce zjawił się szpitalny psychiatra i opiekujący się nią lekarz.

— Ten od świrów stwierdził, że jestem klasycznym przypadkiem — po-  
TLR

wiedziała Cathy siostrze. — Według niego wciąż jestem pogrążona w żalu po stracie taty. Powiedziałam mu, że powinien spróbować, jak to jest, gdy się poślubi kogoś takiego jak Charlie. Założę się, że nie siedziałby tu tak cholernie z siebie zadowolony, gdyby jego żona puszczała się z kim popadnie.

— On martwi się jedynie o to, żebyś nie zrobiła tego po raz drugi, bo to nadszarpnęłoby reputację szpitala. Czy powiedziałaś mu o pigułkach, które dawał ci lekarz?

Cathy potrząsnęła głową.

— To były tylko środki uspokajające, nic wielkiego.

Monty zauważyła, że jej siostra wygląda lepiej. Policzki miała zaróżowione i nie wytrzeszczała już oczu, jakby zobaczyła ducha.

— Wiadomo już, co ze stopą? Jak się czujesz?

— Okropnie. Strasznie boli, a nie dają mi silniejszych środków uśmierających, bo mówią, że ból to dobry znak.

— Czy jest infekcja?

Cathy skinęła głową.

— Tak, dostaję antybiotyki. Jeśli w ogóle zacznę chodzić, prawdopodobnie będę utykać.

Zamilkły na chwilę. Cathy sięgnęła po czasopismo, które przyniosła jej Monty, i otworzyła je bez specjalnego zainteresowania.

— Czy naprawdę chciałaś umrzeć?

— Tak. Nic innego nie przychodziło mi do głowy. Po prostu wiedziałam, że właśnie to muszę zrobić. Pomyślałam, że skoro nic mi się nie udało, muszę umrzeć. — Cathy mówiła powoli, z trudem przypominając sobie, co czuła, gdy tak skrupulatnie planowała samobójstwo.

— Masz do mnie żal, że cię uratowałam?

TLR

Cathy zastanowiła się przez chwilę.

— Nie, cieszę się, że żyję. Najważniejsze jest to, żeby żyć, teraz to wiem. Tak jak wcześniej myślałam, że koniecznie muszę umrzeć. Czuję się strasznie, gdy pomyślę o Jamiem. Jak mogłam chcieć go zostawić?

— Załamiałaś się, nie wiedziałaś, co robisz. Przez kilka miesięcy faszerowałaś się tym świństwem na uspokojenie.

— Wiesz, czego nie zdołałam wytłumaczyć psychiatrze? Ja niczego nie próbowałam. Ja miałam zamiar się zabić, ale mi to nie wyszło, i teraz czuję się cholernie źle. Nic mi się nie udało. Straciłam męża, zrobiłam wszystko, co w mojej mocy, by go odzyskać, i nic z tego nie wyszło. — Zaczęła chlipać i po omacku sięgnęła po chusteczki.

— Przecież ten facet cię nie zna. Jest przyzwyczajony do rozhisteryzowanych smarkul, które starają się stosować znany od dawien dawna szantaż emocjonalny. On nie rozumie, że nie chodziło ci jedynie o wywołanie zamieszania.

Spod zamkniętych powiek Cathy zaczęły płynąć strumienie łez.

— To nie jest tak, że nic ci się nie udało — pocieszała Monty. — Nie sposób wygrać, gdy wytrącają ci z ręki wszystkie atuty i grają nieuczciwie.

— Inne kobiety to potrafią.

— Niby kto? Mama? Didi? Pani Emanuel albo markiza? Jaka chcesz być, gdy stuknie ci pięćdziesiątka? Chcesz zmienić się w megierę i spieprzyć Jamiemu życie dlatego tylko, że nie miałaś własnego?

Cathy otarła oczy.

— Jamie. Biedny Jamie. Jesteś pewna, że nic mu nie jest, Monty? Czy poprosisz, by go tu przyprowadzili, żebym mogła go zobaczyć?

Monty wpadała codziennie i traktowała bezosobową separatkę jak jeszcze jeden pokój we własnym domu. Przesiadywała godzinami, plotkując i oglądając telewizję. TLR

Kiedy tam była, Cathy zapominała o swoim stanie.

Charlie przesłał kwiaty i zapowiedział swoją wizytę. Lord Shrewton przychodził dość regularnie, mimo że czuł się wyraźnie zażenowany w obecności kobiety, którą jego syn tak strasznie skrzywdził. Cathy ułatwiała mu sytuację i zawsze sprowadzała rozmowy na interesy. Pełna rezerwy, lecz szczerą sympatią, jaką do siebie żywili, jeszcze bardziej się zwiększyła. Markiza wpadła tylko raz, była bardzo krótko i świergotała jakieś głupstwa.

Najbardziej spontaniczne wyrazy współczucia okazała Cathy babka, która wparadowała do pokoju w nowym wiosennym futrze z beżowej norki o bufiastych rękawach i zawołała:

— Gdzie jest to moje biedactwo? Moja droga, jakie to okropne, że musisz tkwić w tym szkaradnym pokoju. Każ natychmiast, żeby cię gdzieś przenieśli. Te zasłony! Jakie monotonne!

Przyniosła kwiaty, szampana i jedwabny turkusowy negliz ozdobiony imitacją weneckiej koronki.

— Jak Charlie przyjdzie, musisz wyglądać pięknie, lecz słabowicie. Leż na poduszce w omdlewającej pozie i prawie się nie odzywaj. Masz jakiś jasny fluid? Przyślę ci.

Cathy popatrzyła na babkę, jakby była istotą z innej planety, która nie jest w stanie pojąć, czym jest życie na Ziemi. Leżę tu — myślała — mam szczęście, że w ogóle żyję, że mam obie nogi, ale muszę być przygotowana na to, że nigdy już nie będę mogła normalnie chodzić. Tymczasem Didi myśli tylko o tym, żeby nauczyć mnie sztuczek kurtyzany, żebym mogła odzyskać Charliego. Gdyby nie on, nie byłoby tego wszystkiego.

Lady Davina od razu wyczuła, że uczennica nie słucha jej z należytą uwagą.

— Postąpiłaś bardzo, ale to bardzo głupio — syknęła, sępiim ruchem wysuwając do przodu swą pomarszczoną, pokrytą grubą warstwą pudru twarz.

— Gdybyś postępowała tak, jak ci radziłam, wszystko byłoby w porządku. Ułatwiłaś tylko tej dziewczynie sprawę i będziesz musiała uwijać się jak szalona, by odzyskać Charliego. Zachowałaś się jak kompletna idiotka.

— Mówiłaś, zdaje się, że mężczyźni przepadają za kobietami, które zachowują się jak idiotki. — Cathy zauważyła, że jej sarkazm zupełnie nie dociera do babki, więc zmieniła temat. — Czy widziałaś Jamiego, Didi? Myślę, że markiza chce zatrzymać go w Coseley, żeby nie musiał oglądać mnie w szpitalu.

Starsza pani rzuciła Cathy piorunujące spojrzenie spod rzęs pokrytych grubą warstwą tuszu.

— Czyś ty zupełnie oszalała? Nic tak nie zniechęca mężczyzny jak zasmarkany bachor, który pęta się pod nogami. — Jej bransolety zadzwoniły, gdy uniosła w górę ręce w geście rozpacz. — Nigdy nie mogłam pojąć, dlaczego zezwalasz niańce znosić na dół tego małego potwora, by rozrzucał zabawki po całym domu. Mężczyźni Po prostu nie znoszą dzieci.

Cathy westchnęła i oparła się o poduszki, przymykając, niby to ze znużenia, powieki, dokładnie tak, jak poradziła jej babka zrobić w obecności Charliego.

— O to właśnie chodzi! — wykrzyknęła starsza pani.

— Pamiętaj, że tak masz wyglądać, nic nie mówić i sprawić, by miał poczucie winy. Wkrótce będzie chodził przy nodze jak pies.

Nazajutrz chirurg postanowił operować stopę Cathy i usunąć martwą tkankę. Po dziesięciu dniach odbyła się druga operacja.

— Jeszcze trochę tu pani poleży — powiedział. Cathy skinęła głową,



zbyt otumaniona lekami, by zwrócić uwagę na jego słowa.

W końcu zjawił się Charlie, z nieodłącznym wymięto— szonym bukietem, kupionym w ostatniej chwili na straganie przy Belgravia Square.

— Kocham cię, Cathy, i zawsze będę cię kochał

TLR

— oświadczył, całując jej rękę.

To typowe — narzekała Monty. — Gdy jesteś nieszczęśliwa, chudniesz, a ja tyję.

No to teraz chyba jesteś szczęśliwa. — Cathy popatrzyła z aprobatą na Monty, która była teraz bardzo szczupła. Miała na sobie obcisłe spodnie z aksamitu w kolorze topazu i bluzeczkę ze starej kremowej koronki, która okrywała jej piersi jak zalotna woalka. Kaskada włosów opadała jej do połowy pleców.

— Tak. — Monty nagle zdała sobie sprawę, że rzeczywiście czuje się szczęśliwa, chociaż nie wiedziała dlaczego. Poza tym nie chciała się nad tym rozwodzić w obliczu nieszczęścia siostry.

— Jak stąd wyjdiesz, znowu będziesz górą.

Czy kiedykolwiek byłam szczęśliwa? — zastanawiała się Cathy, gdy została sama. Przypomniała sobie upojenie miodowym i wydało jej się wątpliwe, czy uczucie wynikłe z mamienia siebie samej można nazwać szczęściem.

Charlie zjawiał się teraz w szpitalu prawie codziennie. Cathy niepokoiło, że nic do niego nie czuje — ani miłości, ani nienawiści, ani nawet pogardy. Trochę mu tylko współczuła, gdyż Lisa, teksańska nimfomanka, najwyraźniej krótko go trzymała.

— Ciągłe wydaje przyjęcia, każe mi przychodzić punktualnie i nie pozwala się upijać — skarżył się Charlie. — O Boże, jak mi ciebie brakuje, kochanie.

Po miesiącu odwiedził ją specjalista od operacji plastycznych. Był

uprzejmy i przystojny. Wyglądał tak, jakby zszedł z łamów jakiegoś kobiecego pisma. Miał wesołe niebieskie oczy i białe zęby.

— Oto, co zamierzamy zrobić — zaczął, klepiąc delikatnie to, co pozostawało po lewej stopie. — Wyrównamy kości i umocujemy je na sztyftach. Potem zrobimy przeszczep skóry i będzie mogła pani znowu chodzić.

Cathy westchnęła. Tak bardzo chciała wrócić do domu i znowu wziąć Jamiego w ramiona. Błagała, by pozwolono jej go zobaczyć, ale teść łagodnie, acz stanowczo odmawiał.

Chociaż pierwsza operacja była udana, przeszczep nie przyjmował się zbyt dobrze.

— Ma pani niezwykle grubą skórę jak na Europejkę

— orzekł lekarz. — Goi się podobnie jak u Azjatek lub Afrykanek. Mam jednak nadzieję, że pozostaną tylko nieznaczne blizny. Niestety, pani stan ogólny jest niezadowolający, a organizm wciąż podatny na infekcje. Będziemy musieli jeszcze raz spróbować. Przepiszę pani witaminy i żelazo. Tego samego dnia lekarz pojawił się z koszem truskawek.

— To pierwsze w tym sezonie — oświadczył, stawiając kosz na stoliku obok łóżka. — Nie ma sensu tracić wszystkiego, co dobre w życiu, tylko dlatego, że się leży w szpitalu. Truskawki mają mnóstwo witaminy C. Powiedziałem pielęgniarce, że ma pani prawo to wszystko zjeść.

— Czy wszystkim pacjentkom przynosi pan takie witaminy? — spytała Cathy, oszołomiona cudownym zapachem dojrzałych owoców, który wypełnił rozgrzane szpitalne wnętrza.

— O nie, tylko pięknym pacjentkom — odpowiedział, całując z galanterią jej dłoń.

— Jest pan chirurgiem plastycznym. Czyż wszystkie pana pacjentki nie są piękne po operacji?

— Nie, w każdym razie nie bardziej niż przed operacją. Większość kobiet

jest piękna, tylko nie zdają sobie z tego sprawy. — Lekarz westchnął. Kochał kobiety i chciałby, żeby one również kochały siebie. — Nie mogę sprawić, by TLR

kobieta była piękna, jeżeli ona sama taką się nie czuje. I nic nie może oszpecić kobiety, jeśli uważa się za piękną, bez względu na to, co widzi w lustrze. Pani do takich należy. Niewiele kobiet traktuję tak jak panią.

Następnego dnia Monty zauważyła, że Cathy wygląda o wiele lepiej.

— Chyba podkochuję się w tym chirurgu plastycznym — zwierzyła się na pół serio.

— Daj spokój. Lekarzy, którzy zadają się z pacjentkami, wykreślają z rejestru i zabraniają im wykonywania zawodu. Czy mogę zjeść tę ostatnią truskawkę? — Monty zajrzała do prawie pustego koszyka.

— Dał mi je wczoraj wieczorem. Prawdę mówiąc, myślę, że chciał mi tylko dodać otuchy.

Monty przyjrzała się siostrze z czułością i zauważyła, że z jej twarzy ustąpił wyraz znużenia. Włosy, choć nadal przyklepane i nie ułożone, odzyskały nieco dawnego blasku. Cathy miała na sobie turkusową jedwabną koszulkę, ale kolor ten kłócił się z żółtawym odcieniem jej cery.

— Wyglądasz o wiele lepiej. Co się dzieje? Czy cię wypisują?

— Nie, spędzę tu jeszcze wiele tygodni. — Cathy spojrzała z przygnębieniem na wybrzuszenie pod kocem, gdzie klosz pooperacyjny ochraniał jej stopę. — Jestem kaleką, Monty. Będę na nowo uczyć się chodzić. Nigdy już nie będę biegać, tańczyć i w ogóle.

— Ależ oczywiście, że będziesz. — Monty uścisnęła dłoń siostry i zauważyła, że jej paznokcie, poobgryzane do żywego ciała w okresie poprzedzającym próbę samobójstwa, miały teraz milimetr długości. — Będziesz mogła robić wszystko, co zechcesz, tak jak dawniej.

— Jest jedna rzecz, której nigdy więcej nie zrobię. Masz mnie oddać do domu wariatów, jeśli zauważysz, że się na to zanosi. — Cathy pochwyciła

spojrzenie siostry. Monty zauważyła, że jej oczy, pełne bólu, są głębsze niż zazwyczaj. — Już nigdy, do końca życia, się nie zakocham.

TLR

Monty westchnęła. Wyrzeczenie się miłości zakrawało według niej na herezję.

— Założę się, że to tylko puste słowa — powiedziała z całym optymizmem, na jaki ją było stać. Wiedziała jednak, że Cathy zawsze dotrzymuje słowa.

Następnego dnia przyszedł Charlie i przyniósł butelkę szampana. Zmusił Cathy, by wypić prawie całą, a potem powiedział:

— Muszę załatwić parę interesów. Podpisz to, dobrze? — Włożył w jej rękę pióro i rozpostarł na stoliku jakiś papier.

— Co to jest?

— Nic nadzwyczajnego, dokument dotyczący zarządu powierniczego. Cathy zaczęła czytać.

— Nie musisz tego czytać, po prostu podpisz. — Cathy zignorowała go i przeczytała dokładnie cały dokument. Była to zgoda na rozwód i powierzenie Charliemu opieki nad Jamiem. Przeczytała jeszcze raz, by upewnić się, że dobrze widzi, i zagryzła wargi, by nie wybuchnąć. Miała ochotę go zabić. Jednak szybko uświadomiła sobie, że nienawiść nie pomoże jej się bronić.

— Przypuszczam, że to pomysł Lisy? — spytała spokojne, naciskając jednocześnie dzwonek w obawie, że Charlie ją uderzy.

Charlie zaczął przestępować z nogi na nogę. Starał się mówić błagalnym tonem.

— Ona chce za mnie wyjść.

— To jeszcze głupszy pomysł. A dlaczego chce także mojego syna?

Charlie był jeszcze bardziej zakłopotany.

— No cóż, w twoim stanie nie możesz się przecież nim zajmować, prawda?

TLR

Weszła pielęgniarka i Cathy kazała Charliemu opuścić pokój. Potem zadzwoniła do swoich doradców z Pasterns. Rozpoczęła się walka. Najpierw prawnicy Charliego przysłali jego oświadczenie stwierdzające, że Cathy jest nie zrównoważona psychicznie i znęca się nad Jamiem. Napier, adwokat z Pasterns, który wkrótce ją odwiedził, sprawiał wrażenie zażenowanego.

— Nie znęcałam się nad Jamiem! — protestowała Cathy. — To ta zgrzybiała niańka, którą na siłę wpakowali mi Coseleyowie.

— Czy może to pani udowodnić? Czy ma pani jakieś oświadczenie na piśmie, może jakiś list czy zaświadczenie lekarskie?

— Jestem pewna, że nasz domowy lekarz będzie pamiętał. Jest jeszcze ta dziewczyna, która opiekowała się Jamiem, gdy niania Bunting zachorowała. A psychiatra zaświadczy, że wcale nie jestem nie zrównoważona psychicznie. Napisali do lekarza domowego Coseleyów, który listownie odmówił złożenia zeznań. „Mam taką zasadę — pisał — że nigdy nie wtrącam się w prywatne sprawy moich pacjentów”.

— Nie można nakazać mu stawienia się przed sądem pod groźbą kary?

— spytała Monty.

— To nie Perry Mason, moja droga. W brytyjskim prawie nie istnieje coś takiego. Możemy się liczyć z możliwością wezwania świadka do złożenia zeznań, ale prawdopodobnie adwokat nam to odradzi. Adwokaci są bardzo przezorni w tym względzie, gdyż wiedzą, że wrogo nastawieni świadkowie mogą bardziej zaszkodzić, niż pomóc.

— Jak on może odmawiać złożenia zeznań, jeśli wie, że próbuje mi się odebrać dziecko? — Cathy czuła się tak, jakby uczestniczyła w grze, której zasad nikt jej nie wyjaśnił.

— Myślę, że on dobrze wie, z której strony jest posmarowany chleb — powiedział cicho Napier. — W końcu jest lekarzem domowym Coseleyów. Cathy przekonała się, że nie tylko lekarz nie chciał jej pomóc. Firma Pa-

TLR

sterns przesyłała rachunki co dwa tygodnie zamiast, jak zwykle bywało, stosować rozwlekłą procedurę rozliczeniową. Cathy zrozumiała, że jej adwokaci uznali sprawę za przegraną. Widocznie skorumpowani prawnicy tej firmy doszli do wniosku, że procesowanie się z bogatą i wpływową rodziną w Anglii to czyste szaleństwo.

Prawnicy Charliego zdążyli już dotrzeć do niańki, która przez krótki czas zajmowała się Jamiem, i przesłali do Pasterns jej oświadczenie. Było bardzo krótkie. Dziewczyna stwierdziła, że, jej zdaniem, hrabina Laxford bardzo mało interesowała się swoim dzieckiem.

— Nikt nie uwierzy tej dziewczynie, miała przecież romans z moim mężem. Nakryłam ich w środku nocy, jak kochali się na schodach — powiedziała Cathy swemu prawnikowi.

— Czy ma pani na to dowody?

— A jakie mogłabym mieć dowody? Widziałam na własne oczy, widziałam też, jak potem wybiegła półnaga na ulicę. — Cathy pomyślała, że jej adwokat jest bardzo głupi.

— Droga pani, jeśli nie ma pani dowodów, mąż może temu zaprzeczyć i wtedy będziemy mieli tylko pani zeznanie wobec jego zeznania. — Teraz Napier odniósł wrażenie, że jego klientka jest bardzo naiwna.

Potem złożyła oświadczenie niania Bunting. Przedstawiła swe referencje, z których wynikało, że jest ekspertem w pielęgnacji dzieci, którymi zajmowała się przez czterdzieści lat. Stwierdziła też, że Cathy jest nieodpowiedzialną ignorantką lekkomyślną paniusią z wyższych sfer, obsesyjnie zazdrosną o męża.

— Ta stara... — Cathy ugryzła się w język, by nie kląć w towarzystwie sztywnego, przedwcześnie zestarzałego mężczyzny, który po raz kolejny wyjmował jakiś dokument ze swej opasłej aktówki.

— Obawiam się, że opinia psychiatry też nie jest dla pani korzystna —

TLR

stwierdził podając Cathy papier i starając się mówić pocieszającym tonem. — Według niego jest pani w poważnej depresji, nie ma pani kontaktu z rzeczywistością i nie radzi pani sobie ze wszystkim.

Cathy zalała taka wściekłość, że nie zważając na ból w nodze usiadła na łóżku. Wyrwała papier z rąk prawnika i z trudem powstrzymując wybuch furii, przeczytała: „Poważna depresja poporodowa. Nieradzenie sobie z niepowodzeniami. Możliwość dalszych prób samobójczych”.

— Jak on śmie! Poświęcił mi tylko pół godziny, a gdy zaczęłam mu opowiadać, co wyczyniał Charlie, uciał rozmowę. Jak on śmie twierdzić, że jestem niezdolna do opieki nad moim dzieckiem!

Napier unikał rozwścieczonego wzroku Cathy.

— Możemy oczywiście zasięgnąć opinii innego specjalisty, skoro pani sądzi... — zaczął.

— Tak! Koniecznie proszę to zrobić i — uprzedziła ewentualne wątpliwości prawnika — proszę nie martwić się o koszty, panie Napier. Mogę sprzedać biżuterię.

Wkrótce lekarz orzekł, że Cathy może opuścić szpital. Wróciła do pustego domu. Pod jej nieobecność Charlie zwolnił służbę, zabrał swoją garderobę i sporo mebli, włącznie z całym umeblowaniem pokoju dzieciennego. Na widok pustych ścian oklejonych wesołą tapetą Cathy rozpląkała się z wściekłości.

— To zapijaczone, rozpustne bydlę. — Szlochała w ramionach Monty.

— Jamie nigdy go nie obchodził. Wcale by się nie przejął, gdyby go zabił. Przecież prawie zabił mnie. Jak oni mogą mówić, że taki ktoś może być lepszym rodzicem ode mnie?

— Nie płacz, kochana Cathy — uspokajała siostrę Monty. — Będziesz miała worki pod oczami.

— Worki pod oczami, kto to w ogóle zauważy? Przecież będą patrzeć

przede wszystkim na to! — Cathy z rozpaczą spojrzała na brzydki poopera-  
TLR

cyjny but, który ochraniał jej kaleką nogę. — Po co wyglądać pięknie, skoro jedyne, co z tego wyszło, to taki mąż jak Charlie. Żałuję, że nie urodziłam się brzydka, wtedy by nigdy nie zwrócił na mnie uwagi. Dlaczego nie powiesz teraz: „A nie mówiłam?” Przecież od razu przejrzałaś go na wylot.

Monty zignorowała słowa Cathy i podała jej laskę, z pomocą której mogła niepewnie kuśtykać. Choć but był szkaradny i ciężki, przynajmniej pozwalał jej jako tako chodzić. Po kilku dniach nauczyła się utrzymywać równowagę. Straciła koniuszki pierwszych dwóch palców stopy, długo nie używane mięśnie były wiotkie, a każdy krok sprawiał jej ból.

Nagle pojawił się problem pieniędzy. Odkryła, że bank pozwolił Charlieemu zamknąć ich wspólny rachunek, a domaganie się pieniędzy przez Pasterns zostało zignorowane. Z determinacją zaniósła całą swoją biżuterię do lombardu na Victoria, trzy wielkie srebrne tace znalezione w kredensie sprzedała handlarzowi z Chancery Lane, a dwa osiemnastowieczne francuskie obrazki ze scenami pasterskimi, prezent ślubny od lady Daviny, powędrowały do Sotheby. Miała teraz wystarczająco dużo pieniędzy na życie, opłacenie sprzątaczkę, która utrzymywała w przyzwoitym stanie dom, i na regulowanie rachunków firmy adwokackiej.

Czekało ją jeszcze o wiele bardziej przykre zadanie. Chowając dumę do kieszeni i ukrywając pogardę, wyśledziła wszystkie kochanki Charliego. W sumie było ich pięć. Były to niechlujne, farbowane blondynki, mieszkające na peryferiach Chelsea w podobnych do siebie małych mieszkaniach. Na łóżkach

siedziały pluszowe maskotki, a w przedpokojach unosił się zapach drogich perfum, który miał zagłuszać zastarzały smrodek zapuszczonych mieszkań.

Cathy najpierw zajęła się pewną aktoreczką, młodszą i bardziej wziętą od April Hennessy i mniej zwariowaną na punkcie Charliego.

— Możesz na mnie liczyć — powiedziała panienka od razu gasząc na



wpół wypalonego papierosa. — Złożę zeznanie. Powiem wszystko, co tylko zechcesz. Zawsze mówiłam, że żal mi kobiety, która wyszła za tego drania. Wiesz, przez niego straciłam najlepszą rolę, jaką kiedykolwiek mi oferowano.  
TLR

Dzień przed rozpoczęciem zdjęć podbił mi oko. Nigdy mu tego nie wybaczę.

— Ta sprawa może nabrać pewnego rozgłosu — ostrzegła Cathy.

— To świetnie! — Aktorka puściła do Cathy oko. — Mam nadzieję, że dostaniesz milion, kochanie. Zaslugujesz na to.

Nazajutrz Cathy z rozbawieniem patrzyła na zdjęcie kobiety w wydekol-  
towanej sukni zamieszczone w rubryce towarzyskiej z nagłówkiem: „Tajem-  
nicza kochanka lorda”.

Z większą już pewnością siebie odwiedziła pozostałe cztery kobiety, któ-  
re jednak odmówiły złożenia oświadczeń potwierdzających romans z Char-  
liem. W ostatnim cuchnącym mieszkaniu, wśród starych zaproszeń leżących  
na zakurzonej stoliczku, Cathy dostrzegła czek na tysiąc funtów z niewyraź-  
nym podpisem Charliego.

— Czuję się tak, jakbym walczyła z mafią — powiedziała do Monty znu-  
żonym tonem. — To samo było ze służbą. Charlie ich wszystkich przekupił.  
Nikt z naszych przyjaciół też nie chce mi pomóc. Sądziłam, że są również  
moimi przyjaciółmi, ale nie zrezygnują z zaproszeń Cose— leyów tylko po  
to,

by pomóc mi odzyskać syna.

— Tęsknisz za nim, prawda?

— Tak, bardzo, Monty, bardzo. Nienawidzę tego domu. Co noc, gdy leżę  
nie mogąc zasnąć, wydaje mi się, że słyszę Jamiego w pokoju dzieciennym.

„Gdy tylko zaskrzypią schody, zdaje mi się, że to on.

— Chcesz, żebym trochę pomieszkała z tobą? — Monty zauważyła, że  
Cathy jeszcze bardziej zeszczuplała.

— A co z Simonem?

— On mnie nie potrzebuje, a ty tak.

Zanim doszło do rozprawy sądowej, Cathy mogła już prawie normalnie

TLR

chodzić. Zdjęto jej pooperacyjny but. Teraz nosiła starannie wykonane czarne pantofle z atłasowymi kokardami, zrobione na zamówienie w firmie Lobbs z St. Johns, w której zawsze obstalowywał obuwie jej ojciec. Adwokat prowadzący sprawę Cathy, jowialny siwowłosy jegomość o wystającym brzuchu, w prążkowanym ubraniu, spojrzął na swoją klientkę z zadowoleniem.

— Bardzo ładnie pani wygląda, jeśli mi wolno zauważyć. Lubię, gdy moi klienci tak wyglądają. Jednak radzę, by w sądzie prezentowała się pani tak nieatrakcyjnie, na ile to tylko jest możliwe. Proszę nie ukrywać swego kalektwa i pozbyć się uśmiechu Mony Lisy. Proszę sprawiać jak najbardziej żałosne wrażenie.

— Ale dlaczego? — spytała Cathy obciągając spódnice. Miała na sobie skromny granatowy kostium kupiony specjalnie na tę okazję. Koronkowy kołnierzyk podkreślał jej kruchość i pasował do wymizerowanej twarzy.

— Abstrahując od kwestii przyznania prawa do opieki nad synem, wysokość alimentów określa sąd zależnie od tego, jakie jego zdaniem ma pani szanse na ponowne zamążpójście. Jeśli kobieta wygląda atrakcyjnie lub ma przyjaciela, dostaje psie pieniądze.

Cathy skinęła głową.

— Ale co z synem? Czy sądzi pan, że wygramy? — Poza Jamiem nie zależało jej na niczym.

Szybka odpowiedź adwokata zdradzała niepewność.

— Sądy opowiadają się zwykle po stronie matek, ale... szkoda, że nie mamy więcej dowodów. Naturalnie — spojrzął na Cathy z nagłym niepokojem — przecież pani wie, że w tej sprawie wcale nie chodzi o chłopca?

— Więc o co, na litość boską?

— O pieniądze, droga pani. Pani syn jest spadkobiercą majątku znajdującego się pod zarządem powierniczym. To bardzo majątny młodzieniec, o

wiele bogatszy od swego ojca. Kto go dostanie, temu przypadnie cały łup.

TLR

— Ależ mój mąż jest bogatym człowiekiem, a Lisa jest spadkobierczynią.. .

— Wiem z doświadczenia, że chciwość ma niewiele wspólnego z rozsądkiem. Temu, kto posiada, dane będzie więcej, jak mówi Pismo Święte. Takie są prawa tego świata. Nigdy nie jest się zbyt bogatym ani zbyt szczupłym, prawda? — Wstał z miejsca, by odprowadzić Cathy, stwierdzając w duchu, że jego klientka jest o wiele za szczupła, a poza tym ma wymalowane na twarzy szaleństwo. Naturalnie w tej sytuacji trudno będzie udowodnić w sądzie, że jest zrównowazona psychicznie.

Cathy ujrzała Charliego z Lisą uwieszoną na jego ramieniu i kilkoma prawnikami, którzy energicznie wertowali jakieś papiery. Stali na końcu korytarza z gotyckimi sklepieniami, przed wejściem do sali sądowej. Adwokat Charliego był ekspansywnym, budzącym respekt człowiekiem, przy którym prawnicy Cathy sprawiali wrażenie niesolidnych, a nawet mało kompetentnych.

Po pierwszej rozprawie od razu podupadli na duchu. Sąd najwyraźniej dawał wiarę wywodom adwokatów Charliego, którzy chcieli udowodnić, że Cathy jest niezrównowazoną psychicznie neurotyczką. Ktoś ułatwił wstęp na rozprawę dziennikarzom i nazajutrz tytuły w gazetach obwieściły: „Znęcanie się nad dzieckiem lorda”. Uzupełnieniem były zdjęcia Charliego i Lisy, którzy

sprawiali wrażenie kochającej się pary, oraz zdjęcie Cathy ze spuszczoną głową i laską.

Obok gazety leżała poranna poczta, na którą Cathy spojrzała bez entuzjazmu.

— Dostaję tylko te okropne rachunki. — Dokończyła kawę i wstała od stołu.

— A to co? — Monty wyjęła spod sterty rachunków grubą szarą kopertę

w szeleszczącej bibułce.

— Pewnie znowu jakieś złe wieści. Otwórz, jak chcesz.

TLR

W środku był wycinek z czasopisma „Texas Monthly” — artykuł o europejskiej arystokracji, która gości w Teksasie. Widniało tam zdjęcie Charliego grającego w polo i podpis, że lord Laxford zamierza osiedlić się w Dallas ze swą amerykańską żoną.

— Kto to przysłał? — zastanawiała się Cathy. Stempel i znaczek były zbyt zamazane, by coś z nich odcyfrować.

— Nieważne! To niesamowite! Właśnie tego nam trzeba. Jeśli udowodnimy, że zamierzają wywieźć Jamiego z kraju, obraz ulegnie zmianie. Sędzia przekona się, jakie gówno z tego Charliego. Wtedy mamy ich w garści! — Monty skoczyła na równe nogi i chwyciła kapelusz z dużym rondem z morelowego filcu, który założyła na tę okazję, by ukryć kaskadę włosów *a la* Jimi Hendrix i sprawiać wrażenie osoby godnej zaufania.

Chociaż Cathy już zwątpiła, że cokolwiek może złamać wolę klanu Coseleyów, okazało się, że Monty miała słuszość. Aktorka złożyła zeznania na korzyść Cathy. Bardzo dobrze odegrała swoją rolę, oskarżając Charliego o pijaństwo, branie narkotyków i maltretowanie. Gdy Charlie złożył wreszcie zeznanie, musiał przyznać, że planuje dalsze życie za granicą. Sędzia postanowił udać się na naradę. Charlie zaczął się awanturować i wykrzykiwać pogrożki jak zwykle, gdy został przyłapany na szachrajstwie, co usposobiło sędziego przychylnie do Cathy.

Gdy wreszcie pojawili się prawnicy, w sali z dębową boazerią zapanowała napięta cisza. Cathy zamieniła się w słuch i unikała wzroku Charliego. Bała się żywić nadzieję, ale całym swym jestestwem pragnęła, by jej przyznano syna.

— Doszedłem do wniosku, że dziecku będzie najlepiej tam, gdzie teraz przebywa, to znaczy u dziadków ze strony ojca. — Sędzia podniósł wzrok

znad papierów spojrział na Cathy, która wcale nie wydawała mu się osobą nie zrównoważoną lub skłonną do sadyzmu. Westchnęła rozczarowana, a sędzia ciągnął dalej łagodnym głosem: — Sąd po jakimś czasie będzie chciał ponownie rozpatrzyć sprawę. Jeśli pani udowodni, że prowadzi pani ustabilizowany tryb życia, a warunki pozwalają na opiekę nad dzieckiem, pojawi się możliwość zmiany wyroku.

TLR

Sędzia ustalił też, że Cathy ma prawo widywać dziecko w weekendy i zabierać je podczas dwutygodniowych wakacji szkolnych. Przyznał też jednorazowe alimenty w wysokości dwunastu tysięcy funtów. Z wyrazu twarzy swego adwokata Cathy zorientowała się, że suma jest większa, niż oczekiwał. Charlie z Lisą pod rękę szybko opuścił sąd.

— Świnie. Charliemu nigdy nie zależało na Jamiem ani na pieniądzech. To wszystko jej sprawka. — Monty patrzyła z pogardą, jak pędzą do taksówki.

— Zwykle tak bywa. — Prawnik Cathy zdjął perukę i przygładził włosy. — Mężczyznom, którzy procesują się o dzieci, chodzi zwykle o pieniądze. Miłość nie ma ceny.

— Charliemu nigdy nie zależało na pieniądzech. — Cathy patrzyła, jak taksówka jej eks-męża wtapia się w sznur samochodów.

— Ale przypuszczam, że bardzo mu zależy na ich wydawaniu, a nowej żonie na pewno to się nie spodoba — rzucił prawnik.

Były teść Cathy, lord Shrewton, w następnym tygodniu zaprosił ją na obiad do swojego klubu. Cathy przez te wszystkie dni po rozprawie czuła się tak opuszczona i pozbawiona celu w życiu, że z wdzięcznością przyjęła zaproszenie.

— Chciałbym, żebyś wiedziała, że ilekroć zechcesz zobaczyć się z Jamiem, będziesz mile widziana — powiedział tonem nie budzącym wątpliwości, że mówi prawdę.

— Chciałbym także dodać, że nie zachwyca mnie postępowanie mojego syna.

TLR

— Myślę, że wywierano na niego dużą presję. — Cathy ostrożnie dobie-  
rała słowa.

— Tak, ta kobieta. Bardzo zdeterminowana młoda dama. Kobiety zawsze  
wodziły Charliego za nos. — Jak na markiza, takie stwierdzenie zakrawało na  
niedyskrecję.

— Masz jakieś plany?

Cathy potrząsnęła głową. Dobrze się czuła w tym męskim świecie, peł-  
nym wyprawionej skóry, polituowanego drewna i poważnych rozmów. Miała  
już za sobą ponure dni wypełnione niepokojem. Jamie miał zapewnioną przy-  
szłość i miała nadzieję, że pewnego dnia będzie mogła go odzyskać. Wiedzia-  
ła jednak, że jak tylko spłaci rachunki w Pasterns, pieniędzy wystarczy zale-  
dwie na zakup nowego mieszkania. Będzie musiała iść do pracy. A przecież  
do tej pory nie zarobiła ani grosza. Nigdy przedtem nie przyszło jej do głowy,  
że będzie musiała zarabiać na swoje utrzymanie.

— A może zaczęłabyś dla mnie pracować, to znaczy dla mojej firmy?

Propozycja wyglądała na szczerą, markiz wypowiedział ją niemal z zapa-  
łem.

— Umiesz trochę pisać na maszynie, prawda?

— Chyba zapomniałam już wszystko, czego się nauczyłam w szkole —  
przyznała Cathy.

— Szybko się wciągniesz. To nic wielkiego. Możesz zacząć pracę, kiedy  
zechcesz. Poniedziałek ci odpowiada? — Markiz wyraźnie chciał zadość-  
uczynić krzywdę wyrządzoną jej przez Charliego. Cathy zgodziła się. Pewnie  
nikt inny nie zaoferowałby jej żadnego zajęcia.

Odszkodowanie porozwodowe wystarczyło jej jedynie na zakup małego  
ciemnego mieszkania w wieżowcu w Battersea, na południe od Tamizy. Pełno

tu było najprzeróżniejszych ludzi, którzy woleliby mieszkać po drugiej stronie

rzeki, w Chelsea, ale nie było ich na to stać. Świeżo upieczone rozwódki, ta-  
TLR

kie jak Cathy, ustawiały meble z okazałych domów w małych klitkach i starały się na nowo ułożyć sobie jakoś życie. Sąsiadami tych pań byli bezrobotni aktorzy, sprzedawcy używanych samochodów i ubogie rodziny służących. Pod koniec pierwszego tygodnia pracy Cathy odwiedziła siostra. Przyniosła butelkę czerwonego wina (które wybrała ze względu na ładną etykietkę), by uczcić niezależność Cathy.

Monty naląła wino do dwóch olbrzymich kielichów. Był to prezent ślubny od jednego z nie gardzących trunkami przyjaciół Charliego.

— Jak tam w pracy? — spytała. Cathy wyglądała w swym granatowym kostiumie jak prawdziwa *business woman*. Jej ramiona, choć nadal kościste, nie opadały już tak żałośnie jak w ciągu ostatnich miesięcy.

— Strasznie nudna — odparła Cathy, patrząc pod światło na wino. — Ale to nieważne, nie zabawię tam długo. Podjęłam decyzję, Monty. Zamierzam zrobić pieniądze, i to duże. Mam zamiar odzyskać Jamiego i stać się tak cholernie bogata, że nie będę potrzebowała złamanego grosza od Coseleyów. Ten świat kręci się wokół pieniądza, a ja chcę dostać swoją działkę.

— Ale jak to zamierzasz zrobić?

— Zrobię wszystko, co będę musiała. — Zrzuciła pantofle i oparła nogi o oparcie sofy obitej beżowym tweedem, która na Royal Avenue była o wiele za mała, a w ciasnym mieszkaniu wyglądała jak landara. Ale tak naprawdę, Cathy nie miała pojęcia, co ma robić.

TLR

16

W roku 1968 Londyn był najgorszym miejscem na świecie do odkochiwania się. Gdy Monty szła do biura Jaskółki, z każdego butików na King's Road dobiegała ją piosenka *Love, love, love is all you need*.

Uważano, że wreszcie jest wszystkiego pod dostatkiem. W każdym razie wystarczająco dużo pieniędzy, wolności, jedzenia, narkotyków, muzyki i miłości, by życie stało się piękne. Poczucie dostatku łagodziło bezduszną wielkomięjską atmosferę. Skoro każdy miał, ile chciał, dobrze było dzielić się tym z innymi.

Dzieciaki wskakiwały do autobusów, wręczały kwiaty zaskoczonym, zmęczonym całodzienną pracą pasażerom i życzyły im „miłości i pokoju”.

Klienci Jaskółki rzadko regulowali rachunki. Na każdym koncercie muzyki pop dziewczęta z prerafaelickimi włosami otwierały darmowe bary. Ludzie robili skręty z marihuany i rozdawali je wokół, by każdy człowiek z anonimowego tłumu mógł odczuć, jak dobrze jest żyć w świecie obfitości.

Życie Monty nie było jednak ani piękne, ani proste, bo choć bardzo się starała, nie mogła rozbudzić w sobie ponownie miłości do Sir&ona. Znalazła cel w życiu, gdy Cathy potrzebowała jej oparcia, ale teraz, kiedy siostra do-  
TLR

szła już do siebie i zaczęła pracować, Monty szukała czegoś, co uciszyłoby jej niepokój w sercu.

— Dlaczego właściwie ty nie występujesz z zespołem — spytała ją Rosanna, gdy pewnego dnia jadły razem obiad. Widywały się coraz rzadziej, ich spotkania zakłócała zwykle obecność hałaśliwego, rocznego synka Rosanny. Poza tym nie bardzo miały o czym ze sobą rozmawiać.

— Co miałabym robić? Nie nadaję się do tego. — Monty wzruszyła ramionami.

— Oczywiście, że się nadajesz. Jesteś bardzo utalentowana, Monty. Dobrze o tym wiesz. Moi rodzice wciąż o tym mówią. Moja matka nieustannie próbuje mnie nakłaniać do śpiewu i zawsze gdy odmawiam, mówi: „Och, gdybyś miała taki głos jak ta cała Monty, twój talent wzywałby cię, byś go nie zaprzepaściła”.

Monty znowu wzruszyła ramionami i wbiła widelec w spaghetti.



— Piszę piosenki tylko dla przyjemności. Wstydziłabym się je komuś śpiewać. — Chodziło jej o to, że zbyt kochała swoją muzykę, by dzielić się nią z kimkolwiek.

— No właśnie. Tak objawia się twój talent.

— Mój głos jest teraz do niczego, za dużo palę.

— To tylko wymówka. — Rosanna postanowiła zmienić temat. Znała Monty na tyle dobrze, by wiedzieć, że nacisk może wywołać u niej tylko sprzeciw. — A jak tam zespół?

— Nieźle. Występują parę razy w tygodniu i Simonowi udaje się teraz załatwiać większe lokale. Wynajął też studio. Będą nagrywać płytę. Studio było wyposażone w najnowszy czterościeżkowy sprzęt, ale ściany były dźwiękoszczelne o tyle, o ile to możliwe przy obiciu pojemnikami po jankach. Simon wynajął pomieszczenie tylko na jedną noc, wtedy było taniej. Pierwszą godzinę stracili na wyklócanie się, co będą grali. Simon chciał, żeby na stronie A było Dont Go Now, najlepsza z ich piosenek. Rick twierdził, że TLR

jest dobra na zakończenie. W końcu poszli na kompromis i zaczęli od standardu Chucka Berry'ego.

Koło trzeciej nad ranem Monty siedziała obok pracownika studia i zafascynowana śledziła jego ruchy, gdy włączał różne przyciski i przekręcał gałki na konsolcie. Nagle pojawił się Simon.

— Potrzebujemy trochę dźwięków z fortepianu — powiedział, ciągnąc Monty za rękę. — Chodź, pokażę ci, co masz grać.

Po drugiej stronie szyby posadził Monty przy porysowanym pianinie i poprosił, by zagrała mały fragment mniej więcej w połowie utworu. Kilka razy zegrali na próbę, po czym Rick zasugerował:

— Pograj trochę dłużej, Monty, poimprowizuj.

Rozwinęła frazę, a chłopcy pokiwali głowami.

—

— Może by dać mały pogłos? — Reżyser dźwięku sięgnął do gałki na końcu konsoly.

— Posłuchaj. — Simon włożył słuchawkę na uszy.

— Brzmi okropnie — zaprotestowała Monty, której nie spodobał się sentymentalny kawałek. Członkowie zespołu pokręcili głowami jak jeden mąż.

— Co ty, jest świetnie — zapewniali. Monty wzruszyła ramionami, uśmiechnęła się i nieco zażenowana, grała do końca sesji.

Od tej pory zaczęli ją zabierać na każdy występ. Sadzali przy poplamionych piwem, przepalanych papierosami instrumentach. Starła się jak mogła ukryć się przed tłumem tłoczącym się pod sceną. Nie lubiła tej gęstej, biernej masy ludzi, którzy czekali, aż muzyka pozwoli im wyjść z siebie. Odczuwała przewrotną przyjemność, gdy jej coraz agresywniejsza gra trafiała wreszcie do słuchaczy.

Rick uparł się, że Monty powinna śpiewać.

TLR

— To głupio wygląda, jak jesteś na scenie i nie śpiewasz z nami — powiedział ucinając tym dalszą dyskusję.

Monty zaczęła więc śpiewać i bardzo jej się to spodobało. Jej głos, głęboki i nieco chropawy, doskonale uzupełniał szorstkie brzmienie głosu Ricka. — Jak to dobrze, że jesteś z nami, Monty — powiedział Rick pewnego razu, gdy byli sami w furgonetce. — Jakoś wtedy łatwiej dogadać się z Simonem.

Zanim zdążyła coś odpowiedzieć, zjawili się Cy i Pete. Nieśli jeden z wielkich wzmacniaczy w srebrnym pudle. Rick wysiadł, by pomóc im go załadować. Monty wiedziała jednak, o co mu chodzi.

Chłopcy czuli się niezręcznie w towarzystwie Simona. W muzyce doskonale się uzupełniali, ale na gruncie towarzyskim istniała między nimi przepaść. Przyczyną było bogactwo i pochodzenie Simona. Simon nigdy nie wszedł do baru, gdy się spodziewał, że może być wyrzucony; nie mieściło mu

się w głowie, że może być zatrzymany bądź zrewidowany przez policjanta. Podobnie jak Monty otaczał nową erę miłości i pokoju niemal nabożnym uwielbieniem, widząc w niej możliwość udowodnienia, że natura ludzka może zmienić się na lepsze.

Pozostali chłopcy z zespołu, szczególnie Rick i Cy, traktowali życie jak złotą żyłę — seksu, narkotyków i wszystkiego, co można było zgarnąć sprzed nosa ludziom zbyt głupim, by mogli pilnować swoich interesów. W pewien letni weekend urządzili w swym domu sex party.

— Było świetnie — powiedział później Rick. — Po prostu wyszliśmy na ulicę i zapraszaliśmy wszystkich, którzy nam się spodobali. W którymś momencie było chyba ze dwadzieścia babeczek.

— Było naprawdę bombowo — potwierdził Cy, potrząsając długimi włosami. — Jak tylko jakaś cizia chciała się wymknąć, chowaliśmy jej ubranie.

TLR

Szukała, szukała, aż ktoś ją dorwał, i zostawała na parę godzin.

Monty posłała im wymuszony uśmiech. Od czasu do czasu kochała się z Simonem, ale z jej strony było to tylko pełne hipokryzji przedstawienie. W ciągu ostatniego roku zaczęła nie znosić w nim wszystkiego, począwszy od czarnych włosów, które rosły na jego karku, a skończywszy na tym, że zawsze tak samo zaczynał solówki gitarowe. Była zaszokowana, że ich miłość tak szybko zdegenerowała się i przemieniła w atrapę uczucia, które przypominało jej pełne chłodu i fałszu małżeństwo rodziców. Skoro miłość jest najważniejszą rzeczą na świecie, jak mogła tak pęknąć niczym balon?

To było trudne lato dla całego zespołu. Simon wysłał kopie ich próbnej płyty do wszystkich wytwórni płytowych w Londynie. Nie otrzymał odpowiedzi, więc zaczął wydzwaniać do wytwórni. Cierpliwie znosił odmowy i z humorem kwitował pobłażliwe uwagi, gdy nie mógł nikogo namówić, żeby chociaż przyszedł na występ grupy. Monty coraz więcej czasu spędzała z zespołem. Jakoś zręczniejsze było spotykać się w skromnym pokoju Ricka, niż za-

praszać chłopaków do luksusowego apartamentu Simona.

— Nie mogę już słuchać, jak gada z tymi facetami — powiedziała Rickowi. — Zawsze jest taki cierpliwy i uprzejmy, a to takie sukinsyny.

— Jasne. Stary, dobry Simon to uparciuch. — Rick wsypał cukier do kawy i mieszał ją, przyglądając się Monty, która nie zauważyła tego i gapiała się w ponure, smagane deszczem okno.

W ciągu zimy The Juice grał raz lub dwa razy w tygodniu. Miał swoich wielbicieli, którzy tłoczyli się przed sceną i „odjeżdżali” przy solówkach Simona albo ryczeli, gdy Rick zaczynał śpiewać. Monty czuła się coraz pewniej na scenie, bo odkryła, że się podoba. Miała nawet swoich fanów, którzy czasami kładli kwiaty na pianinie albo po występie przychodzili z nią pogadać. Chociaż z wydania płyty nic nie wyszło, powodzenie zespołu rosło i Simonowi coraz łatwiej było załatwiać występy w klubach.

— Przebijamy się powoli — mawiał.

TLR

— Tak, ale za wolno. Nie chcę umrzeć, zanim wreszcie zobaczę swój pierwszy album — warknął Cy, spluwając Przez okno furgonetki.

Pod koniec lata po pubach londyńskich rozeszła się wieść, że na wyspie Wight ma się odbyć festiwal muzyki P<sup>o</sup>p. Było to idylliczne miejsce na południowym wybrzeżu Anglii, wakacyjny raj o wspaniałych plażach. Odbywały się tam już wcześniej małe festiwale, na których kilka tysięcy ludzi odkryło przyjemność wspólnego siedzenia pod gwiazdami i słuchania muzyki. Simon zgłosił przyjazd The Juice podczas weekendu. Już na początku okazało się, że wycieczka nie będzie beztróskim piknikiem, jakiego spodziewał się Simon.

Na promie znalazł butelkę whisky i wypił prawie całą w ciągu czterdziestu minut. Gdy zbliżali się do miejsca, gdzie odbywał się festiwal, otworzył nagle drzwi furgonetki i zaczął wyrzucać co popadnie, krzycząc: „Za darmo! Za darmo!” — ku rozbawieniu miejscowych ludzi, którzy stali przy drodze.

Scena znajdowała się na naturalnym wzniesieniu w otoczeniu zielonych pól. W oddali widać było morze, które lśniło w słońcu jak polerowana stal. Na

wąskich ścieżkach, porośniętych na obrzeżach żółtą lnianką i prze— kwitającymi naparstnicami, pełno było ludzi, którzy nieśpiesznie szli na koncert, by wtopić się w wielki ludzki kobierzec.

Monty poczuła niejasne podniecenie, gdy zanurzyła się w ten sympatyczny tłum. Krew pulsowała jej w żyłach, jakby przeczuwała przygodę. Najszybciej, jak tylko mogła, uciekła od Simona i otaczającej go nieprzyjemnej atmosfery. Spędziła parę godzin w towarzystwie francuskich hippisów, którzy rozbili na uboczu czerwony indiański wigwam. Mieli kosztowne ubrania i bardzo mocny czarny haszysz. Dzieci wplotły rumianki we włosy Monty, a jedna z kobiet skrzywiła się i ściągnęła z niej podkoszulek, by ofiarować w zamian wyszywaną przejrystą bluzkę, zawiązywaną prowokacyjnie pod biustem.

TLR

— Ach, więc tu jesteś — odezwał się nagle Rick. Zbliżał się zmierzch i na niebie pojawiła się już pierwsza gwiazda. — Gdzieś ty się podziewała, Simon dostał szału.

— Tu jest tak pięknie, nie mogłam już znieść tych rozrób — odparła Monty, czując rozkoszne rozleniwienie po narkotyku. — Z Simonem jest teraz tak ciężko wytrzymać. To mnie naprawdę dobija. A ty gdzie byłeś?

— Zaglądałem w przyszłość. — Wskazał kciukiem scenę, gdzie chłopak w pokrytej błyskotkami kurtce i z burzą czarnych włosów śpiewał coś o dzieciach z gwiazdami we włosach. — I wcale mi się nie podobała.

Zaczęli w przyjaznym milczeniu wspinać się na zbocze, pozostawiając w dole wielki, spokojny tłum. Wreszcie doszli na skraj urwiska i usiedli na sprężystej darni. Z daleka scena wyglądała jak maleńki oświetlony obrazek, ale dzięki wielkim głośnikom świetnie słyszeli muzykę.

— Spójrz! — zawołał nagle Rick, wskazując helikopter, który leciał nad morzem jak błyszcząca iskierka. — Powiedzieli, że Airplane będzie leciał z

jachtu. To muszą być oni. — Patrzyli, jak helikopter unosi się nad tylną częścią sceny, na którą schodzi Jefferson Airplane, gwiazda wieczoru. Helikopter wylądował i stał się niewidoczny, gdy wygasił światła. — O to mi właśnie chodzi — powiedział Rick. — Chcę wejść na sam szczyt, zarobić miliony i latać helikopterem, a nie tarzać się w gównie jak teraz. — Zgasił papierosa i wrzucił go w króliczą jamę. — Wiesz o tym, prawda? Chcę mieć wszystko. Jestem głodny, Monty, wszyscy jesteśmy głodni. W tym cała rzecz.

— Simon nie jest głodny — odparła Monty, kładąc się i patrząc w niebo koloru indy go.

— Jasne, trudno, żeby był. Za dobrze miał w życiu. Dla niego nie ma znaczenia, kiedy osiągnie sukces, w tym roku, przyszłym, kiedyś tam, czy też nigdy. Dla nas jednak tylko to się liczy. — Wyciągnął paczkę papierosów zza mankietu koszuli i podwinął rękawy powyżej łokci jak żołnierz albo harcerz. Spojrzał na Monty i wyjął z wymiętego pudełka dwa papierosy. — Ty też jesteś głodna, prawda? Nie wiadomo dlaczego. Czasami nawet myślę, że naj-  
TLR

bardziej z nas wszystkich.

Przypalił oba papierosy, odrzucił zapałkę o wiele za gwałtownym ruchem i pochylił się, by włożyć papierosa w usta Monty. Nagle wyrwał go spomiędzy jej warg, cisnął oba papierosy na ziemię i pocałował ją, prawie wgryzając się w usta z desperacją, która była błaganiem, by go nie odtrącała.

Monty od razu poczuła przypływ namiętności i otoczyła Ricka ramionami.

W rozgorączkowaniu niezdarnie zrywali z siebie ubrania. Byli jeszcze na wpół ubrani, gdy Rick wdarł się w nią z jękiem, który brzmiał trochę jak krzyk triumfu i zwierzęcy skowyt zarazem.

Później, kiedy niebo było już ciemne i świeciły gwiazdy, gładziła jego włosy, gdy wsparł głowę pomiędzy jej piersiami.

— Pragnąłem cię od tak dawna — szepnął. — Jesteś świetna, ale myśla-

łem, że kochasz Simona.

— Ja też tak myślałam. Kiedyś kochałam go, ale to minęło.

Czym jest właściwie miłość? — zastanawiała się Monty, patrząc na księżyc, który wyłaniał się zza chmur. Rankiem zsunęli się ze zbocza na plażę i wykąпали się nago w morzu. Potem opuścili wyspę, wrócili autostopem do Londynu i przenieśli rzeczy Monty do pokoju Ricka. Monty zostawiła Simonowi pożegnalny list i czuła się jak żalosny tchórz.

Wkrótce potem Simon spotkał się z całym zespołem w Wetherby Arms i oświadczył, że wraca do pracy w firmie ojca. Monty przyszła na spotkanie, ale nie mogła się zdobyć, by spojrzeć na Simona, choć szczerze życzyła mu szczęścia.

Życie Monty uległo gwałtownej zmianie, gdy przeniosła się do starego, wałęsającego się domu, gdzie mieszkał Rick, Cy i Pete. Ścianki pokryte były burTLR

chlami, a parapety okienne przegniłe. W pokoju Ricka stało łóżko, stół i dwa krzesła, z których jedno było bez oparcia. Piecyk gazowy podłączono do licznika i żeby ogrzać pokój, trzeba było wciąż wrzucać monety.

The Juice dostawał za występ dwadzieścia pięć funtów, a więc wypadało po pięć funtów na głowę, z czego Rick robił jeszcze składkę na benzynę do furgonetki. Pieniądzy nie wystarczało na życie, ale Rick i Cy twierdzili, że są muzykami i nie mają zamiaru podejmować innej pracy. Co czwartek pobierali zasiłek dla bezrobotnych. Jaskółka płaciła Monty w piątki — całe szczęście — bo wtedy już żaden z chłopców nie miał ani pensa. Po miesiącu Monty zaczęła pracować jako kelnerka we francuskiej restauracji w pobliżu biura, gdzie dostawała funta za wieczór plus napiwki. Dzięki temu cała trójka miała na tygodniowe utrzymanie, jeśli jeszcze Monty udało się wynieść z knajpy jakieś jedzenie.

Kiedyś restauracja była przez tydzień zamknięta. W piątek wieczorem poszli do pubu i okazało się, że na sobotni poranek mają tylko trzy szylingi,

sześć pensów i nic do jedzenia.

— Robimy balangę — stwierdził Rick. W czasie lunchu poszli do pubu.

— Dziś wieczór jest u nas balanga, przynieście butelkę — powiedział wszystkim, nie zatrzymując się przy żadnym stoliku za długo, żeby nie stawić kolejki.

Około jedenastej zaczęli schodzić się ludzie, większość z nich już na rauszu. Przynieśli piwo, wino i whisky. Rick i Cy nastroili gitary i zaczęła się popijawa. Gdy nad ranem wszyscy już wyszli, Rick zebrał trzydzieści cztery puste butelki i zaniósł do sklepu na rogu ulicy. Zastaw za każdą butelkę wynosił dwa pensy, więc zbierało się ponad funt, wystarczyło na płatki kukurydziane, chleb i dżem.

Monty była zachwycona takim życiem. Klepanie biedy było dla niej życiem w strefie wolności. Nie było żadnych oczekiwań, przymusu ani zasad, chodziło jedynie o przetrwanie. Przez cały rok na okrągło chodziła w dżinsach

i miała z tego więcej frajdy niż z tych wszystkich wspaniałych sukienek, które TLR

kupował jej Simon.

Ku jej zaskoczeniu czuła się też bardziej kochana przez Ricka niż kiedykolwiek przez Simona. Rano przynosił jej do łóżka herbatę, niósł siatkę z zakupami i zmywał naczynia po posiłkach, które gotowała na zapyziałej małej kuchence stojącej na półpiętrze. Z tej kuchenki korzystał cały dom. Rick był wyluzowany w stosunku do kobiet, obca mu była ta kanciastość wpajana przez szkołę, przygotowującą do życia z jednym partnerem.

— Odejdź — mruknęła pewnego ranka, gdy ręce Ricka oplotły czule jej ciało. — Dziś nie mogę, zaczyna mi się okres.

— No to ładnie. Budzę się napalony, a w małym pokoiku, w środku są malarze.

Monty zachichotała.

— Boli cię? — spytał, delikatnie kładąc jej rękę na brzuchu.



— Nie, nie o to chodzi. Po prostu wszystko byłoby zafajdane.

Rick z nadzieją ocierał o nią wzwiedzonego penisa.

— Wiesz co? Od razu potem zaniosę prześcieradło do automatu. Czyż nie jest to świetna propozycja?

— Bardzo dobra, umowa stoi. — Poczowała, jak jej ciało przeszywa raz po raz rozkoszne mrowienie.

Łóżko było w opłakanym stanie, ale Rick, zgodnie z obietnicą, zaraz po tym, jak podał Monty herbatę, zaniósł pościel do płatnego automatu.

Rick wciąż nie mógł uwierzyć w swoje szczęście. Podobał się takiej pięknej, seksownej, fantastycznej istocie, jakby z innego świata. Klasy wyższe stanowiły dla niego inny świat. Czasami Monty zabierała go na przyjęcia wydawane przez swoich bogatych przyjaciół i podziwiał z pełnym urazy zdziwieniem ten styl życia, do którego Monty przywykła. Za punkt honoru stawiał sobie, by nie pić szampana. Był dla wszystkich przesadnie uprzejmy.

TLR

Jednocześnie przysięgał sobie, że pewnego dnia też będzie miał wielki dom w Chelsea, ze służbą i wanną wmurowaną w podłogę.

— Kochasz mnie, prawda? — spytał Monty pewnej nocy, gdy wracali przez Chelsea do domu, po jednym z olśniewających interludiów w ich szarym życiu.

— Oczywiście — odparła przesuając dłoń po tylnej kieszeni jego dżinsów.

— Nigdy nie myślałem, że tak będzie, wiesz? Sądziłem, że olejesz mnie po jednym czy dwóch tygodniach w tej szurzej norze.

— Nie myślisz zbyt wiele o mnie, co?

— Problem w tym, że myślę. Mogłabyś mieć każdego. Mogłabyś mieć jednego z tych alfonsiastych maklerów giełdowych z górą forsy i rozbijać się Mercedesem.

— Jak wydamy płytę, też będziesz miał Mercedesa.

Rick kopnął do rynsztoka pustą puszkę.

— Jak wydamy płytę... To znaczy, jak świnię zaczną latać.

— Uda nam się. Zespół jest świetny. Wkrótce ktoś się nami zainteresuje.

— Wtedy nie będę chciał pierdolonego Mercedesa. Kupię sobie Rollsa, ma więcej szyku.

Na King's Road poczuli nagle zapach smażonych frytek; mieszał się z innymi tak charakterystycznymi dla przedmieścia Chelsea woniami: wyziewami

z browaru, gazowni i zapachem węgla.

— Masz forszę? — spytał Rick.

Monty poszperała w torebce, a potem w kieszeniach dzinsowej kurtki.

— Pięć, sześć, siedem, siedem i sześć. Po co?

— Na frytki. Umieram z głodu.

TLR

— Ależ Rick, właśnie wracamy z przyjęcia, na którym było tyle łososia i szampana, że wystarczyłoby na zatopienie okrętu wojennego. Nic nie jadłeś?

— Nie, nie mogłem. — Nie spytała dlaczego, domyślając się, że przyczyną było jego szczególne poczucie dumy.

— Weź też dla mnie, z solą, albo nie, z octem — zawołała za Rickiertr,

który przeszedł na drugą stronę ulicy.

Bez Simona The Juice stał się innym zespołem. Rick przejął kontrolę nad wszystkim i przestali grać długie, złożone utwory z zagadkowymi tekstami, które preferował Simon, gdyż tylko wtedy mógł się popisywać swymi umiejętnościami. Rick wolał proste rytmiczne piosenki, które od razu trafiały do publiczności. Ledwie sobie radził z odczytywaniem nut, nie mówiąc już o pisaniu, wykorzystywał więc umiejętności Monty.

— Posłuchaj no tego, kochanie — mawiał i brzdąkał na gitarze parę akordów. — Jeszcze wczoraj wieczorem wiedziałem, jak to ma lecieć, ale dzisiaj już nie pamiętam.

Monty brała z jego rąk tanią akustyczną gitarę, której Rick rzadko używał, i przetwarzała strzęp melodii w utwór pulsujący rytmem, o dużej sile wy-

razu. Rick wiedział, że o to właśnie mu chodziło, ale sam nie potrafił tego odtworzyć. Pisanie tekstów też przychodziło Monty z łatwością. Wyćwiczyła sobie umysł wkuwając w szkole za karę wiersze. Teraz słowa same cisnęły jej się do głowy, a teksty piosenek poruszały słuchaczy.

Rick był urzeczony i pełen podziwu.

— Czego to ty nie umiesz... — mruknął na poły drwiąco, gdy Monty nagle postanowiła zmienić tonację utworu, dzięki czemu brzmiał zupełnie inaczej. Monty uświadomiła Rickowi, że on nie nadaje się do świata, który sobie wybrał. Co prawda zgrywał się na muzyka, ale nie miał o muzyce zielonego pojęcia.

Dla Monty klasa robotnicza to nie był nawet inny świat, to była obca planeta. Rick, Cy i Pete mówili innym językiem, mieli odmienne przekonania i

TLR

obyczaje. Różnili się nawet wyglądem od postawnych, dobrze odżywionych chłopaków z arystokracji. Byli drobnokościści, chudzi. Pete miał lekko zdeformowany kręgosłup. Zęby Cy były powykrzywiane na wszystkie strony, jak

walące się nagrobki na starym cmentarzu. Wszyscy dużo palili i wciąż kasłali, zwłaszcza zimą. Jedli byle co i pili jedynie w pubie. Kupowanie alkoholu do domu było równoznaczne z przyznaniem się do alkoholizmu.

O ile pokój Ricka był utrzymany schludnie jak kabina na statku, nora Cy była po sufit zawalona śmieciem i pokryta grubą warstwą kurzu. Za łóżko służył mu materac rzucony na podłogę. Ulubionym zajęciem Cy było niszczenie różnych rzeczy. Najszczęśliwszy był, gdy znalazł jakiś porzucony samochód albo opuszczony dom i mógł je rozwalać. Robił to z takim zapałem, jakby chciał rozerwać wszystko na strzępy gołymi rękami.

Poza tym Cy lubił kraść. Każdy występ stwarzał mu okazję do tego, by coś ściągnąć. Monty czuła się zażenowana, gdy widziała, jak wychodził z jakimś fragmentem sprzętu należącego do innego zespołu.

W domu Cy dobierał się do liczników i po mistrzowsku zatrzymywał mechanizm tak, że nie rejestrował zużywanego gazu. Dzięki temu mogli w zimie korzystać cały czas z piecyków, wrzucając zaledwie jednego szylinga do otworu. W supermarketach Cy kradł jedzenie. Nigdy nie płacił za przejazd autobusem. Kantował przy odbieraniu zasiłku dla bezrobotnych, lecz nie posiadał się z oburzenia, gdy przyłapał go na tym urzędnik biura pośrednictwa pracy i zagroził sądem.

— To pierdolone zdzierstwo! — wrzeszczał, kopiąc w powykrzywiane ogrodzenie otaczające budynek. — Nie mają prawa straszyć mnie sądem. Nic nie zrobiłem.

— Właśnie, że zrobiłeś. Spieniżyłeś swoje czeki na zasiłek dla bezrobotnych, a potem skłamałeś, że je zgubiłeś i domagałeś się, żeby ci znowu dali forszę — powiedziała Monty. — To oszustwo, i dobrze o tym wiesz.

— Odpierdol się! — krzyknął Cy. — Nigdy nikt cię nie wykołował, co? Co ty, kurwa, możesz o tym wiedzieć?

TLR

Monty odeszła z Rickiem, a Cy zaczął rozwalać parkan.

— To wariat — powiedziała Monty. — Dlaczego jest taki agresywny?

— Nic nie rozumiesz — Rick wyciągnął dwa papierosy i przypalił je osłaniając dłońmi przed przejmującym marcowym wiatrem. — Cy wie tylko, jak to jest, gdy ktoś go wykołuje. To wynosi się z domu, tak jak miłość bliźniego. Jak kogoś kołują całe życie, robi to samo, bo inaczej po prostu nie potrafi.

Monty wzięła papierosa i zaciągnęła się w zamyśleniu dymem.

— Ludzie mogą się nauczyć. Ty to potrafisz. Nie okradasz wszystkich bez przerwy. Przecież dorastaliście na tej samej ulicy.

Popatrzył na nią niepewnie.

— Nie znasz mnie, kochanie. — Nie zareagowała, więc mówił dalej. —

Cy w każdym razie nie ma nic. I nie ma wyjścia.

Stali na przystanku autobusowym i tulili się do siebie, by uchronić się przed przenikliwym zimnem.

Przepustką Ricka do fortuny i sławy była jego zdolność do przeistaczania się na scenie w inną osobę. Bez jego przejmującego, chropowatego głosu The Juice byłby tylko garstką przeciętnych muzyków. Ricka w ogóle trudno było nazwać muzykiem. Z wielkim mozołem nauczył się grać na gitarze kilka motywów, które brzdąkał w kółko z niewielkimi zmianami. Jednak gdy tylko wbiegał na scenę i chwycił mikrofon, stawał się szalonym, drwiącym demone, który ekscytował, brał w swoje posiadanie publiczność i rzucał ją do swoich stóp.

Pewnego wieczoru, gdy pakowali sprzęt po występie, do Ricka podszedł jakiś mężczyzna w białym garniturze. Miał chłopięcą, a zarazem dziwnie postarzałą twarz i krótko ostrzyżone blond włosy.

— Chciałbym postawić wam drinka — powiedział.

TLR

— Dzięki, stary — odparł Rick, zwijając przewody i kładąc gitarę na wzmacniaczu.

— Dla mnie duża szkocka. — Cy usiadł przy stoliku w kącie prawie opustoszałej sali. Pete i Nasher, perkusista, poszli w jego ślady. Wreszcie dołączył do nich Rick, przyciągnął do siebie Monty i otoczył ją ramieniem.

— Jestem Dennis, Dennis Pointer. — Blondyn uścisnął wszystkim ręce i poczęstował papierosami. — Czy macie jakiegoś managera?

— Rozstaliśmy się z nim. — Była to prawie prawda, bo Simon pełnił również funkcję managera. Rick pozwolił, by blondyn przypalił mu papierosa.

— Czy macie już kogoś nowego?

— Niezupełnie. — Rick pokręcił głową.

— Ja cię chyba znam. — Nasher zmrużył oczy. — Czy nie zadawałeś się przypadkiem z tymi okropnymi hippisami?

— Chodzi ci o Yellow Nebula? Tak, byłem ich managerem. Załatwiłem im niesamowity kontrakt z Yirgin, ale wynieśli się gdzieś na wieś, żeby zaćpać się kwasem, i potem już nigdy nie widziałem ich na oczy. — Dennis łypnął na nich znacząco.

— My nie wykręcilibyśmy ci takiego numeru. — Rick wyszczerzył zęby i wydmuchał dym do góry. — Szkoda, Jimmy Booker dobrze śpiewał.

— Jimmym się jeszcze zajmuję. Ale wy mi się podobacie. Byłem na paru waszych występach.

— Pomyślimy o tym — powiedział Rick. Ale tak naprawdę, nie było się nad czym zastanawiać. Zachowali zimną krew, dopóki furgonetka nie wjechała za zakręt, po czym Rick i Monty wrzasnęli z radości. Nasher zaczął wystukiwać rytm na kierownicy, a Cy postawił nogi na błotnik i walił w niego obcasami. Zaczęli śpiewać refren z przeboju *Shell Be Comin Round the Mountain*, gdy nagle usłyszeli przeciągłą syrenę policyjną i zostali upomnieni za brawurową jazdę.

TLR

— Teraz powiem wam, jak się ubija interes — instruował ich Dennis miesiąc później, gdy siedzieli w kafejce za rogiem budynku, w którym mie-

ściła się wytwórnia Excellent Records. — Nieważne, jak gracie. Wystarczy, że my to wiemy. Wasza muzyka nie przełamie lodów z tym skunksem, którego zaraz poznacie. Musicie podzielać na jego wyobraźnię. Musicie sprawiać wrażenie, że jesteście najbardziej obleśnymi i ohydnyimi facetami od czasów Sodomy i Gomory, jasne?

— Jasne. Co mamy robić? — Cy wykrzywił obrzydliwie twarz.

— Zachowujcie się naturalnie — poradził Dennis.

Skunks nazywał się Les Lightfoot, jego biuro mieściło się na końcu długiego korytarza obwieszzonego złotymi płytami oprawionymi w takież ramki. Miał fryzurę *a la* Juliusz Cezar i nieskazitelnie czyste dżinsy.

— Dennis puścił mi parę waszych kawałków — zaczął Les. — Podobały mi się. Myślę, że dzieciaki na to polecą.

Cy rzucił mu jedno ze swoich najbardziej wrogich spojrzeń.

— Lepiej uważaj, koleś, co mówisz, bo się tobą zajmę.

— Opowiedzcie mi coś o sobie — zachęcał Les.

Cy wstał, podszedł wolno do Lesa i puścił w ruch jego skórzany obrotowy fotel z wysokim oparciem.

— Nie podobasz mi się — wycedził. — Gdybym miał pewność, że w ogóle żyjesz, to zastanowiłbym się, czy cię nie kropnąć.

Les przełknął ślinę z wyrazem zakłopotania. Wszystko było nie tak. Artysty powinni się zachowywać uprzejmie i okazywać mu szacunek, pokazać się od najlepszej strony. A ten maszkaron miał cuchnący oddech i dziurę w dżinsach na całe cztery cale, przez którą było widać kawałek białego tyłka.

Pete też wstał i podszedł do palmy stojącej w drugim końcu pokoju. Wy-

TLR

jął aerosol i spryskał liście czerwoną farbą, która zaczęła skapywać na puszysty biały dywan.

— Wygląda jak krew, no nie? — zauważył Pete.

Nasher wyglądał, jakby spał.

— Nie zwracaj na niego uwagi — poradził Rick uprzejmym tonem. — Senność napadowa, często mu się zdarza. To objaw epilepsji.

— Mam nadzieję, że nie zdarza mu się to na scenie. — Les Lightfoot rozluźnił węzeł satynowego krawata.

— Nie przeszkadza nam to, gramy dalej. Czasami ma oczywiście ataki i wtedy ktoś musi mu wetknąć w zęby jedną z pałeczek, żeby nie odgryzł sobie języka.

Cy powoli odsunął suwak przy rozporku i wyciągnął do połowy nadmuchany balon w kształcie kutasa z jajami, które były nieprawdopodobnie purpurowe. Wziął flamaster z biurka i zaczął dorysowywać włoski na jajach. Zdesperowany Les obrócił się z uśmiechem do Monty.

— Jak masz na imię, moja droga? — spytał.

Monty założyła specjalnie na tę okazję kilka spódnic z wiktoriańskiej koronki i stanik, który sprawiał, że wyglądała bardzo wyzywająco. Pochyliła się i oparła na biurku, doskonale wiedząc, że umożliwi Lesowi zapuszczenie żurawia aż do pasa przez tunel pomiędzy białym koronkowym żabotem.

— Mam na imię Miranda — powiedziała omdlewającym głosem, przeciągając głoski w sposób typowy dla arystokracji — ale właściwie wszyscy nazywają mnie Monty.

— Miło cię poznać — rzucił Les z głupim wyrazem twarzy.

Cy wyjął nóż sprężynowy i przebił dmuchanego penisa.

Dwa tygodnie później Dennis przyniósł im kontrakt. Dostali też pieniądze.

TLR  
dze, ale nie mieli czasu, żeby je wydawać, ponieważ Les Lightfoot chciał jak najszybciej nagrać ich pierwszy album. Przez trzy miesiące Monty żyła pomiędzy studiem nagrań a swoim pokojem. Kupiła sobie syntezator, ale nie miała kiedy na nim grać. Przesłuchiwali pierwsze nagranie, gdy Rick powiedział:

— Zastanawiam się, czy nie dodać kobiecych głosów. To brzmiało do-



brze w małych klubach, ale nie nadaje się do albumu. Jest za mdłe.

Producent się zgodził.

— Monty ma świetny głos — powiedział — ale myślę, że głosy trzech dziewcząt brzmiałyby jeszcze lepiej.

Nazajutrz dołączyła do grupy biała dziewczyna i Murzynka.

— Jestem P.J. a to jest Maggie — przedstawiła się Murzynka. Miała olbrzymie oczy i włosy ścięte przy samej skórze. Maggie była przysadzista i wyglądała niechlujnie z posklejanymi czarnym tuszem rzęsami; mówiła z silnym szkockim akcentem.

Monty przesłuchując nagrania doszła do wniosku, że rzeczywiście trzy głosy dziewczęce brzmiały lepiej. Nie docierało jej, że jej status w zespole znacznie się obniżył, a indywidualne brzmienie jej głosu zastąpił zwyczajny chórek.

Nagrali osiem piosenek, jedną po drugiej. Były to ich najlepsze utwory.

Producent powiedział jednak, że do albumu potrzebne są jeszcze co najmniej trzy piosenki. Rick zaproponował standard Chucka Berry'ego. Nagrali go bez trudu, ale potem nie mogli dojść do porozumienia co do dwóch ostatnich utworów. Les Lightfoot przesłuchiwał w studiu proponowany materiał — piosenki, które grupa często grała na występach — by stwierdzić, że żadna nie nadaje się do albumu.

— To wszystko lipa — skomentował. — Przykro mi, chłopcy, ale musicie wymyślić coś nowego albo umowa jest nieaktualna.

TLR

Przymus podziałał na Monty inspirująco. Tej samej nocy, gdy tylko została sama z Rickiem, przekopała pudło z papierami i książkami, które przywiozła z apartamentu Simona. Znalazła notesik, w którym zapisywała piosenki komponowane dla przyjemności.

— Może coś się nada — powiedziała i wzięła starą gitarę akustyczną.

Zaczęła brzdąkać melodię i nucić słowa.

Rick popatrzył na nią z wahaniem.

— No nie wiem. To ładne, ale chyba nie w naszym stylu, co?

Monty grała dalej, rozwijając melodię i zmieniając słowa. Po chwili Rick usiadł obok niej na łóżku, zaczął śpiewać i wprowadzać korekty. Wreszcie wpadli na nowy pomysł. Monty przelała szybko nuty i słowa na papier.

W samo południe zrobili sobie godzinną przerwę i poszli do kafejki na rogu na herbatę i kanapki z bekonem. Zanim dzień dobiegł końca, pierwsza piosenka była już dopracowana i Rick zaprosił pozostałych członków zespołu,

by jej posłuchali.

Wszystkim się spodobała, a nad drugą pracowali już wspólnie, w studiu.

Producent pokiwał głową z satysfakcją.

— To jest właśnie to — powiedział do Monty, gdy chłopcy ustalali ostateczną wersję utworu. — Grupa, która dostaje się na sam szczyt i tam zostaje, musi umieć tworzyć wspólnie materiał. I być przy tym dobra, konsekwentna, profesjonalna. Niewiele jest takich zespołów.

Gdy skończyli nagrywanie utworu, Monty i Rick marzyli tylko o tym, żeby iść spać. Dennis miał jednak inne plany.

— Prawdziwa praca dopiero się zaczyna. — Wkrótce będziecie udzielać wywiadów i musimy zrobić trochę zdjęć.

Dziewczyna Dennisa pracowała w modnym butikiu i zabrała Monty na zakupy. Wróciły ze spodniami ze starej koronki, zapinanymi poniżej kolan, TLR

francuskimi kurteczkami z niebieskiego dżinsu wyszywanymi kolorowymi koralikami i bardzo seksownymi sandałami na wysokich obcasach z czerwono-srebrnej wężowej skórki. Już samo noszenie tych rzeczy sprawiało, że Monty czuła się podekscytowana i nieco speszona. Ufarbowała sobie włosy na intensywny mahoń i ścięła, tak że tworzyły burzę jedwabistych loczków. Rick był w swoim żywiole. Słusznie stwierdził, że jego rola na światowej scenie polega na tym, by szokować i obrażać widzów. Bez żadnych oporów

lżył więc reporterów, na wywiady przychodził pijany, zaćpany albo spóźniony, ale nigdy nie opuścił żadnej konferencji prasowej. Zaproponowano, by The Juice wystąpił w programie stacji telewizyjnej z Newcastle. Był to grzecznościowy gest ze względu na pochodzenie Nashera. Rick i Cy urządzili tam drakę i zniszczyli dekoracje. „New Musical Express” nazwał ich „koszmarnymi bliźniakami rocka”, po czym Dennis z satysfakcją uścisnął ramię Ricka.

— O rany, udało się! — zawołał.

Co teraz? — spytał Rick, siadając na biurku, gdy zebrali się w małym pokoiku z telefonem na szczycie zapadniętych schodów w Soho, który służył Dennisowi za biuro.

— Excellent powinna wysłać was w trasę — odparł Dennis, częstując Ricka papierosem. — Ale czekają, z jakim odzewem spotka się album po prezentacji w radiu. Nie martw się, mam jeszcze parę asów w rękawie.

Tymi asami, jak wszyscy wiedzieli, byli dwaj znani disc jockeye, którym Dennis dostarczał tanie narkotyki i drogie kobiety. Freshly Squeezed, pierwszy album The Juice, znalazł się na liście przebojów na sześćdziesiątej pozycji. W następnym tygodniu był już na miejscu trzydziestym siódmym, bo Dennis wynajął armię dzieciaków z agencji Jaskółki, by wykupiły trochę płyt w sklepach, których dane o wyprzedazy figurowały na listach. Z numerem trzydziestym siódmym album automatycznie powędrował do wszystkich stacji radiowych, a dzięki wpływom Dennisa znalazł się wkrótce na miejscu dziesiątym.

TLR

Excellent Records pośpiesznie wysłało The Juice na czterotygodniowe tournée po Wielkiej Brytanii, gdzie towarzyszyli najlepszemu zespołowi wytwórni, Crimsson Lake. W połowie trasy Dennisa wezwano do Londynu na spotkanie w wytwórni. Wrócił rozradowany.

— Po tym tournée jedziemy do Stanów — oświadczył. — Przebiliśmy

się.

Gdy zagrali już trzy ostatnie koncerty w Londynie, Rick i Monty niemal tracili zmysły z wycieńczenia. Cy brał tyle prochów, że wszystko, co mówił, było bez sensu, nawet dla Ricka.

— Nie wytrzymam tego — powiedział nagle Rick, gdy siedzieli nocą w swoim pokoju. Po miesiącu spędzonym w hotelach ich dom wydawał się zimny i opuszczony, a bieda i brud robiły jeszcze bardziej przygnębiające wrażenie. — Jeszcze wczoraj za wszelką cenę starałem się przebić, a dziś traktują mnie tak, jakbym umiał chodzić po wodzie. Nie wiem już nawet, jaki dziś dzień tygodnia. Całe szczęście, że mam ciebie, kochanie. Tylko dzięki tobie jestem jeszcze przy zdrowych zmysłach.

Na okładce albumu widniała męska ręka, pokryta strużkami oleju, z poobgryzаныmi paznokciami, ściskająca damski pośladek okryty lśniącym atłasem. Rzucający się w oczy czarno-biały obrazek wystawiano we wszystkich witrynach sklepów muzycznych.

Gdy album zajął trzecie miejsce na listach przebojów, Rick udzielił już tytułu wywiadów, że wszystko, co powiedział, wydawało się nieprawdą.

— Zawsze pytają mnie, skąd pochodzę, więc odpowiadam, że z Croydon, że matka Cy i moja pracowały w tej samej fabryce żarówek. Czasami wydaje mi się, że ty to wymyśliłeś i kazałeś mi powtarzać, a przecież to prawda — powiedział Dennisowi.

— Jakaś dziewczyna z „Rolling Stone” przychodzi wpół do trzeciej — stwierdził Dennis, ignorując słowa Ricka.

— Ale przecież dzisiaj lecimy do Ameryki. — Monty nie lubiła, gdy

TLR

Rick udzielał wywiadów, szczególnie dziewczynom. Był potem zawsze taki nerwowy, arogancki \* i agresywny, jakby jego sceniczna demoniczna osobowość zawładnęła nim na zawsze.

— Zamówiłem limuzynę, która odwiezie Ricka na lotnisko, a ta dziew-

czyna pojedzie z nim — powiedział manager. — Podpisz to, dobrze?

Rick z obrzydzeniem spojrział na zdjęcia.

— Dlaczego nie kupisz gumowego stempla?

— Jesteś niedzisiejszy, koleś. Ty podpisujesz, a my drukujemy duplikaty.

No pośpiesz się, samochód czeka.

W limuzynie mknącej na lotnisko dziewczyna z „Rolling Stone” zasłoniła okna, rozebrała się i zabrała się za obciąganie Rickowi penisa. Wcale go to nie zdziwiło, bo takie rzeczy zdarzały się na każdym kroku. Dziewczyny myślały chyba, że tego po nich oczekuje, a on nie miał w końcu na co się skarżyć.

Dziewczyny krążyły wokół biur Excellent, kombinowały, jak przemknąć się na zaplecze sceny podczas koncertów. Po paru tygodniach ambicją każdej było przespać się z Rickiem Brownem z The Juice. Monty była zaskoczona ich bezwstydną pomysłowością. Jedna z nich, ubrana identycznie jak Monty, w koronki i drelichy, oszukała portiera i przedostała się za kulisy.

W Ameryce dziewczyny podszywały się pod reporterki z BBC. Były bardzo wytrwałe. Nawet te najgłupsze zamiast sterczeć w hallu hotelowym dawały w łapę portierowi i przedostawały się do pokoju Ricka. Czekwały tam do znudzenia, po czym próbowały dopaść Cy.

Rick sypiał z Monty, ale poza członkami zespołu niewielu ludzi o tym wiedziało.

— Nie mów nikomu, że ze sobą żyjecie, na litość boską! — ostrzegął

Ricka Les Lightfoot. — Reklamujemy was jako ostrych koleśków i nie chcę TLR

słyszeć o żadnym tam wyjadaniu sobie z dzióbeków. Niech twoja dziewczyna stara się trzymać na uboczu.

Cy wyrzucił telewizor z balkonu na dwudziestym drugim piętrze Hiltona w Daytona Beach na Florydzie. W Memphis wjechał wynajętym Cadillakiem do basenu hotelowego. Gdzieś w Wisconsin pokojówka twierdziła, że ją

zgwałcił. W Kansas zakazano im występować.

W pokoju Cy zawsze odbywały się orgie. Wystarczyło otworzyć drzwi, by ujrzeć zastępy roznegliżowanych panienek, których jedynym pragnieniem było móc powiedzieć, że przespały się z Rickiem Brownem z The Juice. Za panienkami cisnął się tłumek małomiasteczkowych disc jockeyów, podrzędnych pismaków rockowych i różnych przypadkowych przydupasów.

W Dallas nie znane dotąd bliźniaczki sprzedały swą historyjkę „National Enquirer”. Cy przeczytał ją z upodobaniem.

— Cóż to były za kurwiszony — powiedział z zadowoleniem. — Zerznąłem je jak trza, a im ciągle było za mało. Chciały, żebym przeleciał jeszcze taką jedną czarną lalunię. Powiedziałem im, że nie da rady, i kazałem im ruchać się sztucznym fiutem. To niesamowite, co wyprawiają niektóre cizie, no nie?

Żadna jakoś nie chciała przespać się z Nasherem, który spędzał wieczory samotnie, usiłując dodzwonić się do żony. Pete poderwał w Pasadenie oszłamiającą blondynkę i wypadł z zabawy.

Monty nie zdawała sobie sprawy, że Rick dotrzymuje Cy towarzystwa.

Jednak pewnego razu w Los Angeles pochylił się nad tacą ze śniadaniem i sennie podrapał się po zmierzwionych włosach. Do szklanki z sokiem pomarańczowym wpadły dwa szare insekty szczepione w uścisku jak para taneczna.

— Fu! — Monty wyłowiła insekty łyżeczką. Rick wstał i wyrzucił je do sedesu, mamrocząc coś o brudzie panującym w hotelu. Monty nie domyśliła się, co to były za insekty, ale opowiedziała o całym zdarzeniu P.J.

TLR

— Wszy! Ohyda... Mężczyźni naprawdę są ohydni. Może przywłókł jeszcze coś gorszego. Idź lepiej do lekarza.

Lekarz, który był znany na Zachodnim Wybrzeżu w środowisku muzyków, zrobił Monty analizę krwi.

— Masz trypra — powiedział takim tonem, jakby informował ją, która

jest godzina. — Przyślij do mnie swego chłopaka.

Wracali do domu nafaszerowani penicyliną, z zakazem picia alkoholu.

Cy wydudlił ostentacyjnie pierwszą butelkę szkockiej, zanim zdążyli przelecieć nad Biegunem Północnym.

W drodze do Londynu stwierdzili, że nie są w stanie wrócić do swego obskurnego pokoju. Przyzwyczajali się uważać za swój dom pokoje hotelowe.

— Sądzę, że powinniśmy się zatrzymać w Savoyu — oświadczył Rick.

— Stać nas na to, prawda, Dennis?

— Nie obchodzi mnie, na co wydacie swoje pieniądze. Oczywiście, zatrzymajcie się w Savoyu, a w przyszłym tygodniu rozejrzemy się za jakimś odpowiednim domem.

Dennis był bardziej pomarszczony i wyblakły niż zazwyczaj. Po dwóch tygodniach tournée wszyscy byli bardzo zmęczeni i mieli wymizerowane twarze. Monty Czuła się wzdęta i gruba po alkoholu, kawie, narkotykach i hamburgerach, które dosłownie pochłaniała za oceanem. Nie była też zadowolona z powiększonego biustu. Jednak Maggie stwierdziła, że gdy się śpiewa co wieczór, biust musi się powiększyć i nie ma na to rady.

W brzoskwiniowym zaciszu w stylu Art Deco hotelu Savoy Monty pozwoliła Rickowi na dzień wytchnienia, po czym przystąpiła do ataku, zdecydowana oderwać go od Cy i jego zabaw.

— Nigdy, już nigdy więcej — powiedziała matowym, drżącym z gniewu głosem. — Nigdy! Nie ma mowy. To tournée było najbardziej wstrętnym i upokarzającym doświadczeniem w moim życiu. Jak mogłeś narazić mnie na coś takiego? Jak mogłeś włączyć do mojego łóżka, gdy wcześniej tarzałeś się TLR

wraz z Cy w drugim końcu korytarza z tymi wstrętnymi dziewczynami?

— Przepraszam, kochanie. Nie wiedziałem, że zrobię, ci tym przykrość

— powiedział potulnie Rick. Wyglądał żałośnie i chyba się wstydził.

— Piekielną przykrość. Co niby miałam zrobić? Może się przyłączyć do

was, co?

— Ty nic nie rozumiesz. — Jęknął Rick z nieszczęśliwą miną.

— Ja nigdy nic nie rozumiem, prawda? Kiedy ty i Cy staracie się wszystko zaprzepaścić, zniszczyć, mnie to jakoś nie mieści się w głowie.

— Posłuchaj, na tym właśnie polega rock and roli, że jest się nieznośnym dużym chłopcem. Narkotyki, seks, dziewczyny. Robimy to za te wszystkie dzieciaki, które nigdy nie będą miały okazji...

— Gówno prawda. Robicie to, bo chcecie. To mi sprawia przykrość, to mnie obraża i mi się nie podoba.

— No, jak ci się nie podoba, to chyba wiesz, co możesz zrobić. — Rick owinał się szczelniej szlafrokiem. — Nie po to czekałem na to całe życie, żeby jakaś zazdrosna cizia wszystko popsuła. Odpierdol się ode mnie.

Monty wzruszyła ramionami i wyszła. Czuła się poniżona, ale wiedziała, że Rick ją przeprosi. Tylko ona była w stanie zapewnić mu jaką taką stabilizację. Była dla niego oparciem, dodawała mu pewności siebie, pisała piosenki, dyktowała zasady życiowe. Bez niej po prostu by się załamał w tym nowym, szalonym świecie, w którym się oboje znaleźli. Właściwie powinno jej być go żal, ale dwa wycieńczające miesiące odarły ją ze wszystkich cieplejszych uczuć. Monty ubrała się i poszła na spacer nad Tamizę.

Gdy wróciła, Rick był ubrany, ogolony, umyty i skruszony.

— Przepraszam, kochanie. Byłem rzeczywiście świnią.

— Objął ją. — Nie wiedziałem, że to cię tak zabol, naprawdę. Nie odchodź, Monty, wiesz przecież, że cię potrzebuję.

TLR

Monty ujrzała łzy na rzęsach Ricka.

— Nie możemy dopuścić, by się to wszystko powtórzyło — powiedział, przytulając ją z całej siły do siebie.

— Nie możemy pozwolić, by jakieś gówno nas rozdzieliło.

Zaczęli się namiętnie całować, po raz pierwszy od chwili podpisania kon-



traktu, po czym kochali się nadzy i powolni, jakby robili to po raz ostatni w życiu.

Leżeli w łóżku i palili drugiego papierosa. Rick nagle powiedział:

— Dzwonił Dennis.

— Tak?

— Właśnie. Zapomniałem o następnym albumie.

— Jakim albumie?

— Podpisaliśmy trzyletni kontrakt z zastrzeżeniem, że co pół roku będziemy wydawać nowy album.

Monty otrząsnęła się z oszołomienia i zastanawiała się nad tym, co usłyszała.

— To znaczy, że w tym miesiącu trzeba zacząć nagrywać. Cholera!

— Właśnie.

— Lepiej weźmy się do roboty.

Rick i Monty usiedli, wzięli gitarę i starali się coś skomponować. Monty przypominała sobie strzępy melodii i słów zainspirowanych przeżyciami ostatnich miesięcy. Rick chodził nerwowo po pokoju, robił bezsensowne uwagi i był coraz bardziej wściekły na samego siebie.

— Mam pustkę w głowie, nic nie wymyślę — przyznał wreszcie.

— Ja mam nad czym pracować. Może zrobisz sobie przerwę i pójdziesz TLR

poszukać dla nas jakiegoś mieszkania?

— zasugerowała Monty.

Co dwie godziny obsługa hotelowa przynosiła jej czarną kawę, a Rick z Dennisem jeździli po Londynie i oglądali mieszkania. Dennisowi spodobało się jedno na Knightsbridge i starali się przekonać Monty, by przyjechała je obejrzeć.

— Nie mogę, muszę dokończyć tę piosenkę — powiedziała. W hotelowej restauracji ludzie zaczęli się na nich gapić, kelner przynosił Monty bez pyta-

nia pieczoną rybę i sałatkę ze świeżych warzyw. Starła się schudnąć. Na zdjęciach z Ameryki żadna część jej ciała nie wyglądała korzystnie.

— Zobaczmy. — Rick wziął notatnik, w którym Monty zapisywała słowa. Była to piosenka o mężczyźnie próbującym dodzwonić się do żony, zainspirowana beznadziejną walką Nashera z transatlantyckimi kablami telefonicznymi.

— Nie będę tego śpiewać — powiedział z niechęcią.

— To lipa, podobnie jak te wszystkie brednie w rodzaju „Tęsknię za tobą”.

— Nie, to jest dobre, jak usłyszysz, spodoba ci się

— przekonywała Monty.

— Wcale nie. Dlaczego nie spróbujesz starych, dobrych numerów?

— Nigdy ci się nie podoba to, co robię, aż do chwili gdy piosenka znajdzie się na szczycie listy. — Monty miała na myśli utwór z albumu Freshly Squeezed, który piął się w górę na amerykańskich listach przebojów.

— No dobra. Myślę, że zawsze możemy wywatować album kilkoma starymi standardami Chucka Berry’ego. — Rick z obrzydzeniem wbił widelec w stek. Zamówił Chateaubriand, spodziewając się, że za tą wspaniałą nazwą TLR

kryje się coś wspaniałego. Mały zgrabny krążek mięsa, umieszczony na prześiąkniętej sosem okrągłej grzance, zakrawał na jakieś szachrajstwo.

Monty nie zwracała na Ricka najmniejszej uwagi. Miała mnóstwo pomysłów. W ciągu dwóch tygodni napisała siedem utworów i przerobiła trzy stare przeboje zespołu, w czym Rick sumiennie jej pomagał.

Postanowił kupić piękny dom w Chelsea w pobliżu dawnego domu Cathy. Planował też zakup domu na wsi i trzymanie tam paru koni.

Gdy zespół The Juice znalazł się w studiu, by nagrać drugi album, Monty zrozumiała, co matka Rosanny Emanuel miała na myśli, mówiąc, że Monty nie ucieknie przed swym talentem. Muzyka wzywała ją, a ona czuła się jak jej

niewolnica.

TLR

17

Gdy Hussain Shahzdeh miał dziewięć lat, ojciec dał mu młotek i przyciągnął obity brokatem fotel, by stojąc na nim mógł sięgnąć do olbrzymiego lustra w złoconej ramie, wiszącego nad marmurowym kominkiem w apartamencie przy Avenue Foch.

— Żaden nazista nie będzie się przeglądał w moim lustrze — oświadczył ojciec. — Rąbnij mocno, chłopcze.

Potem szli od pokoju do pokoju i rozbijali wszystkie zwierciadła. Zakurzone i pozbawione dywanów podłogi pokryły się wkrótce srebrzystymi odłamkami szkła.

— Co ty wyprawiasz z naszym chłopcem, straciłeś rozum, czy co? — zawołała matka, która wpadła do pokoju jak wściekła lwica i chwyciła syna w objęcia. Jak na swój wiek Hussain był wysoki i silny. Matka była filigranowa i delikatna. Hussainowi wydawało się, że jest niewiele tylko od niej mniejszy. Czarna etola z lisów była równie lśniąca, jak nienagannie ułożone czarne włosy. Otaczała ją mgiełka zapachu perfum Mitsouko.

— Posłuchaj teraz uważnie, moje drogie dziecko, to bardzo poważna sprawa — powiedziała matka, ujmując dłonie chłopca. — Wybieramy się w TLR

daleką podróż i będzie ona bardzo niebezpieczna. Może ci być zimno, możesz być głodny. Nie będzie służby, rozrywek, luksusu, przynajmniej przez jakiś czas. Ale ty nie możesz się tym przejmować, kochanie. Wiem, że wszystko zniesiesz wspaniale i będziesz dzielny jak zawsze. — Pocałowała syna i przytuliła serdecznie.

— Będę chodzić do szkoły? — spytał widząc, że nowa sytuacja może mieć i dobre strony.

— Nie, na razie nie. To będzie przyjemne, prawda? Będziemy mogli ba-

wić się razem całymi dniami. — To brzmiało całkiem nieźle.

Każde z nich miało jedną walizkę i maskę gazową.

— Jeśli chcesz, możesz zabrać jakąś zabawkę. Znajdzie się miejsce dla twojego tygrysa. — Tygrys, pozbawiony wąsów i połowy ogona, spał z Hussainem przez całe jego dotychczasowe życie.

Chłopiec potrząsnął głową.

Ojciec pędził samochodem drogami francuskiej prowincji jak szalony.

Towarzyszyły temu nie kończące się utyskiwania i okrzyki matki, która błagała, by jechał ostrożniej. Mijali pola i lasy. Czasami tłumy uciekinierów blokowały drogę, kiedy indziej nie było wokół żywej duszy.

Posuwali się wciąż na południe i z czasem łąny pszenicy zastąpiły pola kukurydziane. Zamiast eleganckich osiemnastowiecznych pałacyków swych przyjaciół ujrzeli nagle niskie zameczki z szarego kamienia, z wieżyczkami i fosami. Hussain był bardzo podekscytowany.

Po czterech dniach przybyli do romantycznej małej fortecy. Była położona w połowie stoku i otoczona kasztanami. Gospodarz domu, nuworysz w średnim wieku, flirtował właśnie z matką Hussaina na wysypanym żwirem tarasie, gdy nagle zjawił się służący. Chrząknął, by zwrócić na siebie uwagę pana, po czym powiedział mu coś zniżonym głosem.

— Przekroczyli Loarę! Nie do wiary. Te wstrętne Szwaby przekroczyły TLR

Loarę! Dobry Boże, za co nas tak karzesz?

— Musimy natychmiast ruszać w drogę — zawołała matka. Po kilku minutach siedzieli w nagrzejonej małej Lagondzie i machali na pożegnanie przynębnionemu przemysłowcowi i jego żonie.

Zanim marszałek Petain podpisał haniebny traktat pokojowy z Hitlerem, przyплыnęli kutrem do Casablanki, gdzie, jak mówiono, kilka jednostek armii francuskiej szykowało się do kontrataku.

Ojciec Hussaina od razu zgłosił się do dowódcy pułku armii francuskiej,

do której nie przyjęto go wcześniej ze względu na stan zdrowia. Lekarze uznali, że jest psychicznie nie zrównoważony.

— Jestem zupełnie zdrowy! To jakieś nieporozumienie, chcę bronić swego kraju! — oświadczył. Wsadzono go do więzienia, dowódca zaś zastanawiał się, za co go należy sądzić: za dezercję czy też za legitymowanie się fałszywymi dokumentami.

Później Petain zarządził demobilizację. Po krótkotrwałym i spektakularnym oporze kwatera główna w Algierze zastosowała się do rozkazu marszałka. Ojciec Hussaina wyszedł z więzienia, ale wkrótce został ponownie aresztowany.

Do tego czasu Hussain zdążył już nabrać pogardy dla wszelkiej władzy. Zaczął też zdawać sobie sprawę, że właściwie nie jest Francuzem. Rząd kolaborujący z Niemcami powołał komitet, który miał sprawdzić wszystkie akty naturalizacji dotyczące cudzoziemców z ostatnich dwudziestu lat i pozbawić „niepożądane” osoby obywatelstwa francuskiego.

— Nie zwracaj uwagi na te nonsensy — mówiła Hussainowi matka. — Im wcale nie chodzi o obywatelstwo. Petain chce ograbić Rotschildów z pieniędzy, by uzyskać środki dla swego parszywego rządu.

W rezultacie francuska społeczność w Casablance podzieliła się na Francuzów „czystej krwi” i naturalizo-

wanych. Ci drudzy, wśród których byli Rosjanie, Rumuni, Meksykanie i, oprócz rodziców Hussaina, kilkoro innych Irańczyków, zastanawiali się gorączkowo, gdzie najlepiej będzie wyemigrować, gdy odbiorą im obywatelstwo. Do Szwajcarii, Portugalii, a może do Ameryki?

— Twój ojciec jest głupcem — powiedziała jedna z przyjaciółek matki, wygładzając mu kołnierzyk. — Chciałby uciekać z jeleniem, a zarazem ścigać

go z psami. Oberwie mu się za to z obu stron.

— Teraz ty jesteś głową rodziny — zakomunikowała inna perska pięk-

ność. — Będziesz musiał opiekować się matką.

Ojca przenoszono z więzienia do więzienia, a Hussain z matką podążali jego śladem, przenosząc się do kolejnych zapchlonych hotelików — z Casablanki do Algieru, z Algieru do Marsylii, z Marsylii do Clermont.

Naturalizacja rodziców została unieważniona, ich majątek skonfiskowano, a rachunki bankowe zablokowano. Gdy wreszcie władze wojskowe zwolniły ojca z więzienia, Hussain miał dwanaście lat. Był otyłym, spokojnym chłopcem, nieufnym wobec dorosłych, a towarzystwo rówieśników nie interesowało go wcale.

Wszędzie towarzyszył matce, która w każdym mieście nawiązywała znajomości.

— Przyjaciele są najcenniejszą rzeczą w życiu — mówiła. — Możesz mieć wszystko, czego zapragniesz, jeśli masz właściwych przyjaciół.

Zacząła się przygoda, którą obiecała mu kiedyś matka.

Udali się do małej wioski w Pirenejach, gdzie ruch oporu miał przewodników przeprowadzających ludzi przez zieloną granicę, przez góry do Hiszpanii, a potem do Portugalii. Odwoziły ich furmanki, w niektórych wioskach TLR

spotykali się z życzliwością, w innych groziła im zdrada. Wreszcie dotarli do Lizbony. Mieli tylko ubrania, które nosili od miesiąca, i diamentowy naszyjnik wszyty w pasek spodni Hussaina.

— Pojadę do Londynu, by walczyć u boku De Gaulle'a — oświadczył ojciec, gdy tylko trochę odpoczął.

— Nigdzie nie pojedziesz! — zawołała matka z wściekłością. — Francja zabrała "barn wszystko, co posiadaliśmy. Ten parszywy kraj nie zabierze mi męża. Zostaniesz tutaj, pojedziemy do Ameryki. Amerykanie nie przyznają obywatelstwa jednego dnia, by następnego je odebrać.

Ojciec wziął diamentowy naszyjnik i zamienił go na trzy bilety na linio-

wiec do Ameryki. Hussain z radością oczekiwał na życie w kraju pełnym eleganckich kobiet w atłasowych sukniach, które popijają koktajle.

Gdy przybyli do portu, okazało się, że statek, którym mieli odpłynąć do Ameryki, w ogóle nie istnieje. Pokój, w którym mieściła się agencja podróży, był pusty, a dozorka — czyni stwierdziła, że nikt nigdy go nie wynajmował.

Matka Hussaina zwykle robiła ojcu awantury o byle co, ale teraz, w obliczu katastrofy, milczała. Wpatrywała się w jeden punkt swymi błyszczącymi piwnymi oczami, tak jakby katastrofa była jedynie jakąś zabawną zagadką, która zaprzętała jej umysł.

Wrócili do obskurnego hoteliku. Matka wyprała i uprasowała swoje ubranie, upięła elegancko włosy, wyczyściła marynarkę Hussaina i kazała mu wypastować buty. Zabrała go do domu najbogatszej kobiety w Lizbonie.

— Nigdy nie dawaj pieniędzy sfrustrowanemu niedojdzie — powiedziała. — Nie zasługuje na to. Ludzie nie chcą patrzeć na kogoś pogrążonego w upadku, ale doceniają odwagę.

Z niebywałą godnością, jak przystało na osobę mogącą się poszczycić wieloma pokoleniami przodków z najznakomitszych rodzin perskich, matka wyjaśniła markizie, że straciła cały swój majątek i teraz zamierza utrzymywać się z krawiectwa. Pogodnie stwierdziła, że zna wiele sekretów takich firm, jak TLR

Patou, Lanvine i innych domów mody. Markiza odwzajemniła uśmiech.

— Przede wszystkim potrzebuję maszyny do szycia. Pomyślałam, że może ma pani w domu jakąś zbędną maszynę, której służące już nie używają?

Opuścili dom markizy z maszyną do szycia i zleceniem skopiowania dwóch jej ulubionych jedwabnych kostiumów. W owym czasie w Lizbonie łatwo było o piękny jedwab. Kapitan pewnego statku wyładował tu cały swój ładunek. Wolał sprzedać doskonały towar po niskiej cenie w Portugalii, niż ryzykować zatopienie okrętu w Zatoce Biskajskiej.

Podczas gdy matka przesiadywała całymi dniami i nocami przy maszy-

nie, Hussain łąził po tawernach, by wywiedzieć się, gdzie można kupić po niskiej cenie samodział, len czy cienką bawełnę.

Markiza stała się wkrótce jedną z najlepiej ubranych kobiet w mieście, a jej liczne przyjaciółki zasypywały matkę Hussaina zamówieniami. Pod koniec wojny zatrudniła młodą Portugalkę, a Hussain zdążył poznać wszystkie tajniki

drobnego biznesu.

Jego ojciec przesiadywał całymi dniami w kawiarni nad jednym kieliszkiem wina i do nikogo się nie odzywał. Stopniowo pogrązał się w obłądnie. Przed powrotem do Paryża zabrał Hussaina do burdelu i wepchnął go do wąskiego pokoiku, w którym stała sofa obita różową satyną w marnym gatunku. Na sofie siedziała w nonszalanckiej pozie rozkoszna kurewka, niewiele starsza od Hussaina. Przysunęła się do niego wężowatym ruchem, a następnie rzuciła się do jego rozporka, jakby otwierała bombonierkę. Po półgodzinie mozolnej pracy penis Hussaina ani drgnął, więc prostytutka wycofała się wściekła, z wypiekami na policzkach.

Hussain wrócił do saloniku i podziękował ojcu z wyrazem twarzy, który był jego zdaniem stosowną mieszaniną synowskiej wdzięczności i męskiej jowialności. W duchu stwierdził, że seks jest kolejną idiotyczną rozrywką jego ojca.

TLR

Gdy wrócili do Paryża, miasto dyszało żądzą zemsty. W więzieniach miejsce kieszonkowców i prostytutek zajęli ludzie o głośnych nazwiskach, oskarżeni o kolaborację z hitlerowcami. Wielu paryżan wyniosło się na wieś, by przeczekać tam burzliwy okres.

— Dlaczego oni to robią? — spytał Hussain matkę, gdy zostali zepchnięci z chodnika przez tłum, który pastwił się nad dwiema dziewczynami. Najpierw ogolono im głowy, potem opluto, a następnie usiłowano zedrzeć ubrania.

— To prostytutki, spały z Niemcami — odparła matka.



— Głupi są ci Francuzi. Nie denuncjują rolników, którzy ich żywili, ani sklepikarzy, którzy im sprzedawali towary. Co to, to nie. Nie jesteś zdrajcą, jak sprzedajesz kapustę. Takie mają pojęcie o uczciwości. Zobaczysz jeszcze, oddadzą wszystko Rotschildom, ale gdy my się upomnimy o swoje... zobaczysz. Nie mają żadnego interesu w tym, żeby postępować z nami *fair*. Francuska sprawiedliwość jest tylko dla Francuzów.

Było dokładnie tak, jak powiedziała. Apartament przy Avenue Foch należał teraz do bogatej burżuazyjnej rodziny i jej tytuł posiadania nieruchomości został uznany za legalny. Nie było śladu po rachunku bankowym, a po pewnym czasie, w ramach odszkodowania, wypłacono im symboliczną sumę.

— Daj mi te pieniądze! — zażądał ojciec, chwiejąc się na nogach. — Zrobię tak, że znowu będziemy bogaci. Czuję, że mi się poszczęści, pójdę do kasyna... — Matka Hussaina po prostu zignorowała słowa męża. Łączył ją z synem spisek, który zwał się realizmem.

W mieście nie było cukru, kawy, papieru toaletowego, mydła, benzyny, ubrań.

— Nic dziwnego, że wszyscy naokoło się denuncjują

— powiedziała matka. — A o czym niby mają myśleć? O tym, że są głodni? Jeżeli nie możesz zapełnić żołądka, możesz przynajmniej uprzyjemnić sobie czas oglądaniem egzekucji jakiegoś urzędnicy, który jadł stalinowsko za dużo.

TLR

Hussain zaczął się uwijać po tym labiryncie oszustwa jak wygłodzony szczur. Jego matka chodziła do znajomych. Hussain jej towarzyszył i przysłuchiwał się rozmowom. Jednej pani potrzebne były opony, druga szukała większego mieszkania, trzecia wydawała córkę za mąż, ale miała tylko metr tiulu na welon ślubny.

Przy rue St.-Antoine znajdował się bar, w którym spotykali się różni kanciarze. Hussain został wkrótce ich beniaminkiem. Był teraz tęgim, pucółowa-

tym młodzieńcem o wesołych czarnych oczach. Budził zaufanie, po części ze względu na swą ignorancję, ale głównie dlatego, że rzeczywiście można było na nim polegać. Jeśli coś obiecał, zawsze dotrzymywał słowa. Nie był pretensjonalny, nie zadzierał nosa. Wyglądał jak uczeń, któremu nie pasowały jeszcze długie spodnie, nawet aseksualność pracowała na jego korzyść. Oczywiście zdarzały się typki, którym wydawało się, że mogą wygryźć dzieciaka z biznesu. Pewnego razu Hussain sprzedał samochód znajomemu matki, a zaraz potem został napadnięty w jednym z krętych przejść metra Saint Germain. Dwóch bandziorów ukradło mu pieniądze. Tej samej nocy nabywca samochodu również został zaatakowany: przecięto mu twarz ostrą brzytwą, od skroni aż do podbródka. Miał na twarzy dwadzieścia dwa szwy i na zawsze pozostała mu blizna — znak lojalności przyjaciół Hussaina. Hussain handlował również swymi znajomościami. Gdy komuś potrzebne były papiery do kradzionego wozu, mówił: „Słyszałem o człowieku, który może pomóc. Proszę dać mi dwadzieścia cztery godziny”. Z kolei pewna tancerka kabaretowa, która zabawiała Niemców, chciała się pozbyć swojej przeszłości. — Oczywiście, że *mademoiselle* nie robiła nic złego — mówił Hussain. — Ludzie opowiadają głupstwa. Myślę, że znam kogoś, kto może okazać się pomocny.

Paryż był dla Hussaina wielką mozaiką potrzeb i wszelakich artykułów, mozaiką podzieloną na stosowne części przez jego niezawodną pamięć. Jego metody były tak subtelne, że nadano mu przydomek *le petit gentilhomme*.

TLR

Gdy chciał przekupić jakiegoś skromnego urzędnika, umawiał się z nim w małym barze położonym w tej części miasta, w której nikt go nie znał, i wyłuszczał całą sprawę. Następnie zdejmował z ręki zegarek i kładł go na stole przed sobą, tak jakby zależało mu na kontrolowaniu czasu. Zegarek Hussaina był jedyną rzucającą się w oczy cenną rzeczą, jaką posiadał — ciężka złota bransoleta Połyskiwała w słońcu. Po kilku minutach uprzejmej pogawędki,

podczas której zadawał urzędnikowi kilka pytań dotyczących jego osobistego życia, Hussain płacił i wychodził. Zegarek pozostawiał na stole. Tylko w jednym przypadku urzędnik wybiegł za nim i zwrócił zegarek.

Aktywny tryb życia sprawił, że Hussain wyszczupłał. Gdy skończył dwadzieścia lat, wciąż jeszcze miał pucołowate policzki, typowo wschodnią obłą sylwetkę i przenikliwe oczy, ale stał się elegancki.

Ostatnią ucieczką od rzeczywistości ojca Hussaina była religia. Spędzał całe dni w kawiarni obok meczetu, za Jardin des Plantes. Siedział przy stoliku z kutego mosiądzu i patrzył przed siebie nie widzącym wzrokiem. Wkrótce

umarł, a Hussain kupił elegancki apartament przy Quai d'Orsay.

— Ten przepych jest o wiele za duży — zaprotestowała matka. —

Czymkolwiek się zajmujesz, nie może to być uczciwe zajęcie. Dwudziestoletni chłopak nie powinien obracać takimi sumami. Hussainie, czy ty nie robisz niczego, co jest naganne?

— Oczywiście, że nie. Ja tylko kontaktuję ze sobą ludzi. Jedni potrzebują jakichś rzeczy, a drudzy je mają. Nie ma w tym nic złego. Oferuję ludziom tylko swoje usługi.

— Nie miałam pojęcia, że masz tyle pieniędzy. — Matka rozglądała się w zamyśleniu po pokoju, delektując się luksusem, którego nie spodziewała się

już więcej zaznać. Miękki, niebieskawy odblask Sekwany kładł się na szyby w dużych oknach i rzucał łagodne światło na delikatne gipsowe gzymsy wokół sufitu.

Teraz Hussain pracował, siedząc przy telefonie. Jego interesy były coraz

TLR

poważniejsze. Komunizujący partyzanci z francuskiej kolonii w Algierii mieli większe ambicje niż podkładanie bomb w bankach i zamachy na przedstawicieli administracji państwowej. Chcieli wojny. Hussain spędzał teraz wiele czasu na jedzeniu *couscous* i piciu mięty z ludźmi, którzy szukali broni.

Czerpał szczególną, mściwą przyjemność z dostarczania przez Bejrut francuskiej broni algierskim rewolucjonistom.

Kontakty Hussaina — trudno było już uznać tych ludzi za przyjaciół — stanowiły podstawę jego egzystencji. Dlatego też prowadził niezamordowane życie towarzyskie. Wieczorami zawsze zabierał matkę — niezwykle elegancją w swych sukniach z czarnej krepy — do Prokopa na lewym brzegu Sekwany i obserwował ze wzruszeniem, z jaką radością ogląda Kirka Douglasa, Vivien Leigh czy Ali Khana. Mówił jej, że jest piękniejsza od Bettiny, lalkowatej żony Ali Khana, co poniekąd było prawdą. Gdy przedstawienie dobiegało końca, odwoził matkę do domu i zaczynał rundę po klubach i kabaretach.

We wczesnych godzinach rannych, gdy z piekarni dolatywał wspaniały zapach rogalików i bagietek, Hussain odwiedzał Le Bambou, lokalik, w którym panowała rozkoszna perwersyjna atmosfera. Przyciągała ona tych spośród jego klientów, którzy uznawali seks za największą osłodę życia.

Całe pomieszczenie wyłożono bambusem, były tam bambusowe stołki, bar, a nawet bambusowe kubki do specjalnych koktajli. Na końcu sali znajdowało się bambusowe rusztowanie z przypominającymi klatki altankami dla dziewcząt. Każda z nich siedziała przy bambusowym stoliczku, na którym stał

telefon. Klient mógł zadzwonić do wybranej hostessy z telefonu przy barze, a ona schodziła na dół, kołysząc biodrami. Oświetlenie było mieszanką niebieskiego z fioletem. Bielizna niektórych dziewcząt przeświecała przez ubranie, gdy padał na nie snop fioletowoniebieskiego światła.

Hussain czasami kupował kokainę i opium od właściciela Le Bambou, Philippe'a Thoca, i często przyprowadzał tam znajomych. Szczególnie Niemcy i Brytyjczycy siedzieli z wybałuszonymi oczami, nie mogąc się zdecydować, do której dziewczyny zadzwonić. Panienki głównie pochodzenia azjatyckiego, oprócz dwóch blondynek ze Szwecji.

TLR

Pewnego dnia, gdy Hussain wszedł do Le Bambou, u Jego zaskoczeniu nie wyszła mu jak zwykle na spotkanie uśmiechnięta i zachwycona Ayeshah. Siedziała z chmurną twarzą przy barze, ubrana w białą koronkową sukienkę. Kelnerzy, barman i hostessy rzucali na szefową nerwowe spojrzenia. Hussain wiedział z doświadczenia, że na kłopotach innych ludzi można często zrobić interes, podszedł więc do baru.

— Dlaczego mężczyźni są takimi idiotami? — spytała. Kobiety często traktowały Hussaina, jakby wcale nie był mężczyzną, wyczuwały bowiem jego zupełny brak zainteresowania seksem.

— Konkretnie który? — spytał ze szczerym i przyjaznym uśmiechem.

— Philippe, imbecyl! Znasz chyba takie chińskie przysłowie: „Gdy mężczyzna spróbuje maku, nie nadaje się już do miłości”. Nie sądzę, by Philippe nadawał się do czegokolwiek. Miłość, pieniądze, jego przyszłość, nasza przyszłość... — Obrzuciła gniewnym spojrzeniem całą salę, kiwając w rozdrażnieniu stopą odzianą w czarny aksamitny pantofelek.

— Nie zauważa nawet tego, co ma przed nosem — ciągnęła. — Nie utrzymam dłużej tych dziewcząt. Pamiętasz Pan-Pan?

— Czy chodzi ci o tę długonogą, z włosami upiętymi w kok?

Ayeshah skinęła głową. Hussain zawsze pamiętał w najmniejszych szczegółach wygląd każdej kobiety.

— Będzie teraz robiła striptiz w Crazy Horse. Helga też odeszła w zeszłym miesiącu. Nawet przez dwa tygodnie nie mogę tu utrzymać żadnej blondyny. To miasto tętni życiem. A Philippe mówi, że dobrze jest jak jest, więc po co to zmieniać? Paryż jest centrum świata. To Hollywood nad Sekwaną. To jeden wielki plac zabaw, pełen gwiazd filmowych i arystokratów w futrach, diamentach i eleganckich samochodach. Oni mają wszystko, robili już wszystko, wszędzie już byli, wszystkich znają i są straszliwie znudzeni. Dlatego też gonią za każdą nową atrakcją. Jak można nie pragnąć czegoś takiego? — Jej oczy rzucały gniewne spojrzenia. Złość wcale nie umniejszała

TLR

jej piękności, sprawiała wręcz, że Ayeshah była jeszcze bardziej fascynująca niż zwykle. Miała silny cudzoziemski akcent, gdy mówiła po francusku, a kiedy poniosły ją emocje, robiła wiele błędów.

Do baru weszło trzech mężczyzn w drogich szarych garniturach, których klapy były o jakiś cal szersze, niż wymagała elegancja. Hussain podniósł znacząco brwi i skinął lekko w kierunku przybyłych.

— Znasz ich? — spytał Ayeshah.

— Nie.

— Ten w środku to turecki wiceminister obrony. Obok stoi Martin, urzędnik państwowy zajmujący się bronią dalekiego zasięgu. Ten trzeci jest z Dassault.

Ayeshah spojrzała na niego pytająco.

— Produkują między innymi myśliwce Mirage. Domyślam się, o czym teraz rozmawiają. — Uśmiechnął się do gości na powitanie, po czym odwrócił się znowu do Ayeshah. Prowadził interesy ze wszystkimi trzema, ale rozumiał, że mogą nie życzyć sobie afiszowania się znajomością z nim.

Ayeshah wstała i podeszła do gości, by ich powitać. Kazała barmanowi przygotować drinki na koszt firmy, po czym zniknęła w biurze za barem. Gdy wróciła, pojawiły się też dwie filigranowe tajlandzkie dziewczyny ubrane w jaskrawożółte suknie, tak wąskie, że utrudniały wspinanie się po bambusowych schodach.

— Podobają ci się moje syjamskie siostry? — zapytała Ayeshah, która była teraz w lepszym nastroju. — One naprawdę są siostrami, słowo daję.

— Wierzę ci.

Urzędnik państwowy podniósł słuchawkę i przywołał obie dziewczyny do baru. Pokręcili się trochę po parkiecie, ustalili coś szybko przywarze i cała piątka wyszła. Ayeshah wydeła z satysfakcją pięknie wykrojone usta.

TLR

— Wiedziałaś, że na nie polecą — powiedziała.

— Skąd możesz wiedzieć takie rzeczy? — Dla Hussaina seks był fascynujący, bo nie miał żadnego doświadczenia.

— Nie wiem — wzruszyła ramionami — po prostu wiem. Według mnie, to można wyczytać z twarzy mężczyzny. I o to właśnie chodzi, a Philippe nie może tego zrozumieć. Takie coś jak to nie ma żadnej przyszłości.

— Powiodła ramieniem wokół, patrząc z pogardą na zadymiony, hałaśliwy lokal. — Klub naturalnie przynosi dochody, ale to jest nic w porównaniu z tym, co mogłabym zarobić. Klub nocny jest jak środek pajęczyny. Ludzie są zainteresowani, wtedy ich łapiesz i trzymasz, a potem... potem są twoi i możesz z nich wyciągnąć, co chcesz.

— Co masz na myśli? — spytał częstując ją papierosem.

— Posłuchaj. Zrobiłam to — wydmuchała z lekceważeniem dym w stronę rusztowania — dwa lata temu. Wiem wiele o mężczyznach, nie uwierzyłbyś, że aż tyle. Jednak nigdy nie mogę się nadziwić, ile są w stanie zrobić, by sobie dogodzić. Mężczyzna przepłynie przez rzekę łajna, jeśli wie, że na drugim brzegu czeka chętna dupa. A ci zboczeńcy... — Wzruszyła ramionami, dając do zrozumienia, że ich głupota jest bezgraniczna. — Seks to pięta Achillesowa. — Niewłaściwa wymowa ostatniego słowa była czarująca, chociaż mówiła z takim cynizmem.

— Sam przecież widziałeś. Nawet teraz moje syjamskie siostrzyczki mogłyby zrobić zdjęcia i ten turecki zboczeniec miałby poważne kłopoty. Musiałby nieźle zapłacić, żeby się z tego wyplątać. To lepsze niż dwieście franków za numer, no nie?

Hussain skinął głową.

— Philippe się na to nie zgadza?

— Za dużo kłopotów, że duże ryzyko... on się boi. Nie, nie boi się, on jest po prostu durniem, nikim. — Złożyła ręce i oparła się o krzesło.

TLR

Zamiłowanie Philippe'a do opium przyniosło jej wiele korzyści. W miarę jak rosły jej ambicje, zachęcała go, by palił ile chce. Chciała doprowadzić go do stanu całkowitego zubożenia, by móc robić, co jej się podobało. Jednak teraz nastąpił u niego prawie zupełny rozpad osobowości i trudno było go kontrolować.

— Cóż więc chciałabyś zrobić? Co to za plany, które nie budzą entuzjazmu Philippe'a?

— To proste. Zamykamy ten lokal i kupujemy inny, naprawdę elegancki. Czasami trafiają nam się świetni klienci. Była tu Bardotka z Vadimem, Yves Montand... ale wpadali tu tylko powodowani chwilowym kaprysem, to nie jest ich styl, dla nich to tylko ciekawostka.

— Tak więc elegancki klub i...

— Telefon to nie zabawka. To ma przyszłość. Cali girls. Koniec z głupiotkami laluniami, które kręcą tyłkiem w Crazy Horse. Moje dziewczyny zarabiają głównie na turystach, cudzoziemcach, jeżdżą do podmiejskich rezydencji na przyjęcia... Ludziom nie chodzi jedynie o pieprzenie się, chcą mieć całe przedstawienie. Chcą czuć, że byli tam, gdzie coś się dzieje, że byli w Pa-ryżu, o którym każdy marzy. Gdzie l'amour jest wielką sztuką, gdzie kobiety wiedzą więcej o miłości niż gdziekolwiek indziej na świecie.

— Chcesz więc być po prostu najszlachetniejszą madame na świecie? Nie uważasz chyba, że są to zbyt skromne ambicje, prawda?

— Pewnie, że nie. Co za sens mieć małe ambicje? Ale mylisz się, wcale nie chcę być wielką madame. Chcę czegoś więcej.

— Mianowicie?

— Chcę tyle, ile tylko można chcieć. — Znowu rzuciła mu spojrzenie, które zdawało się przeszywać go na wylot. Pomyślał, że Ayesha jest jak pantera. W mgnieniu oka potrafiła przeobrazić się z igrzącego kociątka w dra-pieznika. — Czy ciebie to przeraża?



TLR

Zastanawiał się przez chwilę.

— Nie. Myślę, że masz rację. Nie warto bawić się w małe ambicje.

— A Philippe się boi. Philippe prawie skulił się ze strachu, gdy zaczęłam wyklądać mu swój plan. Myśli, że mam zamiar go zniszczyć.

— A chcesz to zrobić?

— Skąd mogę wiedzieć? Tak, jeśli będzie to konieczne, to tak. Nie ma prawa stać mi na drodze.

Przyglądali się teraz w milczeniu tancerzom, tym kramarzom ciała, którzy krążyli w niebieskawym świetle jak ospałe ryby w akwarium.

— Chcesz obejrzeć to miejsce, które sobie upatrzyłam? — Ayesha była teraz koteczkiem, miękkim i skorym do zabawy. Objęła dłonią jego nadgarstek.

— Czemu nie. Czy to daleko?

Pokręciła przecząco głową.

— Zaraz za Champs. Dziesięć minut drogi, jeśli pojedziemy twoim samochodem.

Zatrzymali się przed czteropiętrowym budynkiem z pełnymi wdzięku balkonami z kutego żelaza, wciśniętym pomiędzy wyższe domy w wąskiej uliczce pomiędzy Champs-Elysees a rue St. Honore.

— Świetna lokalizacja — pochwalił Hussain. — Będziesz miała wyśmienitą klientelę.

— Ritz jest minutę drogi stąd. — Metodycznie przejrzała duży pęk kluczy, aż wreszcie znalazła właściwy i otworzyła drzwi. W perłowym świetle brzasku ujrzeli dziedziniec wykładany starymi kamiennymi płytami.

— Tutaj chciałabym zrobić szklany dach — powiedziała Ayesha i unio-

TLR

sła w stronę nieba obie ręce, a ten piękny gest podkreślił linię jej kształtnych piersi. — Można urządzić tu restaurację w cieplarni. W lecie można podnosić

dach i jeść pod gwiazdami. A tutaj, w środku, można zrobić bar, dansing, pokój do gry w tryktraka, który miałby charakter biblioteki z kominkiem. Można

tu gościć wielu ludzi, ale zachować intymną atmosferę, jakby to był prywatny dom. Chcę, żeby było nowoczesnie, siedzenia obite skórą i tak dalej, ale przytulnie. Chodzi o to, żeby było elegancko, a zarazem by nie peszyło gości. I żadnego tam wstrętnego czerwonego pluszu. — Wydęła z pogardą usta. — Za to wszędzie dużo kwiatów, które sprawiałyby wrażenie, że pani domu własno-

ręcznie ułożyła je w wazonach.

Hussain podążał jak urzeczony za Ayeshah, która oprowadzała go po pustym budynku, wyczarowując wizje, zupełnie przesłaniające zniszczoną jasną farbę i tandetne przepierzenia.

— A na górze dziewczęta, prawda?

— Ależ skąd. Dziewczęta będą gdzie indziej, może gdzieś niedaleko stąd. Ale nie chcę wywoływać nawet takich skojarzeń. Któż przyszedłby do mojego klubu podejrzewając, że piękna kobieta, którą będzie miał tu szczęście spotkać, mogłaby mu następnego dnia zniszczyć życie? — Uniosła jedną z perfekcyjnie umalowanych czarnych brwi, jakby zachęcając go do śmiania się wraz z nią z tego dowcipu, który tylko oni potrafili docenić.

— Czy kochasz Philippe'a? — spytał, gdy wracali do Le Bambou.

— Nie.

— A czy kochałaś go kiedykolwiek?

— Nie. Nie potrafię kochać żadnego mężczyzny.

— A czy w ogóle jest ktoś, kogo kochasz?

— Tak.

— Kobieta?

TLR

— Nie jestem lesbijką, jeśli o to ci chodzi. Według mnie seks nie ma nic wspólnego z miłością. To tylko głupi nonsens, który wymyślili ludzie, bo czu-

ją się brudni.

— Dlaczego nie odpowiadasz na moje pytanie? Czy kogoś kochasz?

Spojrzała na niego w jakiś szczególny sposób, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

— Kocham dzieci, bo są niewinne — odparła wreszcie.

— Masz dzieci? — spytał, tknięty nagłym przeczuciem.

Odwrócił głowę, by spojrzeć na jej twarz, gdy będzie odpowiadała, ale jakiś chłopak na skuterze wyjechał nagle na jezdnię i Husstiin musiał patrzeć przed siebie, by wyminąć pojazd.

— Miałam dzieci — odparła cicho tonem, który dawał do zrozumienia, że nie życzy sobie dalszych pytań. — A ty? spytała po chwili. — Kogo ty kochasz?

— Matkę. Czyż wszyscy mężczyźni nie kochają swoich matek?

Wjechali na Pont Neuf. Hussain zatrzymał się, żeby podziwiać światło brzasku na białej fasadzie Sainte Chapelle.

— Kogo jeszcze? — dopytywała się dalej, gdy samochód ruszył z miejsca.

— Nikogo. Namiętność jest rozrywką, która nie jest mi dana. Kocham robienie interesów i jest to mój wielki nałóg.

Po kilku minutach wjechali w wąską, krętą uliczkę, przy której mieściło się Le Bambou.

— Co byś powiedziała... — zaczął Hussain i zrobił pauzę, wyjmując kluczyki ze stacyjki — ...gdybym wykupił dla ciebie tę dzierżawę? Górne piętra budynku przydałyby mi się na biura.

— Chcesz powiedzieć, że masz zamiar sponsorować mój klub?

TLR

— Tak.

— Myślę, że potrzebuję około pół miliona franków.

— Też tak sędzę.

— Dobrze — powiedziała ostrożnie, z dziwnym spokojem. — Umowa stoi. — Wyciągnęła swoją wąską rękę o długich palcach, a Hussain ją uściskał.

Niedługo potem jego matka dostała lekkiego ataku apopleksji, po którym przyszedł następny. Została sparaliżowana. W szpitalu rentgen wykazał, że ma wielki guz na mózgu. Zaczęła gwałtownie gasnąć.

Hussain wynajął trzy wykwalifikowane pielęgniarki i co dwie godziny przynosił matce napar z werbeny. Był to jedynie pretekst, by siedzieć na brzegu łóżka i cieszyć się towarzystwem matki. Nawet na progu śmierci pozostała piękna, miała jasną cerę, a cienie, które kładły się jej na twarz, podkreślały tylko szlachetny zarys kości policzkowych.

— Obiecuj mi coś — wyszeptała pewnego wieczoru. — Przyrzeknij, że będziesz wiódł uczciwe życie, Hussainie.

— Oczywiście, tak, mam. Przyrzekam.

Potrząsnęła głową, przygnębiona swoją słabością.

— Mam na myśli twoje interesy. Myślisz, że jestem głupia, ale ja wiem, że złe pieniądze to najłatwiejsze pieniądze. Obiecuj, że nigdy nie zrobisz nic, czego musiałabym się wstydić.

— Obiecuję. — Uściskał i ucałował jej rękę. Pod przezroczystą skórą miała maleńkie siniaki, w miejscach gdzie popękały delikatne naczynka.

— I jeszcze coś... TLR

— Powiedz, zrobię wszystko.

— Twoja mała Ayeshah musi pójść do Givenchy'ego. Powiedz jej — zacerpnęła tchu, a w oczach tliły się, jak zwykle, wesołe iskierki. — Powiedz jej, że jest to moje ostatnie życzenie. Powiedz też Hubertowi... albo nie, sama mu powiem. — Kazała sobie podać przybory do pisania i z ogromnym wysiłkiem kontrolując drżącą dłoń, napisała list do Huberta de Givenchy'ego, prosząc, by zajął się osobiście nową klientką, którą mu poleca.

Tej samej nocy matka zmarła spokojnie w czasie snu. Hussain, po raz

pierwszy w swym dorosłym życiu, płakał jak małe dziecko.

Zaledwie miesiąc później, we wtorkowe popołudnie, gdy Ayeshah dopiero ubierała się na górze, a Le Bambou świeciło pustkami, do klubu weszło dwóch policjantów, którzy spytali o Philippe'a. Wyszedł z uśmiechem na ustach z biura na zapleczu, niczego nie przeczuwając, ponieważ płacił policji należne łapówki. Był zaskoczony, gdy policjanci zaczęli go wypytywać o handel narkotykami. Przeważnie kupował towar od brygady antynarkotykowej, a za tę uprzejmość odwdzięczał się, denuncjując od czasu do czasu któregoś ze swych klientów.

Gdy przy tylnym wejściu dał się słyszeć tupot butów, a policja zaczęła szperać po pokojach, wywracając wszystko do góry nogami, Philippe zrozumiał, że padł ofiarą jakiegoś większego od siebie drapieżnika. Z poczuciem fatalizmu, które po części stanowiło jego drugą naturę, a po części było wywołane zażywaniem opium, Philippe wzruszył ramionami i spokojnie pozwolił sobie założyć kajdanki.

Wyprowadziło go dwóch policjantów, a trzeci, który szedł z tyłu, niósł cały worek marokańskiego kifu znalezionego w biurze. Fotograf policyjny zrobił ujęcie biurka, stojącej na nim wagi, słoja z białawym proszkiem i starannie zapakowanego papierowego pakieciku, w którym znajdowała się kokaína przygotowana dla jednego ze znajomych Hussaina. Ayeshah przyglądała się aresztowaniu kochanka z pewnym zaciekawieniem i przecuciem, że spotka ją coś przyjemnego. Za godzinę pojawił się Hussain, punktualny jak zawsze. TLR

Ayeshah niemal drżała, z trudem hamując podniecenie, i Hussain zrozumiał, że kobieta domyśla się, w jaki sposób pozbył się swego, jedyne go rywala.

Otworzył usta, by coś powiedzieć, ale ona natychmiast przycisnęła do nich dwa palce.

— Pomówmy o czymś interesującym — rzuciła beztrosko. — Kiedy za-

bierzesz mnie do Givenchy'ego?

Pojechali do domu mody nazajutrz, a wielki projektant osobiście przywitał Ayesah i polecił jej tę samą krawcową, która ubierała matkę Hussaina.

— Nie do wiary! — zawołała kobieta, przyglądając się miarce krawieckiej rozciągniętej pomiędzy swymi jaskrawoczerwonymi paznokciami. — Pani ma dokładnie takie same rozmiary jak księżna!

— To ona była księżną? Nie wiedziałam — zdziwiła się Ayesah, która właśnie doszła do wniosku, że jej halka z jedwabiu nie jest w najlepszym gatunku. Marszczyła się brzydko w pasie. Tylu rzeczy musiała się jeszcze nauczyć.

— Oczywiście. Nie wiedziała pani? Pochodziła z bardzo starej arystokracji perskiej skoligaconej z szachem, to znaczy z byłym szachem. Shahzdeh nie jest ich prawdziwym nazwiskiem. Wymyśliła je księżna, bo nikt w Paryżu nie potrafił wymówić jej rodowego nazwiska. Prawdziwa arystokratka.

— Skoro twoja matka była księżną, w takim razie i ty jesteś księciem — powiedziała Ayesah Hussainowi tego samego popołudnia.

— Tak, owszem. Ale wierz mi, nie ma się z tego żadnego pożytku, jeśli się chce upłynnić trzy statki z tuńczykiem — powiedział z rozdrażnieniem. — Nie pomoże mi to również, gdy będę musiał skłonić Nigeryjczyków, by złożyli swoje pieniądze w depozycie i zobowiązali się do uiszczenia należności. Wiesz, Afrykanie kupią wszystko, ale mają pewne problemy z wypłacalnością. — Uśmiechnął się. Zwierał się jej coraz częściej.

— Ale fakt, że to sam książę asygnuje fundusze i sponsoruje mój klub,

TLR

powinien chyba zrobić dobre wrażenie na klienteli.

Po paru tygodniach robotnicy zaczęli usuwać tandetne przepierzenia w nowym lokalu Ayesah i kuć otwory w murze, by umocować szklany dach.

Hussain wybrał się do lekarza.

— Od kiedy pamiętam, nigdy nie miałem potrzeb seksualnych — powie-

dział. — Nigdy też nie miałem stosunku z kobietą. Chciałbym jednak się ożenić, i chcę wiedzieć, czy... czy cokolwiek można z tym zrobić.

Lekarz wysłał go na długą wędrowkę po gabinetach specjalistycznych.

Zbadano jego hormony, gruczoły, potencjalną płodność i przeprowadzono badania neurologiczne. Na końcu doktor uśmiechnął się do Hussaina i powiedział:

— Pod względem fizycznym jest pan zupełnie normalny— Tylko poziom testosteronu mógłby być wyższy, ale jeśli zaaplikuje się panu hormony syntetyczne, wszystko będzie w porządku. Podstawową przyczyną pana braku zainteresowania seksem są zahamowania psychiczne. Sądzę, że można oczekiwać poprawy, jeśli zdecyduje się pan na kilkuletnią terapię.

— Czy mogę mieć dzieci?

— Mógłby pan je mieć już teraz, gdyby pańska przyszła żona zdecydowała się na sztuczne zapłodnienie. Plemniki są w normie.

Tego wieczoru Hussain pojechał do Ayeshah z bukietem białych orchidei i zabrał ją na kolację do Procopé. Potem poszli nad Sekwanę i spacerowali w świetle księżycy, tak jak powinni robić zakochani w Paryżu.

— Co byś powiedziała...— zaczął Hussain, zatrzymując się pod ścianą porośniętą starym pnączem w pobliżu Notre Dame... — gdybym poprosił cię o rękę?

Ujęła jego dłoń i cofnęła się o krok. Miała na sobie białą atlasową suknię ozdobioną brokatem. Ta klasyczna kreacja z salonu mody Givenchy opinała jej ciało sprawiając, że wyglądała jak grecka bogini.

— Postawiłabym tylko jeden warunek. — Ayeshah znowu przypominała panterę, nie starając się nawet być zalotną.

— Jaki?

— Że znowu staniesz się księciem.

— Tylko tyle? Cóż prostszego? Zostaniesz moją księżniczką, Ayeshah?

— Jeszcze jedno. Chcesz mieć ze mną dzieci? Bo myślę, że ja ich nie

mogę mieć, a w każdym razie nie chcę.

Potrząsnął głową, a światło księżyca odbijało się w metalowych guzikach jego dwurzędowej marynarki.

— Ja nawet nie żądam skonsumowania naszego małżeństwa, chyba że ty tego będziesz chciała. Lekarze twierdzą, że mogę się poddać kuracji, ale nie śpieszy mi się do pozbycia się korzyści, jakie płyną z braku zainteresowania seksem. Chyba że miałyby to cię uszczęśliwić.

Uśmiechnęła się jak dziecko, wyglądała na szczęśliwą.

— Niech nasze małżeństwo będzie związkiem ludzi, których łączą jedynie wspólne ambicje.

— Ambicje i zainteresowania — dodał.

Znowu uścisnęli sobie ręce, przybijając interes i wybuchnęli śmiechem.— Będziemy oczywiście najszczęśliwszą parą w Paryżu — powiedział.

— Dlaczego tylko w Paryżu?

— No dobrze, najszczęśliwszą parą w Europie.

— Tylko w Europie? TLR

— Na całym świecie!

Ayeshah potrząsnęła głową.

— Wiesz, prymitywni ludzie są szczęśliwi. Nigdy nie przychodzi im do głowy, że mogą być nieszczęśliwi. Wiedzą tylko, jak to jest, gdy się jest chorym albo zdrowym, starym albo młodym, najedzonym lub głodnym. A my będziemy najszczęśliwszymi cywilizowanymi ludźmi na świecie.

Szli dalej, ramię przy ramieniu, a Hussain uświadomił sobie, że nie ma pojęcia, skąd pochodzi jego narzeczoną. Ale było to bez znaczenia. Była obywatelką tego miejsca i tego czasu, tak samo jak on. Wszystko inne było zbędnym balastem.

TLR

18

James, Bill i Ibrahim poczuli, że szczęście znów się do nich uśmiechnęło,



gdy przekroczyli granicę między stanami i znaleźli się na zielonym, przyjaznym terytorium Pahangu. Po miesiącach frustracji, głodu i znoszenia jawnej wrogości komunistów w Peraku, znów mogli zacząć walczyć z Japończykami.

Ciężarówka, załadowana dłużycami, przyjechała po nich w umówione miejsce na drodze wiodącej do Kuala Lumpur. Młody Małajczyk powitał ich radośnie.

— Pokój! — zawołał. — Macie ochotę na prawdziwego papierosa?

Wiem, że zapalicie z chęcią, w dżungli nie ma przecież Kensitas.

James zaciągnął się łąpczywie prawdziwym tytoniem Virginia.

Kierowca ciężarówki mówił, że ludzie w Pahangu są na ogół lojalni wobec Brytyjczyków. Japończycy zarekwirowali pałac królewski w Pekanie, dawnej stolicy stanu, i założyli tam kwaterę główną. Ich bezwzględność i okrucieństwo wołały o pomstę do nieba. Sam sułtan wydał tajny dekret, nakazujący swym poddanym udzielanie pomocy Brytyjczykom.

TLR

— Jesteśmy wszyscy tej samej krwi — zawołał kierowca, waląc dłonią w kierownicę dla podkreślenia wagi tych słów.

— Przejedź przez Pekan — poprosił Ibrahim. — Chciałbym zobaczyć swego wroga.

Czerwona, zaśmiecona droga biegła prosto, jak drogi wybudowane przez Rzymian na równinie Salisbury, które pokazywali Jamesowi jego guwernerzy. Samochód skręcił pod kątem dziewięćdziesięciu stopni na brukowaną kamieniem szosę, a po godzinie przejechał przez most na szerokiej rzece i ujrzeli miasto Pekan.

— Zupełnie jak w Cheltenham — mruknął do siebie James, gdy jechali przez szerokie, porośnięte drzewami ulice, przy których stały pełne wdzięku drewniane wille w blad różowym i cytrynowym kolorze.

Bill nie odezwał się ani słowem, ale wykręcał szyję, by przyjrzeć się sta-

rym drzewom rosnącym nad rzeką. Z każdego pęknięcia w szarawej korze kielkowały tropikalne paprocie. Minęli meczet, drewniany budynek ozdobiony wyszukаныmi rzeźbionymi ornamentami, pomalowany na najmiłszy Allahowi, chłodny turkusowozielony kolor. Pekan zrobił na Billu wrażenie skromnego, uroczego i spokojnego miasta. Miało bardziej malajski charakter niż ruchliwe, zamieszkane przez ludzi różnych ras George Town czy KL. Miejsce to przenikał duch jego mieszkańców, prostych, pracowitych, żyjących w harmonii z naturą i pozaziemskimi siłami. Duch tego miasta trafiał mu do serca i umacniał podjętą decyzję.

— Spójrzcie tutaj, to kwatery główna Japończyków, dawniej pałac królewski. — Kierowca wskazał okazały kamienny budynek, utrzymany w ciężkim wiktoriańskim stylu preferowanym przez architekturę anglo-malajską. Jego bryła dominowała nad pełnym spokojnej elegancji miastem. Piękny ogród, który otaczał niegdyś rezydencję, został zrównany z ziemią, by nie używać schronienia napastnikom. Nad tym obrazem zniszczenia powiewała leniwie czerwono-biała flaga, a oddział żołnierzy, którzy maszerowali niczym marionetki, pilnował wejścia. TLR

Byli umówieni na spotkanie na peryferiach miasta, w kafeterii znajdującej się obok niskiego meczetu, którego minaret, półksiężyc i gwiazda rysowały się wyraziście na tle ciemniejącego nieba. Bill usadowił się w najgłębszym cieniu i zaczęli naradę z właścicielem lokalu, kierowcą, właścicielem przedsiębiorstwa budowlanego, inspektorem policji i miejscowym prawnikiem. Zanim gospodarz odważył się zapalić lampy, zdążyli ustalić plan działania.

Bill wyjechał nazajutrz ciężarówką służącą do przewozu drewna, by ukryć się w odległej wiosce położonej nad jeziorem, oddalonym o jakieś trzy czy cztery godziny drogi. Japończycy nawet nie zawracali sobie głowy patrolowaniem tej ubogiej rolniczej okolicy. Bill mógłby tam bez obaw używać radiostacji i szkolić ochotników, których rekrutowaliby jego przyjaciele. James i Ibrahim wynajęli mały domek od podstarzałej wdowy w wiosce

oddalonej jakąś godzinę drogi od miasta. Był to najdalej położony z domów porozrzucanych na pasie żyznej ziemi pomiędzy rzeką a drogą przecinającą dolinę. Mieli prowadzić swą działalność pod płaszczykiem pracy dla przedsiębiorstwa zajmującego się wyrębem — lasów, które zdominowało gospodarczo cały ten obszar. Zajęcie to pozwalało im swobodnie kursować ciężarówkami pomiędzy Pekanem, portem i Kuala Lumpur. Jeździli drogami ginącymi w dżungli, gdzie prowadzono wyrąb drzew.

Od razu zaczęli napływać ludzie. Gdy James po raz pierwszy ujrzał człowieka, który wyszedł z cienia rzucanego przez balkon, skulił się za palmą stojącą za domem, spodziewając się strzałów albo ataku z nożem w rękę.

Przybysz zawahał się, odchrząknął i zawołał:

— Spóźniłem się, bo drogę zalało!

James zastygł na chwilę w osłupieniu, wreszcie rozpoznał hasło wymyślane przez Ibrahima.

— Do rana droga zostanie oczyszczona! — zawołał nieznajomy.

Nastąpił moment niezręcznej, pełnej nieufności ciszy, po czym James TLR

odważnie wyszedł z kryjówki. Oczekujący go młodzieniec był przed wojną studentem, a teraz palił się do walki z Japończykami. James ukrywał go w domu przez dwa dni, a potem odwiózł do Billa.

— Oto nasz pierwszy rekrut! — oświadczył z triumfem. — Pierwszy z wielu, zobaczysz.

„Wyprali” swoje pieniądze, na razie kilkaset dolarów i wymienili stare banknoty, wydane przez Brytyjczyków, na nowe, drukowane przez Japończyków. Bill wysłał człowieka do domu grubego Chińczyka, który gościł ich i ochraniał w drodze do Peraku. Okazało się, że po domu pozostało tylko pogorzelnisko, a gospodarz z rodziną nie żyli. Ktoś wydał ich Japończykom wkrótce

po tym, jak czwórka uciekinierów wyruszyła na poszukiwanie obozu komunistów. W nocy emisariusz Billa rozkopał ziemię okrytą popiołem we wskaza-

nym miejscu i wydobył bezcenną, lecz nieporęczną radiostację, którą zakopali przed wyjazdem. Kilka tygodni później James znalazł pod brezentem w ciężarówce baterię w torbie z liści palmowych, pozostawioną przez jakiegoś życzliwego nieznanego.

Bill wytrwale ćwiczył alfabet Morse'a. Nie posiadali się z radości, gdy udało mu się przechwycić prognozę pogody nadawaną przez amerykańskie okręty wojenne. Był to ich pierwszy kontakt z prawdziwą wojną.

Zanim nadeszły święta Bożego Narodzenia 1943 roku, na szkoleniu było piętnastu agentów, a dziesięciu już wcześniej włączyło się do walki. James wyglądał na wesołego malajskiego kierowcę ciężarówki. Miał gładką skórę w kolorze mocnej herbaty i potrzebował tylko jednej tabletki trisoralenu dziennie, by utrzymać tę karnację, jeśli oczywiście przebywał na słońcu. Rozwoził drewno po całym stanie, a meldunki i zapasy ukrywał w wydrążonych pniach drzew.

Kampong Kechil właściwie nie zasługiwał na miano wioski, bo składał się z drewnianych domków stojących wzdłuż drogi, porozdzielanych polami ryżowymi, otwartymi przestrzeniami i ogrodami warzywnymi. Nie było tam harmideru typowego dla wiosek, gdzie domy zgrupowano wokół jednej czy dwóch studni.

James i Ibrahim rozmawiali wyłącznie po malajsku, nawet gdy byli sami.

W obecności wieśniaków Ibrahim wyśmiewał się z Jamesa, mówiąc, że jest miejskim chłopakiem, który dał się przerobić Zachodowi na miłośnika łatwego życia. Żartował też z jego zepsucia i obojętności wobec religii.

— Dzięki temu nie będą chcieli poznawać cię bliżej. A jak zapomnisz o modlitwie, nikt nie będzie tym zaskoczony. — Jego obawy były jednak zbyt czyste. Zmienna natura Jamesa sprawiła, że zaadaptował się do nowego życia z łatwością zadziwiającą jego kolegę. Jediną rzeczą, z którą nie mógł sobie poradzić, była mechanika samochodowa.

— Na szczęście dobry Allah ustrzegł mnie przed złapaniem gumy — rzucił James, patrząc z zakłopotaniem na uwalany smarem silnik. — Nie potrafiłbym nawet zmienić koła.

— Był też wspaniałomyślny, dał ci mnie za mechanika” — oświadczył Ibrahim, delikatnie podłączając oderwany przewód od rozrusznika. — Spróbuj, czy teraz zapali.

Mieszkali w skromnym domu. Miał dach kryty ocynkowaną blachą, a słońce sprawiło, że jego drewniane ściany nabrały rdzawoszarego koloru. Był utrzymany w tradycyjnym stylu, to znaczy zbudowany na palach wysokości mniej więcej dwóch stóp. Schody i okiennice pokrywały rzeźbione ornamenty. Bambusowa rynna odprowadzała deszczówkę do wielkiego glinianego dzbana stojącego przy wejściu. Pomiedzy domem a drogą płynął leniwie strumień, którego brzegi łączył wąski drewniany mostek. Kobieta, od której wynajęli dom, Maimunah, czasami zostawiała krowę, by pasła się na łączce przed domem; sama mieszkała po drugiej stronie strumyka, jakieś dwadzieścia jardów dalej. Obok stała wiata z ocynkowanej blachy, pod którą mieszkańcy wioski przetwarzali lateks. Dzień w dzień Maimunah, majestatyczna kobieta, która na siwe włosy wkładała kwiecistą chustę zawiniętą w turban, wyruszała na plantację. Wracała wczesnym przedpołudniem z dwiema peł-

TLR

nymi puszkami lateksu, które kołysały się na bambusowym kiju założonym na ramiona.

Kobieta zlewała biały sok do prostokątnej rynienki, dodawała kwasu mrówkowego i przez kwadrans siedziała w cieniu, czekając, aż mieszanka stwardnieje. Potem wyjmowała skrzepnięty kawałek lateksu na płótno i udeptywała go na płasko. Następnie przepuszczała go przez staroświecki żelazny magiel, na którym wisiała mosiężna tabliczka z nazwą fabryki w Sheffield. W wyniku takiej procedury uzyskiwała brudną, białozółtą płachtę lateksu, którą suszyła na płocie. Co tydzień przybywał do wioski chiński handlarz i kupował

to, co wyprodukowali wieśniacy.

Córka Maimunah mieszkała we wsi z mężem i najmłodszym dzieckiem — czteroletnim synkiem. Czasami pomagał babce udeptywać lateks, skacząc radośnie po pachnącym żywicą płótnie. Ulubionym zajęciem tego łobuziaka było przesiadywanie w ciężarówce Jamesa i udawanie kierowcy.

Często w leniwej ciszy rozlegało się wołanie Maimunah:

— Yusof! Yusof! Gdzie ty się podziewasz? Przestań mnie drażnić! Masz wracać do domu! — Często przechodziła potem leniwym krokiem przez drewniany mostek i wchodziła do domu, by spytać Jamesa albo Ibrahima, czy nie widzieli gdzieś jej wnuka.

Pewnego dnia James siedział na schodach. Nagle ujrzał pełną wdzięku postać dziewczyny, która przeszła przez mostek i zbliżyła się do niego z wahaniem, niezdarnie zasłaniając twarz białym szalem. Miała około piętnastu lat.

Niewiele kobiet we wsi przejmowało się tradycyjnym muzułmańskim pojęciem skromności. Tylko młode niezamężne dziewczyny przykrywały głowy i były na tyle Wstydlive, że często zasłaniały też twarze przed wzrokiem mężczyzn, co było bardzo kuszące.

— Pokój z tobą — powiedziała z wahaniem.

— Pokój — odparł James.

TLR

— Szukam małego Yusofa, czy jest w twojej ciężarówce? Wiem, że lubi tam się bawić. — Obrzuciła Jamesa spojrzeniem swych dużych okrągłych oczu, po czym z zawstydzeniem spuściła je w dół. James ruszył w stronę ciężarówki, a ona poszła za nim, zachowując pełną szacunku, stosowną odległość. Dziecka nie było.

— Przepraszam, że przeszkodziłam. — Odwróciła się, by odejść.

— Poczekaj, sprawdzę, czy nie schował się z tyłu. — James wyskoczył z kabiny i obszedł ciężarówkę. Usłyszał parsknięcie pod brezentem na platfor-

mie, podniósł go, a roześmiany Yusof szybko wyskoczył i pobiegł na drogę. Dziewczyna uśmiechnęła się, a jej blada twarz w kształcie serca wypogodziła się natychmiast.

— Khatijah jest moją najstarszą wnuczką — powiedziała Maimunah kilka dni później. — Mieszkała w Malac—ca, gdzie ludzie nie są chyba najlepiej wychowani. — James domyślił się, że mają to być przeprosiny za śmiałość dziewczyny. — Khatijah jest teraz wdową — dodała, jakby się mitygując. — Japończycy zabili męża na jej oczach. Oskarżono go o pomaganie komunistom. Pobrali się niecały rok temu. — Cmoknęła językiem, dając wyraz niezadowoleniu, że los potrafi być taki okrutny. — Ale wszyscy muszą się przyzwyczaić do ciężkich czasów — zakończyła.

Po kilku dniach okazało się, że Maimunah niepokoi coś jeszcze poza niewłaściwymi manierami wnuczki. Spokój wioski zakłóciła straszliwa awantura pomiędzy Maimunah a jej córką, otyłą kobietą z wiecznym uśmiechem samozadowolenia nad podwójnym podbródkiem. Drobną figurką Khatijah z torbą w ręku i zaciętym wyrazem twarzy wkrótce pojawiła się na drodze prowadzącej do domu babki.

Dwaj mężczyźni przyglądali się dziewczynie, gdy mijała ich dom. Bill rozkazał Ibrahimowi przenieść się na południe i zorganizować nowy punkt oporu. Ibrahim właśnie skończył upychanie swych rzeczy do brązowej torby z łyka, którą następnie obwiązał ciasno sznurkiem. Pokręcił głową, myśląc o Khatijah.

TLR

— Młoda wdowa jest zawzięta jak koń, który zrzucił jeźdźca — zacytował znane przysłowie. — Zobaczysz, że z tą dziewczyną będą jeszcze kłopoty.

— Wydała mi się bardzo spokojna — powiedział James. Wziął pompkę rowerową Ibrahima, by włożyć do środka bezcenny kawałek papieru, na którym zapisane były szyfry.

— Kobiety nie będą jej ufać. Teraz, gdy własna matka wyrzuciła ją z domu, trudno będzie jej tu żyć.

James wyciągnął zardzewiały tłok ze środka pompki.

— Co ona zrobiła? — spytał.

— Nie chodzi o to, co zrobiła, mój przyjacielu, lecz o to, kim jest. W końcu to kobiety powinny bronić honoru domu. Jej mąż nie żyje, więc naturalnie musiała wrócić do matki. Gdzie miałyby iść? Ale jest też naturalne, że wieśniaczki będą ją traktowały jak nierządnicę, która czyha na ich mężów, bo nie ma własnego. Jeśli dziewczyna nie wyjdzie szybko za mąż, przyniesie wstyd rodzinie.

— To przecież nie jej wina, że mąż nie żyje. Jest tak młoda. — James uświadomił sobie, że to brytyjskie pojęcie sprawiedliwości zdradziłoby go, gdyby publicznie wypowiedział się na temat miejscowych obyczajów. Odczuwał jednak sympatię do prześladowanej dziewczyny i niechęć do okrutnych, ograniczonych wieśniaków.

— A co z jej ojcem? Czy nie powinien się nią zaopiekować, zanim po wtórnie wyjdzie za mąż? Przecież tak nakazuje Koran, prawda?

— W tym właśnie cała rzecz, mój przyjacielu. Jej ojciec był cudzoziemcem, uciekł pozostawiając matkę zdaną na łaskę i niełaskę. To już jest plama na honorze rodziny. A teraz jej matka ma nowego męża, nowe życie i nie chce mieć pod nosem żadnych namacalnych dowodów swej występnej młodości. Rozumiesz już, o co chodzi?

TLR

James skinął głową, zwijając kartkę z cyframi i wciskając ją do pompki.

— Dzięki Bogu, że nie urodziliśmy się kobietami.

Ibrahim roześmiał się, słysząc w ustach Brytyjczyka ten potoczny frazes i dał mu żartobliwego kuksańca.

— Myślę, że poradzisz sobie tu beze mnie.

— Ze wszystkim oprócz tej cholерnej ciężarówki.



— Spróbuję zrobić przegląd przed wyjazdem. Mój ojciec rozplakałby się na ten widok po tym, jak wydał tyle pieniędzy na moje wykształcenie. — Ojciec Ibrahima miał warsztat samochodowy w innej części stanu i wykształcił syna na inżyniera.

— Jak wojna się skończy, znowu będziesz budować mosty — powiedział James.

Gdy Ibrahim wyjechał, Maimunah stała się bardziej życzliwa i zaczęła matkować swemu jednemu lokatorowi. Często zjawiała się Khatijah, robiła Jamesowi pranie, przynosiła jedzenie lub drobne upominki. Czasami jadał z obiema kobietami. Jak przewidział Ibrahim, wieśniacy unikali Khatijah. Kiedy nie pomagała babce, siedziała w domu.

Bill nazwał swój oddział Malajską Armią Wyzwolenia. Było ich stu, ale nadal nie zdołali nawiązać kontaktu z dowódcami armii brytyjskiej na Cejlonie. Jednak ich optymizm rósł z każdym dniem.

James, mieszkający nad jeziorem, daleko od kwatery głównej, czuł się pozostawiony samemu sobie. Brakowało mu towarzystwa kolegów, podniecenia, które towarzyszyło planowaniu każdej akcji, poczucia, że jego działania mają jakiś sens. Był przyzwyczajony do tego, że Bill podejmował decyzje i prowadził z nim uporczywe spory. Teraz, gdy miał działać samodzielnie, poczuł się niekompetentny.

TLR

Ku swemu zaskoczeniu zaczął też odczuwać potrzebę seksu. Od osiemnastu miesięcy nie miał kobiety, ale wycieńczenie i przygnębienie obniżyły jego libido. Teraz był znowu w doskonałej kondycji fizycznej i żył w stanie ciągłego podniecenia, w miarę jak ruch oporu zataczał coraz większe kręgi. Jednak miał niewiele do roboty, poza jeżdżeniem tu i ówdzie i rekrutowaniem ludzi, a także kontaktowaniem już wyszkolonych z kwaterą główną. Przeważnie jednak nie miał nic do roboty i zaczął wpadać w obsesję.

Kiedy pojawiał się w wiosce, wyglądał smukłej, ciasno owiniętej w sa-

rong sylwetki Khatijah, która powolnym krokiem szła poboczem ścieżki. Ujrzał ją raz nad rzeką — mokry sarong przywierał do jej ciała i podkreślał każdą wypukłość, gdy polewała wodą nagie ramiona. Potem czekał zawsze na jej kąpiel ukryty w zaroślach.

Gdy pewnej nocy obudził się zlany potem i rozgorączkowany, bo śniły mu się usta, piersi i kaskada czarnych włosów, nie mógł dłużej się oszukiwać: zżerała go żądza. Kilka dni później wybrał się na siedem godzin do Kuala Lumpur z ładunkiem drewna. Odwiedził Mary, by nie zwariować. Jednak u Mary pełno było japońskich oficerów, więc nie odważył się tam wejść. Zamiast tego zaczepił niechlujną chińską ulicznicę, ale kiedy zaczęła się z nim handryczyć o cenę, nabrał obrzydzenia do samego siebie i uciekł.

Podjął straszliwe ryzyko, publicznie nawiązując rozmowę z Khatijah, gdy pracowała, a potem proponując jej podwiezienie ciężarówką, kiedy szła obładowana lateksem. Przerażony swym brakiem rozwagi wyjechał z wioski i z premedytacją przedłużył sobie pobyt w kwaterze głównej Billa.

— Mam cholernie dobre wieści, Jim. Cejlon zaczyna wreszcie przysyłać ludzi — powiedział Australijczyk, schylając się pod niską belką z bambusa, gdy wychodził z chaty. Powiało wilgocią i porannym chłodem. — Zrzucili pięciu facetów na wybrzeżu Peraku. Ci ludzie nawiązali łączność z komunistami. Wreszcie się udało, stary. — Bill zdążył także wrócić do formy, a wyblakła w dżungli twarz nabrała w słońcu anglosaskiej czerstwości.

— Najwyższy czas, psiakrew. — Jamesowi z trudem przechodziły przez TLR

usta angielskie słowa. — Słuchaj no, czy potrzebny ci jestem w Kechil? Czy nie przydałbym się teraz bardziej po drugiej stronie, w Peraku?

— Myślałem, że życie w terenie bardziej ci odpowiada?

— Tak, ale mam pewne problemy.

— Jakie, na litość boską? Coś podejrzewają?

James pokręcił przecząco głową.

— Tam jest pewna dziewczyna...

— No i co z tego? Wszędzie są dziewczyny — odparł Bill ze złością.

— Cholera jasna, przecież wiesz, o co mi chodzi. Ona śni mi się po nocach.

— Nie mam zamiaru zawalać całej akcji z powodu twojego kutasa. Potrafisz chyba panować nad sobą, nie?

— To nie jest takie proste, Bill — odparł James, ale wiedział, że nie ma sensu ciągnąć tej rozmowy. Australijczyk znał tylko przyjemności duchowe i wiodł cnotliwe życie. Nie rozumiał namiętności, która pochłaniała całe jęstwo Jamesa.

— Muszę mieć bazę obok japońskiej kwatery głównej, a ty jesteś jedynym człowiekiem, który może tam być. Sam przecież to mówiłeś.

James ze złością wyruszył w powrotną drogę i próbował spokojnie przemyśleć sytuację. Jeśli prześpi się z dziewczyną, wieśniacy obrócą się przeciwko niemu, zwłaszcza gdy ona zajdzie w ciążę. Wcale nie był przekonany, że uważają go za Malajczyka. Czuł, że od razu rozpoznali w nim Brytyjczyka, ale nie artykułowali tego wprost, częściowo z powodu lojalności, a po części ze względu na przyrodzoną powściągliwość. James był też przekonany, że we wsi podejrzewano, że on i Ibrahim są zaangażowani w działalność antyjapońską. Gdyby rozwścieczył wieśniaków, całej operacji groziłoby fiasko.

— Muszę się gdzieś przenieść — powiedział do siebie po malajsku, zwalniając na zrytej koleinami drodze. — To nie jest jedyne miejsce, gdzie TLR

mogę się ukryć. Jutro pojedę do Pekanu i popytam tu i ówdzie. Nawet w ulewnym deszczu rozpoznał sylwetkę kobiety idącej poboczem drogi. Trzymała nad głową liść banana, który stanowił niezbyt skuteczną parasolkę. Choć

dopiero co zastanawiał się, jak uniknąć niebezpieczeństwa, zatrzymał się i schylił, by otworzyć drzwi ciężarówki. Khatijah z trudem wdrapała się do szoferki w swym przemoczonym, przylepionym do ciała sarongu i podzięko-

wała z nieśmiałym uśmiechem.

Jamesowi przyszło do głowy, że mógłby zrobić to teraz. Nikt by się nie dowiedział, w tej ulewie widoczność wynosiła najwyżej dwadzieścia jardów. Czuł, że zapiera mu dech w piersiach, zdecydowanym ruchem zmienił biegi i ruszył. Jechał tak szybko, że prawie staranował stadko bawołów. Milczeli oboje.

Dojechali do wsi i, jak zwykle, zaparkował na podwórku otoczonym kamiennym murkiem. Znowu pomyślał, że mógłby zrobić to tutaj, bo ściana deszczu osłaniała ich przed ludzkim wzrokiem.

Żądza jak palący ból ścisnęła mu genitalia. Przyciągnął do siebie dziewczynę, która wpatrywała się w niego rozszerzonymi oczami, i szarpnął jej sarong w miejscu, gdzie był zwinięty nad piersiami. Pod wilgotnym, zimnym materiałem czuł jej jędrne, ciepłe ciało. Ponieważ sarong był przemoczony, trudno było go odwijać i szarpiąc się z nim przez moment, James zdołał oprzytomnieć. W panice wyskoczył z szoferki, a Khatijah uciekła w strugach deszczu.

Nazajutrz, gdy tylko się obudził, zaczął przygotowywać się do wyjazdu do Pekanu. Jednak Maimunah czekała na niego tuż przy schodkach. Pretekstem do złożenia wizyty był talerzyk z ciasteczkami. Przywitała Jamesa przyjaźnie, lecz była bardzo poważna.

— Wojna skomplikowała życie wielu ludziom — zaczęła. — Cóż można począć w takich czasach? Różne zdarzenia zmieniają nasze przeznaczenie, tak jak głębokie wody kształtują koryta rzek.

TLR

James zapalił papierosa, by ukryć zmieszanie.

Maimunah wdała się następnie w zawile dywagacje na temat zalet życia rodzinnego, aż wreszcie do Jamesa dotarło, że sugeruje mu, by ożenił się z Khatijah. Wcześniej nie przyszło mu to jakoś do głowy. Ar-było to proste,

świetne rozwiązanie. Kiedy Maimunah wspomniała coś o wysokości posagu, zgodził się od razu.

Z powodu okupacji pominięto większość ślubnych formalności, a ceremonia była skromna. Maimunah udekorowała swój dom papierowymi kwiatami. James siedł obok Khatijah na świętym dywanie, a jego status „króla dnia” podkreślał pas wyszywanego złotą nicią materiału i podobnie zdobione nakrycie głowy. James zauważył, że rodzina Khatijah jest bardzo zadowolona z jej zamążpój— ścia. Matka tryskała szczęściem, a ojczym, otyły zarozumialec, wciąż się uśmiechał niczym Budda.

Tej samej nocy zauważył coś, co wcześniej nie przyszło mu do głowy:

Khatijah ubóstwiała go już za samo przywrócenie jej pozycji społecznej.

Przywierała do niego jak kociak, obsypywała go zmysłowymi, delikatnymi pieszczotami, po czym truchlała, onieśmielona własną łapczywością. Nago była jeszcze piękniejsza, niż widział to w najbardziej erotycznych snach. Jej piersi były zwarte i krągłe jak pomarańcze, a nogi smukłe i silne.

James nie potrafił wyrzucić jej ze swych myśli w ciągu dnia, tak jak kiedyś swojej tamilskiej kochanki. Każdej nocy spędzonej z dala od niej wiał się z pożądania, gdy była przy nim, potrafił godzinami gapić się na nią, jak gotowała lub uprawiała warzywny ogródek. Wydawał tyle, ile tylko się ośmielił, na jej biżuterię i stroje. Gdy upłynął prawie rok od ich ślubu, powiedziała, że jest w ciąży, a James był zachwycony jak dziecko.

Kiedy wybrał się do obozu nad jeziorem, przejrzystą wodę pokrywał olśniewająco piękny kobierzec różowych kwiatów, a Bill promieniał optymizmem.

— Wreszcie nawiązaliśmy łączność z Cejlonem. Przekazuj mi zebrane

TLR

informacje na temat ruchów wojsk, floty i ładunku na statkach, łączności, jednym słowem: wszystkiego. Daj ludziom cynk, że od przyszłego tygodnia Cejlon zacznie zrzucać amunicję. Perak twierdzi, że mają już w pogotowiu tysiąc

ludzi.

Zaprowadził Jamesa do chaty z drewna i bambusu, po czym usunął tylną ścianę utkaną z liści palmowych, za którą znajdowała się skrytka pełna dzienników, papierów, map morskich; była tam też radiostacja i mapa Półwyspu Malajskiego, obrazująca siłę ruchu oporu. James przyglądał się temu obojętnie. Bill od razu odgadł jego myśli.

— Przylecą tu do nas całe setki, gdy Japończycy zaczną wiać z Birmy — powiedział i szybko postawił na miejscu maskującą ściankę. — Uczymy święta?

— To już Boże Narodzenie?

— Co się z tobą dzieje, Jim? Czy nie umiesz już liczyć po angielsku?

James wyszczerzył zęby w uśmiechu. Bill zaprowadził go na koniec krzywego mostka z desek, do którego rybacy cumowali łódki, i wyciągnął z wody przywiązaną na sznurku butelkę szampana.

— Najlepsze, co mogłem wymyślić, żeby go schłodzić. — Bill z dumą poklepał etykietkę, która była tak od— moczona, że została mu w ręku. James przez dwa lata nie miał wsustach alkoholu, więc po dwóch małych kieliszkach

był prawie pijany.

— Pogratuluj mi, stary. Będę ojcem.

Niebieskie oczy zmierzyły go chłodnym, pełnym zdumienia spojrzeniem.

— Przecież dzięki temu jestem znakomicie zamaskowany. — James uśmiechnął się jak idiota.

— Będiesz skończony, jeśli urodzi się białe.

— Nie, myślę, że będzie śniade.

TLR

— Na Boga, człowieku, przecież jest wojna. Masz chyba ważniejsze rzeczy na głowie — powiedział Austra

Wesołość Jamesa natychmiast zniknęła.

— Masz rację, przykro mi, Bill — rzekł i podniósł do góry kieliszek. —

Za zwycięstwo.

Zanim nastąpiło rozwiązanie, z Europy nadeszły wieści o kapitulacji Niemiec. Japończycy zaczęli wycofywać się z Birmy. Brytyjskie lotnictwo miało teraz dostęp do Półwyspu Malajskiego i zrzucało tysiące ton broni i żywności, a także coraz więcej żołnierzy, którzy lądowali na dobrze zamaskowanych lotniskach w Peraku. Z mapy Billa wynikało, że prawie cztery tysiące małajskich obywateli czekało na broń i rozkaz rozpoczęcia powstania przeciwko Japończykom.

Na każdym kroku było widać, że Japończycy ponoszą straty na różnych frontach. W miastach brakowało żywności i mały ogródek Khatijah żywił kilkunastu ludzi, którzy toczyli walkę z nieprzyjacielem. Co jakiś czas na wsi zjawiali się Japończycy, by rekwirować żywność, dlatego też bydło, kozy i kury trzymano w dżungli, z dala od drogi, w nadziei że nie zostaną wykryte. W dokach portowych wschodniego i zachodniego wybrzeża leżały całe góry lateksu, ponieważ nie było okrętów, które mogłyby je stamtąd zabrać. Maimunah coraz gorzej płacono za lateks, więc James poradził jej, by nie sprzedawała za bezcen i schowała go na lepsze czasy. Dał jej nawet jakieś pieniądze.

Zmniejszyły się też dostawy benzyny i James był zmuszony napędzać silnik nie oczyszczonym alkoholem, destylowanym z lateksu, a jego wspaniałe wehikuł za— pluwał się jak chory na bronchit emeryt.

Japończycy zwiększyli nagrodę za demaskowanie agentów alianckich, ale James wyczuwał, że mieszkańcy wioski są wobec niego lojalni. Ich rezerwa wyraźnie zmalała. Teść Jamesa, Osman, wychwalał go otwarcie w towarzy-

TLR  
stwie mężczyzn, a nawet odważył się odezwać do niego po angielsku.

Podejrzenia Jamesa, że wieśniacy nigdy nie dali się zwieść, że jest Malajczykiem, potwierdziły się, gdy Maimunah przyniosła mu nowo narodzoną córeczkę. Dziecko miało wielkie, okrągłe czarne oczy i delikatny czarny puszek

na głowie. James zauważył z ulgą, że ma ładny oliwkowy odcień skóry, a małeńkie usteczka są barwy jasnego cynamonu. James wiedział, że powinien wyszeptać do ucha noworodka muzułmańską modlitwę, ale gdy już miał zamiar to uczynić, Osman ujął ciche zawiniątko i zastąpił Jamesa. Dziecko sapnęło, Osman uśmiechnął się z zadowoleniem, a wśród ludzi zgromadzonych w chacie rozległ się pomruk zdziwienia i akceptacji.

— Co zrobisz, jak wojna się skończy? — spytała Khatijah kilka tygodni później, bujając dziecko w kołysce zrobionej z sarongu i przywiązanej dwoma sznurami do sufitu.

— Nie wiem — odparł. Koncentrował całą energię na zbliżającym się wyzwoleniu i nie myślał, co będzie później.

— Czy walki będą toczyły się nadal? — naciskała posyłając mu koci uśmiech, któremu nie mógł się oprzeć.

— Tak, tak myślę. Powinniśmy zwyciężyć i Japończycy odejdą.

— A czy ty też odejdiesz? — Zostawiła rozbujaną kołyskę i podeszła do niego.

— Może będę musiał. — James zastanawiał się, czy powinien jej wyjawic prawdę. Ale czy ona to zrozumie? Była taka młoda i głupiutka, była przecież tylko wieśniaczką, choć miała tyle intuicji, sprytu i potrafiła dawać mu tyle przyjemności.

— Jeśli wyjedziesz, zabierzesz nas ze sobą? Proszę, obiecaj, że tak zrobisz. Nie chcę, byś mnie tu zostawił. Mój ojczym mnie nie znosi, a matka zawsze źle mnie traktuje w jego obecności. — Przywarła do niego, czuła ciepło

i podniecającą obłość jej ciała, a także słaby, waniliowy zapach uroczynu, wpiętego we włosy. James pomyślał, że nie wolno mu nic mówić, że i tak TLR

powiedział za wiele.

— A więc chcesz mieć łatwe miejskie życie i całymi dniami plotkować z



innymi kobietami, zamiast pracować? — spytał. Khatijah spuściła oczy i nadszała się, a James schylił się i pocałował ciepłe zagłębienie na szyi, czując pod ustami delikatny puls. — Nie martw się — mruknął — jeśli wrócę, pojedziesz ze mną, przecież jesteś moją żoną.

Zacząła chichotać i przekomarzać się z nim, gdy bawił się obszywanymi nitką guziczkami jej bluzki i pieścił z miłością jej piersi.

Po kilku dniach odległy warkot przerwał ciężką, południową ciszę i James ujrzał na bezchmurnym niebie trzy samoloty, które przecinały błękitne przestworza jak trzy niebieskie pociski. Wkrótce nadeszły wieści, że Amerykanie bombardują Singapur, a Bill wezwał Jamesa do kwatery głównej. James powiedział Khatijah, że może go nie być przez jakiś czas i wyruszył nad jezioro. Był bardzo podekscytowany i zastanawiał się, jakie jeszcze czekają go niespodzianki. Gdy zaparkował ciężarówkę na polance i wyskoczył z szoferki, ujrzał Australijczyka, Ibrahima, trzech Chińczyków i dwóch nieznanomych Brytyjczyków siedzących w cieniu krytej palmowymi liśćmi wiaty. W ich pozach była jakaś apatia i James od razu wyczuł, że są zaszokowani.

Ibrahim podniósł oczy, gdy James podszedł bliżej.

— Już po wszystkim — powiedział głośno.

James spojrział na siedzących mężczyzn.

— Co to znaczy „po wszystkim”? Co się stało? Dlaczego jesteście tacy ponurzy?

— Japończycy poddali się Amerykanom, którzy zrzucili jakieś wielkie bomby na Hiroszimę i Nagasaki. Wojna się skończyła.

James zaniemówił. Czuł się równie zaszokowany i zawiedziony, jak po-

TLR

zostali. Wszyscy czuli gorycz i przygnębienie — ich starania poszły na marne. Jednak wróg został pokonany, wojna się skończyła i wiedzieli, że powinni się cieszyć.

— Tak po prostu się skończyła? — spytał James.

Skinęli głowami.

— Dowiedzieliśmy się dzisiaj rano.

— Czy są jakieś rozkazy?

Bill rozprostował nogi, wstał i włożył ręce do kieszeni.

— Tak, mamy rozkazy. Dywizja do Operacji Specjalnych ma połączyć się z amerykańskimi siłami strategicznymi i nawiązać kontakt z uciekinierami z obozów jenieckich. Mamy wspólnie odszukać naszych ludzi przebywających w niewoli. — Wyjął z kieszeni koszuli papier, na którym wypisane były rozkazy, założył okulary i przeczytał: — Mamy też nie ruszać się z miejsca, dopóki kwatera główna nie uzna, że wróg całkowicie się poddał. Mamy odnaleźć obozy jenieckie znajdujące się w tej okolicy. Jednak pod żadnym pozorem nie wolno nam wkraczać do obozów, dopóki nie dadzą nam znać.

— A co z naszymi ludźmi?

— Mają zostać w dżungli, nie angażować się w żadne walki i czekać na rozkaz demobilizacji.

— Co takiego?

Ibrahim potwierdził te słowa skinieniem głowy, a jego wesoła zazwyczaj twarz była teraz ponura.

— Spędziliśmy dwa lata, szkoląc ich, a teraz mamy im powiedzieć, że przedstawienie się skończyło, zanim w ogóle się zaczęło.

— Nie chowaj do pochwy noża, który nie posmakował krwi, bo spotka cię nieszczęście — zacytował James malajskie porzekadło i uśmiechnął się TLR

blado, nie oczekując żadnej odpowiedzi.

— Na czym jeździ ta twoja ciężarówka? Na soku z dżungli? — Bill rozprostował ramiona i otrząsnął się z przygnębienia, przygotowując się do planowania dalszych akcji.

— W promieniu wielu mil wokół Kechil nie ma benzyny. — James pokiwiał głową.

— Ile soku możesz zdobyć? Poproszę o paliwo, ale to trochę potrwa.

— Tyle, ile trzeba. Paru facetów we wsi destyluje lateks.

— Dobra. Obejrzymy sobie mapę i spróbujemy namierzyć jakieś obozy, o których słyszeliśmy. Potem, skoro mamy transport, możemy zrobić rozpoznanie terenu, objechać cały stan i ustalić dokładnie, gdzie są obozy.

Mieli teraz nową mapę wydrukowaną w jaskrawozielonym, niebieskim i brązowym kolorze na grubym jedwabiu. Przywieźli ją dwaj nowo przybyli Brytyjczycy. W czasie kampanii birmańskiej Dywizja do Operacji Specjalnych zaczęła posługiwać się takimi mapami, gdyż nie gniły w tropikalnym klimacie, łatwiej je było ukryć, a poza tym mogły pełnić również inne funkcje, w przeciwieństwie do tradycyjnych map podbitych płótnem.

W ciągu kolejnych paru dni na niebie zaroilo się od samolotów. Nad Penkanem rozrzucano ulotki, obwieszczające zwycięstwo aliantów. Oddziały japońskie przedefilowały przed pałacem i bez najmniejszego sprzeciwu złożyły broń. Na prowincji wszystko przebiegało inaczej, krążyły opowieści o atakach

Japończyków i akcjach odwetowych komunistów, ale Bill postanowił nie notować tego w swym dzienniku.

W obozie jenieckim na południu znaleźli trzystu Tamilów. Byli głodni i schorowani, na granicy wyczerpania. Inny obóz znajdował się w głębi lądu. Nie podejrzewali jego istnienia, a więziono w nim tysiąc robotników różnych ras pochodzenia azjatyckiego, którzy przeważnie cierpieli na choroby spowodowane długotrwałym niedożywieniem.

TLR

W charakterze wsparcia przysłano Billowi oddział Gurkhów i pięciu Amerykanów, dowodzonych przez majora, który rzucał krótkie rozkazy dziańskim tonem i wyglądał na jakieś trzydzieści pięć lat. Miał krótko ostrzyżone, bezbarwne włosy i brakowało mu poczucia humoru. James spytał go, ile ma

lat. Okazało się, że dwadzieścia cztery.

— Jesteś młodszy od nas obu — powiedział James.

— Wydaje mi się, że jeśli przedzieranie się cał po calu przez Pacyfik nie zrobi z kogoś mężczyzny, to już nic nie zrobi — odparł major, mrugając szybko oczami.

Teraz, gdy pracowali u boku sprawdzonych w walce żołnierzy, James i Bill odnosili nieprzyjemne wrażenie, że są amatorami. Przez trzy lata żyli w izolacji, pozbawieni kontaktu z ogarniętym wojną światem. Zadanie, któremu się poświęcili, stworzenie armii ruchu oporu, wydało im się nagle marginalne, pozbawione znaczenia, było jakby czymś na kształt gry.

Wojna dobiegła końca, a żaden z nich nie oddał ani jednego strzału. Nie spełnili nawet wymagań stawianych przez wojskową biurokrację i oszałamiały ich formy, zawile regulaminy i ćwiczenia wojskowe, które mieli sobie przyswoić. Nie dzielili się swymi odczuciami. Z jednakową energią rzucali się

do działania, starając się nadrobić stracony czas. James wyplenił ze swego umysłu każdą myśl o Khatijah i życiu na wsi.

Szczególnie Amerykanie sprawiali, że James, Bill i im podobni czuli się jak mali chłopcy. Muskularni, pokryci bliznami i małomówni, wiedzieli doskonale, jak wbić bagnet w Japończyka i wykręcić tak, by nie umarł natychmiast. Od nich właśnie Bill i James dowiedzieli się o istnieniu innego obozu, niecałe dwadzieścia mil od Kuala Lumpur, gdzie ponoć przebywali Europejczycy.

Bill kazał żołnierzowi obsługującemu radiostację prosić o pozwolenie wkroczenia do obozu.

— Po co, do cholery, pytacie? — spytał amerykański major.

TLR

— Takie mamy rozkazy. Kwatera Główna musi nam przesłać sygnał, zanim zajmiemy obóz.

— Do diabła z tym. Tam może umierają ludzie, a wy będziecie się pytać

swoich dowódców o jakieś pozwolenie. Ci faceci w Changi wyglądają jak żywe trupy. Ruszajcie natychmiast.

Bill niechętnie rozkazał Jamesowi zebrać dwudziestu ludzi, odnaleźć obóz i wyzwolić go. Oddział wyruszył japońską ciężarówką, a jej znaki rozpoznawcze zostały zamalowane farbą, która nie zdążyła jeszcze wyschnąć. Przez pół dnia błakali się po drogach, szukając obozu. Natrafili nań wreszcie późnym popołudniem. Znajdował się na odległość rzutu kamieniem od głównej linii kolejowej łączącej Kuala Lumpur z Singapurem. James rozkazał swym ludziom uformować kolumnę. Ruszyli w kierunku betonowego muru otaczającego obóz. James słyszał za sobą precyzyjny, marszowy krok Gurkhów.

Brama otworzyła się, gdy tylko się do niej zbliżyli. Na spotkanie wyszedł krępy japoński komendant obozu, trzymając przed sobą szablę. Za nim stało w szeregu dwunastu żołnierzy. Obok komendanta ujrzeli Anglika, wyglądającego jak chodzący szkielet; miał na sobie tylko okulary w drucianej oprawce i wystrzępione, niegdyś zapewne białe szorty.

— Kapitan Twyford z Marynarki Królewskiej. — Zasalutował.

— Kapitan Bourton. Ilu tu jest ludzi?

— Stu osiemdziesięciu dwóch Brytyjczyków, siedemdziesięciu pięciu innych Europejczyków i dwustu jedenastu Azjatów.

Słońce zakryły nisko zawieszony, ciemne chmury, więc zmierzch zaczął zapadać szybciej niż zazwyczaj. Tego dnia lał już silny deszcz i nad pokrytymi dżunglą wzgórzami zaczęła unosić się biała para. James kazał uwięzić Japończyków w jednym z bezbarwnych, krytych ocynkowaną blachą budynków, wyznaczył wartę i zabrał się do oszacowywania najpilniejszych potrzeb obozu.

— To był obóz przejściowy — wyjaśnił Twyford. — Kwaterowano tu ludzi, którzy wędrowali na północ, do obozów pracy, albo w drodze powrot-

nej. Zostawiali tylko ci, co do których lekarze mieli wątpliwości, czy przetrwa-

ją trudy podróży. Większość z nich i tak długo nie pożyła.

Po jakimś czasie Japończycy zgodzili się na opiekę medyczną. Dlatego też zostałem, jestem lekarzem wojskowym.

W jednym z pokoi znaleźli przekazywaną za pośrednictwem Czerwonego Krzyża, nie rozpieczętowaną pocztę. Pod bezładną kupą listów z 1942 roku odkryli zapasy lekarstw i żywności, które James kazał natychmiast rozdać. Połączył się z Billem za pośrednictwem radiostacji i przekazał mu liczbę internowanych oraz Japończyków, a także zażądał żywności i środków dezynfekcyjnych.

— Przyślij też nie gaszone wapno, jeśli możesz — dodał James. — Do tej pory palili zwłoki, ale tak ostatnio łało, że nie znajdziemy suchego opału. Musimy pochować aż sześciu. Mam ludzi do kopania grobów, ale tu jest tylko cienka warstwa ziemi, a pod nią — lita skała.

Twyford dostarczył Jamesowi listę internowanych, którzy przewinęli się przez obóz. Lista była metodycznie podzielona na wojskowych i cywilów, Brytyjczyków, Europejczyków i Azjatów, zmarłych i żywych. W każdej sekcji wykaz zmarłych był cztery lub pięć razy dłuższy niż żywych.

— Sprawdzaliśmy ten spis z zapisami z głównych obozów — wyjaśniał Anglik. — Cholernie trudno było nadążyć za tym wszystkim. Gdy jechali na północ, zabierało ich osiem pociągów, a po kilku miesiącach Japończycy potrzebowali już tylko dwóch, by transportować tych, którzy przeżyli. Kiedy w obozie wybuchła epidemia cholery, ludzie umierali tak szybko, że nie było komu spisywać ich nazwisk. Jeśli nie przetrwali jacyś znajomi, którzy pamiętali faceta, wszelki ślad po nim ginął. — Twyford opowiadał szczegółowo o swym smutnym zajęciu, którym trudnił się przez ostatnie dwa lata.

TLR

Po odejściu Twyfortia James zaczął przeglądać listę zapisaną ołówkiem, skrupulatnym, urzędniczym pismem na różnych kartkach.

„Rawlins G.A., kapitan” — przeczytał wreszcie. Z notatki wynikało, że Gerald wraz ze swym batalionem pojechał na północ w kwietniu 1943 roku. Oprócz tego widniały opatrzone znakiem zapytania słowa: „Widziany w pociągu w Birmie w 1944”. James próbował wyobrazić sobie Geralda — wychudzonego, półnagięgo, z tymi jego wytrzeszczonymi, poczciwymi oczami w obciągniętej skórą czaszce, jak u tych mężczyzn odizolowanych w przedzisionku piekła. Wstyd mu było, gdy patrzył na swoje muskularne, krzepkie ciało.

„Douglas Lovell, C. major” — to nazwisko widniało na końcu. Zarządca plantacji odjechał na północ z ostatnim transportem jeńców, jaki wysłano z Changi. James pozbierał papiery i poszedł odszukać Twyforda w jego prowizorycznej przychodni, gdzie sortował wraz z dwoma Hindusami zapasy lekarstw z Czerwonego Krzyża.

— Znam tego człowieka, pracowałem u niego przed wojną — powiedział James. — Czy on wciąż tu jest? Nie ma przy jego nazwisku żadnych notatek. — Powinien być w budynku obok. — Twyford podawał jednemu z sanitariuszy paczkę z opatrunkami owiniętymi w niebieski papier. — Ostatnia partia ludzi, którzy przeszli przez obóz, była w strasznym stanie, wszyscy starzy i schorowani. Nie nadawali się do podróży, ale zdesperowani Japończycy wysyłali każdego, kto mógł utrzymać w ręku łopate. — Dał znak sanitariuszom, by dalej rozpakowywali medykamenty. — Chodźmy, zaprowadzę pana.

Postarzały Douglas Lovell leżał w sąsiednim budynku, na zardzewiałej pozostałości żelaznego łóżka bez materaca. Ten niegdyś pełen życia, władczy człowiek zmienił się w wyschnięty szkielet, a z zapadniętych ust wydobywał się urywany, świszczący oddech. Twyford pozostawił Jamesa samego. James przykucnął — odzwyczyił się już siadać obok łóżka — i w milczeniu wpatrywał się w umierającego człowieka.

TLR

— Czy można coś dla niego zrobić? — zapytał jednego z Hindusów, który zjawił się z nowymi lekarstwami i zaczął smarować czerwonym sulfonamidem pokryte wrzodami nogi innego pacjenta.

— To nie ma sensu, proszę pana. Dziwimy się, że nie umarł zeszłej nocy.

— Na co on umiera?

— Na wszystko. W jego wieku nie wolno tak ciężko pracować i tak źle jeść. Poza tym nie dysponowano tu żadnymi lekarstwami. Potrzebowaliśmy tego — wskazał na tampon z antyseptykiem — wiele miesięcy temu, ale nie mieliśmy dosłownie nic. Nawet jak były pieniądze, nie mogliśmy nic kupić. To był silny mężczyzna, proszę pana. Miał bardzo mocne serce. Jego ludzie mówili, że przeżył cholera. Kapitan Twyford twierdzi, że to nawrót malarii.

— Znałem go przed wojną. Chciałbym posiedzieć przy nim przez jakiś czas.

— Dobrze, proszę pana.

James ujął cienki przegub i starał się wyczuć puls. Był słaby i nierównomierny. Jamesowi napłynęły łzy do oczu.

Zapadła ciemność. Sanitariusz przyniósł syczącą lampę naftową, a James zaczął przyglądać się krążącym wokół niej owadom, które uderzały cicho o rozgrzane szkło. W głębokiej ciszy James uchwycił moment, w którym ustał słaby oddech i zanikający puls. Pochylił się, by posłuchać pracy serca, choć zapach ciała przyprawiał go o wymioty. Lovell nie żył.

James wstał i opuścił budynek. Wyszedł za bramę obozu, miał pustkę w głowie. Dżungla była niemal cicha. Słyszał tylko kilka bzykających owadów i wodę ściekającą cicho z milionów liści — sączącą się w dół tysiącami ukrytych kanalików.

Po chwili wyostrzony słuch Jamesa pochwycił jednak jakiś inny odgłos, ukradkowy i metaliczny. Przez głowę Przebiegła mu myśl, która zaświtałaby już dawno, gdyby miał więcej doświadczenia. Było tu pięciuset internowa-

TLR



nych, setki jeńców, którzy mieli być przerzuceni gdzie indziej. A znaleźli tylko garstkę Japończyków.

James rzucił się w kierunku bramy, wrzeszcząc, by straż ją zamknęła, gdy odezwały się pierwsze wystrzały. Po chwili obóz znalazł się pod regularnym ostrzałem, a pociski odbijały się od betonowych ścian.

James stwierdził z ulgą, że słyszy tylko karabiny, a nie ciężką artylerię czy choćby karabin maszynowy. Wpadł do chaty, w której ulokował swoich ludzi, i zerwał ich z łóżek. Gurkhowie spali w ubraniu. Gdy chwycili broń i zajęli błyskawicznie pozycje wzdłuż muru, James dziękował Bogu, że są zawodowymi żołnierzami z najlepiej szkolonych oddziałów na świecie.

— Światło! — zawołał. — Włączyć generator! — Po kilku minutach rozległ się warkot prymitywnego dynama, a tory oświetliło słabe żółtawe światło.

Sześciu japońskich żołnierzy przypadło do ziemi i szybko odczołgało się w zarośla za nasypem.

Japończycy znajdujący się za bramą oddali jeszcze kilka strzałów, ale wkrótce i te ucichły, gdy obrońcy włączyli silne reflektory znajdujące się na dwóch wysokich strażnicach obozowych. Radiotelegrafista, choć nie otrzymał takiego rozkazu, próbował porozumieć się z bazą.

— Przesyłają nam posiłki — zameldował Jamesowi, który skinął głową i myślał w przerażeniu, ile godzin zabrało mu znalezienie tego obozu w nocy. Zastanawiał się, jak długo śpieszący im na odsiecz będą musieli ich szukać, błakając się w ciemności po krętych drogach dżungli.

Twyford pojawił się w drzwiach przychodni, a na jego twarzy o zapadniętych policzkach malowało się zmieszanie.

— Otworzyć magazyn i wydać broń wszystkim, którzy są w stanie ją utrzymać w rękach. Pośpiesz się, człowieku! — warknął James.

— Co się dzieje? — Lekarz wojskowy był zupełnie zbity z tropu. — Japończycy nie mogą nas atakować, przecież się poddali.

— Może wyjdiesz na zewnątrz i przypomnisz im o tym? — James szu-

TLR

kał kozła ofiarnego, na którego mógłby zwalić odpowiedzialność za swój brak

doświadczenia. — Wciągnąłeś nas w pułapkę, cholerny durniu. — Dźgnął Twyforda palcem, a wycieńczony człowiek zatoczył się do tyłu. — Dlaczego nie powiedziałaś, ilu tu było Japończyków? Czy nie zdawałaś sobie sprawy, co zamierzają zrobić?

— Wczoraj wymaszerowali stąd. — Twyford wzruszył przypominającymi kije ramionami. — Było ich około dwustu. Sądziliśmy, że idą do KL, by złożyć broń.

— Zdaje się, że to ostatnia rzecz, jaka przyszlaby im do głowy. Jak są uzbrojeni?

Wymizerowany człowiek pokręcił głową.

— Nie wiem... Mają karabiny... Nie widzieliśmy nic większego kalibru. Może mają też ładunki wybuchowe.

— Miejmy nadzieję, że masz rację. Wtedy zdołamy stawić opór przez kilka godzin.

Nie było nic widać, poza ostrymi strumieniami światła rzucanymi przez reflektory, za których zasięgiem ciągnęła się pogrążona w ciszy dżungla. Nie słychać było żadnych strzałów, a garstka żołnierzy czekała z bronią w pogotowiu. Milczeli i nerwowo przebierali palcami na spustach.

James kazał wyłączyć światła z nadzieją, że wyciągnie w ten sposób wrogów z kryjówek. Chmury zasłoniły księżyc. James wyteżył słuch, by wyłowić jakiś szelest wskazujący na człowieka poruszającego się za murem obozu.

Nagle rozległ się wrzask i strzały Japończyków. Światło natychmiast zalało otwartą przestrzeń za murem i ludzie Jamesa wypalili, zabijając dwóch wrogów, których wywabiła z ukrycia ciemność! Jednemu z Japończyków udało się wrzucić za mur granat, ale nie wyrządził on żadnej szkody, gdyż wybuchł na placu apelowym.

Znowu zapadła wypełniona oczekiwaniem cisza. James kazał pozostawić

TLR

włączone reflektory, wiedząc, że przeciwnicy nie nabiorą się po raz drugi na ten sam chwyt. Nagle usłyszał trzask łamanego drzewa i okropny ryk. Siedemnastu Japończyków uwięzionych na terenie obozu zdołało wydostać się z budynku, w którym ich przetrzymywano. Z wrzaskiem rzucili się na plac apelowy, chcąc zaatakować żołnierzy gołymi rękami. Gurkhowie zabili wszystkich, zanim James zdążył wymierzyć z pistoletu.

Godzinę później ciszę przerwał warkot silnika i na drodze pojawił się opancerzony transporter. Grzęznąc w błocie pędził wprost na bramę, plując pociskami. Ludzie Jamesa otworzyli ogień. Pojazd chybotął się, podskakiwał w głębokich koleinach, aż wreszcie kierowca stracił kontrolę i transporter zboczył z drogi i przekoziółkował. Po chwili rozległ się wybuch, a powietrze przecięły kawałki metalu.

— Oddział samobójców — mruknął James pod nosem. Mrugał oczami, by zobaczyć w świetle płonącego wozu, co się dzieje w ciemnej dżungli. Wypatrywał kolejnego ataku. Starał się postawić na miejscu japońskiego dowódcy i odgadnąć, jaki teraz będzie jego ruch. Był jednak tak wyczerpany i przerażony, że nie mógł pozbierać myśli.

Noc ciągnęła się w nieskończoność, ciszę wypełniał jednostajny warkot generatora. James zastygł w bezruchu. Słyszał owady, które rozpoczęły swe uporczywe bzykanie, i włączające się w piskliwą kakofonię pojedyncze, głucho wrzaski gibbonów, dobiegające spod baldachimów drzew. Czarne niebo zaczęło się rozjaśniać na wschodzie.

O brzasku rozległy się nowe odgłosy — odległe, stłumione wystrzały, które stawały się coraz głośniejsze, jakby bliższe, po czym nagle ucichły. Ucichł także warkot pojazdów w oddali, zapadła cisza.

W końcu James dostrzegł ciężarówkę, podobną do swojej, która podskakując na drodze, zbliżała się wolno do obozu. Za nią pojawiły się następne i

gdy podjechały bliżej, James zobaczył, że są wyładowane uzbrojonymi ludźmi.

— Dzięki Bogu, że zdążyliście na czas — powiedział do amerykańskiego TLR majora.

— Jechaliśmy całą noc. Wiedziałem, że z wami krucho, gdy tylko usłyszałem, że zastaliście w obozie niewielu Japończyków. Musiało przecież być ich więcej. Zaplanowali zasadzkę. Próbowaliśmy wywołać was przez radio, ale nie było odpowiedzi, więc sądziliśmy, że już was zaatakowano. Niezłe sobie poradziliście. Gdy tylko wzeszło słońce, zaatakowaliśmy ich od tyłu, na tej drodze. Byli zaskoczeni, ale jak się zorientowali, ilu nas jest, poddali się. Już po wszystkim.

James uświadomił sobie nagle, że czuje tępy ból w klatce piersiowej, a w ustach suchość, jaką zwykle czuł odwiedzając dentystę. Język kleił mu się od krwi.

— Czy jest tu jakiś lekarz, który mógłby cię opatrzyć? — spytał Amerykanin, a James poczuł, jak chwytają go muskularne ramiona, gdy zaczął zapadać się w mrok.

Później zawsze mu się wydawało, że ta noc była pełna zamieszania i bezładnych, bezsensownych działań. Jednak kiedy go odznaczano, stwierdzono, że „kapitan James Bourton wykazał się odwagą i wytrwał na placu boju” oraz że „dowodził ludźmi mimo dwóch złamanych żeber i przebitego płuca, stawiał opór dwustu atakującym Japończykom i stracił tylko jednego żołnierza”.

W głębi duszy James odczuwał wstyd. Przypominał sobie, co czuł tej nocy, i nie zgadzało się to zupełnie z jego wyobrażeniami o bohaterstwie. Nie pamiętał tylko, kiedy go postrzelono. Jednak gdy Bill przyjechał do szpitala w Singapurze i powiedział o przyznanym mu odznaczeniu, James nie wyraził głośno swych wątpliwości. Doszedł do wniosku, że lepiej być bohaterem na niby niż ofermą naprawdę.

— Jedziemy do Lonnyu — powiedział Bill. Błotnisty teren szpitalny, który widać było za oknem, wypełniały rzędy namiotów; kiedyś umieszczano w nich rannych i chorych. Teraz wojska już nie było, a smagany deszczem TLR

brezent łopotał głośno na wietrze. — Potem nas zdemobilizują. Jezu, ale dziwnie wyglądasz w tej swojej jasnej skórze Europejczyka.

James pokiwał głową i potarł dłonią bladą twarz, z której zniknęły wszelkie ślady po sztucznym barwieniu skóry. W szpitalu zeszła mu nawet opalenizna.

— Sam się nie mogę nadziwić, jak popatrzę w lustro — przyznał. — Co masz zamiar robić, Bill, gdy cię zdemobilizują?

— Co ja zamierzam? Wrócić tu natychmiast. Bez obrazy, ale nie zamierzam zostać w starej, dobrej Anglii dłużej, niż będę musiał. Nie cierpię tamtego klimatu. Zobaczę, czy znowu otrzymam pracę w Peraku albo coś podobnego. Taki gość jak ja może się przydać w tym kraju. Ważniejsze jest, co ty masz zamiar robić.

— Chyba pożyję trochę na łonie rodziny. — James, który nie miał zwyczaju wybiegać myślami naprzód, spędzał tygodnie w szpitalu pogrążony w przyjemnej otchłani bezmyślności. — Dziwnie będzie wrócić do domu po tych wszystkich latach.

Australijczyk popatrzył na Jamesa ze złością i rezygnacją zza okularów w nowej stalowej oprawce.

— A co z tą kobietą, Jim?

— Jaką kobietą?

— No z tą, z którą się ożeniłeś. Pamiętasz, poślubiłeś w Kechil jakąś kobietę. Pamiętasz, że masz dziecko?

— Oczywiście, że pamiętam — oburzył się James. Zmieszał się, czując na sobie bezwzględne spojrzenie przyjaciela. Tak naprawdę nie myślał o Khatijah i dziecku przez całe tygodnie. — Wyślę jej jakieś pieniądze, nie będzie

miała powodów do zmartwień. Taka jak ona zawsze znajdzie sobie nowego męża.

— A może ona usycha z tęsknoty, wygląda cię z nadzieją, że pewnego TLR

dnia zjawisz się na drodze i zabierzesz ją ze sobą?

— Nie rozczulaj mnie, już prędzej uwierzę, że ma nowego kandydata i poszli do meczetu, by załatwić rozwód.

James oparł telegram informujący o jego odznaczeniu o pustą szklanę stojącą na stoliku przy łóżku i wpatrzył się w niego z satysfakcją.

— Wiesz, ci wieśniacy ani przez chwilę nie dali się nabrać. Pomagali nam, bo chcieli być po prostu po stronie przyszłego zwycięzcy. I mieli rację, cała wioska wymarłaby z głodu, gdyby nie nasze pieniądze. Wiedzieli, że odejdziemy, gdy wojna się skończy.

Po upływie miesiąca James usadowił się w niewygodnym fotelu w Dakocie i skrzywił się z bólu, bo żebra się jeszcze nie zrosły. Lecąc samolotem, oglądał pokryty dżunglą Półwysep Malajski, który wkrótce pozostał w tyle. Nawet z tej wysokości mógł odróżnić zarys korony każdego drzewa. Morze mieniło się różnymi odcieniami turkusowego, potem pojawił się czarny zarys Sumatry i James zagłębił się w fotelu.

— Dokąd pan leci? — spytał siedzący obok porucznik, częstując papierosem.

— Dziękuję, do Londynu. A pan?

— Kolombo. Wraca pan do domu?

James niepewnie skinął głową.

— Nie zastanawiałem się jeszcze nad tym.

— Chciałbym być na pańskim miejscu. — Towarzysz podróży odłożył papierośnicę i wyjął portfel. Wyciągnął ze środka starannie owiniętą w celofan fotografię kobiety z chłopcem.

— Nie widziałem juniora od czasu, gdy robiłem mu to zdjęcie. Żona

twierdzi, że nosi już długie spodnie. A pan ma rodzinę?

— Mój ojciec jest bardzo chory. Parę dni temu otrzymałem list.

TLR

— Przykro mi. Ma pan dzieci?

— Nie, jestem kawalerem. — James uważał, że mówi prawdę. Nie uznawał związku z kobietą innej rasy, zalegalizowanego przez pogańską religię.

— No cóż, teraz będzie mógł pan wybierać. — Mężczyzna po raz ostatni spojrział na fotografię i umieścił ją z powrotem w zniszczonym czarnym portfelu.

James poczuł się samotny. Gdzieś tam czekała na niego Anglia, rodzina, pozycja społeczna i emocjonalna pustynia pozostawiona przez matkę. Choć dusił w sobie wspomnienia, wiedział, że pozostawia kobietę, dla której był całym światem. No i dziecko, to nowe życie, które stworzył. Ilekroć myślał o tym, miał budzące grozę uczucie, że to dziecko, przypadkowy produkt rozbuhanych zmysłów, jest najlepszym wytworem jego życia.

TLR

19

Wiem, że nie powinnam tego mówić, proszę pani... — zaczęła niania

Barbara z pewnym zakłopotaniem, gdy skończyła przygotowywać Jamiego do

jazdy na kucyku. Byli w pokoju dzieciennym w Coseley, obszernym pomieszczeniu o niskim suficie z widokiem na park, do połowy zasłoniętym przez kolumnadę z szarego kamienia, która zdobiła pierwsze piętro budynku. — Myślę, że to straszne, że nie może pani mieć przy sobie Jamiego. Biedne maleństwo przez cały tydzień usycha z tęsknoty. Nie może się doczekać tego piątkowego wieczoru, kiedy ujrzy pani twarz, gdy całuje go pani na dobranoc.

Wydaje mi się, że sędzia był bardzo surowy dla was obojga.

Cathy westchnęła.

— Wiem. Ale przynajmniej jest tutaj i mogę go widywać w weekendy.

Jego ojciec po ponownym ożenku miał ochotę zabrać go do Nowego Jorku.

— Chwała Bogu, że tego nie zrobił, proszę pani.

— Niania wyszczotkowała lśniące czarne włosy chłopca, obcięte bardzo krótko w staromodnym stylu, i ostrożnie włożyła mu na głowę toczek z czarnego aksamitu.

TLR

— Jednak Jamie zawsze po pani wyjeździe płacze, jakby miało mu pęknąć serce.

— Nie, mamusiu, wcale nie. Jestem bardzo dzielny, nigdy nie płaczę.

Niania oszukuje! — zawołał Jamie. Odwrócił się i objął matkę za kolana, a jego żywe niebieskie oczy prosiły, by mu uwierzyła. — Nianiu, jesteś okropna. Przysięgłaś, że nigdy nie powiesz.

Cathy wzięła synka na ręce i przytuliła do siebie. Ona także płakała po każdym rozstaniu, a potem przez cały koszmarny tydzień męczyła się przy maszynie do pisania w Migatto, żyjąc tylko dla tej jednej chwili, gdy znowu poczuje rączki Jamiego obejmujące ją za szyję.

— Cieszę się, że niania mi o tym powiedziała, kochanie. Ja też bardzo za tobą tęsknię.

— Czy wkrótce będę mógł z tobą zamieszkać, mamó?

— Mam nadzieję, kochanie. Ale w Londynie nie będziesz mógł trzymać swojego kucyka.

— A właśnie, że będę.

— A gdzie?

— Będę go trzymał... — Czarne brewki uniosły się w górę, gdy chłopczyk się namyślał. — Już wiem! Będę go trzymał w moim pokoju, razem z zabawkami. Zrobię mu takie wielkie pudełko, a codziennie rano będzie jadł ze

mną śniadanie... — Podczas gdy Jamie paplał dalej, Cathy wymieniła z nianią

smutny uśmiech i odprowadziła synka do stajni, gdzie jego czarny szetlandzki kucyk gryzł z rozdrażnieniem uzdę.



Posadziła Jamiego na pilśniowym dziecięcym siodle, nogi w miniaturowych bryczesach ułożyła na beczkowatych bokach kucyka, skróciła strzemiona i wzięła synka na spacer po majątku. Przepych domu i otoczenia przytłaczał ją, czuła się bezsilna. Jak może mieć nadzieję na zapewnienie synowi dobrego życia? Zdążył już przywyknąć do takiego luksusu. Ona miała tylko marną pensję i mieszkanie, które było tak małe i ponure, że czuła się, jakby

TLR  
żyła w dwóch ustawionych na sztorc trumnach.

Był luty, a trawa miała szarawy, martwy kolor. Przeszywający, porywisty wiatr hulał po całym majątku. Cathy zastanawiała się, czy kiedykolwiek uwolni się od poczucia winy za tę chwilę słabości, która umożliwiła sądowi odebranie jej syna po rozwodzie. Nienawidziła tego poczucia winy, nie tylko dlatego, że było bolesne, ale i dlatego, że była to strata energii emocjonalnej. Zachęcona przez lorda Shrewtona, spędzała w Coseley każdy weekend. Teraz, gdy Charlie nie żywił już do Cathy żadnych uczuć, markiza była ujmująco miła. Ponieważ Cathy nie miała pojęcia, że ta intrygantka odegrała pewną rolę w rozbiciu jej małżeństwa, żyła w przyjaźni z obojgiem byłych teściów. Wyglądało na to, że Charlie nie zamierza powrócić do Anglii. Najgorsze były dla Cathy poniedziałkowe poranki, bo po weekendzie spędzonym w Coseley ból rozstania z Jamiem był jeszcze świeży. Miłość do syna stanowiła jedyny szczęśliwy akcent w jej życiu.

Mieszkanie Cathy składało się tylko z dwóch pokoi. Jako sekretarka zarabiała niewiele więcej od niani Barbary, która miała ponadto zapewnione darmowe mieszkanie i wyżywienie.

— Muszę awansować — powiedziała do Monty, kończąc fastrygować podkład biało-niebieskiej perkalowej sukienki, którą właśnie szyła. Wbijając igłę w materiał i wyjmowała z taką wściekłością, że za każdym razem rozlegał się w powietrzu cichy trzask. — To koszmar pracować z tymi wszystkimi facetami, wiedząc, że wcale nie są mądrzejsi ode mnie, a zarabiają dziesięć

razy więcej, chociaż lord Shrewton i tak mnie przepłaca.

— Co takiego mają ci faceci, czego ty nie masz? — spytała Monty, podając siostrze nożyczki. Gdy patrzyła na Cathy, która znowu z konieczności szyła sobie ubrania, czuła się głupio w swych luksusowych ciuchach. Łatwo było zapomnieć, jak żyje się innym ludziom, teraz gdy Rick był wielką gwiazdą i wszędzie jeździł Rolls-Royce'em albo latał prywatnym odrzutowcem. Poprawiła nerwowo szerokie klapy jaskrawo— niebieskiego ałłasowego żakietu od TLR

St. Laurenta i pożałowała, że nie założyła czegoś mniej rzucającego się w oczy.

— Ci faceci mają za sobą egzaminy, dyplomy, noszą krawaty ze znaczkami renomowanych szkół... jednak po zastanowieniu doszłam do wniosku, że nie wszystkim to pomaga. Mój szef zawsze mówi, że niektórzy maklerzy to

tylko straganiarze z East Endu. — Cathy skończyła podszywanie sukienki i podeszła do deski, by ją odprasować. — Moja mądra Monty, masz właściwie rację. Skoro oni potrafią, to ja także.

— Ale dlaczego zależy ci akurat na tym, Cathy? Czy nie byłoby łatwiej zająć się dostarczaniem lunchu do sal konferencyjnych, założyć prywatną restaurację czy coś w tym rodzaju?

— O tak, byłoby łatwiej — powiedziała Cathy ostrym tonem, przykładając do siebie nową sukienkę, by pokazać Monty, jak wygląda. — Łatwo byłoby zarabiać na życie szyciem, gotowaniem albo opieką nad dziećmi, ale zarabiałabym właśnie tylko na życie. W tym bloku mieszka pełno takich dzielnych rozwódek jak ja, które zarabiają kilka funtów tygodniowo gotowaniem lunchu i mają nadzieję, że cholernie prędko wyjdą ponownie za mąż. Czy ty nie rozumiesz, Monty? Ja muszę zrobić pieniądze, prawdziwe, duże pieniądze, bo potrzebuję ich, by stworzyć Jamiemu dom. A prawdziwe pieniądze robi się właśnie tam.

Cathy mówiła z dużą pewnością siebie, ale wcale się tak nie czuła. Wie-

działa, że mówi o jednym wielkim klubie męskim, którego punktem honoru jest nieprzyj— mowanie kobiet w poczet swoich członków. Dzięki ojcu Cathy doskonale znała to niepisane prawo i próba zmiany tych zasad zakrawała na karkołomne zadanie.

Komuś, kto wchodził do budynku zajmowanego przez Migatto Group od razu przychodziło na myśl, że wszystko wokół świadczy o trzech dewizach tego przedsiębiorstwa: prosperita, stabilność i maskulinizacja.

TLR

W hallu, który przemierzała Cathy kilka razy dziennie, znajdowały się masywne porfirowe kolumny, marmurowa posadzka w czarno-szarą szachownicę, a ściany pokryte były ciemną dębową boazerią z rzeźbionymi zdobieniami w formie owoców.

Przy wielkiej tablicy informacyjnej siedział szwajcar i powiadamiał przybyłych, czy dany dyrektor lub pracownik Migatto jest obecny. Przed każdym z nazwisk widniał tytuł — „Lord”, „Sir” lub po prostu „Pan”.

Nad nie używanym kominkiem w hallu wisiał portret fundatora, Samuela Migatto, w bobrowym futrze i obcisłym czarnym birecie z klapkami opadającymi na uszy. Miał białą brodę, przenikliwe spojrzenie i haczykowaty nos, który artysta wyeksponował. Portret pochodził z końca siedemnastego wieku. Wtedy właśnie w skrupulatnie prowadzonych londyńskich rejestrach handlowych po raz pierwszy pojawiło się nazwisko Samuela Migatto. Pod portretem znajdował się odpis strony z księgi rachunkowej East India Company, na której odnotowano jego debiut. Transakcja nr 309 została dokonana pod koniec Januarie, Anno 1690. Samuel zapłacił siedem funtów za prawo importu 80 uncji złota do Londynu.

Wzdłuż szarych kamiennych schodów wisiły inne portrety mężczyzn.

Im wyżej Cathy wchodziła, tym mniej okazałe stawało się wnętrze. Rzeźbiony dąb zastępował mahoń, potem drzwi były obite już tylko wykładziną z drewna tekowego, a na najwyższym piętrze, gdzie pracowała, sufit pokrywały

kafle z polistyrenu. Cathy dzieliła pokój z inną sekretarką, panną Finch. Była to niska, bystra stara panna z wystającymi zębami i siwymi włosami, która przypominała Cathy teriera. Pracowała dla stojącego wysoko w hierarchii urzędniczej dyrektora z drugiego piętra.

Szef Cathy, M.J. Gibson-Wright, miał biuro tuż obok, co świadczyło o jego bardzo niskiej pozycji.

— Moja droga, wyznaczono cię do pracy u dinozaura — powiedział jej pierwszego dnia. — Właściwie powinienem stąd zniknąć kilka lat temu, po ostatnich przetasowaniach personalnych. Przekonasz się, że często zostawiam rozum w kieszeni. Jestem tu tylko dlatego, że taniej wyjdzie, jak pozwolą mi TLR

tu umrzeć, niż gdyby mnie wylali. A teraz zastanówmy się, gdzie zjemy lunch. Lubisz rybę?

Miał białe włosy na skroniach i szare na głowie, więc przypominał Cathy mewę. Już na pierwszy rzut oka widać było, że dobrze mu się powodzi, a podeszły wiek, otyłość i artretyzm sprawiały, że chodząc kołysał się na boki. Kiedy on popatrzył na Cathy, ujrzał szczupłą, spiętą dziewczynę o nawiedzonych oczach, która lekko utykała. Pomyślał, że mogłaby być całkiem ładna, gdyby nie była tak pogrążona w nieszczęściu.

— Nazywaj mnie G.W., tak jak wszyscy — powiedział uśmiechając się ponad platerową zastawą z przyprawami. Restauracja utrzymana była w tym samym ciężkim stylu, co budynek Migatto, wszystko było w ciemnym drewnie, a na ścianach wisały portrety oprawione w złoczone ramy. — Co byś powiedziała na krewetki?

— Myślę, że muszę podciągnąć się trochę w maszynopisanu... — zaczęła Cathy nerwowo. — Ale ostatnio intensywnie ćwiczyłam stenografię i jestem pewna, że zdołam...

Gibson-Wright podniósł kieliszek sherry, dając jej znak, żeby przerwała.

— O ile wiem, moja droga, twoje umiejętności nie mają żadnego znacze-

nia. Ja potrzebuję kogoś do kupowania cygar, zakreślenia w gazecie artykułów, które warto przeczytać, zamawiania stolika na lunch i pomagania pod koniec dnia, albo i wcześniej, przy wsiadaniu do samochodu. Poza tym twoim najważniejszym obowiązkiem będzie pilnowanie, by nikt nie zakłócał mi snu. Po południu lubię sobie uciąć drzemkę.

Cathy wpadła w przygnębienie, gdy zorientowała się, że wykonywanie tych trywialnych obowiązków do niczego nie prowadzi. Posłusznie kupowała szefowi cygara, zamawiała stolik w restauracji i codziennie rano przeglądała „Financial Times”, zaznaczając fragmenty, które, jej zdaniem, powinien przeczytać. G.W. kilka razy w tygodniu zabierał Cathy na obiad i opowiadał jej TLR

różne niedyskrecje o mężczyznach znajdujących się właśnie w restauracji. Poza kelnerkami nie było tam żadnych kobiet.

Lady Davina była dla Cathy prawdziwym utrapieniem. Włączyła ją do komitetów organizujących bale dobroczynne i wpychała w ramiona kolejnych dobrze zapowiadających się kandydatów na mężów. Bez przerwy łąjała ją też, że nie dba o aparycję.

— Nie możesz przez resztę życia usychać z tęsknoty za Charliem — powiedziała babka, mimo że Cathy nigdy nie wspomniała ani słowem o swym byłym mężu. Jedyna bowiem rzecz, która jej przychodziła do głowy, to stwierdzenie, że jest on żalosną karykaturą człowieka. Żałowała, że, poza Jamiem, kiedykolwiek coś ją z nim łączyło.

— Tak to jest na tym świecie — ciągnęła lady Davina. — Dziewczynki stają się kobietami, ale każdy mężczyzna pozostaje małym chłopcem. Wcale się nie dziwię, że Charlie przestał się tobą interesować po ślubie. Trzeba pielęgnować tajemnicę, moja droga. Na tym polega sztuka utrzymania małżeństwa. Mężczyzna musi być wciąż tobą zafascynowany. Następnym razem nie zapominaj o tym.

— Nie będzie żadnego następnego razu, Didi.

— Nonsens! — Starsza pani zbyła opinię Cathy niecierpliwym gestem ręki i pobrząkiwaniem bransolet. — Teraz tak mówisz, ale wkrótce się przekonasz, że właściwie nie sposób żyć bez męża.

Żeby odczepić się od lady Daviny, a także dla własnej przyjemności, Cathy zaczęła spotykać się z Rupertem Lampeterem. Był to stary kumpel Charliego z drużyny polo, najprzystojniejszy ze szczupłego grona przyjaciół byłego męża Cathy, którzy natychmiast po rozwodzie zainteresowali się nią, w nadziei że padnie na nich blask rodu Coseleyów.

Rupert dostarczał jej wielu rozrywek. Był straszliwie lekkomyślny i nie wykazywał żadnego zainteresowania butikiem, wytwórnią płyt, trzema restau-

racjami i spółką zajmującą się nieruchomościami, które w szybkim tempie TLR

pochłaniały jego spadek. Rupert był wysoki, dobrze zbudowany i pięknie się ubierał, miał doskonałe maniery, falujące jasne włosy i szare oczy. Był przekonany, że nawet najprzebieglejsza z kobiet nie złowi go na męża, co Cathy bardzo odpowiadało. Rupert flirtował z nią zapamiętale, a ona czuła, że rozkwita, otoczona jego podziwem.

Pewnego wieczoru Rupert odwiózł ją do Battersea, zaparkował zgrabnego niebieskiego Mercedesa pod gęstymi koronami platanów, po czym objął Cathy delikatnie i lekko musnął jej usta. Poczowała natychmiast, że cała sztywnieje, jakby ciało zamieniło się w kawał lodu, i myślała, że zwymiotuje. Oblała się zimnym potem, a ramiona, które niedbałym ruchem zarzuciła Rupertowi

na szyję, zaczęły drżeć.

— Uspokój się — szepnął, wyczuwając jej dziwną reakcję. — Biedna mała, jesteś w strasznym stanie. Lepiej będzie, jak nie będziemy się śpieszyć, prawda?

Jednak po dwóch tygodniach nie było żadnej poprawy. Rupert był delikatny, cierpliwy, pociągający i miał poczucie humoru, ale w jego ramionach

Cathy czuła jedynie gwałtowny niepokój. Czasami zdawało jej się, że każda komórka jej ciała wzbrania się przed dotykiem mężczyzny.

— Czuję się tak, jakbym padła ofiarą jakiegoś makabrycznego żartu — zdesperowana Cathy zwierzała się siostrze. Rick i Monty przenieśli się właśnie do ozdobionego stiukami domu w Chelsea, niedaleko Tamizy. Cathy właśnie pomagała Monty rozwieszać barwną zawartość neseserów w ubieralni.

— Rupert jest doskonały pod każdym względem, ma wszystko, czego oczekuję od mężczyzny, jest o wiele, o wiele lepszy od Charliego — ciągnęła Cathy, podając Monty suknię z irchy wyszywaną paciorkami. — Nie potrafię nawet ci opisać, jaki on jest kochany i cierpliwy. Jednak jak tylko mnie dotknie, cała sztywnieję. To straszne.

— Czy on ci się podoba? — spytała Monty podnosząc nogę, by obejść TLR

pięć par butów na wysokich obcasach, których ani razu jeszcze nie włożyła.

— Tak, w każdym razie tak mi się wydaje. Jest przystojny, zabawny i lubię zapach jego wody po goleniu. Czegóż więc jeszcze trzeba? — Cętkowane, piwne oczy Cathy, może z powodu kiepskiego światła w ciasnym pomieszczeniu, były jakieś dziwnie matowe i obojętne.

— O, całkiem niewiele. Chodzi o to, by serce podskakiwało ci na jego widok, byś cała topniała w środku pod jego dotykiem i potem nie była w stanie myśleć o niczym innym całymi godzinami. Może ci się tylko wydawać, że ktoś ci się podoba, a wcale tak nie jest.

Ruchliwa górna warga Cathy wygięła się w pogardliwym grymasie.

— To jakieś pensjonarskie brednie. Czy ty czujesz do Ricka to wszystko, co opisałaś?

Monty zatrzymała się na chwilę z naręczem jaskrawych szyfonowych sukienek, w których występowała na scenie, i zastanawiała się, czy powiesić je razem z ubraniami noszonymi na co dzień. Zależało jej na Ricku, jego nie-

pewność i słabostki wzbudzały w niej uczucia opiekuńcze, lubiła się z nim kochać i czasami zdawało jej się, że są połówkami tej samej istoty. Jednak nie budził w niej doznań, które opisała siostrze.

— Tak, może i masz rację. Może to zdarza się tylko za pierwszym razem, a potem wszystko jest jak... pasta do zębów. — Westchnęła, czując się, jakby miała o wiele więcej niż dwadzieścia dwa lata. — Może twoje ciało jest mądrzejsze od umysłu — powiedziała zamykając wreszcie drzwi ubieralni. — Charlie rzeczywiście doprowadził cię do koszmarnego stanu. Po prostu nie jesteś jeszcze gotowa, by kogoś pokochać.

— Czy sądzisz, że jestem oziębła? — Cathy z trudem wypowiedziała to słowo. Bycie oziębłą w jej pojęciu dyskwalifikowało ją jako kobietę.

— Nie, oczywiście, że nie — zapewniła natychmiast Monty i serdecznie objęła siostrę. — Po prostu potrzebujesz czasu, żeby się przystosować, dojść do siebie.

TLR

W głębi ducha Cathy nie była jednak przekonana, czy Monty ma rację. Teraz, gdy odczuwała wstręt do uprawiania seksu, zauważyła, że wiele innych rzeczy też nie sprawia jej przyjemności. Nie zależało jej na ciuchach, nie rozkoszowała się dobrym jedzeniem, nie poruszała jej uroda ani mężczyzn, ani kobiet, piękno sztuki, łatwo popadała w znudzenie i nie potrafiła śmiać się z rzeczy, o których wiedziała, że są zabawne.

Czuła się tak, jakby jej wszystkie zmysły zostały zamrożone.

Wreszcie z tego ponurego więzienia emocjonalnego wyciągnął ją szef.

Sądziła, że została sekretarką schorowanego ramola ze względu na brak umiejętności. Jednakże lord Shrewton z premedytacją wysłał ją do biura Gibsona— -Wrighta w nadziei, że dobroduszny starszy pan będzie miał na nią zbawienny wpływ.

— Wydajesz mi się dość inteligentna — powiedział pewnego dnia Gibson-Wright z pewnym rozbawieniem. — Twój były teść ostrzegł mnie, że



straciłaś rozum, gdy Charlie dał drapaką. Osobiście zawsze uważałem, że kobieta angażująca się w związek z młodym Coseleyem musi mieć nie po kolei w głowie. Dlaczego właściwie to zrobiłaś?

— Byłam zakochana.

— Przypuszczam, że to spowodowało kompletne wariactwo.

Cathy roześmiała się, czując jak rozluźnia się jej napięta, odwykła od uśmiechu twarz.

— Nie śmiej się z moich dowcipów, na litość boską. Wszyscy pomyślą, że jesteś moją nową kochanką i potem nie będę miał spokoju w domu. W ciągu pierwszych trzech miesięcy pracy Cathy napisała na maszynie tylko siedem listów dla G.W. Panna Finch zasugerowała, że powinna się zająć porządkowaniem registratorów, natomiast Cathy zaproponowała, że zamiast tego wyręczy ją w protokołowaniu zebrań rady zarządu, co spotkało się z pełną oburzenia odmową starszej pani. Jednak wkrótce zachorowała i Cathy po-  
TLR

proszono o zastąpienie jej. Gdy panna Finch wróciła do pracy, odkryła, że Cathy rości sobie z uporem prawo do przejęcia jej najistotniejszej funkcji, a nawet wynegocjowała dzięki temu niewielką podwyżkę.

Co czwartek kobieta, wyglądająca dokładnie tak samo, jak panna Finch, przychodziła z księgowości z tacą pełną brązowych kopert i wręczała obu sekretarkom pensje. Panna Finch parsknęła z oburzeniem, dając jasno do zrozumienia, że, jej zdaniem, Cathy nie zasługuje na te pieniądze.

— Tygodniówka! — mruknął G.W., gramoląc się do sekretariatu, gdy księgowa wyszła. — Zobaczmy, ile ci płacą za to, że ze mną wytrzymujesz. Ciekaw jestem, jak długo musisz oszczędzać na nową sukienkę? Pozwól no do mojego biura.

Cathy poszła za szefem i stanęła na wytartym dywanie.

— Szkoda, że nie dali panu przyzwoitego gabinetu — powiedziała, rozglądając się po obskurnym pomieszczeniu.

— Jest odpowiedni do mojego stanowiska, moja droga. Zdegradowano mnie i tylko tyle mi się należy. Gdy przyjdzie na ciebie kolej, nigdy nie przywiązuaj wagi do rzeczy nieistotnych. Kobiety są na ogół zdania, że symbole statusu są nieważne i mają rację.

— Co ma pan na myśli, mówiąc, że przyjdzie na mnie kolej? — spytała Cathy siadając na wytartej skórzanej sofie, na której G.W. ucinał sobie popołudniową drzemkę.

G.W. opadł ciężko na jedyne w tym pokoju krzesło.

— Masz dwa razy więcej ikry i rozumu niż większość pracujących tu mężczyzn. Teraz przebywasz w stanie hibernacji, młoda damo, ale wkrótce nadejdzie dzień, gdy zechcesz wykorzystać swoje zdolności. A ja mam zamiar

pokazać ci, jak zacząć. Daj mi swoją tygodniówkę.

Cathy podała mu kopertę, a G.W. rozdarł ją niezręcznym ruchem starczych palców.

TLR

— Co my tu mamy? Trzydzieści cztery funty i dziesięć pensów. Tu masz cztery funty na autobus. — Wcisnął w rękę Cathy banknoty i przysunął sobie telefon.

— Nie możemy otworzyć dla ciebie rachunku u mojego maklera, dopóki nie będziesz miała większej sumy, więc na początek sam kupię dla ciebie akcje. Jeśli chcemy zarobić coś do wtorku, potrzebujemy akcji, które szybko zmieniają ceny. — Wpatrzył się bystrym wzrokiem w listę cen akcji.

— Ale ja nie mogę grać na giełdzie pieniędzmi ze swej wypłaty! — zaprotestowała Cathy.

— Na giełdzie się nie gra — poprawił ją G.W., przedrzeźniając jej pełen nagany ton. — Gra się w Monopol i jest to o wiele ryzykowniejsze. Na giełdzie się inwestuje. A teraz weź to — włożył w jej rękę dziesięciopensówkę — i rzuć. Jak wypadnie orzeł, kupujemy złoto, jak reszka akcje Fraser's Hill. — Wypadła reszka i G.W. zatelefonował do swego maklera.

Gdy nadszedł weekend, Cathy nerwowo zaczęła wertować gazetę, by sprawdzić ceny akcji. Akcje Fraser's Hill, australijskiej spółki górniczej, podskoczyły w ciągu dwóch dni o prawie dwadzieścia pensów.

— Zarobiłaś ponad jedenaście funtów — poinformował we wtorek rano G.W. — Zwracam ci tygodniówkę.

— Przesunął kupkę banknotów przez blat biurka. — Więc co robimy? Spieniężamy akcje, pozostawiamy je, czy może masz jakiś lepszy pomysł? Cathy zamyśliła się.

— Chyba lepiej było zainwestować w złoto... — zastanawiała się głośno, skubiąc skraj granatowej sukienki z krepy.

Lata spędzone z Charliem nauczyły ją, że niebezpiecznie jest kwestionować zdanie mężczyzny.

— Doskonale. Tak, zysk byłby większy. Chcesz zamienić akcje?

TLR

— Tak — odparła Cathy. — Fraser's Hill jest przepłacana.

— Oczywiście musisz liczyć się z tym, że prowizja maklera pochłonie cały zysk z tej transakcji. — G.W. zetknął czubki palców i przyglądał się ponad nimi Cathy z pobłażliwym wyrazem twarzy.

— To może lepiej nie ruszać akcji?

— To twoje pieniądze, moja droga.

— Dobrze, więc nie będę nic zmieniać.

Cathy sprawiała teraz wrażenie szczęśliwszej niż w ciągu tych wszystkich miesięcy przepracowanych w Migatto. G.W. dziwił się, że dziewczyna rozkwita tylko wtedy, gdy robi pieniądze, a wygląda na znużoną w czasie wystawnych kolacji i słuchania komplementów. Jednak Cathy naprawdę się zmieniła. Jej chód stał się lekki, na ustach zagościł uśmiech, włosy nabrały dawnego połysku, a cera stała się świeża i oliwkowa jak niegdyś. Znudziły jej się skromniutkie sukienki i kupiła sobie wełnianą jaskrawo— czerwoną kiec-kę. G.W. krok po kroku zaznajamiał ją z innymi akcjami różnych towarów,

walut, metali. Prawie zawsze korzystnie lokowała pieniądze, raz tylko straciła wszystko, gdy zdecydowała się na akcje kompanii zajmującej się nieruchomościami, która nagle splajtowała.

— Czy nie mógł mnie pan uprzedzić, że tak się stanie? — spytała.

— Tak, moja droga, mogłem. Ktoś w zeszłym tygodniu szepnął mi słówko przy barze w Athenaeum. To oczywiście będzie problem w twoim przypadku. Na giełdzie nie chodzi tylko o to, kogo znasz. Ważne jest, co wiesz, kto udziela ci informacji, jak blisko związany jest z giełdą, na ile świeże są te informacje. Nigdy nie zapominaj o tym, że pieniądze to tylko informacja w obiegu. Zdarzało mi się zarabiać tysiące funtów w ciągu lunchu, gdy sprawy miały szybki obrót. Ty, moja droga, nie możesz stać przy barze w Athenaeum — zakończył z żalem G.W. Potem ujął gruby georgiański łańcuszek i wyciągnął z kieszonki kamizelki złoty zegarek.

TLR

— No tak, a gdzie wybierzemy się na obiad? — spytał.

Panna Finch była wciąż nadąsana i wrogo nastawiona do Cathy.

— Ona uważa, że uprawiam hazard — powiedziała Cathy do G.W., pomagając mu wysiąść z samochodu, gdy wracali z obiadu. — W kółko powtarza, że „każdy zaoszczędzony grosz to grosz zarobiony” i rozprawia o swej emeryturze.

— Typowo kobiece podejście. Poza ciułaniem pieniędzy w skarpecie nic nie potrafią wymyślić. Potrzebna jest wyobraźnia, odwaga! Tak się zostaje milionerem!

Cathy uznała, że nadszedł czas na wyłuszczenie swoich planów.

— G.W., czy pan może mi pomóc? — spytała.

Rozpromienił się, wyraźnie usatysfakcjonowany.

— W czym, moja droga?

— Odejść od pana.

— Ach te kobiety, w końcu zawsze mnie porzucają — zażartował.

— Nie mogę już być sekretarką. Rozpaczliwie potrzebuję pieniędzy, bo dopiero wtedy będę mogła ubiegać się o przyznanie mi opieki nad synem. Muszę mieć prawdziwą pracę, muszę zacząć myśleć o karierze...

— Masz na myśli karierę w świecie interesów? — W wodnistych oczach starszego pana malowało się zaskoczenie.

— Tak. — Cathy uśmiechnęła się z nadzieją.

— Wielkie nieba! Choć właściwie, czemu nie? Kilku kobietom to się udało. Ale dlaczego zwracasz się z tym do mnie? Dlaczego nie poprosisz o pomoc lorda Shre— wtona?

— Naturalnie mogłabym to zrobić i prawdopodobnie coś by mi znalazł, ale zrobiłby to z uprzejmości, z poczucia winy i dlatego, że krępowałyby się mi TLR

odmówić. Poza tym wszyscy mieliby mi to za złe i uważali, że awansuję nie ze względu na swe umiejętności, tylko dlatego, że jestem byłą synową szefa.

— Widzę, że przemyślałaś sobie wszystko. No cóż... Jesteś bystra, dobrze liczysz, potrafisz zachować zimną krew... Może powinnaś spróbować na Gieldzie Metali. Ci młodzi maklerzy od metali zarabiają krocie, jeśli są dobrzy. Trzeba mieć odpowiedni temperament, z tym się trzeba urodzić. Zorientujesz się, czy dasz sobie radę. Tak, jeśli chcesz szybko zarobić pieniądze, musisz zająć się metalami. — G.W. przyjrzał się Cathy uważnie, jakby chcąc oswoić się z myślą, że mówiła poważnie. — Pogadam jutro z Henrym Rose'em, który kieruje salą dealerską.

Wrócili do biura spacerkiem po ładnym łuku Finsbury Circus, rozkoszując się letnim słońcem. Na małym, pomalowanym na biało podwyższeniu w parku orkiestra dęta grała uroczą wiązaną melodię z Mikado. Po raz pierwszy

od bardzo dawna Cathy poczuła się szczęśliwa.

Jak zwykle po lunchu G.W. był na lekkim rauszu, ale mógł jeszcze sam wspiąć się po schodach. Trzymając cygaro, machnął ręką w kierunku Samuela

Migatto.

— Ten nigdy nie przeszedł na emeryturę, prawda? W jego czasach kupowało się złoto, nie mając pewności, czy tydzień później nie złupi go hiszpańska armada lub piraci. — Wolną ręką chwycił za poręcz i mówił dalej: — Nie daj się wyprowadzić w pole, dziewczyno. Gdyby nie żydowscy bankierzy, nie byłoby historii Anglii! — Zatrzymał się na drugim półpiętrze, by zaczerpnąć powietrza. — Uroczy ksiązę Charlie został pożegnany przez armię brytyjską opłaconą dzięki pożyczce Migatto. Napoleon kosztował ten kraj czterysta milionów funtów i, pieniądze te przede wszystkim znaleźli tu, w Citty, Żydzi i kwakrzy!

Z westchnieniem ulgi G.W. wdrapał się na sam szczyt schodów i skierował się do gabinetu. Cathy otworzyła drzwi, a następnie pomogła mu zdjąć marynarkę. . — Pieniądze nie mają nic wspólnego z gospodarnością i emeryturą. Wiedziałybyś to już dawno, gdyby nie uczyły cię historii takie stare plotkary jak panna Finch. Pieniądze to władza, wolność i przyszłość — zakończy-

TLR

ł, powieki opadły mu ciężko i w kilka sekund zapadł w rozkoszną drzemkę. Cathy zdjęła mu buty i wyszła na palcach.

O wpół do piątej jak zwykle zrobiła szefowi herbatę i zadzwoniła po szofera, by odwiózł go do domu.

Gdy następnego dnia zjawiała się w Migatto, zastała pannę Finch uwijającą się w gabinecie G.W.

— Skończyło się — oświadczyła. — Tej nocy skonał w swoim domu. Na swoje szczęście. Masz mi pomóc uporządkować ten pokój, a potem przeniesiesz się na dół. Będziesz teraz pracować dla młodego pana Migatto i pana Mainwaringa.

Cathy zgarnęła z biurka swoje rzeczy i powkładała przedmioty należące do Gibsona-Wrighta do torby, którą miała zabrać rodzina. Ogarnął ją smutek, bo straciła życzliwego człowieka. Poza tym miała nadzieję, że stanie się jej

doradcą, wiedziała, że bez niego będzie jej o wiele trudniej wyrwać się z maszyny do pisania.

Migatto, piętnasty w kolejności potomek Samuela, był deputowanym do Parlamentu z ramienia Partii Konserwatywnej i bardzo rzadko zjawiał się w biurze.

Mainwaring był łysy i zarozumiały. Gdy tylko nadarzyła się okazja, klepał Cathy po tyłku; zaczęła więc sama otwierać sobie drzwi, by nie dać pretekstu do poufałości.

Mainwaring, podobnie jak G.W., nie przemęczał się i również zapraszał Cathy na obiady.

— ...moja żona i ja od paru lat żyjemy osobno — oświadczył przy pierwszej okazji.

— ...z moją pozycją związanych jest wiele rozrywek towarzyskich — powiedział przy drugim obiedzie. — Czy często wychodzisz wieczorami?

TLR

— Tak, raczej często. — Nie chciała zachęcać natręta. Od kiedy Rupert z żalem się wycofał, Cathy rzadko zdarzało się wychodzić. Czasami dotrzymywała Monty towarzystwa, gdy Rick rozbijał się gdzieś z Cy.

— Wesoła rozwódka, co?

Cathy odsunęła kolano, nim zdążył za nie złapać. Z mściwą satysfakcją zamówiła najdroższe danie z menu, ale jej adorator uznał to za zachętę.

— W czwartek wyjeżdżam do Brukseli — powiedział w czasie trzeciego obiadu. — Może zostanę tam na weekend. To przyjemny wyjazd, może masz ochotę mi towarzyszyć?

— Nie, dziękuję — odparła Cathy.

— Czy myślisz, że jeśli byłaś żoną spadkobiercy lorda Shrewtona, to możesz zachowywać się, jak ci się żywnie podoba? — warknął piorunując ją spojrzeniem zza grubych szkielec.

— Nie rozumiem, co moje małżeństwo ma tu do rzeczy — rzuciła Cathy.

— Naturalnie, że mogę zachowywać się, jak mi się podoba, bez względu na to, kim jestem.

— Na twoim miejscu nie polegałbym za bardzo na koneksjach z rodziną byłego męża. Wiem z doświadczenia, że to niewiele znaczy.

Cathy sączyła wino i zastanawiała się, co zrobić, żeby Mainwaring zostawił ją w spokoju, a zarazem nie stał się jej nieprzejednanym wrogiem. Mężczyźni przy sąsiednim stole przerwali dyskusję na temat widoków konserwatystów na zwycięstwo w zbliżających się wyborach i rozmawiali o jakichś błahostkach, czekając na konfrontację Cathy z Mainwaringiem.

— Czy może mi pan coś wyjaśnić? — spytała Cathy, odwracając butelkę, by spojrzeć na etykietkę. — Dlaczego wybrał pan to wino? Rocznik 62 był najgorszy od czasu wojny. Poza tym St. Eustache jest w ogóle kiepskie, dlatego też jest takie tanie.

Mainwaringa najwyraźniej ogarnęła wściekłość.

TLR

— Przekonasz się, że nie warto się przy mnie wymądrzać, młoda damo. Jesteś jedną z tych sufrażystek, co? Może spaliłaś swój stanik?

Przy sąsiednim stoliku rozległ się stłumiony śmiech.

— Uważaj, stary, to zwierzątko gryzie! — ostrzegł jakiś podpity mężczyzna. Był wysoki, otyły, a jego młoda twarz nie pasowała do nobliwego szarego garnituru i koszuli w szerokie niebieskie prążki. Po wielu godzinach spędzonych w sali konferencyjnej, gdzie z poważną miną sporządzała protokoły, Cathy rozpoznała w nim Henry'ego Rose'a. Kierował w firmie grupą ludzi,

która zajmowała się akcjami metali i ropy. To z nim właśnie G.W. miał pomówić o pracy dla Cathy.

Rose mrugnął przyjaźnie do Cathy, gwizdnął na kelnera i kazał mu połączyć stoliki, kładąc kres prześladowaniom Mainwaringa. Podzielili rachunek na cztery, po czym pan Mainwaring ulotnił się na spotkanie, o którym Cathy wiedziała, że jest fikcją, pozostawiając Henry'emu holowanie jej przez



wąskie  
uliczki City.

— Dobrze powiedziane z tym St. Eustache. Muszę to zapamiętać. Jakim cudem znasz się na winach?

— Ojciec mnie nauczył.

— Szczęściara. Musisz mnie nauczyć. Ja umiem je tylko pić. Pracowałam dla G.W., na najwyższym piętrze, prawda? Jaka szkoda, że odszedł, będzie nam go brakowało.

Teraz albo nigdy — pomyślała Cathy.

— Mnie też go brakuje — powiedziała. — Właściwie to obiecał mi porozmawiać z panem o mnie, ale nie sądzę, by zdążył to zrobić przed śmiercią.

— Tak? A o co chodzi? — spytał Rose z wyrazem szczerzej sympatii na twarzy. Cathy zauważyła, że nie przeszkadzało mu, że ona idzie po chodniku od strony jezdni. Żaden ze starszych panów nie pozwoliłby sobie na taką nie-  
TLR

grzeczność wobec damy. Jednak Cathy dobrze się z tym czuła. Miała bowiem wrażenie, że wyrwała się z fałszywego świata lady Daviny, ze świata, w którym mężczyźni rządzą, a kobiety manipulują.

Cathy zaczerpnęła powietrza w płuca i powiedziała:

— Chciałabym spróbować szczęścia na Giełdzie Metali.

Zbliżali się właśnie do okazałego, otoczonego kolum nami wejścia do gmachu Migatto. Rose zatrzymał się i w milczeniu przyglądał się przez chwilę Cathy.

— Jeszcze nigdy akcjami metali nie zajmowała się kobieta — powiedział lekceważąco. — Ale właściwie, dlaczego nie? Nie jest tam łatwo, myślisz, że się nadajesz?

— Oczywiście, że tak, w przeciwnym razie nie prosiłabym o zatrudnienie. — Cholera — pomyślała — wszystko popsułam. Dlaczego nie wyraziłam się taktowniej? Jednak Rose nie wyglądał na obrażonego.

— Powiedz mi — zaczął, obrzucając ją uważnym, lecz pozbawionym cienia lubieżności spojrzeniem — czy przysłuchiwałaś się w restauracji mojej rozmowie przy stoliku, podczas gdy Mainwaring robił z siebie osła?

Cathy skinęła głową.

— Rozmawiał pan o wyborach. Powiedział pan, że gdyby nie wyrzucono Harolda Wilsona, byłaby straszliwa inflacja, a kraj popadłby w ruinę.

Rose odrzucił głowę do tyłu i zaniósł się niepohamowanym, rubasznym śmiechem, który odbił się echem od łukowatej fasady Finsbury Circus.

— Nic nie uszło twojej uwagi, prawda?

— Ja mimowolnie... — zaczęła z zakłopotaniem Cathy. Weszli do gmachu i skierowali się do schodów.

— Nie przepraszaaj, właśnie na to liczyłem. Masz dobre ucho i zdolność TLR

do koncentrowania się na dwóch rzeczach jednocześnie. Co najmniej na dwóch. Świetnie. To podstawowa, niezbędna umiejętność na Giełdzie Metali. Musisz też być głośna, ostra, szybka, pewna siebie, liczenie mieć w małym palcu... — Wymowa Rose'a miała lekki nalot slangu londyńskiego. Pewne szczegóły jego ubioru i sposób bycia, które dla Anglików stanowiły zakodowany system ustalania przynależności klasowej, sprawiły, że Cathy zaklasyfikowała go na drabinie społecznej wyżej od osobników, których G.W. określał mianem „straga— niarzy”. Niewątpliwie jednak nie pochodził z klas wyższych, choć złoty sygnet i masywne złote spinki wskazywały wyraźnie na jego aspiracje.

Zatrzymał się na pierwszym piętrze przy podwójnych drzwiach prowadzących do sali dealerskiej Migatto. Z wewnątrz dobiegała kakofonia głosów pięćdziesięciu mężczyzn, którzy wykrzykiwali różne liczby do słuchawek telefonicznych.

— W tym domu wariatów trzeba naprawdę umieć zachować zimną krew.

I to wszystko. — Henry Rose uchylił lekko drzwi, by Cathy mogła usłyszeć

rozgorączkowane głosy i zobaczyć, panujące tam poruszenie. — Zbędne tu jest dobre wychowanie i wykształcenie. Większość wypala się przed trzydziestką. Ale nigdzie nie jest powiedziane, że trzeba nosić spodnie, żeby się tu

dostać. Każdy, kto umie wykonywać tę pracę, dostanie ją. Ale jak się nie sprawdzisz, wywalę cię tak szybko, że ani się obejrzysz. No i co powiesz? Wciąż cię to interesuje?

Henry Rose był wzruszająco bezpośredni. Cathy podobał się jego cynizm, energia i to, że patrzył na nią inaczej, niż robili to dotąd mężczyźni. Gdy z nim rozmawiała, czuła się pewniej. Czuła, że drzwi do przyszłości stoją przed nią otworem.

— No cóż, myślę, że spełniasz podstawowe warunki, włącznie z żelaznymi nerwami — powiedział otwarcie. — Jednak Mainwaring nie wypuści cię tak łatwo ze swych spoconych łap. Stoi wyżej w hierarchii urzędniczej ode mnie, więc będziesz chyba musiała porozmawiać ze swym byłym teściem, by wpłynął na tego starego lizusa.

TLR

Rose miał rację. Mainwaring sprzeciwił się decyzji Cathy, i to w bardzo nieprzyjemnej formie.

— Dzisiejsze dziewczyny leżą wszędzie tam gdzie mężczyźni. Oczywiście, że się nie zgadzam, nie pozwolę na to. Dziewczyna na Giełdzie Metali, dobre sobie! O tak, kilka próbowało, trudno powiedzieć o nich coś dobrego. Wiem, że po prostu chcesz się dorwać do tych wszystkich chłopaków i zabawić się z nimi. Nie ma mowy, moja droga. Jeszcze mi kiedyś za to podziękujesz.

W związku z tym Cathy podjęła rozmowę z lordem Shrewtonem, gdy pojechała do Coseley na weekend.

— Młody Rose mówił mi już o tobie — powiedział były teść, a w jego

bladych, skrytych za szklami okularów oczach pojawił się błysk aprobaty. — Jeśli o mnie chodzi, uważam, że jest to jeden z jego najlepszych pomysłów.

— W pojęciu lorda Shrewtona było to dowcipne powiedzonko. Miał wiele wspaniałych zalet, ale poczucie humoru nie było jego mocną stroną.

— Pan Mainwaring powiedział, że nie może być mowy o moim przeniesieniu — napomknęła Cathy.

— Przecież to nie jest jego sprawa, prawda? — Lord Shrewton stał odwrócony plecami do kominka w salonie i rozkoszował się ciepłym ognia. — Skoro Rose zaproponował ci pracę, możesz ją przyjąć.

W następnym tygodniu Henry Rose zabrał Cathy na Whittington Avenue, do budynku, w którym mieściła się Giełda Metali. Zatrzymali się na galerii dla gości i spojrzeli w dół, na kwadratową otoczoną kolumnami salę. Nad półkolistymi ustawionymi, krytymi wytartą, czerwoną skórą ławkami, które rozdzielały cztery przejścia, znajdowało się okno w suficie, przez które sączyło się wątle światło.

— To jest krąg — wyjaśnił Rose. — Jest tu trzydzieści sześć miejsc, po TLR

jednym dla każdego maklera ze zrzeszonych firm. Handlujemy podstawowymi metalami: miedzią, cyną, ołowiem, cynkiem, srebrem, aluminium i niklem.

Każdemu z metali za każdym razem poświęca się pięć minut. Możesz zorientować się, który z nich podlega właśnie transakcji, patrząc na tę tablicę. — Tu pokazał symbole chemiczne metali wypisane nad kalendarzem, który wisiał na przeciwległej ścianie. — Właśnie rozpoczyna się popołudniowa sesja.

Rozległ się cichy szmer i sala wypełniała się ludźmi. Byli to sami mężczyźni, przeważnie młodzi, ubrani w jasnoszare i ciemnoszare garnitury. Jedni

mieli szerokie, a drudzy wąskie krawaty. Niektórzy mieli długie włosy, a inni łąsili. Przeważnie trzymali w rękach małe notesy i wszyscy sprawiali wrażenie bardzo skoncentrowanych.

Niektórzy z mężczyzn usiedli w kręgu, część zajęła stanowiska przy telefonach pod ścianą, a większość zgromadzonych ustawiła się za plecami siedzących. Pełen ożywienia gwar ustał natychmiast, gdy na tablicy rozjarzył się czerwony półksiężyc.

Przy telefonach zapanowało gwałtowne poruszenie, a mężczyźni stojący za ławkami zaczęli gestykulować jak bukmacherzy; ich ruchy przypominały porozumiewanie się głuchoniemych. Mężczyźni siedzący w kręgu pochylili się do przodu i pośpiesznie wykrzykiwali jakieś liczby podniesionym głosem. Mówili coraz głośniej i szybciej, aż wreszcie zaczęli krzyczeć, a urzędnicy stojący za ich plecami wymachiwali rękami, jakby ogarnął ich szal. Wreszcie maklerzy zaczęli się przekrzykiwać, zdzierając sobie gardła. Nagle rozległ się dzwonek, czerwone światło zgasło, krzyki ucichły, a mężczyźni zaczęli coś zapisywać w swoich notesikach.

— To się nazywa zawieranie transakcji za pomocą wrzasku — wyjaśniał Henry.

— Domyślam się. Ale wygląda to jak bunt w domu wariatów. Jak, do licha, oni mogą się usłyszeć w takim zgiełku? — zastanawiała się Cathy głośno.

TLR

— Po prostu wyłapujesz głos faceta, który cię interesuje, i wyłączasz się na pozostałych. Dzisiaj jest tu spokojnie, zazwyczaj wrzeszczą o wiele głośniej. Teraz będzie przerwa, a potem zaczną handlować aluminium. Przelatują wszystkie metale dwa razy, a potem jest wolny wybór i handlują wszystkim naraz. Wtedy dopiero jest głośno.

Cathy zaczęła się zastanawiać, czy nie popełnia błędu. Wyobraziła sobie swój słodki głosik, zagłuszany przez dzikie wrzaski brokerów.

— Oczywiście to tylko proszona herbatka w porównaniu z tym, co się dzieje w Ameryce — ciągnął Henry Rose. — W Chicago, gdzie maklerzy stoją stłoczeni niczym sardynki w ciasnej sali, facet zmarł na atak serca w sa-

mym środku sesji i nikt tego nawet nie zauważył.

Cathy zorientowała się, na czym polega strategia Henry'ego.

— Czy usiłujesz mnie wystraszyć? — spytała z najśłodszyim uśmiechem, na jaki było ją stać.

— Naturalnie, że tak — oświadczył i klepnął ją serdecznie w ramię, tak że aż się zatoczyła. — Jeśli nie przełkniesz moich niewinnych żartów, ci goście na dole rozerwą cię na strzępy. Tak naprawdę będziesz miała masę czasu, by do tego przywyknąć. Zaczniemy od telefonu. Masz po prostu słuchać, czego chce klient, i przekazywać informacje asystentowi brokera. Przypuszczam, że umiesz liczyć na palcach.

Mimo pełnych zaskoczenia spojrzeń mężczyzn siedzących w kręgu, niepewność opuściła Cathy, gdy tylko stanęła pod ścianą, w wykładanej łuszczącym się i mało skutecznym materiałem dźwiękochłonnym kabinie Migatto, z telefonem w rękę i czekała, aż się zapali czerwone światło.

Po dwóch dniach polubiła rytm pracy wokół kręgu i zaczęła nabierać zaufania do swoich umiejętności. Uszy bolały ją od telefonu, a po południu buty nieznośnie uwierały w stopy, ale tak jak powiedział Henry, nie była to zbyt trudna praca, jeśli potrafiło się myśleć szybko, jasno i nie traciło się głowy.

TLR

— To przypomina trochę jazdę na nartach — powiedziała do siostry pod koniec pierwszego tygodnia. — Trzeba po prostu zjeżdżać w dół z przekonaniem, że pięć minut później wciąż się będzie stało na nogach.

— A jak traktują cię ci wszyscy faceci? — spytała Monty, rozglądając się po mieszkaniu utrzymanym w bieli. Większość wystroju wnętrza wykonała Cathy własnoręcznie. Było tu elegancko i przytulnie. Dom Monty i Ricka był bardzo wykwinny, ale jakiś pusty i zaniedbany. The Juice dwa razy w roku wyjeżdżał na tournée, a pół roku spędzał w studiu nagrań. Monty nigdy nie mogła wygospodarować czasu na zajęcie się domem.

— Faceci są w porządku — stwierdziła Cathy. — Pod koniec dnia idzie-

my do pubu i stawiam, tak jak pozostali, swoją kolejkę. Oczywiście traktują mnie trochę jak przybysza z kosmosu. Nie jestem pierwszą kobietą, która urzęduje na giełdzie, ale nie było tam jeszcze kobiety— -maklera.

— Będiesz maklerem? — Monty otworzyła szeroko oczy ze zdziwienia.

— A dlaczego nie? Skoro potrafię to robić... — Cathy wciąż czuła pewien niepokój, bo wiele nerwów kosztowało ją wtopienie się w tłum zdecydowanych mężczyzn, którzy przemierzali chodniki City, a każdy z nich miał swój udział w kierowaniu światem. Próbowwała wyjaśnić swoje zamierzenia siostrze.

— Przypuśćmy, że zostanę pierwszą kobietą-maklerem. Przeszłabym do historii, zrobiłabym coś naprawdę ważnego. Poza tym zarabiam już pieniądze,

Monty. Nie jest to jeszcze za wiele, ale gdy zostanę maklerem, zacznę robić dużą forszę. Za parę lat odzyskam Jamiego — powiedziała Cathy. Leżała na sofie w czerwonej wełnianej sukience i zrzuciła czarne, robione na zamówienie lakierki, co zdarzało jej się, tylko gdy była sama lub w towarzystwie Monty, bo krępowała się swych kalekich, obciętych palców.

— A co potem? — spytała Monty, przeglądając się w lustrze i z rozrządzeniem przyglądając włosy. Geor— giańskie lustro, ozdobione smukłymi połączanymi kolumnkami, było pamiątką z dawnych małżeńskich czasów TLR

Cathy. Monty dostrzegła mały kartonik zatknięty za ramę.

— „Belgravia Symphonia” — przeczytała. — Czy to od Rosanny?

Rosanna Emanuel, która miała już troje dzieci, była niezmordowaną promotorką kariery swego męża i organizowała pełne przepychu imprezy związane z poczynaniami filantropijnymi jego firmy.

— Tak, ciągle mnie gdzieś zaprasza, ale przeważnie jestem zbyt zmęczona, by pójść.

Monty westchnęła.

— Zwariować można, prawda? Czasami czuję się tak, jakbym prawie nie

chodziła po ziemi. Wydajemy dwa albumy i odbywamy dwa tournee rocznie, a to mnie dobija. W zeszłym tygodniu omal nie wyłączyli nam światła, bo nie miałam czasu rzucić okiem na rachunek i wysłać do Dennisa, żeby uregulował. Ponoć zarabiamy miliony, a wciąż nie możemy opłacać rachunków. Myślę, że łatwiej było żyć bez forsy, gdy Cy unieruchamiał liczniki.

— Co się dzieje z waszymi pieniędzmi?

— Dennis wszystkim się zajmuje. Gdy potrzebna nam forsa, po prostu prosimy go o nią.

— A kto sprawdza rachunki bankowe i tak dalej?

— Och, jacyś tam księgowi — rzuciła Monty, ale zobaczyła, że na spokojnej twarzy Cathy maluje się rozdrażnienie, więc dodała szybko: — Naprawdę nie ma jakichkolwiek powodów do obaw, Cathy. Wszystko jest dopatrzone.

— Moim zdaniem, powinniście wszystko sprawdzić i przejrzeć zestawienia bilansowe. Czy wiesz, że The Rolling Stones opuszczają kraj, bo nie są w stanie zapłacić podatków, nawet gdyby do końca życia utrzymywali się na topie?

— No cóż, jak będziesz już miała dość giełdy, możesz się zająć robie-

TLR

niem interesów i pomagać supergwiazdom rozporządzać ich forszą. Zacznij od The Juice, dobra?

Cathy niecierpliwie odgarnęła z twarzy kosmyk włosów.

— To świetny pomysł, Monty. Tak właśnie zrobię. Tacy ludzie jak ty czy Rick nigdy nie dogadają się ze sztywniakami z City. Dlatego też grozi wam, że zostaniecie wykołowani, nie mówiąc już o tym, że nie inwestujecie odpowiednio swoich pieniędzy. Potrzebny jest wam konsultant finansowy, który wszystkim się zajmie.

Monty ziewnęła, obojętna na krytyczne uwagi siostry.

Pieniądze zupełnie jej nie interesowały, a teraz, gdy miała ich więcej, niż



potrafiłaby zliczyć, nawet wydawanie ich przestało być zabawne.

— Myślę, że robienie forsy to jedyne, co cię interesuje — powiedziała bez cienia złośliwości.

Cathy uśmiechnęła się.

— Może i masz rację. A teraz chcę cię o coś prosić. Żadnej z kobiet nie udało się przebić na Giełdzie Metali, bo nikt nie był w stanie usłyszeć ich w tym zgiełku. Naucz mnie, jak mam pracować nad swoim głosem. Na pewno są jakieś ćwiczenia.

Monty kazała siostrze położyć się na białym wełnianym dywanie.

— Weź głęboki oddech — powiedziała, a Cathy zaczerpnęła tyle powietrza, ile tylko zdołała. — Teraz zrób wydech, powtórz jeszcze raz i połóż ręce o tutaj. — Monty położyła dłonie Cathy na żebrach. — Czujesz, jak pracuje klatka piersiowa? Tak jest źle. Chodzi o to, żebyś robiła wdech i wydech stąd.

— Poklepała płaski brzuch Cathy.

Cathy spróbowała.

— Właśnie o to chodzi — pochwaliła Monty. — Teraz musisz to ćwiczyć. Jak nie oddychasz głęboko, twój głos nie ma mocy. Mężczyźni z natury rzeczy oddychają brzuchem, a kobiety klatką piersiową.

TLR

— Vive la difference!

— Głośniej, powiedz to głośniej.

Pół roku później Cathy awansowała i przekazywała teraz na migi polecenia sprzedaży lub kupna od telefonisty do urzędnika, który z kolei wykrzykiwał wiadomość do ucha maklera siedzącego na ławce obitej czerwoną skórą. Pod koniec dnia Cathy omdlewały ręce, ale miała upajające uczucie, że wkrótce podejmie prawdziwe działania.

Poza odwiedzinami u Jamiego jej życie toczyło się pomiędzy Giełdą Metali a długą i wąską salą dealerską Migatto. Pośrodku znajdowały się ustawione naprzeciwko siebie stanowiska pracy, a zza biurka stojącego w końcu sali,

mimo panującej wrzawy, dobiegał od czasu do czasu wesoły rechot Henry'ego. Naprzeciw jego biurka, wysoko na ścianie, wisały cztery zegary wskazujące czas w Londynie, Nowym Jorku, Tokio i Pinangu. W kącie terkotał teleks Reutera, wypluwając wstążki papieru z aktualnymi doniesieniami ze świata i aktualnymi cenami. Podłużne okna przysłonięto pionowymi pasami białego syntetycznego materiału, który przepuszczał światło, ale zasłaniał widok z okna.

Czasami sala dealerska wydawała się Cathy hałaśliwym, zatłoczonym statkiem kosmicznym, lecącym w odległości tysięcy mil od ziemi. Ponieważ Cathy była tak bardzo emocjonalnie okaleczona, praca, pochłaniająca wszystkie siły, pełna napięcia, była dla niej wytchnieniem.

W sali dealerskiej zjawiała się codziennie o siódmej rano, by przez godzinę względnego spokoju przejrzeć stosowne dokumenty. Każda transakcja była notowana na kartce i każdemu metalowi odpowiadał jakiś kolor — od białego dla aluminium po żółty, oznaczający cynk. Po pracowitym dniu zbierała się sterta kolorowych kartek.

Około ósmej rozpoczynały się wstępne transakcje. Za sprawą pięćdziesięciu łącz telefonicznych na tablicach zapalały się kolorowe światełka. Tuż TLR

po jedenastej maklerzy i ich asystenci pośpiesznym krokiem przemierzali smagane wiatrem ulice London Wall i przez Gracechurch Street mknęli na Whittington Avenue, by zdążyć na poranną sesję o 11.45.

Kilka minut po pierwszej, po ostatniej rundzie poświęconej srebru i ogłoszeniu oficjalnych cen metali na dany dzień, Cathy wtapiała się w tłum mężczyzn, którzy opuszczali krąg, kończąc ubijanie ostatnich interesów tuż przed wyjściem z Giełdy Metali.

Potem tłum rozpraszał się, bo wszyscy śpieszyli do restauracji i klubów mieszczących się w okolicy City i Square Mile. Większość pracowników Migatto upodobała sobie Black Cat — klub, który był właściwie prze-

dłużeniem Giełdy Metali. Był to bezpretensjonalny lokal, ponieważ wiadomo było, że mężczyźni chcą przede wszystkim przepłukać sobie gardła zdarte na giełdzie.

Black Cat stanowił jedną z tych rzadkich enklaw, gdzie nie zwracano uwagi na pochodzenie społeczne. Wina były tam nieszczęśliwe, porcje jedzenia obfite, a ściany okopcone dymem. Każdy nowy członek klubu poddawany był rytuałowi, w trakcie którego obcinano mu krawat i przybijano do ściany z karteczką, na której nowo przyjęty umieszczał jakąś dowcipną sentencję.

Złotowłosi potomkowie wielkich dynastii bankierskich spędzali tu wolne chwile z chłopakami pochodzącymi z rodzin dokerskich z East Endu. Chłopak

z Saville Row stał przy barze obok kogoś z Carnaby Street, a londyński slang przeplatał się z wytwornym językiem arystokracji.

— Gdy raz zasmakowało się w giełdzie, trudno bez niej wytrzymać — stwierdził Henry, ściskając kieliszek z czerwonym winem i rozglądając się z satysfakcją po zatłoczonej sali. — Facetów, którzy pracują w tym fachu, łączy szczególne koleżeństwo. Wszyscy dobrze wiemy, że Giełda Metali to istny wampir. Można tym się zajmować w młodości, gdy ma się parę, ale za kilka lat rzucimy to i każdy pójdzie w swoją stronę.

Cathy lubiła odpoczywać po pracy w towarzystwie znajomych mężczyzn,  
TLR

ale nie rozumiała ich upodobania do konkursów „kto więcej wypije” i infantylnych przepychanek. Czuła się jednak akceptowana i cieszyła się z nowych znajomości. Szczególnie ceniła sobie przyjaźń Henry’ego Rose’a, którego podziwiała za drapieżną ambicję. Odkryła przyjemność przebywania w towarzystwie mężczyzny, którego nie musi uwodzić, przy którym nie musi udawać, że nie ma pojęcia o polityce i pieniądzu.

Lord Shrewton zauważył z radością, że Cathy doskonale się czuje w tym bezwzględnym, lecz doceniającym umiejętności i pracowitość środowisku. Po raz pierwszy w życiu odczuwał coś na kształt satysfakcji, po rozczarowaniu,

jakie sprawił mu nieudany syn. Zaczął więc najpierw w niezobowiązującej formie, a potem, po entuzjastycznej reakcji Cathy, z coraz większym zaangażowaniem, rozmawiać z nią w czasie weekendów o interesach. Doradzał jej, tak jak niegdyś Charliemu, w jaki sposób powinna pokierować swoją karierą w świecie biznesu.

Nowe wydarzenia wywołały prawdziwy zamęt w głowie lady Daviny. Nie mogła sobie wyobrazić, że jakkolwiek mężczyzna zaprosi kobietę do swego świata, a jakkolwiek kobieta przyjmie z radością takie zaproszenie. Na Gwiazdkę ofiarowała Cathy pudełeczko z haftowanymi, obszywanymi koronką chusteczkami i niebieski wazon z holenderskiej ceramiki.

— Jeśli jesteś naprawdę zdecydowana wykonywać tę pracę, kochanie, powinnaś zadbać o jakieś typowo kobiece akcenty w swoim gabinecie — radziła, wypatrując wyrazu wdzięczności w piwnych oczach wnuczki, w których malowało się jedynie chłodne zdziwienie. — Może zaczniesz trzymać na biurku świeże kwiaty? Chłopcy natychmiast rozumieją, o co chodzi, i zaczną przynosić ci bukietki. Możesz też nasączyć chusteczkę perfumami i wetknąć ją w rękaw, tak żeby wystawał mały rąbek koroneczki. Nigdy nie pozwól, by zapomnieli, że jesteś kobietą, kochanie. Możesz też zostawić chusteczkę w gabinecie szefa i zadbać o to, by zawsze o tobie pamiętał...

— Cudownie, Didi, doskonały pomysł — powiedziała szybko Cathy, tłumiąc śmiech. Wyobraziła sobie, jak w przeciągu pierwszych kilku sekund pracy w sali dealerskiej ktoś tłucze wazon w drobny mak i wdeptuje w podłogę chusteczki.

Starsza pani spojrzała na Cathy gniewnie, rozgoryczona i wściekła, że wnuczka wymknęła jej się spod kontroli, a także zazdrosna o możliwości, jakich sama nigdy nie miała.

— Twój ojciec umarłby ze wstydu, gdyby mógł cię teraz zobaczyć — syknęła zjadliwie. — Ty i twoja siostra uważacie się za straszne mądrale, co? Wydaje wam się zapewne, że postępujecie bardzo nowocześnie. Ale on na

pewno nie tak wyobrażał sobie życie swoich córek. Latacie tylko po świecie i robicie z siebie idiotki.

— Przecież nasz ojciec i tak umarł ze wstydu — odparowała Cathy chłodno, czując nagły przypływ nienawiści do babki i jej niepohamowanej chęci podporządkowania sobie wszystkich. Żałowała, że nie ma Monty, która mogłaby ją poprzeć. Jednak Monty zawsze znajdowała jakąś wymówkę, by wykroczyć się od rodzinnych spędów w Bourton. Cathy sprezentowała chusteczki niani Barbarze, a wazon dała Jamiemu — natychmiast go potłukł. Dzięki Henry’emu Cathy awansowała i mogła już stać za czerwoną skórzaną ławką. Po dwóch latach Henry spytał:

— Chyba już możesz zasiąść w kręgu, prawda?

— Bałam się, że nigdy mi tego nie zaproponujesz.

— Już sobie wyobrażam, jaka będzie rozróżba. Zjawi się prasa i w ogóle.

Cathy zdążyła już poznać Henry’ego na wylot. Henry Rose znakomicie potrafił nadawać rozgłos swoim poczynaniom. Prasa pisała o nim jako o bystrym, dynamicznym maklerze giełdowym, który bez lęku spogląda w przyszłość i nie obawia się zakłócenia tradycyjnego porządku panującego w City. Właśnie w tym tygodniu ukazała się notatka w „Financial Times” informująca, że w sali dealerskiej Rose’a mężczyźni nie będą musieli już nosić marynarek. Innowacja ta zaalarmowała starszych pracowników Migatto.

— Czy chcesz powiedzieć, że zaprosiłeś paru znajomków z Fleet Street?

TLR

— spytała Cathy.

— Być może...

— Chyba powinnam pójść do fryzjera? — Przez ostatnie trzy lata Cathy czesała się tak, jak najbardziej lubiła, to znaczy przewiązywała długie włosy wstążką na karku. Przestało jej zależeć na wyglądzie i dbała jedynie o wygodę. Z poczuciem winy zdecydowała się zostać w Londynie w sobotę i obciąła włosy na krótko. Ta prosta, poważna fryzurka dodawała jej perwersyjnego

uroku i dziewczęcości.

Ćwiczyła siłę głosu według wskazówek Monty i niecierpliwie czekała na pierwszą sesję. Potrafisz to robić, to przecież łatwe — powtarzała wciąż sobie w duchu. Skoro ci faceci potrafią, to ty też. Wyglądziła na kolanach obcisłą sukienkę w kolorze czerwonego wina. Wybrała ją ze względu na dyskretne rozcięcie na dole, wiedząc, że gdy usiądzie na ławce obitej czerwoną skórą, ukaże prowokacyjnie kawałek uda.

Handlowała cyną. Nawet wśród metali panowała hierarchia. Maklerzy zaczynali od cyny i awansowali w miarę nabierania doświadczenia, gdy mogli zajmować się najbardziej prestiżowym surowcem, miedzią.

Cathy czuła, że świetnie nad sobą panuje, kiedy weszła do kręgu i zajęła miejsce z numerem 27, zarezerwowanym dla Migatto. Trzydziestu trzech mężczyzn także usiadło i dwóch od razu zabrało głos, gdy tylko rozbłysło czerwone światełko ukazujące symbol cyny. Cathy usłyszała stłumiony głos maklera Maurice'a, który stojąc za nią, zawołał:

— Trzydzieści tysięcy po pięć!

Cathy zaczerpnęła powietrza, ale jak tylko otworzyła usta, rozległ się huraganowy śmiech, krzyki, tupanie i gwizdy. Mężczyźni potrząsali grzechotkami używanymi na meczach piłki nożnej, potrząsali dzwonkami i dmuchali w gwizdki. Ktoś miał nawet dziecinną trąbkę, a ktoś inny trąbił na rogu myśliwskim.

TLR

Cathy była zaskoczona i zażenowana. Usiłowała przypomnieć sobie, kiedy to po raz pierwszy zetknęła się z uprzedzeniami, z ludźmi, którzy nie potrafili zachowywać się normalnie wobec kogoś, kto był inny. Wyprostowała się, rozejrzała wokół i uśmiechnęła się. Nagle zapadła cisza, przerywana tylko krótkimi wybuchami śmiechu, po czym mężczyźni jakby nigdy nic przystąpili do zawierania transakcji.

— Kup trzysta tysięcy — poleciał Maurice.

To była podpucha, kolejny test. Nikt nie szukałby tak kolosalnej ilości cyny albo innego surowca. Znowu próbowano ją nabrać.

Kolejny infantylny dowcip. Cathy uśmiechnęła się i nie odezwała ani słowem.

— Trzysta tysięcy — powtórzył Maurice, a w jego głosie zabrzmiała panika. Cathy nie zareagowała. Pokażę im, że nie dam się nabrać — pomyślała z satysfakcją.

— Tty g-głupia dziwko, trzysta tysięcy! — syknął Maurice, jękając się ze zdenerwowania, a do tego na tyle głośno, że usłyszano go w kręgu. Wielu mężczyzn posyłało jej alarmujące spojrzenia i Cathy wreszcie zrozumiała, że pomyliła się, że to wcale nie był żart tylko zwykłe polecenie.

Dwóch mężczyzn zaoferowało pięćdziesiąt tysięcy po sześć.

— Pięć — powiedziała Cathy prawie szeptem, przerażona, że straciła cenne sekundy, ignorując polecenie. Zdała sobie sprawę, że na załatwienie transakcji pozostały jej tylko czterdzieści dwie sekundy.

Tuż przed dzwonkiem udało się jej zakupić ostatnie pięćdziesiąt tysięcy po pięć i dobić do trzystu tysięcy. Gdy wstała i wyszła z kręgu, czuła się o dziesięć funtów lżejsza i o dziesięć lat starsza. Kiedy na chodniku przed Giełdą Metali dobijała ostatniego targu, oślepił ją błysk flesza. Ktoś z prasy robił jej zdjęcie.

W Black Cat po południowej sesji Henry oblał głowę Cathy szampanem, TLR

a pozostali mężczyźni klepali ją po tyłku, gratulowali i całowali. Komitet klubu postanowił przyjąć ją do swego grona.

— Ale ja nie mam krawata na ścianę — zmartwiła się Cathy.

— Zaraz ci coś znajdziemy.

— Nie, zaczekajcie. Dajcie mi kartkę — powiedziała Cathy. Naszkicowała kontury krawata, a pod spodem umieściła sentencję: „Nie można stracić tego, czego się nie ma” i podpisała „Niewidzialny mężczyzna”. Wokół rozległy

się śmiechy.

— Napij się szampana — zaproponował Henry. — Nie chcę, żebyś się rozchorowała w tym mokrym ubraniu. A poza tym mogłabyś stracić głos. Nazajutrz Cathy obudziła się o piątej rano z koszmarnym kacem i z pewną denerwującą myślą, która nie dawała jej spokoju.

Chociaż uważała maklerów za przyjaciół i to właściwie jedynych, jakich



posiadała, była wciąż zaszokowana przyjęciem, jakie jej zgotowali w kręgu. Te gwizdy, róg myśliwski, grzechotki uznała za niewinną, ale też i dość niewybredną formę żartu. Za tymi psimi figłami kryła się wrogość wobec obcego, który śmiał się wdrzeć do zamkniętego kręgu ludzi. Cathy przypomniała sobie pierwszą kolację Rosanny Emanuel w Benenden, kiedy to jakaś dziewczyna powiedziała nagle, że wszyscy Żydzi mają rogi. Cathy przywołała w pamięci Rosannę, w pierwszej chwili oszołomioną, a następnie broniącą się uległym uśmiechem.

Incydent ten świadczył o kierowaniu się zbiorowymi uprzedzeniami, które sprawiają, że ludźmi targają tak silne emocje, że łamią swoje zasady etyczne, chcąc je wyrazić.

Cathy pozbawiła Jamiego swego towarzystwa na kolejną sobotę i udała się po zakupy. Nabyła szary kostium w drobne białe prążki, niebieską bluzkę i muszkę. Później jej kwieciste sukienki i kolorowe sweterki powędrowały na cały tydzień do szafy, bo Cathy starała się w miarę możliwości upodobnić do TLR

mężczyzn, z którymi pracowała. Zmieniła torebkę na teczkę i zaczęła pić szkocką, choć z dużą ilością wody.

Skoro ta metoda okazała się skuteczna w wypadku Rosanny, będzie dobra i dla mnie — powiedziała sobie.

— Po prostu wtopię się w tło, aż wreszcie zapomnę, że jestem inna.

Minął kolejny rok i Cathy doszła do przekonania, że nie musi już niczego udowadniać mężczyznom pracującym w City of London. Gdy pewnego ranka weszła na galerię dla gości przed rozpoczęciem porannej sesji, usłyszała głos swego dawnego szefa, Mainwaringa, który oprowadzał gości po Giełdzie Metali.

— Firma Migatto zawsze najdalej wybiegała w przyszłość ze wszystkich członków Giełdy Metali — mówił chełpliwym tonem. — Ostatnio nawet zaczęła nas reprezentować w kręgu kobieta. Bystra dziewczyna. Nawiasem

mówiąc, pracowała kiedyś dla mnie. — Cathy uśmiechnęła się, życząc mu w duchu miłego poranka.

TLR

20

O rany, cóż to za maskara! — rzucił Rick na widok dziewczyny, która przechodziła przez King's Road tuż przed maską jego Rolls-Royce'a w kolorze groszku. Dziewczyna nie miała brwi, włosy natapirowane i postawione na sztorc, a na jej policzku widniała czarna błyskawica. Miała na sobie podarty czarny podkoszulek, obcisłe czarne rajstopy z gumy, w których jej nogi wyglądały jak powleczone jakąś cieczą, w prawym uchu tkwiła mała kłódka.

— Ruszaj się szybciej, mała! — krzyknął Rick, wychylając się przez okno. Dziewczyna zatrzymała się na środku pasów i podrapała się po kolcach na głowie z wyrazem takiego obrzydzenia, jakby wdepnęła w psie gówno.

— Nie drażnij się z nią, Rick, bo nigdy nie dojedziemy na miejsce. —

Byli już pół godziny spóźnieni na uroczystość rozdania nagród, a Monty wiedziała, że maszerujący krokiem pawia dziwoląg może przeciągnąć incydent o kolejne pół godziny. — Wyszczierz się do niej i jedziemy — ponagliła Ricka.

— To dziewczyna z punkowego sklepu. Jak cię rozpozna, będzie się pieklić w nieskończoność.

Było już jednak za późno. Smarkuła rozpoznała wielkiego Ricka Browna z The Juice. Był stary, bogaty i osiągnął sukces, reprezentował więc wszyst-

TLR

ko, czego nienawidziła.

Dla punków Rick był symbolem wyzysku. Zrobił miliony na takich dzieciakach jak ona, kramarząc piosenkami o ich gniewie, bólu i pragnieniach.

Jednak gdy tylko zaczęły napływać honoraria, Rick i The Juice zdradzili młodzież, w imieniu której rzekomo przemawiali, i otoczyli się wszystkimi atrybutami uprzywilejowanych: mieli szykowne samochody, posiadłości wiejskie, luksusowe kobiety i prywatne odrzutowce. Wynajmowali „goryli” i wielkie

psy, żeby trzymać z daleka od siebie dzieciaki, które wyniosły ich na szczyt. Gdy nadszedł rok 1976, tłuste lata w Wielkiej Brytanii należały już do historii. Zakłady przemysłowe znikwały jak purchawki rozpadające się na jesien-nych polach i pozostawał po nich czarny, ponury ślad — bezrobocie. Młodzi kończyła szkoły i od razu zgłaszała się po zasiłek dla bezrobotnych, wiedząc, że może część z nich nigdy w życiu nie będzie miała szansy pracować. Przyszłość nie miała im nic do zaoferowania. Narastała w nich złość. Punkowa spojrzała z nienawiścią na lśniącego Rolls— -Royce’a i siedzących w nim ludzi w strojach wieczorowych, którzy jechali w niedostępne dla niej rewiry. Podniosła do góry środkowy palec w ogólnie znanym geście wsadź-go-sobie-w-dupe i popatrzyła groźnie na pasażerów Rollsa, specjalnie zagradzając mu drogę.

Za Rickiem zdążył uformować się sznur samochodów znikający dopiero za zakrętem King’s Road. Rick już miał wysiąść, by usunąć dziewczynę z jezdni, gdy podeszło do niej dwóch policjantów i siłą wprowadziło na chodnik.

— Dzięki, stary — zawołał Rick. Starszy z policjantów sięgnął do kieszeni munduru, wyjął notes i podał go Rickowi przez okno.

— Mogę dostać autograf? Moja stara jest twoją fanką — dodał.

Rick szybko nabazgrał autograf podsuniętym mu długopisem i ruszyli dalej. Stojąca na chodniku punkowa żegnała ich obscenicznym gestem.

— Zafajdana szczotka klozetowa. Kto by chciał zerznąć coś takiego? —

TLR

Rick usadowił się wygodnie, a przyciemniana szyba zasunęła się płynnie i bezszelestnie.

— Ona wcale nie chce, by ją ktoś rznął, w tym cała rzecz. Dlaczego dziewczyna zawsze musi się starać podobać mężczyznom? — powiedziała Cindy Moon, felietonistka z „Hit Maker Magazine”, która prowadziła uroczy- stość wręczania nagród. Cindy lubiła wygłaszać z patosem feministyczne ko-

munały, ale jej wygląd zaprzeczał każdemu słowu. Farbowane blond włosy spadające na ramiona wyglądały jak chmura złotej waty cukrowej, a sukienka z zielonego szyfonu, mocno ściśnięta w talii złotym paskiem, podkreślała każdy szczegół jej anatomii. Wyglądała jak lalka Barbie z widocznymi brodawkami sutek.

— W ogóle nie wiem, po co tam jedziemy, przecież nie zostaliśmy nominowani do żadnej nagrody, prawda?

— powiedział Rick i pełnym rozdrażnienia gestem przesunął ręką po przerzedzonych włosach.

i — Dennis mówi, że powinieneś się dużo pokazywać

— przypomniała Monty.

— Poza tym chcą, żebyś wręczył nagrodę najlepszemu nowemu wokaliście — dodała Cindy, krzyżując szczupłe białe nogi.

— Czyżby? A któż to taki?

— Bruce Springsteen.

— O kurwa, masz na myśli to cudo jednego przeboju? Chociaż i tak mogło być gorzej, mogli przyznać nagrodę jakiejś bandzie punków.

— Zrobią to w przyszłym roku. — Cindy była jedną z pierwszych dziennikarek rockowych, która traktowała serio nowe zespoły punkowe. Rick spojrział na nią ze złością. — Nic na to nie poradzisz, Rick — ciągnęła Cindy. — Nic nie stoi w miejscu, a już szczególnie w tym biznesie. Przeboje przechodzą

TLR

do historii szybciej, niż piwo zamienia się w siki. Dzieciaki, które teraz kupują płyty, wydawały kieszonkowe na cukierki, gdy ty i The Juice nagrywaliście swoje pierwsze przeboje. One nie chcą tych samych, starych kawałków.

Monty od razu dostrzegła możliwość namówienia Ricka na zmianę postępowania. Na początku działalności zespołu, gdy Rick czuł się niepewnie, zawsze słuchał jej rad. Kiedy żyli pod presją i musieli wydawać dwa albumy rocznie, z desperacką wdzięcznością polegał na talencie Monty. Później Den-

nis załatwił im nowy — lepszy — kontrakt z Excellent Records i stosunek Ricka do Monty uległ zmianie. Wyglądało na to, że zazdrości jej talentu i unika zasięgania jej rad.

Zamiast tego powrócił do bezpiecznego, łatwego rock and rolla, który narzucił zespołowi na samym początku. Monty zdawała sobie sprawę, że Rick widzi zagrożenie w tym, że musi na niej polegać. Jednak chciała nagrywać swoje własne piosenki i była znudzona muzyką graną przez The Juice — tak samo jak młodzież, która kupowała z każdym rokiem coraz mniej jego płyt. Rick jednak nie zgadzał się na żadne zmiany. Monty pomyślała, że może jej posłucha, gdy Cindy trochę go wystraszy.

— Czy w ogóle mieliśmy nominację do jakiejś nagrody? — spytała. — Przecież byłaś w jury, Cindy. Co się stało?

Wąskie, grubo pociągnięte szminką usta Cindy wydeły się lekko, gdy się namyślała. Od razu wiedziała, dlaczego Monty zadała jej takie pytanie. Monty

i Rick odbyli tyle głośnych, publicznych awantur, że wszyscy w Londynie wiedzieli, jak napięte są ich stosunki.

— Chcesz usłyszeć prawdę?

— Pewnie, po to przecież pytam.

— Nikt nawet nie wspomniał o The Juice. Jest teraz tyle nowych zespołów... — Cindy zamilkła znacząco i z udawanym zakłopotaniem przyglądała się swym długim czerwonym paznokciom. Monty spojrzała ukradkiem na Ricka. Wyglądał przez okno i udawał, że nic nie słyszy.

TLR

Uroczystość przyznania nagród odbywała się w Savoyu i była dla Monty bardzo przykrym doświadczeniem. Nie siedziała obok Ricka. Dennis wciąż nalegał, by nie podkreślali publicznie swego związku. Rick z resztą zespołu przechadzali się niczym banda skorych do bójki uliczników, a Monty musiała zadowolić się towarzystwem znajomych, dziennikarzy, pracowników studiów nagraniowych, organizatorów tras koncertowych i różnych tam „totumfac-

kich”.

Siedziała przy stoliku w końcu sali i patrzyła na Ricka ubranego w starą kurtkę dżinsową, który stał obok Cy, Pete’a i Nashera, czytając nominację dla Najlepszego Nowego Wokalisty. W pierwszych miesiącach sukcesów The Juice Cy zaczął brać heroinę, więc chudł z każdym rokiem coraz bardziej, wypadło mu też kilka zębów. Pete’owi wyrósł brzuch, który rysował się wyraźnie

nad paskiem dżinsów. Nasher prawie się nie zmienił, tylko trochę wyłysiał i zaczął nosić drelichową czapkę, by to ukryć. The Juice wyglądał „podtatusiale”.

— Wyglądają jak wskrzeszone umarlaki — powiedział szyderczym tonem chłopak siedzący naprzeciwko Monty, gdy Rick mamrotał jakieś wyjaśnienia, dlaczego Bruce Springsteen nie może osobiście odebrać nagrody. Chłopak miał kulistą jak pocisk czaszkę, czarne włosy ścięte tuż przy skórze, a w nosie tkwiło małe srebrne kółeczko.

— Myślałem, że Rick Brown już nie żyje — wycedził jego kolega i zerknął na scenę przez szkła małych ciemnych okularków.

— Tak byłoby lepiej dla niego — powiedział pierwszy chłopak i odwrócił się plecami do sceny. — Ich ostatni album nie doszedł nawet do trzydziestego miejsca na liście. Starzejące się prymitywy. To najlepszy argument na rzecz eutanazji, jaki widziałem. Jak skończy się ich kontrakt, Excellent ich na pewno wywali.

Chłopak zamachał swoimi okularkami w górę i na dół — jak Grouchi Marks — gdy przyglądał się przez chwilę Monty.

— Skąd się tu wzięła taka dziewczyna jak ty? Czy ja cię przypadkiem

TLR

skądś nie znam?

Monty posłała mu miażdżące spojrzenie spod półprzymkniętych powiek.

— Nie wygłupiaj się — powiedział do przyjaciela ten ostrzyżony na jeża.

Ona jest jedną z nich. Śpiewasz z The Juice, prawda?

— Tak. Prawdopodobnie widziałeś mnie w telewizji, jak jeszcze siusiałeś w majtki. — Monty poczęstowała ich papierosami, by pokazać, że nie czuje się urażona tym, co mówili o jej zespole.

— Ten, co mu obrabiamy dupę, to chyba twój facet? — ciągnął wyzywającym tonem chłopak.

— Zgadza się.

— Wygląda na to, że i ciebie specjalnie nie fascynuje.

— Po siedmiu latach nic cię nie fascynuje, prawda?

— Nie wiem, powiem ci, gdy się zestarzeję. Czy ty przypadkiem nie pisałaś niektórych piosenek The Juice?

— Większość starych utworów. Ale teraz już nie piszę.

— Szkoda. Mogliby grać coś porządnego, zamiast tego plastikowego amerykańskiego śmiecia. I tak jest fatalnie, że ludzie tracą forszę na płyty Eagles, po co jeszcze dokładać tej chały?

— Mnie to mówisz? Myślę, że Rick chce zostać następnym Frankiem Sinatra czy kimś w tym rodzaju.

Chłopak wydmuchał przez nozdrza gęste kłęby dymu i wpatrzył się w Monty.

— A co z tobą? Co chciałabyś robić? Przestałaś pisać piosenki?

Monty potrząsnęła głową, a bujne, natapirowane mahoniowe włosy zafalowały wokół jej ramion.

Czarna jedwabna bluza wyszywana świecidełkami zsunęła się z ramienia, więc poprawiła ją niedbałym ruchem.

— Cały czas piszę — odparła.

— To dobrze — skostatował chłopak i puścił do niej oko.

Na scenie, cała w lansadach, Cindy Moon dziękowała wszystkim przybyłym na ceremonię i żegnała się z publicznością telewizyjną. Kierownik nagrania zamachał rękami, rozległy się burzliwe oklaski, po czym wygaszono

wszystkie reflektory.

Monty wstała i ruszyła za dwoma chłopakami, którzy byli ubrani na czarno i mieli ponacinane, wystrzępione nogawki u spodni.

— Coś ci powiem — odezwał się krótkowłosey, gdy cała trójka opuściła przegrzaną salę. — Jak już będziesz miała dość tego Franka Sinatry, zadzwoń do mnie. — Sięgnął do kieszeni nabijanej ćwiekami skórzanej kurtki i wręczył Monty wizytówkę. Było na niej napisane: Sig Bear. Biffo Records.

— Moim zdaniem masz świetne cycki i w ogóle! — zawołał za nią, opuszczając ze swym przyjacielem Savoy. Monty włożyła wizytówkę do srebrnej wieczorowej torebki z wężowej skórki i natychmiast o niej zapomniała. W ciągu ostatnich trzech lat odbyła kilkanaście takich rozmów. Ciekawe, czy Rick ma romans z Cindy? — pomyślała patrząc jak obejmuje jej smukłą talię osłoniętą zielonym szyfonem i z uśmiechem odwraca się do kamery, by udzielić wywiadu. Myśl o tym, że Rick mógłby mieć inną, prawie nie robiła na niej wrażenia. Nie dość, że na tournée The Juice ciągle odbywały się orgie, Rick uważał chyba za swój obowiązek przelecieć każdą kobietę, jaka się nawinie.

Monty dręczyło o wiele bardziej to, że choć wciąż jeszcze zależało jej na Ricku, kochała w nim tego dawnego, pełnego słabostek, głodnego sukcesu, niepewnego siebie chłopaka, a nie aroganckiego potwora, którym stał się z wyboru i na pokaz. Od czasu do czasu, gdy byli wykończeni po kolejnej kłótni

TLR  
ni albo pod koniec tournée, znów się odnajdywali, ale Rick natychmiast się wycofywał i zamieniał w drwiącego sadystę, którym był na scenie, a Monty traciła go na powrót. Nie chciał intymności, bał się jej.

W ciągu ostatnich siedmiu lat Monty dobrze poznała mężczyzn. By nie cierpieć więcej z powodu niewierności Ricka, odpłacała mu pięknym za nadobne i wdawała się w małe romanse. Potem odkryła, że niektórzy mężczyźni podrywają ją, by zbliżyć się do Ricka. Inni — jak na przykład Nasher — dla-



tego, że jej współczuli, jeszcze inni — jak Dennis — rzucali się na nią przepelnieni żądzą, a byli i tacy, jak na przykład Les Lightfoot, przedstawiciel Excellent, którzy chcieli się z nią przespać, bo uważali, że należy im się to w charakterze napiwku za wykonywaną przez nich pracę.

Monty opuściła nawet Ricka na trzy miesiące i pojechała do Marakeszu z zapomnianym prawie liderem słynnego zespołu rockowego. Traktował ją jednak jak kolejne akcesorium podkreślające jego nieopisywalny styl. Tymczasem Rick, który nagle poczuł się podle, rozpaczliwie błagał ją, by wróciła. Kajał się tak bardzo w rozmowach telefonicznych, podczas których każde słowo odbijało się echem na całej długości marokańskiej linii telefonicznej, że

Monty nie chciała być okrutna i wróciła.

Teraz przyglądała się kilku dziewczynom, które podeszły do Ricka, by poprosić o autograf. Rozmawiając z nim, trzęsły blond włosami i kołysały biodrami, podniecone seksualną aurą, jaka zawsze otacza wielką gwiazdę. Gdyby tylko wiedziały, jaki on jest w łóżku — pomyślała Monty. Zniknęła cała jego czułość, po siedmiu latach rozwiązłego życia pieprzył się jak robot, nie dając partnerce żadnej przyjemności, i prawdopodobnie sam również jej nie odczuwał.

Nazajutrz miało miejsce spotkanie zespołu z managerem, Dennisem, który przyszedł do wykwintnego, pokrytego białymi stiukami domu nad rzeką w Chelsea, gdzie mieszkali Rick i Monty, gdy przebywali w Londynie.

Dennis zestarzał się najbardziej z nich wszystkich. Miał wychudłą i po-TLR

bruźdzoną jak małpa twarz, a niegdyś blond włosy były prawie białe. Przeprowadził młodego grubasa w drelichowym ubraniu. Miał ciemne włosy i nieogolone policzki.

— To jest Keith, będzie reżyserował wasze video — poinformował Dennis. — Excellent zamierza wydać dużo forsy na promocję nowego albumu. — Przerwał, by wziąć od Monty złotą rurkę i wciągnął przez nos porcyjkę koki z

małego złotego talerzyka, który krążył wokół stołu.

— Jak myślisz, czy Excellent zaproponuje nam nowy kontrakt, jak stary wygaśnie? — spytał Nasher, który był zawsze najpraktyczniejszym członkiem zespołu.

— Możliwe. A ta promocja jest po to, by mogli odbić sobie forszę, którą stracili na ostatnim albumie.

— Co to znaczy „stracili”? — spytał Rick, który z wściekłością przemierzał pokój tam i z powrotem.

— Przecież album dobrze się sprzedawał.

— Sprzedawał się dobrze, Rick, ale nie świetnie. A tournée było cholernie drogie.

— Słuchaj, my wcale nie chemy zostać z Excellent.

— Rick oparł się o masywny stół w stylu Odeon z jasnego orzecha i popatrzył po twarzach siedzących wokół. — To zgredy. Oni są skończeni. A my chcemy iść do przodu, no nie?

— Wcale nie chciałem podpisywać kolejnego kontraktu z Excellent. — Cy gapił się w sufit, a nogi w zielonych butach oparł o obramowanie kominika. Było zrobione z pięknego białego alabastru, ozdobione rzeźbionymi girlandami, ale Cy już zdążył je zniszczyć, ponieważ zawsze opierał o nie nogi i stukał bezmyślnie stopą o miękki kamień. Osiemnastowieczny żyrandol też nie był w najlepszym stanie. Pewnego popołudnia Rick i Cy zabawiali się strzelaniem z pistoletów pneumatycznych do kryształowych kropli.

— Moim zdaniem Excellent zamierza zaoszczędzić pieniądze, wydając TLR

trzydzieści tysięcy na video, a następnie znacznie skracając tournée. Dacie tylko kilka większych koncertów tutaj i w Stanach. — Dennis zatkał jedną dziurkę w nosie i pociągnął mocno, by ostatnie kryształki białego proszku mogły przeniknąć do krwiobiegu. — Możemy obrócić video na waszą korzyść. Po prostu musimy wymyślić coś, co narobi trochę szumu. To nie po-

winno być zbyt trudne, prawda?

Keith, grubawy reżyser, odezwał się po raz pierwszy, nerwowo odchrząkując:

— Mam parę pomysłów i pomyślałem sobie, że możemy o nich trochę pogadać. Potem opracuję scenariusz i omówimy szczegóły.

— Dobra, Keith, powiedz, jak nas widzisz. — W głosie Ricka zabrzmiała niebezpieczna nutka sarkazmu.

— No cóż, mam takie uczucie wyobcowania, więc pomyślałem, że można by było stworzyć taką wielkowiejską scenerię: dużo śmieci, ściany z cegły, graffiti, rynsztoki, dziwaczne oświetlenie.

Wyglądało na to, że The Juice nie jest zachwycony. Keith ponownie odchrząknął.

— A może zrobimy udziwniony SF? Wy będziecie istotami pozaziemskimi, które łążą po mieście i mają niezły odjazd.

— Zwyczajni śmiertelnicy tego nie rozumieją — powiedział Nasher, krzyżując ręce na piersi. Zapadła niezręczna cisza. Nikt nie chciał przyznać się do tego, że tak naprawdę boi się robić video. Należało wtedy do nowości i tylko kilka wielkich gwiazd, takich jak Bowie czy Stonesi nakręcili teledyski. Ale przecież Bowie zawsze urządzał performance, a Jagger wciąż jeszcze wyglądał młodo.

Cy przejechał nogami po obramowaniu kominka, rysując obcasami delikatny kamień.

TLR

— A co sądzicie o rzymskiej orgii? — spytał przesuwając koniuszkiem białego języka po zapadniętych ustach. — Mógłbym zabawiać się z kilkoma tancerkami, do tego winogrona i tak dalej.

— O tak, rzymska orgia, świetny pomysł. — Keith w zamyśleniu potarł nie ogolony policzek. Monty poczuła, że serce jej zamiera.

Polecieli nakręcić video do Los Angeles, w domu faceta, który prowadził

słynny show telewizyjny i szczyił się posiadaniem basenu w klasycystycznym stylu. Był on otoczony białymi kolumnami, na jednym końcu miał fronton, a na drugim — złoczonego delfina, wypluwającego wodę. Posadzka wokół

basenu wyłożona była mozaikami, skopiowanymi starannie z wzorów pompejańskich, do wody prowadziły półkoliście zakręcające schodki, nad którymi wisiała huśtawka na złotych linach. Zaczęli pracę około trzeciej po południu. Dekorowanie otoczenia według zaleceń Keitha zajęło czas do wieczora. Huśtawkę owinięto girlandami róż, podłogę posypano grubą warstwą płatków różanych, a nad basenem ustawiono pozłacane leżanki. Błękitną wodę zabarwiono na purpurowo, przez dodanie odrobiny różowego barwnika. Keith zamierzał w pierwszej kolejności sfilmować dziesięć tancerek, z których jedna miała pytona, a druga trzymała uwięzowanego na złotym łańcuchu lamparta. Obok stała klatka pełna gołębi. Gdy zapadł zmrok, do ścian poprzyczepiano płonące pochodnie i nastąpiła długa przerwa, podczas której sprawdzano oświetlenie.

Monty, Rick i pozostali usiedli nad basenem i przyglądali się z zainteresowaniem całej scenie, od czasu do czasu sięgając do miseczki z kokainą, którą Keith przezornie dla nich załatwił, oprócz czterech butelek Jacka Danielsa i kanapek.

— Mam nadzieję, że nikt nie zbliży się do mnie z tym wężem — powiedział Nasher wstrząsając się z obrzydzeniem. — Nienawidzę pieprzonych węży.

— Nikt cię nie prosi, żebyś je pieprzył — powiedział Rick. Ten wymuszony dowcip zdradzał jego zdenerwowanie. Wstał z miejsca i ruszył przed TLR

siebie, a Monty Podążyła za nim. Bez słowa objął ją ramieniem. Odeszli na wyżwirowaną alejkę za domem. W łagodnym wieczornym powietrzu unosił się zapach świeżo skoszonej trawy i lawendy.

Zatrzymali się na szczycie pagórka pokrytego starannie wypielęgnowaną darnią, na którym rosła kępka palm. Mieli stąd wspaniały widok na oświetloną reflektorami rzeźbę Diany z jeleniem. Z daleka nie było widać, że jest wykonana z włókna szklanego.

— Co sądzisz o tym wszystkim? — spytał nagle Rick.

— Masz na myśli teledysk?

— Tak, myślisz, że dobrze robimy?

— Rick, oczywiście że dobrze, przecież to jest przyszłość. Zespół musi się zmienić, nie możemy w nieskończoność grać tak samo starych kawałków. Dzieciaki, które kiedyś kupowały nasze płyty, są już dorosłe. Teraz są nowi odbiorcy i chcą czegoś innego.

Usiedli na ciepłej trawie. Monty objęła ramionami kolana, jak mała dziewczynka, i patrzyła na swoją falującą przy każdym ruchu luźną sukienkę z czerwonego jedwabiu. W kaskadę czarnych włosów fryzjerka wplotła czarne jedwabne wstążeczki. Rick nawinął sobie na palec ciemny kosmyk i podziwiał jego połysk.

— Prawdę mówiąc, nie podoba mi się to, co teraz gramy — przyznał. — Jesteś nam potrzebna, Monty. Ty naprawdę znasz się na muzyce. Pewnie, że umiem skakać po scenie, robić dużo hałasu i zamieszania, ale nie mam muzyki w głowie tak jak ty, nie umiem jej grać. W tych pierwszych albumach były wspaniałe utwory, prawda?

— Tak — odparła lakonicznie, wołała nie mówić nic więcej, by w jej głosie nie usłyszał zadawnionej urazy.

— Jak już będzie po wszystkim, co byś powiedziała na własny album? — spytał nagle.

TLR

— Wysyłasz starą do pracy? — droczyła się Monty, choć propozycja ją zachwyciła.

— Tak, dlaczego nie? Masz lepszy głos ode mnie i dobrze o tym wiesz. I

to właśnie mi się nie podoba. Nieważne, czy jesteś dobry, ważne, co z siebie zrobisz.

Musimy wymyślić coś takiego, żeby im szczęki poopadały, żeby wiedzieli, kto tu jest szefem.

— Będzie dobrze, Rick, zawsze jest okay.

— Jeśli chcesz wiedzieć, co naprawdę o tym myślę, to dowiedz się, że mam dość tego wszystkiego. — Poklepał się po kieszeniach, szukając papierosów. Monty wyjęła paczkę z torebki i podała mu ją, a Rick ciągnął szybko zduszonym głosem: — Dość już mam robienia wszystkiego dla nich, na pokaz. Dość mam zarabiania pieniędzy, fotografowania się, rżnięcia kociaków, rozbijania samochodów, ubierania się w ekstrawaganckie ciuchy, szlajania po klubach, i to wszystko na pokaz. Chcę żyć własnym życiem, a nie tak, jak życzy sobie dwieście milionów ludzi. — Wytrząsnął z paczki jednego papierosa,

a potem poczęstował Monty, ale odmówiła. — Tak naprawdę zależy mi tylko na tobie, Monty. — Spojrzał na nią, a w pokrytych plamkami szarych oczach malowało się prawdziwe uczucie. — Kochasz mnie? — Odrzucił nie zapalony papierosa i ujął ją za rękę.

— Och, Rick, oczywiście, że cię Kocham. Zawsze będę cię kochać.

— Wiem, że byłem dla ciebie bardzo niedobry.

— Nie mogłeś nic na to poradzić. Kiedy zespół odniósł sukces, wszystko wymknęło się spod kontroli. Nie było już ciebie i mnie. Były tylko tournee, albumy, występy telewizyjne, pieniądze i... och, nie wiem, te wszystkie rzeczy.

Pomyślała o nie kończących się dniach spędzanych w anonimowych pokojach, o nocach w studiach nagrań, gdy czuła się trybem maszyny do produkcji

TLR  
pieniędzy i przyjemności. Przyjemności dla innych ludzi, a pieniędzy

po to, by oddalać od siebie koszmary do czasu, gdy rozpocznie się nowy cykl

produkcyjny.

— Chciałbym tylko wiedzieć, gdzie było to „coś”. Interes, samo sedno, to wielkie „coś”, które powinno się mieć gdy osiągnęło się sukces. — Rick rozprostował nogi w wytartych dżinsach. — Zawsze jest tak, jakby to miało zjawić się jutro, po kolejnych występach, po kolejnych piosenkach, jakby dopiero wtedy mieli nam to dać. Wszystko jest puste w środku, jakoś tak jest.

Popatrzył na Monty. Ona była prawdziwa, prawdziwa jak życie. Te jej wielkie czarne oczy, ta aksamitna skóra o piżmowym zapachu, który tak kochał. Przypomniawszy sobie, jak pachnie jej ciało w różnych miejscach, jak intensywny i słodki aromat wydziela się między nogami, jak delikatny w ciepłym zagłębieniu u nasady szyi. Rick znał każdy skrawek jej ciała i pragnął go bardziej niż kiedykolwiek. Monty była jego jedyną wygraną. Sięgnął ręką do jej gorących piersi, delektując się ich dotykiem. Były miękkie i jędrne zarazem, a sutki stwardniały z pożądania pod jedwabnym delikatnym nakryciem.

— Rick, chodź no tu, jesteś mi potrzebny — rozległ się głos asystenta i zniszczył cały nastrój intymności.

— Możecie poczekać dziesięć minut? — wrzasnął Rick nad głową Monty, trzymając dłonie na jej piersiach.

Odpowiedziała mu cisza, Rick nachylił się, by ją pocałować, ale nastrój prysł i wróciło podenerwowanie. Wstali i poszli na plan.

Godzinę później ubrali się wszyscy w lśniące tuniki przewiązane złotymi wstążkami. Tunika Monty była turkusowa, a pozostałe dziewczyny miały różowe i niebieskie. Rick był ubrany na czarno, a na dole tuniki miał szlaczek z kluczy wiolinowych. Fryzjerzy włożyli im na głowy przepaski ze złotej plecionki. Monty nosiła ponadto szerokie mosiężne bransolety na kostkach nóg i nadgarstkach. Charakteryzatorka pokryła jej powieki niebieskoszarym cieniem, a złociste ramiona połyskliwym pudrem.

— Czas na koktajl — oświadczył Keith, a jego asystent pojawił się z tacą

TLR

pełną kieliszków wypełnionych musującym bursztynowym płynem. Na dnie każdego kieliszka rozpuszczało się parę kryształków.

— Wielkie nieba! Prawdziwe koktajle z szampana — mruknęła Monty.

Nerwowym ruchem wychyliła jeden kieliszek, a potem jeszcze dwa.

Maszyna do suchego lodu spowiła powierzchnię purpurowej wody oparami mgły. Keith kazał najpierw filmować zespół, który ruszał ustami synchronicznie z playbackiem ostatniego singla, Heart's Desire, o zmysłowym i prawie dyskotekowym rytmie. Trzy tancerki podpełzły do chłopaków i lubieżnie pieściły ich nogi, a inne dwie dziewczyny stały po uda w wodzie i się obejmowały. Keith sfilmował chłopców leżących w nonszalanckiej pozie na leżankach. Pili whisky, szampana, jedli winogrona (Cy bardzo na to nalegał) i pieścili się z tancerkami.

— A teraz wy, dziewczyny. — Keith wskazał na Monty, P.J. i Maggie.

— Na huśtawkę. — Posadzili Monty na huśtawce, a pozostałe dwie dziewczyny stały w wodzie i bujały ją tam i z powrotem. Keith polecił, by ręczną kamerą zrobić zbliżenie jej twarzy. Wspaniale było tak się huścić w ciepłym, parnym powietrzu, być na lekkim rauszu i małym haju. Monty czuła też przypływ miłości

spokój po tym, jak znowu zbliżyli się z Rickiem.

— Świetnie, kochanie, świetnie — mruzczał Keith. — A teraz głowa do tyłu, jeszcze bardziej, jeszcze. Nie bój się, nic ci się nie stanie. Poddaj się cała. — Tam i z powrotem, tam i z powrotem. Muzyka dudniła coraz głośniej. Rick i Keith byli pochłonięci rozmową.

— To naprawdę wspaniale. Chcę zrobić więcej ujęć, gdy jesteś w takim błogostanie — powiedział Keith, pomagając jej zejść z huśtawki. — Weź to, oczy nabiorą większej wyrazistości. — Dał Monty małą tabletkę, którą wyjął z fiolki.

Nagle jedna z tancerek wyskoczyła z basenu, mówiąc choreografowi, że barwnik rozpuszczony w wodzie podrażnił jej skórę. Choreograf zaczął



TLR

awanturować się z Keithem i dziewczyny zostały odesłane, by posmarować zabezpieczającym kremem. Monty poczuła przyływ gorąca, ogarnęła ją senność. Miała ochotę gdzieś się położyć.

Wreszcie wszystko było gotowe do ponownego rozpoczęcia zdjęć. Keith kazał Monty położyć się na plecach na skraju basenu. Zbliżyły się do niej dwie czarnoskóre tancerki. Rozległa się znowu muzyka i dziewczyny zaczęły wykonywać węzowe ruchy nad Monty, potrząsając gwałtownie ramionami, aż wreszcie rozwiązały się złote sznury przytrzymujące tuniki i lekka materia zsunęła się na ziemię. Monty poczuła dreszcz podniecenia i zaczęła się wić, jak jej kazał Keith. Jakiś tancerz podtrzymywał jej stopy, żeby nie ześlizgnęła się do wody. Zdawało jej się, że kątem oka dostrzega leżącego Pete'a, z nagą dziewczyną siedzącą na nim okrakiem.

Obraz stał się jakiś zamglony, chyba przyćmiono światło. Pełgające płomienie pochodni podkreślały ruchy tancerzy. Monty czuła, jak krew zmieszana z narkotykiem i alkoholem tętni w żyłach.

Muzyka dudniła coraz głośniej. Jakaś ręka rozdarła górną część tuniki Monty, a jedna z dziewczyn pochyliła się i czerwonym, ruchliwym językiem musnęła jej piersi. Nagle spadł na nie deszcz płatków różanych, które pieściły skórę Monty i jeszcze bardziej ją podniecały. Na planie pełno było roztańczonych ciał, mgły, hałasu, kwiatów i płomieni.

Ktoś pomógł Monty wstać. Dwóch tancerzy o nagich torsach zabawiało się przerzucaniem jej z jednych ramion w drugie. Monty opadała miękko w ich muskularne objęcia, nie była w stanie robić nic innego. Zdała sobie sprawę, że nie panuje nad swoim ciałem, ale jakoś jej to nie zaniepokoiło. Czuła się jak jaskółka szybująca w przestworzach. Jakieś usta przywierały do jej skóry, zęby kęsały najdelikatniejsze partie ciała. Po lewej stronie dostrzegła białego chłopaka w lamparczej skórze, który ukląkł przed nagim Murzynem i wziął do ust jego naprężony członek. Ich ruchy były jakby spowolnione, na-

wet muzyka grała wolniej.

Ktoś brał Monty na ręce, wirował z nią, rzucono ją od jednego mężczy-

TLR

zny do drugiego. Poszarpana tunika zsunęła się z bioder, pozostał tylko przejrzysty kawałek jedwabiu ślizgający się pomiędzy udami; zasłaniał nieco talie i

jedną z piersi. Pojawiła się dziewczyna połykająca ogień. Brała płonącą żagiew do ust, zamykała je na chwilę, po czym wypluwała strumień ognia.

Nagle Monty poczuła, że ktoś opryskał ją wodą. W basenie pojawiło się więcej ludzi; tańczyli i miesili ciałami opary mgły, rozpryskując w powietrzu tęczowe kropelki. Mokre ciała tańczyły, splecione w uścisku, jakieś dłonie kładły się na czyichś piersiach, palce zagłębiały się pomiędzy pośladki.

Wszędzie wokół były szczipione ze sobą uda i ramiona.

Później Monty znalazła się na leżance, na poduszkach z czarnego aksamitu. Czuła, że żądza przepala każdy atom jej ciała. Jaka żądza? Kogo właściwie

pragnęła? Nie mogła sobie przypomnieć. Po prostu chciała, by ktoś ją wziął, czuła, że zaraz umrze, jeśli tak się nie stanie.

Ludzie wychodzili z basenu i gdzieś znikali. Światło przygasło, aż pozostały jedynie pełgające pochodnie. Muzyka ucichła, słychać było tylko cykady

w kępie palm i ciche pluskanie wody w basenie.

Nagle pojawił się Rick. Był całkiem nagi, tylko we włosach miał wciąż złotą przepaskę. Wziął Monty na ręce, zaniósł na stos poduszek w ciepłym, ciemnym kącie i zaczął okrywać pocałunkami.

— Jesteś taka piękna, taka piękna — mruzczał, gdy jego ręce ściągały z niej resztki podartej tuniki. Chciała mu w tym przeszkodzić, ale pchnął ją lekko na poduszki i zaśmiał się. — Jesteśmy już sami, kochanie — powiedział. — I czeka nas wielka przyjemność. Nic nie rób. Po prostu leż i baw się dobrze.

Pragnęła go aż do bólu. Dreszcz, delikatny jak muśnięcie skrzydełek ćmy, przebiegał jej skórę przy każdym dotknięciu Ricka. Pogłaskała go po policzku, gdy zaczął ssać jej sutki, ujmując dłońmi piersi i zbliżając je do ust jak cudowne owoce.

— Teraz Rick, kochanie, proszę cię — błagała, wijąc się pod jego wą-

TLR

skim, twardym ciałem. Ale on kazał jej czekać i wciąż się śmiał. Zanim znalazł się w niej, poczuła, że przeszywają ją nagłe dreszcze orgazmu.

Jednak wciąż było jej mało. Orgazm chłostał zmysły jak bicz i rozpalał je coraz bardziej. Rick ukląkł pomiędzy nogami Monty i zaczął ją pieścić, dźgając delikatnie językiem. Głaskał ustami napięte, mokre ciało, pił słodką wilgoć i z okrutną zręcznością unikał dotyku, który uwolniłby ją z piekła namiętności. Monty wiła się pod nim, niepomna na wszystko, pozbawiona wszelkich hamulców, i pragnęła jedynie, żeby wreszcie znalazł się w środku, by mogła pogrążyć się w wirze gorącej ciemności.

Z demoniczną siłą ręce Ricka przytrzymały ją nieruchomo i wtedy wreszcie poczuła go. Był spragniony i gorący, ale wchodził w nią tak wolno, tak wolno... Krzyknęła, gdy nagle się wycofał, wbiła paznokcie w jego tors i zobaczyła, że pozostawiają po sobie nabiegające krwią pręgi. Wtedy Rick znów był na niej i zaczęli się tarzać po poduszkach. Twarze mieli mokre od łez, ale czyich? Przetarziali się po twardych kafelkach, potem po trawie, wreszcie do połowy zanurzyli się w ciepłej wodzie. Przed Monty otworzyła się ciemność, w której natychmiast się pogrążyła. Chciała się w niej rozpuścić, chciała, by ją zniweczył i rozerwał na strzępy ten miłosny kataklizm.

— Kocham cię, kocham — to były ostatnie słowa, jakie usłyszała.

Rick uwolnił się z jej uścisku. Podbiegł do niego asystent Keitha i podał ręcznik, którym Rick się owinął wokół bioder.

— Mam nadzieję, że wszystko nagraliście — powiedział do reżysera. — Nie sądzę, bym mógł to powtórzyć.

— Mam to, nie przejmuj się. — Keith poklepał pudło z kamerą. — Robisz tak codziennie?

Rick wyszczerzył do niego zęby i dał mu sztubackiego kuksańca w bok.

— Nie ma to jak domowe jedzenie. Czy nic jej nie będzie?

— Nie, nie przejmuj się. Często mają odjazd po *quaaludes*. Zabierz ją do TLR

domu, połóż do łóżka, a rano wszystko będzie w porządku. Jak dobrze pójdzie, nie będzie nic pamiętać.

— Czy jesteś pewien, że nic jej nie jest? — Rick zbliżył się do bezwładnie leżącej Monty i ujął jej nadgarstek, by zbadać puls. Właściwie nie musiał tego robić. Gołym okiem było widać, jak wali jej serce.

— Jestem zupełnie pewien, zaufaj mi. Niczym się nie przejmuj. Nie będzie pamiętała, co tu się działo, a przynajmniej niewiele. A ja tak wszystko zmontuję, że nie pozna siebie samej.

— Świetne są te *quaaludes*, prawda? — powiedział Cy, który z resztą widzów stał za kamerą. — Masz trochę na zbyciu? — Keith wysypał kilka tabletek na dłoń Cy.

— Nie dawaj ich takiej, co ci się nie podoba — poradził.

Rick spojrzał z ciekawością na młodego reżysera.

— Więc co to właściwie będzie? Pierwsze ostre rockowe video?

Keith zaprzeczył ruchem głowy.

— Może przygotuję wam specjalną taśmę na prywatny użytek. Ale ta dla Excellent będzie w porządku, możesz mi zaufać. Wytnę wszystkie świńskie kawałki, i tak będzie jasne, co się wyprawia. Wystarczy jedno spojrzenie na twarz twojej facetki. Te oczy — niesamowite!

Gdy Monty odzyskała przytomność, było już po południu. Miała straszne pragnienie, ból głowy. Skóra na nogach i plecach paliła ją, bo dostała wysypki od barwnika rozpuszczonego w wodzie. Nic nie pamiętała. Rick powiedział jej, że videoklip zostanie wydany w Nowym Jorku i nie będzie czasu na

wcześniejsze obejrzenie go, gdyż trzeba się śpieszyć z wydaniem *Heart's Desire*. Był bardzo spokojny i troskliwy, bo czuł się winny.

Pewnego popołudnia w Londynie Monty wracała

TLR

taksówką od fryzjera, gdy nagle jej wzrok przyciągnął rozmigotany ekran telewizora w sklepie muzycznym. Kazała taksówkarzowi się zatrzymać, zapłaciła i wysiadła. To na pewno reklamówka *Heart's Desire* — pomyślała dołączając do grupki gapiów przed wystawą. Zobaczyła twarz Ricka, który miał złotą przepaskę na głowie i poruszał ustami synchronicznie z playbackiem. Potem ujrzała jedną z czarnowłosych tancerek wijącą się u stóp Ricka, potem węża i siebie śpiewającą wraz z PJ. i Maggie. O rany, ale grubo wyglądam — pomyślała z niechęcią. W następnym ujęciu zobaczyła swoją rozmarzoną twarz z półprzymkniętymi powiekami.

Wbiegła do sklepu i poprosiła sprzedawcę o kopię video.

— Chcesz wersję popularną?

— Jaką popularną?

— No, tę powszechnie znaną, którą można zobaczyć w telewizji. Kosztuje dwadzieścia pięć funtów. Mam jeszcze parę kopii wersji specjalnej, którą ktoś zmontował z tego, co wycięli. Ale to oczywiście będzie drożej kosztować.

— Co tam jest? — Monty zaniepokoiła się nagle, bo nie pamiętała zupełnie, co się działo na planie filmowym. Zazwyczaj coś tam pamiętała, nawet gdy była straszliwie zalana czy zaćpana. Intuicyjnie domyśliła się, co chłopak miał na myśli.

— Rick Brown rżnie jakąś panienkę. Ostry numerek, stare psisko jest jeszcze całkiem jurne. Jak chcesz, możesz rzucić okiem. Chłopcy oglądają to właśnie na zapleczu. Teraz obsługuję klientów, więc i tak nie mogę ci tego przynieść.

Monty otworzyła wskazane drzwi prowadzące na zaplecze sklepu i zaj-

rzała do pokoju na końcu korytarzyka. Na pakach ustawionych przed telewizorem siedziało trzech chłopaków, którzy podskakiwali jak małpy. Monty rzuciła tylko jedno spojrzenie na ekran, zanim się wycofała, ale natychmiast poznała swoje ciało falujące pod rytmicznymi pchnięciami Ricka.

TLR

Oniemiała z szoku, bez tchu wybiegła na ulicę i gnała w kłębiącym się tłumie, szukając telefonu. Pierwszy był rozwalony przez wandalę, drugi nieczynny. Frustracja zamieniła się w gniew, a gniew w zimny spokój. Z trzeciego aparatu zadzwoniła do biura Cathy.

— To straszne, to naprawdę straszne, Cathy. Nie wyobrażasz sobie, co te dranie zrobiły... — Monty zachłysnęła się i zaczęła płakać.

— Skąd dzwonicz? Powiedz, gdzie jesteś, zaraz tam przyjadę — powiedziała Cathy stanowczym, uspokajającym tonem. Monty powiedziała, gdzie jest i poszła do najbliższej kawiarni, by poczekać na siostrę. Po dwudziestu minutach ze sznura samochodów wyłonił się stalowoniebieski BMW Cathy. Wjechała na krawężnik, ostro hamując. Szczupła sylwetka Cathy w czarno-białej tweedowej garsonce przedarła się szybko przez tłum i Monty rzuciła się siostrze w ramiona.

— To najgorsze, co może być, Cathy... — Cała się trzęsła, gdy opowiadała siostrze o video.

Cathy wysłuchiwała ją uważnie.

— Dobra — rzuciła. — Chodź ze mną i usiądź w samochodzie. Pilnuj, żeby gliniarze nie zatykali mandatów za wycieraczki. Ja się przejdę i zobaczę, ile kopii da się wykupić. Sprawdzenie sklepów na Tottenham Court Road nie zajmie mi dużo czasu. Czy sądzisz, że trzeba też sprawdzać gdzie indziej?

Monty pokręciła głową i pociągnęła nosem, wciąż bliska płaczu.

— Nie. Tu się sprzedaje świńskie kasety. Miejmy nadzieję, że nie sprzedali ich zbyt wiele.

Cathy posadziła siostrę w BMW i spokojnie wędrowała od sklepu do

sklepu po ulicy, przy której skupiono główne londyńskie sklepy muzyczne. Zwracała powszechną uwagę swym typowym dla pracowników City uniformem i rozkazującym, arystokratycznym tonem, jakim zwracała się do sprzedawców. Byli zaszokowani, gdy z miejsca żądała pirackiej wersji *Heart's Desire*.

TLR

— O jakiej pirackiej wersji pani mówi? — zdziwił się gruba wy sprzedawca z tłustymi włosami. — Nie ma żadnej pirackiej wersji, a nawet gdyby była, i tak bym jej pani nie sprzedał.

Cathy bez cienia zachęcającego uśmiechu na nie skalanych szminką ustach spojrzała prosto w jego przekrwione oczy i odparła chłodnym, uprzejmym tonem:

— Albo sprzedasz mi je natychmiast i zarobisz, albo zaczekasz do jutra, gdy załatwimy nakaz sądowy, i zostaniesz z kupą świńskich kaset, których już w ogóle nie będziesz mógł sprzedawać. Wiem, co zrobiłabym na twoim miejscu.

W ciągu pół godziny Cathy wykupiła wszystkie kopie z pornograficzną kasetą, jakie udało jej się znaleźć.

— Mam siedemnaście — oświadczyła, rzucając na tylne siedzenie dwie torby pełne kaset. — Mam też kopię wersji oficjalnej. A teraz pozbędziemy się tego, dobrze? — Zapaliła silnik, z piskiem opon włączyła się w ruch uliczny i skierowała na północ, do Regens Park. Cathy zaparkowała przy kanale, obok zoo, i siostry wysiadły z samochodu z torbami wyładowanymi kasetami.

— Jedną muszę zatrzymać — powiedziała z rezygnacją Monty — żeby Rick nie mógł się wykręcić, bo będzie miał dowód przed nosem. — Wyjęła z torby jedną kasetę, a pozostałe wrzuciła do wody, przechylając się przez poręcz z kutego żelaza. Cathy oburącz rzuciła swoją torbę i przez chwilę patrzyły, jak kupka plastikowego plugastwa znika w spienionej, zielonej wodzie.

— Jak on mógł ci to zrobić? Chętnie bym zabiła tę ohydną pluskwę. — Głos Cathy drżał z gniewu i był ostry jak brzytwa. — Co się z nim stało, Monty? Przecież zawsze był dla ciebie dobry, prawda? A może zawsze był kupą gówna, a teraz, kiedy stał się sławny i bogaty, uważa, że może sobie pozwolić na to, by postępować jak gnojek?

TLR

Wróciły do samochodu, a Monty zatrzymała się z ręką na klamce.

— On jest zdesperowany, Cathy, to wszystko. Zdesperowany, przerażony i słaby. Musiał wymyślić coś skandalicznego, by zrobić zespołowi reklamę i dostać się znowu na sam szczyt. Jemu rzeczywiście na mnie zależy, kocha mnie na swój sposób. Ale jak tylko znajdzie się w towarzystwie chłopaków, nagle jest tak, jakbym ja w ogóle nie istniała. On musi po prostu udowodnić, że jest szefem. Zrobiłby wszystko, by nie stracić kontroli nad sytuacją.

— Żałosne — stwierdziła Cathy i szybko ruszyła do przodu. Drzewa właśnie zmieniały barwę ze zszarzałej zieleni późnego lata w złoto wczesnej jesieni. Nad ich koronami rysował się dach wielkiej ptaszarni zoo. Gdy przejeżdżały obok, dostrzegły czaplę o wielkiej rozpiętości skrzydeł, która szybowała

w powietrzu ograniczonym drucianą siatką.

— Pomimo wszystko to jest jednak klatka, prawda? Może być wielka i luksusowa, ale klatka to zawsze klatka. — Monty wyglądała na znużoną i przygnębioną.

— Czas już wylecieć z klatki, nie sądzisz? — zasugerowała siostra. — Jesteś już dużym ptaszkiem.

— „To ja jestem łabędziem?” — zapiszczała Monty, naśladując Brzydkie Kaczętko, i uśmiechnęła się gorzko. — Tak, wiem, że jestem łabędziem i najwyższy czas na samodzielny lot. Rick miał nawet zamiar to zrobić, wiesz? Powiedział, że załatwi mi kontrakt na solowy album.

Samochód zatrzymał się przed światłami, a Cathy odwróciła się do siostry i pogłaskała ją po policzku.



— Czy potrzebujesz pozwolenia Ricka? — spytała łagodnie.

W domu Monty obejrzała telewizyjną wersję video— klipu i z ponurą furią stwierdziła, że choć nie było widać żadnych organów płciowych, a akcja była pomyślana tak, żeby nie można było wnieść oskarżenia o obrazę moralności, telewidzowie mieli okazję obejrzeć wiele partii jej nagiego ciała, a co TLR

gorsza, również jej obnażoną duszę.

Skurczyła się z zażenowania na widok siebie samej wijącej się z pożądania pod Rickiem.

Rick pojawił się z Dennisem w chwili, gdy taśma dobiegała końca. Monty przestraszyła się nieco, że we dwóch na pewno ją zakrzyczą, ale było jej już wszystko jedno; załamana nie potrafiła trzeźwo myśleć.

— Ty draniu! Ty obleśny draniu! — wrzeszczała zbiegając po schodach.

— Czy jest coś, czego byś nie zrobił, no powiedz! Może wyprujesz mi flaki i zjesz na surowo? To dopiero byłby wyczyn! Pokaz kanibalizmu transmitowany na żywo przez satelitę.

— O co ci, u licha, chodzi? — spytał Rick chłodnym tonem i spojrzał na nią wyniośle.

— Nie udawaj niewiniątka, Rick. Mówię o video— klipie.

Ujrzała cień poczucia winy w jego oczach, ale natychmiast się opanował i powiedział podniesionym głosem:

— No, widać tam kawałek skóry i co z tego?

— A to, że nie podoba mi się pomysł, by milion gówniarzy waliło konia patrząc na ten mój kawałek skóry. To moja skóra, Rick. I nie zależy mi na tym, żeby cały świat wiedział, jak wyglądam, kiedy mam orgazm, ani żeby wiedział, jak ty wtedy wyglądasz, choć nie przypuszczam, abyś się tym przejmował. I nie chcę, żeby widziano, że po tym jak razem z Keithem nafaszerowaliście mnie jakimś prochami, zerznąłeś mnie przed kamerą, bo byłam bez kontaktu. Co się z tobą dzieje? Czy teraz już wiesz, o czym mówię?

— O Jezu! — ku zaskoczeniu Monty agresywny ton Ricka zniknął i teraz robił wrażenie załamane. Podszedł i objął ją ramionami.

— Posłuchaj, kochanie... Możesz mi nie wierzyć, ale ja też nie wiedziałem, co robię, naprawdę. W ogóle nic nie pamiętam, słowo daję. Pamiętam TLR

tylko, że cały dzień piliśmy drinki i braliśmy kokę — tu zajrzał jej w oczy, a w jego własnych malowało się poczucie winy. — No i pamiętam, jak wyglądałaś...

Monty bardzo chciała w to wierzyć, ale też pragnęła sprawić mu ból.

— No to chodźmy na górę i odświeżymy twoją pamięć — syknęła.

Chwyciła go za ramię, specjalnie wbijając paznokcie i wciągnęła po schodach do salonu. Zażenowany Dennis podreptał za nimi, bezgłośnie stawiając kroki w swych trampkach. Trzęsącymi się z wściekłości rękami Monty włożyła kasetę do magnetowidu.

— Co to? — Rick usiadł jak rażony gromem, a Monty wpatrywała się w niego uważnie. Czy mówił prawdę? Patrzył w milczeniu na spółkującą parę, która wypełniała cały ekran, poruszając się w takt muzyki. Obraz ten urozmaicały niezwykle ujęcia powolnej erekcji na tle nocnej panoramy Los Angeles.

— Skorpion podnosi ogon — mruknął Dennis.

— Wynoś się stąd! — wrzasnął z wściekłością Rick.

Gdy taśma się skończyła, Rick pogmerał w kieszeni dżinsowej kurtki, wyjął dwa papierosy, zapalił je automatycznie i podał jednego Monty. Obrzuciła go bezlitosnym spojrzeniem.

— Nie okłamuj mnie, Rick. Doskonale wiedziałeś, co robisz. Nie nabierzysz mnie.

— Przysięgam na Boga, że nie wiedziałem, Monty. Za kogo ty mnie masz? — Przewinął taśmę do miejsca, gdzie widać było zbliżenie ciała Monty. Pełgające światło pochodni oświetlało jej złocistą skórę. Oczy, ocienione chmurą włosów, były półprzymknięte, a rzęsy rzucały długie cienie na wyso-

kie, wystające kości policzkowe. Jej lśniące usta drżały i wciąż powtarzały jego imię. Ręce były skrzyżowane pod biustem, a jędrne, gładkie półkule z ciemnymi, twardymi sutkami lśniły matowo w przyćmionym świetle.

— Spójrz tylko na siebie — powiedział Rick drżącym głosem. — Cóż TLR

mogłem na to poradzić? Nie mogłem się powstrzymać, musiałem to zrobić. Błagałaś, żebym cię rznął, i byłaś taka cholernie piękna. — Zwiesił głowę jak zawstydzone dziecko.

— Ale nie musiałeś im pozwalać tego filmować.

— Keith powiedział, że zrobi taśmę tylko na nasz prywatny użytek. Do głowy mi nie przyszło, że... Jakiś drań musiał zrobić piracką kopię. Och, kochanie, tak mi przykro... — Rzucił się w jej ramiona. Czują jego nieregularny oddech, gdy urywanym głosem błagał o przebaczenie. — Musimy coś z tym zrobić — powiedział w końcu. — Gdzie to znalazłaś?

— Na Tottenham Court Road. Cathy wykupiła wszystkie, które udało jej się znaleźć. Sto funtów sztuka.

Rick zawołał Dennisa.

— No dobra, co z tym zrobimy? Jak wycofamy te taśmy ze sklepów? — spytał.

— Niech cię o to głowa nie boli. Powiem chłopakom, żeby wykupili wszystko, co krąży po mieście, i załatwimy sądownie zakaz rozpowszechniania. Czy chcecie też wycofać videoklip?

Rick spojrzał pytająco na Monty, pozostawiając jej decyzję. Westchnęła wiedząc, że jest w pułapce. Gdyby kazała wycofać reklamówkę płyty z telewizji, straciliby na tym majątek.

— Nie, już za późno. Tam przynajmniej nikt się nie może zorientować, że to mój tyłek. — Monty rozpoznała swój pośladek tylko po znamieniu, a w kłębowisku nagich ciał jej własne nie rzucało się tak bardzo w oczy.

Dennis wydał swoim pracownikom polecenie przez telefon i pozostawił

ich, by sam na sam spędzili smutne popołudnie.

Nazajutrz gazety rozpisywały się o całym wydarzeniu. Dwa brukowce poświęciły mu pierwsze strony i nawet „The Times” wzmiankował o zgłoszeniu do sądu wniosku o zakaz rozpowszechniania taśmy.

TLR

Tego samego popołudnia BBC wprowadziła zakaz emisji videoklipu *Heart's Desire*, stwierdzając, że narusza ogólnie przyjęte normy przyzwoitości i nie może być pokazywany w nieokrojonej wersji. Bez przerwy wydzwaniano z różnych gazet, a Ricka zapraszano do udziału w wielu programach telewizyjnych oprócz pokazów rockowych, na które The Juice był zabukowany wcześniej. W jednym z programów zaproponowano mu nawet dyskusję o współczesnej moralności z biskupem.

Monty była zobojętniała i przybita. Bardzo chciała wierzyć w zapewnienia Ricka, ale trudno jej było zignorować stan samozadowolenia, w który popadł po odzyskaniu dawnego statusu rzecznika młodzieży. Cathy bez ogródek wyrażała swoją pogardę.

— Wykorzystał cię — powiedziała głucho. — Wiesz, że to prawda, musisz przecież wiedzieć. Dlaczego nie chcesz tego przyznać? I to nie po raz pierwszy, prawda? Miał bardzo prosty wybór. Albo chronić cię przed takimi rzeczami, albo wykorzystać to, że ci na nim zależy. Gdy przyszło co do czego, jego sukces okazał się ważniejszy od ciebie.

Monty milczała. Wiedziała, że Cathy ma rację, a jednak bardzo chciała wierzyć, że się myli. Cindy Moon zupełnie się z nią nie patyczkowała.

— To typowe dla Ricka, przecież został jedną z największych gwiazd rocka właśnie dlatego, że miał wszystkich w nosie. Zobaczył, że nadarza się świetna okazja, i natychmiast to wykorzystał. Zawsze był geniuszem w organizowaniu rozrób. Cały image The Juice został stworzony dzięki takim aferom.

Monty skinęła głową, czuła się strasznie przybita.

— Najgorsze jest to, że wszyscy wiedzą. — Wzdrygnęła się, jakby było jej chłodno w cienkim białym podkoszulku. — Jak spotykam znajomych, zastanawiam się, czy mnie widzieli. Najchętniej schowałabym się w jakiejś mysiej dziurze i poczekała, aż wszyscy o tym zapomną. Chyba umrę jak będę musiała wyjść na scenę.

Cindy spojrzała na nią jakoś szczególnie, unosząc w górę łuki brwi starannie pociągnięte ołówkiem.

TLR

— Czy Rick rozmawiał już z tobą o tournée? — spytała.

— O czym tu gadać? Trzydzieści występów w ciągu czterdziestu trzech dni, zaczynając od przyszłego tygodnia. A potem Stany. Jak będzie wtorek, wiadomo, że jesteśmy w Oshkosh, w Wisconsin. — Monty wzruszyła ramionami.

— Chodzą plotki, że Rick zamierza zmienić całą formułę występów.

— Co masz na myśli? — spytała Monty, choć domyślała się, o co chodzi.

— Lepiej sama go zapytaj — odparła Cindy.

Monty posłuchała jej rady i znowu Rick objął ją i zaczął mówić poufałym i pełnym desperacji głosem.

— Olewamy Excellent i Dennisa — powiedział. — Sama wiesz, że od dawna się na to zanosilo, a ta cała historia z videoklipem to tylko kropka nad „i”. Dennis to zgniłek, jest do niczego. Załatwimy sobie nowego managera i nowy kontrakt.

Monty wyswobodziła się z objęć Ricka i usiadła na skraju wielkiego łóżka na wymiętym czarnym atłasie.

— Dziękuję, że zapytałeś mnie o zdanie. I dziwię się, że uważasz video za taki niewypał. Osobiście sędzę, że całkiem nieźle na tym wyszedłeś.

— Daj sobie spokój ze złośliwościami, Monty — powiedział i odwrócił się od niej z rozdrażnieniem. Udawał, że wygląda przez okno i patrzy na tłum turystów płynący w kierunku dzielnicy punków. W ciągu ostatnich dziesięciu

lat w Chelsea zaszły duże zmiany. Życie nie tętniło już na eleganckich placach we wschodniej części, ale wokół tandetnych sklepów pełnych skórzanej odzieży i akcesoriów dla fetyszystów na zachodzie Chelsea, niedaleko od rozwalającego się domu, w którym niegdyś mieszkali Rick i Monty.

— A o co chodzi z tymi zmianami, które chcesz wprowadzić do występów?

TLR

— Że niby co?

— Słyszałam, że coś planujesz.

— Od lat marudziłaś mi, bym coś zmienił, więc pomyślałem, że będziesz wreszcie zadowolona.

— Może raczysz powiedzieć, o co tu chodzi?

— Dobra, powiem ci. — Rick odwrócił się do niej z wściekłością i odgarnął włosy opadające na oczy. — Chodzi o to, że nie dam się spuścić do klozetu. Ani żaden z nas. Te wszystkie gady, jak na przykład twoja kochana przyjaciółka Cindy, które tak się starały uziemić The Juice, nie przyjmują do wiadomości faktu, że my jeszcze żyjemy. Dość już mam tego, że oni wszyscy biorą ze mnie miarę na trumnę.

— Jasne. Coś jeszcze?

— Nie, ale nie zwracaj sobie głowy pakowaniem się, bo nigdzie nie wyjeżdżasz. Olewamy was, dziewczynki. Jesteśmy twardzielami, zawsze byliśmy i w przyszłości nie będzie żadnego tam „Och” i „Ach” i „Siałala”. I nie chcę cię mieć na karku z tym ciągłym jęczeniem, że jestem niesympatyczny i tak dalej.

Monty poczuła zarazem wściekłość i ulgę. Była przerażona samą myślą o tournée i pomimo że Rick pozbył się jej w tak bezceremonialny sposób, ogarnęło ją oszałamiające uczucie wolności.

— W porządku, nie ma sprawy — powiedziała wstając i potrząsając włosami, gdy zastanawiała się, co robić dalej. — Będę o wiele bardziej zadowo-

lona, jak zostanę w Londynie i popracuję nad swoimi piosenkami, zamiast włączyć się z tobą i patrzeć, jak co wieczór odstawiasz twarziela.

— Ale nie licz na to, że będę miał coś wspólnego z tymi twoimi piosenkami — powiedział natychmiast Rick. — Nie pakuję się w nic, co zrobisz, rozumiesz? Co ty możesz wiedzieć o tym, co czują dzieciaki? Urodziłaś się ze srebrną łyżką w buzi, mówisz z tym arystokratycznym akcentem, a gusty ustala ulica. Nie mogę sobie pozwolić na to, by mieć coś wspólnego z twoją

TLR

muzyką.

— Masz mi jeszcze coś do powiedzenia? Może coś w rodzaju: „Fajnie cię było poznać”.

— Nie bądź głupia, Monty. To nie ma nic wspólnego z nami. To interesy, po prostu muzyczny biznes. Nie traktuj tego tak osobiście. Kocham cię, mała. Zawsze będę cię kochał — powiedział i chciał ją objąć. — Masz dowód na kasecie, no nie?

Monty zalała fala wściekłości.

— A co ty, kurwa, możesz wiedzieć o tym, co czują dzieciaki? Ty, z tym twoim Rollsem, wielkim domem na wsi, projektantem wnętrz, narkotykami, chłopcami na posyłki, groupies i innymi przydupasami. I ty niby rozumiesz te gusty i potrzeby ulicy? Nie rozśmieszaj mnie. Ty nie jesteś już nawet człowiekiem. Jesteś robotem skonstruowanym do sprzedawania płyt. Jesteś chodzącą, mówiącą maszynką do zgarniania forsy, i dobrze o tym wiesz.

Wymierzył jej policzek otwartą dłonią. Nie było to zbyt bolesne, miało tylko przypomnieć, kto tu jest panem.

— Histeryzujesz — oświadczył. — Zamknij się, jak nie umiesz mówić do rzeczy.

Monty poczuła się nagle bardzo znużona, zbyt zmęczona, by go uderzyć czy sięgnąć po wazon stojący na nocnym stoliku, choć przez chwilę miała ochotę rzucić nim w Ricka. Cathy miała rację i Cindy także. Owszem, Ric-

kowi zależało na niej, ale jeszcze bardziej zależało mu na sobie samym. I to tak bardzo, że jego miłość była nic nie warta. Poza tym był skazany na zagładę, jak wymierające gatunki zwierząt. Stracił kontakt z rzeczywistością, nawet

z własnymi emocjami. Wiadomo było, że nie przetrwa w tych zmieniających się warunkach.

Monty odepchnęła Ricka i poszła do ubieralni. Znalazła swoje nowe futro z czerwonego akrylu i torbę, do której zaczęła na chybił trafił wrzucać ubra-

TLR

nia.

— Och Monty, nie bądź głupia — powiedział pieszczotliwym tonem Rick, który natychmiast za nią przybiegł. — No przestań, kochanie, co ty wyprawiasz?

— Odchodzę.

Wyciągnął ręce z kieszeni dżinsów i wziął torbę z jej rąk.

— Zwariowałaś chyba. Nigdzie nie pójdziesz, nie możesz tego zrobić. Ja cię potrzebuję. Jesteś jedyną osobą, jaką kiedykolwiek kochałem, wiesz przecież o tym.

— Niech więc dobry Bóg ma w opiece kolejne takie osoby.

Próbował ją pocałować, ale odepchnęła go, bo nagle zemdliło ją, gdy poczuła jego oddech.

—

— Porzygam się, jak mnie dotkniesz — warknęła. — Ty nie masz pojęcia, co to znaczy miłość, Rick.

— To nie *fair*, jak możesz mówić takie rzeczy. — Znowu grał rolę skrzywdzonego chłopca, ale tym razem serce Monty ani drgnęło.

Kiedy w końcu zrozumiał, że to nie żarty, porzucił pokorniutką pozę i jego szare oczy pociemniały ze wściekłości.

— Rób, jak uważasz — powiedział chłodnym, jadowitym tonem. Rzucił torbę do stóp Monty i niemal wybiegł z pokoju.



Monty bez słowa pozbierała swoje notesy, wzięła trochę kaset, wrzuciła do torby magnetofon i wyszła na ulicę. Był ciepły wrześnieowy dzień. Liście opadłe z platanów pokrywały chodnik.

Monty zatrzymała taksówkę i pojechała do nieskazitelnie białego mieszkania Cathy na Barbican.

Cathy otworzyła butelkę szampana i przyszła z nim do łazienki, gdzie jej siostra rozkoszowała się ciepłą kąpielą z olejkiem cytrynowym.

— Jak się czujesz? TLR

— Cudownie, Cathy. Czuję się tak samo wspaniale, jak tego dnia, gdy wybiegłam z domu po tym, jak mama sprzedała mój fortepian. Pamiętasz ten dzień? Znowu jestem wolna.

Cathy w zamyśleniu sączyła zamrożony złoty płyn.

— Co masz teraz zamiar robić? — spytała.

— Zadzwońię do Cindy, żeby skontaktowała się z prasą i żeby wszyscy dowiedzieli się, że to ja odeszłam od Ricka. W przeciwnym razie, znając go, zaraz zadzwoni do swego cholernego chłoptasia od reklamy i ogłosi całemu światu, że to on mnie wykopał. Potem mam zamiar wynająć studio i nagrać świetną taśmę ze swoimi piosenkami, a potem załatwię sobie kontrakt.

— Mogę ci jakoś pomóc? Masz pieniądze?

— Och, dam sobie radę. — Monty wyciągnęła się rozkosznie w pachnącej wodzie, niechcący mocząc końce włosów, niedbale upiętych na czubku głowy. — A może by tak obciąć włosy? Byłoby to całkiem seksy i takie *coup sauvage*. Jak myślisz?

— Myślę, że przede wszystkim powinnaś pójść jutro do Dennisa i wyjaśnić swoją sytuację finansową — powiedziała stanowczo Cathy, zawiązując ciasniej pasek przy swej jedwabnej sukience w kolorze indygo.

— Sytuacja jest zupełnie jasna, kochanie. Nasz księgowy wszystkim się zajmował. Honoraria wpływały na mój rachunek bankowy, corocznie potrącano mi podatek, wszystko było jak trzeba. Dlaczego rozejście się z Rickiem

miałoby mieć coś do rzeczy?

— Może cię czekać przykra niespodzianka. — Cathy wstała i sięgnęła po gruby biały, pachnący lawendą ręcznik ze stosu leżącego na szklanej półce. Potem owinęła go wokół ociekającego wodą ciała Monty, gdy ta wynurzyła się z wanny. — Kiedy mężczyzna mówi, że zajął się wszystkim, oznacza to zwykle, że zrobił cię w konia.

TLR

Gdy tylko rozeszła się wieść o rozstaniu się Monty z Rickiem, telefon w mieszkaniu Cathy dosłownie się urywał. Zaczęli wydzwaniać przedstawiciele i znajomi Monty. Niektórzy chcieli poplotkować, inni powścikać się lub pogratulować Monty decyzji. Najbardziej jednak cieszyła się z telefonów od tych, którzy chcieli z nią współpracować.

Nagrała pięć nowych piosenek na próbną taśmę i jeden stary przebój The Juice, by przypomnieć słuchaczom, skąd się wywodzi. Potem z pewną złośliwą przekorą włączyła stary, klasyczny utwór Can't Get Used to Losing You; wykonała go z dużą dozą sarkazmu przy dzikim, rytmicznym podkładzie muzycznym, który zdaniem pracownika studia brzmiał jak walenie czyjąś głową o ścianę.

Kiedy taśma była gotowa, Monty wybrała się z Cindy na zakupy do nowych butików na World's Endzie. Kupiła sobie skórzaną sukienkę bez ramiączek, sznurowaną na plecach i wyciętą tak głęboko, że sznurowanie wchodziło prawie pomiędzy pośladki.

— Wyglądasz jak ucieleśnienie obscenicznego snu — powiedziała Cindy, podziwiając odbicie Monty w popękany lustrze.

— Spójrzmy prawdzie w oczy: jestem ucieleśnieniem świńskich fantazji połowy smarkaczy w tym mieście — odparła Monty. — Czy sądzisz, że powinnam ściąć włosy?

— Nie, mężczyźni lubią długie.

Monty zastanawiała się przez chwilę. Był to ważki argument. Interes po-

legający na kramarzeniu własnym talentem zasadzał się przede wszystkim na tym, by podobać się mężczyznom. Cindy zasugerowała Monty, by dodała do swego przydzwiewku czerwone plastikowe szpilki i połyskliwe czarne rękawiczki sięgające powyżej łokcia.

— Tak, to powinno podzielać im na wyobraźnię — powiedziała Monty, wydymając z satysfakcją usta i obciągając skórzaną sukienkę, dzięki czemu TLR

ukazywała niepokojąco głęboki dekolt. Kupię sobie jutro ołówkę do brwi — pomyślała. — Takie mocno podkreślone brwi będą w stylu lat sześćdziesiątych.

Sig Bear z Biffo Records nawet nie zauważył jej brwi, gdy pojawiła się ze swą próbną taśmą.

— Oto ona! Co za cudowne ciało! — zawołał, wyskakując ze swego gabinetu na wilgotny korytarzyk, który pełnił rolę poczekalni Biffo. W gabinecie nie było żadnych mebli, na podłodze stały dwa telefony i czarna statuetka egipskiego kota z lat pięćdziesiątych. Przypuszczam — pomyślała Monty, siadając na poplamionym dywanie — że za jakiś czas będzie chciał mnie na nim przelecieć.

— Przepłucz sobie głowę wodą z mydłem — zaproponował Sig, otwierając puszkę piwa i podając ją Monty. Uśmiechał się jak żaba, szerokim, obleśnym i pełnym samozadowolenia uśmiechem. — Chciałbym trzasnąć od razu twojego singla, potem może być jeszcze jeden, a wreszcie album. Proponuję więc dwuletni kontrakt i potem opcję. Musimy gdzieś to podpisać, zaraz zwołam dziewczynę, żeby załatwiła co trzeba.

— Wiedziałeś więc, że się tu zjawię?

— Nie, ale w nadziei nie ma nic złego, prawda? Na tym polega potęga myślenia pozytywnego. Prawdę mówiąc, jest tylko jedna rzecz, która mi się w tobie nie podoba.

— Co takiego?

— Twoje imię. Jest nazbyt prawdziwe, a potrzebujemy jakiegoś zgoła fantastycznego.

Ku własnemu zaskoczeniu Monty jeszcze przed wigilią Bożego Narodzenia leżała na podłodze w biurze szefa. Poza tym, że oboje obtarli sobie kolana o szorstki dywan, byli bardzo usatysfakcjonowani. Po całej dekadzie wyzwolenia seksualnego chłopcy o wiele lepiej orientowali się w intymnej geografii dziewcząt.

TLR

Kiedy było po wszystkim, siedzieli na podłodze i popijali piwo, oglądając w telewizji Czarownika z Oz. Judy Garland wkładała na nogi rubinowe pantofelki. Nagle Sig przełknął szybko łyk piwa i wskazał puszką w kierunku ekranu.

— To jest to — oświadczył.

— Niby co?

— Twoje imię. Ruby Slippers.

— Fajne! Podoba mi się.

— Idź żółtą, brukowaną drogą — mruknął, podwijając skórzaną spodniczkę, którą Monty dopiero co włożyła.

— Idź żółtą, brukowaną drogą... — Na szczęście on nie miał czasu na założenie spodni.

— Idźmy, idźmy, idźmy... — Potem słyhać już było tylko przyśpieszone oddechy, potem ciszę i jakieś pomruki. Niewidoczne ceramiczne oczy egipskiego kota spozierały na nich z dezaprobatą.

— Ach, Ruby — wyszeptał Sig do ucha Monty — zawsze chciałem zerznąć panienkę o imieniu Ruby.

Koniec zimy był o wiele mniej przyjemny. Ponieważ Cathy molestowała ją codziennie, Monty udała się wreszcie do Dennisa, by sprawdzić swoje finanse. Okazało się, że Rick zapisał wszystkie prawa autorskie do piosenek The Juice na swoje nazwisko. Nie miała więc prawa do honorariów, a ponie-

waż nowa wersja starej piosenki o telefonie była na liście przebojów i powsta-

ły dwie dyskotekowe wersje innych piosenek, które świetnie sprzedawały się w Niemczech, Monty poniosła duże straty.

— Musisz go zaskarżyć — powiedziała Cathy. — Nie martw się kosztami. Nie możesz tego odpuścić ze względu na szacunek dla samej siebie. Ja TLR

zapłacę rachunki.

Monty wynajęła zręczną firmę adwokacką, której biura mieściły się na Mayfair, ale w kilka miesięcy firma pochłonęła wszystkie pieniądze, jakie Monty zarobiła w Biffo. Była też bardzo zażenowana, gdy zobaczyła, ile Cathy musi dopłacić, by uregulować rachunki prawników. Tymczasem okazało się, że cała sprawa może się ciągnąć latami, zanim w ogóle dojdzie do rozprawy. Poza tym Monty czuła się coraz niezręczniejszą, mieszkając u Cathy. Czuła się tak, jakby starsza siostra zaczęła żyć jej życiem. Dlatego też wkrótce przeniosła się do mieszkania Cindy Moon na ostatnim piętrze budynku przy Notting Hill Gate. Sig od razu dostrzegł w tym możliwość zapoznania się z neo-punkowym profilem publiczności.

Biffo wydała pierwszy singel *Ruby Slippers* — szybką, pełną wściekłości piosenkę. Sig uparł się, żeby utwór *Can't Get Used to Losing You* znalazł się na stronie B i Monty przekonała się, że miał rację, gdy piosenka zawędrowała na trzecie miejsce na brytyjskiej liście przebojów. Wiele pisano o niej w prasie i Monty udzielała nie kończących się wywiadów o swoim zerwaniu z Rickiem i skandalu z videoklipem.

Pewnego dnia siedziała z Cindy i oglądała siebie w telewizji. Kamera zaczęła od zbliżenia jej czerwonych butów, po czym przesuwała się w górę. Publiczność w studiu wyglądała na poruszoną.

— Udało ci się, mała, gratuluję — powiedziała Cindy, klepiąc Monty po kostce u nogi. — O co więc chodzi? Dlaczego nie skaczesz z radości? Jesteś gwiazdą!

— Nie wiem — odparła Monty. Patrzyła na siebie, kołysząc obciążenymi skórą biodrami, na nadąsane usta grubo pokryte szminką, gdy poruszała nimi pod playback. — Nie czuję się chyba sobą. Jeszcze nie.

TLR

21

Zima roku 1945 była jedną z cięższych, jakie przeżyli mieszkańcy Wielkiej Brytanii. Nie była zimniejsza niż zazwyczaj. Wiatr, który hulał po ulicach Londynu, też nie był bardziej dokuczliwy niż kiedyś, ale ostatnia wojenna zima rzeczywiście dała się we znaki, bo towarzyszyło jej poczucie beznadziejności i rozczarowania. Nie przyniosła żadnego zadośćuczynienia za lata cierpień. Wręcz przeciwnie, ludziom jeszcze bardziej brakowało żywności, ubrań i dachu nad głową. Dosłownie po wszystko trzeba było stać w nie kończących się kolejkach. Zwycięska Brytania była bankrutem, którego jedynym pocieszeniem mogła być iluzja glorii i chwały.

Londyński dom Bourtonów został zarekwirowany przez Ministerstwo Spraw Wojskowych, w związku z czym James i Bill musieli zamieszkać w przydzielonych im kwaterach na obskurnej Pimlico Terrace, do tego w towarzystwie oficerów z mniej prestiżowych formacji. Budynek był zimny, brudny i cuchnący, a wszędzie wisiały sfatygowane kartki z apelem o oszczędzanie wszystkiego, co się da. Nad nikłym płomykiem pełgającym w kominie ktoś umieścił kawałek pudła z wypalonym pogrzebaczem wierszykiem, który przypominał, by nie używać za dużo węgla.

TLR

*Gdy marzniesz, węgla nie dorzucaj,*

*Lecz ciepłą kobitkę wyruchaj,*

*A jeśli brak baby ci doskwiera —*

*Posuwaj żonę jakiegoś frajera.*

Ponieważ Wielkiej Brytanii pozostały tylko pozorne oznaki dostojności, ich wartość była nader dobitnie podkreślana. James, obecnie kapitan lord Ja-

mes Bourton, odznaczony medalem DSO, zżymał się słysząc, jak wychwalają jego wytrwałość i odwagę, i starał się zagłuszyć wspomnienia chaotycznej, wypełnionej strachem nocy, podczas której przekształcił się z niedorajdy w bohatera.

Stał właśnie z Billem Treadwellem na smaganej wiatrem ulicy w pobliżu pałacu Buckingham. Był wściekły, że tyle osób usiłuje zrobić z niego symbol odwagi. Osobiście uważał za bohaterów ludzi, którzy zginęli na Malajach, a nie takich szczęściarzy jak on. Koszmarne wspomnienie kostnicy przy linii kolejowej wciąż go prześladowało, lecz nie mógł się go pozbyć, podobnie jak medalu spoczywającego w tanim czarnym pudełeczku z imitacji skóry. Gdyby

to zrobił, zostałby obwołany zdrajcą.

— Jak się czuje ojciec? — spytał Bill, gdy przeciskali się przez tłum. Fotoreporterzy robili zdjęcia dekorowanym żołnierzom, którzy stali w otoczeniu rodzin, ubrani w mundury, z dumą demonstrując medale leżące w otwartych futerałach. James zatrzymał się na chwilę i włożył pudełeczko z odznaczeniem do kieszeni płaszcza.

— Gaśnie. Spodziewaliśmy się, że umrze zeszłej nocy, ale jakoś przeżył. I chwała Bogu, przynajmniej moja matka musiała zostać w domu i uniknąłem jej towarzystwa na tej uroczystości.

Lady Davina obwieszczała wszem i wobec, jakiego dzielnego ma syna. Z dumą anektowała podziw, jakim otaczano Jamesa.

— Co zrobisz, gdy ojciec odejdzie? Wracasz na Malaje? — spytał Bill, TLR

kiedy skręcili do St. James Park.

— Tak, chciałbym tam wrócić. Dostałbym pracę, chociaż kompania planuje zatrudnienie minimalnej liczby Europejczyków na plantacji. Ale i tak wolę to niż obijanie się po Bourton w charakterze młodszego syna, który musi prosić brata o pieniądze. A ty? Nadał obstajesz przy powrocie?

— Naturalnie — powiedział Australijczyk, krocząc dumnym krokiem

czapli wzdłuż betonowego obmurowania stawu. Ze wszystkich ozdobionych rzeźbami sadzawek spuszczone wodę, by niemieckie bombowce nie miały dobrze widocznych punktów orientacyjnych. — Bóg jeden wie, co będzie dalej, Jim. Byłem wczoraj na spotkaniu w Ministerstwie do spraw Kolonii. Ci faceci z rządu nie mają pojęcia, co się święci. Dla nas jest jasne jak słońce, że komuchy zostaną w dżungli i będą walczyć już nie z Japończykami, a z nami. Ale do biurokratów to nie dociera. Uważają, że trzeba poprosić komunistów, by oddali broń ze zrzutów, i nie ma sprawy. Sądzę, że w dżungli ukryto tysiące karabinów i towarzysze czekają tylko odpowiedniej chwili, by ich użyć. Bill zmrużył oczy, patrząc na blade niebo.

— Moje serce tam zostało, Jim. Czuję, że tam jest moje miejsce. W Anglii czy Australii nie czuję się jak w domu.

James również nie uważał Londynu za swój dom. Prawie go nie pamiętał, a dziwny krajobraz miejski, pełen zbombardowanych domów i pustych ulic, przypominał mu, że wojna, którą znał, była dziecinną zabawką w porównaniu z przeżyciami innych ludzi.

W Bourton też było widać ślady wojny. Dom został zarekwirowany na szpital dla rekonwalescentów. Większość z nich co prawda już wyjechała, ale po zaniedbanych trawnikach kuśtykało jeszcze kilku inwalidów, którzy urągli Jamesowi swym nieszczęściem.

Cały park był zryty kołami ambulansów, wiele drzew, które były przyjaciółmi jego dzieciństwa, wycięto, a po jeleniach nie pozostało ani śladu.

TLR

Księżę Witheramu pogrążał się w powolnym konaniu, przez wiele miesięcy wciąż tracił świadomość, a w dzień i w nocy czuwały przy nim na zmianę trzy pielęgniarki.

James próbował zabijać czas polowaniem, ale pozostało bardzo niewiele zwierzyny, bo gajowych powołano do wojska, a wieśniacy kłusowali ile wlezie.



Polowania były też dla Jamesa pretekstem do długich spacerów i podziwiania „oswojonego” angielskiego krajobrazu. Każde drzewo rosło tu za zgodą właściciela gruntów, każde pole wydawało plony zgodnie z życzeniem rolnika. Tylko wśród ogromnych buków zachodniego lasu James czuł tę samą tajemniczą moc nieokiełznanej natury, która tkwiła w dżungli. Gdyby James urodził się w środowisku ludzi, którzy cenią sztukę, być może dzięki swej wrażliwości zostałby artystą. Doceniał łagodne piękno ojczystej przyrody, ale czuł się jakoś przez nią stłamszony. Był to klaustrofobiczny świat, w którym wszystko było ograniczone, wyregulowane i podporządkowane — tak jak on — rozlicznym rozkazom.

Wreszcie pewnej nocy pielęgniarzka stwierdziła, że stary książę już nie oddycha, i o przyzwoitej rannej porze zastukała do drzwi Hugona, by powiadomić go o śmierci ojca.

— Nie życzę sobie, by tytułowano mnie księżną— -wdową — oświadczyła Davina rodzinie zebranej przy śniadaniu. — Wracam do tytułu, który nosiłam przed zamążpójściem, gdyż brzmi on nieporównanie lepiej. Mam zamiar natychmiast zamieścić stosowne oświadczenie w „Timesie”.

— Myślę, że powinnaś poczekać z tym kilka dni, mamo. W końcu nie podaliśmy jeszcze do publicznej wiadomości, że ojciec umarł. — Hugo obrzucił matkę pełnym wyrzutem spojrzeniem wolich oczu.

— Naturalnie, Hugo. Teraz ty jesteś głową rodziny i zastosuję się do twego życzenia — zgodziła się lady Davina. — Czy pojedziesz do Pasterns w sprawie testamentu?

Spadkobierca książęcego tytułu zrobił więcej, niż się po nim spodziewano.

Z energią, jakiej nie wykazywał dotychczas, przejął ster rządów z rąk matki i postanowił uregulować sytuację majątkową rodziny. Niewiele rzeczy robiło na nim wrażenie, ale był wstrząśnięty tym, co odkrył.

— Jesteśmy prawie zrujnowani — oświadczył Jamesowi, gdy znaleźli się

w gabinecie ojca. — Matka trwonila majątek, nie myśląc o przyszłości, a ojciec najwyraźniej w ogóle się tym nie interesował. Zresztą sam mi powiedział, że jemu do śmierci wystarczy, a ja jak sobie pościelę, tak się wyśpię. Nie ma żadnych środków na utrzymanie rodziny, żadnej lokaty kapitału, po prostu nic.

— Co masz zamiar zrobić? — spytał James, który pomyślał z ulgą, że prawo pierworództwa szczęśliwie uwalnia go od odpowiedzialności za ocalenie majątku rodziny.

— Naradzić się z ekspertami z Pasterns, jak można zapobiec dalszym stratom.

Kilka tygodni później pojawili się prawnicy i zaczęli myszkować po całej posiadłości, którą większość z nich znała jedynie z dokumentów. Hugo zwołał

rodzinną naradę na temat przyszłości.

— Musisz wiedzieć, kochanie, że wszystko jest załatwione — wyszeptała lady Davina do ucha Jamesa, gdy wchodzili do pokoju przygotowanego z myślą o spotkaniu.

— Co jest załatwione? — James z rozdrażnieniem wyszarpnął ramię z uścisku matki. Nie cierpiał jej władczych pieszczot.

— Zanim twój papa stracił całkiem kontakt z rzeczywistością, zdążyłam z nim porozmawiać. Zgodził się zrobić dla ciebie specjalny zapis — powiedziała kiwając z satysfakcją głową. — Zobaczysz, jaka jestem roztropna i przewidująca. Jesteś szczęściarzem.

Po ogłoszeniu ostatniej woli zmarłego prawnik odczytał także kodycył, o którym mówiła Davina. Hugo ciężko westchnął. Księżę\* oddał bowiem w za-TLR

rząd powierniczy pewną sumę przeznaczoną dla młodszego syna, by zapewnić mu godziwy posag, „w wypadku gdy uzna za stosowne ożenić się i spłodzić potomstwo”. Spadek był w gotówce i James szybko się zorientował, że znalazł się w świetnej sytuacji, ponieważ w innym przypadku trudno byłoby

coś wycisnąć ze zrujnowanego majątku.

Następne dwa dni Hugo spędził na naradach z prawnikami. Lady Davina miotała się po północnym skrzydle i molestowała władze szpitalne, by zabrały

swych chorych z głównej części domu, chciała bowiem jak najszybciej odzyskać swoje królestwo. Poza tym roztaczała przed Jamesem wizje ich wspólnej przyszłości. Zamieniła uniform sanitariuszki Czerwonego Krzyża, w którym paradowała w czasie wojny, na elegancki niebieski kostium z czarnorynkowej wełnianej krepy, ozdobiony stylowymi aksamitnymi wyłogami.

— Myślę, że możesz się osiedlić w londyńskim domu. Zimy będę spędzała u ciebie, a lata tutaj, u Hugona. Będziemy się świetnie bawić, gdy się wreszcie skończy ta okropna reglamentacja wszystkiego, prawda kochanie? Naturalnie straciłeś parę wspaniałych przyjęć, ale to nic nie szkodzi, i tak będzie ich jeszcze bardzo wiele... Londyn jest pełen pięknych wdów, będziesz miał w czym wybierać.

Hugo czerpał wyraźną przyjemność z obrzydzania jej tych rozkosznych mrzonek. Ranienie ambitnej i próżnej matki było jedyną satysfakcją, jaka towarzyszyła jego nowej roli.

— Najsensowniej będzie — oświadczył — gdy zaoferujemy dom National Trust. Będą zapewne domagać się zabezpieczenia finansowego, dlatego też proponuję sprzedać farmę. Wieś powróci do Okręgowej Rady Rolnej. Dom w Londynie też musimy sprzedać. Radzą mi, by to zrobić, gdy tylko znajdziemy sobie jakieś skromniejsze lokum. Trzeba też sprzedać naszą posiadłość. Jeśli Trust wykupi dom, będziemy mogli nadal mieszkać w jednym z

jego skrzydeł, a także zachować farmę przy domu i niektóre akcje.

— Hugo, ależ to oburzające! Nie zgadzam się! To jest mój dom i nie będą się tu szwendać jacyś zmotoryzowani turyści.

TLR

— Nie masz wyboru, mamó. Powinnaś wiedzieć, co potwierdzają dorad-

cy, że bylibyśmy teraz w o wiele lepszej sytuacji, gdybyś tak ochoczo nie odgrywała roli jaśnie pani, i to w dość ekstrawaganckim stylu.

— Zapominasz, Hugo, kochanie, że gdybym nie zajęła się urządzaniem tej rudery, dom nie byłby tak wykwintny, jak jest dzisiaj, i miałbyś małe szanse na zainteresowanie nim National Trust.

— Widzisz, jaki z ciebie szczęściarz — powiedziała później do Jamesa.

— Jak się ożenisz, będziesz żył o wiele lepiej niż Hugo. Pośpiesz się więc, kochanie. Nie pozostanę ani chwili w tym domu, skoro już wiem, że mam go stracić.

James zastanawiał się, czy matka zdaje sobie sprawę z sytuacji rodziny.

Doszedł do wniosku, że musi znać ją lepiej niż ktokolwiek inny. Jamesa gnębiła myśl, że Davina wyłudziła podstępnie jego spadek tylko po to, by zapewnić sobie odpowiedni standard życia na przyszłość. Przeraziła go perspektywa

tkwienia w jarzmie jej nienasyconego ego, z żoną, którą bez wątpienia by mu wybrała, i dziećmi, które szybko zamieniłaby w maskotki. W takie, jakimi byli dla niej obaj synowie. Wspomnienie kobiety kołyszącej niemowlę w kołysce z sarongu przemknęło jak błyskawica, przynosząc chwilę ukojenia.

Zapragnął znowu poczuć, że posiada wolną wolę. Na Malajach wciąż mu towarzyszyło to radosne przekonanie, a tu obawiał się upokarzającej roli pionka w rękach matki. I James podjął decyzję. Dziwaczny spadek nie miał tu nic do rzeczy. Nigdy nie będzie się o niego upominał i pierwszym statkiem odpłynie do Pinangu.

Nie minął miesiąc, a już był w drodze. Żegnając brzegi Anglii, obserwował tłum szamoczących się dokerów w Southampton, którzy protestowali przeciwko zamknięciu połowy stoczni i odebraniu im pracy, do której dopiero co powrócili z wojny.

TLR

James niemal rozplakał się ze wzruszenia, gdy pociąg zahamował z piskiem nie opodal znajomej brudnoczer— wonej drogi prowadzącej do dżun-

gli. Przy nasypie obok torów stał znajomy czarny samochód i jakiś człowiek, którego rozpoznał po chwili, ku swojej wielkiej radości.

— Selambaram! Nie do wiary! Wciąż tu jesteś!

— A gdzie miałbym być, tuan? — Okrągłe oczy Azjaty błyszcząły ze szczęścia.

— Mój Boże, jak się cieszę! Co tam słysząc?

— Wszystko w porządku, sam pan się przekona. Bukit Helang był tak trudno dostępny, że Japończycy zostawili nas w spokoju. Niewiele się tu zmieniło, chociaż mieliśmy mało rąk do pracy, więc tylko część plantacji zachowała się w dobrym stanie.

James promieniał z radości, gdy jechali przez kampong. Ciemne drewniane domy o starannie rzeźbionych poddaszach, wyglądały o wiele dostatniej niż proste chałupy z Pahangu. Wokół, zamiast jasnozielonych pól ryżowych, rosły bujne szmaragdowozielone kępy palm, bananów i innych drzew owocowych.

James zauważył, że droga jest zryta koleinami, a gdy wjechali na zbocze, które wiodło do chat kulisów i zabudowań plantacji, ujrzał dalsze oznaki zaniedbania. Trawa wtargnęła na tereny uprawne i zagłuszyła młode sadzonki drzew kuczukowych. Połowa chat kulisów świeciła pustkami, a ładne czworokątne kolumny otaczające dom zarządcy plantacji nie były już tak białe jak ubrania do krykieta, ale pokryte czerwonymi plamami. Wiele obluzowanych okiennic zwisało smętnie obok palm. Zniknęły również wszelkie ślady zadbania, do którego tak wielką wagę przywiązywał Douglas Lovell. Nie było już donic z orchideami, starannie zamiecionych schodków ani żaluzji z bambusa. Selambaram sam kierował plantacją w czasach okupacji japońskiej.

Przywiązywał wagę głównie do przestrzegania nakazów administracyjnych i żywił niezachwianą nadzieję na współpracę z matką-naturą. W rezultacie Ja-TLR

mes zastał nienagannie prowadzone rejestry i kompletny chaos organizacyjny.

Doprowadzenie majątku do porządku wymagało wytężonej, mozolnej pracy. Drzewa, których długo nie nacinano, wydzielały teraz mnóstwo lateksu. Wkrótce zaczęli zjeżdżać na plantację robotnicy, w tym wielu starych pracowników, gdy tylko rozeszła się wieść, że zarządca wynajmuje ludzi do pracy. Naprawiono linię telefoniczną i elektryczną.

Wyglądało na to, że James będzie jedynym Europejczykiem na tej plantacji, więc zamieszkał w siedzibie zarządcy. Zrezygnował też z remontowania swego starego domu, który nie miał dachu, a jego ściany były dokładnie spowite pnączami. W dawnym domu Geralda mieszkał teraz malajski asystent, a Selambaram zajmował położony opodal bungalow Andersona.

Największa zmiana, jaka zaszła na plantacji w ciągu tych trzech lat, nie wiązała się wcale z nadmiernie wybujałą roślinnością i zniszczeniem domostw. Chodziło o to, że status Jamesa, jak zresztą status wszystkich białych, wyraźnie się obniżył.

Ucieczka tuanów i lata panowania przedstawicieli innego azjatyckiego narodu zniweczyły wiarę w wyższość białej rasy.

Rząd kolonialny niechętnie szedł na ustępstwa w sprawie niepodległości Malajów. James przekonał się, że choć akceptowano jego władzę, a jego osobie lubiano i szanowano, nie traktowano go już jako niezmienny element lokalnego pejzażu.

Po raz pierwszy w życiu zaczęła mu dokuczać samotność. Po całodzienniej pracy czuł się wyczerpany i odizolowany od świata. A ponadto niepokoiła go wciąż wzrastająca niepewność co do przyszłości Malajów. Zawsze potrzebował szablonu, by na jego podstawie kształtować swą chwiejną osobowość, i trudno mu było odnaleźć się w tak niestabilnych warunkach.

Odwiedziny zdarzały się rzadko. Doktor Anderson, który był teraz odpowiedzialny za zdrowie robotników z dziewięciu sąsiadujących ze sobą plantacji, zjawiał się raz w miesiącu. Był teraz szczupły, opalona skóra marszczyła

TLR

się na łokciach i kolanach, a podkowa włosów otaczająca łysą czaszkę, posiwiała. James bardzo się cieszył z wizyt doktora i żeby mu sprawić przyjemność, trzymał w salonie jego gramofon na korbkę oraz stare płyty Gilberta O'Sullivanana.

Od czasu do czasu przyjeżdżał inspektor i zapewniał Jamesa, że nie potrzebuje drugiego asystenta. Bill Tread— well zjawiał się, gdy tylko pozwalały mu na to nowe obowiązki doradcy gubernatora stanu.

— Nie wiem już sam, na czym ma polegać to doradztwo — mówił. —

Wygląda na to, że ma dotyczyć wszystkiego, począwszy od chorób palm olejowych, a kończąc na rozważaniach o prawdopodobieństwie wybuchu wojny z komunistami.

— Jak wielka jest ta groźba? — spytał James, mrużąc oczy w jaskrawym słońcu, gdy jechali drogą prowadzącą od linii kolejowej.

— Na ile to tylko możliwe. Nasz stary przyjaciel Ghin Peng pobierał nauki w Chinach u Mao Tse-tunga i jego chłopcy są nabuzowani jak rozeźlone szerszenie. Nie spodziewałem się, że te wszystkie miesiące, które straciliśmy przysłuchując się, jak indoktrynuje swoich ludzi, wyjdą mi na dobre. Po paru wykładach Chin Penga na temat Lenina jestem w stanie przewidzieć, co zamierzają teraz zrobić. Gdy tylko urosną w siłę, zechcą zaatakować Brytyjczyków, a następnie zaczną terroryzować cały kraj.

Bill rozejrzał się z aprobatą po plantacji.

— Nieźle tu sobie radzisz — pochwalił. — Szybko doprowadziłeś wszystko do porządku.

— Malajczycy okupują kort tenisowy i grają tam w badmintona. Pozwalam im na to, bo i tak nie mam partnera do tenisa.

— A masz przygotowane worki z piaskiem? — James spojrział na przyjaciela ze zdziwieniem. — Mówię poważnie, Jim. Tak odizolowana od świata plantacja jak twoja jest dobrym celem ataku. Na twoim miejscu pomyślałbym

TLR

jednak o jakichś okopach i środkach samoobrony.

„The Times” dotarł na plantację jak zwykle z trzy tygodniowym opóźnieniem. Zanim przyszedł list od Hugona, James już wiedział o przejęciu Bourton przez National Trust. Gazeta „Straits Times” przychodziła codziennie i w topornej angielszczyźnie opisywała żądania dotyczące narodowej niepodległości Malajów oraz przejęcia przez Malajczyków kontroli nad głównymi gałęziami przemysłu. Pisała również o posunięciach przeciwko działalności chińskich bandytów, którzy terroryzowali rolnicze rejony kraju.

Starając się zagłuszyć ogarniający go niepokój, James napisał do Pasterns, prosząc o objaśnienie mu ostatniej woli ojca. Odpowiedź nie zawierała żadnych istotnych czy dodatkowych informacji, po prostu innymi tylko słowami wyrażała to, co już wiedział wcześniej. Tą samą pocztą otrzymał list informujący, że doktor Anderson i wdowa po Geraldzie Rawlinsie odwiedzą go wkrótce na plantacji.

Stojąc w porcie George Town Betty myślała o dniu, w którym pierwszy raz ujrzała Pinang. Czuła się o całe życie starsza od tamtej dziewczyny, która dziesięć lat temu stała obok starego misjonarza i wypatrywała w barwnym tłumie prawie zapomnianej już twarzy narzeczonego.

Teraz szukała w tłumie okrągłej, poczerwieniałej od słońca twarzy doktora Andersona, która też prawie zatarła się w jej pamięci. Na początku go przeoczyła, bo lekarz bardzo zmienił się po latach spędzonych w niewoli. Był teraz szczupły i przygarbiony, ale na jego widok Betty ogarnęło natychmiast poczucie bezpieczeństwa.

— Jaką miałąś podróż? — spytał, gdy kierowca otwierał drzwi Rovera.

— Niezłą, choć nie najlepiej znoszę pobyt na morzu. Nie umiem chodzić marynarskim krokiem.

Kontynuowali tę przyjemną, trywialną rozmowę, aż przyjechali do hotelu E & O, gdzie usiedli w cieniu biało-różowej markizy i zaczęli popijać herbatę.

Oboje pogodzili się już z koszmarną przeszłością i niepewną przyszłością i



żadne z nich nie miało ochoty podjąć tematu, który wcześniej czy później  
TLR

trzeba będzie poruszyć. W kobiecym obozie internowania na Sumatrze Betty spędziła wiele godzin na słuchaniu chaotycznych wspomnień Jean Anderson o jej mężu, zanim zmarła na gorączkę błotną. Pod brezentowym zadaszaniem, w miejscu zwanym Wzgórzem Cholery, w obozie pracy przy torach kolejowych w Birmie, doktor widział, jak Gerald w ciągu jednego dnia stracił połowę swojej wagi, a potem umarł w straszliwych konwulsjach, odwodniony przez biegunkę i wymioty.

Betty i doktor Anderson siedzieli w zatłoczonej jadalni, a chińskie trio grało bardzo wolno walca Franciszka Lehara. Żadne z nich nie miało apetytu. Różanobiała świeżość policzków Betty zniknęła bez śladu. Teraz pokrywała je gruba warstwa różu. Betty miała na sobie prostą sukienkę z niebieskiej krepy. Włosy układały się w loczki dzięki mocnej, trwałej ondulacji, a niebieskie oczy były bardziej zamglone niż dawniej. Anderson postanowił wreszcie zburzyć ścianę milczenia.

— Opowiedz mi o Jean — poprosił.

— Była strasznie, strasznie dzielna — zaczęła szybko zażenowana Betty.

— Jestem pewna, że wiele razy uratowała mi życie. Byłam okropnie chora po porodzie. Dziecko było martwe, a ona... — Przerwała błędząc po omacku w próżni swej pamięci. Ponieważ dokładała wszelkich starań, aby wyprzeć z psychiki traumatyczne przeżycia, niewiele pamiętała z tego, co działo się w obozie, choć opuściła go stosunkowo niedawno. Nie mogła sobie, na przykład, poradzić ze wspomnieniem, że sprzedała obrączkę Jean za trzy jajka i parę chodaków, więc wyrzuciła je z pamięci. — Zawsze była taka radosna — zakończyła Betty ściszym głosem. Często mówiła o tobie... — Nagłe zwró-

cenie się do Andersona po imieniu wydało jej się zbyt poufałością.

— Arthurze — dodał Anderson. — Ja naturalnie też wciąż o niej myśla-

łem. — Zapadła głucha cisza. — Gerald... — zaczął, ale Betty natychmiast

mu przerwała.

— Nie opowiadaj mi o nim, nie zniosę tego, proszę cię. Nic nie mów.

Wiem, że nie żyje, i nie chcę wiedzieć niczego więcej.

TLR

Pokiwał ze zrozumieniem głową, wzruszony jej wrażliwością.

— Masz jakieś plany? — spytał.

— Nie bardzo. Oczywiście muszę uporządkować pewne sprawy, dlatego tu jestem. W każdym razie nie mam do czego wracać w Anglii. Dom moich rodziców został zbombardowany. — Spojrzała w zadumie na parkiet, na którym kilka par tańczyło pod leniwie wirującymi wentylatorami zwisającymi z sufitu.

Anderson chciał poklepać ją ze współczuciem po ręce, ale już po chwili ujmował małą, miękką dłoń, która leżała biernie na jego ręku jak chory ptak, a

puls trzepotał się jak uderzenia małego serduszka pod białą skórą nadgarstka. Jego dotyk podziałał na Betty uspokajająco. Przypomniała sobie pierwsze miesiące ciąży, kiedy to doktor był jedynym człowiekiem rozumiejącym jej lęki.

— Jesteś dla mnie taki dobry — wyszeptwała. — Czuję się bardzo zagubiona bez mojego męża. Nie wiem, co mam ze sobą począć. Gerald był całym moim życiem.

Po tym, jak odesłano ją do Anglii, Betty wróciła na Malaje z jednej bardzo prostej przyczyny. Czowała się bez męża nie tylko zagubiona, ale i biedna. Perspektywa życia ze skromnej renty przerażała ją. Odnosiła wrażenie, że w Brytanii roi się od bezczelnych, energicznych kobiet, przywykłych do walki o mężczyzn. Betty wiedziała, że w koloniach Korony kobiet jest teraz jeszcze mniej niż przed wojną, miała więc nadzieję, że bez trudu znajdzie tu sobie nowego męża.

— To był trudny okres dla nas wszystkich — pocieszał doktor Anderson, starając się przekonać tę drogą, nieśmiałą istotę, że już nigdy nie będzie cier-

piała w swym niewinnym życiu. Betty posłała mu powściągliwy, pełen wdzięczności uśmiech, czując, że udało się jej zdobyć konkurenta do ręki. Nazajutrz rozpoczęli podróż do Bukit Helang. Arthur Anderson towarzyszył Betty na promie płynącym do Port Swettentham, potem w pociągu do TLR

Kuala Lumpur, skąd pojechali mniej uczęszczaną linią kolejową na północ, a następnie dotarli na plantację starym Fordem Geralda.

— Witaj, droga Betty, jak miło cię znowu widzieć — powiedział na powitanie James, który od razu zauważył, że doktor wyraźnie jej nadskakuje. — Stary wehikuł jest wciąż wspaniały, prawda? Silnik zapalił od razu, gdy po raz pierwszy po wojnie go uruchomiliśmy. — Poklepał zakurzony czarny dach samochodu.

— Co się stało z naszym domem? — spytała z niepokojem Betty, a pomiędzy jej brwiami pojawiły się dwie pionowe zmarszczki. — Muszę odszukać wszystkie rzeczy Geralda i zabrać je ze sobą do George Town, jeśli oczywiście jeszcze coś zostało. Chyba nawet na plantacjach nie opanowanych przez Japończyków panoszyli się złodzieje i wandalę, czyż nie?

— Wyszliśmy z tego obronną ręką. Selambaram opowiadał, że Japończycy kazali dalej pracować i ulotnili się. Rozstrzelali parę osób na pokaz, i to wszystko. Mieliśmy szczęście.

— Ty zawsze masz szczęście, prawda, James? — zauważyła Betty pełnym szczerości tonem. — Musiałeś urodzić się pod szczęśliwą gwiazdą. Potem zjedli wspólnie obiad, na stole stał słój po dzemie z pękiem oleandrów, a nowy służący serwował zupę, curry i lody.

— Twoje srebra! — wykrzyknęła nagle Betty. — Drogi Omar przecież je zakopał. Pamiętam, jak to robił, pamiętam dokładnie, w którym miejscu je ukrył. Jutro pójdziemy ich poszukać.

— Na pewno nie ma po nich już ani śladu — stwierdził Anderson, rozprostowując nogi na wiklinowym szezlongu. — Skoro ty znasz kryjówkę, to

pewnie i inni o niej wiedzieli.

Betty i James z łatwością powrócili do dawniej łączącej ich relacji, to znaczy on był w stosunku do niej szarmancki i czarujący, a ona czuła się z tego powodu szczęśliwa i bezpieczna. Porównywała w myślach doktora z tym arystokratą na dobrowolnej banicji. Arthur zapewniłby jej spokój i poczucie

TLR  
bezpieczeństwa, których tak pragnęła. Jednak James, mimo że wojna pozbawiła go w pewnym stopniu pociągającej, młodzieńczej pewności siebie, nadal ujmował ją swym urokiem. Otaczała go aura dobrego pochodzenia. Poza tym bardziej zależało jej na Jamesie, bo mniej się nią interesował.

Następnego ranka Betty wezwała służącego i udała się z nim w kierunku starego domu Jamesa. Zaledwie pół godziny później niemal wbiegła na wykładaną kamiennymi płytami podłogę biura plantacji.

— Proszę bardzo! — zawołała rzucając na biurko brezentowe zawiniątko upačkane mokrą czerwoną gliną. — Zupełnie nietknięte. Proszę, otwórz to, James, nie mogę się doczekać. To będzie tak, jakby wróciła na chwilę cała cudowna przeszłość.

Rozbawiony jej entuzjazmem James zawołał, by przyniesiono nożyczki, którymi przeciął na wpół zgniły pokrowiec. Natychmiast zaroilo się od owadów, które umykały z przywłaszczzonego sobie domu.

— Uważaj na te czerwone mrówki — ostrzegł James, odciągając Betty na bok — strasznie kęsają.

Cukiernica, pojemniki na sól, pieprz i musztardę, tacki pod karafki, pierścienie do serwetek i sztucce były całkiem zaśniedziałe.

— Wyczyszczę je — oświadczyła Betty. — Chyba masz trochę spirytusu metylowego, prawda? Będą lśniły jak nowe.

I rzeczywiście lśniły, choć polerowanie zastawy zajęło Betty całe popołudnie. Szczególnie trudno było zetrzeć czarnoniebieską warstwę śniedzi z ozdobnego herbu Witheram.

— Dobrze mieć prawdziwą rodzinę — powiedziała Betty, wodząc w zamysłeniu szarym od śniedzi palcem po heraldycznym godle na trzonku noża.

— Wiesz, że ja już nie mam żadnych bliskich, James? Jest oczywiście rodzina Geralda, ale to nie to samo co rodowa krew, prawda?

— Chyba masz rację — odparł James, czując przyływ tkliwości, gdy pa-

TLR  
trzył ponad jej pochyloną głową na drobne, poplamione ręce, które robiły kosmetyczne poprawki po zmudnej pracy.

James zupełnie nie zdawał sobie sprawy, że Betty przyszła do niego wiedziona niezawodnym kobiecym instynktem. Szukała opiekuna i postanowiła zapewnić sobie przyszłość, rozniecając wygasły płomień ich dawnej zażyłości. Nie wiedział też, że łatwo go teraz usidlić. Nie przychodziło mu nawet do głowy, że ta szara mysz nauczyła się stosować sztuczki podobne do forteli jego egoistycznej matki.

Gdy przewidziany okres wizyty Betty dobiegał końca, James leżał bezsennie w łóżku, a w głowie kłębiły mu się chaotyczne myśli. Jeżeli zostanie na Malajach, któż byłby lepszą towarzyszką życia od Betty? Jeśli powróci do Anglii, żona zapewni mu fortunę. Poza tym Betty, droga, mała Betty, nie należy do tych przebiegłych wydr, których tak nienawidził. Zaopiekowanie się wdową po Geraldzie będzie ładnym gestem w stosunku do zmarłego przyjaciela. Wreszcie, mógłby zaspokoić też swoje potrzeby seksualne, przez które w przeszłości tak często wpadał w tarapaty.

Jedyną przeszkodą był Arthur Anderson, który okazywał coraz większą irytację i zazdrość, gdyż wyczuwał, że traci szansę na zdobycie Betty. Jednak musiał odjechać na inne plantacje i za kilka dni miał opuścić Bukit Helang-

W drugiej części domu Betty także nie mogła zasnąć. Betty Bourton — pomyślała. — Lady Betty Bourton... nie, to nie brzmi dobrze. O wiele lepiej będzie brzmiało „lady Bettina Bourton”. Po prostu będzie mnie musiał nazywać Bettiną — stwierdziła wreszcie.

Pobrali się trzy miesiące później w urzędzie stanu cywilnego w Kuala Lumpur. Anderson, który musiał pogodzić się z odkoszem, wystąpił w roli świadka. James natychmiast poinformował Pasterns o zawarciu małżeństwa i napisał, że oczekuje w związku z tym na swój spadek.

Wkrótce nadeszła odpowiedź. „Jak zapewne zdaje pan sobie sprawę —  
TLR

przeczytał James — kodycył odnoszący się do spadku został zredagowany w indywidualnym stylu przez pańskiego ojca, a nie w legalnej formie, która jest zazwyczaj preferowana w tego typu dokumentach, ze względu na precyzję sformułowań. Wziąwszy pod uwagę, że testament jako całość ma zabezpieczyć dokumenty dotyczące zarządu powierniczego majątku pańskiej rodziny, zgodnie z naszą opinią, właściwym beneficjentem tegoż spadku ma być pańskie potomstwo, a nie pan osobiście. Uważamy również, że intencją pańskiego ojca było obdarowanie jedynie pańskich dzieci naturalnych, gdyż nie wspomina się o dziedziczeniu przez dzieci adoptowane”. Na końcu firma przesyłała Jamesowi gratulacje z okazji wstąpienia w związek małżeński i zapewniała o swych najlepszych intencjach.

James i Betty przenieśli się z domu zarządcy plantacji do nowego parterowego bungalowu, w którym był pokój dziecinny i służąca, zwana amah, mająca zająć się dzieckiem, którego teraz James z nadzieją oczekiwał.

Bettina — jak, ku rozbawieniu męża, kazała się teraz do siebie zwracać — krzątała się, urządzając mieszkanie, i sztorcowała Ah Chinga, nowego służącego, żeby uważał Przy uruchamianiu najnowszego przedmiotu zbytku — piecyka elektrycznego. Trzymała się kurczowo Jamesa, tak Jak niegdyś uwieszona była na Geraldzie, chciała, by na wszystkie posiłki wracał do domu, i każdą nieobecność Poczytywała za umyślną niegrzeczność.

Ku przerażeniu Jamesa ich życie seksualne najpierw było łańcuchem nieporozumień, a następnie szybko zmieniło się w koszmar. Zaczął mieć problemy z potencją, a składało się na to wiele przyczyn. Praca była bardzo mę-

cząca. Konieczność spłodzenia dziecka dla zapewnienia sobie i żonie przyszłości napawała go lękiem. Złościła go podszyta manipulacją wiernopoddańczość Bettiny. Najgorsze jednak było to, że dręczyło go wspomnienie rozkosznego złocistego ciała, kociej zmysłowości i prawdziwego oddania tamtej kobiety, więc czuł wstręt do biernego białego ciała Bettiny i jej powściągliwie niechętniej reakcji na pieszczoty.

Pił coraz więcej, więc jego ciało było jeszcze bardziej niewydolne. Szedł do łóżka ze ściśniętym żołądkiem, przerażony, że nie będzie mieć erekcji, co zdarzało mu się coraz częściej.

TLR

Ale najgorsze miało dopiero nadejść. Gdy pokonując zmęczenie i wstręt, udało mu się doprowadzić do ejakulu— lacji, czuł przeraźliwy ból w lędźwiach, który ustępował dopiero po paru godzinach.

Gdy Anderson ponownie odwiedził Bukit Helang, James zwierzył mu się ze swoich problemów seksualnych. Anderson był nieco zażenowany.

— Ból tego rodzaju bardzo rzadko zdarza się mężczyznom — powiedział takim tonem, jakby wątpił w słowa Jamesa. — Kobiety za to odczuwają go bardzo często. Czy masz jakieś problemy z oddawaniem moczu?

— Nie.

— Czy chorowałeś kiedyś na jakąś chorobę... chorobę weneryczną?

— Nie.

— A w czasie okupacji, gdy razem z Treadwellem żyliście w takich strasznych warunkach w dżungli?

— O Boże, nie mogę sobie przypomnieć. Wciąż zapadaliśmy na jakieś choroby, nie mieliśmy lekarstw, jedliśmy co popadło. Mam silny organizm i jakoś z tego wyszedłem, ale raz byłem nieprzytomny przez trzy dni i miałem wysoką gorączkę.

— Hmm... — Lekarz badał go tak, jakby z trudem znosił dotykanie ciała innego mężczyzny i włożył gumową rękawiczkę, by zbadać kışkę stolcową.

— Prostata jest nieco powiększona, ale to chyba nic poważnego. — Był wyraźnie zakłopotany. — Nie ma też żadnych guzów. Może jest to pozostałość po jakiejś dawniejszej infekcji układu moczowego. Wiesz co, myślę, że chodzi tu o jakieś jeszcze nie wykryte tropikalne świństwo, więc zobaczmy, jak zareaguje na penicylinę. Penicylina to wspaniała rzecz, lecz się nią nawet trypra.

— Anderson nie należał do ludzi specjalnie taktownych, ale nawet przez myśl mu nie przeszło, żeby powiedzieć Jamesowi wprost, że przyczyną jego TLR

problemów jest prawdopodobnie chroniczna i nie leczona rzeżączka.

Anderson zjadł z nimi obiad i został na noc, za co James był mu bardzo wdzięczny, gdyż obecność doktora rozładowywała napiętą atmosferę pomiędzy nim a żoną. Naturalny urok Jamesa zaczął pryskać. Trudno było promienić radością w obliczu klęski seksualnej i niepewnej przyszłości oraz biedy, która zaczęła zaglądać w oczy.

Nie widział powodu, by dzielić się swymi wątpliwościami z Bettiną. I tak wciąż słyszał płaczliwe skamlanie: „Już mnie nie kochasz?” Wciąż popatrywała na niego z wyrzutem, coraz częściej się kłócili.

— Ożeniłeś się ze mną tylko ze względu na Geralda mówiła.

Albo:

— Ożeniłeś się ze mną z litości, prawda?

Przerażało ją, że James może chcieć rozwodu. Wydawało jej się, że umarłaby ze wstydu. Wszystko było lepsze niż żałosne życie ze stygmatem rozwódki, a w dodatku życie za psie pieniądze, bo już nie miała prawa do wdowiej renty po Geraldzie.

James na początku zarzekał się, z wprawą nabraną przez wiele lat, że ją kocha. Jednak Bettina zaczęła mieć obsesyjne poczucie niższości i żadne pochlebstwa nie były w stanie jej przekonać.

— Nie nadaję się na twoją żonę — mówiła. — Nie pochodzę z twojej



klasy, twoja rodzina będzie się ze mnie wyśmiewać. Pewno zastanawiają się, dlaczego właściwie ożeniłeś się z kobietą z gminu, która nie ma nawet grosza przy duszy ani żadnej rodziny.

Anderson wrócił za tydzień.

— Pomyślałem, że wpadnę po drodze — powiedział. Jego łysa czaszka lśniła od potu. — Nie wszyscy tolerują penicylinę. Poza tym chcę zobaczyć, jak działa na twoją przypadłość, to bardzo interesujące, z czymś takim nigdy jeszcze się nie spotkałem. TLR

Co tydzień wpadał na plantację, przez cztery, może pięć miesięcy. Po jakimś czasie zmienił kurację i zawsze chętnie zostawał na noc. James był bardzo rad z jego towarzystwa. Nie potrafił już wzbudzić w sobie ani odrobiny pożądania dla żony, a poza tym zachowywała się w stosunku do niego tak oziębłe, że rzadko ośmielał się okazać jakąkolwiek inicjatywę.

Pewnego ranka jak zwykle wyszedł z domu, żeby dopilnować zbiórki robotników. W pewnej chwili zauważył, że zapomniał zabrać ze sobą zegarka. Nie chcąc ryzykować zawracania samochodu na krętej, pogrążonej w ciemnościach drodze, wysiadł i pędem pobiegł w kierunku domu. Jak zwykle przed brzaskiem dżungla była bardzo cicha, jakby zamarło w niej wszelkie życie, a tysiące istot wstrzymało oddech w oczekiwaniu na coś niezwykłego. Nagle James ujrzał dwie sylwetki na tle bambusowych żaluzji i zorientował się, że drzwi sypialni są otwarte, a werandę oświetla lampa naftowa. Gdy podszedł bliżej, usłyszał głos żony:

— Nie mogę tu wytrzymać bez ciebie, Arthurze. Z tobą czuję się tak bezpiecznie — powiedziała. — Wiem, że popełniłam straszliwy błąd. Ty jesteś jedyną osobą, z którą mogę się porozumieć. Sama już nie wiem, co mam robić. — Wiklinowy szezlong zaskrzypiał, gdy ciężko na nim usiadła.

— Nie możesz siebie winić, Betty. On po prostu zawrócił ci w głowie. Jest taki przystojny, podoba się wszystkim kobietom. Jak chce którąś oczarować, żadna mu się nie oprze.

— Ale on się tak zmienił. On...

— Zasięgał u mnie porady lekarskiej, wiesz o tym?

— Nie, nie wiedziałam — wyszeptwała zażenowana Betty i James dostrzegł, że spuściła głowę.

— Przed wojną on i Gerald bywali w tym lokalu w Kuala Lumpur, który nazywa się Mary. Czy i o tym nic nie wiesz?

Potrząsnęła przecząco głową, a potem uniosła ją w górę i teraz James wi-

TLR

dział cień jej profilu.

— Myślę — ciągnął Anderson — że nabawił się tam czegoś, co jest przyczyną jego obecnych problemów. Sama więc widzisz, moja droga, że to nie ma nic wspólnego z tobą.

— Masz na myśli jakąś chorobę?

James uśmiechnął się ponuro pod nosem, słysząc jej pełen przerażenia głos.

Anderson położył jej rękę na ramieniu.

— Jestem pewien, że teraz nic ci nie grozi. To jest już zaleczone, ale mogą być jakieś pozostałości. Jednak istnieje jeszcze inny problem. Po tylu latach spędzonych na Wschodzie... od razu powinienem na to wpaść. Zdarza się, że mężczyźni przyzwyczajają się do miejscowych kobiet i nie mogą... no cóż... gdy zwiążą się później z białą kobietą, związek taki jest zwykle nieudany. Ma to jakieś dziwne podłoże psychologiczne. Spotkałem kilku takich mężczyzn i obawiam się, że jest to również problem Jamesa.

— Ale on twierdzi, że musi mieć dzieci, Arthurze.

— Obawiam się, że w tej chwili raczej nie może na to liczyć.

Tak się cieszę, że tu jesteś, Arthurze. Sama bym s<sup>o</sup>bie nie poradziła z tym wszystkim.

— Czy nie miałybyś nic przeciwko temu, by pojechać do KL i przepro-

wadzić tam kilka badań u mojego kolegi?

—Wątpię, czy można coś zrobić w waszej sprawie, ale musimy się upewnić, czy z tobą jest wszystko w porządku.

— Skoro istnieje taka konieczność... — odparła wolno Bettina. — Wyda-  
je mi się, że jestem mu to winna.

TLR

Ku zaskoczeniu Jamesa lekarz usiadł obok Bettiny, objął ją delikatnie i pocałował w czubek głowy. Potem przed domem pojawił się Ałi Ching i zaczął wchodzić po schodach, więc para natychmiast się rozdzieliła.

James postanowił potem posłać chłopca po zegarek i pojechał do biura.

W głowie miał zamęt. Prawie nie odczuwał zazdrości, był natomiast wściekły na Andersona. Najwyraźniej specjalnie przedłużał bezsensowną kurację, by mieć pretekst do widywania Bettiny, a poza tym okłamał go, ukrywając swe podejrzenia co do natury jego problemów seksualnych. Pomimo wściekłości James dostrzegł możliwość wyciągnięcia korzyści z tej sytuacji. Po raz pierwszy od zakończenia wojny dopuścił do swoich myśli wspomnienie o Khatijah i dziecku. Wyjął listy od prawników z Londynu i ponownie je przestudiował. Bettina zaczęła unikać towarzystwa Jamesa i szukać okazji do spotkania z Andersonem. Bardzo szybko jej zaufanie do lekarza przemieniło się w silne uczucie, które on odwzajemnił. Zaczęła często jeździć na zakupy do Kuala Lumpur, a prawdziwym powodem tych wypraw była chęć spotkania się z Andersonem w kawiarni domu towarowego Richardson.

Betty z łatwością padła ofiarą romansu. Wiedziona instynktem, szukała sobie opiekuna i choć pozbawiona była wszelkiej zmysłowości, bo zniweczyło ją głupie purytańskie wychowanie, potrafiła budzić w sobie emocje, które pasowały do okoliczności. Nie wiedziała, co to prawdziwa namiętność, ale zamiast niej odczuwała coś równie silnego — sztucznie wywołane przywiązanie, wykreowane przez fantazję i praktyczność myślenia.

James spokojnie obserwował parę kochanków podczas wizyt Andersona.

Gardził ich romanssem, który wydawał mu się banalny i sentymentalny jak kiepskie hollywoodzkie filmidło. Odczuwał perwersyjną satysfakcję, patrząc na ukradkowe spojrzenia i muśnięcia palców, które wymieniali za jego plecami.

Zaprosił Andersona, by spędził w Bukit Helang święta Bożego Narodzenia 1946. Przyjechał również Bill Tread— well i od razu zauważył ponury natLR

strój Jamesa.

— Nie jesteś zbyt przychylnie nastawiony do ludzi, James — powiedział z typową dla siebie bezpośredniością.

James nie skorzystał z tej zachęty do podzielenia się swoimi problemami.

— Powiedz mi lepiej, jakie są szanse na pokój na świecie? — zmienił temat. — Czy komuniści złożyli broń? Słyszałem w radiu malajskim...

— Chyba nie wierzysz w to, co mówią w radiu malajskim? — Australijczyk skrzywił się z pogardą.

Jak zwykle rozgorzała dyskusja na temat ślepoty władz nie dostrzegających zagrożenia ze strony komunistów. Dopiero po kilku godzinach Bill zastanawiał się, dlaczego James jest tak powściągliwy i nie chce zwierzyć się z tego, co go dręczy.

Elektryczne lampki, chińskie latarnie i papierowe indyjskie kwiaty zdobiły młode drzewko casuariny, które ścięto z okazji Bożego Narodzenia, a indyk ze sklepu w Kuala Lumpur zastąpił prosię, które pieczono na tę okazję za czasów Douglasa Lovella.

Wiedząc, że kochankowie mieli zwyczaj spotykać się na werandzie wczesnym rankiem, gdy udawał się na zbiórkę robotników, pierwszego dnia po świętach James zniknął jak zwykle w ciemnościach, po czym wrócił, by szpiegować żonę.

Znowu ujrzał sylwetkę Bettiny i Andersona na tle żaluzji. Tym razem obejmowali się i wymieniali niezdarne pocałunki.

— Nie zniosę tego dłużej, Arthurze — powiedziała Bettina zniżonym, załamany głosem. — Nigdy przedtem nie zaznałam takiego szczęścia i nie mogę ścierpieć tego, że każdą chwilę muszę wykradać. Chciałabym być z tobą na zawsze.

— Porzuć go, kochanie, dlaczego nie chcesz odejść?

TLR

Choć Jamesowi nie zależało na Bettinie, poczuł ukłucie zazdrości. Kochankowie usiedli i trzymali się za ręce. James wyteżył słuch, by poznać dalszy ciąg rozmowy.

— Nie ośmielę się uciec, kochanie — mówiła Bettina. — Zdajesz sobie przecież sprawę, że on by cię wykończył. Nie zapominaj, że i ja jestem twoją pacjentką. Gdyby wyszło na jaw, że miałeś romans z pacjentką, z żoną jednego ze swych pacjentów, wybuchłby straszliwy skandal. Rada Lekarska pozbawiłaby cię prawa wykonywania zawodu. I co wtedy?

— Tutaj mógłbym nadal praktykować. Na Wschodzie nikt nie wnika specjalnie w treść listów uwierzytelniających.

— Ale nigdy nie moglibyśmy wrócić do domu, Arthurze — powiedziała Bettina z udręką w głosie. — Nie chcę, żebyśmy się stali jedną z tych okropnych, podejrzanych par żyjących w koloniach. Chcę zostać twoją żoną, mieszkać z tobą w Anglii i nie musieć nic przed nikim ukrywać. Nienawidzę tego okropnego miejsca, zawsze go nienawidziłam. — Zapadła ponura cisza. Jamesa zalała fala pogardy. Jak większość arystokratów uważał, że wznosi się ponad snobizm, ale drobno— mieszczański romans żony napełniał go niesmakiem. Jej tchórzliwy niepokój o zapewnienie sobie męża o odpowiednim statusie zawodowym, o szacunek otoczenia, i obawa, co pomyślą sąsiedzi, jej zapobiegliwość w stosunku do małoszkolnych ludzi, którzy będą ją śledzili ukryci za koronkowymi firankami — wszystko to było obrazą dla wyznawanych przez Jamesa wartości. Chociaż pogardzał prowincjonalnym dylematem kochanków, był zaskoczony, że jest w stanie wprowadzić tych

dwoje w stan emocjonalnego paraliżu.

— Muszę coś zrobić, żeby się ze mną rozwiódł — powiedziała wreszcie Bettina. — Może uda mi się go przyłapać z jakąś miejscową kobietą. Wtedy będę wolna. Jestem pewna, że to długo nie potrwa, jeśli nie zdecyduje się na powrót do kraju. Nie zniosłabym rozstania z tobą.

TLR

— Nie wróci do kraju, zanim nie otrzyma spadku, nie ma obawy. On nie dostanie nic, dopóki nie będzie miał dziecka. A to jest niemożliwe. Na razie jesteśmy bezpieczni.

Bettina zaśmiała się. Pełen okrucieństwa chichot, będący wyrazem niechęci tej żalostnej istoty, wzbudził nienawiść w sercu Jamesa.

— Czy jesteś pewien, że nie mogę zajść w ciążę? — spytała Bettina. — Nawet jeśli on... mógłby coś zrobić?

Anderson przecząco pokręcił głową.

— Widziałem wyniki badań, które robiłaś w Kuala Lumpur. Jest dokładnie tak, jak przypuszczałem. Gdy chorowałaś po porodzie, wywiązała się poważna infekcja, a ponieważ w tamtych warunkach nie było mowy o właściwym leczeniu, prawdopodobnie ciągnęła się bardzo długo. Nie ma żadnych szans, żebyście kiedykolwiek mieli dziecko. Tak więc James nigdy nie dostanie spadku, chyba że weźmie sobie miejscową kobietę i spłodzi półzółtka. Niezbyt to korzystne dla syna księcia, prawda?

— Ale czy tobie to nie przeszkadza, Arthurze? Nie miałabym nic przeciwko temu, by dać ci dzieci, jeśli byś tego zapragnął.

— Nie chcę mieć dzieci. Dawno temu rozważałem to z Jean. Chcę tylko ciebie, kochanie, chcę, żebyśmy zawsze byli razem.

James wycofał się w ciemność, by nie widzieć, jak się obejmują. W głowie dudniły mu słowa doktora. Wrócił do samochodu jak pogrążony w transie.

Gdy dokonał porannego przeglądu robotników, wrócił do biura, by zasta-

nowić się, co robić dalej. Potem zawołał Selambarama i oznajmił, że wyjeżdża na parę dni, po czym zadzwonił do znajomego w Kuala Lumpur z prośbą o pożyczenie samochodu.

Jechał wolno, prostą równą drogą, a spod kół wznosiły się tumany czerwonego kurzu. Czuł się, jakby wjeżdżał w jakąś krainę snu. Za oknem migały TLR

drewniane domy, ukryte za płotami z bambusa. Na polach widać było ludzi ścinających ryż. Czy ona była wśród nich? Wydawało mu się, że za chwilę ujrzy wdzięczną sylwetkę Khatijah, która pojawi się na poboczu drogi i zbliży się do samochodu, kołysząc kusząco biodrami owiniętymi ciasno w ciemnoczerwony sarong.

Bał się jej reakcji, gdy zaproponuje zabranie dziecka. Lepiej mieć nadzieję, że jest z innymi na polu ryżowym.

Pokryte żuzłem pobocze drogi, gdzie tak często parkował samochód, było puste. Wszedł do domu swego teścia, dziwnie się czując w płóciennych szortach i butach na grubych podszewkach.

W pierwszej chwili nie poznali go. Nic dziwnego: miał przecież teraz jasną cerę i był ubrany po europejsku. Jednak gdy się uśmiechnął, zaczął żartować i przypominać wydarzenia z czasów wojny, szybko rozpoznali mężczyznę, który poślubił Khatijah, i powitali go z mieszaniną dumy i niepokoju. Domyślił się, że i tu uważano go za bohatera wojennego.

— Twoja żona czuje się dobrze — powiedział Osman, gdy usiedli na drewnianej podłodze. Mały Yusof pobiegł po Maimunah, która pojawiła się wkrótce z dzieckiem na rękach. Za nią chowało się drugie dziecko o ładnych kasztanowatych włosach. Dziewczynka była ubrana w bawełniany kaftanik w kratkę, który opinał się na wystającym brzuszku. James zauważył z ulgą, że jego córeczka ma oliwkowy odcień skóry, ciemne, ale nie czarne włosy i podłużne, lecz nie skośne oczy.

— Masz tu jeszcze jedną córkę — powiedziała Maimunah, podając mu

zawiniątko. Wziął je na ręce z niedowierzaniem i spojrzał na małą twarzączkę. Czarne oczka wpatrywały się w niego z ciekawością. Niemowlak utworzył

bezzębną buzię i ziewnął. Miał także oliwkową cerę, ale oczy, jak się wydało Jamesowi, były jednak nieco skośne.

TLR

— Urodziła się sześć miesięcy temu — powiedziała babka. James szybko policzył w myślach, stwierdzając, że było to możliwe. Widocznie Khatijah zaszła w ciążę tuż przed jego wyjazdem.

— To bardzo silne maleństwo i wciąż się śmieje — dodała babka. I rzeczywiście, niemowlę zaczęło wierzgać nóżkami i gaworzyć.

James oddał je Maimunah i rozpoczął negocjacje, niecierpliwiąc się, że musi kluczyć i dobierać słów, by przekonać dziadków o swych racjach. Powiedział, że chce powrócić do kraju i zabrać swoje dzieci. Obiecał ofiarować Khatijah i Osmanowi pieniądze. Zaproponował, że weźmie rozwód zgodnie z prawem muzułmańskim, bo według prawa brytyjskiego to małżeństwo i tak było nieważne.

Najwyraźniej spodziewali się po nim takiej decyzji. Z gorliwości, z jaką Osman zaczął się targować, James wywnioskował, że Khatijah znowu miała w rodzinie status czarnej owcy.

— Święty Koran mówi, że dzieci należą do swego ojca dopiero po ukończeniu szóstego roku życia — oświadczył Osman pompatycznym tonem. — Oczywiście, okoliczności są wyjątkowe, skoro ich ojciec zamierza wyjechać tak daleko...

Z kolei Maimunah zaczęła oponować z niezwykłą, jak na muzułmankę, determinacją.

— Te dzieci są jedynym szczęściem Khatijah, jej jedynym bogactwem — oświadczyła. — Ona nigdy ich nie odda, będzie walczyła jak tygrysica. — Babka powiodła rozjuszonym wzrokiem po ciemnej, dusznej izbie i dodała: — Takie maleństwa potrzebują matki. Żadna szanująca się rodzina nie



zgodziłaby się na pańską propozycję.

Nagle wśród ludzi, którzy zgromadzili się przed chatą, zapanowało poruszenie. Pojawiła się Khatijah w przepoconym czerwono-brązowym sarongu. Wraciała z pracy na polu ryżowym. Najwyraźniej jeden z wyrostków po-  
TLR

biegł i zawiadomił ją, że zjawił się mąż i chce zabrać dzieci.

Na jej widok Jamesowi ścisnęło się serce. Była rozdygotana z przerażenia, zapomniała o wszelkich wymogach kobiecej skromności, chusta zsunęła się jej z czarnych, ciasno splecionych włosów.

Rzuciła się na Jamesa, wzrok miała dziki jak wściekła kotka.

— Nigdy ich nie dostaniesz! — wrzeszczała szarpiąc koszulę Jamesa. — Prędzej umrę, niż oddam ci moje dzieci! Żadna inna kobieta nie będzie ich wychowywać! One należą do mnie, ja je kocham. Są całym moim światem. Jeśli odbierzesz mi dzieci, umrę. — Szlochała, wydawała nieartykułowane okrzyki, wreszcie zaczęła cicho płakać. Rzuciła się do stóp ojczyrna i błagała przerywanym głosem, by pozwolił zatrzymać jej dziewczynki. Po chwili znów odezwała się Maimunah i zaczęła wyklócać się z Osmanem.

— Nie można zabierać takich małych dzieci od matki. To okrucieństwo, jak dziecko mogłoby być szczęśliwe bez matki? Khatijah powinna mieć prawo wychowywać własne dzieci.

Bunt kobiet sprawił, że Osman natychmiast podjął decyzję. Nie miał zamiaru ośmieszać się jako głowa rodziny. Nie mógł dopuścić, by kobiety lekcewały jego autorytet.

— Uciszcie się. Ten człowiek ryzykował dla nas życie, walcząc z Japończykami. Jak moglibyśmy teraz odmówić mu tego, co mu się należy? Nie potrzebuję dodatkowych dwóch gęb do żywienia, Khatijah, czy nie przyszło ci to do głowy?

— Nie! — wrzasnęła, waląc pięściami w drewnianą podłogę. — Nie, nie! Nie pozwolę ci zabrać moich dzieci! — Skoczyła na równe nogi, pochwyciła

niemowlę z rąk babki i wybiegła na schody. Natychmiast jednak została zatrzymana przez dwóch wujków i James aż się wzdrygnął, gdy zobaczył, jak wrywają dziecko z ramion matki.

Starsza dziewczynka, widząc, na co się zanosi, zaczęła krzyczeć i wczepiła się w sarong Khatijah, ale i ją oderwano od matki.

TLR

— Zabierz swoją córkę — powiedział Osman do żony. — Tak będzie najlepiej dla wszystkich. Ona także to zrozumie, gdy się uspokoi.

Matka Khatijah ruszyła do przodu, by wyprowadzić córkę i zatuszować wstyd, jaki przyniosła jej mężowi. Khatijah zatrzymała się na chwilę na schodach i syknęła do Jamesa:

— Nigdy nie zapomnę tego, co dzisiaj zrobiłeś, nigdy! Nie ma takiego miejsca na świecie, gdzie możesz ukryć przede mną dzieci. Przyjadę po nie, a ty będziesz cierpieć za swoje okrucieństwo.

Potem wszystko zakończono szybko i jakby ukradkiem, równie bezceremonialnie jak w czasie ślubu z Khatijah. W towarzystwie matki Khatijah i jednego z wujów James odjechał z dziećmi do Kuala Lumpur, skąd szybko odesłał wieśniaków z powrotem. Potem zadzwonił na plantację i kazał służącemu przywieźć niańkę.

A cóż to ma znaczyć? — spytała Bettina, gdy amah wniosła niemowlę do domu, a za nią pojawił się James, niosąc starszą dziewczynkę, która zmęczona

długim płaczem, wreszcie usnęła.

— To są moje dzieci — oświadczył szorstko.

Bettina podeszła szybko do niańki i koniuszkami palców odchyliła bawełnianą chustę, w którą zawinięte było niemowlę.

— Co to za dzieci? Skąd się wzięły te bachory? Ależ to mieszańce! Powinam się tego domyślić! Nie tam! — Wrzasnęła na służącego, który chciał właśnie wejść do pokoju dziecinnego. Mogą mieszkać w pomieszczeniach dla służby. Nie pozwolę ci... nie pozwolę, by były w pobliżu mnie.

— Owszem, pozwolisz, droga Bettino — powiedział James znużonym głosem i próbował zmusić ją, by usiadła.

Nie pozwoliła na to i stała wściekła z założonymi na piersiach rękami.

TLR

— Tak. Ah Ching, to jest ten pokój, *memsahib* się pomyliła. — Bettina otworzyła usta, by zaprotestować, ale uciszył ją gestem dłoni, mówiąc:

— Powiedz, czy chcesz rozwodu?

Cofnęła się o krok, jakby ją uderzył.

— Co?!

— Jestem zbyt zmęczony, by bawić się w kłamstwa, Bettino. Od dawna wiem, co cię łączy z Andersonem, więc nie próbuj zaprzeczać. Nie ma powodu do paniki. — Uśmiechnął się przywołując na odsiecz resztki swego czaru, by skłonić ją do poddania się jego woli. Podziało to jak zaklęcie: Bettina usiadła posłusznie naprzeciwko męża.

— Oboje możemy mieć to — ciągnął dalej James — na czym nam zależy. Ja będę mógł otrzymać spadek, bo mam dzieci. A ty będziesz mogła mieć Andersona, jeśli się z tobą rozwiodę, i zrobię to. Musimy tylko zgodnie działać.

James wstał, wziął cygaro z pudełka leżącego na czarnym drewnianym stoliczku i je przypalił. Ah Ching i *amah* biegali tam i z powrotem, nosząc go-

racą wodę i pościel. Słysząc było senny głos starszej dziewczynki, która dopytywała się po malajsku o mamę.

— Co to znaczy „zgodnie działać”, James? — Bettina wpatrywała się w niego podejrzliwie, rozdarta pomiędzy nadzieją na wyjście z ponurego labiryntu emocjonalnego, w którym była uwięziona, a strachem przed mężem.

— Po prostu muszę mieć absolutną pewność, że nie będę miał problemów z uzyskaniem spadku. Nie mogę ryzykować żadnych wątpliwości co do ślubnego pochodzenia dzieci.

— Czyś ty oszalał? — warknęła Bettina, a głos prawie jej się załamał ze

strachu. — To twoje bękarty, James, twoje kolorowe bękarty, i tyle. Nie spodziewasz się chyba, że podam się za ich matkę. Chyba oszalałeś! Takie dwa żółtki? To jakiś absurd. TLR

— Nawet nie wiesz, jak bardzo się mylisz. Wszystko przemyślałem, Bettino, nie jestem głupcem. One są w trzech czwartych białe, a ponieważ cała moja rodzina jest ciemnowłosa, ich wygląd nie wzbudzi żadnych podejrzeń.

Potrzebne mi są tylko metryki urodzin, a żeby je mieć, muszę zdobyć dwa zaświadczenia od jakiegoś dobrego lekarza. Nikt nic nie będzie wiedział, gdy wrócę do Anglii. Naturalnie odczekam tu parę lat.

— Zwariowałeś, James, nie uda ci się nikomu wmówić, że to białe dzieci.

— Spostrzegła, że trzęsą jej się ręce, więc splotła je razem i położyła na kolanach przykrytych fiołkoworóżową sukienką. Czuła, że robi jej się słabo ze zdenerwowania.

— Nie rozumiem, dlaczego tak mówisz, przecież nie są ciemniejsze ode mnie. Starsza ma nawet jaśniejszą cerę. Zobaczysz jutro, ma też kasztanowe włosy. Ciemniejsze od twoich, ale jaśniejsze od moich. Naprawdę, trudno o większe podobieństwo.

Spojrzała na niego w milczeniu, a w jej zamglonych niebieskich oczach można było wyczytać nadzieję pomieszaną z niepokojem.

— I naprawdę pozwolisz mi odejść?

— Tak.

— I nie będziesz mi sprawiał żadnych kłopotów?

— Zważywszy, że to wy moglibyście narobić mi kłopotów, byłbym głupcem, gdybym o czymś takim myślał. Naturalnie, jeśli Arthur się nie zgodzi, napiszę do Rady Lekarskiej, że wkradł się w łaski mojej żony, popełnił cudzo-

łóstwo z pacjentką i tak dalej. Jestem przecież twoim mężem, Bettino, i muszę

stwierdzić, że nie byłeś zbyt dobrą żoną.

Rumieniec wstydu zalał bladą twarz Bettiny, na której malował się wyraz bólu.

TLR

— Przysięgam, James, że nie chciałam tego. Nie zamierzałam oglądać się za innymi mężczyznami. Nie wiem, jak się to stało. To uczucie rosło we mnie dzień po dniu...

— Aż przerosło was oboje? — zaszydził James, ale natychmiast się opamiętał. Bettina, podobnie jak koń, była trudna do opanowania, gdy ogarniał ją strach. Musiał ją uspokoić, żeby była mu posłuszna. — Myślę, że oboje

popętniliśmy błąd — powiedział starając się nadać swemu głosowi jak najłagodniejszy ton. — I nie my jedni. Wielu ludzi straciło orientację z powodu wojny. Ale przyrzekam ci, że nie stanie się nic złego, o ile nie stracimy głowy. — Ujął jej rękę i wpatrywał się w nią błagalnym wzrokiem. Ten chwyt rzadko go zawodził. — Naturalnie, czułem się strasznie zraniony, gdy odkryłem... — Bettina zaczęła płakać, więc uwolnił jej rękę i podał chusteczkę.

— Jednak, gdy wszystko przemyślałem, doszedłem do wniosku, że ty i Arthur pasujecie do siebie. Wierz mi, że nie chcę wam stać na drodze. Jednak muszę odzyskać swój spadek. W tym kraju nie ma dla mnie żadnej przyszłości. Wojna z komunistami jest nieunikniona.

— Ale ja nie mogę sobie pozwolić, by wrócić, wszystko się wyda, pójdziemy do więzienia — zaoponowała bez wielkiego przekonania.

— Nonsens. Za takie rzeczy nie wsadza się ludzi za kratki. Poza tym nikt się nie dowie, przyrzekam ci. W kraju wciąż panuje zamęt, drobne nieścisłości w papierach nie zwrócą niczyjej uwagi. Może porozumiesz się z Arthurem? A teraz może pójdiesz się położyć? — zasugerował klepiąc ją po ramieniu. — A ja zainstaluję się w pokoju gościnnym, dobrze?

Następnego ranka zgodziła się na wszystko. Pod koniec tygodnia Anderson także — aczkolwiek bardzo niechętnie — przyjął propozycję Jamesa. Wystawił świadectwo lekarskie stwierdzające fakt przyjścia na świat dwóch

córek Jamesa i Bettiny. James wybrał imiona obu dziewczynkom. Catherine i Miranda były żalonym hołdem złożonym Khatijah i Maimunah. Wymyślił też daty urodzin, by nie wzbudzić żadnych podejrzeń w Pasterns. Z tych samych przyczyn należał też, by nieco zaczekać z rozwodem.

TLR

James postanowił pozostać na Malajach tak długo, jak to będzie możliwe, choć zaczęły docierać wieści o napaściach komunistów na położone w głębi dżungli plantacje kauczuku. Umówili się, że Bettina wyjedzie, gdy tylko Anderson znajdzie dla nich jakieś tymczasowe lokum. Zamierzali wyjechać do Anglii, jak tylko zjawi się nowy lekarz.

Bettina była teraz pogodna i przyjaźnie odnosiła się do Jamesa. Od kiedy pękł mur wrogości pomiędzy nimi, w domu po raz pierwszy zapanowała miła atmosfera. James uwielbiał wracać na obiad i patrzeć na biało ubrane dzieci, które siedziały z niańką w cieniu. Przyznawał też z dumą, że dziewczynki były wyjątkowo ładne. Starsza zaczęła się do niego przywiązywać i często drepotała niepewnym kroczkiem, by ofiarować mu kwiat hibiskusa, muszelkę czy inny mały skarb.

Bettina była zaskoczona, gdy James wyrwał ją pewnego dnia z popołudniowej drzemki.

— Obudź się, moja droga — powiedział. — To bardzo ważne.

Usiadła zakłopotana, a James podał jej jedwabny peniuar, który szybko założyła na koszulę nocną.

— Przejdźmy do drugiego pokoju — zaproponował. — Nie chcę o tym mówić tu, w sypialni.

— Co się stało? Czyżby komuniści...?

— Tak moja droga, komuniści. Znowu zaatakowali.

— Gdzie?

— Amblehurst. — Była to angielska nazwa plantacji kauczuku położonej na południu. — Zabili zarządcę i jego żonę, i jeszcze kogoś, kto był akurat z

nimi... — James zawiesił głos. Pomimo pogardy dla romansu żony, trudno mu

było zdobyć się na przekazanie fatalnej wiadomości. Trudno mu było odebrać jej jedyną radość życia. — Bądź dzielna, moja droga — wykrztusił wreszcie.

— To był Arthur. Arthur Anderson nie żyje.

TLR

Rzuciła na niego wystraszone, niepewne spojrzenie.

— To niemożliwe, mówił przecież, że w tym tygodniu nie jedzie do Amblehurst. To musiał być ktoś inny.

James zrobił mocny *pahit* z dzinem i wcisnął szklankę do ręki Bettiny.

— Przykro mi, Bettino. Moja biedna Bettina. Nie ma mowy o pomyłce.

On nie żyje.

Nie rozpląkała się. Była oniemiała i pogrążona w szoku.

— To nie *fair* — powiedziała prawie ze złością. — Kochałam go, nie powinno się tak stać.

Potem wycofała się w odległy od rzeczywistości, wewnętrzny świat i przez wiele tygodni zachowywała się jak lunaticzka. Nigdy już nie wspomniała imienia Andersona. I nie było w niej nawet cienia radości czy energii. Została z Jamesem, bo nie miała dokąd pójść. Współżycie układało się im całkiem znośnie, chociaż Bettina nie była w stanie wykrzesać z siebie żadnych uczuć dla dziewczynek. Z każdym miesiącem piła coraz więcej. Zorganizowała też kółko brydzowe z trzema żonami innych plantatorów, które szukały ucieczki od przerażającej izolacji, i spotykały się raz na dwa tygodnie w Kuala Lumpur.

Partyzanci komunistyczni pod wodzą Chin Penga coraz częściej napadali na plantacje położone w głębi dżungli. W tym samym roku, gdy zginął Anderson, zamordowano jeszcze pięciuset innych Europejczyków. Komuniści atakowali też na innych frontach. Na plantacjach i w kopalniach wybuchło aż trzysta strajków. Administracja brytyjska reagowała niezwykle opieszale, grając na zwłokę i oszukując prasę.

Pewnego dnia James znalazł ulotki przyklejone do pni drzew rosnących na plantacji. Głosiły „śmierć uciekającym psom”. Dom został ufortyfikowany workami z piachem, dano im również ochronę policyjną, a James objeżdżał TLR

plantację samochodem, z karabinem gotowym do strzału.

W roku 1950, kiedy starsza córka oficjalnie miała już prawie cztery lata, pełnomocnik rządu Wielkiej Brytanii, Sir Henry Gurney, zginął w podziurawionym jak rzeszoto Rolls-Roysie, gdy jechał na weekend. James zdecydował, że najwyższy czas, by zabrać żonę i dzieci i wracać do kraju po spacer.

Wojna z komunistami na Malajach ciągnęła się jeszcze przez dwanaście lat. Brało w niej udział sto tysięcy brytyjskich obywateli. Poborowi w latach pięćdziesiątych najbardziej bali się oddelegowania właśnie w ten rejon świata.

Na Malajach trzeba było toczyć wojnę równocześnie z dwoma wrogami — komunistami i dżunglą, a dżungla była nieprzejezdna.

Malaje uzyskały niepodległość w roku 1957, ale wojna, nazywana przez Brytyjczyków „stanem wyjątkowym”, trwała aż do 1960 roku. Podczas parady zwycięstwa w Kuala Lumpur, naczelny dowódca wojsk brytyjskich na Ma-

lajach siedział na podium dla dygnitarzy obok prezesa amerykańskiej firmy Pacific Tin.

W Londynie James odrzucał wszystkie zaproszenia na uroczyste przyjęcia i kolacje organizowane dla uczczenia powyższych wydarzeń, ponieważ nie chciał zbyt mocno akcentować okresu życia spędzonego na Malajach.

W Pinangu Bill Treadwell złożył wniosek o przyznanie mu obywatelstwa malajskiego.

TLR

22

*Gonna spend my whole life through...* — śpiewała Monty. Zbliżyła się do



publiczności, wypięła jedno biodro na tyle, na ile pozwalała jej obcisła skórzana sukienka, i poruszała nim w takt muzyki. Światła na scenie błyskały. — ... *lovin'you u-u-u* — dokończyła.

Rozległy się nikłe oklaski, a Monty i jej zespół wykonali szybkie ukłony. Uszy przeszył im pisk źle wyregulowanej aparatury nagłaśniającej, co wydarzyło się kilkakrotnie w czasie występu. Wygaszono światła. Parę puszek po piwie śmignęło w powietrzu i upadło na małą scenę.

— Dziękujemy, Ruby Slippers, dziękujemy wszystkim pozostałym — powiedział disc jockey i włączył nowy singel, *The Clash*.

Tłumek ożywił się i zaczął podskakiwać w tańcu „pogo”. Monty na trzęsących się nogach pokuśtykała do garderoby przypominającej wnętrze szafy. — Jezu, ależ to było okropne! — Klapnęła na twarde krzesło i popatrzyła na swoje odbicie w lustrze. — A do tego wyglądam ohydnie. W ogóle im się nie podobaliśmy, nienawidzili naszej muzyki.

Reszta zespołu pojawiła się w ślad za nią. Winston grywał kiedyś w The TLR

Juice, gdy potrzebny był im dodatkowy perkusista. Stas grał poprzednio z kolejnym dobrze zapowiadającym się zespołem Biffo Records, który potem się rozleciał. A Tony robił właściwie Monty uprzejmość, bo był jednym z najbardziej poszukiwanych gitarzystów w mieście. Monty podziwiała jego talent i było jej niemal głupio, że Tony’emu chce się towarzyszyć jej na występach w obskurnych punkowych klubach, w których grywali od paru tygodni.

Wszyscy sprawiali wrażenie załamanych. Jedna z puszek po piwie trafiła Stasa w skroń i teraz na próżno rozglądał się za jakąś chusteczką, by otrzeć strużkę krwi. Garderoba w Dingwall Club nie była wyposażona w takie luksusy.

Tryskający energią Sig przecisnął się przez drzwi.

— Świetnie, kurwa, świetnie — entuzjasmował się rozdając wszystkim coca-colę. Czyż ona nie jest cudowna? — ścisnął pośladek Monty, a czarna

skóra zaskrzypiała pod dotknięciem jego spoconej łapy.

— Daj spokój, Sig, to była klapa. Te wszystkie syfiaste kluby to istna klęska. Wcale nie zdobywamy tu sobie fanów, tylko się wykańczamy.

Sig zdjął płaszcz Monty z gwoździa wbitego w ścianę, objął ją i wyprowadził z klubu w dżdżystą noc. Dingwall mieścił się na wybrukowanym kocimi łbami podwórku przy kanale, więc podtrzymywał Monty, gdy potykała się na nierównej powierzchni w swych czerwonych szpilkach.

— Słuchaj no, mała, gdy ktoś gada jak przegrany, to przegra. Nikomu nie wiedzie się na początku. Musisz trochę poczekać.

— Jest pewna różnica między udanym występem a gradem puszek po piwie spadających z sufitu.

— Ci gówniarze rzucają puszkami we wszystkie zespoły. Poza tym plują, wrzeszczą i ciskają cegłami, jeśli mają je pod ręką. Oni chcą być twardzi, chcą być punkami, wkładać sobie agrafki do nosa i temu podobne. To jest bez znaczenia. Byłaś dobra, podobałaś im się.

Monty cierpiała katusze. Bała się Siga. Był twardy, silny i bezwzględny.

TLR

Był też uparty jak osioł i gdy się pocili, nigdy nie ustąpił ani na krok. Już prędzej uderzyłby by zmusić do zrobienia tego, co mu się podobało.

Terroryzował ją werbalnie, albo — co najczęściej się zdarzało — zapędzał w kozi róg i wtedy zastraszona nie śmiała już oponować.

Problem polegał na tym, że Monty bała się nie tylko Siga. Bała się również tych wszystkich chłopaków w nabijanych ćwiekami obrozach i dziewczyn z zielonymi włosami, stłoczonych na sali po drugiej stronie mikrofonu. Bez The Juice, za który mogła się skryć, bez Ricka, którego mogła winić za niepowodzenia, Monty przeżywała nieustającą tremę.

— Dłużej już tego nie zniosę — powiedziała do Cindy Moon, gdy Sig pozwolił jej wrócić do domu. Była pełnia lata i z West Indian Club na rogu ulicy dobiegały stłumione dźwięki reggae, które pulsowały w zakurzonej

powietrzu.

— To drań — stwierdziła Cindy, która siedziała w kucki przed maszyną do pisania. — Sig Bear ma zamiast serca bryłę błota. Jak on może cię tak traktować? Jeśli się załamiesz, nigdy nie wyciśnie z ciebie pieniędzy. Mężczyźni są tacy głupi. — Wstała i otoczyła ramionami Monty. — Jesteś dobra, jesteś gwiazdą. Pamiętaj o tym i daj sobie spokój z Sigiem.

— Wcale nie jestem taka dobra. Potrafię pisać ładne piosenki, dobrze gram, ale to nie wystarczy. Powinnam inaczej zachowywać się na scenie. Ja po prostu nie umiem radzić sobie z ludźmi. Rick był w tym dobry, tak, był arogancki, ale wiedział, jak ma wysunąć się naprzód, przyćmić resztę zespołu,

przykuć uwagę publiczności.

— To był kolejny despotyczny drań. — Cindy otoczyła opiekuńczym gestem ramiona Monty. — Faceci mają odjazd na władzę, a przecież wcale nie trzeba ścierać innych ludzi na proch, by ich zdominować.

Monty usiadła na obitej czarnym plastikiem otomanie, która pełniła rolę zarówno sofy, jak i łóżka Cindy. Czuła się rozdarta między Cindy i Siga.

Oboje wychwalali jej talent, ale starali się pchnąć ją do robienia tego, co sami

TLR

uważali za właściwe.

Z Sigiem sprawa była jasna. Chciał, by skończyła album i dała mu na nim zarobić. Nie starał się udawać, że ją kocha — to słowo nigdy nie pojawiło się na jego wąskich ustach.

Cindy z kolei zasypywała Monty komplementami i pieszczotami, pisała dla niej wiersze i kupowała prezenty. Była balsamem dla spragnionej uczuć duszy Monty. Na początku Monty myślała nawet, że Cindy jest lesbijką, bo takie krążyły o niej plotki.

Wkrótce jednak odkryła, że podnieca ją odwiedzanie klubów reggae i podrywanie Murzynów. Mniej więcej raz w miesiącu Cindy znikwała na parę dni, by poużywać sobie z tymi zieżącymi pogardą chłopakami, którzy czuli się

seksualnie wykorzystywani, więc odpłacali się jej tym samym. Cindy wracała do domu z przewrotnym uśmiechem na ustach, pokazywała Monty siniaki i obwieszczała, że biali mężczyźni nie mają zielonego pojęcia o pieprzeniu. Miewała też białych chłopaków i — o dziwo — byli to przeważnie bogaci biznesmeni. Jednak Cindy rzadko miała coś dobrego do powiedzenia o mężczyźnie, bez względu na kolor skóry i charakter.

Często przynosiła tanią, brązową heroinę, którą podgrzewała na srebrnej folii i wdychała opary. Monty bała się spróbować. Cy brał tego dużo, co wynikało z jego nihilizmu i destrukcyjnego stosunku do wszystkiego oraz depresyjnej osobowości.

Monty to przerażało, bo odczuwała taką samą próżnię, jak on, więc zawsze odmawiała, gdy Cindy proponowała jej narkotyk.

— Wiesz co? — powiedziała niespodziewanie Cindy. — Chodź dzisiaj ze mną na występ The Joe Jones Band. Oni nauczą cię wszystkiego, co powinnaś wiedzieć na temat facetów mających odjazd na władzę.

— To oni są tacy sławni w Japonii? — spytała Monty z nutką szyderstwa w głosie. Brytyjska elita rocka uważała zespoły odnoszące sukcesy w Japonii TLR

za bezduszne i kokomercyjne. — Tak, odnieśli tam kolosalny sukces. Ale w Stanach także. Podobały mi się ich wczesne utwory, trochę w stylu Dylana, taki country rock. Ale teraz robią tylko ogromnie dużo hałasu i popisują się tym swoim błyszczącym sprzętem.

Monty postanowiła się wybrać na ich występ. I tak nie miała nic do roboty, poza siedzeniem w nagrzanym mieszkaniu i dławieniem swego lęku.

Przygotowania do wyjścia zajęły Cindy półtorej godziny, ale wyglądała zabójczo w jednej ze swych przezroczystych szyfonowych sukien, tym razem w prążki: różowe i w kolorze indygo. Do tego włożyła złociste sandałki na wysokich szpilkach i lisa w stylu lat czterdziestych, z pyskiem i pazurami. Monty czuła się beznadziejnie zaniedbana w swej skórzanej sukience, która

zaczęła się defasonować i była gdzieś popękana.

Zespół The Joe Jones Band wszedł na scenę i stanął między dwoma potężnymi wzmacniaczami. Już przy pierwszych łomotliwych dźwiękach Monty poczuła się tak, jakby silna fala muzyki uniosła ją do góry, a następnie rzuciła o ścianę. Dźwięk był tak silny, że wnętrzości Monty zadrżały, a w głowie poczuła zupełną pustkę. Musiała całkowicie się poddać oceanowi hałasu, pozwolić mu się porwać.

Amerykanie byli chudzi, długowłosi. Joe Jones hipnotyzował publiczność, biegając po scenie i potrząsając kruczoczarnymi włosami, opadającymi na nagi tors. Miał na sobie jedynie bardzo obcisłe spodnie z białego atłasu, które podkreślały wspaniałe mięśnie jego nóg, i pas ze srebrną klamrą. Skakał po scenie i wył w mikrofon niczym indiański wojownik.

Cindy miała wstęp wolny na zaplecze sceny i nalegała, by po występie poszły poznać członków zespołu. Zawsze wykorzystywała swój status drugorzędnej londyńskiej znakomitości, by spotkać się ze sławnymi zespołami występującymi w mieście. Monty jednak nie nawidziła sterczeć w ciasnych garderobach i zastanawiać się, o czym ma rozmawiać z ludźmi, którzy w ogóle jej nie interesują.

Powitał ich ochryply śmiech dobiegający zza drzwi garderoby. Nogi Joe TLR

Jonesa zdawały się zajmować pół pokoju. Siedział rozwalony na jedynym tu krześle, w ręku trzymał do połowy opróżnioną butelkę bourbona, a jego tors oblany był potem.

— Hej, jestem Cindy Moon z „Hit Maker”, a to jest Ruby Slippers. Jak wam się podoba w Londynie? — Cindy zawsze przedstawiała się w taki właśnie sposób.

Joe podkurczył nogi i odstawił butelkę, by ucisnąć drobną dłoń Cindy. Najście kobiet sprawiło, że chłopcy zamilkli.

— Zaproponowałbym wam, żebyście usiadły, ale nie bardzo jest na

czym. Pokazano mi twoją recenzję naszego ostatniego albumu. Napisałaś parę bardzo miłych rzeczy.

Gdy kontynuowali wymianę komplementów, Monty marzyła, by znaleźć się gdzie indziej. Gdziekolwiek nie spojrzała w tej obwieszanej lustrami celi, jej wzrok zatrzymywał się na kroczu Joego. Białe atłasowe spodnie uwypuklały kształt jego penisa, co najwyraźniej uważał za intrygujące. Cienki, obcisły atłas podkreślał powolną erekcję. Joe chyba zorientował się, że Monty ją zauważyła, bo w pewnej chwili ściągnął z szyi ręcznik i niedbałym gestem położył go sobie na łonie. Po dziesięciu minutach paplania Cindy pożegnała się i wyszła, a Monty podreptała za nią.

— Czy już wiesz, co miałam na myśli? — spytała Cindy, gdy złapały taksówkę. — Wydaje im się, że są wspaniali, bo robią dużo hałasu, chłają whisky, a panienki aż piszczą na ich widok. A przecież są to tylko mali chłopcy. I tylko marzyli o tym, byśmy poszły z nimi do hotelu. Dzięki Bogu wyszliśmy w samą porę.

— Mogłoby być zabawnie.

— Nie mówisz chyba tego poważnie? Nie wierzę, że podobała ci się ta pseudosamczość.

TLR

Monty nie odpowiedziała, sama nie wiedziała, co czuje. Rzeczywiście, ich agresywna seksualność budziła odrazę.

Była w niej ta sama żalosna męska fanfaronada, której tak nienawidziła u Ricka.

— Strasznie mnie boli głowa — stwierdziła w końcu.

— Biedna Monty, tak mi przykro.

Gdy wróciły do domu, Cindy namówiła ją, by zamiast aspiryny, „od której krwawi żołądek”, przyłożyła sobie do czoła kompres z maści tygrysa. Jednak na nic się to nie zdało, ból rozprzestrzenił się na lewą część twarzy i umiejscowił w okolicy zęba.

Nazajutrz była niedziela, a ząb bolał tak, że Monty prawie nic nie widziała.

— Wiem, co by ci pomogło — powiedziała Cindy z pewną rezerwą.

— Co?

— I tak nie wzięłabyś tego.

— Wezmę wszystko, żeby tylko nie skonać z tego bólu.

Usta Cindy drgnęły.

— Sztachniesz się raz i ci przejdzie, obiecuję.

Monty potrząsnęła głową. Poszła do swego pokoju i przez całe popołudnie leżała jęcząc w łóżku.

— Nie mogę patrzeć, jak się męczysz — powiedziała Cindy, przynosząc jej rumiankową herbatę. — Jeden mały maszek i ci przejdzie.

Monty odsunęła kubek, bo na samą myśl o picciu zrobiło jej się niedobrze.

— Nie myślisz chyba, że po jednym razie się uzależnisz? Wdychanie to TLR

nie to samo. Popatrz na mnie, robię to bez przerwy, i co z tego? Przecież nie widziałś mnie, jak czołgam się po pokoju, bo nie mam towaru. I uwierz mi, Monty, że ból minie. Będzie ci się wydawało, że ból jest gdzieś daleko, będzie do zniesienia.

Monty wytrzymała do wieczora, a potem zgodziła się, by Cindy podgrzała brązowe granulki na kawałku folii, i zaciągnęła się dymem; drażniącym i przyprawiającym o mdłości, ale Monty była przyzwyczajona do dziwnych specyfików.

— Teraz już będziesz wiedziała, co w tym jest — powiedziała Cindy. — Wszystkie dzieciaki teraz to biorą. To nic takiego, po prostu fajnie się czujesz.

Monty poczuła skurcz żołądka i pobiegła do łazienki, by zwymiotować.

Potem przyszła ulga, słodycz i spokój, jak obiecała Cindy, ból był tylko odległym sygnałem, który spokojnie mogła ignorować. Lęk odpłynął gdzieś daleko. Dopóki narkotyk go nie zagłuszył, Monty nie zdawała sobie sprawy, że

żyje wciąż sparaliżowana strachem.

Trzy tygodnie później miał się odbyć kolejny występ Ruby Slippers i Monty poprosiła Cindy o małą działkę, żeby się uspokoić dzień wcześniej. Narkotyki przestał działać, zanim przyszedł czas wyjścia do klubu, więc Cindy

dała jej jeszcze trochę. Monty poczuła się pewnie na scenie i występ był bardzo udany. Minęło jej onieśmielenie wobec pozostałych członków zespołu i pozwalała Sigowi wygadywać i robić, co mu się żywnie podoba, czując się tak, jakby to jej w ogóle nie dotyczyło.

Gdy zaczęli nagrywać pierwszy album Ruby Slippers, Monty odkryła, że szybsze działanie ma heroina dodana do tytoniu. Za każdym razem wymiotowała, a ponieważ zażywała narkotyki coraz częściej, było to bardzo uciążliwe. — Strasznie się boję, że Sig coś wywęszy — powiedziała do Cindy. — Wczoraj przyłapał mnie na rzyganiu, ale powiedziałam mu, że zatrulałam się jakimś jedzeniem, jednak jest za cwany, żeby drugi raz w to uwierzyć. Co mam robić? Zabije mnie, jak się dowie prawdy.

— Używaj igły — poradziła Cindy.

TLR

. Rada ta nie wydała się Monty tak niepokojąca, za jaką uznałaby ją trzy miesiące wcześniej. Nienawidziła wprawdzie strzykawki, ale jeszcze bardziej bała się stanów lękowych. W końcu poprosiła Cindy, by wstrzyknęła jej heroinę

— Lepiej jednak nie używać tego chińskiego towaru — powiedziała Cindy, gdy przyjaciółka pogrążała się w błogim spokoju. — Jest trochę zanieczyszczony. Spróbuję ci załatwić normalny biały proszek o farmaceutycznej jakości. Jeśli możesz, wstrzykuj sobie w nogi, to nie będziesz miała śladów na rękach.

Biała heroina była pięciokrotnie droższa od brązowej, ale warto było.

Monty miała pieniądze, które pożyczyła jej Cathy na honoraria dla prawników. Szybko trafiły do kieszeni dealera, z którym spotykała się Cindy dwa



albo trzy razy w tygodniu w kafejce obok redakcji „Hit Maker”. Wreszcie pieniądze się skończyły.

— Nie możesz poprosić siostrę o więcej forsy?

Monty pokręciła przecząco głową.

— Nie mogę jej okłamywać. Jesteśmy ze sobą tak blisko, że potrafimy odczytywać nasze myśli.

Cindy skrzywiła się z niesmakiem.

— Jestem spłukana do końca miesiąca — powiedziała znacząco.

— Będziemy musiały obejść się bez hery. Jak dokończę album, Sig zapłaci mi pozostałą forszę za singel — stwierdziła Monty, urażona, że Cindy sugerowała, by oszukiwała siostrę.

Nazajutrz, gdy wróciła późno ze studia nagrań z To— nym i Stasem, z którymi chciała jeszcze trochę pograć, zastała uchylone drzwi mieszkania.

— Cindy musiała je tak zostawić — powiedziała niepewnie. — Chociaż to dziwne, zawsze mi przypomina, że bym je zamykała.

TLR

— Może ktoś się włamał. — Tony pokazał jej obluzowany zamek. — Zobacz, czy czegoś nie brakuje.

Monty od razu zauważyła, że zniknął jej magnetofon i prawie wszystkie drogie ubrania. Otworzyła elegancką, obciągniętą skórą szkatułkę, w której trzymała biżuterię — była pusta. Monty pomacała za lustrem, gdzie przechowywała zawinięte w kawałek zamszu kolczyki wysadzone brylantami i szmaragdami — prezent od Ricka.

Także zniknęły.

— O Boże, włamanie to właśnie to, czego mi teraz potrzeba — powiedziała opadając ciężko na czarną otomanę. — Czy to nie wspaniałe, że życie zawsze ci dowala, gdy i tak jesteś w dołku?

Chłopcy starali się ją pocieszyć i zostali z nią aż do powrotu Cindy, która zjawiała się po kilku godzinach. Kiedy dowiedziała się o włamaniu, wpadła we

wściekłość, ale Monty przyglądała jej się obojętnie. Cindy zapytała, co z cennymi kolczykami ukrytymi za lustrem, a Monty nie mogła powstrzymać się od uwagi, że ktoś, kto nie znał tej skrytki, nie szukałby kosztowności w tak dziwnym miejscu.

Nazajutrz rano zadzwoniła Cathy.

— Musimy natychmiast jechać do Bourton. Didi umiera — powiedziała.

— Najpierw jadę po mamę. Pojedziesz ze mną?

Monty od lat nie widziała matki i wcale nie miała na to ochoty. Nie uważała też za konieczne oddać babce ostatnią posługę.

— Nie, nie chcę jechać — odparła. — To tylko mnie przygnębi. — W słuchawce zapadła cisza i Monty natychmiast poczuła się winna, że zawsze zwała na Cathy wszystkie zobowiązania wobec ich niekochanej rodziny. — Chyba, że chcesz, bym pojechała? — dodała szybko.

— Proszę cię, Monty, jesteś mi potrzebna. Nie będzie to oczywiście żad-  
TLR

na przyjemność, ale myślę, że powinnyśmy obie pojechać. W końcu Didi jest częścią naszego życia.

BMW Cathy mknęło jak srebrny pocisk po drodze do Brighton, aż wreszcie Ujechało miękko na krawężnik obok wysokiego białego domu, gdzie mieszkała Bettina. Monty pomyślała, że matka wygląda tak, jakby się kurczyła. Miała niestarannie ufarbowane na jasny blond włosy, żółtawe białka oczu i szarą, woskową cerę. Siostry zauważyły też z przerażeniem, że jej dłonie były usiane małymi strupami, będącymi zapewne wynikiem zaniedbania, niedożywienia i alkoholizmu.

W mieszkaniu panował brud. Na zakurzonej podłodze poniewierały się sterty ubrań i brudnej bielizny pościelowej, a kuchnia lepiała się od brudu i pełna była cuchnących odpadków. Monty otworzyła drzwi do sypialni i aż wzdrygnęła się, gdy poczuła dobiegający stamtąd smród. Matka mierzyła je wyzywającym wzrokiem, jakby chcąc sprowokować do potępienia tego brudu

i ubóstwa.

W Bourton panowała szczególna atmosfera skrywanej skrzętnie ulgi, jaką odczuwali wszyscy domownicy. Ponura służba również nie mogła ukryć ożywienia. Hugo wydawał się szczuplejszy. Dzieci kuzynów były ciche, ale pogodne. Wszyscy starali się nie okazywać ogarniającego ich uczucia ulgi z powodu tego, że tyran leży na łożu śmierci.

— Moje kochane! Jak miło z waszej strony, że odwiedziłyście starszą panią — zawołała babka z głębi swego łoża ocienionego wypłowiałymi perkalowymi zasłonkami. — Musicie wybaczyć, ale lekarz nie pozwala mi wstać z łóżka. Ale ja mu jeszcze pokażę.

Davina poprawiła podniszczoną kołdrę z różowego atłasu, obszytą koronką.

— Przypadkiem dowiedziałam się o najlepszym londyńskim specjalście od takiego raka, jak ja mam. Przyjedzie jutro i powie temu staremu szarlatanowi, żeby się nie wygłupiał. Jak na swój wiek, świetnie się trzymam.

TLR

Wnuczki usiadły z poczuciem obowiązku na niewygodnych złożonych krzesłach w stylu Ludwika XV i usiłowały podtrzymać konwersację z umierającą. Szarobure, rzadziutkie włosy miała przewiązane dziewczęcą aksamitną przepaską. Obwisłe powieki były uwalane błękitnym tuszem do rzęs, a po-brużdzone policzki upačkane grubą warstwą rózu.

— Zastanawiam się, Catherine, kiedy znowu wyjdiesz za mąż — powiedziała z konspiracyjnym błyskiem w wodnistych oczach. Dłonie o nadgarstkach zdeformowanych przez artretyzm ścisnęły kołdrę. — Musisz się, kochanie, pośpieszyć, zanim całkiem stracisz urodę. Naturalnie nie możesz się mierzyć z młodymi pięknościami, ale przecież zawsze można rozkochać w sobie mężczyznę, jeśli się wie, jak to zrobić. Życie, które prowadzisz, nie może przecież dawać ci szczęścia, a gdy kobieta jest nieszczęśliwa, jej uroda więdnie.

— Oczywiście, Didi — mruknęła Cathy, zerkając w ciemne lustro w ramie z połączanego brązu, by upewnić się, że jej cera wciąż jeszcze jest kremowa, a włosy lśniące. Czarny kostium w białe prążki podkreślał jej delikatną budowę.

— Nie mów „oczywiście”, i to takim tonem! — Zdeformowane ręce wpiły się konwulsyjnie w kołdrę, jakby staruszka szukała oparcia w wypłowiałej wspaniałości tkaniny. — Musisz poważnie podchodzić do kwestii małżeństwa, zawsze był z tobą problem. Małżeństwo to jedyna możliwa kariera dla kobiety. Jedyna korzyść, jaka wynika z tej twojej nonsensownej pracy jest taka, że masz szansę poznać odpowiedniego mężczyznę. W przeciwnym razie skończysz jak twoja siostra.

Monty i Cathy wymieniły zrezygnowane spojrzenia, po czym Cathy skierowała rozmowę na temat przebiegłości Daviny, dzięki której mogła wytropić i skłonić do przyjazdu najlepszego londyńskiego onkologa. Lekarz zjawił się następnego dnia. Był podenerwowany i zażenowany, spędził godzinę u starszej pani, po czym szybko wziął Hugona na stronę i powiedział:

— Nic się nie da zrobić. Wątpię, czy przeżyje noc. Ulega przeróżnym TLR

iluzjom, proszę nie zwracać na to uwagi.

Trudno jednak było zignorować wrzaskliwe rozkazy, które sprawiały, że pielęgniarzka zbiegła na dół, prosząc krewnych o pomoc.

— Chce zejść na dół i telefonować — wyjaśniła. — Mówi, że musi zadzwonić do księcia Walii i Bóg wie, do kogo jeszcze. Mówi, że nie może wylegiwać się przez cały dzień jak jakaś flądra. Mówi też, że organizuje bal, na który musi zaprosić rodzinę królewską.

Hugo pomaszerował sztywnym krokiem na górę i przekonał matkę, by zamiast telefonować, napisała listy. Staruszka zabazgrała wiele kartek swego błękitnego papieru listowego, urywając w połowie każdy liścik. Wkrótce potem całe łóżko pokryło się nie zapisanymi do końca zaproszeniami, a Davina

zanurzyła się w poduszki i zapadła w drzemkę. Wieczorem ocknęła się i powiedziała bardzo trzeźwym głosem:

— Chcę zobaczyć moich synów. Muszę zobaczyć moich drogich chłopców.

Hugo przerwał kolację i poszedł do matki.

— A gdzie James? — spytała ze złością, jakby podejrzewała, że ukrył gdzieś brata.

— Jamesa tu nie ma, mamó — powiedział z westchnieniem.

— Biedny chłopiec — mruknęła. — Na pewno brakuje mu takich wspaniałych rozrywek jak ten ubaw, który mieliśmy w ambasadzie. Pewnie czuje się bardzo samotnie na tym Wschodzie. Musimy ściągnąć go do domu, kochanie. Załatw mu coś, aby mógł się jakoś urządzić, dobrze? — Przymilny ton chrapliwego starczego głosu wydawał się niemal sprośny.

Później zażądała, by podano jej szkatułkę z klejnotami. Ostatkiem sił gmerała w swoich trofeach. Od czasu do czasu podnosiła do góry jakąś błyskotkę i oglądała w upiornym świetle żyrandola, zastanawiając się w milczeniu, czyj ciężko zapracowany dowód przywiązania ta rzecz symbolizuje.

TLR

O północy pielęgniarka delikatnie wyjęła wysadzaną brylantami bransoletkę ze słabego uścisku pacjentki, poprawiła pogniecione poduszki i podała półprzytomnej staruszce lekarstwo. Lady Davina zmarła spokojnie w czasie snu parę godzin później.

Nikommu nie przyszło wcześniej do głowy, by poprosić National Trust o pozwolenie na zorganizowanie uroczystości pogrzebowych w domowej kaplicy, więc ostatecznie mszę odprawiono w wiejskim kościółku. Siostry z ciekawością rozglądały się po małej nawie z szarego kamienia, zastanawiając się, dokąd zaprowadziło lady Davinę życie spędzone na niezmordowanym dążeniu do podporządkowania sobie innych. Na pogrzeb przybyło niewiele osób. Trzy staruszki, które przeżyły Davinę, i jeden starszy pan — jeden z

tych, na których do końca ćwiczyła swe uwodzicielskie umiejętności. Wyszedł z cmentarza chwiejnym krokiem, łudząc się, że miał szczęście znać wielką damę.

Gdy wracały po mokrej od deszczu murawie cmentarnej do samochodu, Monty spytała:

— Czy jest ci przykro, że odeszła, Cathy?

Zatrzymały się i przyglądały pozostałym członkom rodziny, którzy rozchodzili się w różne strony.

— Nie — odparła Cathy. — Powinna umrzeć, dla własnego dobra, w wieku trzydziestu lat — dodała z zadziwiającą szorstkością w głosie. — Jest mi tylko przykro, że straciłam przez nią tyle czasu.

Caroline i Edward wraz ze swoimi otyłymi małżonkami i muskularnymi dziećmi w płaszczykach z aksamitnymi kołnierzykami szli wolno po porosłej mchem ścieżce. Pogrążali się coraz bardziej w bagnie kiepskich profesji i kiepskich zarobków, mamieni przez błędny ogień wiejskiego stylu życia, który prowadził ich na manowce anonimowej klasy średniej. Caroline wyszła za mąż za osiagającego marne dochody rolnika. Edward był kierownikiem działu sprzedaży w małej firmie handlującej sprzętem rolniczym. Oboje byli TLR

flegmatyczni, ogorzali i nie interesowało ich nic poza sezonami łowieckimi i rodowodami koni pełnej krwi. Cathy westchnęła nagle z irytacją.

— Skąd myśmy się wzięły, Monty? Nie należymy do tej bandy. My chcemy zmieniać świat, a nie zachowywać go w obecnym kształcie, w marynacie z portu dobrego r<sup>o</sup>cznika i krawatów starych szkół.

— Teraz już wiesz, jak się zawsze czułam. — Monty podeszła zważnym krokiem do BMW i otworzyła drzwi. We wsi Bourton nie było potrzeby zamykania samochodu. — Widocznie mamy w sobie jakieś hultajskie geny.

— Może tata był taki sam. Trudno sobie wyobrazić, jaki by był, gdyby żył.

— Sądzę, że byłby cudownym, figlarnym starszym panem.

Opanował je smutek, milczały więc przez ten krótki czas, jaki zajęła im droga do posiadłości. Czuli, że śmierć przesunęła się o jedno pokolenie bliżej nich. Teraz była przed nimi jeszcze tylko Bettina. Obie były przerażone jej gwałtowną degeneracją fizyczną.

Wieczorem Monty wpadła w ponurą apatię. Cathy wpatrywała się w nią z niepokojem, gdy siedziała na wysokiej mosiężnej kracie ochronnej przed kominkiem w salonie i patrzyła w dal. Zauważyła, że siostra bardzo schudła. Miała na sobie tani wojskowy sweter i skórzaną spódnicę.

— Jak tam twoja sprawa w sądzie? — spytała z nadzieją, że wytrąci Monty z ponurego nastroju.

— Świetnie. Ten adwokat jest wspaniały, prawdziwy rekin. Wygląda na to, że wprawia się do zawodu odgryzając na śniadanie głowy żywym kurczakom. Mam nadzieję, że jest tak dobry, jak twierdzi doradca prawny. Zresztą kosztuje odpowiednio dużo.

— A co z pieniędzmi?

— Też wszystko świetnie idzie. Nie przejmuj się, dam sobie radę — po-  
TLR

wiedziała Monty z wymuszonym uśmiechem.

— Jesteś bardzo szczupła. — Był to szczery komplement i Monty z uśmiechem skinęła głową.

— To pewnie ze zmartwienia. Spójrz. — Podwinęła sweter i pokazała Cathy, że może wsunąć obie ręce za pasek spódnicy.

— Czy na pewno jesz ile trzeba?

— Cindy jest ciągle na diecie, więc jemy mało.

— Co ostatnio jadłaś?

—Daj spokój, Cathy.

Cathy spojrzała na siostrę ze zdziwieniem i urazą. Monty zeskoczyła z kraty kominkowej i szybko wyszła z pokoju.

Gdy wróciły do Londynu, Cathy zabrała siostrę na suty obiad do wykładowanej dębową boazerią restauracji w City i podarowała jej czek na pięć tysięcy funtów. Monty uściskała ją z wdzięcznością i poczuciem winy. Nie zamierzała prosić Cathy o pieniądze, ale teraz miały z Cindy masę długów. Prezent od Cathy pozwoli je spłacić, a także kupić długi okres chemicznego spokoju ducha.

Monty była prawie pewna, że całe to włamanie zaaranżowała Cindy.

Zdawała też sobie sprawę, że jej współlokatorka naciąga ją na pieniądze i że heroina, którą kupuje, jest daleka od farmaceutycznej jakości. Jednak wydawało jej się to po prostu nieważne.

Wszystko, co kiedyś tak niepokoilo Monty, stało się nieistotne. Obojętnie reagowała na wrogość członków zespołu, gdy zdarzało jej się z godzinnym albo i większym opóźnieniem zjawić na sesję nagraniową. Nie miała tremy, pozując do zdjęć reklamowych, chociaż kiedyś czuła się absurdalnie w fetyzystycznych strojach, które kazał jej nosić Sig. Nawet gdy miała brzydkie pryszczki wokół ust, bez najmniejszego skrępowania stawała przed kamerą. Była teraz cudownie szczupła.

TLR

Sig też stracił nad nią władzę i już się go nie bała. W łóżku nie wysilała się już z taką desperacją, by go zaspokoić. Przedtem była sparaliżowana strachem. Bała się, że jeśli tego nie zrobi, będzie skończona, bo ją wyrzuci. Teraz zdobywała się na minimum aktywności, by nie wzbudzić jego podejrzeń. Jednak coraz bardziej traciła kontakt z rzeczywistością i pewnej nocy Sig gwałtownie stoczył się z niej i usiadł na łóżku. Sięgnął po papierosy i zapalił jednego z irytacją.

— Co się z tobą dzieje? — spytał cicho wrogim tonem.

— Nic. Po prostu jakoś dziwnie się dziś czuję. Rano będzie wszystko w porządku.

— Wcale nie. Rano będziesz do niczego.



— Nie, przejdzie mi do rana.

— Usiądź! — rozkazał.

Posłuchała natychmiast. Nie zauważyła w ciemności, jak podnosi rękę, więc cios był szokiem. Siła uderzenia zwała ją z łóżka. Usta miała pełne krwi, bo ugryzła się w język.

— Słuchaj no, głupia dziwko, nie obchodzi mnie, co zrobisz potem. Możesz się pochłastać albo wyskoczyć z Empire State Building. Ale podpisaliśmy kontrakt, dałem ci forszę i chcę mieć album. Wkurwia mnie, że jeszcze go nie zrobiłaś, bo bez przerwy jesteś zaćpana.

— Album jest prawie gotowy.

— O nie! Wszystko, co zrobiliście, to chłam. Musicie zacząć od nowa. Monty popełzła na czworakach na drugi koniec pokoju, łykając krew zalewającą usta.

— To nieprawda! — zaprotestowała zastanawiając się, gdzie położyła ubranie. Usłyszała, że Sig wstaje, podchodzi do drzwi i je zamyka. Zabłyśło TLR

światło i Monty zamruwała oczami. Sig wrócił do łóżka i wymierzył w nią palec oskarżycielskim gestem.

— Jak mówię, że to prawda, to znaczy, że tak jest. A teraz chodź tu. Nie zakończyliśmy jeszcze interesów.

Nie ruszyła się z miejsca, ale wiedziała, że jeśli zacznie go prowokować, spuści jej porządne manto. Z wahaniem wróciła do łóżka i położyła się nieruchomo obok niego. Zgasił papierosa i rzucił się na nią z pełną wściekłości brutalnością, przytrzymując ją, jakby była lalką. Jego penis był bardzo szeroki i nawet gdy wchodził w nią delikatnie, sprawiał ból. Teraz Sig nie miał zamiaru być delikatny. Słabość Monty doprowadzała go do szału, bo wiedział, że jest to jej ostatnia kryjówka. Zamiast otwarcie mu się przeciwstawiać, udawała, że podporządkowuje się jego woli. Tymczasem jej nieposłuszeństwo miało być usprawiedliwione tym, że nie jest w stanie spełnić jego żądań.

Mógł zwalczać jej otwarty bunt, ale nie bierny opór. Wdarł się w nią brutalnie, tak jakby gwałt mógł pobudzić ją do walki.

Po chwili przerwał i Monty poczuła, że pakuje jej palec do odbytnicy.

— Proszę cię, Sig, nie rób tego, to boli — wyszeptała.

— Będzie bolało jeszcze bardziej, jeśli nie przestaniesz wreszcie ćpać — powiedział. — Rozluźnij się, przestań się wrywać. Przywykniesz do tego. — Odwrócił ją na brzuch z taką łatwością, jakby była owadem, rozchylił pośladki i wszedł w nią z całej siły. Przygnieciona jego ciężarem, była zupełnie bezbronna, leżała więc biernie, a gwałtowne pchnięcia rozdzierały jej ciało.

W końcu stwierdziła, że najłatwiej będzie zakończyć tę męczarnię, doprowadzając go do orgazmu, więc zaczęła udawać podniecenie. Jednak Sig nie dał się oszukać. Przesuwała paznokcie po jego skórze, dyszała, mruzczała udając rozkosz, ruszała rytmicznie biodrami, ale wciąż jej się wydawało, że widzi jego sarkastyczny uśmiech.

Po tym akcie wykalkulowanego okrucieństwa, heroina była jeszcze jednym sposobem mszczenia się na Sigu. Problem albumu rozwiązał się samo-  
TLR

istnie, gdy Tony dostał propozycję dwutygodniowych występów z wielką amerykańską gwiazdą w Los Angeles i znalazł lukę w swym kontrakcie, dzięki czemu mógł zinterpretować go na swoją korzyść.

Ku zaskoczeniu Monty, przyszedł ją odwiedzić przed wyjazdem. Przyniósł bukiet białych chryzantem i butelkę wina. Tony był szczupłym, cichym blondynem. Pomimo świetnej pozycji w biznesie muzycznym cechowała go wyjątkowa skromność. Monty była jeszcze bardziej zaskoczona, gdy Tony powiedział:

— Nie myśl, że nie widzimy, co Sig z tobą wyprawia, Monty. On próbuje cię przerobić na jakiś punkowy symbol seksu, a to wcale nie jest w twoim stylu. Zawsze podobały mi się twoje piosenki, bo płyną ze środka, są szczerze i pełne uczucia. Jesteś bardzo zdolna. Twoje kompozycje są dojrzałe i nie

umywa się do nich ta tandeta pod tytułem „Szybko zrobić forszę”. Stas i Winston też tak sądzą, rozmawialiśmy o tobie. Masz rację, że te dzieciaki w klubach to nie twoja publiczność.

Monty popatrzyła na niego niepewnie. Mimo że pochlebiały jej jego słowa, budziły też niepokój.

— Sama nie wiem. Sig świetnie się zna na marketingu i tak dalej. Nie wiem już sama, jak jest naprawdę.

— Za to ja wiem. — Tony napełnił kieliszki. — Dwanaście lat grałem z najlepszymi i wolę ci akompaniować, nawet gdy jesteś naćpana, niż grać z jakąś porozbieraną cizią, czy większością facetów. Dobrze więc się zastanów. Na twoim miejscu wycofałbym się z tego albumu i przykleiłbym sobie inną etykietkę, by móc załatwić nowy kontrakt. Idź do producenta, który ceni naprawdę dobrą muzykę, do tego, co trzeba.

Rada była dobra, ale Monty nie była w stanie z niej skorzystać. Czuła się bezwolna jak wrak unoszony prądem zdarzeń. Skończyły się pieniądze, więc usiłowała wydębić coś od Cathy, biorąc ją na litość, ale siostra z za-

TLR

kłopotaniem pokręciła głową.

— To nieodpowiednia chwila, Monty. Czeka mnie parę strasznych miesięcy. Będziesz musiała przez jakiś czas wymigiwać się od płacenia rachunków. Chciałabym ci pomóc, ale sama jestem w potrzasku.

Monty była tak zaabsorbowana gwałtowną potrzebą zdobycia pieniędzy na narkotyki, że jej uwagi uszedł niezwykle, prawie nawiedzony wyraz oczu siostry, a także to, że pije więcej whisky niż zazwyczaj. Wychylała szklanekę z desperacją nie pasującą do charakteryzującego ją opanowania.

Trzeba było zapłacić komorne i rachunek telefoniczny.

— Łatwo jest zdobyć forszę, trzeba tylko wiedzieć jak — zapewniła Cindy. — Popytam wśród przyjaciół.

Podniosła słuchawkę i zadzwoniła do jakiegoś Rogera, który pracował w

firmie maklerskiej. Ku zaskoczeniu Monty, skusiła go na obiad i randkę, założyła jedną ze swych ponętnych kiecek i następnego ranka zjawiała się z garścią banknotów dziesięciofuntowych.

— Z takich facetów zawsze można wyciągnąć forszę

— powiedziała. — Albo są nieco zboczeni, albo mają oziębłe żonki, pomylone na punkcie swoich dzieci. Są bogaci i z radością zapłacą za odrobinę uroku i mały dreszczyk.

W następnym tygodniu Roger zabrał Cindy do Frankfurtu, dokąd jechał w interesach. Cindy przywiozła stamtąd jeszcze więcej pieniędzy. Stwierdziła jednak, że nie zamierza kupować narkotyków Monty ani płacić jej części komornego oraz rosnących rachunków.

— Skoro ja mogę to robić, to ty też — powiedziała.

— Jesteś tak piękna, że każdy facet od razu wyciągnie książeczkę czekową. Musisz tylko zastosować parę chwytów starego voodoo, wiesz chyba, co mam na myśli?

Monty wiedziała oczywiście, że chodzi jej o wyszukaną grę polegającą na drażnieniu i oszukiwaniu, w której lady Davina ćwiczyła Cathy. Monty

stosowała ją zresztą wobec Siga w czasach, gdy łudziła się jeszcze, że to ona go wykorzystuje, a nie odwrotnie.

Żyła teraz wciąż w poczuciu samoupodlenia i po części rzeczywiście w nim tkwiła. Upokarzanie się sprawiało jej jakąś perwersyjną przyjemność.

Była to zresztą jedyna przyjemność, jaka jej pozostała. Narkotyk już tego nie dawał — ratował jedynie przed koszmarnym samopoczuciem.

— Oni lubią podwójne randki — powiedziała Cindy.

— Czują się mniej zażenowani, gdy są w towarzystwie. Nie muszą się wtedy “Wysilać na rozmowę z kobietą. Spytaam, czy Roger nie ma jakiegoś przyjaciela.

Roger był niski i chudy, miał rzadkie ciemne włosy i bardzo blade niebie-

skie oczy. Nosił uniform, który Monty pamiętała z wypraw do City, odbywanych w towarzystwie Cathy — koszulę w prążki, mocno zawiązany krawat w ukośne paski i granatowy garnitur. Jego przyjaciel był trochę grubszy, jeszcze bardziej wyblakły i podenerwowany.

Cała czwórka poszła do drogiej restauracji w Mayfair.

— Rozejrzyj się — powiedziała Cindy, gdy panowie poszli do toalety. — Wszystkie kobiety, które tu są, poza właścicielką, naciągają facetów.

Monty rozejrzała się po restauracji. Była pełna statecznie wyglądających mężczyzn. Niektórzy z nich byli sławnymi politykami i gwiazdami filmowymi. Kobiety, przeważnie nie pierwszej już młodości, były ubrane dyskretnie i gustownie, w mało ciekawe jedwabne kostiumiki. Poob— wieszane też były złotą biżuterią. Wszystkie te kobiety otaczała szczególna atmosfera obojętności i braku zainteresowania czymkolwiek.

— Roger to straszny nudziarz — zwierzyła się Cindy. — Chce robić wszystko, co wyczytał w „Harold Rob— bins”. Może zafundujemy im jakiś odjazd?

TLR

„Odjazd” polegał na tym, że poszli do hotelu na rogu. Dziewczyny zaaranżowały wyszukany, acz udawany seans miłości lesbijskiej, a mężczyźni przycupnęli na brzegu łóżka i pili wódkę. Potem Cindy kontynuowała spektakl, prezentując cały repertuar obraźliwych wrzasków i komplementów pod adresem Rogera i jego przyjaciela, którymi szafowała tak obficie, że Montyomalże nie zepsuła wszystkiego, wybuchając nagle śmiechem. Roger dał im sto pięćdziesiąt funtów w czyściutkich dziesięciofuntowych banknotach i wyglądał na usatysfakcjonowanego.

— No widzisz? — rzuciła Cindy, gdy wracały taksówką do domu. — Są całkiem zadowoleni, więc co w tym złego? Mogą teraz opowiadać swoim kumplom o dwóch namiętnych cizjach, które urządziły im świetny spektakl. Każdy z nich będzie się czuł niczym Dżyngis-chan, a my mamy na trzy dni

spokój.

Monty zastanawiała się z niepokojem, co będzie po tych trzech dniach, i odczuła ulgę, a równocześnie i przerażenie, gdy nazajutrz odezwał się telefon, a Cindy oświadczyła:

— Roger chciałby znowu się z tobą spotkać. Weszłaś do interesu, mała.

— Nie chcę tam iść, Cindy. Jak chcesz, to możesz mnie zastąpić.

— Nie bądź głupia, gdzie zarobisz sto funtów właściwie za nic? A do tego zjesz darmowy obiad.

— Czuję, że ich wykorzystuję, Cindy, czuję się też wykorzystywana. Nie podoba mi się to wszystko.

— Ale w tym właśnie cała rzecz, kotku. Uprawianie seksu bez wykorzystywania kogoś to jak jedzenie bez żucia.

— Daj spokój, Cindy. A jeśli jest to ktoś, kogo kochasz?

— Miłość? A cóż to takiego? — spytała Cindy z lekkim obrzydzeniem, TLR

jakby ujrzała karalucha. — Czym jest miłość poza tym, że ludzie zaspokajają swoje potrzeby? Jesteś beznadziejną, starą hippiską, Monty.

— Dobra, jestem hippiską. Niech, ci będzie. Miłość i pokój. Pochowaj mnie w moim farbowanym w kółka podkoszulku. A i tak nie mam ochoty pieprzyć się z Rogerem czy kimś takim dla forsy. Na samą myśl chce mi się rzygać. Powiedz mu, że jestem chora czy coś w tym rodzaju.

Monty zdecydowała w duchu, że czas wyrwać się z tej niebezpiecznej sytuacji. Postanowiła, że przestanie ćpać, najwyżej trochę w czasie weekendów, i poszuka pracy. Firma Jaskółki Lamotte ciągle prosperowała — może będzie mogła tam wrócić. Jednak po odstawieniu narkotyku była osłabiona, zmęczona i rozdygotana. Miała też mdłości, szczypały ją dżiąsła i piekły oczy.

Położyła się do łóżka z kubkiem osłodzonej herbaty i próbowała oglądać telewizję, by zapomnieć o tym, że skręca się z chęci dania sobie w żyłę.

Nagle ktoś zadzwonił do drzwi. Cindy wyszła, ale na pewno wzięła klu-

cze. A może to ktoś z elektrowni?

Może chcą wyłączyć prąd? Po chwili usłyszała walenie w drzwi.

— Monty! Wiem, że tam jesteś, słyszysz telewizję! Otwieraj — wołał Sig głosem pełnym wściekłości. Żołądek Monty skurczył się ze strachu.

Nie może tu wejść — powiedziała sobie w duchu.

— Drzwi są mocne, nie wyłamie ich.

Sig wrzeszczał, tym razem na ulicy.

— Dopadnę cię, ty szmato! Nie zapominaj, że mam u ciebie dług. Odbiorę, co moje, choćby cię to miało, kurwa, zabić. — Zaczął rzucać kamieniami, ale nie mógł trafić do ich okna. Monty usłyszała odgłos tłuczonego szkła dobiegający z niższego piętra.

Wreszcie sobie poszedł. Monty ociekała potem, a serce łomotało jej z przerażenia. Gdy Cindy wróciła, Monty zaczęła ją błagać o trochę heroiny, ale

TLR

ta odparła, że da jej dopiero wtedy, gdy zadzwoni do Rogera i umówi się z nim na randkę. W końcu Monty stwierdziła, że pójdzie z Rogerem do łóżka nie może być gorsze od robienia tego samego z Sigiem.

Okazało się, że miała rację. Rogera łatwo było zaspokoić, bez żadnych perwersji i w dwie minuty. Najtrudniej było śmiać się z jego dowcipów.

— Hurra! — ucieszyła się Cindy kilka dni później.

— Roger chce cię zabrać do Paryża. Jesteś naprawdę świetna.

Monty pomyślała z żalem, że powinna być świetna w innej dziedzinie.

Cindy pożyczyła jej szyfonową sukienkę — Monty była teraz na tyle szczupła, że mogła swobodnie nosić ubrania swojej koleżanki. Pożyczyła też skromną spódnicę i sweterek.

— Nie sprawdzą cię na granicy, gdy będziesz porządnie ubrana — orzekła Cindy. — Uwieś się na ramieniu Rogera i uśmiechaj się słodko.

Wzięła estetyczną puderniczkę w stylu Art Deco i dokładnie ją wymyła.

Następnie wsypała do środka heroinę, która była na tyle zbita, że łatwo było

przycisnąć ją krążkiem z drobnej siateczki. Potem z celofanu po opakowaniu z papierosów wycięła kóleczo i położyła go na krążek. Wreszcie zanurzyła puszek z zielonego strusiego pióra w sypki puder i położyła go na wierzchu. — Jak otworzysz, zdmuchnij puder — powiedziała. — Jest taki miękki, że z łatwością zleci, a towar pod spodem będzie nienaruszony. — Zatrzasnęła emaliowane wieczko puderniczki. — Nawet jeśli cię przeszukają, w co wątpię, wyleci tyle pudru, jak otworzysz pudełko, że nie będzie im się chciało sprawdzać dalej. Strzykawki kupisz sobie w aptece.

Monty, czekając na lotnisku na odprawę celną, miała nadzieję, że nie spotka żadnych znajomych. Zresztą nikt by jej nie rozpoznał w konwencjonalnym makijażu i z włosami ułożonymi z pomocą żelu w łagodne loki, w skromnej beżowej spódnicy i sweterku z angorki.

— Hej, Roger, świetnie wyglądasz! — zawołała. — Tak bardzo chcę zobaczyć

Paryż, jesteś kochany, że mnie tam zabierasz — ciągnęła wylewnym tonem, żałując, że ta bezsensowna paplanina nie przychodzi jej tak łatwo jak Cindy. — Nie mogę się doczekać, kiedy znajdziemy się w hotelu — wydysza-

ła mu do ucha, przyciskając swoje udo do jego, gdy zajęli miejsca w samolocie.

— Po co czekać? — spytał. — Nie zapisałaś się jeszcze do klubu na wyśokościach? — dodał, gdy zapinali pasy.

— Ty figlarzu! — Zachichotała, starając się zapomnieć, jak kiedyś, siedząc z Rickiem w fotelach poczekalni dla specjalnych gości, wyłuskiwali z ciżby ludzkiej pasażerów, którzy, ich zdaniem, byli na tyle banalni, że mogli uznać Pieprzenie się w samolotowej toalecie za bardzo pod—niecające. Nie wolno mi dopuszczać do głowy wszystkiego — pomyślała, śpiesznym krokiem idąc pomiędzy rzędami foteli do łazienki. — Czasy latania prywatnymi samolotami pod czyimś opiekuńczym skrzydłem skończyły się na zawsze. Rick naprawdę mnie kochał, ale nie mógł sobie pozwolić na okazy-



wanie tego.

Roger przecisnął się przez składane drzwi, rozpinając suwak i ciężko dysząc. Cindy poradziła, żeby nie zakładać majtek, więc Monty podkasła spódnice, oparła nogę o małą umywalkę, odrzuciła głowę do tyłu i jęczała: — Och, kochanie, kochanie, o Boże, jak cudownie, Roger, kochanie. — Aż wreszcie miał dość.

Seks stał się dla niej bardzo uciążliwy. Jak przewidział Sig, wciąż miała obstrukcję. Czuła się tak, jakby wiano jej cement do kiszki, co jeszcze bardziej hamowało jej apetyt.

W Paryżu pilnowała się bardzo, by nie powiedzieć ani słowa po francusku, by Roger nie poczuł się speszony, że w przeciwieństwie do niego, wymienicie zna ten język. Z trudem powstrzymała się od interwencji, gdy tak fatalnie wymówił nazwę hotelu, że taksówkarz zawiózł ich w zupełnie inną część miasta.

TLR

Na szczęście cały następny dzień Roger miał wypełniony spotkaniami służbowymi, więc Monty wzięła długą kąpiel, po czym wyszła, by powłóczyć się bez celu. Czuła się tak wyobcowana z rzeczywistości, jakby ogarnął ją jakiś paraliż umysłowy. Widziała, że miasto, bezlistne i pogrążone w zimowym śnie, jest piękne, ale piękno to nie było w stanie jej poruszyć. Była to kolejna rzecz bez znaczenia.

Monty szóstym zmysłem narkomanki rozpoznawała innych narkomanów. Wyśledziła dwie dziewczyny przy stacji metra St. Michel, które wymieniały ze sobą papierowe zawiniątko na pieniądze. Gdy się rozdzieliły, jedna z nich zniknęła pod zielonym krzyżykiem oznaczającym aptekę. Monty odczekała godzinę, po czym weszła do apteki i kupiła strzykawkę. Zanim Roger wrócił, była gotowa i dała wspaniały pokaz zainteresowania, gdy opowiadał jej, co za palanci z tych jego francuskich klientów.

Chociaż dzięki narkotykowi jej umysł był odizolowany od rzeczywisto-

ści, wykańczało ją to, że musi być wciąż czarująca i chętna. Zaczęła rozumieć, dlaczego *call girls* zawsze otacza atmosfera jakiejś szczególnej apatii. Takie właśnie były kobiety siedzące w restauracji, gdzie udali się z Rogerem na kolację. Nie były też agresywnie szykowne, jak typowe francuskie elegantki. Po cóż miały się wysilać?

— Co ci jest? — spytał Roger poirytowanym tonem. — Martwisz się czymś? — Przypuszcza, że chce go naciągnąć na więcej forsy — pomyślała Monty. Cindy wyjaśniła jej, że kiedy się chce wykorzystać faceta na randce, trzeba posmutnieć, potem powiedzieć mu, że nie ma się pieniędzy na przykład

na zapłacenie rachunku telefonicznego, a potem okazać zachwyt i wdzięczność, gdy gość zaproponuje, że się tym zajmie.

— Nic mi nie jest, kochanie. — Próbowała się uśmiechnąć uwodzicielsko.

— Wiesz, kto to jest? — spytał wskazując wyelegantowanego bruneta o grubych rysach, któremu towarzyszyła blondynka o arystokratycznym wyglą-  
TLR

dzie, w sukni z brzoskwiniowego jedwabiu.

— Czy to jakiś bankier?

— Jakiś bankier. Rozkoszna jesteś. Kochanie, to Umberto Ecole. Jest zamieszany w największy skandal korupcyjny w Europie, jaki miał miejsce w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Gdyby wrócił do Włoch, wpakowaliby go do więzienia natychmiast po opuszczeniu samolotu.

— O Boże. A co to za dziewczyna?

— A któż to wie? Przypuszczam, że jakaś kurwa madame Bernard.

— A więc ona naprawdę istnieje, ta madame Bernard? Najsłynniejsza madame na świecie? — spytała Monty, a w jej przygasłych oczach pojawił się błysk zainteresowania.

— Oczywiście. Naturalnie nie miałem z nią nic wspólnego. — Jedną z najbardziej irytujących słabostek Rogera było udawanie, że należy do męż-

czynn, którzy nie muszą płacić za seks. Po prostu są tylko hojni dla swych kochanek. — Znam jednak paru facetów, którzy bywali na jej przyjętkach i podobno były to niezapomniane chwile.

Monty przyglądała się parze spod oka. Paplali ze sobą jak kochające się małżeństwo. Spojrzała na Rogera, na jego podbródek otłuszczony masłem ściekającym ze szparagów, jego oczy, w których malowało się samozadowolenie. A ona była tu po to, żeby miał jeszcze lepsze mniemanie o sobie.

Skoro już mam to robić, to pójdę na całość — zdecydowała. — Jeśli mam być traktowana protekcyjnie, to przez jakieś większe gównno niż Roger, a jeśli mam sprzedawać swoje ciało, to za najwyższą stawkę, a nie za tyle, by starczyło na kolejne dwie działki po pięćdziesiąt funtów.

Otrząsnęła się z depresji i skupiła całą uwagę na Rogerze, doprowadzając go do stanu radosnego oczekiwania na zbliżające się rozkosze. Potem, gdy blondynka siedząca przy stoliku z Umbertem Ecolem, wyszła do toalety, podążyła za nią. Nie było czasu na dyplomację.

TLR

— Czy jesteś jedną z dziewcząt madame Bernard? — spytała Monty obcesowo. Kobieta wyglądała na zaskoczoną, lecz uśmiechnęła się.

— Chcesz po powrocie do domu pochwalić się, że widziałas na własne oczy prawdziwą call girl? — spytała z rozbawieniem.

— Nie — odparła Monty z całym spokojem, na jaki było ją stać. — Chcę zostać prawdziwą call girl. — Pogardliwym gestem skinęła w stronę drzwi, wyrażając w ten sposób opinię o Rogerze. — Myślę, że jak się już coś robi, trzeba robić dobrze.

— Zostajesz w Paryżu? — spytała kobieta, usuwając precyzyjnie odrobioną szminki z kącika ust.

Monty podała jej nazwę hotelu, swoje nazwisko i nazwisko, na które zabukowany był pokój. Potem zebrała się w sobie i wróciła do Rogera.

Nazajutrz nie ruszyła się z pokoju i o dwunastej zadzwonił telefon.

Spotkały się w Le Drugstore na Champs Elysees \_\_ blondynka, Monty i starsza kobieta, która ważyła chyba ze dwieście pięćdziesiąt funtów. Na jej tłustych palcach tkwiły szerokie, złote pierścionki. Miała na imię Veronique. Poprosiły Monty, by pokazała paszport, a potem prowadziły niezobowiązującą pogawędkę na temat życia i rodziny Monty, jej chłopaków i zainteresowań. Monty bez wysiłku sfabrykowała na poczekaniu większość informacji.

— Pokaż mi rękę — powiedziała Veronique, sięgając po nią matczynym gestem. — O tak, wspaniała, długa linia życia. A teraz pokaż, proszę, drugą.

— Udając, że ogląda wnętrze dłoni, Veronique odwinęła rękawy Monty i sprawdziła, czy nie ma śladów po igle. Dzięki radom Cindy, nic nie znalazła. Po upływie godziny spojrzała przenikliwym wzrokiem na Monty i powiedziała:

— Zdajesz chyba sobie sprawę, że ta praca jest strasznie nudna? Będziesz dobra, jeśli przede wszystkim zadbasz o schludny wygląd i punktualność. W TLR

tym interesie nie lubimy Cyganek, na których nie można polegać.

Monty z ulgą skinęła głową i pomyślała, że jej się udało.

— Naturalnie musimy cię sprawdzić. Jak długo będziesz uchwytna w tym hotelu?

— Mamy jutro wyjechać.

— Poproś go więc o należne ci pieniądze i zostań tam jeszcze kilka dni.

Następnego dnia, w południe, Veronique znowu zadzwoniła i podała Monty adres w ekskluzywnej dzielnicy Marais.

— Możesz zostać w tym mieszkaniu, aż się urządzisz

— Powiedziała. — A dzisiaj po południu pójdziemy na zakupy.

Mieszkanie mieściło się w wysokim, w połowie drewnianym budynku ze stromym dachem. Zbudowano go w siedemnastym wieku na zapleczu cichej uliczki. Na parterze był dyskretny sklepik z biżuterią, którego witryny do połowy były zaklejone znakami kart kredytowych. Mieszkanie znajdowało się

na dwóch górnych piętrach. Było tam wiele białych obszernych pokoi, pełnych szkła i pozłoty. A może to złoty plater? — zastanawiała się Monty, kładąc nie używane strzykawki na wykładanej lustrami szafce. Postanowiła uczcić swój nowy sukces i dać sobie w żyłę, tylko trochę, by uspokoić skołatane nerwy.

Veronique zadzwoniła pół godziny później i zabrała ją do butików Yves St. Laurenta, gdzie otworzyła rachunek na nazwisko Monty. Na jej prośbę managerka wynosiła kolejno suknie, garsonki, płaszcze i nieskończoną ilość dodatków. Veronique wymieniała z pamięci stroje z aktualnej kolekcji i nie raczyła nawet spojrzeć na ubrania.

Monty zasugerowała czarującą purpurową suknię w cygańskim stylu z koronkowym stanikiem. Veronique pokręciła głową.

— Yves projektuje garderobę dla dwóch typów kobiet, dla „porządnych” i „nieporządnych”. — Zachichotała. — Ale przekonasz się, że te „nieporządne” ubierają się w stonowane stroje, a te „porządne” noszą się jak kurwy. Myślę, że on to robi specjalnie, bawi go to.

— Jaka ona jest, ta madame Bernard? — spytała Monty, gdy taksówka utknęła w korku. Przy wąskiej ulicy było mnóstwo sklepów spożywczych, a towary wystawione na chodnikach w owalnych koszach ze sklejkki tworzyły wspaniałą barwną kompozycję.

— Nikt tego nie wie. Nikt jej nie widział. — Veronique gapiła się na sterety ostrzyg ułożone na wodorostach, leżące na wyciągnięcie ręki z okna samochodu.

— Musiała pani ją spotkać — nalegała Monty. Właściciel sklepu, widząc wygłodzony wzrok grubaski i jej piękną towarzyszkę, zawołał coś do nich, otworzył nożem dwie długie bladoporóżowe muszle i podał im je przez okno taksówki.

— *Mes compliments, mademoiselles* — zawołał wesoło, gdy taksówka

odjechała parę metrów dalej.

— Nigdy. Tylko jedna kobieta na samym początku rozmawiała z nią osobiście. Pewnego dnia ta kobieta zniknęła i od tej pory *madame* Bernard rozmawia tylko przez telefon. Jakieś elektroniczne urządzenie zniekształca jej głos tak, że brzmi jak głos Myszki Miki. — Odrzuciła głowę do tyłu, odsłaniając tłusty, upudrowany podwójny podbródek i połknęła ostrygę.

Monty, która nie cierpiała ostryg, oddała jej także swoją. Była bardzo ciekawa swej nowej pracodawczyni.

— Ale chyba domyśla się pani, jaka ona jest? — upierała się. — Skoro tak długo pani dla niej pracuje, na pewno ma pani o niej jakieś wyobrażenie.

— Pewnie. — Yeronique pochłonęła drugą ostrygę.

— Świetnie zna się na ludziach. Zawsze potrafi przewidzieć, jak ktoś się zachowa. Ona jest bezlitosna i nigdy nie wybacza zdrady. Czasami, gdy muszę przekazać jej jakieś złe wiadomości na czyjś temat, po prostu cała się trzę-

TLR

sę, bo wiem, że jej reakcja będzie bardzo ostra i zdarzy się coś okropnego. — Spojrzała na Monty znacząco, upewniając się, czy jej aluzja została zrozumiana.

Próbuje mnie przestraszyć — pomyślała Monty.

— W takim interesie jak ten trzeba być twardym — powiedziała.

— Naturalnie, ale jest pewna różnica pomiędzy twardością a okrucieństwem, *nest-ce pas?* Myślę, że to bardzo dziwne, bo kobiety z taką intuicją są zazwyczaj kruche i delikatne. A *madame* Bernard jest twarda i bezwzględna. Czasami wręcz sadystyczna.

Veronique wzruszyła ramionami, które opinała beżowa angora sweterka, a długi, skręcony sznur pereł, wiszący na jej obfitym biuście poruszył się, gdy ciężko westchnęła.

Nazajutrz Monty wpadła w panikę. Sprawność, z jaką została przeprowadzona cała operacja, onieśmieliła ją. To, co wydawało się jej fajną przygodą,

teraz wyglądało na ostateczny krok ku samounicestwieniu się.

Co ja robię ze sobą — zastanawiała się. — Nie dość, że się narkotyzuję, to jeszcze chcę zostać prostytutką. Trzeba się z tego wycofać, zanim będzie za późno.

Nie wątpiła, że Veronique ją zrozumie. Tymczasem, gdy oświadczyła, że zmieniała zdanie, spotkała się z gwałtowną reakcją.

— *Madame* Bernard nie robi się takich numerów, panienko. Tyle mieliśmy z tobą zawracania głowy! Ty niewdzięczna szmato!

— Oczywiście zwrócę całą garderobę.

— To niemożliwe! Nie przyjmą jej z powrotem! Musisz za nią zapłacić.

— Ale ja jej nie chcę. Oczywiście, że przyjmą, nawet jeszcze nie rozpakowałam wszystkiego. Wielokrotnie wymieniałam suknie u St. Laurenta i nigdy nie stwarzano mi żadnych problemów — powiedziała Monty ze złością.

W czasach, gdy była z Rickiem, przyzwyczała się traktować butik St. Laurenta

TLR jak zwykle sklepy. Obsługa zawsze była dla niej bardzo uprzejma, nawet jak wiele razy zmieniała zdanie. — Próbuje mnie pani po prostu nabrać. Trzęsąc się ze złości, targana złymi przeczuciami, że pograżyła się na dobre, Monty zapakowała ubrania w błyszczące czerwono-fioletowe pudła i zaniósła je z powrotem do butiku. Managerka była wprawdzie bardzo czarująca, ale stwierdziła z żalem, że niczego nie może przyjąć z powrotem.

— Gdy kiedyś kupowałam u was, nie obowiązywała ta zasada — stwierdziła wyzywającym tonem Monty, łudzac się, że kobieta ją rozpozna.

— Ta zasada dotyczy przyjaciółek *mademoiselle* Veronique — odparła managerka z naciskiem. Wyjęła z szuflady rachunek opiewający na wiele tysięcy franków i wyraziła nadzieję, że Monty szybko go ureguluje.

— Przyjaciółki *mademoiselle* Veronique zawsze płaciły szybko — dodała.

Monty postanowiła zostawić rzeczy i pojechać taksówką na lotnisko.



Otworzyła torebkę i upewniła się, że ma w portfelu bilet, który kupił jej Roger.

— To głupie — powiedziała kobieta zniżonym głosem, kładąc jej rękę na ramieniu. — Nie pozwolą ci uciec. Skończysz w Sekwanie jako kolejna „samobójczyni”. Paryż to niebezpieczne miejsce dla młodej kobiety, a z tymi ludźmi nie ma żartów, rozumiesz? — Monty przypomniała sobie nagle, że Veronique nie oddała jej paszportu, i w ponurym nastroju wróciła do mieszkania.

— Czy sądziłaś, że cię okłamuję? — spytała Veronique, krzyżując ręce na piersi. — Przecież nas nabrałaś. Myślałaś, że zabawisz się udając rozpustnicę? Chciałaś się przekonać, czy jesteś wystarczająco ładna, by zostać pierwszorzędną dziwką? Myślisz, że od razu cię nie przejrzałam? Myślisz, że nie wiem, jak wygląda ćpunka? Jesteście takie głupie... Rzygać mi się chce na wasz widok.

TLR

— Nie jestem żadną ćpunką — powiedziała Monty z godnością. Ściemniało się właśnie, więc urządziła pokaz, zapalając lampy stojące na stolikach. Z niezwykłą szybkością jak na otyłą kobietę, Veronique chwyciła czarną skórzaną torebkę Monty i wysypała jej zawartość na niski szklany stolik. Jej pulchna dłoń chwyciła emaliowaną niebieską puderniczkę. Veronique otworzyła ją ostrożnie, wiedząc, co jest w środku. Uniosła w górę puszek, ujmując go w dwa palce, zdjęła celofan i krążek z siateczki, po czym podetknęła pod nos Monty do połowy opróżniony pojemnik z heroiną.

— A to co niby jest? Słodzik do herbaty? Niewiele, zostało, co? Co miałaś zamiar zrobić, gdy ci się skończy?

— To nieważne. Wcale nie muszę tego brać. Od czasu do czasu próbuję trochę dla rozrywki — powiedziała Monty, zastanawiając się z przerażeniem, skąd grubaska wiedziała, gdzie ma szukać? Zastanawiała się gorączkowo, jak wymknąć się z pułapki, w którą tak głupio wpadła, ale w głowie miała pustkę.

Wtem rozległ się głośny dzwonek udającego antyk telefonu ze złotymi ozdóbkami, a Monty aż podskoczyła z przerażenia, zastanawiając się, ktoś mógłby znać miejsce jej pobytu. Veronique podeszła do telefonu rozkołysanym krokiem, a gdy go odebrała, Monty zdawało się, że jej wielkie cielsko kurczy się na dźwięk głosu w słuchawce. Jej czułe ucho złowiło nosowy dźwięk dobiegający ze słuchawki. Pomyślała, że to na pewno *madame* Bernard i skrzyżowała ramiona, by powstrzymać się od drżenia, jakie wstrząsnęło jej ciałem.

Veronique odłożyła słuchawkę i odwróciła się do Monty. Mimo grubej warstwy pudru widać było, że zbladła, a jej skóra miała niemal zielonkawy kolor. Najwyraźniej była bardzo wystraszona.

— Ktoś przyjdzie tu do ciebie — oświadczyła, szybko zbierając swój płaszcz, rękawiczki i torebkę. — Masz tu zaczekać sama. Daj mi klucze do mieszkania.

TLR

Grubaska wyłączyła telefon i wyszła, przyciskając aparat telefoniczny do piersi. Monty usłyszała jeszcze, że przekręca klucze w obu zamkach. Od razu rzuciła się do okien w nadziei, że można się przez nie jakoś wydostać na dach albo na schody przeciwpożarowe, ale okna były zapieczętowane.

Okno kuchenne wychodziło na kryty ołowianą blachą występ, który miał około czterech stóp szerokości i choć było prawie ciemno, Monty widziała za nim typowy paryski krajobraz nierównych dachów i parapetów, po których z łatwością mogłaby się wspinać. Postanowiła wybić szybę i uciec. Mogłaby się

dostać do ambasady brytyjskiej, gdzie byłaby bezpieczna i skąd mogłaby za-telefonować do Cathy, żeby po nią przyjechała.

Gdy wróciła biegiem do kuchni, trzymając w ręku obity aksamitem stołek o połączonych nóżkach, który znalazła w sypialni, w mieszkaniu zgasło nagle światło. Monty odłożyła stołek i z desperacją przyciskała kontakty, ale bez

skutku.

W głębokim mroku ujrzała, że otwierają się drzwi od wysokiego kredensu kuchennego i wchodzi przez nie niska, na czarno ubrana kobieta. Miała na sobie kostium, krótkie futerko z ciemnej norki i mały kapelusz z okrągłym rondem oraz gęstą woalkę, która maskowała jej twarz.

Szybkim jak u jaszczurki ruchem kobieta zamknęła za sobą drzwi. Monty dostrzegła tylko, że za grubymi drewnianymi drzwiami znajdują się kuchenne schody, i miała wrażenie, że stoi tam co najmniej jedna osoba.

— Kim pani jest? — spytała agresywnym tonem przerażona Monty.

— To nieważne — odparła kobieta. — Chcę porozmawiać o tym, kim ty jesteś. — Mówiła po angielsku z dziwnym akcentem, który nadawał jej głosowi metaliczną barwę.

Niska, ciemna postać weszła powoli do pokoju. Była szczupła, lecz krągła, a pod woalką Monty dostrzegła twarz w kształcie serca, o wystających kościach policzkowych i nieco spłaszczonym kocim nosie. Trudno było określić jej wiek — mogła mieć równie dobrze dwadzieścia pięć jak i pięćdziesiąt lat.

TLR

— Nie macie prawa mnie tu trzymać — ciągnęła Monty, cofając się automatycznie przed zbliżającą się kobietą. — Chcę dostać mój paszport i wrócić do domu.

Kobieta szybkim, płynnym ruchem otworzyła torebkę z czarnej krokodylej skóry i podała Monty paszport ręką obciążoną w czarną rękawiczkę.

— Będziesz mogła opuścić to miejsce, gdy skończymy naszą rozmowę

— powiedziała, gestem ręki zapraszając Monty do salonu. Usiadły na białych fotelach. Monty czuła na sobie przenikliwy wzrok kobiety, która badawczo jej się przyglądała. Wpatrywała się w twarz nieznajomej ukrytą za woalką i czuła się coraz bardziej onieśmielona.

— Kim pani jest? *Madame Bernard*? — spytała.

— *Madame Bernard* nie istnieje.

— Nie mówiłaby pani tak, gdyby pani nie wiedziała, kim ona jest.

Na perfekcyjnie umalowanych cyklamenoworóżowych ustach pojawił się na chwilę uśmiech, przypominający blask zimowego słońca.

— W twoim paszporcie podajesz się za piosenkarkę. Dlaczego chcesz zostać prostytutką? — Pytanie było rzucone obojętnie, trzeźwym tonem, takim, jaki Monty zwykle słyszała u Cathy negocjującej jakąś trudną kwestię.

— Nie chcę być prostytutką, zmieniłam zdanie. Tak czy owak nie różniłoby się to zbyt od tego, co robiłam dotychczas.

Ku zaskoczeniu Monty, nieznajoma wyjęła z torebki malachitowe pudełeczko i poczęstowała ją papierosem. Z trudem zapaliła leżącą na stoliku zapalniczkę.

— Czy wiesz, co się z tobą stanie, jeśli będziesz prowadziła takie życie?

Pozwól, że ci powiem. — Papieros żarzył się w palcach obciążonych zamszą rękawiczką.

— Nie można sprzedawać miłości, nie można też jej kupić. TLR

To nie jest towar na sprzedaż. Gdy kochasz, oddajesz siebie. Gdy sprzedajesz się za pieniądze, za poczucie bezpieczeństwa, za pozycję społeczną czy

cokolwiek innego, wkrótce staniesz się niezdolna do miłości.

— Wszystko warto oddać za spokojne życie. — Monty zaśmiała się z przymusem.

Kobieta zastygła nagle, jak jaszczurka na kamieniu.

Monty wyczuła, że jest wściekła.

— Jeśli nie potrafisz kochać, to jest tak, jakbyś była martwa za życia.

— Pieprzenie się i tak nie ma nic wspólnego z miłością — stwierdziła

Monty, zmieszana intensywnym napięciem emocjonalnym. Nieznajoma nic nie odpowiedziała, a słowa zawisły w ciszy i drwiły z Monty swą prawdziwością.

— Czy aż tak bardzo potrzebujesz pieniędzy, że zdecydowałaś się na ten

krok? Myślę, że masz talent. Przecież robisz karierę, prawda?

— Nie. Tak. To znaczy... Po prostu nie mogłam dłużej wytrzymać.

Wszyscy chcieli, żebym robiła coś, czego nie mogłam robić. Albo chcieli, żebym była kimś innym, niż jestem i... — Monty poczuła nagle potrzebę mówienia. Zaczęła wyrzucać z siebie cały lęk, ból i mękę ostatniego roku. Kobieta siedziała nieruchomo jak posąg, od czasu do czasu zadając krótkie pytania swym dziwnym, opanowanym głosem.

— A więc narkotyki pozwoliły ci zapomnieć, jak trudne jest życie? —

spytała wreszcie. Monty skinęła głową. — A co z przeszłością? Czy kiedyś też było ci tak ciężko?

— Czasami, ale to było zupełnie coś innego. Dlaczego pani pyta?

— Bo chcę wiedzieć. Mów dalej, proszę. Opowiedz mi wszystko.

Monty czuła się zahipnotyzowana przez tę nieznajomą o niesamowicie silnej osobowości. Mówiła więc dalej — o swoich piosenkach, Ricku i The TLR

Juice, o Simonie, o ojcu. Gdy opowiadała o usunięciu ciąży, poczuła, że łzy ściekają jej po policzkach, i otarła je brzegiem rękawa.

Wreszcie umilkła. Czuła się obnażona, wyzuta ze wszystkiego, pusta i słaba. W mieszkaniu zapadła zupełna ciemność.

— Dlaczego nie przestajesz się narkotyzować? — spytała kobieta niezobowiązującym tonem.

— Z łatwością mogę to zrobić — odparła Monty, wierząc, że to prawda.

— Dlaczego więc tego nie zrobisz? Marnujesz sobie życie.

— Wcale nie.

— Myślę, że jednak marnujesz, moja droga.

— Pani nic nie rozumie.

— Rozumiem więcej, niż myślisz. Mam nadzieję, że nigdy nie będziesz musiała rozumieć rzeczy, o których ja wiem. — Jej głos stał się nagle miękki jak jedwab.

— Pozwól, że ci coś zaproponuję. Znam pewne miejsce w Kalifornii, gdzie mogę wysłać cię na kurację. Jeśli zechcesz, pomogą ci wyjść z nałogu.

Monty gwałtownie potrząsnęła głową.

— Nie potrzebuję tego. To zupełnie bez sensu. Dlaczego miałaby pani to dla mnie robić? Przecież kosztowałyby to krocie.

— Powiedzmy, że zarobiłam dużo pieniędzy i mogę je wydawać, jak mi się podoba — odparła nieznajoma z nutką rozbawienia w głosie.

— Nie zamierzam być obiektem pani miłosierdzia.

— W Monty kotłowały się emocje. Była bardzo zmęczona i wystraszona. Czuła, że nie jest w stanie oprzeć się żelaznej woli tej kobiety.

Drobna figurka podniosła się, podeszła do drzwi i otworzyła je.

TLR

— Nie masz żadnej innej alternatywy — orzekła otwierając na oścież drzwi i wpuszczając stłumione światło płynące z hallu. — Możesz tylko wyjść stąd, ale nie zajdziesz dalej niż na koniec ulicy. Tyle zdarza się tu wypadków...

Opór Monty stopniał prawie całkowicie.

— Ale ja nic z tego nie rozumiem — zaprotestowała słabym głosem. — Dlaczego pani to robi? Co ja dla pani znaczę?

— Może dowiesz się tego pewnego dnia.

Nieznajoma zniknęła równie szybko, jak się pojawiła.

Monty usłyszała jej pośpieszne, lekkie kroki na schodach. Po chwili w mieszkaniu zapaliło się światło, więc zamrugała oczami.

Wylękniona i przygnębiona usiadła na fotelu. Zaraz po tym usłyszała ciężkie stąpanie na schodach i zjawiała się Veronique z małą walizką.

— Wstawaj — powiedziała surowym tonem. — Pakuj się, nie możemy spóźnić się na samolot.

Trudno uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę — myślała Monty.

Veronique wyprowadziła ją z mieszkania, zawiozła na lotnisko, ulokowała w

pierwszej klasie samolotu Tri-Star.

Przyniesiono im szampana, Monty wypła dużo i wreszcie usnęła.

Pogrążone w oparach mgły Los Angeles wyglądało jak sceneria z jakiegoś snu. Monty była bierna i ubezwłasnowolniona. Po rozmowie z nieznaną wpadła w zamęt emocjonalny. Doszła do przekonania, że musiała to być *madame* Bernard. W ciągu długiego, nudnego i męczącego lotu dziwny, metaliczny głos, zadający pytania, których Monty unikała tak długo, wciąż dzwijał w jej głowie.

Na lotnisku czekała na nie klimatyzowana limuzyna. Jej wnętrze wypełniał przyjemny chłód. Po kilku godzinach jazdy przybyły do obszernej, otoczonej białymi kolumnami rezydencji, okolonej zewsząd zielonym trawnikiem. W popołudniowym słońcu królewskie palmy rzucały długie cienie.

TLR

Veronique siedziała obok Monty jak czujna ropucha, podczas gdy młody mężczyzna o sumiastych wąsach zadawał jej wiele pytań.

— Kiedy ostatnio piła pani alkohol? — spytał.

— Piłam szampana w samolocie.

— Czy jest pani w stanie określić ile? Wiem, że to trudne.

— Myślę, że mniej więcej butelkę. — Monty siąkała nosem, czuła się znużona i wyalienowana z życia.

— Jest pani uzależniona od heroiny, prawda?

— No cóż, biorę ją od czasu do czasu. — Nie podobał jej się rutynowy ton pytań, tak jakby była jakąś zwyczajną ćpunką.

— Kiedy brała pani ostatni raz?

— O Boże... — Próbowała sobie przypomnieć, uwzględniając różnicę czasu, i nagle zdała sobie sprawę, jak kiepsko się czuje.

— Przedwczoraj. Chce pan wiedzieć, jak dużą dawkę? — Skinął głową.

— Nie jestem pewna — skłamała — nie zwracam na to uwagi.

Miała dzielić pokój z Veronique. Skierowano je do pralni, skąd wzięły

pościel. Potem pozwolono Monty zadzwonić do siostry i poinformować ją, gdzie się znajduje.

Monty z ciekawością przyglądała się innym ludziom przebywającym w zakładzie.

A więc tak wyglądają alkoholicy i narkomani — myślała. Byli bardzo różni: młodzi i starzy, niektórzy najwyraźniej bardzo bogaci. Jedna z kobiet, wysoka o jasnych włosach zaczesanych do tyłu i zniszczonej twarzy, wydała jej się znajoma.

Nazajutrz Monty wzięła udział w pierwszej terapii grupowej. Zrobiono jej zastrzyk, by powstrzymać bolesne skurcze, ale wciąż czuła się roztrzęsiona

i zbierało jej się na wymioty.

TLR

Przyjrzała się twarzom ludzi siedzących na ustawionych w kręgu tanich, plastikowych krzesłach.

— Na imię mam John, jestem alkoholiczkiem — powiedział młody kędzierzawy chłopak.

— Nazywam się Darren, jestem alkoholiczkiem i narkomanem — odezwał się tęgi mężczyzna w płóciennych spodniach i koszuli.

— Na imię mam Mary-Louise, jestem uzależniona od narkotyków — stwierdziła siedząca obok matrona w kombinezonie.

— Na imię mam Camilla. Jestem alkoholiczką i narkomanką — powiedziała jasnowłosa kobieta o wyniszczonej twarzy. Monty powstrzymała się od westchnienia, słysząc typowo angielski akcent. To była Camilla Carstairs, córka sędziego, kapitan drużyny *lacrosse*, najładniejsza i najbardziej dystyngowana dziewczyna w Benenden. Monty przypomniała sobie, że kiedyś obito jej się o uszy, że Camilla wychodzi za mąż za ambasadora, poczuła nagle, że nie ma stąd ucieczki.

Camilla patrzyła na nią z nikłym, lecz dodającym otuchy uśmiechem.

Wszyscy już się przedstawili i teraz przysła kolej na Monty.



— Mam na imię... — zawahała się przez chwilę, tyle miała tych imion — mam na imię Miranda i jestem uzależniona od narkotyków — wykrztusiła wreszcie.

TLR

23

Czy nie przyszło ci do głowy, że jesteśmy poniekąd ucieleśnieniem rewolucyjnych przemian zachodzących w społeczeństwie? — spytał Henry Rose Cathy. Stali właśnie na rogu St. Mary Axe i Leadenhall Street. Była siódma po południu i czekali na taksówkę, by pojechać na spotkanie w Trader Vic's. — Nigdy nie sądziłam, że jesteś Fidelem Castro z Finsbury Circus — żartowała Cathy.

Byli na małym rauszu, bo Henry'ego przyjęto do rady nadzorczej sekcji bankowej Migatto, co uczcili najlepszym szampanem w Black Cat.

— Dobrze wiesz, co chcę przez to powiedzieć — odparł machając na widoczną w oddali taksówkę. Po przeciwnej stronie ulicy stali dwaj starsi panowie, karykaturalni dżentelmeni z City ze złożonymi parasolami, i również przywoływali taksówkę.

— Wszystko osiągnęliśmy tylko dzięki własnym zdolnościom — ciągnął Henry. — Nie byliśmy w Eton, nie należeliśmy do właściwych klubów, nie mamy żadnych chodów.

— Ty może nie, ale nie zapominaj, że ja byłam synową szefa.

TLR

Gdy taksówka się zatrzymała, puścili się pędem w jej kierunku, by zdążyć przed tamtymi dwoma dżentelmenami. Obaj panowie zmierzili ich pełnym urazy spojrzeniem; gdy Cathy i Henry wsiadali do środka.

— Wiesz dobrze, że Shrewton nie traktował cię ulgowo. Gdybyś sama się nie przebiła, wylądowałabyś z powrotem przy maszynie do pisania. — Henry wcisnął się w kąt taksówki i zamachał wesoło do zawiedzionych rywali. Jeden

z nich zaczął groźnie wywijać parasolem. — Za dziesięć lat wszyscy będą

wyśmiewać sposób, w jaki te typki z City zajmowały się interesami. Wszystko opierało się na szkolnych kontaktach i popijawach przy obiedzie. Przybijano interesy uściskiem dłoni, a szoferzy odwozili ich do domu już o czwartej.

— Henry, zazwyczaj dobroduszny, nie potrafił tym razem powstrzymać się od złośliwości. Był kilka lat starszy od Cathy i rozkoszował się świadomością, że odnosi sukcesy kosztem ludzi, którzy uważali się za wyżej stojących na drabinie społecznej.

— Gdyby mój ojciec jeszcze żył, nigdy by w to nie uwierzył. Przez całe życie powtarzał mi, że wyżej tyłka nie podskoczę. Był właściwie taką samą skamienieliną, jak te waźniaki, których w głębi ducha nienawidził, ale pokrywał to pozorami szacunku.

Ojciec Henry'ego pracował jako krojczy w zakładzie krawieckim w Saville Row. Był przygarbionym mężczyzną o służalczym sposobie bycia. Marnie opłacany, mścił się na wszystkich, pedantycznie traktując swoje rzemiosło. Dzięki temu mógł pogardzać swymi klientami i mówić z lekceważeniem o ludziach majątnych i dobrze urodzonych, że nie potrafią odróżnić dobrze skrojonego ubrania od źle skrojonego.

Cathy i Henry minęli szybko budynek giełdy, symbol przełomowych lat siedemdziesiątych. Kilka tygodni temu pozwolono tam pracować również kobietom. Wiosenne słońce odbijało się optymistycznie na metalowych gotyckich chorągiewkach i heraldycznych symbolach, które od wieków połyskiwały nad szarymi świątyniami handlu na Square Mile. Średniowieczne dziedzińce pogrążone były w wieczornych cieniach, a setki stóp ponad nadgryzionymi zębem czasu wieżami starych kościołów, wznosiło się nowe rusztowanie wó-  
TLR

kół pierwszego drapacza chmur w City — składającego się z pięćdziesięciu dwóch pięter stali i szkła budynku, gdzie miały mieścić się biura National Westminster Bank.

Cathy poprawiła długi sznur pereł, które połyskiwały matowym blaskiem

w zagięciach różowej jedwabnej bluzki w prążki, między klapami szarego żakietu, szytego na zamówienie. Komplement Henry'ego wyraźnie jej pochlebił,

ale uważała, że niezupełnie na niego zasługuje.

— Myślę, że jednak nie wszystko jest naszą zasługą. Prawdziwe zmiany polegają na tym, że świat się kurczy, komunikacja jest coraz lepsza, a starsi panowie nie umieją się przystosować, to wszystko. Gdy słyszą, że za dziesięć lat będziemy zawierać transakcje przez okrągłą dobę, dostają palpitanji serca. Henry zaśmiał się, ukazując garnitur zadbanych zębów.

— Daj spokój, docień własny wkład, Cathy — powiedział. — Skromność też już wyszła z mody.

— Wcale nie jestem skromna, mówię, jak jest.

— Jesteś niemądra. Jak ktoś daje ci szansę, żeby trochę się poprzehwalać, nie powinnaś jej odrzucać. Nie zdobyłem tego, co mam, mówiąc, jak jest. Udało mi się, bo zawsze dbałem, by splendor spadał na mnie, bez względu na to, czy na to zasłużyłem czy też nie.

Zmiany, o których rozmawiali, były też widoczne w sali dealerskiej Giełdy Metali Migatto. Minął zaledwie rok od czasu, gdy Cathy po raz pierwszy zasiadła w kręgu, ale już dalekopis Reutera został zastąpiony przez szeroki ekran transmitujący doniesienia giełdowe, przekazywane przez świetlne zielone cyfry. Pliki papieru, które musieli studiować maklerzy, były coraz mniejsze, bo coraz więcej informacji przekazywano drogą komputerową. Klienci niczego już nie zamawiali pocztą, lecz korzystali z teleksów.

Tempo pracy w biznesie wciąż rosło, i im było większe, tym bardziej Cathy uwielbiała swoją pracę.

TLR

Giełda Metali reagowała na wszystkie zmiany gospodarki światowej.

Gdy dolar uległ dewaluacji, wybuchła wojna w Afryce lub jakaś kolejna fala strajków sparaliżowała Wielką Brytanię, ceny rosły lub gwałtownie spadały, a wielkie ilości akcji metali przechodziły z rąk do rąk. W takich dniach sala de-

alerska była istnym domem wariatów, a krąg pandemonium.

Cathy pracowała bez przerwy, podekscytowana tempem zawierania transakcji. Przez głowę przelatywały jej szeregi cyfr, ucho bolało od słuchawki telefonicznej, w gardle zasychało od bezustannego mówienia. Rzadko przerywała, by coś przełknąć lub się napić, aż wreszcie pod koniec dnia ośrodkiem giełdy stawał się Nowy Jork. Wtedy przychodził czas na alkohol, i to mocny, po czym Cathy udawała się na kolację, zazwyczaj z klientami, by podtrzymywać kontakty, sprzedawać usługi Migatto — ogólnie rzecz biorąc — urabiać towarzyską płaszczyznę biznesu. Była zachwycona, że tak świetnie

sobie radzi w nowym zawodzie, choć na początku peszyło to niektórych klientów Migatto.

Zaledwie kilka miesięcy wcześniej, gdy rzuciła pośpiesznie „Giełda Metali Migatto” do słuchawki telefonicznej podczas średnio ruchliwego popołudnia, usłyszała po drugiej stronie pełną konsternacji ciszę, a dopiero potem niewyraźne pytanie:

— Czy mógłbym rozmawiać z maklerem? — Rozpoznała klienta po jego szwajcarskim akcencie.

— Mówi pan z maklerem, *Herr Feuer*.

— Nie, ja chciałem rozmawiać z maklerem.

— *Herr Feuer*, to ja jestem maklerem. Czym mogę służyć?

Rozmówca wyłączył się. Pół minuty później zobaczyła, że Henry odchodzi od biurka stojącego na drugim końcu sali, ze złością odkładając słuchawkę. Po chwili zbliżył się na tyle, by mogła go usłyszeć i zawołał:

— Kazałem znowu połączyć z tobą Feuera. Sparaliżowało go, bo ma rozmawiać z kobietą.

TLR

— Wiem! — odkrzyknęła Cathy. — Właśnie odłożył słuchawkę.

— Pieprzony Szwajcar. Powiedziałem mu, by wskoczył w swoje *Leuderhosen* i wkroczył w dwudziesty wiek.

— Wszyscy wokół wybuchnęli śmiechem, a światełko na biurku Cathy znowu się zapaliło.

— Tak, *Herr Feuer*. Oczywiście, *Herr Feuer*. Nie ma żadnego problemu. Zaraz do pana zadzwonię. — Sprzedała jego akcje aluminium i więcej już o tym nie myślała.

Było to pół roku temu, a teraz *Herr Feuer* chciał, by zwracała się do niego *per Heinz*, i tak mu się spodobało prowadzenie interesów z kobietą, że zaprosił Cathy na kolację.

Ponieważ była swego rodzaju sławą, klienci bardzo często chcieli ją poznać osobiście. Tym razem nalegała jednak, by towarzyszył jej Henry, bo nieomylnie rozpoznała nutkę flirtu w głosie Szwajcara.

Cathy zawsze chciało się śmiać, gdy wchodziła do *Trader Vic's*. Z jakichś powodów była to ulubiona restauracja młodych giełdźarzy. Musiała przyznać, że było tu całkiem miło, a jedzenie znakomite; śmieszył ją jednak ten polinezyjski raj o bambusowych ścianach i suficie z liści palmowych, mieszczący się w suterenie *Park Lane Hilton*, kilka jardów od betonowo-asfaltowego centrum Londynu.

Heinz Feuer był o wiele młodszy, niż się spodziewała. Miał ze dwadzieścia parę lat, był wysoki i szczupły. Ciemnoblonde włosy opadały mu na zielone oczy.

— Wygląda pan o wiele przyjemniej, niż wynikałoby to z brzmienia pańskiego głosu przez telefon — powiedziała Cathy, natychmiast besztając się w duchu za bezmyślność i brak uprzejmości.

— Pani również — odparł wcale nie zbity z tropu. — Myślałem, że jest pani pięćdziesięcioletnią jędzą palącą cygara.

TLR

— A ja myślałam, że pan ma co najmniej sześćdziesiątkę na karku.

— Prawdziwy gnom z Zurychu, tak?

Był ubrany jak większość bogatych Europejczyków, którzy traktowali

giełdę jak ekscytującą formę hazardu. Miał na sobie spodnie i koszulę od Ceruttiiego, sweter z wycięciem w kształcie litery V, w stonowaną ciemnozieloną kratkę, i mokasyny firmy Gucci. Cathy wcale nie była zaskoczona, gdy zaproponował, by towarzyszyli mu w Crockford na poobiedniej partyjce ruletki. Rozważyła w myślach, czy interesy z nim są warte nudnego przyglądania się ruletce, i stwierdziła, że powinna przyjąć zaproszenie.

— Heinz nie jest taki zły — powiedział Henry, czekając, aż Szwajcar wróci z samochodem, który miał mu przyprowadzić pracownik parkingu przy Hiltonie. — W każdym razie nie jest aż takim androidem jak przeciętny Szwajcar. — Była to aluzja do jednego z wielu dowcipów z ich prywatnego repertuaru. Wymyślili, że w Genewie jest fabryka robotów i że z linii produkcyjnej schodzą tam identyczni, nudni i prozaiczni szwajcarscy bankierzy. Cathy ziewnęła i zauważyła, że Feuer macha do nich z białego Lamborghini Espada.

— Ma też miłe upodobanie do skromnych samochodów — dodał Henry z łagodnym sarkazmem.

Od czasu tej nocy, gdy Cathy tak gwałtownie zareagowała na dotyk mężczyzny, jej ciało zaczęło stopniowo budzić się z odrętwienia. Cathy czuła, że powraca do życia, reaguje na bodźce zmysłowe. Praca na giełdzie niezmiernie ją ekscytowała, miała wiele czułości dla synka, ale mężczyźni na razie jej nie pociągali.

Tak naprawdę w życiu Cathy nie było teraz miejsca na romans. Zarabiała dużo i wreszcie mogła sobie pozwolić na sprzedanie ponurego mieszkania w Battersea. Kupiła o wiele większy i bardziej luksusowy apartament w nowej dzielnicy Barbican, dziesięć minut drogi od biurowca Migatto.

Gdy tylko się przeprowadziła, doszła do wniosku, że właściwie nie roz-  
TLR

wiązuje to jej problemu z synem. Pracowała czternaście godzin na dobę i choć

miała teraz odpowiednie warunki mieszkaniowe i materialne, by z nim za-

mieszkać, w ciągu tygodnia miałyby dla niego niewiele czasu. Bardzo kochała

Jamiego, ale wiedziała, że byłoby okrucieństwem zabierać go z Coseley. Był przywiązany do tego miejsca, miał tam wszelkie wygody, chodził do pobliskiej szkoły, a przez całe lato rozbijał się po majątku z bandą miejscowych łobuziaków. Trudno więc było skazywać go na samotność w londyńskim mieszkaniu.

Lord Shrewton — jeszcze szczuplejszy, bardziej szpakowaty i rozsądniejszy niż zazwyczaj — zaproponował kompromis, gdy pewnego piątkowego popołudnia jechali razem do Coseley.

— Spodziewam się, że chciałabyś spędzać z małym Jamesem więcej czasu, teraz gdy już... się urządziłaś. Może przyjeżdżałby do ciebie od czasu do czasu na weekendy? Nie ma potrzeby zmieniać postanowienia sądu dotyczącego opieki nad nim ani powiadamiać o tym Charliego. Niech będzie to umowa między nami, dobrze?

— Myślę, że tak byłoby idealnie — zgodziła się od razu Cathy. Nie wiedziała swego byłego męża od tego koszmarnego dnia rozvodu, kiedy sędzia zdecydował, że Jamie zamieszka z dziadkami. Charlie pracował w agencji reklamowej swego teścia. Od czasu do czasu za pośrednictwem niani Barbary lub któregoś z dawnych przyjaciół dochodziły do niej słuchy, że Charlie znowu chodzi na boki. Łatwo było się domyślić, że gdy cierpliwość Lisy się wyczerpie, Charlie zwieje do Anglii i upomni się o Jamiego i jego majątek będący w zarządzie powierniczym. Gdyby Cathy upomniała się oficjalnie o przyznanie jej opieki nad synem, mogłaby przyspieszyć decyzję Charliego. Wydawało jej się, że lepiej jest mieć lorda Shrewtona po swojej stronie, niż wystawiać jego lojalność na próbę w sądowych rozgrywkach między nią a jego synem.

Solidny, nie rzucający się w oczy Rover lorda Shrewtona przyspieszył,

TLR

gdy sznur pojazdów opuszczających miasto przerzedził się przy ostatnim

skrzyżowaniu z drogą prowadzącą do Oksfordu. Jediną oznaką tego, że były teść Cathy zbliża się do siedemdziesiątki, było to, że wciąż zapadał w drzemkę, jadąc do domu. Skoro podjął rozmowę na tematy rodzinne, Cathy postanowiła szybko wykorzystać sytuację.

— Od przyszłego tygodnia będę handlować miedzią — powiedziała.

Zajmowali się tym maklerzy uznani za najbardziej kompetentnych.

— Świetnie. Mam nadzieję, że Rose dał ci porządną podwyżkę, zanim przeszedł na wyższe stanowisko. Niewątpliwie na to zasługujesz.

— Dziękuję. Tak, zrobił to.

— Nic nie przebije giełdy. Można zapewnić sobie wspaniałe życie, jeśli się ma jeszcze siły. Ty zdajesz się kwitnąć, ta praca służy ci bardziej niż innym. Jestem naprawdę zaskoczony. Wielu maklerów robi to tylko dla pieniędzy, ale ty wyraźnie zasmakowałaś w tej pracy.

— Przepadam za nią, ale nie chcę zajmować się tym w nieskończoność.

— Przypuszczam, że robisz zakusy na biurko Rose'a. Dlaczego by nie? Zgłoś się do mnie, jak będziesz miała dość handlu miedzią. Gdybyś została dyrektorem, miałabyś też więcej czasu dla chłopca. To dobry pomysł.

Cathy wyczuła aprobatę w jego głosie i doszła do wniosku, że już wcześniej myślał o tym, by ją awansować.

W następnym roku Cathy została dyrektorem. Zdobyła sobie reputację beniaminka giełdy. Była zdziwiona, gdy przekonała się, że koledzy nie zazdroszczą jej zdolności ani stosunków, lecz złości ich tajemnica, jaką okrywa swoje życie prywatne.

To, że piękna pani Bourton z wdziękiem odrzucała wszelkie awanse, choć w jej życiu nie było najwidoczniej żadnego mężczyzny, zakrawało na obrazę płci męskiej. Podejście to nie wydawało jej się zbyt rozsądne, ale po kilku latach obserwacji spadku i zwyczajek na giełdzie, Cathy doszła do wniosku,

TLR  
skus, że świat wielkiej finansjery nie kieruje się przesłankami logicznymi.



Monty też patrzyła na nią z niedowierzaniem.

— Nie czujesz się samotna? — spytała siedząc w kucki na beżowym dywanie w nowym apartamencie Cathy i grając w domino z Jamiem pewnego deszczowego niedzielnego popołudnia.

Cathy siedziała z podkurczonymi nogami na sofie. Była ubrana w ciepły czerwony dres i analizowała zwoje wydruków komputerowych dotyczących ostatniego kwartału.

— Nie — odparła szczerze. — Mam po uszy życia towarzyskiego. Ci faceci, z którymi pracuję, są bardzo fajni, a na spotkania z dawnymi przyjaciółmi prawie nie mam czasu. Zresztą nie bardzo mam o czym z nimi rozmawiać. Spotkania z Jamiem utrzymują mnie przy zdrowych zmysłach, a i tak za mało mam dla niego czasu. Ty jesteś jedyną osobą, z którą mam ochotę się spotykać, i chciałabym widywać częściej.

— Ale czy nie marzysz o silnym uścisku męskich ramion? — spytała Monty, mrugając do siostry znacząco ponad ciemnowłosą główką chłopca.

— Nie. Żałuję jedynie tych lat i energii, które straciłam myśląc, że warto żyć tylko po to, by tkwić w silnym uścisku męskich ramion. Prawdę mówiąc, Monty, prawie się cieszę, że utykam, bo każdy krok przypomina mi, że niemal straciłam wszystko, na czym mi zależy, bo słuchałam Didi i wierzyłam w te wszystkie brednie.

— Ja mogę cię wyściskać, mamó — oświadczył Jamie, wesoło tarzając się po dywanie w jej stronę. — Jestem silniejszy od King Konga i mogę zmiążdżyć cię na kawałki.

— A może wyściskałbyś ciocię? — Cathy pośpiesznie odsunęła zwoje wydruków komputerowych, na które wlaźł wspinając się na sofę, by ją objąć.

— Pozwala ci wygrać, dobrze widzę.

— Wcale nie, ona jest po prostu głupia. Zagrasz teraz ze mną?

TLR

— A co to właściwie jest? — spytała Monty, wskazując wydrukowane

kolumny liczb.

— Dane dotyczące transakcji i takie tam. Byłaś w Japonii z The Juice?

— Tak. Daliśmy trzy koncerty w Budokan.

— Jak było?

— Nie pamiętam. Chłanie, trawka, opóźniony samolot. Historia mego życia. Czemu pytasz?

— Nasze interesy idą tam opieszale, więc pomyślałam, by się tam wybrać

— powiedziała Cathy, odkładając wydruki. — Czy musimy grać w domino, Jamie? Ludwik XIV w twoim wieku grał już z dorosłymi w szachy.

— Ale on był Francuzem — odparł niedbale Jamie, fikając koziołka za sofę. — A poza tym założę się, że i tak pozwalali mu wygrywać.

Później, gdy Jamie poszedł spać, Monty znowu wróciła do intymnych tematów.

— Musi być przecież ktoś, kto choć trochę ci się podoba?

— Nie. Idę przez City codziennie, widzę tysiące mężczyzn wokół i żaden nie robi na mnie wrażenia. — Cathy chciała, by siostra przestała wiercić jej dziurę w brzuchu. To, że nikt jej się nie podoba, nie było do końca prawdą. Gdy dzwonił Heinz Feuer, była nieco podekscytowana. Jednak on był zwykłym playboyem i nie o takim mężczyźnie marzyła.

W poniedziałek Cathy udała się do gabinetu swego przełożonego, Nigela Fairwella.

Był to mężczyzna około pięćdziesiątki, miał szerokie bary, szpakowate włosy i kwadratową szczękę, na której starannie wygolony, lecz ciemny zarost zawsze pozostawiał sinawe ślady.

— Myślę, że powinniśmy wybrać się do Tokio — powiedziała. — Japoń-

TLR

scy maklerzy nie wykorzystują nawet połowy naszych ofert, a poza tym musimy ustalić swoją pozycję na rynku opcji giełdowych, zanim konkurencja nas

przebije. Ktoś powinien tam pojechać i je sprzedać. Myślę, że do tej pory

opcje też nie były sprzedawane tak dobrze, jak powinny.

— Dobrze — odparł Nigel bez specjalnego entuzjazmu.

— Przygotuj więc wszystko.

— Japończycy nigdy cię nie zaakceptują — powiedział lord Shrewton z nutką rozbawienia w głosie, gdy wybierała się na swój pierwszy wyjazd do Tokio. — Będziesz musiała siedzieć cicho i pozwolić mówić mężczyznom. Japończycy nie prowadzą interesów z kobietami.

W Tokio Cathy przekonała się, że jej prezes i były teść mniej w nią wierzą niż mężczyźni, z którymi pracowała. Delegacja Migatto składała się z Cathy, Nigela i byłego pomocnika Cathy w kręgu, obecnie asystenta

— Maurice'a.

Pierwszy dzień rozpoczął się od śniadania o ósmej rano. Mężczyźni pachnieli wodą po goleniu i mieli wilgotne włosy po porannym prysznicu. Usiedli wokół stołu w hotelowej restauracji z panami Shimurą, Mat— suyamą i Kodo, a Nigel, który bywał już w Tokio, dokonał ogólnej prezentacji. Wszyscy złożyli uprzejme ukłony.

— Przyjechaliśmy, by porozmawiać z panami na temat opcji giełdowych nowego towaru, którym zajmować się będzie Migatto. To jest pani Bourton, nasz ekspert, która, udzieli panom szczegółowych informacji.

Nigel w milczeniu kroił jajka na bekonie, a Cathy zabrała się do pracy.

— Kupowanie opcji giełdowych pozwoli panom zmniejszyć ryzyko w okresie, gdy ceny na rynku ulegają krótkotrwałym wahaniom — wyjaśniała.

— Zamiast od razu kupować akcje metali, kupuje się prawo do nabycia ich w przyszłości, powiedzmy w terminie trzymiesięcznym, ale za cenę, która ob-

TLR

wiązuje danego dnia. Oczywiście więc jest, że jeśli w ciągu tych trzech miesięcy ceny pójdą w górę...

Panowie Shimura, Matsuyama i Kodo słuchali jej bardzo uważnie.

Następne spotkanie miało się odbyć o wpół do dziesiątej w niewielkiej

firmie brokerskiej. Nigel ponownie dokonał prezentacji, a wszyscy panowie uprzejmie się uklonili. Gospodarz zaprowadził ich do sali konferencyjnej i dwunastu mężczyzn zajęło miejsca przy stole. Na czołowym miejscu, za fotelem, ustawiono tablicę. Gospodarz spojrzał wyczekująco na Nigela.

— Pani Bourton jest naszym ekspertem i wszystko panom wyjaśni — powiedział Nigel i usiadł. Całe szczęście, że mam przygotowany konspekt — pomyślała Cathy, po czym wzięła kredę i napisała na górze tablicy: OPCJE, a następnie poprosiła Maurice'a, by sporządził konspekt z jej wykładu. Mówiła przez pół godziny, po czym dwunastu japońskich urzędników ponownie złożyło jej ukłon.

Kolejne spotkanie miało miejsce o jedenastej, a po nim przyszła pora na obiad. Cathy zaczynała już dostawać chryпки, więc prawie się nie odzywała, podczas gdy Nigel wyjaśniał, z jakimi dodatkami należy zamówić surową rybę, by była znośna dla europejskiego podniebienia.

Pierwsze popołudniowe spotkanie odbyło się w Haya— saka Corporation, które prowadziło z Migatto więcej interesów niż wszyscy inni tokijscy klienci razem wzięci. Gospodarz zaprowadził całą trójkę do sali wykładowej, w której siedziało chyba ze dwustu mężczyzn. Wszyscy wstali i złożyli ukłony.

— Proszę bardzo, Cathy — powiedział Nigel, wskazując ręką podium.

— Dobry wieczór — zaczęła, zauważywszy tłumacza siedzącego w szklanej kabinie na tyłach audytorium. Dwustu mężczyzn sięgnęło po słuchawki. — Jestem Catherine Bourton z Migatto Metals Company w Londynie. Przyjechałam tu, by udzielić panom informacji... — Tłumacz zaczął nerwowo

gestykulować. Poklepała stojący przed nią mikrofon, ale nie działał. Opiekun delegacji raz znalazł się na podium i zaczął przeproszać. Dopiero po pięciu minutach znaleziono technika, który naprawił urządzenie. Cathy rozpoczęła od nowa.

Przed siódmą znaleźli się w barze z ostatnimi dwoma klientami przewidzianymi na ten dzień, których Nigel najwyraźniej dobrze znał. Na barze stała taca z przekąskami z surowej ryby i butelka japońskiej whisky. Poza kelnerkami, Cathy była jedyną kobietą w barze. Przyzwyczaiła się do takich sytuacji w Londynie, ale tu było inaczej, choć Cathy nie potrafiła określić, na czym to polegało.

Po raz ostatni tego dnia zrobiła wykład na temat opcji, odpowiedziała na pytania i z ulgą przechyliła się na oparcie stołka barowego, gdy Nigel odprowadzał gości do drzwi.

— Świetna robota, Cathy — powiedział, gdy wrócił. — Pierwsza klasa.

— Myślałam, że już nigdy sobie nie pójdą. — Podniosła szklanę, a on wlał do niej resztę whisky. Miała kiepski smak, ale był to w końcu alkohol, który ożywił nieco jej zmęczone ciało. Jej matematyczny umysł, który nigdy nie słabł, nawet kiedy była bardzo zmęczona, wyliczył natychmiast, że ani chwili nie spała przez okrągłe dwie doby.

— Myślę, że byli nieco zdezorientowani. Zazwyczaj ciągną nas do jednego z tych swoich koszmarnych „hotelu miłości”, z których są tak dumni. Ponieważ to ty prowadziłaś rozmowy, nie wiedzieli, jak się mają zachować. Cathy wybuchnęła śmiechem.

— O Boże, przykro mi, jeśli przeze mnie straciłeś dobrą zabawę, Nigel. Nie przejmuj się mną. Zawsze mogę wrócić do hotelu i poczytać książkę.

— Nie, błagam! Jesteś naszą wymówką. Nie masz pojęcia, co to jest kanapa ze sztucznego futra i *jakuzzi* w kształcie serca.

Zamówił kolejną butelkę, a barman przyniósł ją niechętnie i wściekłym gestem postawił na blacie.

TLR

— Co go ugryzło? — spytał Maurice, szczupły brunet o tłustych włosach.

Gdy ujął butelkę, by nalać następną kolejkę, barman wyrwał mu ją z rąk i z trzaskiem postawił na barze.

— Bardzo źle! — oświadczył w prawie niezrozumiałej angielszczyźnie.  
— Bardzo źle! Kobieta nalewać mężczyźnie, nie mężczyzna kobiecie.  
— Aha, on twierdzi, że to ty powinnaś nas obsługiwać. U nich kobiety nalewają alkohol, no wiesz, gejsze — powiedział Nigel i wziął butelkę. — Nie przejmuj się, stary. Jesteśmy Anglikami, no wiesz, cudzoziemcy z piekła rodem, nie znamy miejscowych obyczajów.

Barman zaskrzeczał coś ze złością i zabrał butelkę, zanim Nigel zdążył nalać. Wygłosił długą przemowę po japońsku, zdecydowanym gestem zakręcił korek i wskazał im drzwi. Nigel wzruszył ramionami, po czym opuścili bar, zażenowani tym incydentem.

— Bardzo przepraszam — zaczęła Cathy, ale przerwała, zastanawiając się, za co właściwie ma przeproszać.

— Nie, to nasza wina, powinniśmy zrobić drakę. W końcu to my płacimy. Klient ma zawsze rację. — Maurice patrzył na swoje buty, gdy przedzierali się przez tłum na chodniku.

— Poszukajmy lepiej przyzwoitego hamburgera — zaproponował Nigel, prowadząc ich przez oświetlone ostrym neonowym światłem ulice.

Następne cztery dni niczym się nie różniły, tyle tylko, że trzymali się z dala od barów. Nigel nie robił nic, poza przedstawieniem sobie zebranych. Cathy wygłaszała pogadanki, a Maurice robił konspekty.

W drodze powrotnej lecieli przez Ateny. Samolot był opóźniony cztery godziny, więc z rezygnacją wzięli swoje bagaże i udali się do poczekalni tranzytowej.

— Misiz Caterina Button tu informeszin desk, pliz — wybełkotał głosnik.

TLR

— To ty, Cathy — powiedział Nigel poirytowanym tonem, dając do zrozumienia, że jeśli ktoś z delegacji Migatto powinien być wywoływany, to tym kimś powinien być on. — Pewnie dzwonią z biura.

Gdy Cathy zgłosiła się do informacji, skierowano ją do poczekalni dla specjalnych gości, gdzie recepcjonista zawołał stewarda, a ten z kolei zaprowadził Cathy do pokoiku, w którym znajdował się stół, cztery krzesła i telefon. Cathy podniosła słuchawkę i poprzez trzaski i syki usłyszała powściągliwy głos lorda Shrewtona.

— Chciałbym, żebyś przerwała podróż i poleciała na jedną z Wysp Egejskich. Samolot już czeka na ciebie, a ja dołączę za parę godzin. W czasie tego weekendu mam spotkanie z księciem Hussainem Shahzdehem i jego żoną w jej nowym kurorcie. Księżna prosiła, żebyś i ty była obecna.

— Dlaczego ja? — zawołała Cathy. Wiedziała, że księżę od czasu do czasu korzystał z usług sekcji bankowej Migatto, ale była przekonana, że nie miał nic wspólnego z jej wydziałem.

— Myślę, że chodzi o to, że jesteś taką sławą. — Suchy śmiech lorda Shrewtona zaskrzeczał w słuchawce. — Księżna kolekcjonuje interesujących ludzi, to jej inwentarz.

Cathy zawahała się. Była wykończona i chciała jak najszybciej przedstawić Nigelowi do podpisu raport dotyczący wyjazdu do Tokio. Nie miała też specjalnej ochoty zaspokajać wulgarnej ciekawości właścicielki nocnego lokalu, chociaż był to klub najlepszy na świecie.

— Nie możesz obejść się beze mnie? — spytała.

— Nie ma mowy. To rozkaz. To miejsce nazywa się L'Equipe Kalispera. Znasz chyba jej paryski klub L'Equipe? Wysłali po ciebie samolot, myślę, że pilot wywoła cię lada moment. Do zobaczenia. — Cathy usłyszała odległy trzask odkładanej słuchawki.

TLR

Godzinę później Cathy, która nie znosiła latania małymi samolotami, zagryzła wargi, gdy Piper, ślizgając się niemal po powierzchni ultramarynowego morza, zatoczył koło nad wyspą w kształcie nerki, którą otaczały ciemne skały skąpane w białej pianie. Tam gdzie wybrzeże miało kształt wybrzuszo-

nego łuku, fale biły o srebrne plaże. Cathy od razu zorientowała się, że zostały

one sztucznie uformowane z przywiezionego piasku. Samolot zaczął piko-  
wać nagle pod ostrym kątem, następnie pędził przez chwilę w szaleńczym  
tempie, po czym gwałtownie zahamował. Do samolotu podbiegł jakiś czło-  
wiek, wziął bagaż Cathy i odprowadził ją do białego mini-jeepa.

L'Equipe Kalispera była ślicznym, miniaturowym rajem otoczonym przez  
nagie skały i urwiska spadające do kryształowego morza, z których roztaczał  
się piękny widok. Na szczycie skalistego wzgórza wznosił się biały klasztor, a  
wzdłuż krętej, świeżo krytej asfaltem drogi stały kapliczki, które mieszkańcy  
wysp budują w podzięce za ocalenie na morzu.

Zawieziono Cathy do wioski, pełnej bezładnie stojących białych domków  
i nierównych, brukowanych uliczek, prowadzących do zakola portu, w  
którym

stały na cumie dwa ogromne jachty i flotylla łódek przeznaczonych na prze-  
jażdżki. Cathy zapomniała przestawić zegarek w drodze powrotnej z Tokio,  
ale obliczyła, że musi być około szóstej po południu.

Niebo widoczne za skalistymi wzgórzami miało liliowo— różowy od-  
cień. Powietrze było przejrzyste, nietknięte powiewem wiatru. Gdy samochód  
podjechał pod masywne, nabijane ćwiekami drzwi z ciemnego drewna, zaczął  
gdzieś bić dzwon, a jego dźwięk odbijał się echem po całym porcie.

Okazało się, że wioska jest bardzo przemyślnie „rozparcelowanym”,  
wielkim hotelem, którego pokoje zdobiły masywne antyki z ciemnego dREW-  
na. Cathy umieszczono w wielopokojowym apartamencie o białych ścianach i  
niskich, belkowanych Sufitach. Wysokie okna wychodziły na balkonik, z któ-  
rego roztaczał się widok na morze.

Cathy zaczęła się odprężyć czując, jak luksusowe otoczenie i spokój tego  
TLR

miejsca działają kojąco na jej zmęczenie. Ogromna, zdobiona szafa z ciemne-  
go drewna pełna była letnich ubrań w wakacyjnym stylu z białego i błękitne-



go jedwabiu, które — ku zaskoczeniu Cathy — nosiły etykiety Valentino. Wszystko leżało na niej jak ulał, nawet starannie skrojone bikini i słomkowy kapelusz z szerokim rondem. W szufladzie na dole szafy znalazła też bieliznę z kremowego krepdeszynu i dyskretną złotą biżuterię od Cartiera.

Na dnie szafy stała para sandałów z brązowej skórzanej plecionki, na które Cathy spojrzała z żalem, gdyż musiała nosić buty robione na miarę. Zobaczyła jednak, że widnieje na nich etykiетка Lobba. Z ciekawością wsunęła sandałek na okaleczoną stopę i okazało się, że pasuje jak ulał.

— Musiały być robione na wzór tych, które ostatnio obstałowałam — mruknęła zaskoczona.

Po chwili zjawił się kelner z dzbankiem chłodnego, pieniącego się napoju, który okazał się koktajlem z szampana i soku ze świeżych pomarańczy. Sącząc go z wąskiego srebrnego kielicha, Cathy poczuła się cudownie orzeźwiona. Potem przyszła pokojówka, przygotowała jej kąpiel z pianą, pachnącą olejkiem różanym. Gdy tylko Cathy wynurzyła się z aromatycznej wody i włożyła białą suknię z miękkiej, ręcznie tkanej greckiej bawełny, zadzwonił telefon.

Lord Shrewton oświadczył, że właśnie przybył i za godzinę zjawi się, by zabrać ją na obiad.

Jedli na zadaszonym tarasie, z którego było widać lśniący półkrąg światłek, odbijających się w wodzie nadbrzeża. Podano złocisty irański kawior, owoce morza w ziołach i kruchą pieczeń z jagnięcia.

— Tak się cieszę, że kazałeś mi tu przyjechać — powiedziała Cathy. — Czuję się jak nowo narodzona.

— Byłem przekonany, że ci się tu spodoba. Pierwszy wyjazd do Tokio jest zawsze morderczy — powiedział lord Shrewton. Zmiana otoczenia zupełnie nie wpłynęła na jego sposób bycia. Zamienił swój londyński szary garnitur

z wełny, który zawsze kiepsko na nim leżał, na identyczny z cienkiego mate-

TLR

riału, a jego sztywne ramiona i napięta szczęka nie wykazywały żadnych oznak odprężenia.

— Księżna, jak mi się wydaje, ma jeszcze jakiś kurort? — spytała Cathy. Przypomniała sobie, że czytała coś w magazynie ilustrowanym o uroczystym otwarciu nowych luksusowych hoteli. Jednak nie była pewna, bo miała czas na czytanie jedynie u fryzjera, a jej gładka, krótka fryzurka wymagała tylko półgodzinnego zabiegu raz na miesiąc.

— To jej drugie przedsięwzięcie — wyjaśnił lord Shrew — ton. — Pierwszy kurort mieści się na Sardynii i nazywa się L'Equipe Falcone. Księżna jest bardzo rozsądną kobietą. Dobiera sobie najlepszych architektów i tworzy luksusowe ośrodki wypoczynkowe w zupełnie naturalnej scenerii. Potem udostępnia je tylko wybranym ludziom. Nie żadnym tam kowbojom z Marbella, groszorbom z Mayfair czy nierobom z Palm Beach. Monarchowie przebywa-

jący na emigracji również nie robią na niej wrażenia. Księżna zaprasza tylko śmietankę towarzyską.

— Czyli takich jak my...

— Właśnie. Wcale nie byłem zaskoczony, gdy poprosiła, bym cię przywiózł. Lubi piękne kobiety, które robią karierę, szczególnie jeśli nie wykorzystują do tego swoich wdzięków.

Nazajutrz para książęca oficjalnie zaprosiła swych gości na przyjęcie na jachcie, który powoli wyruszył z małego portu, opłynął wyspę i zakotwiczył w skalistej zatoczce pod wysokim urwiskiem. Fale rozbijające się na czarnych skałach tworzyły białą pianę, a woda była tak przejrzysta, że widać było, jak promienie słońca igrają na głazach leżących na dnie morskim, kilkadziesiąt metrów pod wodą.

— Jest podobna do norki — mruknęła Cathy, patrząc na drobną, ubraną na biało figurkę księżnej, która snuła się wśród gości. — Jest piękna, ale ma w sobie coś dzikiego.

Shrewton skinął głową.

TLR

— Ona potrafi być niebezpieczna — powiedział cicho. — Gazety francuskie nazywają ją „Królową Ciemności”. Niektóre rzeczy, które przytrafiły się ludziom stojącym jej na drodze, stały się powodem wielu nieprzyjemnych plotek. Na przykład pewna starsza pani, właścicielka tej wyspy, nie chciała nikomu sprzedać swej własności. Pewnego dnia wyszła na spacer po wzgórzach i nigdy nie wróciła. Nie znaleziono także zwłok.

Księżna szła w ich kierunku, od czasu do czasu zatrzymując się, by zamienić parę słów z którymś z gości. Biała jedwabna suknia opływała miękko jej szczupłe ciało. Nawet w cieniu płóciennych żagli promienie słońca iskrzyły się w jej diamentowych kolczykach. Czarne włosy miała zebrane w prosty kok, podkreślający idealną budowę jej czaszki i karku oraz oliwkową cerę na twarzy bez jednej zmarszczki.

Po chwili księżna podeszła do nich, a Cathy od razu zaczęła jej prawić komplementy na temat wyspy.

— To najbardziej rozkoszne miejsce, jakie widziałam. A te ubrania w mojej szafie i buty były taką cudowną niespodzianką... — Cathy była tak roz-

entuzjasmowana, że niemal plątał jej się język.

Twarz księżnej natychmiast się rozpromieniła, a Cathy była poruszona faktem, że ta pełna gracji, dobrze ułożona pani domu potrafi okazywać uczucia.

— Byłam pewna, że przywiezie pani ze sobą tylko ubrania przeznaczone na spotkania służbowe i że na pewno będzie chciała pani tu odpocząć w czymś bardziej odpowiednim. — Pełne, uszminekowane na ciemnoróżowo usta rozchyliły się w uśmiechu, a czarne oczy wpatrywały się badawczo w twarz Cathy. — Jestem zaszczycona pani wizytą, tak bardzo chciałam panią poznać, tak wiele o pani słyszałam... Wiem naturalnie, że jutro musi pani wyjechać, ale czy przed wyjazdem może przyjść pani do mnie na herbatę? Miło byłoby porozmawiać spokojnie sam na sam, prawda?

— Naturalnie — zgodziła się Cathy natychmiast.

TLR

Większość czasu, który dzielił ją od chwili spotkania i księżną, spędziła z księciem i lordem Shrewtonem, przysłuchując się i obserwując, jak przegląda-

li stosy dokumentów przygotowanych dla konsorcjum, które Migatto zakładało z jedną z kompanii księcia. Jak przewidział były teść, Cathy od razu polubiła księcia. Był bezpośredni, bezpretensjonalny i nie obnosił się ze swym bogactwem. Podczas gdy systematycznie wyłapywał każdy potencjalnie słaby punkt w proponowanej umowie, jego cierpliwość i uprzejmość nie słabły nawet na chwilę.

Cathy wyczuła, że również podoba się księciu. Upewniwszy się, że ta młoda kobieta jest partnerem w dyskusji i potrafi zręcznie odnieść każdą decyzję do całości zagadnienia, zasięgnął jej opinii w wielu sprawach i słuchał z prawdziwym zainteresowaniem. Cathy, która była przyzwyczajona, że biznesmeni pochodzący z Bliskiego Wschodu ignorują kobietę, dopóki nie udowodni im, że nie daje się wodzić za nos, a potem są zakłopotani, że muszą prowadzić z nią interesy, stwierdziła, że księżę Hussain jest wyjątkowo bystry.

Następnego popołudnia rozbryzgująca fale motorówka zawiozła Cathy na jacht, na spotkanie z księżną. Herbatę podano w ogromnym salonie utrzymanym w różnych odcieniach bieli, dzięki czemu nie czuło się żaru panującego na zewnątrz. Cathy i księżna usiadły naprzeciw siebie w głębokich fotelach, a pod stopami miały jasny perski dywan z jedwabiu.

— Lord Shrewton powiedział mi, że jest pani ambitną kobietą — zaczęła księżna, popijając herbatę z białej, prawie przezroczystej porcelanowej filiżanki. — To dość niezwykle u osoby z pani pochodzeniem.

— Tak, chyba tak. Myślę jednak, że nie miałam innej alternatywy.

Uwielbiam swoją pracę i muszę mieć środki na stworzenie domu synowi.

— Ale przecież pochodzi pani z zamożnej rodziny?

— Niegdyś była zamożna. Jednak po śmierci mojego ojca okazało się, że  
TLR

zostały same długi.

Zapadła cisza, a księżna odstawiła ostrożnie filiżankę.

Na jej pełnych ustach pojawił się na chwilę dziwny grymas. Wyglądała jak kot, który z pogardą odsuwa się od skwaśniałego mleka.

— Słyszałam coś o pani ojcu, czy to... chodziło o... — Trudno jej było dobrać właściwe słowo, ale Cathy miała za sobą trening w pomaganiu ludziom odnajdywania wyjścia z kłopotliwej sytuacji, gdy rozmowa schodziła na temat jej ojca, Lorda Samobójcy.

— W swoim czasie był to swego rodzaju skandal, może słyszała pani coś na ten temat. Ojciec popełnił samobójstwo. Potem okazało się, że miał ogromne długi, i to była właśnie przyczyna. W tamtych czasach ludzie w City tak bardzo polegali na nazwiskach i reputacji, że tego rodzaju skandal byłby dla ojca zgubny. Dziś naturalnie takie rzeczy są bardziej akceptowane. Tyle wielkich firm w Wielkiej Brytanii wpadło w tarapaty, że indywidualne problemy nie wydają się już takie ważne jak kiedyś.

Księżna zagłębiła się w fotelu i wyglądało na to, że zgadza się z zapewnieniami swego gościa. Cathy spodziewała się takiej reakcji, ponieważ zawsze starała się rozluźnić atmosferę, gdy zmuszano ją, by mówiła o ojcu.

Wstrząsnął nią dreszcz. Jacht miał doskonałą klimatyzację, a ona miała na sobie tylko lekką bladoniebieską jedwabną bluzkę z kolekcji Valentino.

— Ale musiała to być dla pani straszliwa tragedia, wygląda na to, że bardzo dobrze sobie pani z tym wszystkim poradziła — naciskała księżna.

— Nie miałam innego wyjścia. Bardzo kochałam ojca, a on był tak bardzo witalny, że na pewno by nie chciał, żeby cień jego śmierci na zawsze zawisł nad moim życiem.

Steward w białym uniformie wszedł bezszelestnie i nalał świeżej herbaty.

TLR

Cathy spojrzała w zamyśleniu na lśniąca powierzchnię wody, ciągnącą się aż po niewyraźny horyzont. Uświadomiła sobie nagle, że coraz więcej rozmyśla o ojcu. Może Monty miała rację, może rzeczywiście był samotny. To, co coraz bardziej drażyło jej umysł, było echem pustki, którą ojciec pozostawił w jej sercu. Wiedziała, że z żadnym mężczyzną nie połączy ją tak intensywna więź, bliskość duchowa, poczucie tego, że oboje konspirują przeciwko całemu

światu. Żaden nie zapewni jej takiego poczucia bezpieczeństwa i nie nauczy takiej wiary w siebie.

Było to coś zupełnie innego niż gorące przywiązanie, jakie żywiła do Monty. W miłości do ojca krył się bowiem magiczny element odmienności płci. Ich miłość była syntezą dwóch przeciwstawnych sił witalnych. Była silna, niezwyciężona, zdolna pokonać wszystko. Cathy zdawało się nawet, że była na tyle silna, by przewyciężyć śmierć.

Potrząsnęła głową, oddalając od siebie myśl, że ojciec żyłby nadal, gdyby go bardziej kochała. Z niezachwianą jasnością umysłu, która sprawiała, że była bezlitosna nawet w ocenie samej siebie, stwierdziła, że jej poczucie winy płynie z zupełnie innego źródła. Gdy ojciec umarł, była jeszcze młodziutką dziewczyną. Teraz, gdy była już kobietą, patrzyła na niego dorosłymi oczyma.

Musiała przyznać, że gdyby ojciec żył, byłby jednym z tych ludzi, dla których żywiła niewiele szacunku. Tak jak koledzy biurowi ojca, uważałyby go za niemądrego, czarującego człowieka bez znaczenia.

— Ale na pewno myśli pani czasami o ojcu? — nalegała uprzejmie księżna.

— Niezbyt często. Nie mam za wiele czasu na przemyślenia — odparła szybko Cathy, nie chcąc otwierać serca przed obcą osobą, kiedy to po latach ukrywania emocji przed samą sobą, dopiero co odkryła, co czuła naprawdę. Księżna zapytała ją o Jamiego i Cathy zaczęła opowiadać o nim ze swadą i uczuciem ulgi. Po chwili wyczuła jednak, że księżna jest zakłopotana, i

przypomniała sobie, że jej gospodyni nie ma dzieci. Zmieniła więc temat, Pytając o kurort i najbliższe plany.

TLR

— A co pani planuje w przyszłości? — spytała księżna, krzyżując zgrabne nogi i wygładzając fałdki na kremowej jedwabnej spódnicy.

Cathy spojrzała na nią i stwierdziła w duchu, że mogłaby wyciągnąć pewne korzyści, jeśliby uchyliła rąbka tajemnicy.

— Jeszcze nie wiem — zaczęła. — Jestem teraz młodszym dyrektorem i choć Migatto ma opinię dynamicznej firmy, rzadko bywa, by ktoś awansował na starszego dyrektora przed czterdziestką. Nie wiem, czy chcę tak długo czekać.

— Jednak lord Shrewton ma o pani bardzo pochlebne zdanie — powiedziała księżna z uroczym, wesołym uśmiechem na ustach.

— Nie widziałam jeszcze, by lord Shrewton postąpił kiedyś wbrew własnym zasadom, a poza tym musi brać pod uwagę zdanie innych dyrektorów. W każdym razie wolałabym być niezależna. Za kilka lat chciałabym skompletować odpowiedni zespół i zająć się doradztwem finansowym. — Cathy zauważyła, że księżna słucha jej bardzo uważnie, więc kontynuowała z większą pewnością siebie. — Zamierzam udzielać wszechstronnych porad, i to nie tylko biznesmenom. Chciałabym się wyspecjalizować w konsultacjach dla różnorodnej prywatnej klienteli. Wiem z doświadczenia, że prywatny klient, którego zakres interesów jest często niewielki, bywa zaniedbywany przez wielkie

instytucje. Zrozumiałam to, gdy myślałam o tragicznej śmierci mojego ojca. Nie udzielono mu właściwie żadnej porady, został wykorzystany przez ludzi, którzy udawali, że mu coś radzą. Zdarza się to często ludziom dysponującym dużym majątkiem osobistym. Trudno znaleźć kogoś zajmującego się finansami pod kątem indywidualnym. Czy zgadza się pani ze mną, księżno?

— Jak najbardziej — odparła. — A kiedy zamierza pani wprowadzić te plany w życie?

— Kiedy będę przekonana, że jestem odpowiednio przygotowana, może za parę lat.

TLR

— No cóż, mam nadzieję, że wyświadczy mi pani grzeczność i uzna mnie za swoją pierwszą klientkę? Jestem zamożna, mam osobisty majątek, niezależny od księcia, i zawsze wydaje mi się, że naprzykrzam się jego pracownikom, którzy wyświadczają mi różne przysługi zapewne tylko ze względów grzecznościowych. Czy przyrzeka mi pani, że zgłosi się pani wtedy do mnie?

— Naturalnie, zrobię to z prawdziwą przyjemnością. — Cathy uśmiechnęła się z zachwytem i pogratulowała sobie w duchu. Miałyby ochotę również prowadzić interesy z księciem, ale współpraca młodej konsultantki o nieustalonej renomie z człowiekiem tak majątnym nie wchodziła w grę — chyba że zdoła zwrócić na siebie jego uwagę.

Po chwili steward oświadczył, że motorówka czeka, by zabrać gościa na brzeg, więc Cathy pożegnała się serdecznie z księżną. Zawieziono ją na lądowisko, gdzie czekał już lord Shrewton. Gdy samolot wystartował, Cathy poczuła dziwne uniesienie i smutek.

Do tej pory zwierzyła się ze swoich ambicji tylko dwojgu ludziom: Monty, która zainspirowała sam pomysł, i Henry'emu Rose, na którego współpracę

liczyła w przyszłości.

Po zastanowieniu dziwiła się sobie, że tak chętnie otworzyła się przed księżną. Była wprawdzie bogata, ale również bez wątpienia groźna. Cathy nie chciała angażować się w takie relacje, nawet jeśli mogłoby to jej ułatwić zbliżenie się do księcia.

Była również zaskoczona napięciem emocjonalnym, jakie towarzyszyło tej niezobowiązującej konwersacji. Może sprawiło to ciepłe przyjęcie księżnej, może jej czujność została uspijona dzięki cudownemu otoczeniu L'Equipe Kalispera. Pomyślała, że ojciec byłby zachwycony tym miejscem. A ona byłaby szczęśliwa, gdyby mogli tu być razem. Cathy pograżyła się w smutku,



lecz po raz pierwszy poczuła, że jest w stanie znieść bolesną myśl o stracie ojca.

Gdy wróciła do Londynu, wydarzyły się różne rzeczy, które sprawiły, że TLR

zaczęła się zastanawiać, czy nie nadszedł już czas na wprowadzenie w życie swoich planów.

Przede wszystkim na spotkaniu rady otworzyła usta ze zdziwienia, gdy Nigel Fairwell oświadczył, że Japończycy kupują ogromne ilości opcji i przedstawił sprawę w takim świetle, jakby to była jego zasługa.

— Nigel, przecież to ja zajmowałam się sprzedażą opcji w Tokio — zaproponowała później.

— Nie rób scen, Cathy — powiedział. — Poradziłaś sobie bardzo dobrze, ale w końcu był to twój pierwszy wyjazd do Tokio. Doświadczenie kosztuje. Nie możesz oczekiwać, że Japończycy będą się liczyli ze zdaniem kobiety.

— Ale tak właśnie było, skoro zaczęli kupować opcje. Ten barman był jedynym mężczyzną, który miał do mnie zastrzeżenia w ciągu tych dwóch tygodni.

Nigel ojcowskim gestem położył dłoń na jej ramieniu.

— Przykro mi, Cathy, że tak to interpretujesz. My z Maurice'em jesteśmy odmiennego zdania.

Maurice został wkrótce dyrektorem o równorzędnym statusie co Cathy, a także powierzono mu wiele z jej dotychczasowych obowiązków.

Cathy wysłano na sześć miesięcy do Genewy, gdzie pracowała w filii bankowej przedsiębiorstwa. Później pojechała na kolejne pół roku do Nowego

Jorku, gdzie również pracowała w bankowym oddziale analiz. Były to cenne doświadczenia, ale niewątpliwie degradacja w hierarchii służbowej.

Placówka w Nowym Jorku była szczególnie uciążliwa, gdyż tej właśnie jesieni Jamie — miał już osiem lat — został wysłany do szkoły z internatem, która miała poprzedzać jego wstąpienie do Eton w wieku trzynastu lat. Cathy

bardzo cierpiała, mając świadomość, że nie może być blisko syna w tak prze-  
TLR

łomowym momencie jego życia. Czuła, że straciła większość złotych lat jego dzieciństwa, a wkrótce już Jamie znajdzie się u progu dojrzałości, by ją opuścić, w chwili gdy ona będzie gotowa być razem z nim.

Na wiele weekendów wracała do kraju, by zobaczyć się z Jamiem, co jej koledzy traktowali jako kolejny dowód braku zaangażowania w pracę. Cathy nie zważała na to, bo Jamie jej potrzebował. W ciągu paru tygodni zniknęła jego dziecięca bez troska, nabrał powagi i rozsądku. Cathy ani przez chwilę nie żałowała poświęconego mu czasu, gdyż zapewniała synowi poczucie bezpieczeństwa.

Gdy powróciła do Londynu, wyznaczono ją do pracy z wyższym rangą dyrektorem do spraw marketingu. Miała zajmować się administracją i biurem prasowym. Wysłano ją na kurs managerski, seminarium poświęcone technologii komputerowej i kolejną podróż do Japonii, tym razem dla ustalenia nowych możliwości przestrukturalizowania przedsiębiorstwa. Wszystkie te zadania miały charakter pomocniczy i Cathy zorientowała się, że odsuwa się ją od prawdziwego biznesu.

— Oficjalnie mam przygotować raport na temat możliwości reorganizacji przedsiębiorstwa, by mogło stawić czoło wymaganiom, jakie niesie przyszłość — powiedziała do Monty, leżąc na swej kremowej sofie pod koniec kolejnego nużącego dnia. — Ale wiem równie dobrze jak wszyscy, że Migatto nie ma zamiaru wprowadzać żadnych zmian. Moje nowe stanowisko oznacza, że po przekroczeniu trzydziestki, a więc w podeszłym wieku, zostaną odesłana na zieloną trawkę.

Na najbliższym posiedzeniu rady Cathy przedstawiła swój plan.

— Proponuję więc — powiedziała na zakończenie — zorganizowanie systemu siatki managerskiej, polegającego na tym, że wszyscy pracownicy będą uczestniczyć na równych prawach w procesie podejmowania decyzji.

Chciałabym stworzyć strukturę, dzięki której nastąpi bardzo swobodny przepływ informacji z sali dealerskiej do rady. Obecnie połowa ludzkiego potencjału przedsiębiorstwa jest dławiona przez biurokratyczną, zhierarchizowaną TLR strukturę.

— Domagasz się wprowadzenia radykalnych zmian, nowego stylu zarządzania — zaproponował Nigel Fairwell z niedowierzaniem.

— Naturalnie — odparła Cathy. — Firma nie rozwija się w odpowiednim tempie i nie wykorzystuje wszystkich swoich możliwości. Moim zdaniem, ten problem wymaga radykalnych, zakrojonych na szeroką skalę rozwiązań. Zapadła niezręczna cisza, przerywana pełnymi zakłopotania pochrząkwaniami.

— Nie trzeba było posyłać jej do Japonii — mruknął pod nosem jeden z mężczyzn.

— Myślę, że na początku gratulowali sobie, że mają jako pierwsi kobietę w radzie zarządu — powiedziała Cathy, myśląc, że Monty nigdy jeszcze nie była taka szczupła. Poza tym miała szarą cerę i wyglądała niezdrowo. — Po prostu wetknęli mnie w ten swój rozsypujący się zespół dla ozdoby, jak kładzie się wisienkę na ciasto. Teraz wiem, że to jedyne ustępstwo na rzecz zmian, jakie mają zamiar zrobić. Trzeba będzie nieźle się namęczyć, by zgodzili się na nowe wyposażenie w sali dealerskiej. Pięć lat temu te wszystkie urządzenia były na czasie, ale teraz są już całkiem przestarzałe. Lord Shrewton jest jedynym człowiekiem, który sięga myślą dalej niż poza jutrzejszy obiad, ale on się starzeje i nie ma już siły, by postawić na swoim.

— Może właśnie dlatego chce cię mieć w pobliżu. Rozmawiałaś z nim?

— zapytała Monty.

— Jestem przekonana, że właśnie dlatego lubi mieć mnie pod ręką. Rozmawiałam z nim, ale on jest szefem, a nie dyktatorem. Ja sama mu nie wystarczę, by przeciągnąć firmę w dwudziesty wiek. Większość dyrektorów nie

traktuje mnie serio. A ja nie mam zamiaru dać się wysyłać w różne miejsca i nie widywać Jamiego tylko dlatego, że jestem zbyt znana, by mogli mnie wyłać i zrazić do siebie opinię publiczną. Powinnam się stamtąd wynieść, i to jak najszybciej.

TLR

Następne pół roku Cathy spędziła na dyskretnym obserwowaniu trzech kolegów, o których wiedziała, że podzielają jej zdanie, wciąż dyskutowała z Henrym i nawiązywała kontakty z dziennikarzami specjalizującymi się w tematyce biznesu. Zajął się także zmianą treści broszur Migatto i opracowała nową strukturę organizacyjną firmy, która — zdaniem Cathy — mogła się przyczynić do zwiększenia wydajności pracy, stworzyć lepszą motywację do pracy i bardziej zintegrować zespół.

Na zebraniu rady zapadła decyzja, by ponownie odczytać projekt Cathy na najbliższym spotkaniu. Po naradzie kilku dyrektorów — w tym Maurice — udało się w kierunku dębowych drzwi łazienki. Dziesięć minut później wyszli stamtąd, zanosząc się od śmiechu.

Gdy dostarczono jej protokół zebrania, Cathy przeczytała ze zdumieniem, że rada przegłosowała odrzucenie jej projektu.

— Przecież byłeś tam — powiedziała patrząc na Maurice'a. — I taka decyzja nie zapadła. Postanowili rozważyć to ponownie.

— Och — odpowiedział niechętnie — może zdecydowali się później ją odrzucić.

— Ale przecież zebranie się skończyło.

— No nie wiem, może dogadali się w kiblu, nie pamiętam. Nie oczekiwałaś chyba, że przyjmą ten projekt?

Cathy popatrzyła na niego z niechęcią. Maurice stał się nieznośnie zarozumiały. Na samą myśl, że taki wypierdek naśmiewał się wraz z innymi w toalecie z wyników jej półrocznej pracy, cała gotowała się ze złości.

— Do niczego już nie dojdę w Migatto — powiedziała siostrze tego sa-

mego popołudnia. — Mogę oczywiście polecieć do lorda Shrewtona i skamleć, ale to nie rozwiąże problemu. Oni traktują mnie tak, jak kiedyś traktowano naszego ojca. Jak kogoś o ograniczonych możliwościach i o ustalonej pozycji, jak kogoś, kogo się oszukuje, stwarzając wrażenie, że ma coś do powie-

TLR  
dzenia. Oni mnie tylko tolerują, i to wszystko.

Odbyła smutne spotkanie z lordem Shrewtonem, które specjalnie zaaranżowała w jego biurze, by dać do zrozumienia, że od tej pory sprawy rodzinne nie mają nic wspólnego z interesami. Cathy usiadła naprzeciw szefa, po drugiej stronie wielkiego stołu, którego używał zamiast biurka, i przedstawiła mu swoją propozycję.

— Jestem zła i naprawdę mam już dość. — Mówiła z wypracowanym znużeniem. — Wiem, że powinnam złożyć rezygnację, ale byłaby awantura, a prasa chciałaby wiedzieć, dlaczego podjęłam taką decyzję.

— A ciebie niezmiernie by kusilo, żeby im to wyjaśnić... — powiedział, a w oczach ukrytych za szklami okularów pojawił się błysk rozbawienia. — To nie wchodzi w rachubę, prawda?

— Widzę, że czytasz w moich myślach. — Cathy uśmiechnęła się.

— Tak, żałuję, że sprawy tak się ułożyły. Moim zdaniem, jesteś najlepsza z nich. Bardzo byłem zadowolony z naszej współpracy. Cóż więc zrobimy? Może pozwolimy ci odejść po wypłaceniu przyzwoitej odprawy? Sądzę, że już masz inną pracę na oku. Czy jakiś łowca głów zaprowadził cię gdzieś wysoko i pokazał, jaki się stamtąd roztacza widok?

— Niezupełnie. Chcemy z Henrym założyć własną firmę.

— I zwędzicie Migatto całą klientelę. Zasłużyliśmy na to. — Wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie, tak jakby rozsądek Cathy był wyłącznie jego zasługą. — Jaką odprawę uważasz za zadowalającą?

Cathy wymieniła sumę, a lord Shrewton zgodził się po chwili udawanego wahania.

Cathy założyła firmę dzięki odprawie pieniężnej z Migatto, pożyczce udzielonej przez bank Henry'ego i pożyczkom zaciągniętym pod zastaw jego domu i jej mieszkania.

Chcieli, by ich biuro wyposażone zostało w najnowocześniejszy sprzęt, TLR

jaki był na rynku, gdyż wiedzieli, że im szybciej uzyskają informacje, im szybciej na nie zareagują, tym efektywniej będą działać. Musieli też skompletować pełny personel. Gdyby nastąpiło jakiegokolwiek opóźnienie przy sporządzaniu kontraktów lub podczas transakcji, straciliby klientelę.

Henry wynalazł pomieszczenie biurowe w budynku Pall Mail. Urządzili je w surowym, nowoczesnym stylu, który nasuwał każdemu klientowi myśl, że wpakowano tam wiele pieniędzy. Biuro utrzymane w czerni i bieli wypełniały klasyczne włoskie fotele, duże czarne sofy ze skóry, czarne marmurowe stoły i jaskrawe abstrakcyjne obrazy, które się Cathy w ogóle nie podobały.

— Wiem, co myślisz — powiedział Henry, gdy pomagała mu rozwieszać olbrzymie płótna. — Myślisz, że powinniśmy tu mieć ładną serię obrazów z końmi albo kilka portretów przodków. Wstydz się. Ta firma to zespół twardych, szybko działających ludzi, którzy sięgają myślą w dwudziesty pierwszy wiek. Nie mam zamiaru pakować tu tych dżentelmeńskich brytyjskich śmieci.

Księżna Ayeshah dotrzymała słowa i tydzień po otwarciu firmy przysłała Cathy pakiet akcji o wartości wielu milionów franków. Choć bardzo jej na tym zależało, nie została jednak pierwszą klientką CBC, wyprzedził ją Heinz Feuer. Jego pakiet akcji był większy niż księżnej, choć bank w Zurychu, który go zainwestował, zrobił to na o wiele ostrożniejszych warunkach niż genewska firma księżnej. Feuer przysłał Cathy ogromny bukiet lilii i pachnących dzwoneczków o fantastycznie wygiętych słupkach i kremowych płatkach w szkarłatne cętki, niknących w ciemnoczerwonych kielichach.

— Ten to ma gust — pochwalił Henry, gdy sekretarka postawiła wazon pod abstrakcyjnym obrazem.

— Dziwię się, że ma jeszcze pieniądze, skoro traci je na ruletkę — powiedziała Cathy, wiedząc, że niepotrzebnie się czepia.

— Dobrze wiesz, że nie wydaje na nią więcej, niż może sobie pozwolić.

— Hmm.

TLR

— Co to znaczy „hmm”? Chyba wiem. Uważasz, że Heinz się w tobie kocha i dlatego chce robić z tobą interesy. Jesteś więc złośliwa i czujesz się urażona, bo, twoim zdaniem, powinny nim kierować wyłącznie motywy komercyjne.

— Bzdury. — Cathy skrzyżowała ręce na piersi, piorunując Henry’ego wzrokiem.

— A może być i tak, że to ty zabujałaś się w Heintzu...

— Kompletna bzdura. To dzieciuch, niedojrzały, rozpuszczony, za dużo ma pieniędzy, a za mało rozumu. Owszem, uważam, że jest uroczy. Czasami jest bardzo zabawny, tak jak małe szczeniaki...

— Poza tym jest przystojny...

— Tak, jest. I co z tego?

— Pochodzi z dobrej rodziny po mieczu i po kądzieli, od góry do dołu „Almanach Gotajski”.

— Naprawdę? Nie wiedziałam. Czy jesteś pewien, że to nie ty jesteś w nim zabujany? Tak się nim interesujesz...

W tym momencie wspólnik Cathy zamierzył się na nią zwiniętym rulonem „Financial Times”. Cathy uchyliła się i zwała wazon. Dyrektorzy CBC przerwali dyskusję na temat Heinza Feuera, gdyż odkryli, że w ich nienaganie na pozór wyposażonym biurze nie ma szmaty, miotły i śmietniczki.

W ciągu następnych sześciu miesięcy wyszły na jaw o wiele poważniejsze niedociągnięcia. W interesie panował ogromny ruch, więc powinni odnieść sukces. Jednak zakres ich interesów był tak szeroki, że system komputerowy nie był w stanie temu podołać, choć sprzedawca zapewniał, że jest

odpowiedni do ich potrzeb. Trzy sekretarki odeszły w jednym tygodniu, ponieważ nie mogły znieść nawału pracy. Nawet instalacja telefoniczna wymagała naprawy. Wkrótce nastąpiło nieuniknione: przedstawiciel jednego z najważniejszych klientów — kasy emerytalnej — z żalem oświadczył, że powie-  
TLR

rzy swoje interesy komu innemu.

— Musimy zmienić wyposażenie biura — powiedział z desperacją Henry, gdy po burzliwym piątku siedzieli wieczorem w jego gabinecie. — Nie spodziewaliśmy się, że firma będzie miała takie wzięcie. Jeśli nie wystartujemy ostro, stracimy wiele okazji do zrobienia interesów i najlepszych klientów.

— Był tu dziś sprzedawca systemów komputerowych. Możemy zainstalować nowy system w ciągu jednego weekendu, ale to będzie kosztowało.

— Wiesz dobrze, że nietrudno o pożyczkę. Choć nasz kredyt prawie się wyczerpał, nie zabraknie ludzi, którzy zechcą nas poprzeć. Ale w zamian zażądamy udziałów i stracimy niezależność.

Cathy potrząsnęła głową.

— Zostalibyśmy pochłonięci w ciągu jednego roku. Już to przemyślałam.

W pierwszym odruchu chciałam zgłosić się do Migatto, bo jestem przekonana, że lord Shrewton ubiłby ze mną interes. Ale stalibyśmy się kolejną filią Migatto, a za dwa lata wygryźliby nas z naszej własnej firmy. Znaleźlibyśmy się w punkcie wyjścia.

— Też tak uważam. — Henry odchylił się na oparcie skórzanego fotela, założył ręce pod głowę i wpatrzył się w sufit. W początkowym, wyjątkowo trudnym okresie stracił na wadze i nosił teraz jaskrawożółte brokatowe szelki, które podtrzymywały luźnawe spodnie granatowego garnituru.

— Jest jeszcze jedno wyjście — powiedziała Cathy, odgarniając włosy.

Wymagały już podcięcia, ale ostatnio nie miała czasu pójść do fryzjera. —

Prywatnie poszukać środków finansowych.

— Mmmm. Też o tym myślałem.



— Trzeba to zrobić w tajemnicy. Gdyby wieść się rozeszła, klienci odchodziliby stadami.

TLR

— Masz jakiś pomysł?

— Znasz faceta, który nazywa się Samir? Jason Samir?

— Nie mówisz chyba poważnie, Cathy. Chodzi ci o Samir Holdings? Daj spokój, to domek z kart. Firma bazuje na własności, której wartość jest przeceniona. Facet daleki jest od modelu nowoczesnego, nie bojącego się ryzyka kapitalisty. Teraz, gdy Slater Walker jest rozłożony na łopatki, ten będzie następny, zobaczysz. — Henry popatrzył na Cathy i zrozumiał, że zaczęła już wprowadzać swój pomysł w czyn. — Czy zgłosił się do ciebie?

— Tak. Ale nie martw się, nic mu nie powiedziałam. Nie powiedziałam też, że traci czas. Byłam neutralna. Wiem, że masz rację, Henry, ale w nim cała nasza nadzieja. Przemysłmy to przez weekend. W poniedziałek trzeba będzie zdecydować. Wóz albo przewóz.

Cathy jechała w strugach deszczu do domu. Była na siebie wściekła, że sukces zawisł na włosku, bo popełniła klasyczny błąd, nie zapewniając sobie wystarczającego kapitału. Z goryczą przyznała w duchu, że była zbyt dumna. Chciała do wszystkiego dojść sama, po swojemu i bez niczyjej pomocy. Gdyby na samym początku okazała się na tyle rozsądna, by poprosić o pomoc, nie znalazłaby się w takich tarapatach.

Potem przyszła Monty, spięta i przygnębiona, co jeszcze bardziej pogłębiło nastrój Cathy. Monty przeskakiwała z tematu na temat, mówiła o kłopotach, jakie ma z nowym zespołem i nowym managerem. Nagle Cathy zorientowała się, że siostra przymawia się o pieniądze. Odmówiła jej szorstko, nie nawidząc siebie za to i za odbijanie sobie złego humoru na Monty.

— Przykro mi, Monty — powiedziała. — To naprawdę nieodpowiednia chwila, sama jestem w potrzasku i nie mam nawet na kogo zrzucić winy.

— Nie ma sprawy — zapewniła Monty. — Nie powinnam cię prosić.

Zresztą wcale nie chciałam. Nie przejmuj się mną, jakoś sobie dam radę.

TLR

Ku zaskoczeniu Cathy, w środę zadzwonił lord Shrewton. Zazwyczaj rozmawiał przez telefon monosylabami, ale tym razem wyraźnie starał się być elokwentny.

— Pomyślałem sobie, że zadzwonię, by spytać, jak sobie radzisz? — Silił się na niedbały ton.

— Świetnie mi idzie — skłamała Cathy, zaniepokojona jego pytaniem.

— Ten cały Samir rozpowiada, że zamierza przejąć waszą firmę. — Lord Shrewton był jak zawsze opanowany, ale w jego głosie wyczuwało się pewien niepokój.

— Naprawdę? — Cathy poczuła gniew i zawód. Henry miał rację co do Samira. Spotykając się z nim, popełniła błąd.

— Słyszałem, że już nie pracujesz dla kasy emerytalnej. .

— Uznali, że potrzebują innego rodzaju usług. To nie nasz profil.

Wszystko odbyło się polubownie.

— Złe wieści szybko się rozchodzą w City, Cathy. — Wyczuła, że lord Shrewton jest urażony jej powściągliwością. — Mam nadzieję, że jeśli będziesz miała jakiegokolwiek problemy, zgłosisz się najpierw do mnie. Wiesz, że uważam cię za członka rodziny.

Nawet Jamie nie potrafił wywołać uśmiechu na twarzy matki do końca weekendu. Cathy nie spała i w poniedziałek bardzo wczesnie pojechała do biura. Z ciężkim sercem rozejrzała się po pustych luksusowych pomieszczeniach. Nie czuła dumy z racji posiadania, tylko przygnębienie z powodu braku

przezorności.

Nagle usłyszała, że teleks w pokoiku na końcu korytarza wystukuje jakąś wiadomość. Poszła ją przeczytać. Przeczytała zaskoczona; ksiązę Hussain Shahzdeh prosił ją o natychmiastowe spotkanie w Paryżu.

Zaproszenie było naglące i nastrój Cathy od razu się poprawił. Zręcznie

poruszając palcami, potwierdziła szybko przyjęcie informacji, wydarła zadrukowany papier i zastanawiała się przez chwilę, co zrobić. Henry powinien

zjawić się w biurze za dwie godziny, a gdyby zdołała zobaczyć się z księciem jeszcze tego ranka, zdążyłaby wrócić po południu do biura.

Wiedziona szalonym pragnieniem, by na pół dnia uciec od swoich problemów, nabazgrała kartkę do Henry'ego, chwyciła granatowy kaszmirowy płaszcz i wybiegła z biura na ulicę. Kazała zaskoczonemu pracownikowi parkingowi przyprowadzić samochód i pojechała na Heathrow. Wiedziała, że na poranne loty do Paryża jest zawsze komplet, ale zdarzało się, że ktoś rezygnował i przy odrobinie szczęścia można było dostać się na samolot. Poszczyściło się. W poczekalni zadzwoniła do sekretarki, prosząc, by poinformowała księcia, że jest już w drodze.

— Wspaniale. Nie spodziewałem się pani tak szybko. — Księżę, ubrany w ciemny garnitur, otworzył ciężkie dębowe drzwi swego gabinetu i podszedł szybko, by powitać Cathy. Jego biuro mieściło się przy małej uliczce, pomiędzy gmachem Opery a Giełdą. Mówił dobrze po angielsku. Mocno uściśnął dłoń Cathy. Niemłoda już sekretarka o platynowych włosach, ubrana ze spokojną elegancją, podała herbatę, tłumiąc swą ciekawość.

— Co mogę dla pana zrobić? — spytała Cathy z nadzieją, że nadal promieniuje od niej spokój i pewność siebie, które zawsze były jednym z jej największych atutów. Wygładziła spódnice granatowego kostiumu, czując się nieco nieświeżo po podróży.

— To ja raczej chciałbym spytać, co mogę zrobić dla pani? — Pulchna twarz księcia o grubych czarnych brwiach miała sympatyczny wyraz, ale nie było na niej śladu uśmiechu. Cathy była bardzo zaskoczona, bo nie tego oczekiwała. — Z wielką uwagą śledziłem, jak inwestuje pani pieniądze mojej żony, i muszę przyznać, że jestem mile zaskoczony. Miała pani parę bardzo udanych miesięcy. Jestem przekonany, że pani firma mogłaby w tej chwili

bardzo szybko się rozwijać, gdyby tylko miała konieczny kapitał.

— Niewątpliwie — przyznała Cathy. Oboje przejrzeni się na wylot. Ta

TLR

rozmowa, jak stwierdziła Cathy z mieszaniną ulgi i podejrzliwości, była tylko towarzyskim menuetem zaaranżowanym dla zachowania jej twarzy. Książę dowiedział się o jej kłopotach tą samą drogą co lord Shrewton, może nawet od

niego, i miał zamiar zaproponować jej wsparcie finansowe, którego potrzebowała. Jedyne pytanie, które pozostawało bez odpowiedzi, brzmiało: dlaczego?

— Co by pani powiedziała, gdybym zaproponował pani pożyczkę, która pozwoliłaby na natychmiastowy rozwój firmy?

— Byłabym ciekawa, dlaczego chce pan to zrobić.

— W interesie mojej żony. Ona czuje się emocjonalnie zaangażowana w pani sukces.

Uwierzyła mu. Wiedziała, że książę jest szczerym człowiekiem, a z żoną łączy go szczególna więź. Ta kobieta fascynowała go. Potrafiła go chyba zdominować, choć był tak twardy i przebiegły. Cathy wyczuwała również, że książę ma zasady moralne, których nie posiada jego żona. Cathy uważała ją za

kobietę, która dając, zawsze spodziewa się dostać coś w zamian. Książę natomiast raczej nie wciągałby jej w transakcję, za którą kryłaby się jakaś pułapka.

— Pochlebia mi, że księżna tak mnie traktuje.

— Rozmawialiśmy o pani wczoraj i ustaliliśmy, że to ja powinienem złożyć pani propozycję, gdyż w chwili obecnej mam więcej płynnej gotówki.

Potem książę zachowywał się tak, jakby siedział nie tylko na milionach, ale i na czasie — kontynuował niezobowiązującą rozmowę, w której ani razu nie poruszono tematu, jak wysoka ma być pożyczka. Czyżby żadna suma nie przekraczała możliwości księcia? Cathy Przyjęła zaproszenie na lunch, który zjadła w towarzystwie książęcej pary w ich apartamencie. Potem wrosła do

biura księcia, ty odebrać dokumenty dotyczące pożyczki, które właśnie przygotowano, po czym samochodem księcia zawieziono ją na lotnisko Charlesa de Gaulle'a.

TLR

Po południu była już z powrotem w biurze. Usiadła i z triumfem skrzyżowała nogi na czarnym marmurowym blacie swego biurka.

— Jesteśmy uratowani — powiedziała Henry'emu, kiedy z zatroskaną twarzą stanął po drugiej stronie biurka. — Znalazłam baśniową matkę chrzestną. Albo ojca chrzestnego. Właściwie oboje Shahzdehowie zaproponowali mi pożyczkę. Spójrz. — Podała mu umowę, a Henry usiłował ją przeczytać, ale nie mógł się skupić.

— Tu musi być jakiś haczyk. Nie mają w tym żadnego interesu.

— Liczą sobie niezły procent.

— Można wymyślić sto innych sposobów spożytkowania gotówki.

— No cóż, jeśli jest w tym jakiś haczyk, to ja go nie widzę. Umowa jest perfekcyjnie prosta, jest jak wodoszczelna, niezatapialna i obita miedzianą blachą łódź. No co, masz zamiar tu sterczeć jak sierota, czy idziemy do Ritza na szampana?

Na weekend zamknęli biuro, by zainstalować tam nowy komputer i przyjęli do pracy dodatkowych dziesięć osób. Cathy odetchnęła z ulgą, gdy pierwsze dwa tygodnie przebiegło bez żadnych poważniejszych problemów.

Pewnego słonecznego czerwcowego dnia, gdy wybierała się właśnie na lunch, do jej gabinetu wmaszerowała drobna postać.

— Jamie! Ach tak, zapomniałam, że zaczęły się ferie. Myślałam, że najpierw pojedziesz do Coseley.

Jamie miał dziesięć lat, ale w swych szarych szkolnych spodniach i ciemnozielonej marynarce wyglądał poważniej. Nie był wysoki — w porównaniu ze swymi kolegami był drobny i niski — ale jego opanowany sposób bycia sprawiał, że wydawał się dojrzały od rówieśników.

— Pojechałem do Coseley, ale była tam tylko niania Barbara — odparł Jamie. — Zawsze tak jest, a ja dość już mam błakania się jak potępiona dusza,

rozmawiania ze służbą albo wałęsania się z wiejskimi dzieciakami. I nie chcę TLR

też zajmować się polowaniem, strzelaniem czy łowieniem ryb tylko po to, by nie zdechnąć z nudów. Chcę zamieszkać z tobą.

— Kochanie... — zaczęła Cathy bałamutnym tonem, którym przemawiają matki do krnąbrnych dzieci; obeszła biurko i usiadła obok syna. — Nie możesz zostać tu ze mną. Tu również nie będziesz miał nic do roboty. Jak pójdziesz do Eton, wszystko się zmieni.

— Ja nie chcę iść do Eton — odparł Jamie ze spokojem, wpatrując się w matkę błyszczącymi niebieskimi oczyma.

— Musimy o tym pogadać. — Cathy sięgnęła po telefon i połączyła się z sekretarką. — Proszę zadzwonić do Dorchester i powiedzieć, że spóźnię się, ale już jestem w drodze. I proszę nie łączyć żadnych telefonów. A teraz — zwróciła się do syna — powiedz mi, Jamie, dlaczego nie chcesz uczyć się w Eton?

— Bo nauczę się tam tylko łaciny i snobizmu. Nie zaprzeczaj, mamó, bo sama wielokrotnie mi to mówiłaś.

— Ale... — Cathy starała się znaleźć jakieś argumenty, lecz na próżno. Wiedziała, że syn ma rację. Prawdę mówiąc, nie było już teraz żadnych powodów, dla których Jamie nie mógłby z nią mieszkać. Rozkręcenie biznesu po prostu usunęło wszystkie inne sprawy z jej pola widzenia.

— Chcę z tobą zamieszkać, mamó, i chodzić do zwyczajnej szkoły w Londynie. Zdam egzaminy, jestem wystarczająco bystry. Potem chcę uczyć się w Oksfordzie i szkole biznesu w Ameryce. Chociaż jeszcze nie wiem, co sądzić o Harvardzie, bo nastawiają się tam raczej na zarządzanie z myślą o szybkim zysku, a szczerze mówiąc, wątpię, żeby za siedem lat takie myślenie było odpowiednie.

— Widzę, że wszystko już sobie obmyśliłeś...

— I chcę być kimś takim jak ty, a nie jak mój ojciec — ciągnął chłopiec.

— Ty naprawdę do czegoś doszłaś, mamó. I to o własnych siłach, a nie dlatego —  
TLR

go, że wyszłaś za mąż albo jesteś czyjąś tam córką. — Cathy wiedziała, że Jamie rozmyślnie potraça właściwe struny, i to także wzbudziło jej uznanie.

— Świetnie, przekonałeś mnie. Ale nie będę miała dla ciebie zbyt wiele czasu. Będziesz musiał sam sobie radzić.

— W porządku.

— Teraz porozmawiaj z dziadkiem — poradziła. — Powiedz mu to samo co mnie, a myślę, że się zgodzi.

Miała rację. Lord Shrewton na pierwszym miejscu zawsze stawiał zdrowy rozsądek i obowiązki wobec spadkobierców. Zgodził się więc na propozycję Jamiego z widocznym zadowoleniem. Charlie, który po rozwodzie z Lisą mieszkał w Los Angeles z nową amerykańską żoną, nie robił żadnych trudności i Cathy przyznano wreszcie sądownie prawo do opieki nad synem.

TLR

24

Rzęsiste strugi kalifornijskiego słońca kładły się na aksamitnym, szmaragdowozielonym trawniku. Kierowca włożył walizkę firmy Vuitton należącą do Veronique i torbę Monty z tureckiej dywanowej tkaniny do bagażnika.

— Możemy powiedzieć ci tylko jedno, Mirando: musisz teraz sama radzić sobie z życiem. Uda ci się to, jak będziesz się czuła za siebie odpowiedzialna i nie zaczniesz ponownie brać narkotyków czy czegoś innego, co zakłóca normalny kontakt z rzeczywistością — powiedział dyrektor ośrodka, ściskając jej dłoń na pożegnanie. Wsiadły z Veronique do samochodu i odjechały.

Veronique otworzyła torebkę i zaczęła w niej szperać.

— To twój bilet — powiedziała. — I reszta twoich pieniędzy, które mia-

łaś w Paryżu. Pożegnamy się na lotnisku.

Monty otworzyła kopertę z biletem i zobaczyła, że jest przeznaczony na lot do Londynu.

— Odsyłasz mnie do kraju? Dlaczego?

— *Madame* Bernard nie życzy sobie więcej się z tobą zadawać.

TLR

— Ale ja jestem winna jej pieniądze za ubrania. Co z tymi wszystkimi ciuchami od St. Laurenta, które mi kupiłaś?

— To bez znaczenia. *Madame* Bernard życzy sobie, byś wróciła do normalnego życia. Kazała ci powiedzieć, żebyś nie próbowała z nią się kontaktować.

Monty była oszołomiona. Przez trzy miesiące pobytu w ośrodku wisiał nad nią, jak wielki cień, niepokój, że po wyjściu stamtąd będzie musiała spłacić dług słynnej paryskiej *madame*. Myślała z przerażeniem o kolejnym spotkaniu z mroczną, bezwzględną kobietą, która obnażyła całkowicie jej duszę. Odczuwała też dla niej wielką wdzięczność i była ciekawa, dlaczego *madame* Bernard zdobyła się na to, żeby być dla niej tak dobrą w swym okrucieństwie. Monty wiedziała teraz, że tylko ona sama może ocalić swe życie, ale *madame* Bernard zmusiła ją do uświadomienia sobie tej prawdy.

— Może więc powiesz jej, że jestem naprawdę wdzięczna. — Czuła, że te błahe słowa nie są w stanie oddać całej głębi uczuć, jakie się za nimi kryły.

— Nie wiem, jak jej dziękować. Czuję, że dano mi szansę, by zacząć życie od nowa. Mogę chociaż do niej napisać?

Tęga blondyna skinęła głową.

— Możesz dać mi list. Dopilnuję, by trafił do kobiety, którą spotkałaś. To ją masz na myśli, prawda?

— Och, przestań udawać, Veronique. Przecież to była *madame* Bernard.

— Kto wie? Pracuję dla niej od dwudziestu pięciu lat i nigdy jej nie widziałem. Nie spotkałam też tej kobiety, z którą rozmawiałaś. Nic nie mogę ci



powiedzieć. Wiem tylko, że jesteś absolutnym wyjątkiem w historii tej organizacji. Gdyby ktoś próbował robić to co ty, dostałby nauczkę, której nigdy by nie zapomniał. Masz o wiele więcej szczęścia, niż na to zasługujesz.

Po terapii Monty czuła się jak nowo narodzona. Po raz pierwszy w życiu zobaczyła siebie taką, jaką naprawdę była. Uczciwie spojrzała sobie w twarz.

TLR

Przemyślała całe swoje życie i musiała przyznać, że do tej pory jej jedyną strategią obrony przed cierpieniem było odurzanie się alkoholem albo narkotykami.

Cathy czekała na nią na Heathrow. Wyglądała ślicznie i poważnie w czarnym kostiumie i białej jedwabnej bluzce z muszką przy kołnierzyku.

— Jak się czujesz? Wszystko w porządku? — spytała z troską w głosie, obejmując siostrę.

— Czuję się lepiej niż kiedykolwiek w życiu — zapewniła Monty. —

Tak się cieszę, że cię widzę, bardzo za tobą tęskniłam.

— Co to było za miejsce? Powiedziałaś tylko, że to ma coś wspólnego z narkotykami. — Cathy przyjrzała się uważnie siostrze, zdając sobie sprawę, że została oszukana.

— To był ośrodek odwykowy dla nałogowców — powiedziała Monty.

— Ale przecież ty nie jesteś uzależniona. To znaczy... wiem, że zawsze brałaś jakieś narkotyki, ale...

— Tak, jestem uzależniona, Cathy. Zawsze byłam i zawsze będę. Zmieniło się tylko to, że wiem teraz, jak z tym żyć. — Monty wiedziała, że siostra zmartwiłaby się, gdyby знаła całą prawdę o życiu, jakie wiodła przez ostatnie miesiące, i dlatego ujawniła jej tylko kilka najważniejszych faktów.

Słuchając jej, Cathy odczuwała skruchę i współczucie.

— Jakie to straszne, Monty. Tak się cieszę, że już wszystko dobrze. Gdybym tylko wiedziała, co się dzieje. Gdybym nie była tak obsesyjnie zajęta interesami... Dlaczego nie powiedziałaś mi, że masz takie problemy? — Cathy

nienawidziła się w duchu za swoją egoistyczną ambicję. Przecież mogła się domyślać, o co chodzi, po tej bladości Monty, jej chudnięciu, zachowaniu, w którym kryła się jakaś beznadziejność... Dlaczego nic nie zauważyła, dlaczego zawiodła osobę, którą tak kocha?

— Nie chciałam ci nic mówić, Cathy. To była jeszcze jedna rzecz, z którą TLR

nie mogłam sobie poradzić. Myślę, że było mi wstyd. Byłam pewna, że mnie potępisz. Myślę, że chciałam się zabić. Pamiętasz, jak sama chciałaś to zrobić?

Nic mi nie powiedziałaś, bo wiedziałaś, że cię powstrzymam. Byłam zdecydowana stanąć nad przepaścią.

Cathy przytuliła Monty, nie zważając na otaczający je tłum pasażerów.

— Nie wolno nam więcej tego robić. Masz rację, jesteśmy dla siebie jak koło ratunkowe. Pomagamy sobie unosić się na powierzchni. Jeśli jeszcze kiedyś się zdarzy, że oddalisz się ode mnie, będę wiedziała, co to znaczy...

Wsiadły do samochodu Cathy.

— Żyłam w innym świecie — powiedziała Monty. — Okłamywałam wszystkich, a przede wszystkim siebie. Nie zdawałam sobie sprawy, jakie to jest poważne, dopóki nie znalazłam się na dnie i musiałam wytrzymać bez narkotyków. Wtedy uświadomiłam sobie, że jestem zupełnie uzależniona.

— Nigdy sobie nie wybaczę, że pozostawiłam cię samej sobie.

— Nie mogłaś wiedzieć, co się ze mną dzieje, Cathy. Jak ktoś idzie na dno... Trzeba samemu to przeżyć, by zrozumieć. Ta kobieta, madame Bernard, wiedziała, do czego zmierzam, bo zapewne sama była kilka razy na dnie, i ja to wyczułam. Gdybyś ty próbowała wpakować mnie na odwyk, broniałabym się rękami i nogami. Kiedy ona to zrobiła, pogodziłam się z tą decyzją.

— Ależ to jest bez sensu. Dlaczego ktoś miałby robić coś takiego dla zupełnie obcej osoby? — Cathy pokręciła głową, a jej ciężkie ciemne włosy za-

falowały. — Nie ma nic za darmo, Monty. Ta kobieta chce czegoś od ciebie i pewnego dnia każe ci się odwdzięczyć.

Po powrocie do Londynu Monty stwierdziła, że w ciągu dwunastu tygodni jej nieobecności wiele się zmieniło. W mieszkaniu wynajmowanym na spółkę z Cindy znalazła liścik: Droga panno Bourton, proszę po powrocie zadzwonić pod ten numer. Pod spodem widniał nie znany jej podpis. Monty z-

TLR  
brała siły i zadzwoniła, a jakiś męski głos odpowiedział:

— Jestem bratem Cindy.

— Nie wiedziałam, że ma brata.

— Domyślam się, że nie mówiła zbyt wiele o swojej rodzinie. — Mężczyzna mówił z rezerwą. Dlaczego używał czasu przeszłego? — Czy była pani zaprzyjaźniona z moją siostrą?

Monty zastanawiała się nad odpowiedzią. Teraz, gdy otrząsnęła się z wywołanego przez narkotyki odrętwienia, uświadomiła sobie jasno, że Cindy czekała z cierpliwością drapieżnika na chwilę jej słabości i wtedy skłoniła ją do spróbowania heroiny. Potem, gdy Monty się uzależniła, dostarczała jej narkotyków i w ten sposób finansowała także własny nałóg. Czy kogoś takiego można uważać za przyjaciela?

— Prawdę mówiąc, nie znałyśmy się zbyt dobrze — powiedziała Monty.

— Wobec tego mam nadzieję, że nie poruszy panią zbytnio wiadomość, że dwa miesiące temu znaleziono moją siostrę martwą. Przypadkowo wstrzyknęła sobie nadmierną porcję jakiegoś narkotyku. Pewnie pani wie, że była narkomanką?

Monty złożyła mu wyrazy współczucia, zdobywając się na stosowny do sytuacji ton. Odniosła wrażenie, że bratu Cindy niespecjalnie na niej zależało. Choć Cindy była okrutna i wyrachowana, Monty z bólem przyjęła wiadomość o jej śmierci. Poza tym była przekonana, że nie był to wypadek. Cindy potrafiła kontrolować swój nałóg. Nie należała do tych, którzy przez pomyłkę

przedawkują albo upiją się, zapomniawszy, ile wcześniej zażyli heroiny. Monty nie chciała zostać w mieszkaniu. Mogłaby iść do Cathy, ale to rozwiązałoby sprawę tylko na parę dni. Monty kładła się spać zazwyczaj około trzeciej nad ranem, a Cathy wstawała przed piątą. Tego nawet tak kochające siostry długo by nie wytrzymały.

Zadzwoiła więc do Jaskółki Lamotte, która od razu zaproponowała, by TLR

zamieszkała z nią i podjęła dawną pracę. Od roku 1965 Jaskółka trzykrotnie zmieniała nazwę swojej firmy, dwukrotnie ją sprzedawała i raz zlikwidowała. Obecnie firma nazywała się Urban Survival Services, a wszyscy pracownicy nosili białe podkoszulki z czerwonym nadrukiem USS.

Jaskółka przekształciła się z trzpiotowatej, rozdokazy— wanej blondynki w dynamiczną kobietę o farbowanych na rudo włosach i sylwetce afrykańskiej bogini płodności. Nadal miała cudowne nogi i pełne, miękkie usta. Tusza nie wpłynęła na jej styl ubierania się. Nosiła purpurowy kombinezon, różowe poncho i czerwone, kowbojskie buty.

— Zjawiłaś się w samą porę — oświadczyła, gdy Monty przyszła pierwszego dnia. — Mamy pięć osób, które chcą mieć punkowe kelnerki do obsługi

przyjąć, musimy też znaleźć czołg na koncert Davida Bowie, który ma się odbyć w przyszłym tygodniu w Battersea Park. Poza tym nie zamieszkasz u mnie, ponieważ trzeba zaopiekować się apartamentem Jacka Nicholsona. Zanim wróci ze zdjęć, zatrzymasz się tam. W następnym tygodniu przylatuje Joe Jones Band. Wtedy dopiero będzie gorąco.

— Nie wątpię — odparła Monty. Była przygnębiona, że znowu znalazła się na peryferiach biznesu muzycznego, znowu była dzieckiem stojącym z nosem przyklejonym do wystawy sklepu i wpatrującym się smętnie w smakołyki, których nie może spróbować.

— Po co przyjeżdża Joe Jones Band? Czyżby kolejne tournée?

— Nie, nagrywa tu album w Paleward Priory. A tu masz rejestr. — Ja-

skółka postawiła przed nią plastikowe pudło z Uszkami. — Znajdź mi sześć punkówek dla lady Swabo na dzisiejszy wieczór, o ile to możliwe, blondynki. W ciągu roku zbuntowane punki zostały połknięte przez brytyjski system społeczny, mający tendencje do wchłaniania wszelkich odszczepieńców. Turcyści zaczęli włóczyć się po peryferiach Chelsea i wypatrywać dziwnych stworzeń z agrafkami w nosach, które w sobotnie popołudnia ubierały się w dziwaczne stroje, opuszczały domy na przedmieściach, by uczestniczyć w TLR

skandalicznych bacha-naliach na krańcach King's Road.

Biffo Records została przejęta przez dużą kompanię amerykańską, a Sig Bear miał opinię pierwszego potentata punkowego.

Jaskółka tak zawałiła ją pracą, że Monty nie miała czasu, by pomyśleć o czymś innym poza odbieraniem telefonów i wysyłaniem listów. Raz w tygodniu chodziła na spotkania, które odbywały się na zapleczu włoskiej kawiarenki, gdzie na parę godzin znów stawała się Mirandą uzależnioną od narkotyków i czerpała siłę z tego, że знаła swoją słabość. Potrzebowała tej siły, by docenić swe nowe życie.

— Masz ochotę się napić? — spytała Jaskółka, odkorkowując swą codzienną butelkę Liebfraumilch.

— Nie, dziękuję, już nie piję alkoholu.

— Papierosa? — Podtykano jej paczkę ze dwadzieścia razy dziennie, a małe, białoczerwone biuro obok punkowego butikum ze skórzaną odzieżą spowijały wciąż kłęby dymu.

— Rzuciłam palenie — odpowiadała.

— Masz ochotę na linijeczkę? — pytali przyjaciele Jaskółki, pożyczając od niej lusterko do przygotowania działek z kokainy.

— Dziewczyno, przyszedł w samą porę, właśnie zaczynamy — powitał ją Winston, podając jej grubego skręta.

Monty postanowiła odszukać dawnych przyjaciół.

— Może umówimy się na obiad? — zaproponowała Rosannie. Poszły do San Lorenzo przy Beauchamp Place i Monty natychmiast pożałowała wyboru tego miejsca, gdyż spotkała tam z tuzin osób z przemysłu muzycznego, którym musiała tłumaczyć, że wbrew temu, co utrzymywał Sig Bear tydzień wcześniej, wcale nie skończyła nagrywania albumu dla Biffo na południu Francji.

TLR

— Czy wiesz, że zostałam sama z dziećmi? — spytała Rosanna, ponuro wtykając w usta liść cykorii i z trudem odwracając oczy od tacy ze słodyczami. — Jonathan nas zostawił. Odkryłam, że połowę czasu, który niby spędzał służbowych wyjazdach zagranicznych, tak naprawdę trwonił ze swoją sekretarką. Jak to możliwe, żeby mnie spotkało coś tak trywialnego?

— Zdaje się, że każdą z nas wcześniej czy później to spotyka.

Rosanna była pulchnawa, ale pociągająca. Miała na sobie szarą garsonkę Karla Lagerfelda i różową krep— deszynową bluzkę z zażółceniem.

— Oczywiście zostawił mi dom, a poza tym był bardzo hojny, ale nie zamierzam być trutniem pobierającym alimenty. Mam agenta, który twierdzi, że zdoła załatwić mi jakąś pracę w operze.

— Świetnie, zawsze miałaś lepszy głos ode mnie.

— Szkoda tylko, że nie zaczęłam go używać wtedy, gdy ty to zrobiłaś.

Muszę teraz ukrywać swój wiek. Mój agent mówi, że żadna europejska opera nie zainteresuje się śpiewaczką, która ma mniej niż trzydziestkę. Czy ja wyglądam na trzydzieści lat, Monty? Powiedz szczerze.

— Nie, oczywiście, że nie — skłamała Monty.

Rosanna skończyła sałatkę i westchnęła.

— Jesteś taką szczęściarą, masz talent, Monty. Chciałabym mieć taki. Ty zrobisz karierę, a ja będę tylko robić głupstwa i się zabawiać.

Taca ze słodyczami znów przewędrowała koło ich stolika.

— Jak myślisz, ile kalorii jest w tych czekoladowych ciastkach?

— Miliony. Zamówmy sobie kilka — zaproponowała Monty, przywołując ręką kelnera. Było jej głupio, że Rosanna zazdrości jej kariery, która utknęła w martwym punkcie, i talentu, który ciążył jej jak trudny do wypełnienia obowiązek.

TLR

— Co oni robili z tobą w tym ośrodku? — spytała Jaskółka, gdy Monty wróciła do biura po obiedzie najwyraźniej zupełnie trzeźwa.

— Po prostu siedzieliśmy i gadaliśmy. Nigdy nie czułam się tak kochana. Wspaniale było być z tymi ludźmi, odkrywać przed nimi, jakim się jest naprawdę, i czuć, że cię akceptują.

— No cóż, przynajmniej twoja cera nie wygląda już jak wystygłe ziemniaki. A co z twoimi ciuchami?

Monty codziennie nosiła dżinsy i koszulkę z napisem USS, a jak było zimno, wkładała na to stare sztuczne futro.

— Są w mieszkaniu Cindy, o ile jej brat nie wyrzucił. Nie chcę już tych ciuchów. One nie miały nic wspólnego ze mną, były dla ludzi, dla których pozowałam.

— Ta skórzana kiecka była świetna.

— Czułam się w niej jak kurwa.

— Cholera jasna, nie zniosę tej twojej czystości. Może jeszcze wstąpisz do zakonu?

— Wiesz, czułam się idiotycznie, zgrywając się na wampa i pokazując cycki.

— A co masz zamiar teraz zrobić? Zmienisz swój image?

— Nie wiem. Na pewno nie chcę już być Ruby Slippers. To był tylko zły sen.

— A co powiesz Sigowi?

— Nie wiem, muszę się zastanowić.

— No to się lepiej pośpiesz, bo widzę go za oknem.

Monty zatkało ze strachu, ale po chwili zebrała wszystkie siły, by się opanować. Wiedziała, że choć ona unika kontaktów TLR

z Sigiem, on nigdy nie rezygnuje z konfrontacji. Miał zwyczaj uderzać pierwszy. Dlatego też był potentatem, kiedy ona była w rozsypce.

— Mała! — zawołał stojąc w drzwiach, gruby, uśmiechnięty. Czarne włosy były wygolone, tylko na środku głowy sterczał mohikański skalp. Miał na sobie drogą kurtkę z czarnej skóry. Wyciągnął do Monty ramiona.

— Cześć, Sig.

— Mała! Czy to wszystko? Po prostu „cześć”? Nie będzie całusa dla Siggiego? Gdzie się podziewałaś? Nawet nie przysłałaś pocztówki! Tęskniłem za tobą. — Pocałował ją w policzek.

— Zostawię was samych, zakochane ptaszki — powiedziała Jaskółka, wychodząc z biura. — Będę w pubie.

Monty uznała tę sytuację za próbę. Starła się przypomnieć sobie różne sfingowane sytuacje, które odgrywała w ośrodku, by nauczyć się stanowczości w takich wypadkach jak ten. Przede wszystkim należało sprawdzić „język ciała”. Po co kryła się za biurkiem, pozwalając Sigowi, by stał nad nią?

— Doszły mnie wieści, że już nie ćpasz? — Monty skinęła głową. — Świetnie mała, świetnie. Teraz wreszcie wrócimy do biznesu.

— Usiądź — powiedziała podsuwając mu krzesło Jaskółki i siadając naprzeciw niego w pewnej odległości.

Tak już lepiej. A teraz kontakt wzrokowy. Monty miała akurat taką samą ochotę patrzeć Sigowi w oczy, co pocałować kobrę, ale musiała to robić. Zauważyła, że jego oczy są przekrwione. A teraz powiedz to, co chcesz, w miłym, chłodnym stylu, bez żadnych podtekstów emocjonalnych — pomyślała.

— Sig, nie chcę już być Ruby Slippers. Czułam, że mi to nie idzie. Myślę, że zrobiłam błąd, wybierając taki kierunek. Wiem, że podpisaliśmy kontrakt i chcę dotrzymać umowy, ale nie w ten sposób. Wydaje mi się, że nie to



chciałeś ode mnie usłyszeć?

— Żebyś wiedziała. — Sig wstał z miejsca i agresywnym gestem włożył TLR

ręce do kieszeni. — Chciałem usłyszeć, że wreszcie się pozbierałaś, przestałaś

ćpać i wróciłaś do rzeczywistości, w związku z czym masz zamiar wziąć się do roboty i skończyć mój album.

— Skończę twój album, ale nie za cenę mojej tożsamości.

— Twoja pierdolona tożsamość! Nie posuwaj mi takich bredni!

Monty miała ochotę rzucić w niego registratorem, zmiażdżyć sarkazmem, albo zacząć wrzeszczeć. Zebrała jednak siły, by móc nadal trzymać się planu gry, zaczerpnęła głęboko powietrza i powiedziała:

— Przerażasz mnie, jak krzyczysz, Sig.

— O rany, ale jesteś patetyczna — powiedział spluwając i zaczął przechadzać się po biurze sztywnym krokiem.

— No dobra, rób jak chcesz. Wiem, że nie wycisnę krwi z kamienia. Jak chcesz spieprzyć błyskotliwą karierę, to twoja sprawa. Drugi raz już nie będziesz miała takiego furtu.

Monty milczała. Poczula się lepiej, już się go nie bała.

— A więc zdecydowanie nie wracasz? — spytał wreszcie Sig, opierając się na kłykciach jak goryl.

— Nie chcę — odparła.

Odwrócił się gwałtownie i ujął klamkę.

— Kocham cię, mała. Pamiętaj o tym.

Potem wyszedł, a drzwi zatrzasnęły się za nim. Po jakimś czasie zjawiała się Jaskółka.

— Widziałam go, nie wyglądał na zachwyconego.

— Powiedział, że mnie kocha — mruknęła Monty z powątpiewaniem.

— Naturalnie, że cię kocha, ma to wypisane na twarzy. W przeciwnym razie nie czołgałby się u twoich stóp.

TLR

Monty wstała i zmierzwiła dłonią włosy.

— No cóż, skoro mnie tak kocha, miał niewątpliwie dziwny sposób okazania tego. Nie szczędził w końcu wysiłków, by mnie niszczyć. Chciał mieć po prostu zrobioną na zamówienie artystkę, która zarobi dla niego trochę forsy.

— Wszyscy mężczyźni w dziwny sposób okazują miłość

— powiedziała Jaskółka, zamykając biuro i prowadząc Monty do pubu.

— Boją się wystawiać na ciosy, nie ufają kobietom. Za seksem kryje się władza, nie skapowałaś tego jeszcze?

Był piękny majowy wieczór, jeden z tych, gdy Londyn wydaje się nowym, czystym miastem. Monty wyprostowana się, przechodząc przez ulicę. Czuła się pełna nadziei tylko dlatego, że powietrze było świeże, a ona wolna. Następnego ranka Jaskółka odebrała telefon, po czym zaczęła oblesnie chichotać, sporządzając notatkę.

— Masz — powiedziała wyrywając kartkę z notatnika. — Potrzebujemy wielkiej bryki dla Joego Jonesa.

Na kartce zapisała: „Amerykański samochód, duży, robiony na zamówienie, najlepiej czerwony”. Monty podniosła słuchawkę i zadzwoniła do londyńskiego króla samochodów robionych na zamówienie, który mieszkał w domu za gazownią w Fulham.

— Chyba wiem, gdzie znaleźć coś takiego — powiedział. — Facet chce wynająć czy kupić?

— Kupić! — zawołała Jaskółka. — Do piętnastu tysięcy.

Samochodowy król przywiózł tego samego popołudnia

lśniącego Chevroleta z lat pięćdziesiątych. Był cały w chromie i tak szczerze ozdobiony różnymi bajerami, że wyglądał jak kosmiczny statek piracki. Czerwony metalik bardziej pasowałby na szminkę niż samochód, który miał jeździć po zapchanych londyńskich ulicach. Kosztował szesnaście tysięcy.

TLR

cy funtów.

Jaskółka i Monty dawno już wyspecjalizowały się w kupowaniu samochodów.

Monty wsiadła do środka, uważając, by nie zadrapać białych skórzanych foteli.

— Stereo nie działa! — zawołała.

Jaskółka zmierzyła lodowatym wzrokiem króla samochodów. Monty otworzyła jedno z tylnych drzwi.

— Drugie drzwi się nie otwierają — zawołała znowu.

— To świetna robota — zachwalał sprzedawca, oblizując wargi. — Nie-naganny silnik, wyciąga sto dziesięć.

Monty włączyła rozrusznik, silnik pracował niemrawo.

— Myślę, że potrzebny jest nowy akumulator — oświadczyła.

— Słuchaj no — powiedziała Jaskółka do przebierającego nerwowo nogami sprzedawcy. — Pousuwaj wszystkie usterki, przywieź go jutro o tej porze i damy ci piętnaście tysięcy. — Odwróciła się na pięcie, dając do zrozumienia, że dyskusja skończona. — Potem możesz go zawieźć do Paleward Priory — oświadczyła, patrząc na Monty.

Priory był to duży dom z szarego kamienia, wybudowany w czternastym wieku, potem wielokrotnie przebudowywany, aż wreszcie uzyskał kształt litery L. Miał gotyckie okna, z których roztaczał się widok na rozległą dolinę i rzekę. Za domem był las należący do hrabstwa, tak ugłaskany ręką człowieka, że rosnące tam drzewa wyglądały jak z plastiku.

W ciągu ostatniego dziesięciolecia Priory należał kolejno do trzech wielkich gwiazd rockowych. Każda z nich ozdabiała go zgodnie z własnymi upodobaniami. Pierwsza urządziła studio nagraniowe na tyłach domu, druga zmieniła ogród, by zmieścić się tam basen, w którym woda była zawsze zbyt

TLR

zimna, żeby w niej pływać, a trzecia zapełniła park rzeźbami dzikich zwierząt afrykańskich wykonanych z włókna szklanego. Monty była zaskoczona, gdy skręciła czerwonym Chevroletem na drogę prowadzącą do posiadłości i ujrzała „zamarzniętą” rodzinę żyraf stojącą pod kasztanami.

Członkowie zespołu Joe Jones Band byli równie hałaśliwi i długowłosi jak wtedy, gdy ich widziała po raz pierwszy. Joe, nawet jak był w koszuli, miał w swej powierzchowności coś, co elektryzowało atmosferę. Chociaż Monty z pogardą przyglądała się, jak duzi chłopcy zachwycają się nową zabawką, musiała przyznać, że Joe jest świetnie zbudowany.

— Jak zamierzasz wrócić do Londynu? — spytał. — Może odwieźć cię na stację? — Absurdem byłoby odmawiać, więc Monty usiadła obok niego, a Joe skierował powoli nadwerężonego i przepłaconego potwora na wąską wiejską drogę.

Samochód miał z przodu jedno wspólne siedzenie, co przywodziło na myśl ludzi obmacujących się w kinach samochodowych. Ciekawe, ile czasu upłynie, zanim jakaś głupia grupie zdobędzie na tym siedzeniu kolejne nacięcie na swym olstrze — pomyślała Monty, rzucając ukradkowe spojrzenia na Joego.

Gdy wyjechali na autostradę, Joe skręcił na szybki pas, trzymając kierownicę dwoma palcami. Uważa pewnie, że się podniecę, gdy zacznę umierać ze strachu — pomyślała Monty, kręcąc się niepewnie na siedzeniu.

— Przepraszam, czy jadę za szybko? — spytał Joe, zjeżdżając na pas przeznaczony dla wolniej jadących samochodów i zmniejszył szybkość poniżej limitu. — Chciałem tylko sprawdzić, czy dociągnie do końca licznika, nie miałem zamiaru cię wystraszyć.

— Co za protekcyjnalny bałwan! — powiedziała Monty Jaskółce następnego dnia. — Dlaczego faceci są tacy infantylni? Szkoda, że nie widziałaś, jak łazili po tym głupim samochodzie i czuli się tacy męscy tylko dlatego, że mają bombowego czerwonego fiuta na autostradę.

TLR

— A co byś powiedziała, gdybym poprosiła, żebyś zajęła się nimi przez parę tygodni? — spytała Jaskółka. Miała trzy linie telefoniczne zajęte i słuchawkę wiszącą na każdym ramieniu.

— Nawet Mussolini nie dałby sobie z nimi rady, z tym ich upodobaniem do różnych drak i innych starych numerów.

Jaskółka odłożyła jedną słuchawkę, burknęła coś opryskliwego do drugiej i kazała czekać na odpowiedź trzem pozostałym telefonom, na których migały światełka.

— Chcą mieć kogoś do zajmowania się domem i tak dalej, a ty jesteś najodpowiedniejszą osobą, jaką znam.

Monty zrozumiała, że Jaskółka prosi ją, by spędziła lato w Priory z pięcioma rozochoconymi samcami.

— Nie, Jaskółko, nie ma mowy.

— A właśnie, że tak. Nie mogę powierzyć tego nikomu innemu. Jack Nicholson zachwycał się, że tak wspaniale podlewałaś jego palmy.

— Nie mam ochoty spędzać najlepszego lata w moim życiu na oganianiu się od pięciu opętanych seksem kretynów, którym wydaje się, że są darem bożym dla kobiet.

— Daj spokój, Monty. Powinnaś się cieszyć. Boisz się, że cię zgwałcą, czy co?

Jaskółka z dużą przenikliwością odgadła źródło nie pokoju Monty. Agresywna męskość Joego rzeczywiście budziła w niej lęk o podłożu seksualnym.

— Czy naprawdę nie możesz wysłać tam kogoś innego? \_ spytała z rezygnacją w głosie.

Po spędzeniu niespełna dnia w Paleward Priory Monty zorientowała się, że Joe Jones Band był w trakcie rozpadu. W domu panowała atmosfera wza-

TLR

jemnych pretensji, Joe i Al spędzali cały dzień zamknięci w studiu, a pozostali

trzej członkowie zespołu wałęsali się po domu, pili i zabijali czas, grając w bilard.

Monty wypchała lodówkę piwem, które rozślawiło Milwaukee, i pojechała na wieś, by zamówić steki, bekon i fasolę. *Chili con carne*, kanapki z bekonem i *barbecue* zazwyczaj trafiały w gust takich supermęskich mięsożerców. Dom był w całkiem niezłym stanie dzięki sprzątacze, która przychodziła codziennie z pobliskiej wsi.

W pokoju muzycznym stał wielki fortepian z czarnym lśniącem jak lustro blatem. Monty otworzyła klapę i zagrała parę akordów, czując, że instrument był długo nie używany. Miał wspaniały dźwięk, szczególnie w niższych rejestrach.

Zagrała zapomniany w połowie fragment z Chopina, potem spróbowała *Are You Lonesome Tonight*, co poszło jej lepiej, lecz brzmiało niedorzecznie na tym wykwintnym instrumencie. Wreszcie zaczęła grać swoje utwory, wsłuchując się, jakie brzmienie nadaje im głęboki, delikatny dźwięk fortepianu. Był trochę rozstrojony. Dysonans ten prawie dodawał mu uroku, przypominał lekkie utykanie jej siostry — maleńka usterka uwydatniająca doskonale piękno. Znowu przypomniała jej się jakaś melodia i Monty westchnęła. Bez względu na to, co robiła, zawsze wracała do swojej muzyki.

— Myślę, że fortepian w pokoju muzycznym wymaga nastrojenia — powiedziała przy kolacji. — Mogę wezwać kogoś z Londynu, żeby się tym zajął?

Atmosfera przy kolacji była nie do zniesienia. Joe, Al, pracownik studia i Monty jedli w kuchni, a reszta zespołu wzięła jedzenie i poszła do pokoju.

— Oczywiście, załatw to — zgodził się Joe, sięgając po sałatkę.

Monty zauważyła, że nie nakłada sobie chili. Zjadł tylko sałatkę z siekanymi jajami i cebulą. Zapadła niezręczna cisza.

— Myślę, że powinienem ci wyjaśnić, co się tu dzieje

TLR

— powiedział wreszcie Joe. — To ostatni album, który jesteśmy zobowiązani nagrać, i mieliśmy nadzieję, że wytrzymamy jakoś razem do końca, ale... ale nam nie wychodzi. Chcemy się rozejść.

Jakie to aroganckie z jego strony, że mówi „my” mając na myśli tylko siebie” — pomyślała Monty.

— Postanowiliśmy więc postawić naszą wytwórnię płyt przed faktem dokonanym. Al nagrywa tu album solowy, a ja jestem jego producentem.

Monty zaczęła zbierać naczynia ze stołu, a mężczyźni wstali, by jej pomóc.

— A nie trafi ich szlag, jak się dowiedzą, co jest grane?

— Chyba tak. Myślę jednak, że się uspokoją, jak przesłuchają taśmy. W przyszłym tygodniu wyskoczę, żeby się spotkać z tymi facetami, będą akurat w Londynie. Liczę na to, że dadzą się przekonać.

Monty zrobiła kawę, Joe został, a pozostali dwaj wypili szybko i wyszli.

Położył nogi na stole i czyścił zęby wykałaczką, przyglądając się, jak Monty kończy wkładać naczynia do zmywarki. Czuła się skrępowana wiedząc, że na nią patrzy.

— Musisz mieć bardzo dobry słuch, skoro wiesz, że fortepian jest rozstrojony — powiedział. Monty milczała.

— Słyszałem, jak grałaś dziś po południu — ciągnął.

— Jestem pewien, że już to gdzieś słyszałem. Czy nie wydałaś jakiejś płyty?

— Tak — powiedziała strzepując ścierki. Chciała, żeby wreszcie przestał ją wypytywać.

— Czy nie byłaś przez jakiś czas dziewczyną Ricka Browna?

— Przez siedem czy osiem lat.

— A nie spotkaliśmy się przypadkiem podczas naszego poprzedniego

TLR

pobytu w Londynie?

Monty miała coraz bardziej dość tego przesłuchania. Pytanie Joego zawisło w powietrzu, było jak rzucona rękawica.

— Tak, przedstawiła nas sobie Cindy Moon.

Na pełnych, wyraźnie wykrojonych ustach Joego pojawił się cień uśmiechu. Pochylił się, zdjął nogi ze stołu i wyrzucił wykałaczkę.

— Dlaczego od razu nie powiedziałaś? Byłem pewien, że skądś cię znam.

— Byłam wtedy kimś innym. I nie ma to nic wspólnego z tym, kim jestem teraz. — Po co traciła swą z trudem wyuczoną uczciwość na tego śmiecia? Dlaczego się nie zamknie i nie wyjdzie z kuchni? Czuła, że musi uciec od

dalszej rozmowy, więc powiedziała: — Jeśli nie potrzebujecie nic więcej, pójdę się położyć.

— Oczywiście — odparł wstając. — Przepraszam, że cię zatrzymałem.

Kolacja była świetna.

— Nie jadłeś za wiele.

— Właściwie to jestem wegetarianinem. Powinienem cię chyba uprzedzić.

Monty nie mogła zasnąć. Po głowie błąkały jej się różne myśli i czuła jakiś fizyczny niepokój. Odrzuciła koce i otworzyła okna, przez które wtargnęło świeże powietrze pachnące kapryfolium.

Zapadła w niespokojny sen, ale obudziła się w środku nocy cała zlaną potem, z rozpaloną skórą. Coś jej się śniło, ale nie mogła sobie przypomnieć.

Odwróciła się na drugi bok i poczuła znajomą wilgoć między nogami. A więc to tak. Monty przejechała rękami po całym ciele i poczuła, że jej piersi przenika rozkoszne mrowienie, a skóra budzi się do życia. Wiele czasu minęło, od kiedy się kochała, bo miała na to ochotę, a nie tylko zmuszała się do

TLR

tego.

Nazajutrz w drzwiach kuchni pojawiła się znajoma twarz. To był Tony, gitarzysta, który grał w jej zespole, kiedy była Ruby Slippers.



— Co ty tu robisz? — spytała robiąc mu kawę.

— Joe chce, żebym nagrał parę sesji do tego albumu. — Tony zupełnie się nie zmienił. Nadal był szczupły, schludny, blady jak albinos i rzeczowy. Monty stwierdziła w duchu, że cieszy się z tego spotkania.

— Joe jest na przejażdżce konnej. Zwykle wraca mniej więcej o tej porze.

— Podoba ci się? — spytał Tony, bezpośredni jak zawsze.

Monty przybrała niezdecydowany wyraz twarzy i wyduła usta.

— Nie mogę go rozgryźć — powiedziała. — Wkurza mnie, że oni wszyscy tak szpanują tą swoją męskością.

— Joe wcale nie jest taki jak oni wszyscy. Wiele przeszedł. To fascynujący facet, byłem pewien, że się w nim zabujasz. — Tony pokręcił głową, dając do zrozumienia, że preferencje seksualne kobiet należą do największych tajemnic wszechświata. — Jest sierotą — ciągnął Tony. — Matka porzuciła go w indiańskim rezerwacie, jak był mały. Był alkoholikiem w wieku czternastu lat, potem się z tego wyciągnął i wstąpił do piechoty morskiej, skąd go wywalili. Pojechał do Nowego Jorku, załapał się do zespołu. Resztę już wiesz.

— Ile on ma lat? — spytała Monty, uświadamiając sobie nagle, że może być od niego starsza.

— Około trzydziestki.

— Był kiedyś żonaty? — No dobra — przyznała w duchu — obchodzi mnie, chcę wiedzieć.

— Tak, chyba tak. Ale teraz nie ma nikogo. Myślę, że za dużo wie o kobietach. To niesamowite, że tak na niego lecą.

TLR

Usłyszeli szuranie butów jeździeckich na wycieraczce i ujrzeli Joego, w dżinsach obdartych na kolanach i białym podkoszulku uwalanym w błocie.

— Tak to jest, jak koń podejmuje samodzielną decyzję przeskoczenia płotu — wyjaśnił. — Obtarłem sobie rękę. Jest tu gdzieś jakiś bandaż?

Wziął prysznic i usiadł na brzegu wanny, a Monty owijała mu rękę bandażem elastycznym.

Nie była w stanie dłużej ignorować sygnałów, które wysyłało jej ciało.

Skrecała się z pożądania. Już sama bliskość tego półnagiego mężczyzny, patrzenie na kropelki wody kapiące z jego długich mokrych włosów na muskularny tors sprawiały, że zapierało jej dech w piersiach.

Myślała wciąż o jego szerokich, kościstych dłoniach z długimi palcami o owalnych paznokciach, wyobrażała sobie, jak ją obejmują, pieszczą, wyobrażała sobie, jak Joe zanurza się w jej gorące, całe wilgotne z oczekiwania wnętrze.

— Co ja mam robić? — spytała Jaskółkę przez telefon. — Za każdym razem, jak wchodzi do pokoju, staje mi serce.

— Może daj się zerznąć? — zasugerowała Jaskółka praktycznym tonem.

— I wpaść w łapy kolejnego supersamca, takiego jak Rick? A może dać się maltretować, jak to było z Sigiem? Daj spokój, potrzebne mi to jak dziura w moście.

— Nie musisz przecież od razu wpadać w jego łapy. Prześpij się z nim i daj sobie spokój — poradziła Jaskółka.

— Nie mogę.

— Dlaczego? Wszystkie tak robią. Jak dobrze pójdzie, nawet nie zauważą.

— Dziękuję ci, właśnie to chciałam usłyszeć.

TLR

— Staram się tylko coś ci doradzić.

— Na litość boską, ja mówię poważnie! Bezczynność, ten pokarm żądz, rozniecała płomienie.

Monty stwierdziła, że w każdej wolnej chwili zastanawia S1? co robi Joe, jest wciąż myślą przy nim, kierowana busolą pożądania. Kiedy był blisko, miękkły jej kolana, a w głowie miała pustkę.

Zrobiła desperacki wysiłek, by uwolnić się od obsesyjnego zainteresowania Joem i zaczęła spędzać całe popołudnie przy fortepianie, starając się skomponować piosenkę. Szło jej bardzo opornie i wpadła w przerażenie. Czy to możliwe, że straciła talent, ten dar, którego nigdy nie doceniała, bo zawsze go miała na zawołanie, który niemal znienawidziła, bo tyle musiała z siebie dawać?

Chciała napisać piosenkę o nieszczęśliwym życiu z brutalnie dominującym mężczyzną, o bólu, jaki niesie podporządkowanie się jego egoistycznym potrzebom. Miała ten utwór w głowie. Był bardzo ponury, gorzki i podobny do utworów Billy Holiday, ale wspaniały fortepian nie potrafił wydać z siebie przejmującego tonu, o jaki jej chodziło.

Jaskółka ma rację — stwierdziła wreszcie. — Muszę mieć Joego.

Monty знаła wszystkie sztuczki prowokujące zbliżenie seksualne i zaczęła je bezwstydnie stosować.

Stawała zbyt blisko Joego, niby przypadkiem dotykała go, jej dłoń zbyt długo i zbyt znacząco zaciskała się na jego umięśnionym ramieniu. Wpatrywała się w jego czarne przepastne oczy i czuła podniecający dreszcz, gdy jej zmysłowe spojrzenie padało na usta Joego.

Flirtowała z nim bezczelnie, aż wreszcie każda rozmowa przeistaczała się w pole minowe wymownych dwuznaczników. Joe był bardzo uprzejmy, lecz Monty podejrzewała, że niestety, unika bycia z nią sam na sam.

Pewnego dnia poszła na spacer w deszczu i wróciła do domu bez tchu,

TLR

cała przemoczona. Podkoszulek przylegał do jej piersi i podkreślał nabrzmiąle

sutki. Wiedząc, że jest w tym stanie nieodparcie pociągająca, naumyślnie wpadła w ramiona Joego w przejściu — czy raczej zrobiłaby to, gdyby nie cofnął się gwałtownie, tak jakby podejrzewał, że go ugryzie, jeśli natychmiast nie cofnie ręk.

Potem cierpiała katusze, czując przez parę sekund ciepło i dotyk ciała,

którego tak bardzo pragnęła. Zastanawiała się właśnie nad podjęciem jakichś bardziej radykalnych kroków, gdy Joe niespodziewanie wszedł do kuchni.

— Ten cholerny samochód zaczyna się sypać — powiedział unikając wzroku Monty. — Dziś rano odpadła rura wydechowa. Mogłabyś pojechać do warsztatu?

Król samochodów poradził, by zawiozła Chevroleta do warsztatu znajdującego się w północnej części Londynu, gdzie specjalizowano się w naprawie amerykańskich wozów. Specjalizowano się tam też najwyraźniej w muzyce reggae, gdyż dudniła na całej wąskiej uliczce z kolosalnego wzmacniacza. Dwóch mechaników w rastafariańskich czapkach i błękitnych kombinezonach podniosło samochód na platformie hydraulicznej i wyciągnęło resztki starej rury wydechowej, ruszając się wciąż w takt muzyki. Trzeci stał z boku i przyglądał się trzymając w ręku grubego skręta z marihuany.

— Ej, koleś, nie stój tak, rusz się i podaj lutownicę

— zawołał jeden z chłopaków, umocowujących nowy tłumik. Klucze podzwaniały o betonową, uwalaną smarami podłogę, gdyż co chwilę któryś z mechaników je upuszczał.

*Could you be, could you be, could you be loved?*. — śpiewał Bob Marley, a Monty przechadzała się koło drzwi, ruszając biodrami w rytm muzyki.

Mechanik zgasił skręta i włączył lutownicę, chichocząc na widok strumienia wytryskujących z niej iskier. Jeden z facetów pracujących pod samochodem rzucił dowcip, a pozostali zarechotali, po czym Monty zobaczyła, jak

pod podwoziem samochodu pełza beztrosko biały płomień. Mam nadzieję, że wiedzą, gdzie jest zbiornik paliwa? — pomyślała.

W tej samej chwili, gdy tknęło ją przecucie, rozległ się wybuch. Poszarpane kawałki metalu zaczęły z łomotem spadać wokół Monty. “Mężczyźni wrzeszczeli, ubrania i włosy mieli w płomieniach, z ran przeciętych odłamkami metalu lała się krew. Cała podłoga pokryta była kałużami z płonącej

benzyny.

Monty zaczęła gorączkowo szukać gaśnicy. Nie miała jej siły potem unieść, ale pomógł jej jakiś mężczyzna, który przybiegł z biura mieszczącego się obok warsztatu. Monty podbiegła do jednego z wyjących z bólu mechaników, szybko przewróciła go na plecy i zaczęła gasić jego płonące ubranie.

Gdy wreszcie zgaszono ogień, Monty ogarnęła wzrokiem warsztat. Z czerwonego Chevroleta pozostała kupa złomu. Joe będzie wściekły — pomyślała z przerażeniem, dotykając twarzy. Poczowała ból. Gdy potarła brwi, posypały się spalone włoski. Włosy też śmierdziały spalenizną, a z głowy spadały zwęglone pasma. Ciało miała obolałe, była cała poparzona.

Spojrzała na swoje ręce i zobaczyła, że są czerwone jak steki.

Ktoś okrył ją kocem.

— Chodź, zawieziemy cię do szpitala — powiedział. Monty zatoczyła się, czując ból przeszywający ją od pasa w górę.

— Joe będzie naprawdę wściekły — powiedziała.

TLR

25

Księżna Ayeshah nazwała swój nocny klub L'Equipe. Zrobiła to po wielu tygodniach namysłu, kiedy to starała się znaleźć jakieś słowo o odpowiednim brzmieniu. Nazwa miała się kojarzyć z elegancją i ekskluzywnością, których nie można zdobyć za pieniądze. Miało być w niej pewne dostojęństwo, nie skażone cieniem frywolności, tak by podróżujący monarcha czy głowa państwa bez obawy mógł wciągnąć klub na stałą listę odwiedzanych przez siebie lokali. Nazwa miała także sugerować, że każda z kobiet spotkana w klubie będzie niezapomniana i wytworna. Przede wszystkim zaś miała ona symbolizować ideę elity, zamkniętego kręgu ludzi, których łączy pozycja w międzynarodowych wyższych sferach.

Księżnę zainspirowała gra w polo, która była typową rozrywką bogaczy, pamiętaną przez nią jeszcze z czasów dzieciństwa. Chociaż Ayeshah była te-

raz na drugim końcu świata i osiągnęła standard życia, o jakim jej się nawet nie śniło, przekonała się, że polo na całym świecie znaczyło to samo. Było najbardziej ekscytującą, najpiękniejszą i najdroższą rozrywką. Konie, których używano do tej gry, pochodziły z najlepszych stadnin, były starannie wyszkolone i prezentowały się niczym żywe dzieła sztuki. Mężczyźni, którzy ich do-

TLR  
siadali, nie żalowali ani pieniędzy, ani czasu, by stać się wyborowymi graczami.

Symbolem klubu była sylwetka stojącego dęba konia, utkana na dywanach, wyłoczona na menu, wyszyta na obrusach i wryta na kieliszkach. Poza tym motyw ten obrazowały skrzyżowane drewniane młotki do polo wiszące na ścianach i drewniane piłki, ułożone w foyer w kształcie piramidy, jak kule armatnie w Ecole Militaire. Pokoje przechodnie miały ściany wyłożone tapetami z surowego jedwabiu, na których utkany był wzór szachownicy, tradycyjnie zdobiący czapraki koni używanych do gry w polo. Stały tam jeszcze wygodne krzesła z poręczami i aksamitną czarno-złotą tapicerką i kanapy obite skórą w tym samym odcieniu brązu, co lśniące, dobrze utrzymane siodła. Hussain, którego zmysł estetyczny został ukształtowany jeszcze w dzieciństwie, dodał kolekcję osiemnastowiecznych francuskich akwareli. Delikatne, zamglone obrazy w prostych złoczonych ramach cieszyły oko, a poza tym podkreślały, że L'Equipe nie ma nic wspólnego z wulgarnymi klubami nocnymi. Co więcej, sugerowały, że miejsce to przypomina raczej wykwintny prywatny dom.

Ayeshah i Hussain sporządzali listę gości, wpisując na nią dawnych przyjaciół matki Hussaina, najelegantszą klientelę z Le Bambou i nazwiska z książki adresowej salonu Givenchy. Ayeshah pograżyła się bez lęku w nową sferę wpływów. Uwolniła się od goryczy i frustracji tych wszystkich lat spędzonych z Philippe'em i znowu promieniała ciepłym, acz wyrachowanym cza-

rem. Była wylewna i skora do pochlebstw, serdeczna i rozrzutna, zawierała

wiele nowych znajomości.

Widząc, jak sekretarka starannym, eleganckim charakterem pisma adresuje zaproszenia na otwarcie L'Equipe, kaligrafując pieczołowicie tytuły gości, Ayeshah czuła się podekscytowana, a zarazem przerażona swoją śmiałością. Jej życie było niczym mknący wehikuł fortuny, który nabierał teraz szybkości, by wreszcie dotrzeć do celu.

TLR

Zaczęła jako bosonoga wieśniaczka ubrana w uwalany błotem pas materiału, przeznaczona do wiecznego kieratu — sadzenia, zbierania i gotowania ryżu. Została zdradzona, brutalnie wykorzystana. Cierpiała poniżenia, przeszła przez piekło na ziemi. A teraz była księżną, która ubierała się w szyte na miarę suknie i zamierzała zadziwić najelegantszych, najbardziej snobistycznych i wpływowych ludzi na świecie. Ona, prawie analfabetka, przyglądała się teraz sekretarce, która adresowała zaproszenia do członków połowy europejskich rodzin królewskich.

Policzyła lata, które zajęła jej ta wspinaczka, i ogarnął ją smutek. Dziesięć lat to bardzo dużo. Straciła wiele czasu, a wkrótce będzie już za późno, by osiągnąć ten ostatni cel, zrealizować najambitniejsze zadanie. Ayeshah pozostawiła dziewczynę, by dokończyła adresowania stosu kremowych kart, i zrobiła to, co zawsze pomagało jej się otrząsnąć ze smutku: poszła na zakupy. Hussain uwielbiał, gdy wydawała pieniądze. Kiedy mijał tydzień, a w drzwiach nie pojawiał się posłaniec w uniformie ze stosem pudeł z ubraniami, robił jej delikatną wymówkę, że zaniedbuje swoje zdrowie.

Dzięki Hussainowi, który za pomocą zręcznych aluzji potrafił zaszcześcić w umysłach swych słuchaczy intrygujące myśli, jeszcze przed otwarciem klubu o L'Equipe zaczęły krążyć po mieście pogłoski. W rezultacie żaden z samozwańczych ustawodawców dobrego tonu, nikt z le tout Paris nie uznał za właściwe odrzucić zaproszenia. Przed wejściem przechadzały się dwa lamparty w czarnych skórzanych obrożach wysadzanych drogimi kamieniami.

Uwiązane na złotych łańcuchach utrzymywały porządek, niczym profesjonalni bramkarze, gdy tymczasem elegancki tłum cisnął się do drzwi.

Począwszy od dnia spektakularnego otwarcia, pod strzelistymi platanami stojącymi naprzeciw klubu kryło się zawsze co najmniej trzech fotoreporterów, czyhających na znanych ludzi. Nigdy nie musieli czekać zbyt długo.

Czasami wpadał do klubu młody, nieśmiały Yves St. Laurent, asystent Marca Bohana od Diora w towarzystwie kilku modelek. Często zjawiali się młodzi, nierozłączni kochankowie — Romy Schneider i Alain Delon. Księżniczka Małgorzata, drobna wysmukła kobieta o oczach lśniących jak opale, odkryła, TLR

że z taką samą przyjemnością, jak robi to w Balmoral, może grać dla przyjaciół na fortepianie w pokoju przeznaczonym do gry w tryk— traka.

Pewnego wieczoru do Ayesah zadzwoniła managerka i podekscytowanym głosem powiedziała:

— Proszę zgadnąć, kto zamówił stolik na dziś wieczór?

— Znowu Małgorzata?

— Nie, lepiej.

— Rainier i Grace!

— Oni zjawią się prawdopodobnie w przyszłym tygodniu.

— A więc kto, na litość boską?

— Edward Hardacre.

— A któż to jest, do licha?

— Prywatny detektyw Jackie Kennedy, ot co!

— Jackie przyjedzie do mojego klubu? — Ayesah wiedziała, że prezydent i jego piękna żona mają właśnie złożyć w Paryżu swoją pierwszą oficjalną wizytę. Od wielu dni prasa rozpisywała się na temat eleganckiej Jackie, jej stosów pudeł z kapeluszami, jej „dylematu”, czy korzystać z usług paryskich domów mody. First Lady Ameryki pracowała wytrwale, by pokazać światu, że Waszyngton ma także coś do powiedzenia w sferze elegancji. Państwo



Kennedy wydawali się Ayeshah omalże bogami z Olimpu i nawet nie śniło jej się, że któreś z nich przekroczy próg L'Equipe. Prawie pisnęła z zachwytem, słysząc wspaniałą wiadomość.

Hussain, który usłyszał jej ostatnie słowa, zaraz po tym, jak odwiesiła słuchawkę, zadzwonił do paru osób. Dzięki temu nazajutrz przed wejściem nie czyhała żadna paparazzi, a żona prezydenta była bardzo wdzięczna za tę troskliwość.

— Czuję się tak wspaniale, jakbym znowu miała siedemnaście lat —

TLR

powiedziała wychodząc.

Nazajutrz we „France-Soir” ukazało się wielkie zdjęcie Jackie wchodzącej do L'Equipe, zrobione przez teleobiektyw, ale w tym czasie pani prezydentowa była już w Rzymie i polecała klub swoim znajomym.

Nikt nigdy nie kojarzył wykwintnej księżnej Ayeshah z nazwiskiem *madame* Bernard, które wiązało się z możliwością zdobycia najpiękniejszych kobiet, jakie można mieć za pieniądze. Mężczyźni, którzy mieli jej telefon wpisany pod literką „B”, zazwyczaj byli na tyle dyskretni, by nie umieszczać tam nawet całego nazwiska. Nigdy nie byli do końca przekonani, że dzwonią do *madame* Bernard i że taka osoba w ogóle istnieje. Ayeshah w żadnym wypadku nie zamierzała afiszować się pod jakimkolwiek nazwiskiem. Zostało ono wymyślone przez klientelę i przyłgnęło na dobre do jej „firmy”.

Mężczyźni, którzy dzwoniли pod numer *madame* Bernard, słyszeli kobiecy głos, który uprzejmym neutralnym tonem mówił: „Locations Landon”.

Klient pytał o mieszkanie do wynajęcia, gdyż właśnie taki obowiązywał kod podczas zawierania transakcji. Jeden pokój oznaczał jedną dziewczynę, dwa — dwie, a pytanie o siedem pokoi oznaczało kilka dziewcząt na przyjęcie.

Gdy mężczyzna życzył sobie mieszkania z oknami wychodzącymi na północ, wiadomo było, że chodzi o blondynkę, okna na wschodnią stronę oznaczały brunetkę, a na południową — Murzynkę. Piętro, na którym znajdował się fik-

cyjny apartament, oznaczało wysokość ceny, pierwsze piętro odpowiadało najdroższej usłudze.

Specjalne życzenia również wyrażano umówionym szyfrem, prosząc na przykład o specjalne zamki w drzwiach, obite skórą meble czy widok na kościół. Szyfr przekazywali sobie klienci pocztą pantoflową, tak samo jak telefon madame Bernard.

Agnes, kobieta, która odbierała telefony, mieszkała w klitce z pochyłym sufitem na najwyższym piętrze niepozornego bloku mieszkalnego. Kiedyś pracowała jako księgowa w Le Bambou, a Ayeshah ceniła ją za skrupulatność i nieprawdopodobne skąpstwo.

TLR

Agnes przez okrągły rok nosiła tę samą flanelową spódnicę. Jej długie ciemne włosy nie znały fryzjera, były splecione w warkocz upięty wokół głowy. Raz w miesiącu ich posiadaczka pozwalała sobie na luksus użycia szamponu. Jeździła motorowerem i bez przerwy narzekała, że pojazd zużywa za dużo benzyny. Zawsze wykorzystywała możliwość zjedzenia, wypicia czy przejechania się na cudzy koszt. Jedynym przyjemnym dla niej tematem rozmów było stale rosnące konto bankowe. Każdy odsetek od kapitału uważała za osobiste zwycięstwo nad Credit Lyonnais.

Ayeshah wyjaśniła Agnes, jak ma prowadzić agencję cali girls, po czym pozwoliła, by pedantyczna, bezpłciowa istota sama ustaliła wysokość swojej pensji, wiedząc, że nawet nie przyjdzie jej do głowy prosić o zbyt wiele. Ayeshah kazała jej prowadzić dwie księgi rachunkowe. Jedna miała rejestrować fikcyjne transakcje Locations Landon, od których miały być regularnie płacone podatki. Drugi rejestr miał zawierać prawdziwe nazwiska klientów i wynajmowanych przez nich kobiet, chociaż sam charakter transakcji miał pozostać tajemnicą. Rejestry, choć bardzo szczegółowe, nie mówiły nic nikomu, poza Ayeshah i Agnes.

Jedynym łącznikiem z dawnym życiem Ayeshah był alfons Bastien, któ-

remu postanowiła wypłacać comiesięczne, sowite wynagrodzenie.

— To zbyt duże — zaproponował, gdy Ayesha wyłuszczała mu swoje plany, siedząc przy porysowanym metalowym stoliku, w głębi barku na rogu ulicy, gdzie podczas dnia prowadził swe interesy. W twardych, ciemnych oczach Bastiena malowało się zażenowanie. — To miłe, że nie zapominasz o starych przyjaciółkach, ale to za dużo; Nie wątpię, że od czasu do czasu będziemy robili interesy, ale jakoś dojdziemy do porozumienia. Wiesz, że zawsze byłem rozsądny, księżno. — Tytułu użył z ironiczną emfazą.

— Chcę zapłacić nie tylko za twoje błogosławieństwo i pomoc. Zależy mi na tajemnicy, absolutnej tajemnicy — powiedziała Ayesha. — Nikt nigdy nie może podejrzewać, że to ma jakikolwiek związek ze mną. Urządziłam TLR

wszystko tak, jakby to była agencja Agnes, i chciałabym, byś dopilnował, żeby dziewczęta były również o tym przekonane. Ludzie, którzy znali Ayesha, gdy prowadziła Le Bambou, wiedzą, że wydała się szczęśliwie za Hussaina Shahzdeha, weszła w wielki świat i jest teraz arogancką suką, która nie pozna-

je starych znajomych na ulicy. Rozumiesz?

Skinął głową i wyszczerzył w uśmiechu nierówne, pożółkłe zęby. Założył, że na spotkanie z nim Ayesha ubrała się w tanią niebieską garsonkę i nie rzucający się w oczy kapelusz. Wyglądała w tym stroju tak mało stylowo, że pewnie nie rozpoznałby jej nikt z ludzi, których spotykała w Givenchy. — A poza tym — ciągnęła — chcę, żebyś mi coś załatwił, a3e jeszcze nie teraz.

Agnes zaczęła przeżywać katusze, gdy co miesiąc musiała wypłacać kilkakaset franków za nic. Należała do tych pracowników, którzy są tak skąpi, że traktują pieniądze pracodawcy jak własne. Wypchane stufrankowymi banknotami grube koperty, które wręczała Bastienowi, sprawiały, że coraz bardziej gryzła się stratą gotówki.

Agnes zatrudniała jedną z dziewcząt pracujących w Le Bambou, Pan-

Pan, która została striptizerką w Crazy Horse i co noc owijała swe wspaniałe ciało w sieć. Był to najślynniejszy numer tego klubu. Ayeshah postanowiła zaryzykować, ponieważ liczyła na to, że zatrudniając Pan-Pan, przyciągnie do agencji inne dziewczyny tej klasy.

Poza nią nikt, kto znał Ayeshah z Le Bambou, nie otrzymał u niej pracy.

Zresztą chętnych nie brakowało. Gdy w słuchawce odzywał się kobiecy głos, mogła to być równie dobrze pierwszorzędną dziwka, co studentka nie mała pieniędzy na opłacenie semestru, debiutantka szukająca wrażeń albo gospodyni domowa zazdrozcząca sąsiadce nowej pralki.

Po pół roku Agnes zaczęła narzekać, że nie daje sobie rady z nawałem pracy, więc Ayeshah zgodziła się na zatrudnienie pomocnicy. Wybrała biedną studentkę, okrągłooką Kanadyjkę o wiecznie wystraszoną wyrazie twarzy.

TLR

Wkrótce potem Agnes oświadczyła Bastienowi z nedorzecznym zuchwalstwem, że będzie mu mniej płaciła. Kiedy poinformował o tym Ayeshah, wyrównała z nim rachunki. Miesiąc później, gdy Agnes wracała do domu na swym motorowerze po wypłaceniu kolejnej łapówki Bastienowi, została potrącona na Boulevard Sebastopol przez ciężarówkę wyładowaną betonowymi płytami. Zginęła na miejscu.

Kanadyjka znała swą pracodawczynię jedynie z rozmów telefonicznych.

Rozpoznawała ją po dziwnym, nieokreślonym akcencie i metalicznej barwie głosu. Wkrótce zatrudniona została Veronique, która wcześniej pracowała w Givenchy jako modelka. Straciła to zajęcie, ponieważ nie potrafiła kontrolować przyrostu wagi. Gdy tylko nieśmiała Kanadyjka zapoznała Veronique z systemem prowadzenia ksiąg, pracodawczyni zaproponowała jej przez telefon kilka tysięcy franków i bilet powrotny do domu. Dziewczyna zgodziła się.

Później żaden z pracowników Ayeshah nie spotkał się z nią osobiście. Klitka na poddaszu pełniła jedynie funkcję biura. Pieniądze wpływały na konto bankowe Locations Landon. Co tydzień wiele zwiniętych kartek papieru z zapi-

sanymi transakcjami i nazwiskami klientów wysyłano pod pewien adres na przedmieściu, skąd całą korespondencję kierowano jeszcze gdzie indziej. Co kilka tygodni zmieniano adresy. Pewna starsza pani, Iranka, była pokojówka rodziców Hussaina, otrzymywała małą pensję za odbieranie pod wskazanym adresem grubej koperty i wręczanie jej do rąk własnych księżnej.

To sekretne imperium rozpusty nie dawało księciu spokoju. Mężczyzn, których nazwiska znalazły się w rejestrze uważał za głupich, chociaż byli to sławni, wpływowi i cieszący się ogólnym uznaniem ludzie. Jednak gdy zauważył, że posiadanie nad nimi potencjalnej władzy sprawia Ayeshah jakąś nienaturalną przyjemność, zaniepokoił się nie na żarty.

— Czy nie uważasz, że ten interes może się okazać dla nas niebezpieczny? — spytał spokojnie pewnego popołudnia, przyglądając się Ayeshah, która siedziała przy biurku w stylu empire, należącym niegdyś do jego matki, i przeglądała rejestr nazwisk z ostatniego tygodnia.

— Oczywiście, że nie. Co ci przyszło do głowy? — spytała odwracając TLR

się gwałtownie. Jej twarz w kształcie serca pociemniała, a czarne oczy lśniły z

niepokoju. Potrójny sznur dużych pereł uniósł się lekko, gdy wzięła głęboki oddech. Potrzebna jej była pomoc Hussaina i zaniepokoiła się, że mąż zamierza zmienić zdanie.

— Musisz zadawać się z podejrzanymi typkami, takimi jak Bastien? Narażasz się na skandal... — radził jej rozsądnie i praktycznie.

— Nonsens. Dobrze wiem, co robię. Nikt nic nie wywęszy, zadbałam o t6. I o wiele lepiej mieć Bastiena po swojej stronie, niż próbować się go pozbyć. Widziałam, do czego są zdolni marsylczycy, ty zresztą też. Nie mamy wyboru, musimy z nim współpracować. Gdy działa się poza prawem, jedy-  
nymi ludźmi, którym możesz zaufać, są ci, którzy mają tyle samo do stracenia co ty. — Nerwowo poklepała się po włosach, sprawdzając, czy nie wysunęły się szpilki spinające jej nienaganny kok. — Poza tym pomyśl o dochodach,

Hussainie, dziewczyny przynoszą więcej pieniędzy niż klub.

— Ale ty nie potrzebujesz pieniędzy. L'Equipe to wielki sukces. W przyszłym roku planujesz otwarcie następnego klubu w St. Tropez. To także będzie wspaniałe przedsięwzięcie. Jako twój sponsor jestem zachwycony. Nie pieniędzy teraz potrzebujesz, lecz prestiżu. Jeśli ktokolwiek skojarzy cię z *madame* Bernard, będziesz zrujnowana. Możesz mieć wszystko, czego chcesz, i zachować przy tym czyste ręce. Po co podejmujesz takie ryzyko?

— Ależ Hussainie, myślałam, że się zgodziłeś! — skoczyła na równe nogi i kołysząc biodrami ciasno opiętymi kremową wełnianą sukienką, podeszła do męża, który stał oparty o niebiesko-biały marmur kominka. Wczepiła się w jego ramię, błagając o zrozumienie.

— A co z twoimi zamierzeniami? Nie rozumiesz, że posiadane przez nas informacje dadzą ci władzę? Dzięki nim będziemy mieli w ręku wszystkie francuskie instytucje. Gdybyśmy chcieli, moglibyśmy nawet obalić rząd. I to nie tylko we Francji. Dobijają się do nas z całej Europy. Jak możesz proponować, żebym się wycofała, skoro będziesz potrzebował agencji bardziej niż ja.

TLR

Wyrwał się z jej uścisku z irytacją, zły zarówno na nią, jak i na siebie. Nigdy nie oczekiwał od Ayeshah uczucia, które ludzie nazywają miłością. Hussain uważał miłość za oszukiwanie samego siebie, stratę energii, słabość. Ayeshah fascynowała go, ale nie miało to podłoża uczuciowego. Patrzyli na świat z tej samej perspektywy. Teraz jednak zaczynał podejrzewać, że ona dąży do czegoś, co nie miało nic wspólnego z ich związkiem. Czyżby zamierzała go wykorzystać w taki sam sposób jak Philippe'a?

— Nie staraj się zwalić na mnie odpowiedzialności za to, co robisz. —

Odwrócił się od niej i z jego twarzy znikło pogodne spojrzenie. — Wyraziłem swoją opinię. Skoro nie chcesz się z nią liczyć, nic na to nie poradzę. Uważam

jednak, że postępujesz głupio, że agencja jest obusieczną bronią, która może

zbyt łatwo obrócić się przeciwko tobie, w związku z czym powinnaś jeszcze raz wszystko rozważyć.

— Dobrze. Ja natomiast myślę, że nie masz racji i czas pokaże, że ja ją miałam.

Podeszła bliżej, chwyciła jego duże, kwadratowe ręce, i wbiła w nie swe smukłe palce.

— Czy nie zdajesz sobie sprawy, że są tylko dwa sposoby robienia interesów, Hussainie? Dobrze jest, gdy można postępować uczciwie, polegać na nienaganej reputacji i nigdy nie tknąć brudnego grosza. Jednak kiedy raz zejdziesz się na manowce, zaczniesz się zadawać z kryminalistami i popierać korupcję, trzeba już dalej iść tą krętą drogą. Znalazłam się w pułapce, ale ty także. Jedyne, co nam pozostało, to być supergangsterami. Tylko wtedy będziemy wolni, rozumiesz?

Pogładził ją serdecznie po włosach z nadzieją, że to ona się myli. Nie mógł zapomnieć, jak matka mu mówiła, żeby wiódł uczciwe życie, ale tak jak Ayeshah walcząc o przetrwanie uległ demoralizacji. Musiał też przyznać, że nie zaspokoił w pełni swych ambicji. Potrafił znaleźć rynek zbytu dla podejrzanych towarów, nie brakowało desperatów, którzy chcieli wykorzystywać TLR

jego kontakty w handlu bronią, ale prawdziwy, legalny biznes zawsze wymykał mu się z rąk, choćby nie wiadomo jak się starał.

Wreszcie nieustające wysiłki w celu załatwienia transakcji, która otworzyłaby drzwi do sukcesu, okazały się owocne. Do Hussaina zgłosił się *attache* wojskowy ambasady jednego z środkowoafrykańskich państw, który chciał kupić samolot dla Air-Sahara, nowo powstałej linii narodowej.

Była to nagroda za lata dyskretnych, uwieńczonych sukcesem transakcji.

Obecny minister kilka lat wcześniej ubijał z Hussainem nielegalne interesy.

Dowodził wówczas partyzantką, kupował broń i czołgi, używane podczas rewolucji, która przyczyniła się do wypędzenia z kraju Francuzów.

Hussain odbył rozmowy z francuskim i niemieckim Producentem samolotów. Francuzi zaproponowali wyższy Procent za pośrednictwo w transakcji. Dobijanie targu a brało wiele miesięcy, bo nie mogli się dogadać w sprawie części zamiennych. W tym czasie Hussain źle sypiał i schudł osiem kilo.

— Dlaczego nie zwrócisz się do Niemców? — spytała Ayesah.

— Umowa z Francuzami jest bardziej korzystna i chciałbym ustawić odpowiednio wysoko poprzeczkę na przyszłość — odparł. — Ale oczywiście pójdę do Niemców, jak się nie postaram o korzystny kontrakt na części zamienne. Jeśli szybko nie załatwię interesu dla Air— -Sahara, nikt więcej się do mnie nie zgłosi. Na zachłanność będę sobie mógł pozwolić, jak przyjdzie na to czas.

Francuzi w końcu wyrazili zgodę na proponowane warunki, podpisano kontrakt i wtedy wybuchł skandal. Sfrustrowany były pułkownik Legii Cudzoziemskiej zade— nuncjował transakcję w departamencie lotnictwa, interpretując ją jako wspomaganie wrogów Francji i rujnowanie rodzimego towarzystwa lotniczego. Wymienił także nazwisko Hussaina, nazywając go pasożytem. Oskarżył go ponadto o wspomaganie antyfrancuskiej rewolucji dostawami broni, a także podpisanie tajnej klauzuli w nowym kontrakcie, upoważniającej do zakupu bombowców, które miały być użyte przeciwko Francuzom w innych częściach Afryki.

TLR

— Zapluty kłamca! — wściekał się Hussain. Bał się, że w ostatniej chwili sukces znowu wymknie mu się z rąk. — Nawet gdybym mógł, nie sprzedałbym i tego zasranego Rapiera, ten bombowiec to latająca trumna z napędem odrzutowym.

Skandal wybuchł w sierpniu, czyli w najgorszym z możliwych miesięcy, ubogim w polityczne doniesienia, bo politycy przebywali na wakacjach, a prasa była żądna sensacji. Cała prasa trąbiła o aferze na pierwszych stronach, a wkrótce najbardziej renomowana gazeta zaczęła się domagać wszczęcia ofi-



cialnego dochodzenia.

Ayeshah ze spokojem wyciągnęła małe podłużne pudełko, w którym znajdowała się kartoteka imienna klientów *madame* Bernard. Smukłe palce o paznokciach umalowanych na cyklamenowo przerzuciły szybko kartki i wyłowiły dwie fiszki. Z pytającym wyrazem twarzy Ayeshah podała je Hussainowi.

— Oto twój wróg — powiedziała pokazując nazwisko pułkownika. — A ten mężczyzna, jak sądzę, jest właścicielem gazety. Teraz wybór należy do ciebie, Hussainie. Życiowa klęska albo sukces, którego tak pragniesz, na który długo pracowałeś i na który zasługujesz.

Hussain bez wahania wyraził zgodę.

— Miałaś rację. Liczyłem na to, że się mylisz, ale to przesądza sprawę.

Co zrobimy? Zaczniemy od dziennikarza? Stary pułkownik to kompletny fanatyk i z takim nigdy nic nie wiadomo.

— Ja to załatwię — odparła Ayeshah, uśmiechając się do męża uspokajająco.

Trzy dni później w gazecie ukazało się wyczerpujące oświadczenie pułkownika, który odwoływał zarzuty pod adresem Hussaina i składał oficjalne przeprosiny. Poza tym ukazał się artykuł rzecznika prasowego ministra obrony, który potwierdzał, że na własne oczy widział kontrakt z Air-Sahara, nie podważający prymatu Francji w przemyśle lotniczym. Stwierdzał też, że nie TLR

zawierał on żadnej klauzuli przynoszącej uszczerbek interesom narodowym.

— Doskonale — pogratulował Hussain Ayeshah. — Gdybym sam miał to napisać, nie potrafiłbym lepiej oczyścić się z zarzutów.

— W końcu to wszystko prawda. Czy teraz rozumiesz, co miałam na myśli? W naszej sytuacji nie możemy stosować kategorii „dobra i zła”. Dla nas nie istnieje żadna sprawiedliwość. Kiedyś zostaliśmy skrzywdzeni i musieliśmy się bronić. Teraz nie możemy już uciec od swojej przeszłości, możemy

tylko kroczyć tą samą drogą i zwalczać ogień ogniem.

Koperta, którą stara służąca przyniosła w tym tygodniu, zawierała taśmę magnetofonową. Hussain obudził się o trzeciej nad ranem, gdyż usłyszał jakieś głosy dobiegające z salonu, sięgnął po swój czarny szlafrok.

Mieli z Ayeshah oddzielne, lecz sąsiadujące ze sobą sypialnie. Najpierw wszedł do pokoju żony i zobaczył, że łóżko z atłasową kołdrą w kolorze kości słoniowej i białą jedwabną pościelą, którą codziennie zmieniano, jest nie-  
tknięte.

Szybkim, bezszelestnym krokiem przemierzył korytarz i przez chwilę podsłuchiwał pod podwójnymi drzwiami prowadzącymi do salonu. Usłyszał jakiś kobiecy głos, ostry i rzucający pogroźki, i głos mężczyzny, na początku agresywny i arogancki, a potem łamiący się i błagalny. Rozmowa zakończyła się niewyraźnym mamrotaniem mężczyzny, który wyrażał zgodę. Na chwilę zapadła cisza, po czym Hussain usłyszał bełkot przyśpieszonych słów

przewijania taśmy.

Pchnął lekko drzwi i ujrzał drobną sylwetkę żony w negliżu z perłowej satyny, wpatrującej się w magnetofon. Gdy szpula się przewinęła, nacisnęła przycisk, zagłębiając się w fotelu i sięgając po papierosa do srebrnego pudełka, stojącego na stoliku obok. Ujrzała nagle Hussaina i westchnęła zaskoczona, po czym poderwała się i wciągnęła go do pokoju.

— Posłuchaj. To bezcenna rzecz. Posłuchaj, jak ten żaloszny kłamca pró-  
TLR

buje wszystkiemu zaprzeczyć. A potem, gdy ona zaczyna wymieniać daty, ceny, nazwiska dziewcząt, opowiadać, co robili, facet się załamuje. Przysięgłabym, że prawie płacze, posłuchaj...

— Nie chcę tego słuchać — powiedział Hussain, delikatnie pchnął ją na fotel i wyłączył magnetofon. W głębi duszy był przerażony radością, jaka z niej promieniowała, gdy opisywała klęskę pułkownika.

— Dlaczego? Dlaczego nie chcesz posłuchać, jak twój wróg się poddaje?

— Wyprostowała się w obronnym geście, wyczuwając jego dezaprobatę. — Nie czekałeś na tę chwilę, Hussainie?

— Ja nie. Ale ty na pewno. To cel, do którego dążyłaś przez całe swoje życie. Chcesz zobaczyć czyjś upadek. To twoje największe pragnienie.

— Wcale nie, jak możesz sugerować coś takiego? To naturalne cieszyć się ze swoich małych zwycięstw, prawda?

— Uśmiechnęła się kokieteryjnie i podkurczyła nogi, zdając sobie sprawę, że jej słowa brzmią jak wykręty. W zachowaniu Hussaina nie było nic groźnego, ale był tak samo przebiegły, wrażliwy i nieugięty jak ona. Wyraźnie oczekiwał wyjaśnień. Ayeshah zagryzła wargi i podniosła na niego oczy, grając na zwłokę.

Popatrzył na nią ze smutkiem, z ociąganiem usiadł obok niej, ujął jej dłonie i zmusił, by odwróciła ku niemu twarz.

— To nie tego mężczyznę chciałaś zniszczyć, prawda?

— Skinął głową w stronę magnetofonu. — To był mój wróg. A kto jest twoim? Wiesz, co myślę, Ayeshah? Myślę, że stworzyłaś tę agencję, by zaatakować konkretnego mężczyznę, mężczyznę, którego jedynym słabym punktem jest jego pociąg seksualny. Czy mam rację?

Ayeshah przełknęła ślinę, zastanawiając się, co ma odpowiedzieć. Wiedziała, że nie może go okłamać, bo znał ją za dobrze. Poza tym kłamstwo nadszarpnęłoby łączącą ich więź, może nieodwracalnie, a przecież go potrze-

TLR

bowwała. Jeśli powie mu prawdę, może uzyskać jego pomoc. Postanowiła opowiedzieć mu całą swoją historię, którą przez całe lata bała się odtwarzać w pa-

mięci w obawie, że ból i gorycz ponownie ją obezwładnią.

Gdy skończyła mówić, Hussain nadal trzymał jej dłonie i milczał przez długą chwilę. Wreszcie pojął, dlaczego żywiła tyle nienawiści do człowieka, który ją zdradził. Ayeshah nie płakała. Ból był tak przejmujący, tak wielki i głęboki, że łyzy by go nie uśmierzyły.

— Nadal się go boisz, tak? — spytał cicho, głaszcząc ją po głowie.

Była to prawda, choć wcześniej nie zdawała sobie z tego sprawy. Skinęła głową.

— On ma wszystko: majątek, pozycję, władzę. Nie może mi oddać tego, co chcę, nie tracąc tych wszystkich rzeczy.

Hussain wstał i zaczął przechadzać się tam i z powrotem w skąpym świetle jedynej zapalanej w pokoju lampy. Przesuwał palce przez krótkie, kędzierzawe czarne włosy.

— W każdym razie nie ma sensu korzystać z usług prawników — powiedział wreszcie. — Moim zdaniem wydałabyś krocie i niczego byś nie osiągnę-

ła. Zwrócimy się do niego wprost, a jak się nie zgodzi, zniszczymy go. Będzie skończony, obiecuję ci.

Był piękny wiosenny poranek. Wysmukły Anglik kroczył zamaszystym krokiem po brukowanym Placu Vendôme. Uchylił kapelusza dwóm ładnym paniom, które przecięły mu drogę, podtrzymując się wzajemnie, bo niełatwo chodzić na wysokich obcasach po nierównych kamieniach.

Każdy paryżanin od razu rozpoznawał narodowość tego przechodnia.

Miał na sobie nienagannie skrojony płaszcz z wielbłądziej wełny, który przylegał do niego jak druga skóra. Tylko krawiec z Saville Row potrafił tak dopasować ubranie, bez najmniejszej zmarszczki. Czarna skórzana teczka była ostentacyjnie podniszczona, a szew w jednym rogu nadpruty. Tylko angielski

TLR

dżentelmen w tak jawny sposób mógł wyrażać swoją pogardę dla handlu.

Były też inne nieomyślne oznaki wskazujące na jego pochodzenie. W wyglądzie przechodnia było coś quasi— -wojskowego. Starannie ostrzyżone włosy rozdzielał przedziałek, czarne buty lśniły jak lustro, w chodzie mężczyzny była jakaś arogancka sprężystość, w uśmiechu władczość, a w uprzejmych gestach — protekcjonalność. W roku 1960 tylko Anglik mógł czuć się tak pewnie, łudząc się, że pod każdym względem jest lepszy od innych ludzi

na świecie.

Lord James Bourton minął Ritza, rue St.-Honore i szedł spacerkiem przez Ogrody Tuileries, uśmiechając się łaskawie do dzieciaków, które pod czujnym okiem swych opiekunek wspinały się na pomalowaną na wesołe kolory karuzelę. Drzewa spowijała zamglona, blada zieleń listowia, a drobny żwir, który chrząścił Jamesowi pod stopami, był pomieszany z błotem, gdyż w ciągu ostatnich paru dni porządnie lało. Teraz się roz pogodziło i niebo miało identycznie czysty, beztrusko niebieski kolor jak na obrazach Watteau.

James pozwolił sobie na chwilę niepatriotycznej refleksji. Mijając Pont de Concorde przyznał, że brzeg Sekwany z jego heroiczną perspektywą pełną pałaców i pomników jest o wiele bardziej malowniczy niż ponure wybrzeże Tamizy. Natychmiast jednak dodał w duchu, że Francuzi są wyśmienicy tylko w sprawach mało istotnych.

Sprawił w pamięci adres zapisany na ciemnoniebieskiej kartce wyrwanej z kieszonkowego notesu. Służący, który otworzył drzwi, był absurdalnie dobrze ubrany i Anglik uśmiechnął się w duchu, widząc ten typowy przykład ostentacji nuworyszów. Jednak nie miał nic do zarzucenia salonowi, do którego go wprowadzono. Spodziewał się wulgarnej rokokowej orgii złoceń, nadmiaru dekoracji i niewygodnych krzeseł. Tymczasem przeważały tu meble z okresu Dyktoriatu, były ciężkie, ciemne, o surowych neoklasycystycznych liniach. Grecka amfora podświetlona dyskretnie w alkwie podkreślała atmos-

ferę hołdu dla antyku. Ciężkie, zakończone frędzlą zasłony z białoszarej mo-  
TLR

ry sprawiały, że pokój tonął w pięknym rozmytym świetle.

Tym razem sprowadziła Jamesa do Paryża ciekawość. Był najzupełniej przekonany, że jego bank nie życzyłby sobie jakichkolwiek kontaktów z księciem Shahzdehem czy też jego żoną. Nie należeli do ludzi, z którymi renomowana firma z City ubija interesy. Książę był przebiegłym biznesmenem, ale jego pochodzenie było w najwyższym stopniu podejrzanym. Poza tym klub

nocny, nawet na takim poziomie jak L'Equipe był, jak powszechnie wiadomo, niepewnym interesem, któremu nieodłącznie towarzyszyły elementy kryminalne. W liście, który nadszedł do biura Jamesa, książę pisał, że zamierza otworzyć lokal w Londynie i szuka środków finansowych na to przedsięwzięcie. James zgodził się na spotkanie, bo chciał zobaczyć Shahzdehów na własne oczy.

Tyle krążyło plotek na temat ich pochodzenia, majątku, dziwnej relacji, jaka ich łączy. Przypuszczano, że oboje pochodzą z Bliskiego Wschodu, i wielu Europejczyków uważało, że przywłaszczyli sobie tytuł książęcy. Ci, którzy poznali parę książęcą, wiedzieli, że w ich związku jest coś nienaturalnego, ale potrafili wyrażać swoje podejrzenia jedynie w formie plotek i rozmaitych domniemań. James słyszał, że księżna była tancerką kabaretową w Bejrucie i tam właśnie odkrył ją książę, który zachwycił się jej niezwykłą urodą. Krążyły pogłoski, że ich sypialnia wyłożona jest lustrami, że księżna ma niezliczoną ilość kreacji, a samych butów — trzy tysiące par. Mówiono nawet, że jej piękna twarz jest w całości dziełem słynnego brazylijskiego chirurga plastycznego. Nikt więc nie zrezygnowałby z możliwości poznania tak tajemniczej istoty.

Czas płynął. Pokojówka przyniosła Jamesowi francuską wersję angielskiej herbaty — wodnisty, pachnący napar, nie nadający się do picia. W pokoju było bardzo cicho i James zauważył, że bezustanny hałas uliczny tłumią podwójne szyby. Spojrzał na zegarek i uświadomił sobie, że czeka już prawie czterdzieści minut. No cóż, można się było spodziewać braku uprzejmości po tych typkach z marginesu.

To, że kazali mu czekać, potwierdzało tylko opinię, jaką zdążył sobie na TLR ich temat wyrobić.

Ayeshah była w swej sypialni. Usunęła odrobinę szminki z kącika ust i poprawiła ich kontur karminową kredką. Ogromnym wysiłkiem woli, po-

wstrzymując drżenie ręki, dokończyła makijaż i wstała, wygładzając obcisłą spódnicę kremowego kostiumu z tweedu. Strzepnęła też niewidoczne resztki pudru z żabotu białej jedwabnej bluzki. Lśniące ciemne włosy były upięte w nienaganny kok, a w małych uszach tkwiły skromne kolczyki z perłami. Ayeshah odwróciła się, sprawdzając w lustrze, czy szwy na jasnobezowych pończochach są proste.

Hussain pocałował ją w czubek głowy.

— Będzie w gorszej sytuacji, bo znalazł się na obcym gruncie. Nie bój się, nie może ci nic zrobić. Nie zapominaj, że ja będę za drzwiami. Jeśli będziesz mnie potrzebowała, po prostu zawołaj. Jesteś pewna, że pół godziny sam na sam z nim ci wystarczy?

— Nie wiem. Wiem tylko, że tyle jestem w stanie wytrzymać — odparła.

Jej twarz była blada jak ściana, mimo grubej warstwy pudru. Przeszli razem długi korytarz. Służący otworzył podwójne drzwi salonu i zamknął je cicho za

Ayeshah. Hussain powoli usadowił się w fotelu przy drzwiach.

James odwrócił się na dźwięk otwieranych drzwi i wstał, gdy ujrzał wchodzącą do pokoju kobietę. Tak jak oczekiwał, była olśniewająco piękna. Doskonała piękność budząca grozę z powodu otaczającej ją aury władzy. Smukłe i krągłe zarazem ciało, zgrabne nogi, pełne, zmysłowe usta i nieskazitelna cera sprawiały, że na pozór nie sposób się jej było oprzeć, a jednak w jej okrągłych czarnych oczach o ciężkich powiekach kryło się ostrzeżenie dla każdego, kto ośmieliłby się jej pożądać. Piękność księżnej nosiła ślady zepsucia, które były jak skazy na brylancie, i James natychmiast je rozpoznał.

Ayeshah z trudem nad sobą panowała. Przez lata, które dzieliły ją od rozstania z Jamesem, próbowała przyzwyczaić się do wyobrażenia sobie byłego męża z jasną cerą. Jednak gdy ujrzała w swoim domu tego Anglika z klasy TLR

uprzywilejowanej, doznała szoku i nogi się pod nią ugięły. Usiadła w ciemnym, obitym skórą fotelu, który tak lubił Hussain. Poczowała się pewniej, ma-

jąc pod sobą masywny, solidny mebel. Chciała coś powiedzieć, ale przez kilka chwil nie była w stanie otworzyć ust.

— Czyżbym miał zaszczyt z samą księżną Ayesha? — odezwał się James i podszedł bliżej. Mówił po francusku, czekając, że poda mu rękę. Na samą myśl, że mógłby jej dotknąć, przeszedł ją dreszcz i posłała mu groźne spojrzenie.

— Czy mnie poznajesz? — spytała czując, że zaczyna kontrolować sytuację.

— Ależ oczywiście, któż by pani nie poznał, księżno? Jest pani sławna. Nawet w Anglii wszyscy słyszeli o L'Equipe i jej pięknej właścicielce... — James był lekko zaniepokojony, wyczuwając jakieś szczególne napięcie.

— Poznaliśmy się wiele lat przed powstaniem L'Equipe. Przyjrzyj mi się uważnie. Powinieneś sobie przypomnieć.

— Jestem pewien, że nigdy bym nie zapomniał tak czarującej osoby...

— Pomyśl dobrze — powiedziała ostrzegawczym chłodnym tonem.

Przyglądał jej się z rosnącym zażenowaniem. Rozpoznawał niewątpliwie ton pytania, tego rodzaju słowa kierowało już do niego kilka kobiet i było to zawsze preludium do niezdarnego szantażu.

To, co sugerowało jej pytanie, było oczywiście możliwe. Czterdziestoczteroletni James miał za sobą tyle przygód seksualnych, że nie był ich nawet w stanie zapamiętać. Większość kobiet była pochodzenia azjatyckiego bądź afrykańskiego. *Libido* Jamesa otrząsnęło się jakoś z krótkotrwałej traumy małżeńskiej i przekształciło się w nienasycony apetyt seksualny, któremu mógł pobyłać do woli, bo dysponował zarówno czasem, jak i środkami. Gdyby nie ta imperialna aura, księżna uosabiałaby egzotyczny typ, za którym tak przepadał. Jednak nie mógł sobie przypomnieć, żeby ją znał.

Poza tym doszedł szybko do wniosku, że przecież ta kobieta jest majętna,

TLR

odnosi sukcesy i jest zabezpieczona pod każdym względem. Nie ma potrzeby



uciekać się do szantażu. James, stosując się do kanonów swojej klasy, które kazały unikać żenujących sytuacji, zaczął uprzejmie zaprzeczać twierdzeniom księżnej.

— Księżno, jestem przekonany, że pani się myli — powiedział wracając na swój fotel. — Nigdy nie zapomnę twarzy, szczególnie pięknych. Czy pani mąż dołączy do nas wkrótce? Czy może pani zechciałaby powiedzieć parę słów o przedsięwzięciu, które planujecie w Londynie?

— Wolałabym zaczekać na męża, to nie potrwa długo

— odparła. Zaczęła zalewać ją furia. Teraz już wiedziała, jaka będzie jego reakcja. Spojrzy na nią z pogardą, z wyżyn swej rasy i pozycji społecznej, i

zbędzie od niechcenia. Była pewna, że w tej chwili rzeczywiście jej nie pamięta. Ale gdy zmusi go, by wszystko sobie przypomniął, po prostu zaprzeczy. Zastanawiała się, jak go zagonić w kozi róg.

— Proszę opowiedzieć mi o swojej rodzinie, lordzie Bourton.

Zaskoczyło go to pytanie, ale odetchnął z ulgą, że rozmowa przybiera konwencjonalny charakter.

— O mojej rodzinie? Tak, no cóż. — Odchrząknął.

— Mam oczywiście rodzinę, dwie córki, wspaniałe dziewczynki, większość czasu spędzają w szkole...

— Mogę spytać, jakie mają imiona?

— Starsza ma na imię Catherine, a młodszą ochrzciliśmy Miranda, choć w domu nazywamy ją zdrobniale Monty. — Uśmiechnął się i zapadła niezręczna cisza.

Ayeshah podeszła do sekretarzyka i otworzyła jedną z małych mahoniowych szufladek. Wyjęła stamtąd zdjęcie, zniszczone i mierzące zaledwie dwa cale na dwa i pół. Fotografia była zamazana, najwyraźniej wykonana w zbyt silnym słońcu, ale można było na niej rozpoznać dwoje małych dzieci. Jedno TLR

stało wyprostowane, a drugie — pra— wie niemowlę — tkwiło w objęciach

młodej Chinki ubranej w bluzkę i czarne spodnie.. Stały przed jednopiętrowym drewnianym budynkiem wzniesionym na palach.

— Skoro mnie nie pamiętasz, może powiesz mi przynajmniej, kim są te dzieci?

James zmrużył oczy i przyjrzał się niewyraźnej fotografii.

— To przecież moje córeczki i ich *amah*. A dom przypomina ten, w którym mieszkałem na... — Słowo „Malaje” zamarło mu na ustach. Zrozumiał wszystko tak nagle, jakby grom w niego strzelił. Spojrzał na nią jak zaszczute zwierzę, krew w nim zamarła z przerażenia.

Uśmiechnęła się, a on zauważył to, co przeoczył na początku — słodkie, kocie rysy Khatijah, żony, którą poślubił w *kampongu* podczas wojny. Właściwie prawie się nie zmieniła, chociaż miała teraz białą skórę, europejską suknię i była umalowana.

Jednak z jej twarzy zniknęła niewinność, a z jej ruchów — ustępliwa miękkość. Była pociągająca w jakiś zimny, perwersyjny sposób.

Zmiana duchowa, jaka w niej zaszła, przemieniła ją bardziej niż czas i ubiór.

— Nie wyglądam tak jak wtedy, prawda? Nie powinnam się dziwić, że mnie nie rozpoznałeś. Nie jestem już prostą wieśniaczką w sarongu, prawda? Ale ty też nie przypominasz mojego przystojnego, ciemnoskórego męża. Wygląd to nie wszystko, prawda?

James nigdy nie brał pod uwagę, że może kiedykolwiek spotkać kobietę, która urodziła jego dzieci. To było nie do pomyślenia. Teraz, gdy do tego doszło, gdy stała na wyciągnięcie ręki, był sparaliżowany ze strachu. Po części był to lęk racjonalny — bał się o swe dostatnie, wygodne życie, nieskazitelną reputację, miłość córek, wolność i przyszłość. Głębiej krył się lęk irracjonalny, jego odwieczny lęk przed kobietą, ucieleśniony w osobie tej wściekłej TLR

damy, która może zażądać zwrotu tego, co jej ukradł.

Ayeshah spostrzegła, że James się boi, i to dodało jej sił.

— Nie chcesz się dowiedzieć, czego chcę? Ale chcesz wiedzieć, po co cię tu ściągnęłam?

Nie był w stanie wydobyć z siebie słowa, więc mówiła dalej:

— Tak wiele mi zabrałeś, prawda? Miłość, szczęście, honor, rodzinę, dom. Wszystko, co miałam. Kiedy zabrałeś mi dzieci, zabrałeś całe moje życie. To wszystko — powiodła ręką po pokoju, wskazała Paryż rozciągający się za oknem — to jest nic. To tylko coś, co wypełnia pustkę.

Obeszła go wolno dookoła, jakby szukała miejsca na zadanie ostatecznego ciosu.

— Wiem o tobie wszystko. Wiem teraz o wiele więcej niż wtedy, gdy byłam twoją żoną. Nie sądzisz, że to dziwne? Twój australijski przyjaciel przynosił wieści na twój temat. Oczywiście, zanim opuściłeś Malaje. Nie uważał, żebyś obszedł się ze mną zbyt dobrze, ale sądzę, że wiesz o tym. Potem opłacałam ludzi, którzy cię śledzili przez ostatnie parę lat, lordzie Bourton. I małe panny Bourton. To śliczne dziewczynki, masz rację. Ale to ja jestem ich matką i chcę je odzyskać.

— Nigdy! — Szok rozwiązał mu język i James powiedział to słowo, zanim jeszcze skończyła. — Nigdy!

— Brzmienie własnego głosu dodało mu sił. — Kocham moje córki i nigdy ci ich nie oddam. Jakie życie byś im zapewniła? Gdybyś się ośmieliła...

— Czyżbyś je kochał? A może kochasz je tak samo, jak kochałeś mnie?

A może kochasz tylko życie, jakie ci zapewniły? Były ci potrzebne tylko po to, by dostać spadek, prawda? Mój Boże, młodszej nawet nie widziałeś, zanim

przyjechałeś je porwać. — Stała wyprostowana i spięta, jak wąż gotowy do ataku, a w jej czarnych oczach płonęła nienawiść. — Zrobiłabym dla nich

TLR

wszystko.

Zgodziłabym się na rolę amah moich własnych dzieci, byle tylko być razem z nimi.

James wstał z fotela, w desperackim wysiłku starając się otrząsnąć z emocjonalnej sieci, którą go omotała.

— O, jestem o tym przekonany. O ile dobrze pamiętam, zrobiłabyś wszystko, by wyrwać się z tej twojej wioski. Myślałaś, że będę twoją pustką do łatwego życia, i nadal tak myślisz. Nie kochasz dziewczynek, nawet

ich nie znasz, nigdy ich nie znałaś tak jak ja. Nawet by cię nie poznały. A gdyby się dowiedziały, kim była ich matka...

Wzięła głęboki oddech i James wiedział, że ma w ręku broń przeciwniej. Był już całkiem pewien, że za elegancką fasadą kryje się coś, czego w głębi serca się wstydzi. Ślady występku, które wyczytał z jej twarzy, były prawdziwe.

Wystarczyło, że zrobił małą aluzję.

Nagle bardzo powoli otworzyły się drzwi i ukazał się w nich tęgi ciemnoskóry mężczyzna. Wszedł do pokoju i zapanował nad sytuacją. Podszedł do Jamesa i wyciągnął do niego rękę.

— Pozwoli pan, że się przedstawię. Hussain Shahzdeh — powiedział.

James machinalnie uścisnął jego pulchną dłoń. Pomimo tego przyjaznego powitania, miał przez chwilę wrażenie, że mężczyzna chce go uderzyć.

— Może usiądziemy i porozmawiamy jak rozsądni ludzie? — zaproponował książę.

Książęca para usiadła obok siebie na długiej szarej sofie, a James naprzeciwko, pośrodku skórzanej kanapy. Ayeshah, wdzięczna, że mąż pojawił się, by wzmocnić jej słabnący atak, ujęła go pod ramię.

TLR

— Jestem przekonany, że zgodzi się pan ze mną, iż pragnienie odzyskania dzieci jest całkiem naturalne.

James skinął głową.

W obecności tego mężczyzny jego zachowanie uległo całkowitej zmianie. Był teraz wyrachowany i pozbawiony emocji.

— Zależało panu naturalnie na otrzymaniu spadku, a zgodnie z kodycy-  
lem testamentu, musiał pan mieć dzieci — ciągnął książkę. — Zostały one  
uznane za potomstwo z prawego loża, więc nie ma obawy, że straci pan spa-  
dek.

James skinął ponownie głową, częściowo tylko uspokojony przyjaznym  
tonem gospodarza. Hussain należał do ludzi, których James nie cierpiał. Był  
kramarzem podającym się za dżentelmena. Wstrętnym Arabem, który próbo-  
wał małpować europejski styl życia, a poza tym działał na szkodę kraju, który  
dał mu schronienie. James nie odczuwał przed nim takiego lęku jak przed Ay-  
eshah. Z trudem próbował wydobyć się z grząskiego gruntu — poczucia wi-  
ny, w które go wepchnęła. Teraz, gdy cała sprawa przybrała niejako formę  
niestereotypowej transakcji, James rozważał najlepszy sposób wywikłania się  
z sytuacji.

— Tak, ma pan słuszność — oświadczył. — Jednak nie tyle chodzi tu o  
sprawy finansowe, ile o dobro moich córek. Gdyby się dowiedziały na obec-  
nym etapie życia, że moja żona, którą uważają za matkę, wcale nią nie jest,  
byłby to dla nich straszliwy cios.

Hussain też poczuł do Jamesa głęboką nienawiść. Widział w nim arysto-  
kratę, dekadenta, którego gładkie maniery maskowały zupełną pustkę emo-  
cjonalną.

Pokonując niesmak, mówił dalej:

— Naturalnie. Jak więc rozwiążemy ten problem?

— Tu nie ma żadnego problemu do rozwiązania. Nie pozwolę na jaką-  
kolwiek ingerencję w życie moich dzieci. Nie mam nic więcej do powiedze-  
TLR

nia. — Wstał przygotowując się do wyjścia.

Ujmujący jak zwykle Hussain także wstał, ale nie ruszył się z miejsca.

— Jak moja żona już wspomniała, zasięgnęliśmy in— ormacji na pana temat, lordzie Bourton. Moim zdaniem mógłby pan wyciągnąć pewne korzyści, gdyby doszedł Pan z nami do porozumienia.

— Jakie korzyści?

— Ma pan parę małych długów, o ile mi wiadomo. Pewne pańskie zarządzenia odnośnie zarządu powierniczego można by określić jako...

— Zupełny nonsens. — James był wściekły, że człowiek, którego uważa za kramarza, podważa uczciwość jego interesów. — Nigdy jeszcze nie słyszałem czegoś tak absurdalnego. Nie ma pan prawa wścibiać nosa w moje legalne interesy. Gdy dowiem się, kto na pańskie polecenie węszył wokół moich spraw, dostanie niezłą nauczkę. Dobry Boże, czy pan myśli, że w ten sposób wkupi się pan do mojej rodziny? — Ruszył w kierunku drzwi na tyle wolno, by nie sprawiać wrażenia, że ratuje się ucieczką. — Jak pan sam zauważył, nie mam się czego obawiać. Jeśli jest pan na tyle głupi, by próbować wprowadzić mnie w zakłopotanie tą bzdurną historią, powiem tylko tyle, że nic pan

nie wskórał. Jeśli masz choć krztynę miłości dla tych dzieci — powiedział patrząc na Ayeshah; z satysfakcją zauważył, że na jej twarzy maluje się rozpacz — będziesz trzymać się od nich z daleka. Dla ich dobra i dla własnego również. Zostały wychowane na normalne angielskie dziewczęta. Przykro mi, że mówię bez ogródek, ale kobieta taka jak ty uosabia wszystko, czym nauczyły się gardzić. Żegnam.

Podczas gdy jego słowa nadal dźwięczały w ciszy pokoju, James wyrwał płaszcz i kapelusz z rąk zdziwionego służącego i wypadł na ulicę. Poczł się nareszcie bezpiecznie i zaczerpnął świeżego, przepojonego słodyczą powietrza.

Na rogu ulicy zatrzymał taksówkę, czując nagle, że nie ma siły iść dalej. Ayeshah zalała falą bólu i wściekłości.

TLR

— Zabiję go! — krzyknęła. — Zabiję, zabiję! — Jej twarz przypominała

czerep z wytrzeszczonymi oczyma. Mąż starał się ją uspokoić, tłumiąc własne emocje.

Postanowili już wcześniej, co zrobią, jeśli James odrzuci ich propozycję, ale Hussain po raz ostatni chciał z nią o tym porozmawiać.

— Chciałbym, żebyś zastanowiła się nad jedną rzeczą — powiedział poważnym tonem. — Czego ty chcesz: swoich dzieci czy zniszczenia ich ojca? Musisz bowiem zdawać sobie sprawę, że jeśli nam się uda, a uda się na pewno, i one odkryją, co zrobiłaś, to mogą cię znienawidzić.

Postaram się, żeby mnie pokochały — odparła.

TLR

26

Monty przejrzała się w lustrze. Nie wyglądała zbyt pociągająco. Jej włosy z tyłu głowy były nadal długie, ale spalone i postrzępione. Za to z przodu były

przycięte prawie przy samej skórze. Poza tym obrzydliwie pachniały spaleniźną. Zniknęły brwi, a rzęsy miały co najwyżej niecały milimetr.

Jej twarz, szyja, piersi i ramiona były wysmarowane pomarańczową maścią, a ręce zabandażowane. Dostała środki przeciwbólowe, które na parę godzin wprowadziły ją w oszołomienie. Poza tym martwiła się, że mogą ją znowu uzależnić od narkotyków. W ośrodku odwykowym było wielu pacjentów, którzy uzależnili się od specyfików przepisywanych przez lekarzy z powodów czysto medycznych.

— Wystarczy tych złych wieści jak na jeden dzień — powiedziała do Cathy, która pomogła jej założyć koszulę szpitalną.

— Kiedy cię stąd wypuszczą? — spytała siostra, poprawiając poduszki.

— Jak będę miała nową skórę na cyckach. Lekarze mówią, że może uda mi się wyjść z tego bez blizn, jeśli na rękach nie będzie infekcji. Są w najgorszym stanie. Jestem też trochę pokiereszowana przez odłamki, ale i tak miałam dużo szczęścia. Szkoda, że nie widziałas tego samochodu, Cathy, zupełny

TLR

wrak. Joego na pewno trafił szlag, jak się dowiedział, że jego ukochany Chevy jest rozrzucony po całym Paddington.

Cathy pokręciła głową z irytacją i współczuciem zarazem.

— Dawno, dawno temu miałam siostrę, która stawiała czoło przeciwnościom, potrafiła się odgryźć, kiedy trzeba było zadać cios i gdy była wściekła. Przeważnie trudno było z nią wytrzymać, ale robiła tak, jak jej się podobało. Teraz mam siostrę, która rozłązi się jak torba papierowa, ilekroć los podsunie jej kiepską kartę. Co się z tobą stało, Monty? Gdzie twoja przebojowość? Co cię obchodzi „kochany Chevy” Joego? Co z twoimi rękami, twoim głosem, twarzą, karierą?

— To przez narkotyki — odparła Monty ponuro. — Łatwiej było zdobyć narkotyk, po którym życie stawało się znośniejsze, niż walczyć o to, czego chciałam. Poza tym umiałam robić wokół siebie wiele hałasu, kiedy byłam dzieckiem i nie miałam żadnych prawdziwych problemów. Jak zobaczyłam, że to nie przelewki, przeraziłam się na dobre. Teraz muszę zacząć wszystko od początku. — Monty westchnęła i popatrzyła na swe obandażowane dłonie. — Ja po prostu nie jestem taka silna jak ty, Cathy. I nie potrafię pracować tak jak ty. Potrzebuję ludzi wokół siebie, żeby ze mną byli, żeby podtrzymywali mnie na duchu, dzielili moje życie, kochali mnie. Nie czuję się dobrze, walcząc ze wszystkimi, tak jak ty to potrafisz.

Cathy włożyła winogrona do miseczki.

— Przepraszam, nie powinnam na ciebie najeżdzać, kochanie. Masz rację, musimy radzić sobie na różne sposoby. Spójrz — powiedziała kładąc na nocnym stoliku stertę książek w miękkiej oprawie — kupiłam ci parę książek Jilly Cooper. Powinny podnieść cię na duchu. Przyjdę jutro. Będziesz potrzebowała pielęgniarki, jak cię wypiszą?

— Nie wiem, może tak. Moje ręce będą do niczego co najmniej przez dwa tygodnie.

Wychodząc, Cathy natknęła się w drzwiach na Jaskółkę, która wyglądała



jak kula w swym purpurowym kombinezonie — Cathy, w nowej brązowej  
TLR

garsonce od Armaniego, była smukła jak zawsze.

— Jezu, wyglądasz strasznie — powiedziała Jaskółka, sadowiąc się niezgrabnie w nogach łóżka. — Joe Jones chciałby cię odwiedzić. Nie masz nic przeciwko temu?

— O Boże... Bardzo był wściekły?

— Zupełnie go zatkało, jak mu powiedziałam, co się stało.

Monty patrzyła apatycznie w niezbyt czysty sufit. Kiedyś będzie musiała się z nim spotkać. Nie chciała, by ktoś oglądał ją w takim stanie, ale może Joe będzie mniej wściekły, jak zobaczy, że wygląda tak żałośnie. Monty uśmiechnęła się i natychmiast skrzywiła z bólu, gdy jej uszkodzona skóra się naciągnęła.

— Powiedz mu, że może przyjść, kiedy chce — powiedziała. — Czyż życie nie jest dla mnie szczodre? Pomyśleć tylko, że chciałam poderwać tego faceta, a zamiast tego jadę, wykańczam jego samochód i na koniec wyglądam jak potwór.

Joe przyszedł nazajutrz. Miał zmartwioną minę, przyniósł magnetofon Monty, taśmy i bukiet kwiatów.

— Czy to coś poważnego? — spytał szybko zniżonym głosem, jakby chciał konwencjonalne uprzejmości mieć jak najszybciej za sobą.

— Och, nie bardzo — skłamała Monty. — Wszystko będzie dobrze, jak mi brwi odrosną.

— Wyglądasz jak japońska maska. Masz naprawdę skośne oczy.

No dobra, trzeba się wytłumaczyć — pomyślała Monty.

— Joe, tak mi przykro z powodu samochodu. Naprawdę nie chciałam, żeby tak się stało. To był wypadek, nic nie mogłam na to poradzić...

Uśmiechnął się, co nie zdarzało mu się często.

— Nie cierpiałś tego samochodu, prawda?

TLR

— To nieważne. Ważne, że był to twój samochód, lubiłeś go. Rozwaliłam go i jest mi przykro.

— Dlaczego to ma być nieważne, że ty go nie lubiłaś.

— No... — bąknęła zakłopotana. Nie spodziewała się czegoś takiego. Oczekiwała, że nazwie ją idiotką, zrobi parę uwag na temat niekompetencji kobiet, po czym jeszcze doda coś takiego, co rozwali ją psychicznie na parę tygodni. — No... to nie był mój samochód, prawda? — dokończyła niepewnie.

— Mój też nie. Chłopcy chcieli taki mieć, wytwórnia płyt za niego zapłaciła. Ja tylko nim jeździłem. Nie powiesz mi chyba, że leżąc tu, myślisz o tym cholernym samochodzie?

Monty zrobiło się głupio.

— Nie mam nic innego do roboty — odparła. — Nie mogę czytać tych książek, które przyniosła mi siostra, bo śmiać mi się chce, a jak się śmieję, to mnie wszystko boli. Nawet nie mogę nigdzie zadzwonić ze względu na rękę. Dziękuję, że przyniosłeś taśmy, Joe, słuchanie ich będzie dla mnie głównym wydarzeniem dnia.

— Właściwie to chciałem cię o coś prosić. Przyniosłem taśmę z paroma piosenkami, które nagrywaliśmy z Alem. — Sięgnął w kierunku stolika i pokazał Monty nie podpisaną kasetę. — Czy mogłabyś tego posłuchać i powiedzieć, co o tym myślisz? Szczególnie zależy mi na twojej opinii na temat trzeciego utworu. Przerabialiśmy go bez przerwy, ale wydaje mi się, że czegoś mu brakuje. Wiem, że coś jest źle, ale nie potrafię tego uchwycić.

Monty była zaskoczona. Niesamowity Joe Jones — bardzo popularny w Japonii, sławny w Stanach, rzadko spadający poniżej trzydziestego miejsca na światowej liście przebojów — prosi ją o radę.

— Chętnie — powiedziała ostrożnie. Czyżby kolejny facet próbował ją naciągnąć?

TLR

— Mogę odwiedzić cię jutro? — spytał wstając z miejsca w nogach łóżka. — Może czegoś potrzebujesz?

— Nie, dziękuję.

— Jak tu karmią?

— Kiepsko. A ponieważ nie mogę sama jeść, jakaś cholerna pielęgniarka wciska we mnie cały talerz czegoś tam.

— To może przyjmiesz moje zaproszenie na kolację?

Zjawił się z kwiatami, przyniósł też świece i szpitalny pokój nabrał intymności. Wypełniły go zapachy i migotanie płomieni. Po chwili zjawił się kelner z restauracji Mr. Chow i przyniósł mnóstwo przysmaków w foliowych pojemniczkach. Joe nalał małą filiżankę przejrzystego płynu i zaczął pić nim Monty.

— To herbata z chryzantemy. Mam nadzieję, że ci smakuje. Pomyślałem, że dobrze ci zrobi, jest delikatniejsza od jaśminowej. — Wziął pałeczki, zerwał złotą folię i wybrał pachnący kąsek z tacki. — To melon nadziewany marzeniami — powiedział i z delikatnością ptaka karmiącego pisklęta włożył przysmak do ust Monty.

Gdy skończyła jeść, poczuła się cudownie oszołomiona.

— Chcesz wiedzieć, co jest nie w porządku z twoją piosenką? — spytała.

Joe poprawiał jej poduszki i Monty nie widziała jego twarzy.

— Nie teraz — powiedział wyglądając prześcieradło i zatykając je ciasno pod twarde szpitalny materac. — Jutro przy kolacji.

Monty westchnęła, gdy zdmuchnął świece i się pożegnał. Pomyślała, że to wyjątkowe okrucieństwo losu, że wygląda tak koszmarnie, czuje się jeszcze

gorzej i jest pod czułą opieką mężczyzny, przy którym ona i miliony innych kobiet topnieją z pożądania.

TLR

Nazajutrz, gdy lekarz wypisał ją ze szpitala i powiedział, że może wracać do domu, zaczęła się zastanawiać gorączkowo, co ma właściwie zrobić.

— Problem z tą piosenką polega na tym, że ją spieprzyłeś — chlapanęła nietaktownie, gdy przyszedł Joe. — To wszystko nie trzyma się kupy. Ma bardzo zdecydowaną melodię, ale nie sposób jej wychwycić, bo tyle tam jest naćkanych innych rzeczy. Wcale nie trzeba dawać tego podkładu na klawiszach, takie przynajmniej jest moje zdanie.

— Czasami mniej oznacza więcej, prawda?

— Właśnie.

— Dziękuję, zrobię, jak mówisz. — Siedział w nogach łóżka, a dżinsy opinały ciasno jego muskularne uda.

— A może byś mi pomogła?

Monty spojrzała na niego podejrzliwie. Czy Joe był kolejnym mężczyzną, który chciał wykorzystać jej talent?

— A umieścisz na albumie informację o moim udziale w jego tworzeniu i zapłacisz mi honorarium?

— Naturalnie. Jak tylko się zgodzisz, podpiszemy kontrakt.

Wyglądało na to, że jest urażony stawianymi mu warunkami. Jednak Monty wiedziała, że jedna ze sztuczek wytrawnych wyzyskiwaczy polega na tym, że odwracają kota ogonem i wmawiają swej ofierze, że wszystko, czego od niej żądają, jest bezwartościowe. Dlatego też postanowiła na przyszłość podawać od razu swoją cenę.

— Dopóki ręce mi się nie zagoją, nie będzie ze mnie pożytku w domu. — Podniosła w górę zabandażowane dłonie.

— Nie przejmuj się tym, zajmiemy się tobą. A teraz powiedz, w czym wrócisz do domu, twoje ciuchy pewnie się spaliły?

— Tak, oczywiście. Kazałam pielęgniarce je wyrzucić. Później poproszę

TLR

Jaskółkę, żeby mi coś kupiła.

— Pozwól, że ja to zrobię. Co byś chciała?

— Wszystko jedno. Dżinsy czy coś w tym rodzaju.

— Pomyślała, że nie ma co marzyć o pięknych ciuchach, skoro nie ma prawie skóry, na którą by je włożyła.

— Są tylko dwie rzeczy, których mężczyzna nie może zrobić dla kobiety

— zawyrokowała Jaskółka złowróźnie, gdy Monty do niej zadzwoniła. —

Urodzić jej dziecka i kupić dżinsów. Dlaczego nie przyniósł po prostu jakichś ciuchów z Priory?

— Myślę, że chce mi kupić prezent i wymyślił dobry pretekst — odparła

Monty. — Czy mogłabyś przysłać tu kogoś, żeby obciął mi włosy? Kmiotki wystraszą się śmiertelnie, jak mnie zobaczą w tym stanie.

Fryzjerka zrobiła Monty krótką, chłopięcą fryzurę i podała jej lustro.

Monty pomyślała, że wygląda młodziej i szczuplej. Odniosła wrażenie, że po raz pierwszy ujrzała swoją twarz taką, jaka jest naprawdę. Spodobała jej się.

Joe przyniósł nowe dżinsy, które były o dwa numery za małe.

— Czy naprawdę myślisz, że mam taką małą pupę?

— spytała Monty, kreśląc w powietrzu kółko obandażowanymi rękami.

— A nie jest? — zapytał z żartobliwym niepokojem w głosie. — Byłem pewien, że jest mniej więcej taka.

— Zatoczył łuki obiema rękami i Monty roześmiała się, ale natychmiast przestała chichotać, bo poczuła ból.

— Cholera, Joe, przestań mnie rozśmieszać. Połącz mnie lepiej z tym sklepem, to powiem im co i jak.

W sklepie mieli tylko jedno pasujące na Monty czarne spodnie z kurtką do kompletu, której nie mogła założyć ze względu na bandaż. Joe pomógł jej się ubrać i zapiął suwak przy spodniach.

TLR

— Jesteś o wiele delikatniejszy od pielęgniarek — powiedziała. Zaczynała zdawać sobie sprawę, że mylnie oceniła jego charakter. Był najłagodniej-

szym, najbardziej troskliwym mężczyzną, jakiego znała. W niczym nie przypominał dzikusa, którego widziała na scenie. Potrafił nawet zmienić jej bandaże na rękach bez zadawania bólu, co nie udawało się większości pielęgniarek.

Gdy wrócili do Priory, zaczęła natychmiast pracować w studiu nagraniowym i mówiła Joemu i Alowi, co mają zmienić przy miksowaniu utworu, o który pytał ją wcześniej Joe. Potem pracowali nad pozostałymi trzema piosenkami do albumu. Monty miała ciągle bandaże na rękach, ale Joe chwycił w lot najsubtelniejsze uwagi. Potrafił też bardzo przebiegle wyciągać z niej pomysły i dodawać jej wiary w siebie.

„Miłość” była słowem, którego używał bardzo ostrożnie, nigdy nie mając pewności, że wie, co ono oznacza. Jednak po namyśle doszedł do wniosku, że kocha Monty. Cieszyło go bardzo, że jej się podoba, ale większość kobiet tak właśnie na niego reagowała. Joe wyczuwał, że serce Monty doznało wielu bolesnych zawodów i było całe w bliznach. Wiedział, że ta dziewczyna będzie mogła go kochać tylko wtedy, gdy znajdzie siły, by wziąć w ręce swoje życie. Joe był dobrym nauczycielem i — ku jego zachwytowi — Monty korzystała gorliwie z każdej lekcji. Doskonale się uzupełniali pod względem artystycznym. Ona była o wiele bardziej wyrafinowana, natomiast on miał siłę ekspresji, której jej brakowało.

— Czyż nie wspaniała z nas para? — spytała, gdy słuchali ostatniego utworu. — Fred i Ginger, Tracy i Hepburn, ty i ja. Jesteśmy czarodziejami. Popatrzył na nią zaskoczony, ale jego spojrzenie było pełne ciepła. Mały pokoik wydał się jeszcze mniejszy, gdy ich zażyłość nagle się zacieśniła. Monty czuła się przyjemnie odprężona i była w kokieteryjnym nastroju. Miała zaufanie do Joego i do siebie samej. Poza tym przecież nie miała połowy skóry, więc cóż mogliby robić poza gadaniem? Al, pozostali muzycy i realizator dźwięku właśnie wyszli. Joe i Monty zostali sami.

TLR

— Dlaczego zawsze grasz tak głośno? — spytała bezczelnie, opierając się o konsolę.

W zamyśleniu przesunął palce przez jedwabiste czarne włosy.

— Gdy zaczynałem, była we mnie jakaś niesamowita furia, chciałem pozbijać wszystko i wszystkich. Wyrażałem to w muzyce. Chciałem tylko atakować, niszczyć hałasem.

— A teraz już nie?

— Nie. Dlatego właśnie zespół się rozpada. Teraz interesuje mnie muzyka o większej sile wyrazu. Poprzednio Porozumiewałem się na poziomie Tazana. Prawdę mówiąc, myślę, że chłopcy są podobnego zdania. Jednak zdobyliśmy sławę jako ci, co pluą ogniem i rzucają gromy, i nasza wytwórnia płytowa chce, żebyśmy grali ciągle to samo. Trudno mieć do nich pretensje o to, prowadzą ten interes dla forsy. Ludzie mają w sobie wiele wściekłości i płacą, by ją odreagować.

— Ten zabójczy dźwięk był rzeczywiście podniecający — powiedziała Monty. Zastanawiała się, czy Joe pamięta, jak podniecony był, gdy spotkali się po raz pierwszy, a ona nie mogła oderwać oczu od jego krocza. Spuścił oczy, a ona domyśliła się, że Joe pamięta i jest tym zażenowany.

— Co w tym podniecającego? — spytał, wciąż unikając jej wzroku. — Powiem ci coś. Nie wiem, czy zrozumiesz, o co mi chodzi, ale spróbuję ci to wyjaśnić. — Podniósł oczy i utkwiał w niej wzrok. — Robiłem tyle podniecających rzeczy, ile byłem tylko w stanie wytrzymać. Więcej, niż większość ludzi robi w ciągu całego życia. Brałem prochy, skakałem z samolotów... i Bóg jeden wie, dlaczego kobiety zawsze na mnie leciały. Gdy zostałem wielką gwiazdą i tak dalej, zaczęło to być wręcz absurdalne. Tak jakby każda cizia na świecie pragnęła mojego ciała. Wiem, że w pierwszym roku przeleciałem czterysta dwadzieścia siedem pańienek, bo je liczyliśmy, a potem to już sam nie wiem, ile tego było. Bawiło mnie patrzenie na to, co wyprawiają, jak tylko

TLR

kiwnę palcem.

Monty skinęła głową, przypominając sobie, jak Rick i Cy zabawiali się na tej samej zasadzie.

— To było to samo, co robiłem na scenie, odreagowywałem. Wreszcie zrozumiałem, że muszę przerwać to błędne koło. Tak, kobiety mnie wykorzystywały. Matka porzuciła, żona odeszła, ale co z tego? Nie mogłem bez końca się mścić. To ja byłem tym, który cierpi i czuje się poniżony. Pieprzenie było dla mnie tym samym, co picie alkoholu. Pozwalało zapomnieć o wszystkim, co mi się nie podobało w moim życiu. Postanowiłem więc dać sobie z tym spokój.

— Chcesz powiedzieć, że przestałeś się pieprzyć? — spytała Monty ze zdziwieniem. Mężczyzna, który tego nie robił, wydawał jej się równie nieprawdopodobny jak woda, która nie moczy.

Skinął głową, wpatrując się w nią, by zobaczyć, czy go rozumie.

— To wcale nie było trudne. Nie przestałem tego robić raz na zawsze. Po prostu chciałem, żeby zaczęło to coś dla mnie znaczyć. Czułem, że przyszedł czas na odpowiedzialność za swoje życie. Pewnego dnia człowiek musi zdać sobie sprawę, że teraz jest jego kolej na rozdanie.

Monty skinęła głową.

— Nauczyłam się tego w ośrodku. Byłam narkomanką, wiedziałeś o tym? Rozmawiali dalej, powierzając sobie swoje sekrety. Opowiedziała Joemu o swoim związku z Rickiem i Sigim Bearem.

— Jednego tylko nie rozumiem — powiedziała na zakończenie swej opowieści. — Obaj mówili, że mnie kochają, i na swój sposób rzeczywiście mnie kochali. Jednak potrafili tylko brać i nigdy nie przyszło im do głowy, że mnie niszczą.

Joe pokręcił głową.

— Oni wcale cię nie kochali, Monty. Jak się kogoś kocha, to się go nie

TLR



wykorzystuje.

Wzruszyła ramionami, chcąc uwierzyć, że to prawda.

Od tego czasu wiele ze sobą rozmawiali, aż wreszcie poczuli, że znają się niczym rodzeństwo. Oboje nie mieli wątpliwości, że się kochają i pożąдают. A przynajmniej Monty była prawie pewna, że Joe pragnął jej tak bardzo jak ona jego. Nie flirtował, nie dotykał jej, ale ich ciała były związane jakąś tajemniczą nicią.

Monty dochodziła do siebie dość szybko i nie pozostały na niej ślady poparzeń. Jej twarz i ciało były zupełnie wygojone, choć po miesiącu skóra miała jeszcze różowy odcień i była na początku delikatna jak płatki maku. Na początku sierpnia tylko kawałek zmarszczonej skóry i przebarwienie na jednej dłoni przypominały o poparzeniu.

Niezadowoleni członkowie zespołu jeden po drugim opuszczali Priory, a po zakończeniu nagrywania albumu wyjechali też pracownicy techniczni. W końcu wyjechał Al, a Joe i Monty machali mu na pożegnanie, stojąc na drodze, jak rodzice patrzący na najmłodsze dziecko, które wylatuje z rodzinnego gniazda. Był to niespokojny, letni wieczór, na niebie zbierały się zwały czarnych chmur, a jaskółki latały bardzo nisko nad trawnikiem pod oknami pokoju muzycznego.

Joe i Monty wrócili do pustego domu, zaparzyli herbatę i usiedli w salonie. Joe usiadł w nonszalanckiej pozie na obitej perkalem sofie, która była tak ogromna i bezkształtna, że przypominała ocean malowanych róż. Monty przechadzała się tam i z powrotem przed wąskimi oknami okolonymi kamiennymi framugami i patrzyła na dolinę skąpaną w niesamowitym świetle zmierzchu.

Ich milczenie było ciężkie jak powietrze przed burzą. Pytanie „Co teraz?” zawisło między nimi jak miecz. Monty czuła na sobie spojrzenie Joego, który wodził za nią oczami, gdy przechadzała się po dywanie.

— Mogę ci coś zagrać? — spytała, desperacko pragnąc przerwać pełną

TLR

napięcia ciszę.

— Oczywiście — powiedział wstając i przechodząc wraz z nią do pokoju muzycznego. Pokój był wysoki, wąski, a okna wychodziły na ogród i rozciągającą się dalej dolinę. Osiemnastowieczne arrasowe zasłony poruszał ciepły wietrzyk.

— Nie napisałam jeszcze słów — powiedziała otwierając klapę fortepianu i sadowiąc się za klawiaturą — ale myślę, że melodia jest już gotowa... Zaczęła grać, odtwarzając motyw, który od tygodnia miała w głowie. Nuty łączyły się jakby za sprawą czarów i przeradzały w prostą, potoczystą falę dźwięku o delikatnej harmonii. Monty zagrała ją trzykrotnie, upewniając się wreszcie, że utwór brzmi tak, jak chciała.

— No i jak? — spytała.

Joe siedział na twardej, obitej czarną skórą kanapie pod oknem.

— Ładne — powiedział kiwając głową.

— Wcale nie — zaprotestowała spokojnie, zastanawiając się, dlaczego jest taki tępy. — To jest piękne. To najpiękniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek napisałam. Nawet gdybym już nigdy nie skomponowała nic lepszego, umarłabym szczęśliwa.

Oczywiście to była kolejna z jego gierk, test, który miał ujawnić jej prawdziwe uczucia, sprawdzić, na ile jest pewna siebie. Siedział tam sobie odprężony, z twarzą, która nic nie wyrażała, i tworzył atmosferę emocjonalnej neutralności, w której mogła swobodnie wyrazić swoje uczucia.

Monty podeszła do Joego i stanęła nad nim, patrząc na to wspaniałe ciało wyciągnięte swobodnie na kanapie. Jego ramiona leżały rozrzucone na oparciu i Monty widziała, jak drga mu mięsień na lewym bicepsie.

— Jutro chciałabym to nagrać w studiu. Kiedy skończy się mój kontrakt z Biffo, będę znowu śpiewać, ale tym razem tak, jak chcę. Bardzo bym chciała, żebyś został moim producentem.

TLR

Spojrzała mu prosto w oczy. Nagle chwycił ją lęk. A jeśli powie „nie”? A jeśli wcale nie jest taki, jak jej się wydaje? Może spławi ją w jakiś obleśny sposób? Teraz, gdy się przed nim otworzyła i ośmieliła się zwierzyć ze swych pragnień.

— Dobra — powiedział Joe. — Zróbmy to. — Na jego ustach pojawiło się nerwowe drganie. — Dlaczego jutro? Dlaczego nie teraz? \*

Zaczęło padać, wielkie krople deszczu zostawiały na płytach chodnikowych mokre plamy wielkości pensówki.

— Teraz mamy co innego do roboty — powiedziała stając nad nim okra-kiem. Powolnym ruchem opuściła się w dół i usiadła mu na udach. Ku jej radości i uldze najpierw jedno, a potem drugie ramię drgnęło i zsunęło się z oparcia kanapy. Joe objął ją i przycisnął twarz do jej piersi. Czując gorąco bi-jące od jego ud, oplótła go nogami. Joe uniósł twarz, a ona przymknęła po-wieki, żeby delektować się szorstkością jego warg i rozkoszować się pożąda-niem, które wreszcie po wielu miesiącach miało być zaspokojone. Żądza była tak wielka, że niemal sprawiała jej ból.

Zanurzyła ręce w jego gęste czarne włosy i przyciągnęła go do siebie, czując, jak burzy się w niej krew. Ich usta rozchyliły się, a języki spotkały i zaczęły muskać się i splatać.

Monty znowu ogarnął lęk. Wiedziała, że będzie wydana na pastwę tego mężczyzny, że zawładnie nią tak, jak nikt dotąd. Ale wiedziała też, że ofiaruje jej siebie. Nie będzie mogła ukryć się, uciec od żądań, jakie zacznie stawiać przed nią życie, które wspólnie stworzą.

Wyczuł jej lęk i przycisnął do siebie na tyle silnie, na ile się odważył, by nie sprawić jej bólu.

— Wszystko będzie dobrze — szepnął muskając wargami jej ucho. — Uda nam się. Kochamy się. Zawsze będziemy się kochać.

Pocałowała jego czoło, powieki, ostry grzbiet nosa, czując słoną war-

TLR

stewkę potu pokrywającą skórę. Jej usta poznały ciepło jego umięśnionej szyi,

twardą wypukłość mięśni ramion, zagłębienia pod wystającymi obojczykami, wrażliwe jabłko Adama. Delikatnym ruchem podciągnęła jego cienki podkoszulek i przycisnęła usta do klatki piersiowej.

— Mogę cię dotknąć? — spytał miękko. — Wygoiła ci się już skóra?

— Chyba tak. — Zdjęła swój podkoszulek i odrzuciła oba, przysuwając piersi do jego ust. Tak długo czekała na tę chwilę. Jego dłonie obejmowały ją, a usta przywarły do ciała, dotykając świeżej skóry z delikatnością spadającego liścia. Jego język, wąski i czerwony, drażnił nabrzmiewające sutki i nagle Monty usłyszała, że z jej gardła wydobywa się jęk rozkoszy.

Za oknem zaczął padać rzęsy deszcz, a wiatr chłostał kamienne płyty strugami wody. Gwałtowny poryw wichury zatrzaskał oszklone drzwi i poruszył zasłony.

— Chodźmy na górę — wyszeptał Joe.

Monty zamknęła okna, przez które widać było kłębiące się burzowe chmury. Niebo wyglądało tak, jakby się gotowało. Nadzy do pasa i objęci wpiół, podeszli do schodów i powoli ruszyli na górę.

Joe był wyższy od niej o jakieś dwanaście cali, więc było im niewygodnie. Monty poślizgnęła się na froterowanym drewnianym stopniu, a Joe przytrzymał ją opiekuńczym gestem. Poczuli, jakby przebiegła między nimi iskra, opuściły ich wszelkie hamulce. Joe zdjął z niej dżinsy, potem ściągnął swoje i stali przywarci do siebie pod oknem na podeście schodów, zachwyceni swą nagością, pragnąc, by ten pierwszy raz trwał w nieskończoność.

Monty zdawało się, że spędzili całe życie na tych schodach pod ociekającą wodą szybą. Uklękła pomiędzy jego udami, wzięła w usta jego członek, który wkrótce miał zanurzyć się w jej wnętrzu. Wreszcie poprosił, by przestała, skulił swe długie ciało pomiędzy jej nogami, rozsunął fałdki skóry palcami i zaczął pieścić ją językiem, a płatki skóry nabrzmiały i zaczęły ociekać wil-

TLR

gocia o słodkawym zapachu. W ciszy, jaka panowała w opustoszałej rezydencji, słyhać było tylko stłumiony odgłos jego soczystych pocałunków.

Wreszcie przyciągnął ją do siebie, a ich ciała zwały się powoli. Monty otoczyła ramionami szyję Joego i zaczęła powoli kołysać biodrami. Położył na nich ręce i unieruchomił ją. Zastygli tak, zasłuchani w deszcz, przedłużając tę chwilę największej bliskości.

— Kochanie, zamarznie tu, chodźmy do łóżka — powiedział w końcu.

Rozdzielili się, pobiegli do jego pokoju i dali nura w skłębioną pościel, jak rozdokazywane dzieci.

Ich dzinsy leżały na schodach jak stara, odrzucona skóra ich dawnego ja.

W ciepłe łóżka znowu się połączyli. Dwie wyrafinowane zmysłowe istoty popisywały się teraz swymi umiejętnościami.

Wreszcie o władnęło nimi zmęczenie i zasnęli, a w ciemnościach za oknami wciąż szalała burza.

Monty obudziła się kilka godzin później i leżała nieruchomo w ramionach Joego, wsłuchana w odgłos piorunów, który przewalał się za odległymi Chiltern Hills jak kule w kręgielni olbrzymów. Gdzieś w dali zamigotała błyskawica, a niebieskawe światło zalało na chwilę pokój. Monty spostrzegła, że Joe też nie śpi.

— Kocham cię — wyszeptała przysuwając się do niego. — Wydaje mi się, że nigdy wcześniej nikogo nie kochałam.

— Bo nie kochałaś — powiedział i przyciągnął ją do siebie. — I nikt nigdy cię nie kochał.

Nagły odgłos pioruna był głośniejszy i bliższy niż poprzednio. Monty policzyła sekundy pomiędzy następną błyskawicą a grzmotem.

— Dwanaście. Uderzył dwanaście mil stąd.

O ironio — piorun uderzył w dom, aż zatrząsły się szyby w oknach i podłoga. Błyskawica rozdarła niebo, zalewając pokój białym światłem.

TLR

Posłuszni odwiecznemu instynktowi, by dodać sobie otuchy, odszukali swe usta. Czując ich ciepło i wilgoć, stali się silniejsi w swym człowieczeństwie, podczas gdy rozwścieczone żywioły szalały dalej.

Zobaczyła, że białka oczu Joego lśnią w ciemności, i poczuła jego włosy opadające na twarz, gdy pochylił się nad nią. Miał przyśpieszony oddech i Monty poczuła, że walczy ze sobą, by opanować impuls, który rozpała jego zmysły. Wsunęła swe dłonie pod jego i oplótła je palcami.

— Zrób to — powiedziała. — Cokolwiek to jest, zrób. Zniosę wszystko.

Zastygł na chwilę, po czym spadł na nią jak demon wyłaniający się z ciemności, szalony duch burzy pragnący rozbić ich ciała na atomy i połączyć je w nową całość.

Z siłą, której nie kontrolował, chwycił Monty, odwrócił na brzuch, uniósł jak zabawkę i przytrzymał nieruchomo, przesywając ją raz za razem. Wreszcie opadł na jej plecy ze zwierzęcym rykiem, drząc cały pod wpływem gwałtownego orgazmu.

Znowu zapadli w sen, a nad ranem dał jej to, czego chciała, i senny świt pogrzył się nagle w mgle ekstazy.

Rankiem niebo było czyste, a słońce wydawało się tak samo świeżo umyte, jak krajobraz. Szemrzące strumyczki deszczówki spływały ze wzgórza, a z kasztanowej alei dobiegało gruchanie gołębia.

Przez cały następny dzień wszystko wydawało się im intruzem, który wkrada się pomiędzy nich. Nie ubrali się, by nie tracić intymności. Nie reagowali na telefony. Poczta leżała nietknięta na macie w hallu. Spacerowali po obmytym przez deszcz ogrodzie, zrywali porzeczki z krzaka rosnącego pod murem i zanurzali stopy w zimnych kałużach, by opłukać je z błota. Kochali się, gdy tylko zapragnęły tego ich ciała — więźniowie pożądania, którzy nie chcieli wcale wolności.

Nazajutrz byli już gotowi dopuścić świat do swego kosmosu. Joe za-

TLR

dzwonił w parę miejsc i w południe w Priory zjawił się realizator dźwięku, a potem Tony i Winston. Ten ostatni przyjechał dopiero po południu, kiedy Monty miała już słowa do swej piosenki. Zaczęli nagrywać, a kiedy wszystko było gotowe, cała piątka w milczeniu przesłuchiwała playback.

W pewnej chwili Winston roześmiał się i poklepał Monty po rękę.

— To najpiękniejsza piosenka, jaką w życiu słyszałem, dziewczyno!

Joe przewinął taśmę i wziął flamaster, by ją podpisać.

— Jak ją nazwiemy? — spytał Monty.

— Broken Wings — odpowiedziała. — Chcecie, żebym zagrała to, co ma być na drugiej stronie?

Pragnąc jak najszybciej zrealizować nowe plany, Monty poprosiła Siga, by rozwiązał z nią kontrakt podpisany z Biffo.

— Nie ma mowy — powiedział Sig. — Nie wyobrażaj sobie, że skoro zwiłaś z jakimś Hiawathą, możesz przychodzić tu i domagać się Bóg wie czego. Wszystko, co teraz napiszesz, należy do mnie, nie zapominaj o tym.

Wobec tego Joe zabrał Monty do Arizony i spędzili tam pół roku na wyszukiwaniu miejsca, w którym chcieliby mieć dom. Pracowali z architektem przy jego projekcie i budowie. Wytwórnia płytowa Joego zaproponowała Monty kontrakt. Gdy tylko wygasł jej kontrakt z Biffo, pojechali do Los Angeles, by nagrać pierwszy album Monty i nakręcić promocyjne video. Było bardzo bezpretensjonalne. Monty w czarnym kostiumie i białej bluzce z krótko obciętymi włosami, a pozostali członkowie zespołu, w zwyczajnych ciuchach, występowali na prostym białym tle.

Wytwórnia nie miała przekonania do Broken Wings, więc na pierwszym singlu Monty umieściła Man Beats Woman. Utwór szybko wspiął się na trzecie miejsce listy przebojów i utrzymywał się w pierwszej trzydziestce przez sześć tygodni. W Anglii Monty została uznana za nową Joan Armatrading, nową Carly Simon i Annie Lennox, nową, wielką oryginalną gwiazdę rocka.

TLR

Gdy rozdawano nagrody Grammy, wygrała w kategorii „Najlepszy Nowy Artysta”. Po roku została uznana za najlepszą wokalistkę, a potem za „Najlepszą Współczesną Wokalistkę Solową”. Minął jeszcze jeden rok i zaczęto mówić, że zdominowała wszystkie kategorie nagród przeznaczone dla artystów rocka. Dwa lata później poproszono ją, by prowadziła ceremonię rozdania nagród, ale zrezygnowała z tej propozycji, ponieważ była w ciąży. W tym samym roku wygrała też sprawę wniesioną do sądu przeciwko Rickowi i The Juice oraz Excellent, dotyczącą praw autorskich, i wreszcie odzyskała swe utwory. Trzy miesiące po urodzeniu Palomy Monty zadzwoniła do siostry przebywającej w Nowym Jorku.

— Halo — powiedziała Cathy. — Tu CBC Investment Corporation.

— Co jest, Cathy, czyżbyś pozbyła się sekretarki?

— Monty! Co ty robisz o tej porze?

— Dzwonię do ciebie, głupolu, a cóż by innego?

— Wiesz, która godzina?

— O nie, znowu mi się pomyliło? Przepraszam, Cathy, nigdy nie mogę spamiętać różnic czasu.

Cathy uśmiechnęła się pod nosem. Monty potrafiła spamiętać najbardziej skomplikowane zapisy nut, ale strefy czasowe przekraczały jej możliwości.

— Dobrze, że pracowałam do późna, co? Jak się masz?

— Świetnie. Dlaczego nie przyjeżdżasz, by poznać siostrzeniczkę?

— Chciałam, Monty, naprawdę. Wpadnę w weekend, dobrze? Ostatnio miałam urwanie głowy, dolar skakał, więc...

Teraz Monty uśmiechnęła się do siebie. Cathy zawsze była zajęta. Monty wysyłała siostrze artykuły z pism ilustrowanych o nadmiernym zaangażowaniu i przepracowaniu kobiet-potentatów finansowych, ale bez skutku. Cathy odpowiadała tylko, że to typowe również dla potentatów płci męskiej. Monty

TLR



zaczęła podejrzewać, że praca daje siostrze szczęście.

Cathy przyjechała na weekend, jak przyrzekła, i zachwyciła się Palomą.

Poczuła ukłucie żalu za dawno zapomnianymi uczuciami wczesnego macierzyństwa, gdy wywoływała uśmiech na usteczkach dziecka i wpatrywała się w wielkie niebieskie oczy, które powoli koncentrowały się na jej twarzy. Z trudem usiłowała sobie przypomnieć, o czym rozmawia się z matką niemowlaka.

— Jak sypia? — spytdła.

— Nawet nieźle — powiedziała Monty. — W nocy śpi przez jakieś sześć godzin bez przerwy, a budzi się o piątej, szóstej.

Pewnego ranka Monty siedziała o wpół do szóstej rano na łóżku i karmiła Palomę, opartą o poduszkę Joego. Nagle poruszyła się gwałtownie.

— Coś zawieruszyło się w łóżku, kochanie — powiedziała. — Jakaś zabawka czy coś innego, mógłbyś to wyjąć? Uwiera mnie.

Joe wsunął rękę pod poduszkę i wyciągnął staroświecką srebrną grzechotkę przyczepioną do kółka z kości słoniowej, którą Cathy przywiozła dziecku w prezencie.

— Zaczekaj, jest tu jeszcze coś — dodał Joe, macając pod poduszką. Wyjął po chwili małe skórzane puzderko i położył je na półce obok łóżka.

Gdy Paloma usnęła, Monty zauważyła pudełeczko.

— Co to jest?

— To nie twoje? — zdziwił się Joe.

— Wiesz, że nie. Nie mam żadnej biżuterii poza tą, którą dostałam od ciebie. — Popatrzyła na niego z ciekawością. Dopiero co z okazji urodzin Palomy podarował jej pierścionek z wielkim diamentem w kształcie serca.

— To nie jest ode mnie — powiedział.

TLR

Monty otworzyła puzderko. Na czarnym aksamicie leżała wielka różowa perła.

O szóstej rano tego samego dnia Cathy wyciągnęła się jak rozgwiżdza pod białym pledem i czubkami palców prawej ręki wyczuła coś twardego pod poduszką. Było to obciążone białą skórą pudełeczko, wyłożone czarnym akksamitem, na którym leżała ogromna różowa perła.

27

Na początku września Cathy poleciała do Singapuru na konferencję zwołaną przez International Tin Federation. Były to wyczerpujące trzy dni wypełnione seminariami, które odbywały się w pozbawionym stylu nowoczesnym hotelu. Czterystu delegatów wyraziło obawy, że kartel zajmujący się cyną wkrótce się rozpadnie i światowa cena metalu drastycznie pójdzie w dół, co pociągnie za sobą katastrofalne skutki tak dla producentów, jak i handlowców. W samym Londynie straty mogą sięgać setek milionów funtów.

Seminaria były męczące, a świadomość, że nic nie można poradzić, by zapobiec katastrofie, wprowadzała Cathy we frustrację. Podróż na północ, do Pinangu, w celu zbadania przeszłości ojca powinna jej przynieść ulgę, ale Cathy nie mogła otrząsnąć się ze złych przeczuć, gdy mały, przeznaczony dla pięćdziesięciu pasażerów Fokker wystartował z lotniska Changi i wzniósł się nad białymi, lśniącymi drapaczami chmur w Singapurze. W niecałą godzinę Cathy

miała się znaleźć w Kuala Lumpur.

Cathy była zawsze zaintrygowana tym, że dwa miasta leżące tak blisko siebie mogą tak bardzo się różnić. Singapur był miejscem pozbawionym pamięci, żył tylko przyszłością. Jedynie położony wśród wzgórz Raffles Hotel otaczała aura przeszłości. Jednak wachlarzowate palmy i ładne balkony ozdo-

TLR

bione białymi kolumnkami ginęły w cieniu sześćdziesięcioletnich wieżowców wznoszących się po obu stronach hotelu. Raffles także nieśpiesznie szykował się na powitanie dwudziestego pierwszego wieku. Jego zaniedbane już nieco apartamenty, które przypominały Cathy wilgotne, pudełkowate pokoje z Bourton, były odnawiane przez Davida Hicksa.

W Kuala Lumpur, odległym czterdzieści minut drogi samolotem od tego anonimowego międzynarodowego ośrodka handlu, czuło się ciągłość czasu. Szacunek dla przeszłości leżał w charakterze Malajczyków. Miasto było zaku-

rzane i stanowiło chaotyczną mieszankę nowoczesności i hollywoodzko-mauretańskich budowli otoczonych przez nie kończącą się zieloną dżunglę. Gdy tylko Cathy przybyła na miejsce, zapadła ciemność, więc nie pozostało jej nic innego, jak zainstalować się w hotelu i zaplanować dzień następnny. Zatelefonowała do swych biur w Nowym Jorku i Londynie, czując zniecierpliwienie i dziwny niepokój.

Wreszcie zadzwoniła do Monty w Arizonie, gdzie był wtedy wczesny ranek.

— Co ci jest? — spytała natychmiast siostra, wyczuwając podenerwowanie w głosie Cathy. — Wszystko w porządku?

— Tak — odparła słysząc echo swego głosu na linii. — Po prostu nie bardzo wiem, co ja tu w ogóle robię. Myślisz, że to był dobry pomysł?

— Kto wie? Musimy robić, co się da. Żałuję, że nie mogę być z tobą, Cathy.

— Paloma potrzebuje cię bardziej niż ja — powiedziała Cathy. Słyszała gaworzenie dziecka i domyśliła się, że Monty trzyma je na kolanach.

Cathy odwiesiła słuchawkę i starała się ponownie znaleźć motywację dla swej podróży, ale wszystko to nie wydawało jej się zbyt logiczne.

Dlaczego perły miały mieć jakikolwiek związek z ojcem? Próbowwała odnaleźć w sobie pozytywniejsze nastawienie. Powiedziała sobie: Jesteś zupełnie sama, tysiące mil od domu, a poza tym masz do czynienia ze sprawą z ro-  
TLR

dzaju tych, których nie znosisz, trudną do określenia, irracjonalną. Nic więc dziwnego, że odczuwasz niepokój.

Odnalezienie Treadwella okazało się bardzo proste. Matka, tak jak oczekiwała Cathy, nie potrafiła — czy nie chciała — jej pomóc. Stan fizyczny i

psychiczny Bettiny pogarszał się coraz bardziej. Cathy opłacała pielęgniarkę, która przychodziła codziennie, by utrzymać Bettinę i jej mieszkanie w czystości. Poza tym opatrywała jej wrzody i pilnowała, by Bettina przyjmowała regularnie lekarstwa, których było coraz więcej. Bettina nudała bywała w klubie brydżowym dwa albo trzy razy w tygodniu, więc najwidoczniej miała na tyle jasności umysłu, by grać w karty, i na tyle samokontroli, by nie pokazywać się pijana swoim znajomym. Jednak pozostały czas żyła w stanie zamroczenia alkoholowego. Cathy nieraz próbowała ją przekonać, by przeniosła się do kliniki, ale Bettina z uporem odmawiała.

Kiedy Cathy spytała ją o Williama Treadwella, matka powiedziała:

—

— Nie znaleźmy nikogo takiego na Malajach.

—

— Ale tata mi o nim opowiadał.

— Byłaś wtedy dzieckiem, pewnie coś ci się pomyliło — odparła Bettina, zaciskając bezbarwne usta. — Nie było nikogo takiego, już ci mówiłam.

Sekretarka Cathy z londyńskiego biura załatwiła malajskie książki telefoniczne i z łatwością odnalazła nazwisko Williama Treadwella w spisie telefonów z Pinangu. Jego nazwisko poprzedzał tytuł *Haji*. Cathy wiedziała, że nadaje się go muzułmanom, którzy odbyli pielgrzymkę do Mekki. Sądząc, że na wyspie nie ma zbyt wielu muzułmanów o anglosaskich nazwiskach, Cathy wysłała do niego list. Odpowiedź przysłała natychmiast; datę spotkania uzgodnili na następny dzień po zakończeniu konferencji w Singapurze.

Po noclegu w Kuala Lumpur Cathy wsiadła do kolejnego małego samolotu. Lecieli nad czubkami drzew dżungli i lśniącą, ultramarynową taflą cieśniny Malacca, aż wreszcie wylądowali na wyspie Pinang.

Treadwell spotkał się z Cathy w swoim biurze, w anonimowym pomieszczeniu w dusznym wiktoriańskim budynku przy King Street. Słaby zapach

TLR

goździków emanujący z jego jasnego lekkiego garnituru pozwalał się domyślać, że jest właścicielem przedsiębiorstwa handlującego przyprawami. Na drzwiach widniał złoty napis: „Oriental Spice Company”.

Treadwell był chudy, przygarbiony i nosił okulary. Przypominał bardziej naukowca niż biznesmena. Miał białe włosy, a twarz i szyję poczerwieniałą od tropikalnego słońca. Jego dłoń była koścista, lecz uścisk zdecydowany i mocny.

— A więc to nie tylko z powodu ojca przybyła pani na Wschód? — spytał.

— Przyjechałam na konferencję poświęconą kryzysowi cyny w Singapurze, to była dobra okazja.

— Tak, to zaszkodzi interesom Malezji. Zajmuje się pani finansami, prawda?

— Tak. Wygląda na to, że wszyscy poniosą straty, ale producenci najbardziej ucierpią na tym kryzysie, ma pan rację. Świat jest bardzo mały. Trudno udawać, że oś Północ—Południe nie jest uwikłana we wzajemne zależności. Treadwell zmierzył ją uważnie swymi jasnoniebieskimi oczami.

— Pewne rzeczy pozostają bez zmian, prawda? Ja na przykład eksportuję przyprawy, tak samo jak młodzieńcy z East India Company, którzy robili to w latach sześćdziesiątych dziewiętnastego wieku. Naturalnie w czasach, gdy był tu pani ojciec, wszyscy entuzjasmowali się w klubach cenami kauczuku. Teraz wszyscy chcą produkować olej palmowy i urozmaicić nieco gospodarkę. Zapadło milczenie i Cathy pomyślała, że musi naprowadzić rozmowę na temat swego ojca.

— Sądzę, że słyszał pan o śmierci ojca — zaczęła. — Miałam siedemnaście lat, gdy to się stało. Oczywiście było wokół tego wiele szumu, bo zostawił dużo długów. Siostra i ja czułyśmy się okropnie, bo kiedy się jest tak młodym, pieniądze nie mają żadnego znaczenia i trudno zrozumieć, dlaczego

TLR

z ich powodu ojciec popełnia samobójstwo. Minęło wiele czasu, zanim uporaliśmy się z tym problemem. Aż trudno uwierzyć, że od tamtej chwili minęło już ponad dwadzieścia lat.

Starszawa sekretarka, Chinka, przyniosła na tacy serwis w przesadnie intensywnych barwach i naląła do filiżanek mocnej indyjskiej herbaty. Bill przyjrzał się kobiecie siedzącej po drugiej stronie porysowanego drewnianego biurka i stwierdził, że jest silna i piękna zarazem. Nie było w niej śladu słabości ojca, była natomiast cała uroda matki. Nie spodziewał się tego. Oczekiwał, że ujrzy typową angielską arystokratkę u schyłku młodości, może o ładniejszych niż przeciętne rysach i mdłym brytyjskim temperamentem. Zamiast tego ujrzał kobietę o dużym intelekcie i najwyraźniej stalowym charakterze.

Przez niemal czterdzieści lat Australijczyk przeczuwał, że ten dzień nadejdzie. Wciąż zastanawiał się, jak ma postąpić. Wreszcie postanowił, że najpierw oceni charakter kobiety, która ewentualnie go odszuka, i dopiero wtedy zadecyduje, co jej powie. Nie zamierzał rujnować życia dwóm porządnym, ale być może ograniczonym osobom, ujawniając prawdę, która po latach być może nie miała już żadnego znaczenia.

— Zawsze miałam uczucie, że bardzo mało znam swego ojca. Myślę, że przyszedł czas dowiedzieć się o nim możliwie jak najwięcej.

— Był niezwykłym człowiekiem — podjął Bill z satysfakcją. — Naprawdę kimś szczególnym, pod wieloma względami przewyższającym większość białych przebywających na Wschodzie. Miał bardzo bystry umysł, o ile tylko miał chęć go wykorzystywać. Był bardzo zabawny, miał wiele uroku, niezwykle zdolności do języków orientalnych. Nigdy nie spotkałem kogoś takiego jak on.

Były to same standardowe pochwały, lecz nie mogła oczekiwać, że zupełnie obcy człowiek stanie się przy filiżance herbaty nagle wylewny.

— Ojciec mówił, że to pan nauczył go grać w szachy.

TLR

— Tak, gdy przebywaliśmy u chińskich komunistów w czasie okupacji, graliśmy na szachownicy narysowanej na ziemi. Kawałki bambusa służyły nam za pionki, a kapsle od butelek po piwie za figury.

— Kto wygrywał?

— On, jeśli się do tego przyłożył.

— Nauczył mnie grać, gdy byłam małą dziewczynką. Nigdy nie potrafił się skoncentrować, więc stale przegrywał.

— Tak, to było dla niego typowe. Zawsze miał się na baczności, więc łatwo się rozpraszał. — Bill zdjął ostrożnie zniekształconymi przez reumatyzm palcami okulary w rogowej oprawie i położył je na biurku.

— Czy plantacja, na której ojciec pracował, nadal istnieje? Bardzo bym chciała ją zobaczyć.

Bill zawahał się i przyjrzał się Cathy z zainteresowaniem.

— Moglibyśmy wybrać się tam jutro, jeśli ma pani ochotę. Sam chętnie znowu zobaczyłbym to miejsce. Podobno wybudowano tam nową drogę. Podróż zajęłaby nam jeden dzień.

— Wspaniale.

Cathy wynajęła samochód, po czym zainstalowała się w hotelu E & O, który obecnie nie należał już do najlepszych w mieście, ale za to, tak jak Raffles, emanował atmosferą pełną wspomnień. Mój ojciec bywał tu — myślała Cathy, idąc za bagażowym po chłodnej marmurowej posadzce ułożonej w szachownicę. Stała na tarasie, gdzie kiedyś jej ojciec tak nieopatrznie emablował głupiutką Lucy Kennedy. I patrzyła na błękitnoszare fale i rybaka, który siedząc w wąskiej drewnianej łodzi, wyciągał właśnie sieć.

Następnego ranka popłynęli powolnym promem, a potem wyruszyli na południe wąską, lecz porządną drogą. Wokół roztaczał się ponury krajobraz TLR

ukształtowany przez kopalnie cyny. Ten szary, zdewastowany teren urozmaicały jedynie połączenie splecionej roślinności dżungli.

— To jest Ipoh, miasto powstałe dzięki cynie — wyjaśniał Bill, gdy, mijając liczne rowery, jechali prostą ulicą, przy której mieściły się małe zakłady, sklepy i magazyny.

— A to są domy mieszkalne wybudowane przez rząd.

— Wskazał stojące w równych szeregach, prostokątne bungalowy z balkonami z kutego żelaza. — To realizacja jego pierwszego programu, mającego na celu rozwiązanie problemu mieszkaniowego ludzi, którzy opuszczali wieś i przenosili się do ośrodków przemysłowych, gdzie czekała na nich praca.

Potem mijali wioskę za wioską, gdzie stały ciemne drewniane domy o bogatych zdobieniach. Bill opowiadał Cathy, jak wyglądało codzienne życie na plantacjach, jak spędzały czas żony plantatorów, jak niepewny był okres stanu wyjątkowego. Cathy zorientowała się, że posępny starszy pan skrupulatnie omija tematy, które ją interesowały. Zastanawiała się, dlaczego to robi.

— Kiedy przeszedł pan na islam? — spytała.

— Gdy kraj uzyskał niepodległość. Nie można było wtedy zajmować odpowiedzialnego stanowiska, jeśli się nie było obywatelem malajskim. Pracowałem w stanie Perak jako urzędnik państwowy do spraw rozwoju, pomagałem w budowaniu nowego kraju, tworzeniu solidnej infrastruktury. Kochałem to miejsce, więc postanowiłem złożyć podanie o przyznanie mi obywatelstwa, by móc tu pozostać. Niewielu Europejczyków to zrobiło. Postanowiłem także przyjąć miejscową religię. Wyznaję zasadę „wszystko albo nic”, więc islam bardzo mi odpowiada. Ta religia nie pozostawia nic przypadkowi. Poza tym sądziłem, że nie wystarczy tylko mówić, że się kocha ten kraj, trzeba to jeszcze udowodnić.

— Jak mój ojciec zareagował na pańską decyzję?

— Oczywiście uznał, że oszalałem. Mówił, że tak właśnie zostaje się tu-

TLR

bylcem. Brytyjczycy uważali, że to najgorsza rzecz, jaką można zrobić. Jeśli



ktoś wierzył w te wszystkie brednie w rodzaju „Bóg jest Anglikiem”, trudno mu było zrozumieć moje postępowanie. — Spojrzał na nią z ukosa, by sprawdzić, jak zareaguje na ostatnie zdanie i uśmiechnął się z satysfakcją. — Przypuszczam, że pani nie podziela tej opinii?

— Takie myślenie zniszczyło potęgę Wielkiej Brytanii

— powiedziała Cathy i gwałtownie skręciła, by wyminąć ciężarówkę wyładowaną ziarnem palm oleistych, która jechała środkiem drogi. Treadwell zachichotał.

— Koran nie daje naturalnie żadnych wskazówek, jak się powinno prowadzić samochód.

Po czterech godzinach jazdy droga zaczęła się wspinać na niskie zalesione wzgórza. Przez jakiś czas jechali wzdłuż wąskotorówki przecinającej dolinę, po czym Treadwell kazał skręcić na rozwidleniu dróg w prawo.

Przejechali przez wioskę, gdzie musieli zwolnić przed stadem brązowych krów pędzonych przez małą dziewczynkę w bawełnianej sukience, która od niechcienia poklepywała zady zwierząt bambusowym kijkiem.

Po jakimś czasie ściana szumiącego listowia dżungli ustąpiła miejsca równym rzędom drzew kauczukowych o szarych pniach.

— Za czasów pani ojca była tu tylko bita droga

— powiedział Treadwell. — Lateks przewożono wozami zaprzężonymi w woły i ładowano do pociągu.

— Do kogo należy teraz ta plantacja?

— Do człowieka o nazwisku Choy, który mieszka w Pinangu w wielkim domu przy ulicy Burmah. Sądzę, że zarządcą też jest Chińczyk.

Przejechali wolno obok drewnianych domów krytych blachą cynową, gdzie mieszkali robotnicy z plantacji, zatrzymując się na chwilę, by przepu-

TLR  
ścić rowerzystę obładowanego puszkami z lateksem. Stary dom zarządcy plantacji nadal dominował na wzniesieniu wzgórza, choć sztukaterie były po-

obtłukiwane, a na okiennicach, z których złuszczała się farba, brakowało niektórych listewek.

Zarządca okazał się Hindusem, zażywnym mężczyzną około trzydziestki, w okularach w grubej oprawie. Powiedział, żeby rozejrzeli się po plantacji i czuli się swobodnie. Kazał jednemu z asystentów przynieść poźółkły album z fotografiami i wyszukał zdjęcia, na których uwieczniono personel z wczesnego okresu stanu wyjątkowego. Cathy bez trudu rozpoznała ojca po promiennym uśmiechu i nienagannej sylwetce.

— A to, jak sądzę, jest moja matka? — zapytała wskazując kobietę w bawełnianej sukience stojącą w pewnej odległości od ojca.

— Przypuszczam, że żyje? — spytał Treadwell.

— Jest bardzo chora — powiedziała Cathy. Wyraził ubolewanie w jakiś szczególny sposób, z czego wywnioskowała, że nie przepadał za jej matką. Wiele czasu minęło od chwili, gdy zburzono stare bungalowy, i w miejscu, gdzie niegdyś Cathy i Monty bawiły się pod czujnym okiem *amah*, wyrosły palmy oleiste o pierzastych liściach.

— Pani ojciec był dobrym zarządcą, ze wszystkimi żył w zgodzie — powiedział Bill, niezgrabnie stąpając po spękanej ziemi na poboczu drogi. — Po wojnie był oczywiście traktowany przez tutejszych Europejczyków jak bohater. Niewielu tu nas pozostało, gdy przyszli Japończycy; niewielu przeżyło i mogło opowiadać o tych czasach.

Gdy w drodze powrotnej doszli już do schodów przed domem zarządcy, zaczął opowiadać o okupacji, przyglądając się uważnie, jak Cathy reaguje na jego słowa.

— Nie znam nikogo, kto byłby w stanie zrobić to, co pani ojciec. Podał się za Malajczyka, mieszkał w *kampongu*, przyjmował specyfik, który nam dano, żebyśmy mogli przyciemnić sobie skórę. W okresie okupacji pano-

TLR  
wał tu straszny zamęt, ludzie przywykli do obcych, nawet na wsi. Pani ojciec

doskonale wtopił się w tamtejszą społeczność. To leżało w jego naturze. Był bardzo elastyczny, potrafił zaadaptować się w każdej sytuacji. Myślę, że miejscowi od samego początku podejrzewali, kim był naprawdę, ale gdy nabrali pewności, sami poczuli się zagrożeni, bo mogli być posądzeni o ukrywanie Europejczyka. W tamtych czasach wyznaczono cenę za nasze głowy.

Cathy uruchomiła silnik i ruszyła w drogę powrotną. Czuła w sobie pustkę. Nie wiedziała, co spodziewała się znaleźć, ale czuła się rozczarowana, że to miejsce nie wydaje jej się znajome, chociaż tu właśnie się urodziła. Nie było już nic więcej do oglądania. Czuła się tak, jakby jej oczy nigdy wcześniej nie spoczywały na łagodnym zboczu ujarzmionej roślinności. Zupełnie nie pamiętała tego miejsca.

— Mój ojciec niewiele mówił o przeszłości — powiedziała jadąc wolno wyboistym traktem; na drodze prowadzącej do stacji kolejowej przyśpieszyła.

— Nie powiedział nam nawet, za co został odznaczony.

— Myślę, że zależało mu na tym, by rozpocząć nowe życie w Anglii i pozostawić przeszłość za sobą. Widzi pani, wojna skończyła się nie tak, jak planowaliśmy. Gdy Amerykanie zrzucili bombę, wszystko co tutaj robiliśmy, to znaczy rekrutowanie i szkolenie ludzi do walki z Japończykami, na nic się zdało. Ryzykowaliśmy życie tak jak inni, a nawet bardziej, bo żyliśmy w dżungli. Wielu umarło na tyfus, złośliwą malarię połączoną z krwimoczem czy inne tropikalne choroby.

— Tata był bardzo silny. Prawie nigdy nie chorował.

— Należał do tych, którzy potrafią przetrwać. Obaj tacy byliśmy. Został odznaczony za udział w walkach, które wybuchły po oficjalnym zawieszeniu broni. W dżungli pozostało kilka oddziałów japońskich, które nie chciały przyjąć tego do wiadomości. Pani ojciec pojechał przejąć obóz dla internowanych położony na południu i Japończycy zaatakowali go w nocy. James był ciężko ranny, ale chyba nawet tego nie zauważył. Zaciekle bronił się do chwili, gdy przybyliśmy mu z pomocą. O tak, to był odważny człowiek, nie wie-

TLR

dział, co to strach.

W drodze powrotnej Treadwell zapadł w drzemkę i obudził się dopiero, gdy wjechali na zatłoczone ulice Butterworth. Zatrzymali się, by poczekać na prom.

— To dziwne — powiedziała Cathy, kiedy stali oparci o żelazną balustradę promu i patrzyli na ciemne fale.

— Czuję się, jakbym teraz znała ojca jeszcze mniej niż niegdyś. Wydaje mi się, że wszystko to nie miało z nim związku, a przecież musiało mieć dla niego znaczenie.

Po latach praktyki negocjacyjnej Cathy posiadała szósty zmysł pozwalający jej wyczuć, że ktoś powstrzymuje się od udzielenia jej informacji, i była pewna, że ten człowiek postanowił ukryć przed nią jakiś bardzo ważny fakt z przeszłości ojca. Treadwell zrobił na niej duże wrażenie. Był rozsądny i inteligentny, choć spodziewała się spotkać rumianego, jowialnego jegomościa.. Jednak człowiek, którego jej opisywał, nie był jej ojcem. Cathy była zbyt uczciwa wobec siebie, by uważać ojca za człowieka bez skazy, a Treadwell mówił o jakimś wzorze doskonałości. Może gdyby odwołała się do jego uczuć, otworzyłby się przed nią.

— Zawsze odnosiłam wrażenie, że poróżnił się pan o coś z moim ojcem, czy też on poróżnił się z panem

— zaczęła ostrożnie, zastanawiając się, czy Treadwell po tylu latach zechce odgrzebywać bolesne wspomnienia. Wracali do samochodu.

— Myślę, że bardziej fair jest powiedzieć, że to ja poróżniłam się z nim

— odparł starszy pan, idąc niepewnie po metalowym pokładzie.

— O co się pokłóciliście?

— Skoro ojciec pani tego nie powiedział, to i ja nie powinienem nic mówić — stwierdził otwierając drzwi samochodu i opadając ze znużeniem na fotel. — Jest pani twardą młodą damą, prawda? — spytał uprzejmym tonem,

gdy samochód podskakiwał na nierównej kładce, zjeżdżając z promu.

TLR

— Nie taką znowu młodą — zaproponowała Cathy.

— A pani siostra, jaka ona jest?

— Zupełnie inna niż ja. Jest bardziej uczuciowa ode mnie, bardziej otwarta wobec ludzi. I zawsze próbuje, sprawdza, stawia pytania. Stara się żyć inaczej, lepiej. Zawsze prowadziła bardziej awanturniczy tryb życia niż ja, ale też jest bardziej podatna na ciosy. Jest piosenkarką, może pan o niej słyszał, występuje pod imieniem Monty.

— Po prostu Monty? Obawiam się, że niezbyt wiele wiem o piosenkarkach. Chciałem zapytać, czy ona jest twarda?

— Jest silna. Ona nigdy nie odcina się od życia, żadnej strony życia. Czerpie siły z tego, co przeżyła i przeszła. Moja siła jest innego rodzaju.

— Gdzie jest teraz pani siostra?

— W Ameryce, niedawno urodziła swoje pierwsze dziecko, dziewczynkę.

— Nie miałyby ochoty tu przyjechać?

Teraz Cathy wiedziała, że nie myliła się. Treadwell miał o wiele więcej do powiedzenia i przez cały dzień ją sondował, by przekonać się, czy powinien odgrzebywać przeszłość.

— Gdyby to było coś ważnego, to tak — odparła.

— W takim razie niech ją pani o to poprosi.

Cathy odwiozła go pod drzwi jego nowoczesnego

bungalowu w małej wiosce w nieuprzemysłowionej części Pinangu.

Przybyli tam o dziesiątej wieczór, potem Cathy pojechała z powrotem, mijając po drodze efektowne hotele położone nad plażą Batu Ferringhi. Musiała zwolnić obok sklepów z pamiątkami i przed restauracjami ozdobionymi sznu-

TLR

rami kolorowych lampek, ponieważ wałęsały się tam tłumy turystów, co

chwila przechodzących przez ulicę. Autostrada zakręcała ciągnąc się wzdłuż wybrzeża, nad którym górowały wieżowce. Spienione fale biły o wielkie głazy leżące w dole. Cathy miała wrażenie, że wreszcie jest bliska celu.

Miała trudności z dodzwonieniem się do Monty.

Dopiero po trzech godzinach udało jej się uzyskać połączenie. Głos siostry był ledwie słyszalny.

— Musisz natychmiast przyjechać! — krzyczała Cathy w słuchawkę. —

Nie wiem, o co chodzi, ale on mówi, że to ważne. Mieszkam w hotelu E & O w George Town. Wyślij telegram, którym lecisz samolotem, to wyjdę po ciebie na lotnisko.

— Dobrze — odparła niewyraźnie Monty.

— Chce, żebym przyjechała — powiedziała Monty do Joego, wciąż jeszcze trzymając słuchawkę w rękę. — Wiedziałam, że tak będzie. Od razu powinnam była z nią pojechać. Palomie nic się nie stanie, jak trochę pobędzie z tobą.

— Jesteś pewna, że chcesz jechać sama? — Przytulił ją opiekuńczym gestem, czując, że ogarnia go niepokój. Chociaż bardzo się starał, był jednak zazdrosny o więź Monty z siostrą. Nie było to zwykłe uczucie, lecz powinowactwo duchowe, które zdawało się być tak wieczne i silne jak siła utrzymująca Ziemię na orbicie. Jego miłość nie mogła z nim konkurować.

— Czuję, że muszę — powiedziała wolno Monty. — Będę się czuła okropnie bez ciebie, ale cokolwiek to jest, dotyczy czegoś, co Cathy i ja musimy przeżyć razem.

Joe skinął głową. Od chwili, gdy postanowili być razem, nie spędzili jeszcze ani jednej nocy z dala od siebie.

— Będę za tobą tęsknił. Oboje będziemy tęsknili. Nie martw się o Palomę, wszystko będzie dobrze.

TLR

Gdy Monty wylądowała dwadzieścia godzin później na małym, gorącym

i zatłoczonym lotnisku, Cathy już na nią czekała — nieruchoma postać w czarnej jedwabnej sukience. Gdy Cathy ją pocałowała, Monty poczuła się nagle, jakby znowu były dziećmi, które muszą wspólnie stawiać czoło całemu światu.

Nazajutrz pojechały do domu Treadwella i usiadły obok siebie na poduszkach zapadającej się sofy w dusznym, ciemnym salonie. Ciepły wiatr od morza, które znajdowało się w odległości zaledwie kilkuset jardów, poruszał lekko zasłony z biało-niebieskiego kretonu w kwiaty. Bill nosił w domu *sangkok*, owalny malajski fez, który nie pasował do jego ostrych, anglosaskich rysów.

Żona Treadwella, Malajka, chuda kobieta o żółtawej cerze ubrana w białą bluzkę i niebieską spódnicę, przyniosła herbatę w białych filiżankach z grubej porcelany, po czym wycofała się na zaplecze domu.

— To, co zamierzam wam powiedzieć, na pewno was zaszokuje — zaczął. — Bardzo poważnie zastanawiałem się, czy powinienem to robić. Być może zrujnuje to wasze szczęście. Nie należę do tych, którzy sądzą, że jesteśmy na ziemi po to, by cierpieć. Ale jestem przekonany, że nie o samo szczęście w życiu chodzi, i wydaje mi się, że myślicie podobnie. — Przyjrzał się uważnie twarzom obu kobiet. Teraz, gdy zobaczył też młodszą, był zdziwiony, że nikt wcześniej nie zakwestionował jej pochodzenia. Te gęste, kręcone włosy, lekko spłaszczony nos, skośne oczy mówiły same za siebie.

— Gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy, nie byłem jeszcze zdecydowany, jak powinienem postąpić — zwrócił się do Cathy. — Ale czułem, że przyjechała pani tu, zrozumiałem już pewne rzeczy. Odniosłem wrażenie, że posiada pani cechy, które powinien mieć pani ojciec. Może miała pani trudniejsze życie niż on na początku. Jim był moim przyjacielem. Byłem przywiązany

do niego jak do brata. Ale on był pod pewnym względem wykoślawiony psychicznie. Nie chodzi o to, że zbyt mu pobłażano. Został po prostu źle ukierunkowany. To było tak, jakby patrzył na świat od niewłaściwej strony. Ma

TLR

pani rację, poróżniliśmy się. Ma pani cały jego urok i ani śladu jego słabości. Gdyby był taki jak pani, byłby zapewne straszliwym kobieciarzem.

— A nie był? — spytała Cathy niepewnym głosem. Nigdy nie podawała w wątpliwość atrakcyjności i męskości ojca.

— Nie w dzisiejszym znaczeniu tego słowa. Niektórzy mężczyźni mieszkający w koloniach woleli tubylcze kobiety. Myślę, że wasz ojciec do nich należał. — Przyjrzał im się uważnie, by przekonać się, czy są zaszokowane, ale napotkał nieruchome spojrzenia pary piwnych i pary czarnych oczu.

— Czy chce pan powiedzieć, że ojciec miał kochankę? — nalegała łagodnie Cathy.

— Nie zdziwiłbym się, gdyby było ich wiele. Miał także żonę. W czasie wojny, gdy żyliśmy w ukryciu, poślubił Malajkę. Zupełnie oszalał na jej punkcie. Nie rozumiałem tego. Była piękna, ale uważałem, że to wariactwo, i powiedziałem mu to. Naturalnie to pomagało mu w ukrywaniu się. Ludziom, wśród których przebywał, trudno było wydać jednego ze swoich.

— Co się z nią stało? — spytała Monty. Poczowała przypływ gorąca, mimo że miała na sobie tylko luźną sukienkę z czerwonego jedwabiu. Starła się wyobrazić sobie ojca, który kocha się z jakąś kobietą, ale nie potrafiła. Wydawało jej się, że rozmawiają o kimś innym.

— Porzucił ją pod koniec wojny i więcej już nie zawracał sobie nią głowy. Odwiedziłem ją parę razy, dałem jej jakieś pieniądze. — Przerwał zastanawiając się, czy rzeczywiście postępuje słusznie, opowiadając im tę historię. Teraz i jemu trudno było uwierzyć, że jest prawdziwa.

— Mieli dzieci — powiedział w końcu, przenosząc wzrok z jednej na drugą i wpatrując się w nie przenikliwie.

— Chce pan powiedzieć, że mamy gdzieś rodzeństwo?

— Cathy poczuła, że jej plisowana spódnica przykleiła się do ud z powo-

TLR



du upału; przesunęła się nieco do przodu na niewygodnej niskiej kanapie. — Nie — odparł oblizując wargi, a jabłko Adama podskoczyło, gdy przełknął ślinę. — Miał dwie córeczki z tą Malajką. Gdy wrócił tu po wojnie, ożenił się z tą kobietą z fotografii. — Najwyraźniej imię Bettiny nie przecho-  
dziło mu przez gardło. — Czy orientują się panie w rodzinnych sprawach fi-  
nansowych?

— Wiemy, że pieniądze, które stracił ojciec, tak naprawdę należały do nas. Były oddane pod zarząd powierniczy — odparła Cathy.

— To był cały majątek, jaki posiadał wasz ojciec. Musiał się ożenić i za-  
łożyć rodzinę, by mieć do nich dostęp. Gdy stało się jasne, że nasze dawne  
życie tutaj kończy się, wasz ojciec był zdesperowany. I okazało się, że nie  
może mieć dzieci z tą kobietą, więc odszukał swoją malajską żonę.

Ciemne, aksamitne oczy Monty rozszerzyły się ze zdumienia...

— A więc Cathy i ja...

— Przywiózł was na plantację i zaczął utrzymywać, że jesteście dziećmi  
pochodzącymi z nowego związku. Załatwił fałszywe świadectwa urodzin, i  
tak dalej. Nigdy nie przypuszczałem, że mu się to uda. A jednak się udało.

— A więc wcale nie jesteśmy... nie jesteśmy dziećmi Bettiny, dziećmi je-  
go żony? — Spojrzały sobie w oczy i w tej samej chwili przysunęły się do  
siebie. Potem znów spojrzały pytająco na Treadwella.

— Według brytyjskiego prawa pierwsze małżeństwo w ogóle nie istniało.  
Może jest jakiś zapis w meczecie. Czy kiedykolwiek... czy ktoś wspominał  
wam o tym wszystkim?

Pokręciły przecząco głowami.

— Nie sądzę, by reszta rodziny orientowała się w czymkolwiek — po-  
wiedziała Cathy. — Nasza babka miała bardzo trudny charakter, ale ojciec był  
jej ulubieńcem. Jednak nie potrafiłaby utrzymać niczego w tajemnicy. Gdyby  
TLR

coś wiedziała, pewnego dnia powiedziałałaby nam o tym.

— A wasza matka, Betty, kobieta, którą uważałyście za matkę...

— Ona nigdy nam nic nie mówiła. Nie powiedziała nam nawet, skąd się biorą dzieci. Pozostawiła nas samym sobie. — Monty nadal nienawidziła Bettiny i teraz odczuwała wielką ulgę, że uczucie to było usprawiedliwione.

— Zawsze darłam z nią koty. Marzyłam o czymś takim jak to, co usłyszałam.

Cathy pokiwała głową.

— Zawsze miałyśmy uczucie, że nie pasujemy do reszty, że jesteśmy inne.

— No cóż. — Treadwell uśmiechnął się łagodnie, przenosząc wzrok z jednej na drugą, i stwierdził, że jeszcze nie całkiem dotarło do nich to, co powiedział.

— Teraz wiecie, że naprawdę jesteście inne.

— Jaka ona była, nasza prawdziwa matka? — spytała Monty.

— Była słodka, urocza jak mały kotek. Wymiałała mu pył spod stóp. — Zaczerwienione oczy Billa lśniły. — Serce mi się krajało, gdy pytała, kiedy wróci. I tak was kochała! Malajczycy w ogóle kochają dzieci, ale ona was uwielbiała, wprost uwielbiała.

Spojrzał przez okno na iskrzącą się powierzchnię morza i zamglony horyzont.

— Uderzyłem go, jak dowiedziałem się, co zrobił. Nigdy nie zapomnę tej chwili, gdy wszedłem do bungalowu i zobaczyłem was obie w tych białych ubrankach, w które Malajczycy ubierali wtedy dzieci. A pani — zwrócił się do Cathy — była dziecięcym sobowtórem Jima. Podszedłem do niego i uderzyłem go tak mocno, że się przewrócił. Wybiłem mu kawałek zęba. Nie chciałem potem mieć z nim nic wspólnego. Pojechałem od razu do waszej TLR

matki. Była w straszliwym stanie. Cała rodzina spierała się, czy wezwać lekarza, nie chodziło oczywiście o medyka, lecz o znachora, który odpędza złe

duchy. Leżała z otwartymi, nie widzącymi oczyma, jakby była pogrążona w transie. Była chora, sama skóra i kości, miała gorączkę, ale oni nie zważali na to. Bali się tylko, że zawładnął nią jakiś zły duch. Jedynie babka stwierdziła, że to choroba.

Westchnął i wypił łyk prawie zimnej herbaty. Siostry siedziały w milczeniu, a on mówił dalej:

— Jej matka była bardzo samolubną kobietą, została porzucona przez jej ojca. Mówiono, że był biały, mówił po angielsku, ale nie pochodził z Anglii. Chciała pozbyć się córki za wszelką cenę. Zabrałem ją do szpitala, a babka pojechała z nami. Dopilnowałem też, żeby oddali pieniądze, czy raczej to, co z nich pozostało, bo wasz ojciec im zapłacił. Dopiero po trzech miesiącach przyszła nieco do siebie i wtedy postanowiła wyjechać i szukać szczęścia w Singapurze. Wpadła na pomysł, by zostać amah w angielskiej rodzinie, a potem nakłonić waszego ojca, by wziął ją do siebie, żeby mogła być przy was. Cathy siedziała w milczeniu, zasłuchana w fale rozbijające się w dali o purpurowe kamienie. Pamiętała, jak bardzo cierpiała, gdy zabrano jej Jamiego, i łzy współczucia dla matki, której nie pamiętała, napłynęły jej do oczu.

— Nie potępiajcie go — powiedział Treadwell niespodziewanie. — Ja go potępiłem, ale on nie potrafił inaczej. Czasami wasz ojciec nie umiał odróżnić dobra od zła. Nie sądzę, by kiedykolwiek zdał sobie sprawę, jak straszliwą rzecz zrobił. On był jak kulis. Nie można było zmusić kulisów, by przestali kłamać, kraść czy oszukiwać przy wyrabianiu normy albo by porządnie pracowali. Takie zasady moralne były luksusem, na jaki nie mogli sobie pozwolić. Nie ma sensu być porządnym człowiekiem, gdy się jest czyjąś własnością, prawda? Wasz ojciec miał taki sam stosunek do kobiet. Kłóciłem się z nim, ale nic do niego nie docierało.

Treadwell wytarł nos w wielką białą chustkę, po czym sięgnął po zniszczoną teczkę, która leżała na kraciastej serwecie. Podał Cathy ciężki, oprawiony w skórę notes.

TLR

— To dziennik, który prowadziłem w czasie okupacji. Może chciałybyście go przeczytać?

— Co stało się z naszą matką, gdy pojechała do Singapuru? Gdzie jest teraz? — naciskała Monty.

Treadwell unikał wzroku sióstr, nie mając ochoty na kontynuowanie rozmowy. Bał się ich reakcji.

— Powinniśmy wiedzieć — ponaglała Cathy ze spokojem. — Nawet jeśli sądzi pan, że nie będziemy panu wdzięczne za to, co usłyszymy.

— No cóż, może nie będziecie mi wdzięczne, ale rzeczywiście musicie wiedzieć. Została oszukana, wpadła w łapy Chińczyków, którzy prowadzili tanią tancbudę, i została tym, co określano mianem fordanserki. Tak naprawdę było to prawie to samo co prostytutka. Wiele dziewcząt porzuconych przez Europejczyków jechało do miast i kończyło w ten sposób. Malajczycy są bardzo pruderyjni, więc nie miały powrotu do swych rodzin. Wtedy zaczęła się zmieniać, stała się twarda. Zjadała ją nienawiść, niemal obsesyjnie wyciągała pieniądze od brytyjskich żołnierzy. Były ich wtedy tysiące w Singapurze.

— Czy widywał się pan z nią w tamtym okresie? — spytała Cathy.

— Utrzymywałem z nią kontakt tak długo, jak mogłem. Wypytywała mnie o was, interesował ją każdy szczegół. Przynosiłem jej fotografie. Wasz ojciec nic nie wiedział, bo na pewno próbowałby mi przeszkodzić. Potem związała się z mężczyzną pochodzenia eurazjatyckiego, który prowadził lokal z fordanserkami, i zaczęła się obracać w hulaszczym środowisku Singapuru. Wasz ojciec wyjechał na początku stanu wyjątkowego, zabrał was do Anglii. Wkrótce po tym namówiła tego człowieka, by zabrał ją do Francji. Mieli zamiar otworzyć nocny klub w Paryżu.

Na stole leżała podniszczona koperta z grubego papieru. Treadwell otworzył ją i zaczął przerzucać różne karteluszkę. Powoli wyciągnął wąską błękitną

kartkę i podał ją Cathy. Widniał na niej biały napis „Le Bambou”, wykaligra-

fowany pseudochińskimi literami. Cathy odwróciła kartkę i zobaczyła zamalowane, ledwie czytelne słowa: „Mamy duży sukces. Zaraz odzyskam swoje dzieci. Dziękuję za wszystko”. Pod spodem był staranny podpis.

— Była na wpół analfaberką — powiedział. — To ostatnia wiadomość, jaką od niej otrzymałem.

— Jakie to straszne. — Cathy obejrzała kartkę i podała ją Monty. — Musiała bardzo cierpieć. Jak nasz ojciec mógł zrobić coś takiego?

— Właściwie nie uważał jej za ludzką istotę zdolną do uczuć. Tymczasem jej uczucia były szlachetniejsze od jego uczuć, jak się okazało. Nie zapominajcie, że Imperium Brytyjskie opierało się na przekonaniu, że tak naprawdę tubylcy nie należą do rodzaju ludzkiego.

Treadwell zauważył, że starsza z sióstr jest bardziej wstrząśnięta. Sprawiała wrażenie oszołomionej i rozglądała się po pokoju, jakby ujrzała go po raz pierwszy.

— Wioska oczywiście nadal istnieje. Jeśli chcecie, możemy tam pojechać. Jednak krewni waszej matki wyjechali stamtąd. Babka umarła, a matka z mężem przenieśli się do Malacca, gdzie on miał jakąś rodzinę. Potem znowu

gdzieś wyjechali i straciłem ślad. To było... och, dwadzieścia lat temu.

— Chciałabym zobaczyć tę wioskę — powiedziała Cathy i nagle odniosła wrażenie, że jej głos dobiega gdzieś z oddali.

— Możemy pojechać nawet jutro. Najlepiej polecieć do Kuantanu, na drugi koniec półwyspu, na wschodnie wybrzeże. Stamtąd jedzie się kilka godzin.

Gdy wracały do Pinangu, Monty czuła się jakby wypuszczono ją z więzienia, w którym tkwiła przez całe życie.

— Oczywiście, oczywiście — powtarzała potrząsając głową. — Przecież zawsze czułyśmy, że coś jest nie tak. Nic dziwnego, że Bettina się nami nie zajmowała. Mój Boże, prawie mi jej żal. Przez tyle lat utrzymywać taką rzecz

TLR

w tajemnicy. Nic dziwnego, że sięgnęła po alkohol. Nigdy nas nie kochała, bo z jakiej racji? Czy myślisz, że tata umarł, bo wszystko miało wyjść na jaw?

— Proszę cię, Monty, proszę. Nie zastanawiajmy się nad tym teraz, jeszcze nie.

Cathy wygramoliła się ze znużeniem z samochodu, gdy dojechała przed hotel, i przeszła z siostrą przez pusty hall, który w jakiś tajemniczy sposób zachował zapach starego drewna i pasty, tak charakterystyczny dla angielskich domów na wsi.

— Chcesz zatelefonować do Joego? — spytała, gdyż nagle zapragnęła zostać sama i opanować zamęt emocjonalny. Monty spędziła godzinę na upewnianiu się, że Paloma pogodziła się z jej nieobecnością z zaskakującym brakiem oznak jakiegokolwiek niepokoju, po czym przyszła do pokoju Cathy.

— Nie możesz się pozbierać, co? — spytała zauważywszy, że Cathy siedzi przy oknie w tej samej, pełnej przygnębienia pozie.

— Szczerze mówiąc, Monty, sama nie wiem, co czuję. Mam po prostu zamęt w głowie. Mogłabyś spać tutaj? Nie chcę być sama.

Wstały wcześniej rano i wypili kawę, która, jak wszędzie w Malezji, miała nieprzyjemny posmak cykorii. Treadwell zjawił się w swym sponiewieranym Morrisie, gdy tylko dopili kawę, i pojechali na lotnisko. Mały samolot szybko wzleciał ponad warstwę chmur wiszących nad dżunglą, a kiedy lecieli nad grzbietem pasma górskiego, wpadł w lekką turbulencję.

Gdy maszyna zniżyła lot, Monty wyjrzała przez okno i zobaczyła w dole morze soczystej zieleni, w której gdzieniegdzie tkwiły zabudowania. Dojrzała też kilka wijących się dróg — wyglądały jak lśniące nici. Nie widać było spustoszenia, jakiego dokonały kopalnie cyny w dżungli na zachodzie kraju, nie było widać też wielkich miast.

Na lotnisku wynajęli Datsuna, a Treadwell kazał Monty, która siadła za kierownicą, jechać szeroką drogą w sznurze samochodów i ciężarówek. Na

TLR

peryferiach Kuantanu skręcili na główną szosę prowadzącą do Kuala Lumpur, a po godzinie — w boczną drogę.

Była prosta jak strzała i tak wąska, że mieścił się na niej zaledwie jeden pojazd. Przecinała niskie wzgórza, na których znajdowały się plantacje kuczuku i palm oleistych. W ciągu czterdziestu minut szybkiej jazdy spotkali tylko jeden samochód jadący w przeciwnym kierunku.

— Tutaj proszę skręcić w prawo — powiedział Treadwell, gdy przejechali przez szeroki żelazny most zawieszony nad błotnistą brązową rzeką.

Monty posłusznie skręciła i wjechała wolno na szeroką, zrytą koleinami drogę, wokół której rosła bujna roślinność wysoka na osiem czy dziesięć stóp. Po obu stronach drogi znajdowały się głębokie rowy porośnięte sitowiem, którego liście odbijały promienie słoneczne jak ostrza mieczy.

Zatrzymali się przed stadem bawołów, które niezgrabnie przełaziły przez jezdnię. Podniosły szare pyski i drapały się rogami po grzbietach, przyglądając się z ciekawością samochodowi. Minęła ich jadąca powoli ciężarówka wy-

ładowana ogromnymi pniami i pozostawiła za sobą duszącą chmurę czerwonego pyłu.

Dzika roślinność ustąpiła po chwili miejsca polom ryżowym. W oddali, za małym poletkiem młodego, intensywnie zielonego ryżu widać było kilka chat.

— Tu zaczyna się wioska — powiedział Treadwell. — Wasz dom jest nieco dalej.

Kilka kur przebiegło przez drogę i Monty znowu przyhamowała. Potem przejechali obok urządzeń do wyrobu kuczuku. Trzy stare magle z lanego żeliwa stały pod zaśniedziałym cynowym dachem, a brudne płaty lateksu schły na płocie.

— Dużo się tu zmieniło? — spytała Monty.

TLR

— Prawie nic — odparł kręcąc głową. — Wielu ludzi wyjechało, trochę domów się rozpadło, wioska jest teraz mniejsza, ale takie życie nigdy się nie zmienia. Toczy się tak samo od kilkuset lat. Myślę, że na przełomie wieków, gdy zaczęto wyrabiać kauczuk, nastąpił pewien przełom. Ale wieś jest wciąż jak świat długi i szeroki. Zatrzymaj tutaj. — Wskazał wyżwirowany placyk na

poboczu. Obok drogi płynął szeroki strumień, a w odległości mniej więcej pięćdziesięciu jardów stało kilka domów, które łączyły z drugim brzegiem mostki z drewnianych bali. Treadwell podszedł do kobiety w obcisłej żółtej bluzce i turkusowo-złotym *sarongu*, która wieszała wyprane koszule na sznurze. Zamienił z nią parę słów i wrócił do siostr.

— Dom stoi pusty od kilku lat. Chodźcie, pokażę wam.

Cathy zauważyła, że domy znajdujące się w tej części półwyspu były prostsze od tych na zachodzie. Były to prostokątne chaty ze starego drewna, pozbawione zdobień, przeważnie osadzone na palach, z oknami bez szyb i dachami z karbowanej zardzewiałej blachy. Przed chatą, do której zaprowadził je Bill, rósł wybujały, lecz na wpół uschnięty krzew granatu, a sama chata prawie ginęła w zaroślach palmowych.

Wnętrze było ogołoczone i puste. Monty nie zważając na to, że pobrudzi sobie białą bawełnianą sukienkę, usiadła na progu i zaczęła się wpatrywać w małe schodki i drewniany mostek, wczuwając się w spokojną atmosferę tego miejsca. Pomyślała, że stworzyli ją prości ludzie, którzy wiedli tu proste życie. Próbowała sobie wyobrazić siebie na miejscu tej kobiety rozwieszającej upraną w rzece bieliznę.

Nierówne kroki Cathy chodzącej po drewnianej podłodze odbijały się echem w głębokiej ciszy panującej wokół domu. Wioska ta dawała początek długiemu łańcuchowi handlu, przemysłu i finansów. Ona, Cathy, należała do bogatej uprzywilejowanej grupy, która kontrolowała wszystkie ogniwa.

Większość ludzi żyjących w tej wiosce musiała uprawiać ziemię, która zapewniała im egzystencję. Owoce pracy całego życia pozwalały im jedynie na



przetrwanie. Nie byli w stanie nic utargować w interesach z resztą świata. Byli bezsilni i spisani na straty.

TLR

— Dom, w którym się urodziłyśmy... — powiedziała do Monty, nie potrafiąc odnieść wszystkiego, co tu ujrzała, do swojej osoby ani wspomnień o ojcu.

— Czy ona miała jakieś inne dzieci? — spytała nagle Monty Treadwella.

— Nie, o ile wiem, to nie. Nie sądzę, żeby tego chciała, była tak zaabsorbowana wami, tym, że was straciła, wspomnieniami, marzeniami, które wiązały się z wami. Poza tym większość fordanserek miała różne infekcje...

Postanowiły zostać w tej okolicy przez kilka dni. Wrócili do Kuantanu, Treadwell pojechał do Pinangu, zostawiając siostrze teczkę z kilkoma zamazanymi fotografiami z ich dzieciństwa, parę starych adresów i niezdatnych zapisków matki. Zatrzymały się w Hyatt i spędziły większość wieczoru na długiej, srebrzystej plaży. Siedziały obok siebie, zapatrzone w fale Morza Południowego — niowochińskiego. Były silne i niesamowicie fosforyzujące, kłębiły się i rozбивały o strome piaszczyste brzegi.

— Byłam zadowolona z tego, co było — powiedziała Cathy, opierając brodę na kolanach, jak mała dziewczynka. — A teraz czuję, że staję się kimś innym. To jest tak, jakby ktoś podkopał moje fundamenty. Czuję się, jakbym miała rozpaść się na kawałki.

— Będzie dobrze, Cathy. Jestem z tobą, zawsze jestem z tobą. Wcale się nie rozsypiesz, jak to zaakceptujesz, będziesz silniejsza i szczęśliwsza.

Monty zadzwoniła do agencji detektywistycznej w Singapurze, której adres Cathy zdobyła wcześniej. Chinka o budzącym zaufaniem, pozbawionym emocji sposobie bycia, przyleciała, żeby się z nimi spotkać. Monty wręczyła jej grubą papierową kopertę i poleciła odszukać rodzinę matki.

Po tygodniu doszły do wniosku, że codzienne wyprawy do wioski nie przyniosą już nic nowego. Stwierdziły, że nasyciły się atmosferą miejsca, w

którym przyszły na świat, i wróciły do Londynu.

TLR

A więc wróciłaś wreszcie, szefowo marnotrawna. Dowiedziałaś się czegoś na temat pereł? — spytał Henry, obejmując Cathy i całując ją w oba policzki. Był zaskoczony, że nie wygląda na wypoczętą, lecz jest spięta i roz-targniona.

— Pereły? — Prawie o nich zapomniała. — A tak, pereły. Nic nie wiem, chyba że nadeszły jakieś informacje podczas mojej nieobecności. Odkryłyśmy

coś o wiele poważniejszego, ale na razie nie mogę ci nic powiedzieć. Naj-pierw muszę zobaczyć się z Jamiem. Dziś po południu jadę do Oksfordu. Jej syn, jak oczekiwała, był po dziecinnemu podekscytowany, gdy do-wiedział się, że matka odkryła sekret dotyczący swej tożsamości. Nie powie-działa mu, co się stało z jego nowo odkrytą babką, i przemilczała niegodziwe postępowanie Jamesa. Nie mogę się z tym pogodzić — myślała wracając do Londynu. — Nie mogę uwierzyć, że mój ojciec zrobił taką potworną rzecz. Wiem, że był człowiekiem pozbawionym rozsądku, że łatwo go było oszukać, ale nie mogę uwierzyć, że był tak okrutny, by odebrać matce jej dzieci. Gdy opowiedziała o wszystkim Henry'emu, był zaskoczony. Obrzucił ją przenikliwym spojrzeniem i powiedział:

— Weź sobie jeszcze jeden tydzień wolnego, Cathy. Musisz dojść do sie-bie. To zbyt poważna sprawa, nie dasz sobie z tym rady, jak będziesz praco-wać. Zostaw mi wszystko, odwołam swoje spotkania i zajmę się twoimi. Cathy gwałtownie potrząsnęła głową.

— Wolę pracować. Myślenie o czymś innym przynosi mi ulgę. Wiesz, co jest w tym wszystkim najgorsze? Okazuje się, że nie znałam swego ojca, nie wiedziałam, że sterował mną przywiązując mnie tak do siebie. Byłam bardzo młoda, gdy umarł. To straszne, jak pomyślę, że odszedł, zanim miałam szansę go zrozumieć.

Nazajutrz Henry dał jej zakurzoną brązową kopertę, szeroką na jakieś

dziewięć cali, wypchaną pożółkłymi wycinkami prasowymi. Widniał na niej TLR

stempel: „Do wglądu tylko na terenie biblioteki”.

— To archiwum wycinków na temat twojego ojca z „The Daily Telegraph” — powiedział. — Poprosiłem Przyjaciela, żeby to dla mnie wyciągnął. Może ci się na coś przydadzą, dużo tam o nim piszą.

Była to smutna lektura. Cathy została do późna w biurze, rozprostowywała wymięte kawałki papieru i czytała relacje na temat niepowodzeń ojca w ryzykownych przedsięwzięciach finansowych i jego wypadów na wyścigi konne.

Jedną z cech charakterystycznych „The Daily Telegraph”, poza statecznym konserwatyzmem, jest to, że z wyżyn swej nienagannej moralności spogląda z pogardą na wszelkie przelotne skandale, lecz relacjonuje je o wiele bardziej szczegółowo niż „The Times” czy inne renomowane gazety. Kiedy Cathy doszła do artykułów poświęconych okolicznościom śmierci Jamesa i dochodzeniu, które później prowadzono, wreszcie znalazła coś, co mogło być związane z ostatnimi rewelacjami na temat ojca.

Wszystkie gazety pisały o jego długach. „The Daily Telegraph” zamieścił ponadto następującą notatkę: „Prasa zagraniczna przez parę miesięcy rozpisывała się na temat lorda Bourtona i jego powiązań z paryską call girl, znaną pod imieniem Nadine, która prawdopodobnie została zamordowana na początku października ubiegłego roku”.

Cathy pojechała do swego apartamentu na najwyższym piętrze wysokociowca w Barbican, gdzie czekała na nią Monty. Umówiły się, że na razie opowiedzą o wszystkim jedynie Joemu, Jamiemu i Henry’emu.

— To jeszcze nie koniec, jestem tego pewna — powiedziała Cathy, pokazując Monty wycinki prasowe. — Nadal sądzę, że Treadwell nie powiedział

nam całej prawdy. Bał się. A może chodzi o coś, co jedynie podejrzewał.

— Tata stale wyjeżdżał do Paryża — powiedziała Monty, zaskoczona

afektowanym sposobem bycia siostry. — Europejskie brukowce też bez prze-  
TLR

rwy o mnie piszą. Tam są same bzdury. W zeszłym roku pisali, że umieram  
na białaczkę.

— Tak czy owak zamierzam tam polecieć i wynająć kogoś, by przejrzał  
archiwa prasowe. Może odkryjemy coś nowego, kto wie? Nie mogę znieść  
myśli, że nie wiem tylu rzeczy o tacie. Nagle stało się tak, jakbyśmy nie miały  
wcale rodziców. Naszej prawdziwej matki w ogóle nie pamiętamy, a ojciec,  
jak się okazuje, był zupełnie innym człowiekiem niż ten, którego znałyśmy.  
Monty mruknęła pod nosem, stwierdzając w duchu, że patrzy na tę spr-  
wę zupełnie z innej strony niż jej siostra. Nie niepokoi mnie przeszłość, bo  
żyję terazniejszością — pomyślała. — Bardzo dawno odcięłam się od rodziny  
czy też ludzi, których uważałam za krewnych. Ale Cathy nadał czuje się z  
nimi związana. Teraz musi w ciągu paru tygodni przejść przez to wszystko, z  
czym z takim bólem zmagalam się przez wiele lat, musi się dowiedzieć, kim  
jest naprawdę.

— Mamy jechać do nowego kurortu Shahzdehów za dwa dni — przypo-  
mniała łagodnie siostrze. — Zapomniałaś?

— Cholera, tak, zapomniałam — powiedziała Cathy z nagłą irytacją.

Spodziewała się wprawdzie, że L'Equipe Creole jest na pewno uroczym miej-  
scem, ale pełne napięcia spotkania poświęcone interesom w czasie długiego  
weekendu były ostatnią rzeczą, na jaką miała teraz ochotę. Westchnęła. Bę-  
dzie musiała jednak pojechać. Chodziło przecież o ważnych klientów, a po-  
nadto księżna usilnie prosiła Cathy, by przedstawiła jej swoją siostrę.

Kurort położony był na jednej z wysp karaibskich, niedaleko Martyniki.

Joe i Paloma też tam przylecieli, co rozładowało atmosferę. Pomiedzy Cathy i  
Monty otwierała się przepaść i obie to czuły. Były przygnębione tym, że od-  
krycie tajemnicy ich pochodzenia odsuwa je od siebie, podczas gdy powinno  
jeszcze bardziej zbliżyć. Cathy podchodziła do całej sprawy zupełnie inaczej

niż Monty. Nie mogła przestać myśleć o ojcu, a Monty chciała jak najszybciej dowiedzieć się czegoś o matce. Przed wyjazdem z Londynu wynajęła drugiego detektywa, by szukał jej w Paryżu, a także zweryfikował pogłoski, które towarzyszyły śmierci ojca. Joe robił wszystko, by pohamować nieposkromio-

TLR  
ną ciekawość Monty i uspokajał Cathy.

L'Equipe Creole był szóstym kurortem księżnej Ayeshah i jednym z najpiękniejszych. Wielką koralową wyspę otaczały naturalne plaże z białoróżowego piasku, które schodziły łagodnie w przejrzystą wodę, rojącą się od bajecznie kolorowych ryb. Główne pawilony, wybudowane z miejscowego szarobrazowego, porowatego kamienia, mieściły się na najwyższym wzgórzu wyspy. Goście księżnej mieszkali w bungalowach zbudowanych w tradycyjnym karaibskim stylu. Miały wysokie, strome dachy kryte smołowanymi deskami, które rzucały chłodny cień.

Obok wejścia do głównego hallu hotelowego rósł krzew uroczynu i gdy goście zjawili się na przyjęcie powitalne, gorąca morska bryza przyniosła jego

słodkawy, waniliowy zapach. Pomimo całego piękna i luksusu Cathy nie była w stanie się zrelaksować. Hedonistyczna atmosfera panująca w kurorcie urągała tylko jej skołatanemu sercu.

Księżna Ayeshah była sama. Jej mąż musiał zostać w Paryżu z powodu interesów. Miała na sobie suknię z białego krepdeszynu z małym dekoltem, długimi rękawami i kryzą. Włosy były zaplecione we francuski warkocz. Gdy ujrzała Cathy, powitała ją serdecznie.

— Czy mogę przedstawić pani moją siostrę? — Cathy cofnęła się o krok, a Monty uściśnęła rękę księżnej i zaczęła zachwycać się wyspą, tak jak niegdyś robiła to Cathy, gdy po raz pierwszy spotkała księżną w Grecji.

— Jestem zachwycona pani przyjazdem, bo od dawna chciałam panią poznać — powiedziała księżna. — Mam nadzieję, że przed wyjazdem wstąpi pani do mnie na małą pogawędkę?

— Naturalnie — odparła Monty i umówiły się na następny dzień. Później Monty przez cały czas towarzyszyła księżnej, która z gracją przechadzała się wśród gości. Cathy poczuła się dziwnie zmęczona, więc szybko opuściła przyjęcie i wróciła do bungalowu. Położyła się do łóżka, ale nie mogła zasnąć. Wierciła się i przewracała z boku na bok przez kilka godzin, dopóki nie

TLR  
wróciła Monty.

— Och, Cathy, tak mi przykro, świetnie się bawiłam. Nie przyszło mi do głowy, że źle się tam czułaś.

— Nie mogę przestać o tym myśleć — powiedziała Cathy, opierając się o poduszki w chłodnych białych poszwach. — Wciąż myślę o mamie i tacie, o ludziach, których nazywałyśmy swoimi rodzicami. Któż wie, kim oni są dla nas naprawdę?

— Rozchmurz się, Cathy, proszę cię. Czy ani odrobinę się nie cieszysz, że nie jesteś córką Bettiny? Nie była przecież najlepszą matką. Była taka samolubna, okrutna...

— Ty nic nie rozumiesz! — Cathy, która rzadko podnosiła głos, prawie krzyknęła na siostrę. — Nie możemy tak mówić, nie mamy prawa jej sądzić, nic o niej nie wiemy. Zresztą nie chodzi mi o Bettinę, lecz o tatę. Nie mogę pogodzić się z tym, że okłamywał nas przez te wszystkie lata. Jak mógł patrzeć mi codziennie w oczy, wiedzieć i nigdy nie powiedzieć prawdy?

Większość nocy nie spała, rzucając się na łóżku, wreszcie zapadła w niepokojną drzemkę, miała jakieś wyraziste sny, których nie zapamiętała. Obudziła się o świcie, słysząc śpiew ptaków, obwieszczających szybkie nastanie karaibskiego świtu.

Zadzwoniła, by podano jej kawę, i ze zdziwieniem spojrzała na telefon, który odezwał się, gdy tylko odłożyła słuchawkę.

— Mamy dla pani teleks, przyszedł w nocy. Czy życzy pani sobie, żebyśmy przesłali go razem z kawą?

— Tak, proszę.

Teleks pochodził od Phillipsa z Garrard. „Udało się! — przeczytała Cathy. Perły, których opis odpowiada wyglądowi klejnotów będących w pani TLR

posiadaniu, zostały wyłowione w styczniu przez kampanię indonezyjską Sawa

Trading Flores Sunda. Ostatnio należały do właściciela kompanii. Prowadzę dalsze poszukiwania. Phillips.”

Cathy znowu niemal zapomniała o perłach, ale teraz obudziło się w niej zainteresowanie. Próbowaly razem z Monty rozwikłać zagadkę, a odkryły coś bardzo poważnego, coś, co być może zniszczy jej spokój wewnętrzny. Może zagadka ta pozwoli chociaż na chwilę oderwać się od czarnych myśli.

Nowa zabawka — przenośny teleks — zachęcał do podjęcia natychmiastowego działania. Zateleksowała do Henry’ego do Londynu, prosząc go, by zebrał jak najwięcej informacji o Sawa Trading Company. Potem zaczęła niecierpliwym krokiem przemierzać taras, czekając, aż Paloma się obudzi, gdyż nie chciała wcześniej zakłócać spokoju i intymności rodziny siostry.

By ukryć zdenerwowanie, włożyła białe bikini i białą jedwabną spódniczkę. Przejrzała się z aprobatą w lustrze i poszła spacerkiem w stronę basenu. Po drodze ujrzała kolibra wyglądającego jak latający szmaragd, który buszował wśród żółtych kwiatów i raczył się śniadaniem.

Basen stanowił jedną z największych atrakcji wyspy. Było to właściwie lśniąca niebieskozielone jeziorko, które miało przypominać skalną nieckę wypełnioną wodą, jakie spotyka się w dżungli. Na jednym końcu znajdował się wodospad, a w szczelinach szarobrazowej skały krzewiły się paprocie. Ktoś już się pluskał w akwamarynowej wodzie i Cathy zatrzymała się poirytowana, bo choć basen był obszerny, chciała go mieć jedynie dla siebie. Jakaś kobieta ubrana w białe bikini pływała leniwie na największej głębiny. Cathy rozpoznała księżną i od razu poczuła się zaintrygowana. Księżna była zwykle nieuchwytna, zawsze strzegła swej prywatności. Możliwość

oglądania jej w tej sytuacji była jak przyglądanie się gepardowi, który przyszedł do wodopoju.

Cathy zauważyła, że jej ciało jest niezwykle. Wiek księżnej był kolejną wielką zagadką. Podobno miała około pięćdziesiątki, ale jej ciało było jędrne, pełne wdzięku. Cathy patrzyła z podziwem na sylwetkę o kształtnych pier-  
TLR

siach, która wynurzyła się właśnie z wody. Księżna, kołysząc bardzo kusząco biodrami, podeszła do trampoliny znajdującej się po drugiej stronie basenu, gdzie stała Cathy. Wykonała efektowny skok, opłynęła basen i ponownie ruszyła w stronę trampoliny. Cathy miała przemożne wrażenie, że patrzy na siebie samą, tak jak we śnie, który pamiętała z pobytu u Monty w Arizonie. Wydawało jej się, że to było bardzo dawno.

Tym razem księżna stanęła z podniesionymi rękami na końcu trampoliny, a jej nieruchoma postać przypominała statuetki Art Deco. Cathy zauważyła, że z tyłu, na prawym udzie, tuż nad kolaniem, ma ciemne znamię, i machinalnie dotknęła swojego. Pomyślała, że musi powiedzieć o tym siostrze, może wreszcie przestanie się zamartwiać o Palomę.

Wreszcie Cathy znudziła się podglądaniem księżnej i cichaczem przemknęła do zatoczki, gdzie rafy koralowe były na tyle głęboko, że nie przeszkadzały w pływaniu. Pływała prawie godzinę, aż wreszcie poczuła się odprężona fizycznie i psychicznie. Wzięła prysznic, przebrała się i poszła do siostry.

Atmosfera panująca w bungalowie Monty była napięta. Ze sposobu, w jaki Joe patrzył na nią, gdy weszła, Cathy domyśliła się, że przed chwilą rozmawiali o niej, i od razu poczuła się urażona.

Monty wyglądała zachwycająco, była bardzo ożywiona, ale najwyraźniej czymś zaniepokojona. Ucałowała Cathy serdeczniej niż zwykle. Miała na sobie białą sukienkę i białe legginsy, trzymała Palomę na jednym biodrze.

— Nie przejmuj się znamieniem Palomy, księżna Ayeshah ma dokładnie



take samo — powiedziała Cathy beztroskim głosem.

Słowa te podziały na obecnych jak wystrzał z pistoletu. Joe i Monty popatrzyli na nią uważnie, po czym Monty bez słowa posadziła Palomę na podłodze i podała siostrze dwie kartki perforowanego papieru. Były to teleksy: jeden z Garrard, drugi od Henry'ego z Londynu.

TLR

— Przepraszam, że przeczytałam, choć były adresowane do ciebie. Poszłam do ciebie rano i akurat spotkałam posłańca. — Monty pokazała nowy teleks. — Preczytałam wtedy też tamten.

Henry pisał: „Po kłopotcie. Sawa Trading to filia Quadrant Holdings będącej własnością Shahzdehów. Zajmuje się importem i eksportem na małą skalę, między innymi szylkretu, a także połowem pereł etc. Zarejestrowana w Wielkiej Brytanii w 1980 r.” Potem następowała imienna lista dyrektorów i podpis — „Henry”.

Cathy podniosła oczy na siostrę, czując, że ogarnia ją dziwny chłód i słabość.

— Ona nie może być... To niemożliwe. Niemożliwe. Nie, Monty. Nie uwierzę w to. Poza tym jest przecież Iranką.

— To ksiązę jest Irańczykiem — powiedział z naciskiem Joe. — Ona może pochodzić Bóg wie skąd. Czy kiedykolwiek wspominała o Iranie?

— Musimy się z nią zobaczyć, zapytać, choć raczej nie ma wątpliwości, że to jej powinnyśmy podziękować za perły — wtrąciła Monty. — Ale to jeszcze nie wszystko, Cathy.

— O co chodzi? — Cathy nagle zauważyła posępne spojrzenie siostry i przeraziła się nie na żarty.

— Wczoraj wieczorem długo rozmawiałam z księżną. Gdy pierwszy raz się do mnie odezwała, miałam wrażenie, że skądś ją znam. Myślałam, że to z gazet. Ale to nie było to. Chodzi o jej głos. Ja go znam, wszędzie bym go poznała, bo nigdy go nie zapomnę. Ta kobieta być może dała nam perły, być

może jest naszą matką, ale na pewno jest madame Bernard, w każdym razie jest tą osobą, która wspaniałomyślnie postanowiła ocalić życie nieznajomej, spotkanej w Paryżu.

Cathy oparła się o drewnianą balustradę balkonu i potarła oczy. Za jej plecami rozciągała się lśniąca powierzchnia morza. Nagle jej szybki, analityczny umysł dodał nową informację do tego, co już wiedziała, i zaczęła dostrzegać prawdę w całym jej kształcie, prawdę, którą trzeba było jeszcze od-

TLR

kryć do końca.

— Musimy się upewnić.

— Ja już jestem pewna — oświadczyła Monty. — Nigdy nie zapomnę tego głosu. Jest jak stal.

— Nie, potrzebny jest nam dowód, absolutny dowód.

— Myślę, że masz rację — wtrącił się Joe. — Odkryłyście już bardzo wiele, ale musicie mieć pewność, zanim cokolwiek zrobicie.

— Chcę się z nią zobaczyć, chcę pójść do niej już teraz. Pomyślmy o tym czasie, który już na zawsze straciłyśmy... — powiedziała Monty.

— Tak, pomyśl o tym — warknęła Cathy. — I spytaj dlaczego? Ona zna mnie od lat i nic nie powiedziała. Ciebie również znała i też nic nie powiedziała. Może dawała do zrozumienia, ale nigdy nie ujawniła prawdy. Musi być jakiś powód, i na pewno nie jest to nic przyjemnego.

— Ależ pomyśl tylko, ile ona dla nas zrobiła. Uratowała moje życie i twoją firmę. Czy to nie dowód na to, że przez cały czas nas kochała?

— Nie. — Cathy gwałtownie potrząsnęła głową, a mokre kosmyki włosów otarły się o jej policzki. — Moim zdaniem chodziło jej o to, żebyśmy my ją pokochały.

— Ty się jej boisz — powiedziała Monty oskarżycielskim tonem.

— Nie, nie boję się jej, boję się tylko o nas. — Cathy weszła do chłodnego pokoju, chroniąc się przed ostrym porannym słońcem. — Chcę stąd na-

tychmiast wyjechać, wrócić do Londynu i dowiedzieć się całej reszty.

Monty szła za siostrą, zdezorientowana i wściekła.

— Ale dlaczego po prostu nie pójdziemy do niej i nie spytamy wprost?

— Nie zrobimy tego z tego samego powodu, dla którego ona nigdy nie

TLR

spotkała się z nami i nic nam nie powiedziała dwadzieścia lat temu, kiedy umarł ojciec.

— Myślę, że powinniście dowiedzieć się czegoś więcej, Monty. — Joe chwycił w ramiona Palomę, która niepewnym kroczkiem szła w kierunku balkonu. — Zachowanie tej kobiety w stosunku do was jest ambiwalentne. To jest tak, jakby chciała czegoś, ale gdy ma już to zrobić, zawodzą ją nerwy. Monty zgodziła się niechętnie na powrót do domu. Szybko się spakowali, a Monty usiadła, by napisać liścik do księżnej, wyjaśniający, dlaczego nie stawiała się na umówione spotkanie.

— Co mam napisać? — spytała, bo w głowie czuła pustkę.

— Ważne sprawy rodzinne — odpowiedziała Cathy twardo.

TLR

28

Sobota, szóstego października 1963 roku była dniem ponurym, chmurnym i wilgotnym. Elegancki tłum zgromadzony na torze wyścigowym Longchamp, gdzie miała się odbyć gonitwa o nagrodę „Prix de l'Arc de Triomphe”,

pocił się w swych wyjściowych strojach. Ogólna wesołość, jaka towarzyszyła tym odbywającym się z największą pompą wyścigom, była przytłumiona przez ponurą atmosferę. Nie widać było górującej nad tłumem sylwetki generała de Gaulle'a, który zwykle był obecny. Nie było też wytwornego ministra spraw zagranicznych, który przebywał właśnie w Waszyngtonie, gdzie spotkał się ze szczególnie chłodnym przyjęciem ze strony prezydenta Kennedy'ego.

W wyścigach nie brał udziału ani jeden wierzchowiec brytyjski, co było

również niezwykle. Dlatego też wśród podekscytowanych głosów raczej nie słyszało się angielskiego akcentu. Wielki skandal, w który zamieszani byli po-

litycy, prostytutki, arystokraci i rosyjski szpieg przyczynił się do upadku rządu konserwatywnego. Manifestowanie hedonistycznej postawy kilka miesięcy po „aferze Profumo” było, zdaniem większości brytyjskich wielbicieli wyścigów w Longchamp, w złym guście.

TLR

Jednak pewien Anglik zupełnie nie zważał na atmosferę obrażonej moralności panującą w jego kraju.

— Chyba najwyższy czas przyjrzeć się wierchowcom, Prawda? — Lord James odstawił kieliszek z szampanem i sięgnął po lornetkę, dając do zrozumienia dwunastu panom, którzy przyjęli jego zaproszenie do łoży w Long—champ, że zamierza zejść na dół i obejrzeć paradę koni przed gonitwą.

— Dobry pomysł — stwierdził beznamiętnie Ed—die Shrewton, którego wąska twarz pojawiła się między szklanymi drzwiami, które oddzielały łożę od widowni.

— Czy jeszcze któryś z panów będzie nam towarzyszył? — spytał James, przywołując na usta promienny uśmiech, który uwidaczniał szczerbę w zębie. Usiłował zatuszować rozczarowanie, że musi tracić swój talent towarzyski w obecności człowieka, którego trudno rozbawić.

Shrewton przybył do Paryża w asyście trzech dyrektorów ze starej firmy Migatto, których James dobrze znał. Był ponad dziesięć lat starszy od Jamesa i krążyły pogłoski, że wkrótce zostanie szefem firmy.

James oczywiście znał go już wcześniej, tak jak znają się wszyscy brytyjscy arystokraci, to znaczy znał jego nazwisko, tytuł, twarz i wiedział, jakie ma

koneksje. Jednak po dwudziestoczterogodzinnej osobistej znajomości James zdążył go znieubić. Nie było to uczucie zbyt intensywne, jako że James nigdy

nikim specjalnie się nie przejmował, ale czuł do tego człowieka antypatię. Eddie Shrewton był posępny, sumienny i pełen rezerwy. Robił wrażenie starszego, niż był w rzeczywistości, bo przedwcześnie osiwiiał, a poza tym jego wyciągnięte w górę, szczupłe ciało było wyjątkowo nieruchawe. W dodatku rzadko się uśmiechał, a jego poranny garnitur sprawiał wrażenie znoszonego i fatalnie leżał na sztywnych ramionach.

Nie postawił na żadnego konia i prawie nie brał udziału w długich dyskusjach na temat umiejętności dżokejów, formy wierzchowców, toru wyścigowego i nadziei właścicieli koni. Wyraził ochotę na spacer tylko dlatego, jak się James od razu domyślił, że był straszliwie znudzony. Ten człowiek nie

TLR  
umiał się bawić, a ponadto — i to była główna przyczyna niechęci Jamesa — cechowała go solidność i konsekwencja, których to cech, jak doskonale zdawał sobie sprawę, nigdy nie zdoła w sobie wyrobić. James przeważnie potrafił zagłuszać w sobie świadomość, że jest nieudacznikiem, ale było to trudne w obecności człowieka takiego jak Shrewton.

Gdy wtopili się w tłum zapełniający trybuny, James robił co w jego mocy, by nawiązać konwersację.

— Nieprzyjemna sprawa wynikła na Derby z tym Relko — powiedział.

— Naprawdę? Nie wiedziałem.

— Była piekielna awantura. Test na środki pobudzające dał wynik pozytywny. W zeszłym tygodniu zakończono dochodzenie w Jockey Club.

— Ach tak...

James dał za wygraną. Ten człowiek nie miał pojęcia o „sporcie królów” i najwyraźniej nie miał ochoty pogłębiać swej wiedzy na ten temat. Pozostało więc tylko udzielić mu elementarnych wyjaśnień.

— Oto on — powiedział James, wskazując Relko, który stał w odległej części zagrody otoczonej białą balustradą. Koń płasał nerwowo, zarzucając bokami, a jego lśniące brązowe boki pociemniały od potu.

— To wspaniały koń, świetnie się spisał kilka tygodni temu na „Prix Royal Oak”. Tłum oklaskiwał go przez całą drogę do stajni. Nic dziwnego, że to dzisiejszy faworyt.

James przyglądał się z zainteresowaniem wierzchowcom, które pojedyn-  
czo wyprowadzano na arenę. Od jakichś siedmiu lat wyścigi stanowiły jego  
ulubioną rozrywkę, ale namiętność ta zaczęła ostatnio słabnąć, gdyż dwóch z  
jego londyńskich bukmacherów nie chciało mu już udzielać kredytu.

Mimo wszystko uznał, że nie może opuścić „Arc”, jak Brytyjczycy na-  
zywali najważniejsze międzynarodowe wyścigi we Francji. Zdawało się, że  
cały Paryż przybył do Bois de Boulogne w nadziei na celebrowanie przewagi  
TLR

koni francuskiej krwi nad innymi. Kobiety były olśniewająco eleganckie, a  
tor

wyścigowy, otoczony lasem, wyglądał czarująco. Stali bywalcy wyścigów  
przekonywali się zapamiętałe, że Relko jest najwspanialszym wierzchowcem,  
jakiego widzieli, i nawet kurтки dzokejów zdawały się mieć bardziej soczyste  
kolory niż w Anglii. Longchamp było bardziej niż kiedykolwiek sceną  
piękną,

okazów wspaniałej hodowli, rozbuchanych namiętności, które Raoul Dufy tak  
uwielbiał malować.

Od tego nieprzyjemnego dnia przed trzema laty, kiedy to został podstęp-  
nie zwabiony na spotkanie z księżną Ayesah, James omijał Paryż. Jednak nie  
mógł się oprzeć pokusie obejrzenia „Arc”. Mimo to rozglądał się nie-  
spokojnie, obawiając się, że może ujrzeć swego wroga wśród tłumu wytwor-  
nych kobiet, które pyszniły się jak cudowne rajskie ptaki u boku ubranych na  
ciemno towarzyszy. Do tradycji Longchamp należało to, że gdy konie para-  
dowały na padoku, po drugiej stronie balustrady odbywał się równolegle po-  
kaz nienagannie wychowanych zwierząt szlachetnej krwi, które wdawały się  
w dziką rywalizację.

Lord James czuł się tak nietykalny i bezpieczny w swoim poczuciu spo-

łecznej i rasowej wyższości w stosunku do kobiety, która urodziła jego dzieci, że oswajał swój lęk przed nią, ignorując go. Nie sposób było sobie wyobrazić, że jakaś wieśniaczka, ciemna, prymitywna poganka, mogła mu zaszkodzić. Nie był w stanie w to uwierzyć, ledwie uznawał istnienie ich dawnego związku. Jego sumienie było jak ruchome piaski — osuwało w głąb prawdę i nie pozostawiało po niej śladu, który mógłby zakłócić równowagę umysłową Jamesa.

Głęboko ukryte poczucie winy wywoływało tylko chwilowy dyskomfort zakłócający przyjemność, ale otrząsnął się z tego natychmiast, gdy zobaczył, że na padok wprowadzają Le Mesnil, wierzchowca, na którego postawił pokąźną sumę. Ktoś poinformował go poufnie, że trzylatek wrócił już do formy po nieudanej wiosennej gonitwie w Chantilly. James postawił więc na niego trzy zakłady po tysiąc funtów u trzech różnych bukmacherów. Stawiając 13 przeciwko 1, że Le Mesnil wygra, miał szansę nieźle zarobić.

TLR

po szesnastu latach, które upłynęły od czasu, gdy odzyskał spadek, James gwałtownie popadł w długi. Wydawał wiele na przyjemności i rozpustne życie, a w interesach radził sobie kiepsko. Gdy Ayeshah i Hussain zasugerowali, że wiedzą o jego niepewnej sytuacji finansowej, bał się wykonać ostateczny ruch, to znaczy oddać dom pod zastaw hipoteczny, a wszystkie swoje długi uregulować za pośrednictwem kasy pożyczkowej. James nie zdawał sobie sprawy z rzeczywistej wartości pieniędzy i zajmował się swymi finansami tylko wówczas, gdy zmuszały go do tego okoliczności.

W ostatnich latach znalazł o wiele atrakcyjniejszy sposób na poprawę swej sytuacji. Dlatego też uległ pragnieniu odwiedzenia Paryża. Za pośrednictwem znajomych z wyścigów James poznał młodego Francuza. Jego mieszkająca w Algierii rodzina wpadła w pułapkę finansową z powodu złośliwych restrykcji nowego rządu dotyczących wymiany walut. Obywatel francuski, który chciał opuścić nowo powstałe państwo, mógł wywieźć jedynie ekwiwalent

trzydziestu dolarów amerykańskich. Wszystkie konta bankowe Francuzów w Algierii zostały zablokowane.

Po bardzo udanej gonitwie w „Cheltenham Gold Cup” w roku poprzednim James spędził długą noc na picciu trunków i pocieszaniu owego młodego człowieka. Jego rodzina po siedemdziesięciu latach uprawiania oliwek i pomarańczy w kolonii była teraz skazana na ubóstwo we wrogim nowym państwie.

W końcu Francuz poprosił Jamesa o pomoc i James zgodził się na sprowadzenie do Anglii berberyjskich dywanów, które miały być wysyłane do Casablanki z plantacji Położonej na najodleglejszym południu Algierii. Wewnątrz każdego ciasno zawiniętego dywanu znajdował się długi, opakowany w papier cylinder zawierający złote napoleony.

James otworzył w małym prywatnym banku w Londynie konto na fałszywe nazwisko i złożył złoto do depozytu, by czekało na właścicieli, gdy zdecydują się opuścić Algierię, z dala od czujnego oka władz francuskich i algierskich. Jednocześnie pobrał sobie wysoką prowizję z każdej przesyłki. Transakcja ta pozwoliła mu opłacić bieżące długi, i jak zwykle, szastać pieniędzmi bez korzystania z nadwerężonego kredytu.

Le Mesnil przechadzał się po padoku, machając ogonem i zagryzając wędzidło. Biła od niego pewność siebie i spokój, w każdym calu wyglądał na zwycięzcę. Stajenny zapobiegliwie odseparował go od zwykle nerwowego Sanctusa, którego boks sąsiadował z pomieszczeniem Le Mesnila. Za Sanctusem kroczył koń barona Guy de Rotschilda, Exbury, drobny, jasny kasztan z trzema białymi skarpetkami, który ze spokojem ignorował nerwowe pląsy towarzysza. James uśmiechnął się do siebie, bo odmienne zachowanie dwóch debiutantów kojarzyło mu się z jego córkami. Sanctus mający wielkie możliwości, które nieco wymykały się spod kontroli dżokeja, był jak Monty, a Exbury, piękne zwierzę, ostentacyjnie spokojne, o nieruchomym, chłodnym



spojrzeniu, miało temperament Cathy.

— Wkrótce wprowadzą je na tor, jest to ostatnia szansa, by na nie postawić — przynaglał James swego sztywnego towarzysza. Eddie Shrewton gapił się na konie bez specjalnego zainteresowania.

— Spodobał ci się któryś, Eddie? — zapytał James.

— Ten mały kasztan wygląda na dobrego — odparł Shrewton, wskazując Exbury'ego, który stał spokojnie, gdy dżokej go dosiadał.

— Rotschild nie miał żadnego zwycięzcy od roku | tysiąc dziewięćset trzydziestego czwartego, ale Exbury pobił zeszłorocznego mistrza, więc może rywalizować z najlepszymi — zauważył James. — Bardzo dobrze pobiegł na „Coronation Cup”. Jednak nie wiadomo, czy jest na tyle dobry, by pokonać Relko. Moim zdaniem mogłeś jednak wybrać gorzej.

Wrócili do łoży i Shrewton postawił telefonicznie średni zakład na Exbury'ego.

Sanctusa trzeba było siłą zaprowadzić na start, a Relko przegalopował obok niego cały w pianie. Exbury, jak zauważył z irytacją James, w pięknym stylu minął moulin. Lord zaczął się nawet zastanawiać, czy w ostatniej chwili nie postawić na kasztana Rotschilda, ale powstrzymała go od tego niechęć do TLR

Shrewtona.

— Od przyszłego roku konie mają startować z osobnych przegród — poinformował James swoich towarzyszy po rozpoczęciu biegu. — Francuzi rzucają się na każdą nowość.

— To raczej sensowne, że chcą modernizować tor. Dlaczego nie, jeśli mają pieniądze, by inwestować w ten sport. Trybuna jest wspaniała.

— Longchamp jest o wiele przyjemniejsze od Ascot — stwierdził Shrewton, podczas gdy wierzchowce, na czele z Relko, pojawiły się na łagodnym wzniesieniu niedaleko miejsca startu.

James nic nie odpowiedział i z uwagą śledził konie przez lornetkę. Gdy

znalazły się na szczycie pagórka, Relko zaczął zostawać w tyle, a na czoło wysunął się inny koń. Nie był poważnym rywalem, ale nadawał tempo. Sanctus opadł z sił, gdy konie pędziły w dół zbocza, a kiedy wyszły na prostą, na czoło wysunął się Le Mesnil. Tłum wydał ryk triumfu.

— Teraz ma szansę! — zawołał zachwycony James, gdy Le Mesnil oderwał się od zbitej gromadki koni i pozostawił je w tyle. Jakieś czterdzieści metrów przed metą dżokej jadący na Relko usiłował zmusić go do

wysiłku, ale faworyt zbyt szybko zużył cały zapas sił na początku gonitwy i teraz nie był już w stanie móc z siebie wykrzesać. Le Mesnil prowadził na jakieś osiem długości. Pędził pewnie i energicznie, łeb trzymał wysoko, chrapy miał rozszerzone, a dżokej prawie nie musiał go popędzać, czasami tylko smagał szpicrutą, gdy coraz bardziej przybliżał się do mety.

Dżokej dosiadający Exbury'ego w końcu klepnął go lekko otwartą dłonią, co ożywiło małego kasztana. Koń biegnący obok także wyrwał do przodu, jednak Exbury, jakby włączył dodatkowy bieg, oderwał się od gromadki wierzchowców i dostał niesamowitego przyśpieszenia. Dogonił ciemniejszego

konia jakieś sto metrów przed metą wśród histerycznych owacji tłumu. James usiadł bez słowa, gdy Exbury przemknął przez linię mety o pełne dwie długości wyprzedzając Le Mesnila.

— Świetnie się spisał — powiedział do Shrewtona, potrząsając jego ręką  
TLR

i ukrywając własne straszliwe rozczarowanie z wprawą ćwiczoną przez całe życie. — Cholernie dobrze się spisał. Wrodzony mistrz, świetna rasa. W przyszłości zdam się na twój wybór, Eddie.

Gdy reszta towarzystwa składała mu gratulacje, bezbarwne policzki Shrewtona zaróżowiły się z radosnego zażenowania. Rełko, przez którego wielu graczy straciło miliony franków, galopował właśnie w kierunku stajni, odprowadzany gwizdami i szyderczymi okrzykami tłumu.

— Cholerne żabojady, nie ma w nich żadnego ducha sportowego — powiedział James. — Chodźmy obejrzyć Guy w chwili chwały.

Tego wieczora James zawiózł całe towarzystwo do zajazdu w pobliżu Laszku Bulońskiego, znanego bardziej z dyskrecji niż z dobrej kuchni. Była to brzydka rezydencja w stylu Belle Epoque, otoczona wielkim, lecz zaniedbanym ogrodem.

Zapachy kuchenne przenikały do jadalni o wysokim suficie, który odbijał echo pobrzękujących sztućców i talerzy. W sypialniach na górze stały masywne łoża z baldachimami, a zakrywające je, niegdyś ozdobne zasłony, przenikał zastarzały zapach wilgoci, moli i cygar.

James miał zwyczaj kończyć weekend w Longchamp kolacją w prywatnym salonie, pokoju z oknami wychodzącymi na ogród i z wysokim sklepieniem, podtrzymywanym przez widoczne belkowanie, które tworzyło nieco kościelną atmosferę.

Do gości Jamesa, siedzących przy owalnym stole, dołączało zwykle kilkanaście panienek madame Bernard. Po kolacji kelnerzy wycofywali się. Wówczas piło się dalej, dziewczyny przymiły się, chichotały, czasami któraś urządziła małe przedstawienie, po czym całe towarzystwo rozchodziło się,

dobrane zgodnie z indywidualnym gustem. James przestrzegał tylko jednej reguły, pilnował mianowicie, żeby nikt nie uchybił zasadom przyzwoitości na tyle, by zabrać ze sobą którąś z prostytutek do Ritza. James chciał mieć tam dobrą opinię i nie zamierzał ryzykować swej pozycji z powodu skandalu.

TLR

Dziewczęta przyjechały w czterech czarnych Citroenach. Były pod działaniem amfetaminy, więc zachowywały się krzykliwie i wesoło, rzucały się na mężczyzn z okrzykami zachwytu, otaczały ich szyje smukłymi ramionami, rozluźniały im krawaty, dopytywały się, jak mają na imię, gryząc delikatnie w uszy.

U madame Bernard znali gust Jamesa. Jako ostatnia wysiadła z samocho-

du wysoka, smukła dziewczyna w obcisłej sukni ze złotej lamy. W rękach trzymała modniarskie pudło obciążone białą skórą. Miała matową brązową skórę, orle rysy, które wskazywały na jej północno— afrykańskie pochodzenie, podobnie jak ostry akcent. Najwyraźniej polecono jej zajmować się wyłącznie Jamesem i nie zwracać uwagi na innych mężczyzn.

— Nadine jest świetna w tańcu brzucha — wyszeptała do ucha Jamesa brunetka o pąsowych ustach, uwieszona ramienia Shrewtona. — Nie możecie tego przegapić. Na pewno przywiozła ze sobą kostium.

— Nie wątpię. — James uśmiechnął się, patrząc w ciemne oczy Nadine, i objął jej szczupłą talię. Poczł jednak znudzenie, które ogarnęło go jak jesienna mgła, która wznosiła się z zimnego, uperzonego rosą trawnika otaczającego rezydencję. Mógł przewidzieć wszystkie wydarzenia wieczoru i poczuł, że nie ma specjalnej ochoty na żadną z tych atrakcji.

Prawda była taka, że James postarzał się od czasu spotkania z księżną, jakby nagle przybyło mu przynajmniej dziesięć lat. Zmiany tej niemal nie było widać ani w jego bujnych czarnych włosach, ani w ciemnych lśniących oczach, które otaczała siateczka pogłębiających się zmarszczek.

Nie zmalał też jego urok osobisty.

Jednak coraz bardziej podupadał na duchu. Nieustanny wysiłek umysłowy, mający na celu zniszczenie gwałtownie odświeżonych wspomnień o Khatijah, wycieńczał go. Zniknął gdzieś jego zaraźliwy entuzjazm. Seksualne zaspokojenie wydawało się nie warte zachodu. Często zniechęcał go jakiś drobiazg, tanie perfumy, wrażenie, że jest obserwowany, czy bezceremonialny

TLR

sposób bycia kobiety.

Przez ostatnie osiemnaście miesięcy James utrzymywał Hinduskę, prostytutkę z Bayswater, która zapewniała mu dobre samopoczucie i usługi seksualne. Była to wesoła kobieta, która bawiła go swoim przyziemnym sposobem myślenia, a jej ciemne, pulchne ciało przywodziło mu na myśl reklamowego

ludzika opon Michelina. Nieufność Jamesa do kobiet rosła wraz z wiekiem. Coraz bardziej wolał prostą przyjemność, którą dawała mu znajoma dziewczyna, niż bardziej wyrafinowane pieszczoty, jakie obiecywała nieznajoma. Przez cały dzień pił szampana i miał straszliwe pragnienie. Przy posiłku zamiast wina pił brandy z wodą sodową. Opróżnił cały syfon i podał go kelnerowi, żądając nowego. Nie mógł się doczekać, więc zaczął pić koniak, wmawiając sobie, że to szlachetny trunek, który nie zaszkodzi mu tak jak tania brandy. Wkrótce zaczął mu dokuczać przykry ból głowy.

Nagle zauważył Eddiego Shrewtona siedzącego na odległym końcu stołu przykrytego białym adamaszkiem, który był już poplamiony winem i popiołem z cygar. Shrewton, jak zwykle, był pełen rezerwy, pozbawiony wszelkiego zainteresowania i zapewne miał zamiar wkrótce wymknąć się do hotelu. James wyduł usta z pogardą, myśląc, że musi zabiegać o życzliwość tego zimnokrwistego typka.

Nagle w drzwiach służbowych pojawiła się Nadine, a obecni powitali ją okrzykami pełnymi zachwytu. Przebrała się w swój kostium do tańca: w niesamowite zawoje z szyfonu wyszywane cekinami i zieloną przepaskę na biodrach. Na przegubach rąk i kostkach nóg pobrzękiwały ciężkie mosiężne bransolety. Dwóch kelnerów szybko zdjęło obrus, a dziewczyna weszła na porusowany dębowy stół i zaczęła powolnym falistym ruchem przesuwać się od jednego mężczyzny do drugiego, potrząsając nadgarstkami i rytmicznie poruszając biodrami. Z oprawionego w orzech gramofonu dobiegały przejmujące dźwięki muzyki arabskiej.

James osunął się na oparcie krzesła, niewygodnego rzeźbionego gotyckiego mebla obitego czerwonym pluszem i wpatrzył się pustym wzrokiem w wirujące ciało za zasłoną niebieskiego dymu, który zawisł nad stołem. Zdał sobie sprawę, że jest straszliwie pijany.

Gdy przymknął na chwilę oczy, miał wrażenie, że wiruje cały pokój.

Paru mężczyzn wstało od stołu, by wetknąć stufran— kowe banknoty za wyszywaną cekinami przepaskę nad małą wypukłością napiętego brzucha tancerki. Żeby nie dać się przelicytować, James wyjął tysiąc franków i pochylił się ku dziewczynie. Przycisnął banknoty do jej lśniącego brzucha, a tancerka upadła na kolana tuż przed uim. Jej jędrne brązowe ciało poruszało się lubieżnie, gdy zaczęła się odchyłać do tyłu. Małe, zwarte piersi falowały pod staniczkiem obszytym cekinami.

Tempo muzyki rosło, a z zakończonych koralowymi paznokciami palców zsunęła się kolejna zasłona przejrzystego materiału. Pozostały jeszcze trzy lub dwie związane luźno na biodrach, podkreślające każdy ruch, i jedna, udrapowana pomiędzy nimi.

Taniec był zapewne tak stary jak żądza, a James widział go zbyt wiele razy i choć tancerka była seksowna i utalentowana, nie czuł podniecenia.

Znowu przymknął powieki, a nuda i brandy zatopiły jego świadomość.

Przyszedł do siebie, gdy poczuł na twarzy wilgotne, nocne powietrze. Jego stopy wlokły się niezdarnie po żwirowej alei, więc by nie zniszczyć nowych czarnych lakierków, spróbował zapanować nad nogami. Zataczając się, stąpał jakoś między dwoma mężczyznami, którzy ująwszy pod ramiona, prawie go nieśli. Ktoś otworzył drzwi samochodu i James opadł na tylne siedzenie. Nogi znowu miał bezwładne, ale ktoś włożył je do środka i zamknął drzwi. James usłyszał czyjaś rozmowę, po czym jakiś mężczyzna zajął miejsce z przodu. Urywany głos Eddiego Shrewtona kazał kierowcy jechać do Ritza. James znowu stracił świadomość.

Odgłosy ruchu ulicznego w Paryżu są szczególne. Podczas gdy w innych miastach warkot pojedynczych pojazdów zlewa się w jeden chór, w Paryżu TLR

każdy silnik ma indywidualny dźwięk. Jak kakofonia owadów w dżungli silniki piszczą i zgrzytają, walcząc o swoje terytorium. Na tle jednostajnego

warkotu odległych pojazdów można wychwycić kojarzący się z dobrobytem odgłos Peugeota, który czka jak syty lew, nieomylnie odróżnić przypominające maszynę do szycia klekotanie silnika Deux-chevaux, któremu towarzyszy często pisk hamulców i skrzek zmienianych biegów, gdy kolejny mały Citroen niezgrabnie unika zderzenia.

Odgłosy ulicy dochodzą nawet do zacisznych pokoi Ritza, więc James wiedział, gdzie jest, zanim otworzył oczy. Ponieważ jego powieki filtrowały różowe światło, domyślił się, że jest dzień. Czuł się tak, jakby rozgrzane do czerwoności imadło miażdżyło mu czaszkę. To przez tę brandy. Głupio zrobił, że tyle jej wypił. Był za stary, by chlać tak jak niegdyś.

Potem zdał sobie sprawę z dwóch następnych przyczyn swego dyskomfortu. Czuł potworną suchość w ustach — wargi przyklejały mu się do zębów — i miał pełny pęcherz. James leżał nieruchomo tak długo, jak tylko mógł wytrzymać, starając się zebrać trochę śliny, by zwilżyć usta. Wreszcie stwierdził, że musi się ruszyć, stoczył się z łóżka i oparł rękami i kolanami o gruby dywan. Z trudem wstając na trzęsących się nogach, poszedł do łazienki.

Gdy się wysikał i napił wody, postanowił umyć zęby. To mu trochę pomogło, więc wrócił do sypialni, gdzie zauważył dziewczynę na łóżku. Leżała na brzuchu z rozrzuconymi nad głową rękami w pozie swobodnej i zrelaksowanej. Jej ciało było nagie, więc James z machinalną bezmyślnością narzucił na nie kołdrę ze złocistej satyny. Było też chłodne, dziewczyna musiała zrzucić z siebie kołdrę parę godzin wcześniej.

Siedział przez dłuższą chwilę na niskim stołku w nogach łóżka i popijając wodę, starał się zebrać myśli. Wreszcie spojrzął na zegarek. Piętnaście po pierwszej. Nie miał powodu się śpieszyć, ale wynajął prywatny samolot dla swych gości, więc trzeba będzie wyjechać około wpół do czwartej.

Nagle usłyszał pukanie do drzwi. Władcze podwójne uderzenie poderwało Jamesa na równe nogi. Przeszedł przez mały owalny salonik swego apar-

TLR

tamentu i otworzył drzwi.

— No, nareszcie wstałeś — powiedział Eddie Shrewton. Był ubrany w granatowy garnitur, który leżał na nim nie lepiej od poprzedniego. Przeszepował niezgrabnie z nogi na nogę.

— Jak się czujesz? — zapytał wreszcie.

— Cholernie źle — odparł James, uśmiechając się szeroko. — Jakbym miał świder pneumatyczny w głowie. Proszę, wejdz. Właśnie miałem zamiar zamówić kawę.

— Zajmę się tym — powiedział Shrewton. Zawołał władcym tonem kogoś z obsługi, po czym odwrócił się do żalostnej istoty stojącej obok.

Lord Shrewton żywił do Jamesa tyleż sympatii, co James do niego, ale nie tracił energii na emocjonalne konstatacje. Bourton był zabawnym facetem,

ale tak często błądził się, gdy chodziło o kobiety, alkohol czy pieniądze, że na to, by go doceniać, Shrewtonowi nie wystarczało poczucia humoru.

Co gorsza, intuicyjnie wyczuwał, że Jamesowi nie można ufać, ale ponieważ domysł ten nie opierał się na żadnych faktach, zachował to spostrzeżenie dla siebie.

— Jeśli powiesz, co trzeba załatwić przed wyjazdem, zajmę się tym — zaproponował widząc, że James jest nie ogolony i nadal ma na sobie wieczorowy strój. — Pozostali jedzą właśnie na dole lunch.

— Nie przejmuj się, stary. Przecież nigdzie nam się nie śpieszy. — Teraz, gdy zmysły Jamesa zaczęły wracać do normy, poczuł mdłości. Zobaczył też, że trzęsą mu się ręce.

Eddie Shrewton poczuł, że zaczęła ogarniać go irytacja. Bourton był w takim stanie, że nie mógł dotrzymać terminu wyjazdu. Najwyraźniej nie miał nic ważnego do roboty w Londynie. Jednak nie dotyczyło to jego gości.

James poczuł, że jest niegrzeczny, więc postarał się zebrać wszystkie siły.

TLR

— Załatwię, by podstawiono samochody za dwie godziny. — Wstał i z



roztargnieniem rozejrzał się po pokoju, szukając notatnika. — Cholera, jestem przekonany, że gdzieś tu go położyłem.

Shrewton zaczął szybko podnosić poduszki i zaglądać do szuflad. Przeszli do sypialni i James znowu spojrzął na śpiącą dziewczynę. Przerwał na chwilę poszukiwania i zatrzymał się oszołomiony. Nie przypominał sobie, żeby zabierał dziewczynę do hotelu. Wprawdzie niewiele pamiętał z poprzedniej nocy, ale jedną z jego żelaznych zasad było to, by nie przywozić dziewczyn do Ritza.

Nie miał ochoty narażać się na dezaprobatę Eddiego Shrewtona, pytając, czy dziewczyna przyjechała z nim samochodem. Bez względu na to, jak się tu dostała, będzie musiała wyjść z hotelu nie zauważona. Spała już wystarczająco długo.

James usiadł ciężko na łóżku i potrząsnął ją za ramię.

— Nadine, Nadine, kochanie. Obudź się, Nadine. Czas wracać do domu.

— Nawet nie drgnęła.

— Nadine, obudź się, kochanie, Nadine.

Eddie Shrewton, pokonując niesmak i zażenowanie, wszedł do pokoju i stanął nad Jamesem i leżącą kobietą.

— Czyż nie upominałeś nas, by nie zabierać dziewcząt do hotelu? — spytał starając się, by nie zabrzmiało to jak oskarżenie.

— Jasne, że tak. Nie pamiętam, żebym to zrobił.

Shrewton wyciągnął swoją bladą dłoń i odgarnął włosy z twarzy dziewczyny. Dotknął jej policzka, a potem szyi.

— Co za głupiec z ciebie, Bourton. Co za cholerny głupiec. Ona nie żyje.

Nie widzisz tego?

TLR

James poderwał się z łóżka i z przerażeniem gapił się na ciało.

— Ależ ja nie... Ja byłem... O Boże, ja nigdy... nie mógłbym... Eddie, mam nadzieję, że nie myślisz...

— Nie, nie myślę. Byłeś pijany jak bela. Nie mogłeś ruszyć palcem. W tym stanie nie zarznąłbyś nawet szczura, nie mówiąc o czymś takim. Gestem, który był tak ostrożny, że niemal czuły, odgarnął zasłone ciemnych włosów i próbował odwrócić ciało dziewczyny, ale jej lewe ramię, przewieszane przez brzeg łóżka, nie poruszyło się. Shrewton zobaczył nagle, że jest przykute do ramy łóżka stalowymi kajdankami. Wokół potwornie posiniaczonej szyi zaciśnięty był czarny satynowy krawat Jamesa. Shrewton rozwiązał go i schował do kieszeni.

Rozległo się dyskretne pukanie do drzwi apartamentu i Shrewton natychmiast do nich podbiegł, zamykając po drodze drzwi do sypialni. Wziął od kelnera tacę z kawą, spojrzął na rachunek.

— Rachunek został wystawiony na niewłaściwy pokój — powiedział po angielsku, podnosząc głos, by wyrzeć odpowiednie wrażenie na cudzoziemcu. — Prosiłem, by go wystawić na mój apartament. Proszę przepisać go na mnie. O tutaj. — Podał numer swego pokoju i patrzył, jak kelner zmienia cyfrę w górnym prawym rogu kartki. Potem Shrewton wręczył napiwek wynoszący dokładnie piętnaście procent sumy i zamknął drzwi bez zbytniego pośpiechu.

— Skąd się wzięły te dziewczyny? Dzwoniłeś do kogoś, kogo znasz?

James stał przy ścianie obok drzwi sypialni, starając się trzymać jak najdalej od zwłok.

— Słucham? — spytał.

— Czy nie zdajesz sobie sprawy, o co tu chodzi?

James spojrzął na niego z tępym wyrazem twarzy.

TLR

Shrewton uznał, że jest zupełnie ogłupiały z powodu kaca i szoku. Zdecydowanie, lecz łagodnie wyprowadził go z sypialni, zamknął drzwi i posadził na szarej sofie w saloniku.

— Nawet nie tknąłeś tej kobiety, ale diabelnie trudno będzie to udowod-

nić. Wszystko zostało ukartowane. Ktoś chce cię szantażować. Albo mnie, albo nas wszystkich. Zabili dziewczynę i położyli ją do twego łóżka. A teraz powiedz mi, skąd ona się wzięła?

— Od *madame* Bernard. — Oklapłe ciało Jamesa wyprostowało się gwałtownie. — Zadzwoń do niej. Będą wiedzieli, co z tym zrobić. Na pewno zdarzały im się już takie rzeczy, jeśli nie gorsze.

Usiłował wstać i sięgnąć po telefon stojący na stoliku obok, ale Shrewton zdecydowanie pchnął go z powrotem na sofę.

— Nie rób z siebie kompletnego osła, Bourton. Ta *madame*, kimkolwiek jest, musi być w to zamieszana. Czy nie rozumiesz tego? Ona albo ktoś, kto dla niej pracuje. Czy wcześniej, och, czy kiedyś załatwiałeś z nią jakieś sprawy?

James skinął głową.

— Były jakieś problemy? Pretensje, wendeta, jakaś sprawa, po której wynikły komplikacje...? — Głos mu zamarł.

Eddie Shrewton nie wyobrażał sobie, żeby jakakolwiek transakcja z agencją *cali girls* mogła doprowadzić do tego, że wrabiano kogoś w morderstwo. Równocześnie przypuszczał, że bezmiar głupoty Jamesa jest również niewyobrażalny.

James pokręcił głową.

— Nic takiego się nie zdarzyło. Stosunki układały się zawsze bardzo dobrze. Absolutna dyskrecja, żadnych plotek. Naturalnie odpowiednio kosztowało...

Shrewton zachnął się ze zniecierpliwieniem. Wiedział, że teraz może zrobić tylko jedno, i to szybko, zanim obsługa hotelowa zorientuje się w sytuacji.

Zostawił Jamesa samego i przykazał mu, by nikomu nie otwierał drzwi. Pobiegł do swego pokoju i zatelefonował do ambasadora brytyjskiego, korzystając z jego prywatnej linii.

Ambasador, kolega Shrewtona z Eton, natychmiast zrozumiał, jakie wnioski powinien wyciągnąć z tego telefonu.

— Najlepiej będzie, jak zaraz tam przyjadę — powiedział tak spokojnie, jakby zgadzał się na naprędce zorganizowany mecz tenisa.

— Czy lekarz ambasady jest godny zaufania?

— Oczywiście. Odszukam go i za godzinę będziemy na miejscu.

Po czterdziestu minutach zaanonsowano przybycie obu panów i Shrewton zaprowadził ich do apartamentu Jamesa. Ambasador był niski, gruby i schludny. Był w pasie tak szeroki w stosunku do niższych partii swego ciała i miał tak małe stopy, że przypominał zabawkę, klauna. Lekarz — Francuz — był starszy, niż Shrewton oczekiwał. Miał białe włosy, zachowywał się powściągliwie i niepewnie.

Ponieważ ciało zaczynało sztywnieć, z trudem przewrócili zwłoki na plecy. Czterej mężczyźni natychmiast odwrócili wzrok, gdy ujrzeli zakrwawiony i pokiereszowany brzuch. Ten brzuch o gładkiej skórze, który dwanaście godzin wcześniej wił się zmysłowo, był teraz pokryty cienkimi, precyzyjnymi nacięciami.

— Rytualne morderstwo — wyjaśnił lekarz, delikatnie dotykając poszarpanego ciała niespokojnymi palcami.

— To często się zdarza wśród Algierczyków, Tunezyj— czyków i wielu innych Afrykanów. Ale nie zrobiono tego tutaj, za mało jest krwi. Ma naciętą tętnicę, musiała się wtedy wykrwawić. Widzicie, jak wygląda prześcieradło.

— Rozpostarł potarganą pościel, pokazując czerwone plamy. — Byłoby całe przesiąknięte krwią, gdyby mord zdarzył się tutaj.

TLR

— Czy została uduszona? — spytał ściszym głosem Shrewton, przerażony potwornym widokiem.

— Trudno powiedzieć to z całą pewnością bez sekcji zwłok, ale tak sądzę. I szybko przeniesiono ją tutaj. Mogę to stwierdzić, bo tkanka tłuszczowa

ulega zmianie po jakimś czasie i pozostają na niej ślady nacisku, wskazujące na to, w jakiej pozycji znajdowało się ciało w chwili śmierci. Została zamordowana gdzie indziej i przeniesiona tutaj. Bardzo sprytnie ktoś to wymyślił, ale przed sądem prawda może wyjść na jaw.

— Na czyje nazwisko jest wynajęty ten apartament?

— spytał ambasador, podchodząc do okna, by zaciągnąć zasłony. Doszedł jednak do wniosku, że to nie ma sensu, i opuścił ręce.

— Na obecnego tu pana Bourtona. Był przez całą noc ze mną.

— W pańskim apartamencie?

— W końcu tak. Piliśmy do późna poza hotelem. Przewrócił się na korytarzu, więc położyłem go na kanapie w swoim apartamencie.

James, zaszokowany i oszołomiony, gapił się tępo na swoje stopy, by ukryć zdziwienie. Spodziewał się, że Shrewton sumiennie, pedantycznie i ze złośliwą prawdomównością zrelacjonuje całą sprawę.

— A więc był z panem przez cały czas?

— Do chwili, gdy tu przyszedliśmy rano i znaleźliśmy ją.

— Przez całą noc?

— Nie mogłem zasnąć, nie kładłem się spać przez całą noc. Daję panom słowo honoru, że przez cały czas miałem go na oku.

— Zadzwońię do ministra, zobaczę, co się da zrobić. Proszę niczego nie dotykać i być ze mną w stałym kontakcie telefonicznym.

Shrewton zaprowadził Jamesa z powrotem do swego apartamentu. Potem

TLR

cierpliwie zaczął wydzwaniać do Londynu, by zawiadomić swoje biuro, dom i

biuro Jamesa, że wrócą później, niż planowali. Załatwił też samochody i reszta towarzystwa' odjechała do kraju, nie mając pojęcia o całym wydarzeniu.

Późnym popołudniem przyjechało ambulansem kilku mężczyzn w białych uniformach. Przynieśli nosze, piłkę do metalu i w asyście lekarza odpiłowali kajdanki i wynieśli ciało dziewczyny.

Dwaj mężczyźni spędzili razem ponury wieczór. James, wciąż oniemiały z szoku, przeniósł się do pokoju połączonego z apartamentem Shrewtona i tuż po dziewiątej zapadł w głęboki sen.

Rankiem przyjechał po nich samochód ambasadora i udali się na spotkanie do ambasady z posepnym urzędnikiem państwowym, który wyraził ogromny, acz niezbyt szczery żal, że taka zbrodnia zdarzyła się na francuskiej ziemi.

Przed południem byli już w drodze na lotnisko.

— Eddie, uratowałeś mnie. Nie wiesz nawet, jakie zamieszanie...

— Domyślam się. Nie musisz nic mówić. I nie dziękuj, proszę. Byłem w takich samych opałach jak ty i zrobiłem to bardziej dla siebie niż dla ciebie. Może ty nie masz już zbyt wiele do stracenia, ale ja jestem w odmiernej sytuacji. — Shrewton był tak pozbawiony poczucia humoru, że chociaż starał się całą rzecz zbagatelizować, trudno to było zauważyć.

James zapadł się w kąt samochodu i milcząc zmusił się do patrzenia na szare ulice. Gdy tylko zamykał oczy, widział potwornie okaleczone ciało dziewczyny. Nie mógł odpędzić od siebie tej upiornej wizji.

Lekarz nie miał racji. Nacięcia na brzuchu wcale nie były śladami arabskiego morderstwa rytualnego. Układały się we wzór, który James rozpoznał od razu. Był to wzór, który oglądał codziennie przez całe życie. Na brzuchu kobiety wyryto herb Bourtonów.

Przez trzy miesiące James żył w przeświadczeniu, że ściga go mściwe

TLR

przeznaczenie. Dziewczyna, którą bezmyślnie porzucił siedemnaście lat temu, przemieniła się w bezlitosną Nemezis. Ucieleśnił się największy koszmar tkwiący w jego podświadomości. Kobieta, która pragnie go zniszczyć, pożreć. Skończyły się beztraskie lata, gdy niepomny na nic, zażywał przyjemności. Teraz przyszła nieunikniona chwila zapłacenia rachunków.

James nie miał żadnych wątpliwości, że to Ayesha zaaranżowała mor-

derstwo dziewczyny i próbowała go w nie wrobić. Prawdopodobnie zaproponowałyby potem, że pomoże mu z tego się wykaraskać, jeśli odda jej córki.

Uniknął tego tylko dlatego, że miał szczęście i trafił na Eddiego Shrewtona, który się wszystkim zajął. Jednak nadal czuł się zagrożony.

Dwa dni po powrocie Jamesa do Anglii gazety francuskie doniosły, że na wysypisku śmieci na peryferiach Paryża znaleziono zmalretowane zwłoki prostytutki. Podobne wypadki zdarzały się tu tak często, że „Le Monde” poświęcił temu wydarzeniu zaledwie parę linijek.

Potem nagle zaczęły krążyć obfitujące w detale plotki wymierzone w Jamesa. Mówiono, że angielski milord był zamieszany w morderstwo prostytutki, że została zamordowana w czasie rozpustnego prywatnego przyjęcia, w którym uczestniczyło dwunastu Anglików z wyższych sfer po weekendzie w Longchamp, i że James wyrył na ciele dziewczyny swój herb. Ponieważ niewiele czasu minęło od skandalu Profumo, pogłoski te potwierdzały od dawna ustaloną opinię Europejczyków na temat zdegenerowania brytyjskich arystokratów. Prasa europejska z entuzjazmem podchwyciła ten temat.

Potem ukazało się w prasie zdjęcie. Było wprawdzie niewyraźne, ale z łatwością można było rozpoznać na nim Jamesa, który wywijał tysiącfrankowym banknotem obok nagiego brzucha tańczącej dziewczyny.

Wycinki z prasy brukowej zaczęły nadchodzić pocztą do biura Jamesa, więc polecił swej sekretarce, by nie otwierała jego korespondencji. Próbował dodzwonić się do Eddiego Shrewtona, ale nigdy nie mógł go zastać. Jego se-

TLR  
kretarka była zażenowana, gdyż najwyraźniej dostała polecenie, by nie łączyć go z szefem.

James wciąż żył na granicy pustki. Miał nieregularny puls, dokuczały mu bolesne palpacje serca, po których nie mógł złapać tchu. Fczył się wciąż chory i znużony, miał nagłe uderzenia gorąca, przy których oblewał się potem. Stracił na wadze, miał obrzmiałą twarz i woskową cerę. Próbował zagłuszyć

niepokój alkoholem, ale gdy tylko wypił za dużo, tracił świadomość. W listopadzie dwóch oficerów wydziału policji zajmującego się oszustwami poprosiło Jamesa o spotkanie. Zachowywali się, jak na profesjonalistów przystało, neutralnie, ale mieli niepewne miny. Prowadzili dochodzenie na polecenie Interpolu w sprawie rzekomego naruszenia algierskich przepisów walutowych. James poczuł, że przygniata go brzemień przeznaczenia. Jedynie córki były w stanie uśmierzyć jego niepokój. Gdy odebrał je ze szkoły pod koniec zimowego semestru, poczuł wyraźną ulgę. Już na sam widok dziewcząt biegnących ochoczo w jego stronę, ich młodych oczu nie zamglonych smutkiem, twarzy, na których malowały się czyste uczucia, ciała pełnych niewinnego wdzięku Jamesowi zrobiło się lżej na duszy. Przytulił je, okutane w ciężkie zimowe płaszcze, i poczuł, że wracają mu siły. Od razu zauważył, że przez te parę tygodni rozłąki nabrały kobiecości. Monty miała już całkiem kształtne piersi, a surowa uroda Cathy przestała już być dziewczęcą. James przyznał w duchu, że nawet miłość do córek jest tylko złudnym szczęściem. Niedługo zabiorą mu je inni mężczyźni. Na Gwiazdkę kupił każdej sznur pereł, doskonałych, kremowobiałych klejnotów, nieskazitelnych jak cera dziewcząt. Ofiarował córkom biżuterię — chciał być tym pierwszym mężczyzną, który złożył hołd ich rozkwitającej kobiecości. Rozpacz zastąpił pełen rezygnacji spokój i James znalazł w Bourton duchowy azyl, choć rodzinne święta psuła zaborczość matki i zjadliwy chłód żony. Poczucie winy jak wampir wysysało z Jamesa wszystkie uczucia poza miłością do córek.

TLR

W maju znowu odwiedzili go policjanci z wydziału do spraw oszustw w towarzystwie francuskiego detektywa. Wyśledzili konto bankowe, które otworzył na fałszywe nazwisko. Choć James ze znużeniem wciąż zaprzeczał, że cokolwiek wie o złocie przeschmuglowanym z Algierii w dywanach, które



importował, wiadomo było, że istnieją dowody i śledztwo rozpocznie się za kilka tygodni.

W połowie semestru przywiózł córki do Londynu i zasypał je prezentami pod pretekstem, że potrzebują garderoby na lato.

— Ojciec musi was bardzo kochać — zauważyła sprzedawczyni z Fortnum & Mason, zawijając dwie eleganckie, wąskie torebki z czarnej lakierowanej skórki w szeleszczący papier. — Niewielu mężczyzn troszczy się o to, co noszą ich córki.

— Chyba ma pani rację — powiedziała Cathy, zastanawiając się, czy może poprosić jeszcze o nowe buty. Była przyzwyczajona, że ludzie zwracali uwagę na więź łączącą ją z ojcem, ale nigdy nie rozumiała, dlaczego tak jest. Miłość ojca przypominała powietrze, którym oddychała, była niewidzialna i otaczała ją ze wszystkich stron. Nie zdawała sobie sprawy, jak niezbędna jest jej do życia, dopóki nie musiała zacząć żyć bez niej.

Ojciec odwiózł je z powrotem do szkoły, ucałował i pożegnał ze świadomością, że robi to po raz ostatni. Jego życie było zniszczone, ale nadal mógł chronić córki przed swoją samolubną głupotą i szaleńczym pragnieniem posiadania ich przez Ayeshah.

Poleciał do Paryża i raz jeszcze spotkał się z księżną w jej apartamencie. Tym razem nie musiał czekać, aż podwójne drzwi się otworzą i ukaże się w nich księżna. Jamesa opanował chłodny spokój, który był jak lodowata cisza wysokich Alp. Wzniósł się na emocjonalne wyżyny, które były już ponad strachem.

Ayeshah miała na sobie biały kostium od Chanel obszyty złotym galonem, który po raz pierwszy, o ile James sobie przypominał, przydawał jej wyglądowni nieco wulgarności.

Jej oczy ukryte pod ciężkimi powiekami lśniły od zadowolenia.

— Zbyt długo odkładałeś tę wizytę — powiedziała na wstępie. — Powi-

nienes przyjsć do mnie w zesłym roku, wtedy mogłabym jeszcze coś zrobić. Teraz sprawy zaszły juź za daleko.

— Owszem, wykończyłaś mnie, możesz sobie pogratulować.

Tajemnica, którą dzielili, była tak wielka, że atmosfera pomiędzy nimi stała się niemal intymna. Ayesha poczuła zakłopotanie — nie spodziewała się takiego poczucia więzi z człowiekiem, którego nienawidziła.

— Gdy byłem tu ostatnio, zaprosiłaś mnie pod zmyślonym pretekstem — powiedział James, który nie mógł się zdobyć na to, by na nią patrzeć. — Teraz ja muszę cię przeprosić, bo moja obecność tutaj jest tylko pozornie usprawiedliwiona. Nie mam zamiaru omawiać z tobą żadnych spraw. Nie chcę cię o nic prosić. Przyjechałem tylko po to, by ci powiedzieć, że nigdy nie dostaniesz dzieci. Nigdy.

— Czy zamierzasz trzymać mnie z dala od nich, gdy będziesz siedział w więzieniu? — Z wyrazem samozadowolenia na twarzy założyła nogę na nogę i sięgnęła po srebrne pudełko z papierosami stojące na stoliczku.

— Gdybyś miała jakieś wyobrażenie o tym, czym jest miłość, dawno juź byś do nich przysła. Ale nie sądzę, żebyś miała o tym pojęcie. — Zmrużył oczy, jakby patrzył na jaskrawe światło, a głębokie zmarszczki pobruździły mu twarz. — „Królowa Ciemności” to dobre imię dla ciebie. Ty nie rozumiesz miłości. Możesz zabrać swoje dzieci, możesz stanąć przed nimi jako ich matka, ale one nigdy cię nie pokochają. Jestem tego najzupełniej pewien.

— Pozwolił, by sama sobie przypaliła papierosa.

— Jesteś tak pewny siebie, lordzie Jamesie Bourtonie. Myślisz, że cały

TLR

świat będzie wyglądał tak, jak ty tego chcesz, tak, jakbyś był Bogiem. Myślisz, że skoro mnie nie widzisz, ja nie istnieję, że skoro mnie nie możesz zrozumieć, muszę być zła. I myślisz, że możesz stworzyć swoje dzieci takimi, jakimi chciałbyś je widzieć, tak jakby nie miały charakteru i woli. — Wstała i podeszła do kominka, wydmuchując gwałtownie dym z papierosa. — W pew-

nym sensie masz oczywiście rację. Kimkolwiek jestem, ty mnie taką uczyni-  
łeś. Ale to nie ja zniszczyłam ciebie. Sam to zrobiłeś.

— Nadal jesteś tylko wieśniaczką, prawda? Za nic nie jesteś odpowie-  
dzialna, nic nie jest twoją winą. Jesteś tylko niewinną ofiarą. — Wściekłość  
zaczęła powoli ogarniać uśpione zmysły Jamesa i poczuł zawrót głowy z na-  
pięcia emocjonalnego. — Nie zrobiłem z ciebie takiej, jaką jesteś, to był twój  
wybór. Za to zrobiłem wszystko, żeby moje córki nie poszły w twoje ślady.  
Wkrótce staną się przyzwoitymi młodymi kobietami i gdy odkryją, że jesteś  
ich matką, o ile to nastąpi, będą gardzić tobą jeszcze bardziej niż ja.

— Nie sądzę — odparła Ayesha, którą opanował nagły niepokój. Nie  
tak wyobrażała sobie ostatni pojedynek z mężczyzną, który ukradł jej dzieci.  
Pragnęła zniszczyć jego wielką duszę i patrzeć, jak skamle i upokarza się, słu-  
chać, jak błaga, by go ratować. Nie spodziewała się tych półobłąkanych, wy-  
zywających słów, które sprawiały jej ból.

— Skąd możesz wiedzieć? Gdy będę ze swymi córkami, ty będziesz sie-  
dział w więzieniu.

— To kolejna rzecz, co do której się mylisz — powiedział cicho. — Będę  
tam, gdzie mnie nie dosięgniesz, kiedy spotkasz... jeśli nieopatrnie dasz im  
się poznać. Nawet chciałbym przy tym być. Stracisz je po raz drugi. Wy-  
rządziłem ci krzywdę, przyznaję to. Ale ty zdradziłaś siebie, tak jak ja ciebie  
zdradziłem. I z tym one się nie pogodzą.

Popatrzyła na niego z wściekłością, nie znajdując słów, by mu odpowie-  
dzieć. James wstał, zatrzymał się na chwilę, bo zakręciło mu się w głowie, i  
ruszył w kierunku drzwi.

— Powiedziałem wszystko, co miałem ci do powiedzenia. — W jego

TLR

głosie znów pojawiła się stanowczość. — Popełniłaś zbyt wiele błędów. Jest  
za późno na wygranie miłości twoich córek. To wszystko na nic się nie zda,  
księżno. Wkrótce się o tym przekonasz.

Wrócił spacerkiem do Ritza. Czuł się słaby fizycznie, lecz opanowała go dziwna euforia. Rachunki zostały wyrównane. Oczywiście wybuchnie skandal, ale niezbyt duży. Jego brat i Eddie Shrewton już tego dopilnują. A wtedy jego walkę z Ayeshah podejmą Cathy i Monty, jego ukochane córki, do których miał całkowite zaufanie.

29

Monty starała się nie wpadać w posępny nastrój, ale miała wrażenie, że Cathy siłą wytrąciła ją z podniosłego stanu ducha, i zareagowała na to gwałtowną urazą. Z pełną pasji niecierpliwością pragnęła rozwiązać tajemnicę swego życia i nie mogła znieść tego, że kazano jej czekać. Myśl o posiadaniu prawdziwej matki, która była nową i ważną siłą w jej życiu, napełniała Monty wielką radością. Obawiała się, że zwłoka i informacje, których szukały, mogą jakoś zmącić ogromną przyjemność, jaka na nią czekała. Gdy wrócili do Londynu, Monty była szorstka dla Palomy i odsunęła się od Joego, który natychmiast zareagował tak nietypowym dla niego gniewem, że była tym zdziwiona. — Przepraszam — powiedziała. — To przez Cathy, to ona mnie zezłościła, nie ty. Zróbmy coś, wyjdźmy stąd, nie mogę znieść siedzenia w jej mieszkaniu.

Zabrali Palomę do zoo, ale dzień był wietrzny i ponury. Widok uwięzionych zwierząt przygnębił ich oboje, a Paloma zaczęła wrzeszczeć z przerażenia, gdy jedna z kóz na placyku zabaw złapała ją pyskiem za rękaw. Poszli do ogrodu różanego w Regens Park, gdzie ostatnie jesienne kwiaty, zeszpeczone przez wiatr i deszcz, zwiślały smętnie z łodyg.

TLR

— Dlaczego jesteś taka zła? — spytał Joe cicho, ciągnąc ją w stronę ławki.

— Sama nie wiem — odparła, gdy usiedli. — Czuję się, jakby coś sprzątnięto mi sprzed nosa, coś bardzo ważnego. Myślę, że Cathy postępuje samolubnie. Nienawidzę, gdy zachowuje się jak wszechmocna starsza siostra,

która zawsze ma rację. Myślę, że ma na to wpływ środowisko, w którym pracuje, ale czasami jest taka despotyczna, koniecznie chce postawić na swoim...

— Monty wiedziała, że nie brzmi to przekonywająco. — Och, nie wiem... Co się ze mną dzieje, Joe? Radziłam sobie bardzo długo bez matki, o której myślałam, że jest moją matką. Dlaczego tak pociąga mnie ta kobieta, której prawie nie znam?

— Co cię tak do niej ciągnie? — spytał Joe, obejmując ją opiekuńczym gestem i czochrając jej cętkowane futro.

— Nie spodobała mi się, gdy poznałam ją jako madame Bernard — powiedziała Monty. — Byłam jej naturalnie ogromnie wdzięczna, ale krew zastęgała mi w żyłach, taka biła od niej groza. Wcale nie miałam ochoty się z nią spotykać jako z księżną Ayeshah. Wiesz, jak nie cierpię ludzi, którzy starają się zwrócić na siebie powszechną uwagę.

Skinął głową, a porywisty jesienny wiatr zwiął mu na twarz kosmyki czarnych włosów.

— Pamiętam, jak powiedziałaś wtedy, że spotkasz się z nią tylko ze względu na Cathy, ale nie przeszłabyś do niej na drugą stronę ulicy, gdyby ktoś inny cię o to poprosił.

— Ojej, naprawdę? — Monty roześmiała się. — Ale masz rację, co to za różnica, że jest moją matką. Może jestem zbyt romantyczna, zaczynam ją idealizować.

— Tak sądzisz?

Wiedziała, że Joe znowu stara się ją zmusić, by zobaczyła siebie taką, jaką jest naprawdę, ale ten jeden raz chciała, żeby to on nią pokierował.

— Przecież jesteś mężczyzną, to ty musisz mi powiedzieć, co myślę —

TLR

zażartowała. — W każdym razie przestań jak zwykle robić uniki, zgrywając się na guru. Powiedz, co ty o tym myślisz.

— Myślę, że jesteś niegodziwą, niemoralną kobietą. — Jego pełne usta

wygięły się w uśmiechu i zmierzwił futrzany kołnierz Monty.

— A to dlaczego?

— Co ty sobie myślisz, nosząc takie futro? Nie wiesz, że akryl jest pod ochroną?

— Co za sentymentalne brednie, panie Jones. Akryl to wstrętny szczuro-podobny zwierzak, wcale nie lepszy od robactwa, a poza tym ten pochodzi z hodowli.

Wybuchnęli śmiechem i poczuli się znowu sobie bliscy.

— Wiesz co? — ciągnęła Monty, gdy szli po żółtych wczesnojesiennych liściach, które pokrywały ścieżkę.

— Ona nie wydaje mi się realna, chociaż ją znam. Nie potrafię wyobrazić sobie mojej prawdziwej matki ani tego, że ona nią jest. To po prostu nie mieści mi się w głowie. Gdy byłam dzieckiem, przez cały czas zdawało mi się, że czegoś w moim życiu brakuje, to było jak puste miejsce w układance. Jak się po raz pierwszy zakochałam, miałam uczucie, że zapełniam tę pustkę, że jestem całością. Potem, gdy miłość umarła, znowu powstała wielka dziura.

— Wiem, też tak się czułam. — Joe zatrzymał się na chwilę, by zapiąć różowy kombinezon Palomy. — Nie znałem swojej matki, nie pamiętałem jej i myślałem, że gdyby udało mi się ją odnaleźć, wszystko byłoby w porządku, byłbym jak inne dzieci. Wreszcie pewnego dnia stwierdziłem, że to głupie, że wcale nie chcę być taki jak inne dzieci.

— A one i tak wcale nie były takie, jak myślałeś — dokończyła Monty.

— Zdałam sobie z tego sprawę, gdy rozpadło się małżeństwo Cathy, a ona przestała być moją doskonałą siostrą. Była tak samo słaba jak ja. Jednak teraz TLR

znowu mam to głupie uczucie, że może tym razem naprawdę znalazłam ten brakujący fragment układanki. Wydaje mi się, że moja prawdziwa matka może naprawić to wszystko, czego w sobie nie lubię. Jednak gdy pomyślę P tym, kim ona jest naprawdę... Och, Joe. Dlaczego życie jest takie trudne?

Cathy poleciła człowiekowi, który wyszukiwał w europejskich gazetach notatki prasowe poświęcone okolicznościom towarzyszącym śmierci ojca, by natychmiast przysłał do Londynu wszystkie artykuły, które znalazł. Potem poprosiła jeszcze, żeby się postarał zdobyć kopię aktu ślubu księcia Hussaina Shahzdeha.

Nazajutrz kurier przyniósł do jej mieszkania gruby pakiet papierów.

Usiadły z Monty przy okrągłym geor—giańskim stole, którego blat był wykonany z jednego kawałka cisowego drewna; był częściej używany do pracy niż do biesiad. Zaczęły rozpościerać na nim wycinki z dawno zapomnianych artykułów. Nie było czasu na ich tłumaczenie, a ponieważ żadna nie znała niemieckiego, holenderskiego czy włoskiego, skoncentrowały się na prasie francuskiej.

Twarz Cathy zastygła, gdy czytała w kółko o tym, że jej ojciec został znaleziony w łóżku z martwą call girl.

— Nie wierzę w to — powiedziała od razu. — To kłamstwo. Ktoś próbował go zrobić.

— Tych artykułów jest mnóstwo, sprawa musiała się ciągnąć całymi miesiącami — powiedziała cicho Monty, oszołomiona przerażającymi implikacjami, jakie pociągały za sobą plotki.

— Teraz widzisz, dlaczego chciałam zaczekać. — Cathy przysunęła do siebie wielką kolumnę złożoną na pół. Gdy ją rozłożyła, zobaczyła niewyraźne zdjęcie ojca, który wymachiwał banknotami przed brzuchem półnagiej dziewczyny. Westchnęła, a Monty wyrwała kolumnę z jej rąk i rozłożyła przed sobą na stole.

— Jezu... — szepnęła, zaszokowana odstręczającym widokiem. Jednak

TLR

zmusiła się, by przyrzeć się dokładnie twarzy ojca. Był rozczochrany i wyglądał na pijanego. Wyciągnięta ręka trzymająca banknoty utkwiała głęboko w świadomości Monty. Ojciec skojarzył się jej nagle z mężczyznami, do których

się umizgała, gdy sprzedawała swe ciało. Zdała sobie sprawę, że wcale nie był

lepszy od tych wstrętnych rozpustników, którymi pogardzała.

Cathy z zimną krwią starała się uporządkować w myślach zalew chaotycznych, napawających wstrętem informacji. Wszystko zdawało jej się o wiele bardziej przerażające, gdy czytała o tym po francusku. Emocjonalny, precyzyjny język, świetnie nadający się do opisów o podtekście seksualnym, odmalowywał obrazy rozpusty o wiele dobitniej niż dowód rzeczowy w postaci nieostrej fotografii. Zaczęła układać notatki prasowe w porządku chronologicznym.

— Masz rację, zbyt wiele tego — powiedziała do Monty. — Spójrz, tu są dwa wycinki z tego samego szmatławca. Piszą prawie to samo w odstępie dwóch tygodni. A tu znowu to samo... i zobacz, wymienia się tylko nazwisko ojca, choć na zdjęciu jest kilku innych mężczyzn. To nie są zwykłe doniesienia prasowe, to zaplanowana kampania. — Oparła się o krzesło i zastanawiała się przez chwilę, złączywszy razem czubki palców, choć zazwyczaj starała się unikać tego pompatycznego gestu. — Jeśli masz rację i ona jest madame Bernard...

— Mam rację, Cathy.

— Też tak myślę. To jest straszne, ale wydaje się prawdopodobne. W takim razie musiała być w to zamieszana. Nie mogę, po prostu nie mogę uwierzyć, że nasz ojciec byłby w stanie popełnić taką zbrodnię.

Monty studiowała fotografię, próbując rozpoznać twarze innych mężczyzn.

— Czy ten nie wydaje ci się znajomy? — spytała wskazując na najbardziej odległą sylwetkę. Rozpoznać można było tylko ten szczegół, że mężczyzna był w okularach.

TLR

— Nie. To może być każdy. Przejrzyjmy pozostałe wycinki, poszukajmy



jakichś innych nazwisk.

Wreszcie Monty znalazła całą kolumnę z niemieckiego czasopisma, gdzie obok informacji, że królowa rozwodzi się z księciem Philipem, znajdowała się

krótka notatka o skandalu, w której obok nazwiska ojca wymieniono jeszcze trzy inne. Dwa z nich Cathy znała, ale wiedziała, że ludzie ci już nie żyją. Trzeci mężczyzna nazywał się Shreoton.

— Chyba Shrewton? — spytała Monty.

— Jeśli to on... — zaczęła Cathy, ale natychmiast przywołała się do porządku. — Po co udaję? To jest on. Właściwie jestem z tego zadowolona.

Wydaje mi się, że lord Shrewton jest jedynym mężczyzną, który w życiu mnie

nie okłamał. Cokolwiek się za tym kryje, on mi to powie, zrobi to szybko i jasno.

Cathy zatelefonowała do byłego teścia i delikatnie wymogła na nim, żeby jeszcze tego popołudnia spotkał się z nimi w biurze. Pracował w Migatto tylko dwa dni w tygodniu i przygotowywał się do przejścia na emeryturę w roku następnym.

— Pamiętasz moją siostrę? — spytała Cathy, a Monty, ugrzeczniona w czarnej marynarce o poszerzonych ramionach i zwężających się do dołu spodniach, uścisnęła miękką dłoń starszego pana. Usiadły przy stole na twardej krzesłach z okresu Jakuba I.

— To zapewne coś bardzo ważnego — powiedział proponując drinki, które naląła sekretarka.

Gdy tylko opuściła pokój, Cathy przeszła do sedna sprawy.

— To nie będzie dla ciebie łatwe, ale zawsze robiłeś mi tę uprzejmość, że byłeś ze mną szczery. Mam więc nadzieję że i tym razem tak mnie potraktujesz. Monty i ja postanowiliśmy prześledzić okoliczności towarzyszące śmierci ojca. Zdajemy sobie sprawę, że w tym czasie ze względu na nasz wiek

TLR

nie powiedziano nam całej prawdy.

Lord Shrewton westchnął, a Cathy mówiła dalej.

— Odkryłyśmy, że był zamieszany w skandal związany z morderstwem prostytutki w Paryżu, które zdarzyło się kilka miesięcy przed jego śmiercią. Zastanawiam się, czy wiesz coś na ten temat.

— Dobrze wiesz, że tak, w przeciwnym razie nie byłoby cię tu — powiedział i wysączył do dna whisky z kryształowej szklanki. — Teraz, gdy przeczytałyście już wszystkie kłamstwa, macie prawo do prawdy. Byłem z waszym ojcem właśnie tej nocy, gdy to się stało. Dużo wypił, był nieprzytomny. Znaleźliśmy tę dziewczynę następnego ranka w jego pokoju. Była uduszona i potwornie pokiereszowana nożem.

Przerwał na chwilę, by dać im czas na oswojenie się z tym, co usłyszały.

Lord Shrewton miał zupełnie białe włosy i był blady jak trup. Cathy wiedziała, że jest nieprzekupny i że na jego słowach można absolutnie polegać. Odczuła ulgę, że wreszcie poznała całą prawdę.

— To było ukartowane — oświadczył, a głos załamał mu się z wściekłości, choć od tamtego wydarzenia minęło ponad dwadzieścia lat. — Ktoś chciał go szantażować, a ja temu zapobiegłem. Sprowadziłem na miejsce ambasadora i załatwiłem, że cała sprawa została zatuszowana. Muszę przyznać, że zrobiłem to również dla własnego dobra.

— Przypuszczam, że trudno wam było znaleźć wspólny język — naciskała Cathy.

— Przy prowadzeniu interesów trzeba dogadywać się z najróżniejszymi ludźmi. Owszem, masz rację, wasz ojciec nie był w moim typie, co nie znaczy, że nie darzyłem go pewną sympatią. Niełatwo być młodszym synem. Radził sobie lepiej niż wielu innych w takiej sytuacji.

— Skoro zatuszowałeś tę sprawę, skąd się wzięły plotki?

— To przez nią, przez tę kobietę, która go prześladowała. To za jej po-

TLR

średnictwem załatwiał dziewczyny na prywatne przyjęcia. A przynajmniej tak przypuszczam i on chyba też tak sądził. Bóg jeden wie, czym sobie na to zasłużył, ale nawet piekło nie pomieściłoby furii, jaką ta pani miała w sobie.

— Tak więc nigdy nie odkryliście, kto się naprawdę za tym krył? — spytała Monty, rozczarowana, że nadal nic nie jest pewne.

— Wtedy nie, ale później odkryłem, że chodziło o tę kobietę, bo skontaktowała się ze mną. Rozmawiałem z nią tylko raz i to przez telefon, nigdy jej nie spotkałem.

— Przenikliwe oczy starszego pana, skryte za zanieczyszczonymi szklami okularów, przenosiły się z twarzy jednej kobiety na drugą. — Nie sądzę, żebyście teraz myślały zbyt wiele o waszym ojcu. Jest to oczywiście jak najbardziej naturalne. To dość paskudna historia, chociaż był najzupełniej niewinny.

— Wiedziałeś, że ta kobieta przysyłała mu dziewczyny, i nie próbowałeś się dowiedzieć, kim ona jest?

— Nie. Nigdy mi się nie przedstawiła. Jedyna rzecz, którą zapamiętałem, to ten jej szczególny, dziwnie nosowy głos.

— Czego chciała od ojca? Dowiedziałeś się w końcu? — Cathy dopasowała wreszcie ostatnie elementy układanki.

— Nie, nawet nigdy o to nie zapytałem. To nie miało ze mną nic wspólnego. Uważałem, że im mniej wiem, tym lepiej dla mnie. Ale on miał też jakieś inne kłopoty, myślę, że to wszystko razem wzięte doprowadziło go do załamania. Jak wiecie, miał długi, a poza tym był zamieszany w jakieś oszustwo celne. Był zdesperowany.

— A czego ta kobieta chciała od ciebie? — spytała Monty, a Cathy spojrzała na siostrę zdziwiona, że jej samej nie przyszło do głowy o to zapytać.

— To bardzo dziwne. Naprawdę niezwykle, wzięwszy pod uwagę dalszy

TLR

przebieg wypadków. Powiedziała, że nie chce, by dwie niewinne dziewczyny cierpiały z powodu niegodziwości ich ojca. Chciała, żebym jej przyrzekł, że się wami zajmę, gdyby coś się przydarzyło waszemu ojcu.

— Co takiego? — zapytały siostry równocześnie, a na ich twarzach malowało się zdziwienie.

— Tak, moja droga Cathy. Mam nadzieję, że znasz mnie na tyle, by uwierzyć w prawdziwość moich słów. Oczywiście, gdy syn przyprowadził cię do naszego domu w niespełna rok później, wzbudziło to moje podejrzenia. Jednak od razu zorientowałem się, że jesteś niewinna jak baranek, a Charlie szaleje za tobą. A nikt i za żadną cenę nie mógł narzucić niczego mojemu synowi, jeśli w grę wchodziły uczucia. Ośmielałem się twierdzić, że dobrze o tym wiesz. — Powoli wstał i obszedł biurko, by usiąść obok Cathy. — Sądzę, że teraz dojdiesz do wniosku, że wszystko, co dla ciebie zrobiłem, robiłem dlatego, że byłem do tego zmuszony. Nie powinnaś jednak tak myśleć. Ta kobieta nigdy więcej nie próbowała się ze mną skontaktować. Byłem, jak wiesz, oburzony tym, jak mój syn cię potraktował. Po waszym rozwodzie było mi ciebie żal i uważałem, że powinienem dać ci szansę odbudowania życia, które zniszczył Charlie. Jednak potem, moja droga, radziłaś już sobie sama. Dawałem to, na co w pełni zasłużyłaś, musisz mi wierzyć.

Cathy skinęła głową, czując, jak łzy cisną jej się do oczu. Uścisnęła blade dłonie usiane starczymi brązowymi plamkami.

— I jesteś absolutnie pewien, że nie wiesz, kim była ta kobieta, poza tym, że miała coś wspólnego z prostytutkami? Czy ojciec nie mówił ci, jak się nazywa?

— Dziewczyny pochodziły z agencji madame Bernard. Mówiła tak, jakby była chodziło o jedną osobę, ale pod tym nazwiskiem mógł kryć się cały biznes. W tamtych czasach nazwisko to było powszechnie znane.

— Czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy, że to mogło mieć jakiś zwią-

TLR

zek z księżną Ayeshah?

Spojrzał na nią zdziwiony i pokręcił głową.

— Z księżną? Nie wydaje mi się. Księżna ma najróżniejsze znajomości, niewątpliwie niektóre z nich są nieszczególne, ale nigdy nie miałem powodów, by sądzić, że mogłaby być zamieszana w tego rodzaju sprawę. Jej mąż zaczął prowadzić ze mną interesy dwa czy trzy lata później i... — Przerwał, jakby szukał odpowiednich słów.

— I co? — ponaglała Cathy, drżąc z wyczekiwania. Teraz była już pewna swego i wiedziała, do czego ma zmierzać.

— Ta współpraca zawsze mnie dziwiła. Dla niego byłoby bardziej korzystne, gdyby kooperował z innymi bankami handlowymi. Nasz profil nie całkiem mu odpowiadał. Byłem zaskoczony, gdy się do nas zgłosił. Jednak nasze interesy układały się bardzo pomyślnie.

— I jeszcze jedno, ostatnie pytanie. — Cathy przypomniała sobie o whisky i wypłała połowę jednym łykiem, delektując się palącym ciepłem alkoholu w gardle, które było wyschnięte i ściśnięte z nerwów. — W swoim czasie zatuszowałeś tę aferę...

— Miałem właśnie zostać szefem Migatto, ostatnia rzecz, jaka mi była na rękę...

— Naturalnie. Ale teraz co byś powiedział, gdybym chciała wszcząć na nowo dochodzenie?

— Naprawdę masz taki zamiar?

— Jeszcze tego nie przedyskutowaaliśmy — odparła Cathy, spoglądając na Monty; w czarnych oczach siostry malowała się wściekłość.

— Myślę, że byłaby to jak najbardziej słuszna decyzja

— powiedział z dawną surowością w głosie. — Nie twierdzę, że ucieszy mnie to odgrzebywanie przeszłości, ale poprę cię, złożę wszelkie konieczne zeznania. Ambasador już nie żyje i większość pozostałych panów też. W

TLR

pewnym sensie obciążało to moje sumienie.

Podziękowały mu i wyszły. Wracały do Barbican piechotą, pogrążone w milczeniu. W mieszkaniu było pusto, bo Joe zabrał Palomę na spacer.

Usiadły na przeciwległych końcach czarnej skórzanej sofy.

— Już wiem, dlaczego go tak lubisz, to porządny facet

— powiedziała w końcu Monty, przesuwając palce po swoich krótkich włosach.

— Za mało jest takich ludzi jak on — odparła Cathy, wyswobadzając ramiona z ciemnoczerwonego żakietu od kostiumu. Był bardzo dopasowany, zgodnie z najnowszą modą, wąska spódnica sięgała Cathy do kolan. Zrzuciła też proste czarne pantofle i wygładziła czarne pończochy z drobnym rzucikiem w kropki, gładząc zmęczone stopy. — Czy ty zdajesz sobie sprawę, co to wszystko znaczy, Monty?

— Próbowaliśmy nas jakoś odzyskać. — Monty podparła głowę rękami i popatrzyła na siostrę. Cathy była bardzo blada, ale powrócił jej spokój i z tymi swoimi wiecznie uśmiechniętymi ustami wyglądała prawie na zadowoloną.

— Czyżby? A może po prostu próbowała się z nim skontaktować z jakichś innych powodów.

Monty gwałtownie pokręciła głową.

— Z jakich powodów? Nawet w tamtych czasach Hussain musiał być nadziany. Nie potrzebowała pieniędzy...

— Sądzę, że interesy Hussaina były wtedy nieco podejrzane. Może starał się uzyskać poparcie ojca przy zawieraniu jakiejś transakcji... — Gdy mówiła te słowa, w duchu z żalem przyznała, że pomoc jej ojca w interesach nie warta

była takiego zachodu. — Nie, masz rację. Ale skoro chciała nas odzyskać, gdyby chciała nas zobaczyć, spotkać się z nami, mogła to zrobić w każdej chwili. Mogła po prostu wsiąść na prom i po kilku godzinach znaleźć się

TLR

przed naszym domem.

— Może się bała. Nie zapominaj, że była niczym, gdy ją porzucił. No tak, wyrwała się z tej wioski i tak dalej, ale musiała się czuć onieśmielona tą władzą i pieniędzmi, które go otaczały. — Monty zaśmiała się gorzko. — Nie musiała wiedzieć, że ojciec jest zrujnowany.

— Czyżby? A ja sądzę, że cholernie dobrze o tym wiedziała. Próbowала go wykończyć. Chciała go zabić, ale nie mogła się na to ostatecznie zdobyć. Myślę, że wiem, dlaczego popełnił samobójstwo.

— Biedny tata, musiał być bardzo nieszczęśliwy. Wiedział, że stacza się na samo dno. Musiał stracić nas albo wszystko. Nikt nie jest w stanie dokonać takiego wyboru.

Cathy pokręciła głową.

— To nie to — powiedziała z przekonaniem. — Jakoś by się pogodził z tym, że jest biedny. Przyjaciele by mu pomogli, spłaciliby jego długi, ludzie zawsze tak robią w podobnych sytuacjach. Ten skandal by go nie zabił, nawet by się z niego cieszył ze względu na ból, jaki sprawiłby Didi i naszej... i Bettinie. Nie, to nie było tak, że po prostu stracił nadzieję, wpadł w depresję i się zastrzelił. Pamiętasz, jak Treadwell powiedział, że ojciec należał do tych, którzy potrafią przetrwać? Myślę, że Treadwell wiedział, co mówi.

— Co wiedział? — spytała Monty ze złością, założyła nogę na nogę i zaczęła wygładzać fałdki na spodniach; wolała nie patrzeć na Cathy. Zaczynała być wściekła na siostrę.

— Ojciec zabił się ze względu na nas — odparła Cathy i ujęła rękę Monty, która zareagowała na to z rezerwą. — Chciał mieć pewność, że ta kobieta nigdy nie będzie mogła rościć sobie prawa do nas. Chciał mieć pewność, że ją znienawidzimy, że nawet jeśli będzie próbowała nas zwieść, odkryjemy prawdę i przekonamy się, jaka ona jest. Ona jest ucieleśnieniem zła, Monty.

— Nie możesz tak mówić, to nasza matka. Pomyśl tylko, co on jej zrobił,

TLR

pomyśl, co oni wszyscy jej zrobili. Była bez szans. Czy nie znienawidziłabyś

mężczyzny, który by cię tak skrzywdził?

— Czy dla siebie szukałaś podobnych usprawiedliwień? Nie zapominaj, że przeszłyśmy podobne kryzysy. Zabrali mi Jamiego, a ty prawie zostałam prostytutką. Madame Bernard wypuściła cię z rąk, ale pomyśl tylko, ile innych dziewcząt załatwiła w ten sposób, wysyłając je do St. Laurenta i otwierając rachunek, którego nie mogły zapłacić? To nie ona postawiła cię na nogi, ona tylko dała ci szansę. To była twoja siła, twoja motywacja. Obie przecierpiałymy to samo co ona, ale dokonałyśmy innych wyborów. Ona mogła postępować tak samo.

— Ależ ona mnie uratowała, Cathy. I ciebie też, kiedy dopiero zaczynałaś i potrzebowałaś pieniędzy. Była przy nas, gdy jej potrzebowałyśmy, starała się pełnić rolę matki.

Cathy uwolniła z uścisku rękę Monty. Czuła absolutny spokój, tak jakby patrzyła na świat i pozbawione znaczenia poczynania innych ludzi z niedostępnych wyżyn.

— Wcale nie. Próbowwała nas kupić, kupić naszą miłość.

— Jesteś dla niej bardzo surowa — powiedziała Monty. — Ona była nieszczęsną dziewczyną z małej wioski, analfabatką, nie miała nawet tego sprytu co miejskie dziewczęta. Wiesz dobrze, co się z nimi dzieje, zawsze padają ofiarą jakichś machinacji. Wielkie miasta je zjadają. A ona przetrwała, a nawet więcej, wygrała, jest na szczycie. Czy nie budzi to twojego podziwu? Czy nie masz dla niej ani odrobiny współczucia?

Cathy pokręciła głową.

— Jestem surowa, tak, Monty. Ale nie okrutna. Owszem, zaczęła od niczego i jej osiągnięcia są fantastyczne. Podejrzewam, że przynajmniej na początku jej działaniu przyświecała myśl o odzyskaniu dzieci. Ale pomyśl, co ona zrobiła. Zabijała ludzi. Przecież zabiła tę dziewczynę, kazała ją pokroić jak salami i włożyć do łóżka ojca. Prawdopodobnie zamordowała wielu innych ludzi. To zbrodniarka, psychopatka. Przez całe życie prowadziła z nami



TLR

grę, zwodziła nas, okłamywała, szpiegowała, manipulowała nami, próbowała wciągnąć nas do swojej sieci, wymóc na nas wdzięczność, zmusić, byśmy ją pokochały. Czy nie widzisz tego wszystkiego? Współczucie? Nie, nie mam dla niej ani krztyny współczucia. To potwór, i sama sobie zawdzięcza, że jest taka, jaka jest.

Monty spiorunowała siostrę wzrokiem.

— Po prostu nie chcesz przyznać, że zawdzięczasz jej parę rzeczy. Na przykład ten wielki sukces, z którego tak jesteś dumna. Nagle okazuje się, że ktoś ci pomógł w życiu, i nie możesz się z tym pogodzić. — Monty zalała wściekłość, poderwała się z miejsca i stanęła przed siostrą. — Może zastanowisz się najpierw, jakie tobą kierują pobudki, zanim zaczniesz osądzać innych? Nadal jesteś ślepo zakochana w ojcu, nie winisz go za nic. A całą winę próbujesz zrzucić na nią.

— Dlaczego zawsze jesteś taka głupia i tak emocjonalnie wszystko traktujesz? Przecież masz wszystko jak na dłoni. To ty nie potrafisz stawiać czoła prawdzie, a nie ja!

Tak jak ogień łatwo ogarnia suchy las, furia rozpałała ich nadszarpnięte nerwy. Nagle zaczęły się kłócić, wrzeszczeć na siebie jak jeszcze nigdy w życiu, mówić rzeczy, o których wiedziały, że są nieprawdą, po to tylko, by zadać sobie ból.

— Jesteś oziębłą, bezwzględną suką, Cathy! Zależy ci tylko na forsie i władzy, dlatego nie rozumiesz ludzi, którzy myślą inaczej! Mylisz się, dlaczego nie chcesz tego przyznać?

— Przestań na mnie wrzeszczeć, nie jestem jedną z twoich cholernych znajomych, masz odjazd na punkcie swojego „ja”, i to już od lat! Chcesz, żeby wszyscy cię słuchali, wierzyli w to, co ty, robili, co im każesz. Nie zapominaj, że jestem twoją siostrą, mnie nie nabierzesz! Dla mnie nigdy nie będziesz wielką gwiazdą, tylko biadolącą smarkulą, która zawsze ma jakieś pro-

blemy.

TLR

Potworne napięcie, w którym żyły od paru tygodni, wreszcie się rozładowało w tej furii, zalewając je obie i niszcząc wszystko po drodze. Jak dzieci, były przerażone siłą swojego gniewu, ale nie potrafiły go opanować.

— Nie możesz dać sobie z tym rady, bo to ma związek z pieprzeniem się. To ci się nie podoba, bo na tym polu jesteś zupełnie do niczego! — warknęła Monty. — A jednak naszych rodziców łączyło tylko to, że się ze sobą pieprzyli. Matka zrobiła na tym fortunę, a ojciec z tego powodu umarł. Co jest, Cathy? Nie możesz stawić czoła faktom?

Cathy skoczyła na równe nogi, odpychając z wściekłością siostrę.

— Jakim faktom nie umiem stawić czoła? Jestem przekonana, że ta kobieta zabiła naszego ojca.

— Tak, ale nie zapominaj, że ona jest naszą matką, naszym ciałem i naszą krwią. Kimkolwiek jest, jest częścią nas. Teraz, gdy na ciebie patrzę, widzę, że wyglądasz tak jak ona.

Rozległ się suchy klaps, gdy Cathy uderzyła Monty w twarz, potem spoliczkowała ją ponownie, trzymając za klapę marynarki, by nie mogła się cofnąć. Monty złapała siostrę za nadgarstki i szarpnęła gwałtownie.

— Nie chcesz pogodzić się z prawdą, to ponad twoje siły, co? Chcesz być małą Miss Doskonałości, chcesz, żeby twoje życie było czyściutkie jak twoja szkolna szafka, bez krztyny kurzu w kąciку. Wywiedzimy się z brudu, urodziłyśmy się w nim, na naszym życiu ciążą najgorsze rzeczy, jakie dwoje ludzi mogło sobie wyrządzić.

Monty złośliwie szarpnęła Cathy za włosy, a ta uderzyła ją ponownie.

Stały twarzą w twarz, purpurowe ze złości, trzęsąc się ze zdenerwowania, gdy nagle rozległ się zgrzyt klucza w zamku i odgłos otwieranych drzwi frontowych na niższym poziomie apartamentu, zwiastujący powrót Joego.

Twarz Cathy nagle skurczyła się i zalała łzami. Usiadła żałośnie skulona

na podłodze. Monty, przerażona bólem, jaki zadała siostrze, pobiegła na dół prosić Joego, by na jakiś czas pozostawił je same, po czym wróciła do Cathy TLR

targana wyrzutami sumienia.

— Przepraszam, tak mi przykro, kochana Cathy — szepnęła, obejmując wstrząsane szloch ramiona siostry, których ciepło czuła przez cienki szary jedwab. — Wcale tak nie myślę, nie chciałam być tak okrutna.

— Nie, nie Monty, naprawdę masz rację. I ja też. Żadna z nas nie może znieść prawdy. — Cathy znowu zanosła się szlochem i płakała długo, aż zaczęła ją szczypać twarz, ale wciąż nie mogła powstrzymać łez. Opłakiwała dramat życia obojga rodziców, wypłakiwała ból po stracie ojca, który dusiła w sobie przez całe życie, a przede wszystkim lęk, że może stracić Monty. Siostra obejmowała ją, aż wreszcie szlochanie ustało.

Przez długą chwilę siedziały w milczeniu, aż wreszcie Monty powiedziała:

— Nie bierz poważnie tego, co ci nagadałam. Wcale tak nie myślę. Ja też nie mogę sobie z tym poradzić, to za trudne.

— Ze wszystkim możemy sobie poradzić, jeśli będziemy działać razem.

— Cathy otarła mokre policzki rękawami, nie zważając na to, że zostawia plamy na jedwabiu.

— Masz na myśli wszczęcie dochodzenia? — Monty pomogła siostrze wstać z podłogi.

— Nie wiem. Nie mogę się zdecydować. Tak, powinna być oskarżona o morderstwo tej dziewczyny, a może nawet o zabicie ojca. Ale nie dlatego chcę zadzwonić na policję. Chcę zemścić się za to, co zrobiła ojcu, tak jak ona

chciała zemścić się za to, co on zrobił jej. I wcale nie chcę tej zemsty ze względu na niego. Nie ma co udawać. Chcę się zemścić, bo już nie mogę wierzyć, że był wspaniałym, cudownym ojcem. Wcale nie jestem lepsza od niej, co? Poza tym boję się, chcę ją powstrzymać, Monty. Boję się, że zniszczy na-

sze życie, tak jak zniszczyła życie ojca. Tyle w niej nienawiści.

— To co zrobimy? Zadzwonimy do Scotland Yardu?

TLR

— Nie mogłabym tego zrobić, a ty?

— Nie, nie umiałabym jej wsypać, jest naszą matką bez względu na to, kim jest poza tym. No i nie mamy absolutnej pewności. Domyślamy się tylko, a musimy mieć pewność.

— Lord Shrewton jest jedynym człowiekiem, który postępował uczciwie.

Poproszę go o radę — zdecydowała wreszcie Cathy.

Tak jak oczekiwała, były teść odzegnał się od podejmowania za siostry jakichkolwiek decyzji, lecz spokojnie poradził, żeby najpierw zebrały wszystkie dowody przeciwko księżnej i zasięgnęły porady prawników, zanim podejmą jakiegokolwiek dalsze kroki.

Napier, który był teraz korpulentnym, łysiejącym panem o czerwonej twarzy i nosił prążkowane spodnie, starał się je odwieść od zamiaru podejmowania oficjalnego dochodzenia.

— Wybuchnie potworny skandal, który odbije się negatywnie na waszych dzieciach — powiedział.

— Ależ skąd — zaproponowała Monty poirytowanym tonem. — Nasze dzieci będą żyły według własnego uznania. Będą odpowiedzialne za to, kim są, tak jak my.

— A co z nami, panie Napier? — spytała Cathy spokojnie. — Nie było mi przyjemnie wchodzić w życie ze świadomością, że jestem córką Lorda Samobójcy, słyszeć szepty za każdym razem, gdy wchodziłam do pokoju. Kochałam ojca, panie Napier, a ta kobieta zabrała mi go właśnie wtedy, gdy najbardziej go potrzebowałam. Nie mogę tego naprawić, nie mogę cofnąć czasu, zacząć życia od nowa. — Dopóki nie wypowiedziała tych bolesnych słów, nigdy się nie przyznała, nawet sama przed sobą, jak ciężko jej było znosić skandal wokół śmierci ojca. Była dzielna i myślała tylko o tym, by napra-

wić wszystko poprzez wspaniałe zamążpójście. Wreszcie mogła się przyznać do bólu, jaki odczuwała. TLR

— Niewątpliwie mają panie duży materiał dowodowy. Jednak, moim zdaniem, nie ma żadnego dowodu, że jest jakieś powiązanie między morderstwem, tą madame, o ile ona istnieje, a księżną. Mają panie słusność, że w pierwszym rzędzie trzeba wszcząć dochodzenie w sprawie morderstwa prostytutki w nadziei, że sąd wniesie oskarżenie przeciwko tej kobiecie. Jednak jeśli ona się nie przyzna, nie ma mowy o rozprawie — oświadczył surowo, odsuwając szare teczki z dokumentami, w których znajdowały się złożone pod przysięgą oświadczenia Billa Treadwella, lorda Shrewtona, obu sióstr i streszczone relacje dwojga detektywów. Kierowana niemal przesądnym lękiem Cathy skopiowała całą dokumentację i złożyła duplikaty na przechowanie w sejfie bankowym.

— On jest bardzo przezorny, to rzeczywiście koronkowa robota — zauważył lord Shrewton. — I ma rację, Potrzebny jest wam konkretny dowód, skoro chcecie wszcząć dochodzenie i wnieść oskarżenie do sądu. I wcale nie jestem pewien, czy nawet wówczas coś wskóracie.

— Ja też nie. — Cathy pokręciła głową.

— Poprosiłem starego przyjaciela z policji w City, by zasięgnął języka w waszej sprawie — ciągnął opadłszy niezgrabnie na oparcie wielkiego fotela z ciemnego dębu. — Wasza matka, przyjąwszy, że nią jest, to potężna kobieta. Wątpię, żeby w trakcie dochodzenia sądowego można było jej coś udowodnić. Policja nie zna jej jako madame Bernard, nic nie wie o tej dziedzinie jej działalności. Prowadzili dochodzenie w paru sprawach podobnych do sprawy waszego ojca. Zawsze chodziło o szantaż. Jednak nie zaszli zbyt daleko. Nie wątpię, że ta pani ma we Francji znajomości w wysokich sferach rządowych. Mój znajomy zasugerował, że mogłybyście przekonać ją, by przyjechała do Londynu, i grając na jej uczuciach, wyciągnąć zeznanie. Wtedy policja mogłaby zatrzymać ją pod pretekstem nieprawidłowości we wpisach paszpor-

towych i... — Przerwał czując, że jego słowa nie spotykają się z życzliwym oddźwiękiem.

TLR

Cathy i Monty spojrzwały na siebie w milczeniu, po czym Monty wyprostowała się gwałtownie.

— Nie mogłybyśmy zrobić czegoś takiego. Cathy, czy nie sądzisz, że po prostu unikamy sedna sprawy? Musimy się z nią spotkać, porozmawiać, patrząc sobie w oczy, a przynajmniej wysłuchać jej wersji zdarzeń.

— Nie rozumiem, dlaczego ona jeszcze nie doprowadziła do takiego spotkania — zgodziła się Cathy. — Musiała domyślić się, że odkryłyśmy, kim jest, gdy nagle wyjechałyśmy z L'Equipe Creole.

— A nie pomyślałaś o tym, że ona się boi? — spytała cicho Monty. — Dlatego właśnie przysłała nam perły. Chce, żebyśmy do niej same przyszły. Boi się, że ją odepchniemy, gdy zrobi pierwszy krok.

Zaaranżowały spotkanie w ten sam sposób, w jaki Cathy zawsze organizowała spotkania ze swymi najważniejszymi klientami. Jej sekretarka zatelefonowała do sekretarki księżnej i poprosiła o ustalenie możliwie najszybszego terminu, w którym księżna mogłaby przyjechać do Londynu w bardzo pilnej sprawie. Nie minęło pół godziny, kiedy nadeszła odpowiedź. Księżna zapowiedziała przyjazd za dwa dni i prosiła, by podstawiono samochód na lotnisko

Lydd, gdzie wylądował jej prywatny samolot.

— Nie jedź tam — radził Hussain. — Poproś, by przyjechały tutaj. Na pewno planują jakąś pułapkę, skoro chcą, żebyś przyjechała do Londynu. Ayeshah, pomyśl, błagam cię. Wiemy, że one wiedzą teraz już niemal wszystko. Wysłałaś za nimi kogoś do Pinangu, więc wiesz, że widziały się z Treadwellem, wywąchały aferę z Nadine, zebrały informacje. Starsza jest bardzo inteligentną kobietą i myślę, że ma twarde zasady moralne. Wiedzą, kim jesteś i czym jesteś. To spotkanie nie może przynieść nic dobrego.

— Młodsza jest inna, cieplejsza, bardziej uczuciowa. Może przekonała

siostrę, kto wie? Na pewno nie chce mnie skrzywdzić. Nie zapominaj, że wiem o niej parę rzeczy. — Ayeshah była doskonale opanowana, ale wzruszenie było tak silne, że Hussain zauważył drżenie jej rąk. Zdał sobie sprawę, TLR

że nic jej nie powstrzyma od tego ostatecznego spotkania z córkami.

Pokręcił z rozdrażnieniem głową. W ciągu ostatnich dwudziestu lat setki razy widział, jak żelazna determinacja żony słabła, gdy chodziło o jej córki. Od dnia, gdy usłyszeli o samobójstwie Jamesa Bourtona, Ayeshah zaczęła mówić o dziewczętach z rozmarzeniem i pewną dozą sentymentalizmu, co by-

ło zupełnie do niej niepodobne. Nie podejmowała żadnych działań. Co kilka lat planowała, że pojedzie do Londynu i ujawni córkom swoje istnienie, ale zawsze odkładała wyjazd z miesiąca na miesiąc, a wreszcie znajdowała jakiś powód, dla którego zmieniała decyzję. To neurotyczne niezdecydowanie strasznie niepokoiło Hussaina.

Perły wydawały się księżnej doskonałym rozwiązaniem.

Już samo odkrycie dwóch identycznych klejnotów wydawało jej się ręką przeznaczenia, która pchała ją ku szczytowemu punktowi życia.

— Po raz ostatni błagam cię, Ayeshah, nie jedź, to pułapka.

Zaśmiała się. Gorzki śmiech zranił jego serce.

— Nie mogą mnie wciągnąć w pułapkę, Hussainie. W jaki sposób mogłyby to zrobić? Przecież oczerniłyby same siebie, swego ojca, a ich dzieci do końca życia żyłyby z piętnem skandalu.

— Może są na tyle odważne, że to zrobią.

— Odważne! Nie bądź dzieckiem. To byłoby głupie, a sam mówisz, że one głupie nie są. Zobaczysz, że mam rację. Tak długo czekałam, Hussainie, i teraz w końcu odzyskam moje córki. To moje dzieci, one mnie kochają.

Dwa dni później złoty Rolls-Royce, który wyjechał po księżną, opuścił maleńkie lotnisko i ruszył w drogę do Londynu przez płaski, czarny obszar Romney Marsh. Jadąc po wijącej się, prowadzącej na północ drodze, Ayeshah

zmagająca się z trudnym do opanowania lękiem, który niemal przyprawiał ją o mdłości. Obcość zimowego krajobrazu wzmagająca jeszcze jej niepokój. Po-  
TLR

nieważ w Londynie nie było klubu L'Equipe, rzadko bywała w Anglii. Kiedy samochód wjechał na ponure przedmieścia Londynu, Ayesha przypomniała sobie wiele rozmów, w których odrzucała pomysł założenia klubu w tym mieście, wyszukując wszelkie możliwe racjonalne argumenty, by ukryć fakt, że boi się przebywania w tym samym miejscu, gdzie jej utracone dzieci. Samochód jechał coraz wolniej, stał często w korkach, aż wreszcie przejechał przez Tamizę na Westminster Bridge i opuścił gęsty sznur samochodów, by przyspieszyć na jezdni prowadzącej wzdłuż Horsegarde Parade.

Był rześki, chłodny poranek, kilka dni przed świętami Bożego Narodzenia, i w Londynie roiło się od ludzi robiących zakupy. Ulice były zapchane jadącymi powoli samochodami, a oświetlone dekoracje świąteczne na Regent Street i Oxford Street odbijały się w szybach zatłoczonych sklepów. Drzewa w St. James Park wznosiły bezlistne gałęzie ku stalowoszaremu niebu, a urzędnicy śpieszyli na obiad szczelnie okutani w płaszcze, na których krzyżowali ręce, żeby się trochę ogrzać.

Cathy stała w oknie swego biura i patrzyła w dół, na zapchaną samochodami ulicę. Ona także się bała, a nie przywykła do tego uczucia. Lęk objawiał się jako piekący ból pod żebrami, który następnie rozchodził się po całym ciele. Im bardziej starała się opanować strach, tym bardziej się wzmagał.

W gabinecie obok czekali Joe, Henry i lord Shrewton, ale Cathy stwierdziła, że ich obecność wcale nie działała na nią uspokajająco, choć była im wdzięczna za przybycie.

— Boisz się? — spytała Monty, która siedziała na marmurowym blacie biurka Cathy. Była ubrana niezwykle — jak na nią — elegancko, gdyż miała na sobie białą bluzeczkę z piki, czarny kostiumik i małą diamentową broszkę przy kołnierzyku.



— Tak, strasznie się boję, czy to nie dziwne? Wiem, że mam prawo to zrobić, że postępuję właściwie, ale nie mogę się wyzbyć uczucia, że wydarzy się coś okropnego. Czy to nie absurdalne?

— Ja też się boję. Boję się, że gdy ją zobaczę, stracę głowę. Już jestem TLR

skołowana, nie jestem w stanie myśleć. Może źle to wszystko wykombinowałyśmy i ona wcale nie jest naszą matką?

— Nie mogę przestać myśleć o tym, co zrobiła naszemu ojcu i Bóg jeden wie ilu jeszcze ludziom. Jak ona może być moją... naszą matką? A jednak jest,

musi być. — Cathy odwróciła się i odeszła od okna, a ciemnoszara spódnica falowała przy każdym zdecydowanym kroku. — Widziałam samochód na końcu ulicy, będzie tu lada chwila.

Złoty Rolls-Royce podjechał wreszcie do krawężnika tuż przed wejściem do budynku, a odźwierny podszedł do samochodu, by otworzyć drzwi.

Cathy przeszła szybko przez pokój i nacisnęła jeden z guzików na czarnym aparacie telefonicznym, stojącym na niskim stoliku, przy którym zwykle prowadziła rozmowy.

— Już jedzie na górę — poinformowała mężczyzn znajdujących się w drugim pokoju.

Z małego głośnika obok telefonu rozległ się, jak zwykle pozbawiony emocji, głos lorda Shrewtona:

— Powodzenia.

— Już ją widziałas? — spytał Joe.

— Właśnie wysiadła z samochodu — zawołała Monty, która wyglądała przez okno. Drobną sylwetką księżnej, która poruszała się z charakterystyczną szybkością jaszczurki, wysunęła się z samochodu. Miała na sobie ciasno przy-

legające do ciała futro z jasnej norki. Chłodne powietrze zasnuła mżawka,

prawie tak drobna jak mgła.

Dziesięć minut później księżna Ayeshah stanęła przed siostrami i od razu poczuły emanującą siłę jej osobowości. Była wyraźnie wzruszona, lecz zachowała powściągliwość, bo nie wiedziała, czego może oczekiwać.

Cathy od razu przejęła inicjatywę. Uspokój się — powiedziała sobie — traktuj to normalnie, zapanuj nad sytuacją, zanim wszystko wybuchnie.

TLR

— Dzień dobry, księżno, mam nadzieję, że miała pani przyjemną podróż

— powiedziała i pomogła gościowi zdjąć futro, otrząsnęła je z kropelek deszczu i podała sekretarce. Księżna miała na sobie białą suknię z gabardyny o poszerzanych ramionach i zwężającej się ku dołowi linii. Rozluźniła się nieco,

słyszając słowa Cathy i ucałowała ją delikatnie na powitanie w oba policzki, po czym wyraziła radość z ponownego spotkania z Monty.

Usiadły w kąciku gabinetu Cathy, wokół niskiego stołu z lśniącą czarną politurą. Stał na nim nie budzący podejrzeń telefon obok pachnącej słodko gardenii, dużej czarnej popielniczki i numerów „Financial Times” oraz „The Wall Street Journal”. Księżna od razu zapaliła papierosa, co Cathy przyjęła z nadzieją za oznakę jej zdenerwowania.

— Na wstępie muszę panią przeprosić — powiedziała uprzejmie. — Nie mam z panią do omówienia żadnych spraw związanych z interesami. Chodzi o sprawę osobistą, dlatego obie tu jesteśmy. Jestem pewna, że domyśla się pani, o co chodzi.

Napięta jak maska twarz od razu rozjaśniła się w uśmiechu; księżna zgasła papierosa.

— Wiecie, kim jestem? — spytała patrząc na siostry i próbując, jak zawsze, kiedy była z którąś z nich, odczuć miłość. Nic takiego nie nastąpiło. Nic nie czuła. To przyjdzie później — obiecała sobie w duchu.

— Sądzymy, że jest pani naszą matką, naszą prawdziwą matką — podjęła Monty, ignorując spojrzenie księżnej i szczególnie obojętny wyraz jej oczu.

Powinny być ożywione tak jak jej ruchliwe ciało, ale wydawały się matowe, pozbawione światła.

— Wiemy, że jesteśmy dziećmi kobiety, którą nasz ojciec poślubił na Malajach podczas wojny. Nazywała się Khatijah *binti* Ahmad i myślimy, że właśnie pani jest tą kobietą. — Monty również szukała w swym sercu uczuć, ale nic nie znalazła.

TLR

— Tak, jestem Khatijah. Jestem waszą matką. Wreszcie mnie odnalazłyście. — Zabrzmiało to bardzo uroczyście. Monty poczuła nagle obawę, że ta kobieta może ją objąć, i odsunęła się nieco. Trzy kobiety patrzyły na siebie, jakby zdziwione własną otwartością.

— Odnalazłaś nas bardzo dawno temu, prawda? Dlaczego nigdy nie powiedziałaś nam, że jesteś naszą matką? — Cathy starała się, by w jej głosie nie zabrzmiała zdradziecka nutka niepokoju. Była wzruszona widokiem księżnej, choć wcale się tego nie spodziewała.

— Bałam się, że mnie wyśmiejecie, że odwrócicie się ode mnie. Byłyście już całkiem duże, gdy przyjechałam do Europy. Powiedzcie szczerze, co byście zrobiły, gdyby przyszła do was dziwna kobieta półorientałego pochodzenia, gdy miałyście już po dwanaście lat, i powiedziała wam, że jest waszą matką?

Kiedy mówiła, Cathy analizowała jej rysy i starała się odnaleźć swoje własne w tej twarzy o kształcie serca, oliwkowej cerze i perfekcyjnie umalowanych ustach. Spojrzała na Monty i tam znalazła większe podobieństwo: w prostym, szerokim kocim nosie i zmysłowym kształcie twarzy. Jednak, zakładając nogę na nogę, zauważyła, że są równie zgrabne, jak nogi matki.

— Nie sądzę, żebyśmy ci uwierzyły. — Monty uśmiechnęła się.

— Aż do tej chwili nie byłam pewna, czy mnie zechcecie. Dlatego właśnie przysłałam wam perły. Wiem, jakie jesteście mądre — uśmiechnęła się do Cathy — i wiedziałam, że wkrótce mnie odnajdziecie, że odkryjecie całą

prawdę. A wtedy już wszystko będzie zależało od was, postacie tak, jak będziecie chciały. Wasz ojciec zrobił wszystko, by nie dopuścić do naszego połączenia — ciągnęła wydmuchując gwałtownie dym papierosa przez zacisnięte wargi.

— Czy kiedykolwiek próbował? — spytała Cathy, starając się zataić pragnienie potępienia tej kobiety za śmierć ojca. Chciała usłyszeć prawdę, ale wiedziała, że trzeba będzie wydobyć ją podstępem. Ludzie, którzy się boją, kłamią, a Cathy wiedziała, że księżna się boi.

TLR

— Powiedział, że nigdy mnie nie zaakceptujecie, że jesteście małymi angielskimi damami, a ja reprezentuję wszystko, czym nauczono was pogardzać.

— W tych słowach kryła się głęboka gorycz, lecz Cathy to nie wzruszyło, bo wciąż miała przed oczami obraz ojca. Chciała nakłonić matkę do dalszych zwierzeń, zbadać, co kryje się w jej sercu.

Monty instynktownie nakierowała rozmowę na temat Bettiny i zwierzyła się, że zawsze odczuwała obcość w stosunku do kobiety, którą uważała za matkę.

— Jak ja jej nienawidziłam! — Ayesah prawie splunęła. — Wyobrażałam sobie, jak was dotyka, trzyma na rękach... Czy możecie sobie wyobrazić, jak bardzo przez te wszystkie lata pragnęłam was dotknąć?

— Ona wcale nas nie lubiła, prawie nigdy nas nie dotykała — przypomniała sobie Monty ze smutkiem. Gdy wypowiedziała te słowa, jej dziecięce uczucia nie wydawały się już tak istotne. — Nie sądzę, żeby ojciec zwracał na nas szczególną uwagę, dopóki nie stałyśmy się na tyle dorosłe, że mógł z nami normalnie rozmawiać.

— Tyle miłości poszło na marne. — Ayesah spuściła oczy. Miała ochotę się rozpłakać, ale zabrakło jej łez. Czuła wewnętrzną pustkę, która wypełniała ją niczym zimny płyn.

Cathy zmusiła się, by zapytać o fakty dotyczące śmierci ojca.

— Kiedy skontaktowałaś się z nim po przyjeździe do Europy?

— W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym dziewiątym roku. Pamiętam ten dzień, jakby to było wczoraj. Nie wyobrażacie sobie, jaki miał wyraz twarzy. Myślał, że porzucił mnie w błocie na polu ryżowym, że jest zupełnie bezpieczny, że biedna wieśniaczka nigdy nie pojedzie za nim na drugi koniec świata, by się zemścić.

— Wyobrażam sobie, jak był zaskoczony. Ale o co go prosiłaś?

TLR

— Jak to? Oczywiście chodziło mi o was. Chciałam was odzyskać, chciałam być z wami, a przynajmniej chciałam, żebyście się dowiedziały, że jestem waszą matką.

Monty czuła się jak we śnie. Teraz, gdy miała przed sobą prawdziwą matkę, lęk, że oładnie nią przemożne, naturalne uczucie do niej, wydawał się absurdalny. Stwierdziła, że jest jej żal tej drobnej, wyelegantowanej kobiety. Z wnikliwością, której nabrała badając własną słabość, Monty zrozumiała, że księżna wpadła w sieć chytrych samousprawiedliwień i uwikłała się w wyrefinowaną pajęczynę kłamstw, którą snuła, by zracjonalizować swój popęd do zła. Zrozumiała, że jej matka jest słabą, zgorzkniałą kobietą, która odniosła triumf i sukces za cenę dewastacji własnej osobowości. Kierowała nią wściek-

łość, ale ta sama wściekłość też pożarła ją zupełnie. Teraz była w tragicznym punkcie, bliska osunięcia się w duchową próżnię.

— Powiedzcie mi, czy nie wydawało wam się, że jesteście inne niż wszyscy?

— O tak — przyznała Monty w nadziei, że wznieci w sobie więcej pozytywnych uczuć do matki. — Myślałam często, że jestem dzieckiem zamienionym przez wróżkę, gdy jeszcze leżałam w kołysce.

— Co powiedział ojciec, gdy upomniałaś się o nas? — Cathy także wy-  
czuwała, że księżna desperacko usiłuje wykrzesać z siebie uczucia licujące z jej długo pielęgnowaną iluzją miłości. Odkryła, że jest jej żal matki, i było jej

nieprzyjemnie z tego powodu. Nagle zapragnęła, by to traumatyczne spotkanie jak najszybciej się skończyło.

— Śmiał się. Nastraszył mnie, a potem zaczął udawać, że nie istnieję. Zawsze tak robił. Gdy tylko się pobraliśmy, zaczął myśleć o tej swojej wojnie, o walce, której oczekiwał. Nawet nie zauważał, że z nim jestem. Potem robił to samo. Myślał o was, o swoim życiu, interesach, pieniądzach, pozycji społecznej... Ja zniknęłam, zdmuchnął mnie, jakbym była dymem. — Zgniotła ze złością papierosa w popielniczkę, tak że poplamiony szminką niedopałek był prawie płaski.

TLR

— Pewnie byłaś wściekła? — ponagliła Monty.

— Jak jeszcze nigdy w życiu. Bardziej niż na początku, kiedy ty — wskazała na Monty palcem — byłaś taka maleńka, miałaś zaledwie parę miesięcy i zabrano cię wprost z moich ramion. Lecz nawet nie byłam taka wściekła jak wtedy, gdy zobaczyłam, że on zaprzecza, że ja w ogóle istnieję.

— I co zrobiłaś?

Zwlekała chwilę z odpowiedzią, bojąc się, że ją potępią, a jednocześnie pragnąc wyznać im wszystko. Nadal odczuwała gniew. Zdała sobie sprawę, że ten gniew jest jak zły duch, którego nigdy nie przepędzi.

— Zrobiłam to, co musiałam. To było łatwe. Mężczyźni są tacy słabi, prawda? Nigdy nie mogą się oprzeć własnym zachciankom... — Przenosiła wzrok z jednej twarzy na drugą. Cathy wysłuchiwała tej pogardliwej uwagi dotyczącej ojca bez towarzyszącego jej zwykle bałwochwalczego uczucia.

— A więc ta historia z *call girl*, którą znaleziono martwą w łóżku...

— Sam się w to wpakował. Wasz ojciec miał takie upodobania. Zawsze przepadał za egzotycznymi dziewczętami. To było tak, jakby własnoręcznie założył sobie pętlę na szyję. A potem oczywiście nie mógł znieść hańby, którą się okrył. To było coś, czemu nie mógł zaprzeczyć ani się przed tym ukryć.

— Chcesz powiedzieć, że nasz ojciec rzeczywiście zabił tę kobietę?

Księżna zawahała się, przypominając sobie nagle słowa, które rzucił jej James. Przypomniała sobie jego ton, szorstki i oskarżycielski, gdy mówił, że reprezentuje wszystko, czym gardzą jego córki, i nigdy jej nie zaakceptują. Teraz, gdy miała je przed sobą, wiedziała, że to nieprawda. Jej córki były mądrymi, silnymi, dojrzałymi kobietami. Słuchały jej i nie osądzały pochopnie. To ona nie potrafiła ich zaakceptować. Chociaż bardzo się starała, nic do nich nie czuła.

Ayeshah wpadła w panikę, poczuła się jak zaszczute zwierzę. Pułapka była tak precyzyjna, tak przemyślnie zastawiona i nie dająca możliwości ucieczki, że zaczęła podziwiać mistrzostwo, z jakim ją zaplanowano. Wpadła TLR

w tę sieć, gdyż była utkana z miłości i lojalności, uczuć, których ona sama już nie знаła. Kamuflaż doskonale wprowadził ją w błąd.

Cathy i Monty zobaczyły, że księżna traci siły, i zmusiły się do spokoju, by nie spłoszyć jej, gdy była bliska wyznania prawdy.

— Czy ojciec naprawdę ją zabił? — spytała miękko Monty.

Ayeshah z przerażającą jasnością zdała sobie sprawę, że całe jej życie za chwilę legnie w gruzach. Za parę sekund wszystko rozpadnie się i zamieni w bezużyteczną, obrzydliwą miazgę, jak przejrzały owoc wyjedzony doszczętnie przez robaki. Czuła, że nie jest w stanie powstrzymać nieuniknionego upadku. Zdecydowała, że powie im prawdę, całą prawdę. Przynajmniej tyle mogła im ofiarować.

— Nie, on jej nie zabił. Była martwa, gdy położono ją do jego łóżka. Powiedziano mi, że był tak pijany, że nie obudziłby się, nawet gdyby cały Ritz stanął w płomieniach. — Podniosła oczy, podejmując ostatnie wyzwanie. — Ale rozumiecie chyba, że zrobiłam to dla was? Wszystko, co robiłam, robiłam dla was. Tak bardzo chciałam was odzyskać...

Głos księżnej zamarł. Spojrzała obojętnie na dwie kobiety siedzące przed nią. Wreszcie przyznała w duchu, że bardziej zależało jej na tym, by zemścić

się na ich ojcu, niż zdobyć ich miłość.

— Uchroniłaś mnie przed samozagładą i zawsze będę ci za to wdzięczna  
— powiedziała nagle Monty, patrząc ze smutkiem na drobną postać w bieli. Ayeshah skinęła głową i przypomniała sobie, co powiedziała wtedy Monty o miłości. Teraz musiała wreszcie przyznać przed sobą, że nie potrafi już nikogo kochać.

Ayeshah wstała. Jej drobna postać sprawiała żalosne wrażenie w tym wielkim pokoju z masywnymi meblami. Wydawała się sobie jakaś nierealna. Cathy spostrzegła, że matka jest okropnie zdenerwowana, i delikatnie ujęła ją za ramię.

TLR

— Może zostaniesz jakiś czas w Londynie? Zarezerwowałam ci pokój w hotelu. Potrzebujemy czasu, by wszystko przemyśleć.

— Nie, lepiej będzie, jak zaraz wyjadę. — Ayeshah starała się za wszelką cenę zapanować nad sobą, a Cathy sięgnęła po słuchawkę i poprosiła sekretarkę, by przyniosła futro księżnej.

Odprowadziły ją do oszklonych drzwi wejściowych.

Księżna niezobowiązującym gestem podsunęła im twarz do pocałunku, a siostry chłodno dotknęły ustami jej gładkich policzków. Monty zauważyła, że pozostawiła na twarzy księżnej ślad różowej szminki, i starła ją czubkami palców, a ten gest mógł być uznany za oznakę czułości.

Gdy Ayeshah odeszła, siostry stały przez długą chwilę w milczeniu, czując, jak wygasa w nich napięcie. Nagle Monty spytała:

— Czy postąpiliśmy słusznie, Cathy? Wydawała się taka nieszczęśliwa.

— Nie wiem. Co mogłyśmy zrobić? Może dla niej jest zbyt późno na szczęście. Miałaś rację, Monty. Była bez szans.

Wróciły do gabinetu Cathy i wyjrzały przez okno. Złoty Rolls-Royce jechał wzdłuż krawężnika. Księżna Ayeshah powoli szła przed siebie. Padał deszcz.



KONIEC

TLR

# Document Outline

- [15](#)
- [16](#)
- [17](#)
- [18](#)
- [19](#)
- [20](#)
- [21](#)
- [22](#)
- [23](#)
- [24](#)
- [25](#)
- [26](#)
- [27](#)
- [28](#)
- [29](#)

# Table of Contents

[15](#)

[16](#)

[17](#)

[18](#)

[19](#)

[20](#)

[21](#)

[22](#)

[23](#)

[24](#)

[25](#)

[26](#)

[27](#)

[28](#)

[29](#)